



**krzysztof  
beśka  
fabryka  
frajerów**

**Krzysztof Beśka**

**FABRYKA FRAJERÓW**

Przedstawione w książce postacie i wydarzenia są dziełem wyobraźni autora, a ich zbieżność z żyjącymi osobami i faktycznymi zdarzeniami - jedynie przypadkowa.

*Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wstępujecie...*

Dante Alighieri, Boska komedia

## PROLOG

- Śpi, ścierwo.

Z ust grubego żandarma doleciał wyraźny smród trawionego alkoholu.

- Zapnij mu pasy, bo jeszcze sobie coś zrobi i będziesz odpowiadał jak za człowieka - zawołał po angielsku drugi z mundurowych, Murzyn, stojący w przedsionku i palący papierosa.

Otyły żandarm pochylił się jeszcze niżej nad śpiącym. Stękając z wysiłku, wyłuskał pas bezpieczeństwa zagubiony w zagłębieniu fotela. Klamra zaskoczyła z łatwością.

- Bob, znasz ten kawał? - zapytał po chwili Murzyn stojący w drzwiach.

- Znam wiele - odparł gruby.

- Ale tego pewnie nie znasz. Podchodzi stewardesa w samolocie do Araba i pyta, czy mu podać whisky...

- To oni piją whisky?

- Nieważne! - zachnął się tamten. - Whisky czy coś innego. W każdym razie chodziło o jakiś mocny alkohol.

- No i co?

- Ten Arab mówi, że nie.

- I co dalej?

- Że nie, bo zaraz... siada za sterami!

Zarechotali głośno.

- Miłego lotu - mruknął grubas, po czym wyszedł z kabiny, zataczając się.

Zachrobotał zamek w drzwiach, po chwili, niczym maszyna jakiejś maszyny śmierci, zazgrzytała metalowa zasuwka.

Siedzący mężczyzna powoli podniósł głowę. Otworzył oczy. Nie spał wcale. Ani przed chwilą, ani w ciągu całego lotu, który mógł trwać może już nawet dobę.

- Dokąd nas wiozą? Dokąd nas wiozą... - mamrotał w swoim narzeczu siedzący po lewej stronie Ahmed. - Nie. Nie!

- Uciszcie go, do cholery! - ryknął z tyłu olbrzym, którego przyprowadzili podczas przedostatniego postoju.

- Nie. Nie...

Ahmed mamrotał coraz ciszej, coraz bardziej żałośnie, aż w końcu w ciemności rozległo się tylko chrapanie.

- Jak nie sraczka, to... - westchnął olbrzym; ktoś inny nawet zawtórował mu irytującym śmiechem, ale szybko zamilkł.

Zagrały silniki. Z lewej strony, po kilku sekundach również z drugiej. Pomruk stopniowo zaczął przechodzić w ryk. Cała maszyna drżała miarowo, tylko wibracje co raz to zmieniały ton.

Siedzący mężczyzna powoli przesunął nadgarstki wzdłuż obręczy kajdanek. Nie był zbyt ciasno skuty, więc mógł pozwolić sobie na ten luksus. Fory białego? Długi łańcuch łączący ręce z nogami, mimo narastającego huku gotującego się do startu samolotu, zadzwonił cicho, wręcz tkliwie. Człowiek ten zmienił też położenie głowy na oparciu fotela, opierając ją na ramieniu. Sztywny materiał więziennego uniformu podrażnił obolałą skórę twarzy, zaszeleścił nieogolony zarost. Mężczyzna jednak nie zmienił pozycji, bo dzięki niej

przez zapomnianą szczelinę w oknie mógł zobaczyć światła lotniska. Te wkrótce zaczęły się przesuwać, nikać coraz szybciej w wąskim pionowym kadrze, ustępować miejsca innym, zielonym, czerwonym i białym.

Maszyna ruszyła. Wycie przycichło nieco. Zaczęło się kołowanie na pas startowy.

- Dokąd nas wiozą? - zawołał, choć już przez sen, Ahmed.

Oparcia foteli coraz mocniej wciskały się w plecy. W obolałe lędźwie, połamane żebra, odbite nerki, coraz wolniej gojące się podłużne rany. Światła lotniska w szparce okienka stopiły się w jedną, to opadającą, to znów wznoszącą się wiązkę. Maszyna nabierała szybkości na pasie startowym. Szarpnęło.

Oderwali się od ziemi. Sznur pełgających światełek lotniska, oglądany w okienku samolotu, zerwał się gwałtownie niczym naszyjnik z błyszczących paciorków. Silniki grały równo, jakby były orkiestrą pod batutą dyrygenta.

Stary boeing 737, a może gulfstream (uwięzieni nie wiedzieli tego; wprowadzali ich przecież w czarnych workach na głowach) wzbijał się pod ostrym kątem ku czarnej czeluści nieba. Nad Irakiem, Afganistanem, Rumunią, Kuwejtem, Marokiem, a może już Kubą...

- Jak ci na imię? - zapytał ten siedzący po prawej.

- Jamal.

- Ja jestem Muhammad - przedstawił się tamten.

Musieli wyrównać lot, gdyż przeciążenia zakończyły się. W normalnych samolotach uroczą stewardesa pozwala w tym momencie odpiąć pasy i zapalić papierosa albo cygaro, a jej koleżanki zaczynają roznosić słodycze i częstować nimi przestraszonych jeszcze po starcie pasażerów...

- Cukierka? - dziewczyna nachyla się, podsuwając pod nos tackę, a jej uśmiech jest słodszy od wszystkich cukierków świata.

- Dziękuję - odpowiada się wtedy stewardesie, próbując się odwzajemnić, choć zwykle wychodzi z tego raczej przykry grymas.

- Ależ proszę.

Bierze się wreszcie tego cukierka, odwija z papierka, dziękuje jeszcze raz. Jednocześnie usiłuje się, możliwie dyskretnie, wciągnąć w nozdrza zapach perfum dziewczyny, niezbyt mocnych, ale wyraźnych, ciągnący się za nią jak tren ślubnej sukni. Dyskretnie wychyla się z fotela, zerka na jej smukłą szyję, na długie i proste nogi, na zgrabniutki tyłeczek, opięty ściśle przylegającym materiałem krótkiej spódniczki. Ale już po chwili z tyłu słychać cichy stukot obcasów i nadchodzi jej koleżanka, jeszcze ładniejsza, która odzywa się lekko dźwięczącym głosem, głosem anioła:

- Czy mogę zaproponować panu drinka?

Pozwala się jej powtórzyć jeszcze raz, udaje zapracowanie, a może nawet obojętność. Wreszcie, po chwili, ale niezbyt długiej, podnosi się wzrok znad czytanej gazety, a jeszcze lepiej książki. A ona, ta dziewczyna, uśmiecha się i pyta jeszcze raz:

- Drinka? Drink? Drink...?

Łańcuch łączący kajdany zadzwonił jeszcze raz. Jamal wzdrygnął się. Przygryzł spierzchnięte wargi, aż poczuł na nich zbyt dobrze znajomy słonawy smak. Zacisnął dłonie w pięści, aż zabołały unieruchomione metalem nadgarstki. Napięcie jednak minęło równie szybko, jak nadeszło.

Czekamy na trzecią stewardesę. Będzie jeszcze piękniejsza niż dwie poprzednie. Podejdzie, a może raczej nadpłynie i zaproponuje nam...

- Czy zechciałby pan obejrzeć film?

- Film?



- Tak, film.

Zimny dreszcz przebiegł mu przez plecy. Coś przygniotło piersi, utrudniając oddech. Nagły krzyk Ahmeda przebił się przez jednostajny szum motorów. Niewielkiej postury mężczyzna, chłopiec prawie, zaczął znów kręcić się niespokojnie na fotelu i gadać przez sen. Może mu się śnił jakiś koszmar?

Jamal oparł głowę na drugim ramieniu. Ćmiło go. Czas nie istniał od kilku dni, nie wiadomo ilu, bo nie było przecież godzin. Nie było czasu, jakby cały świat wstrzymał oddech. Tylko że ten świat gównem sobie z nich robił. Z nich tutaj i z nich w ogóle też. Całe ciało drętwiało. Nogi pewnie odmówiłyby posłuszeństwa. Tyle co do ustępu. Dwa kroki, no, może trochę więcej, zważywszy na te gustowne bransoletki przy nogach. Ale i to też nie zawsze, kiedy się chciało. Strażnicy mieli niezły ubaw.

Przez miarowy warkot silników od czasu do czasu przebijały buczenia, piski urządzeń elektronicznych oraz głosy ludzkie z pozostałych kabin samolotu, a może kabiny pilotów. Pokładowe radio, dzięki któremu podtrzymywano kontakt z ziemią? Tylko jaką? Jawa mieszała się z sennymi majakami. Urocze stewardesy już się jednak nie pojawiały. Za to nie wiadomo czemu i skąd, ale mężczyzna imieniem Jamal nagle zaczął marzyć o czym innym. O sękaczu. Takim z czterdziestu, a najlepiej z sześćdziesięciu jaj! Nie dawało mu to spokoju. Ogromny, ciemnożółty, tu i ówdzie jasnobrązowy. Prawdziwy, nie żadna podróbka. Po pierwszym kęsie sprawiający wrażenie zbyt suchego, ale już po chwili taki, jaki być powinien. Słodki smak dzieciństwa...

Maszyną nagle szarpnęło. W szczelinie okna błysnął rąbek Księżyca. Niebo było czyste. Ale wysoko w górze niebo chyba zawsze jest czyste. Niżej są chmury, szarobiałe, pierzaste kłębowisko, oświetlone księżycowym blaskiem. Przypomina brudną pianę z pralki automatycznej. Za czas jakiś podłużny kształt samolotu wsiąknie w nie, rozpruje i przebije się z łatwością, by po kilku chwilach wylądować znowu na jakimś nieznanym, wrogim lądzie.

Zazgrzytała zasuwa, po chwili skrzypnęły drzwi. Snop światła padł na podłogę kabiny. Na jasnym tle zamajaczyła postać jednego z żandarmów. Ledwo się trzymał na nogach. W ustach miał cygaro, z którego dym przypominał komiksową chmurkę, gdzie wpisuje się tekst. Żołnierz stał w drzwiach, trzymając się kurczowo futryny.

- Ja bym się z wami nie patyczkował - wybelkotał. - Od razu pod mur! Pod mur, skurwysyny!

- Daj spokój, Bob - zawołał z głębi samolotu drugi z żandarmów.

- Ja bym z wami inaczej pogadał - wycharczał, dysząc niczym zwierzę.

Naraz czyjeś ręce chwytające za kołnierz, a może kolejne szarpnięcie poddającej się prawom przestworzy maszyny pociągnęły go do tyłu. Huknęły drzwi latającej celi. Jamal wyczekiwał zgrzytu klucza w zamku. I przerażającego odgłosu zasuw. Jednak zamiast tego znów odczuł wyraźne szarpnięcie. Samolot dość mocno przechylił się na prawo. Coś, może puszka po mięsnej konserwie, którą dano na obiad lub kolację, metalicznie brzęknęło o podłogę i potoczyło się po niej ku ścianie.

Jamal zapadał w letarg, to znów coś go z niego wytrącało. Czoło pokryły mu kropelki zimnego potu, ciałem coraz to wstrząsały dreszcze. Chciał krzyczeć, ale nie mógł wydobyć z gardła żadnego dźwięku, jakby dodatkową, piątą obręczą ściśnięto mu także krtań.

Teraz z kolei maszyna dość znacznie przechyliła się ku dołowi. Pusta puszka potoczyła się w stronę ścianki działowej, na której umieszczone były drzwi, i jęknęła żałośnie. Pasy bezpieczeństwa, którymi Jamal był cały czas unieruchomiony, boleśnie naparły na brzuch, uciskając wnętrzności.

Znał to uczucie. Musieli podchodzić do lądowania. Ahmed jęczał coś znowu, choć przy niemal braku oświetlenia nie można było odróżnić, czy śpi, czy też, podobnie jak Jamal, czuwa. Zakolebało nimi na boki, silniki wyły w wysokich tonach. Trochę jednak inaczej niż podczas poprzednich lądowań, to pewne. Coś było nie tak. Jamal nie zdążył się jednak zastanowić, czy to dobrze, czy źle. Zza drzwi, które być może zapomniano zamknąć, choć z drugiej strony nie mogło mieć to teraz żadnego znaczenia, dobiegły jakieś krzyki, strzępy komend, tupanie ciężkich wojskowych buciorów na akustycznej podłodze.

Ocknęli się też siedzący w zaimprovizowanej celi pozostali więźniowie.

- Spadamy - rzekł ze spokojem człowiek, który przedstawił się jako Muhammad; trudno było jednak ocenić, czy to, co powiedział, było pytaniem czy stwierdzeniem.

Ktoś próbował szarpać się w fotelu, podzwaniając łańcuchami, ktoś inny tylko modlił się cicho, łkając przy tym. Boeing najwyraźniej pikował w dół.

- Rozkujcie nas, słyszycie?! Rozkujcie! - ryczał olbrzym siedzący z tyłu.

Muhammad nagle zaczął się śmiać. Najpierw cicho, potem coraz głośniejsze, coraz bardziej przeraźliwie. W nikłym świetle błyszczały krople, które zalewały mu oczy. Pot albo łzy.

- Zestrzelili nas! Trafili! Nasi nas zestrzelili - krzyczał, jakby był w ekstazie. - Allah akbar!

Ale w tej chwili pilotowi widać udało się zapanować nad maszyną, bo wyrównali lot. Cały czas chyba jednak nieuchronnie zbliżali się do ziemi. Nagle szarpnęło. Pojedyncze uderzenie. Podskoczyli na fotelach. Rozległ się przeraźliwy, świdrujący uszy wizg kół szorujących o twardą nawierzchnię. Lotnisko? Autostradę? Wodę?!

Jamal spojrzał w bok. W szparce okna nie było jednak widać żadnych świateł. Nagle przechylili się na lewo i w ciemności tej, chyba spod skrzydła, wytrysnął gruby snop iskier. Po chwili znów uderzenie, po nim kilka następnych, już nieco lżejszych. Kilkutonowa maszyna, żelazna masa, odbijała się od ziemi jak gumowa piłeczka. Zewsząd dochodził wzrastający trzask.

Jamal drżał cały. Ze strachu, a może tylko wskutek przeciążeń, ruchów samolotu usiłującego pokonać dwa żywioły i prawa fizyki, a w nim kawałek mięsa poddany tym samym prawom.

- Allah akbar! Allah akbar! - darł się wciąż niczym opętany Muhammad.

Na koniec nagły, potworny huk. Ból w uszach. Czyjś krzyk. Na sekundę zapaliły się wszystkie światła w ich kabinie. Ogromna siła wyrwała z podłogi fotel, na którym siedział

Muhammad, i z impetem cisnęła nim o ścianę. W tej samej chwili pękły żarówki. Kawałki szkła strzeliły na wszystkie strony. Potem nastąpiła cisza. Jamal miał wrażenie, że pas bezpieczeństwa przecina go dokładnie w połowie.

- Jezu... - jęknął z bolesną rezygnacją, nie myśląc już o tym, że ktoś źle go może zrozumieć.

Potem stracił przytomność.

\*

W sobotę rano wybrałem się na Koło, gdzie w dwa weekendowe dni rozkładają swoje kramy handlarze starociami, antykami, ale i najzwyklejszą w świecie tandetą i starzyzną, którą w normalnych miastach zapełnia się śmietniki, a nie stoiska handlowe.

Właściwie pojechałem tam bez określonego celu, a taki przyświeca zwykle większości ludzi, którzy przemierzają wąskie alejki między drewnianymi budami czy płachtami folii, leżącymi wraz z towarem wprost na ziemi. A to do trzech antycznych świeczników dobrać czwarty, niech się świecą - przede wszystkim oczy znajomych, z zazdrości. Albo skompletować wreszcie serwis miśnieńskiej porcelany, do którego brakuje nam tylko jednego spodka albo wieczka cukiernicy, a te ktoś ponoć ostatnio tutaj widział. Albo antyczne krzesło dokupić do kompletu, który zdobi nasz pokój dzienny. Rzadziej ktoś poszukuje tutaj starych, a raczej niezbyt nowych książek, które można nabyć po uprzednim wygrzebaniu woluminu w jednym z kartonowych pudeł.

- Ile za tę miniaturę? - pyta nastroszona paniusia w ciemnych okularach, wskazując nieprawdopodobnie długim i czerwonym paznokciem w stronę galeryjki małych i dużych płócien, przyczepionych wprost do płotu.

- Trzysta - odpowiada właściciel stoiska, nie przestając wyłuskiwać sobie brudu zza paznokci przy pomocy szwajcarskiego scyzoryka bądź tylko jego chińskiej podróbki.

- Choć, Władziu. To tandeta - towarzyszka nastroszonej, ruda jak wiewiórka i też w przeciwsłonecznych okularach na nosie, już ciągnie za łokieć swoją koleżankę; po chwili obie

interesują się już zupełnie inną gałęzią sztuki, mianowicie damską bielizną, i to bynajmniej nie antyczną.

- Taka to nawet „dupa” mówi przez „f” - przypomina starą prawdę koczujący tuż obok tymczasowej galerii sprzedawca tysiąca i jednej bzdury z miedzi i mosiądzu. - Grzebie, przewraca, wybrzydza, a i tak nic nie kupi.

- Co poradzisz - wzdycha brukowy marszand, wzruszając nagimi, opalonymi ramionami. - Cały ten dzień jakiś kiepski, jakiś taki...

- Uważa, jak chodzi! Ślepy jest?! - drze się kilka metrów dalej korpulentna kobiecina z wąsami, książkowy model handlarki jajkami; ta jednak sprzedaje wprost z ziemi wyliniałe kołnierze z lisa. I właśnie ktoś jednemu z tych biednych zwierząt, z pewnością niechęć, nadepnął obcasem na ogon. Lisa to już nie boli, handlarę - owszem, bardzo.

Rzeczywiście, w takim miejscu trzeba nie lada sprytu, by nie wejść komuś w szkodę. I na wąskich drózkach minąć się bezpiecznie, jednocześnie przez cały czas obserwując oferowane towary. I targować się umieć, bo to tutaj norma, wręcz tradycja, swoisty element bon tonu, a nie od razu ustępować pola, obrażać się śmiertelnie albo od tandety wyzywać.

Ludzie przychodzący na Koło to w większości starzy wyjadacze. Ale ci, którzy przybywają tutaj, ażeby handlować, a czasami nawet bywa, że nic nie uhandlować, to jeszcze większe indywidua.

- Pierwszorządna robota. Cymuś, miód, malina! - rozpływa się w komplementach fachura, podnosząc wysoko do oczu jakieś cacko: może zegarek, może monetę czy jakiś inny bibelot.

Fachura ma tłuste, rzadkie włosy, żółte palce u rąk i jest chudziuteńki jak przecinek. Ma na sobie skórzaną kamizelkę, mokasyny o zdartych obcasach, okulary w pozlepianej plastrem oprawce, w ogóle cały jego ubiór sam też może robić za zabytek. Ale to fachura przecież, spec nad spece. Wygląd nieważny. Pasja się liczy!

A już największe oryginały na Kole to sprzedawcy militariów. Zajmują jedną z alejek,

choć kilku rozłożyło swoje graty także w innych rejonach targowiska; być może nie zdążyli na czas (bo tutaj co niektórzy, głównie ci od starych mebli, miejsce zajmują już w piątek rano), a może chcieli mieć blisko do budki z ciepłym jedzeniem. W każdym razie w zaułek maniaków barwy i broni zawsze warto się zapuścić.

- Ma być dzisiaj u mnie gostek z oryginalnym mundurem niemieckiego spadochroniarza, jarzysz? - chwali się jeden, sam wyglądający jak skoczek, tylko czerwona chustka zawiązana na głowie zdradza od razu jego położenie, wszak o to przecież chodzi.

- Bundeswehra czy Wehrmacht? - interesuje się jego kompan w niemal nowej polskiej czapce zajądówce z gumowym orzełkiem, jeszcze bez korony; nie przerywa ani na chwilę zmudnej czynności polerowania długiej lufy jakiegoś karabinu.

- Z wojny ostatniej, jarzysz? Być może jakiegoś chłopaka od Skorzenego, jarzysz?

- To ten Austriak, co zrobił desant na Kretę?

- Ten sam.

Obaj z uznaniem cmokają, bo to i pewnie w istocie nie lada gratka dla zapalonego kolekcjonera wszelkiego żelastwa i szmat z ostatniej wojny.

Ogarniam wzrokiem prowizoryczne lady. Czego tu nie ma! Stare mundury, pałatki, czapki, pasy z koalicijkami, buty, kabury i ładownice. Elementy tak broni palnej, dla laika zwykle sprężynki czy kawałki metalu, jak i białej. Nawet całe, lśniące w słońcu szable - idealny prezent dla skorumpowanego polityka. Od razu przypomina mi się niedawno zasłyszany dowcip-zagadka: Czemu w dzisiejszej polskiej armii odchodzącemu na emeryturę oficerowi wręcza się taką właśnie szablę? Żeby było na starość czym w śmietnikach grzebać.

Po chwili pochylam się nad częścią stoiska, gdzie z kolei wyłożono drobnicę. Nie jest to łatwe. Tu orzełki na pelcie i bez pelty, z koroną i bez korony, tudzież gapy, niezliczone ilości plastikowych i metalowych guzików, korpusówki, odznaki wzorowego żołnierza, zwane popularnie, ale i pogardliwie „blachami”, znaczki szkół oficerskich, brązowe i złote odznaki mistrzostwa sportowego i tak dalej. Aż się w oczach mieni. Ten stół może też trochę

przypominać smutne stanowisko archeologiczne, zorganizowane w pobliżu głębokich dołów w pewnym lasku na Białorusi. Tylko że tam mało co z tej całej drobnicy błyszczało jak tutaj...

Nieco z boku stoi duże blaszane pudełko po herbacie, wypełnione epoletami z wyszywanymi bajorkiem, ale także gumowymi gwiazdkami i belkami, starymi naszywkami rodzajów wojsk w kształcie koła czy plakietkami okolicznościowymi, których to okoliczności nikt już chyba nie pamięta.

Uwagę, chyba nie tylko moją, zwraca za to czerwona, wygięta plakietka z napisem POLAND, dokładnie taka, jaką nosili żołnierze Sił Zbrojnych na Zachodzie podczas II wojny światowej. Wątpię jednak, czy naszywka jest autentyczna. To tak jak z tymi charakterystycznymi, spiczastymi czapkami bolszewickiej armii Budionnego, tymi z nausznikami i wielką czerwoną gwiazdą. Skąd ich nagle tyle? Nie ma innego wytłumaczenia jak to, że ktoś chałupniczo szyje je teraz w domu, jakby podejrzewał, ba!, był przekonany, że wkrótce mogą się przydać.

- Szuka pan czegoś konkretnego? - pyta mnie sprzedawca.

- Nie, tak tylko patrzę - wyjaśniam odrobinę zawstydzony.

- Wojna, Ludowe Wojsko, Bośnia, Irak, Afganistan? - wylicza w kolejności wszystkie grzechy śmiertelne, potrząsając pudełkiem, ale ja tylko kręcę głową.

I już prostuję się, by ruszyć dalej, gdy nagle mój wzrok przykuwa znajomy kształt. A w tym kształcie kolory też coś mi mówią. I coś szczypie mnie w oczy, może dym z papierosa, którego ogryzek kurzy ze smakiem handlarz żołnierskimi menażkami, „manierkami z gorzałczyną” i tym podobnym złomem; serce uderza mi żywiej, wyciągnięta przed siebie ręka, zrazu znieruchomiała, jak ręka nakrytego złodzieja w supermarkecie, zaczyna lekko drżeć. Ale ja nie chcę niczego ukraść. Ani nawet nie znalazłem czegoś, co mi kiedyś ukradziono. Chociaż...

- Pokazać? - oferuje się handlarz, po czym szybko sięga po całe pudełko z naszywkami.

- Nie. Nie trzeba.

- Nówka, prawdziwa okazja!

Ja jednak oddalam się bez słowa, kręcąc energicznie głową. Facet jeszcze coś mówi, ale nie słyszę jego słów, bo tuż obok odzywa się dźwięk akordeonu. Starszy mężczyzna gra najwyraźniej sobie a muzom, gdyż nie stoi przed nim blaszana puszka ani otwarty futerał z mieniącymi się na aksamitnym tle drobniakami. Może chce tylko pokazać zalety oferowanego do sprzedaży instrumentu, a może rzeczywiście tylko umiła czas sobie, sprzedającym i kupującym. Bo gra, w przeciwieństwie do cygańskich grajków tramwajowych, których w naszych miastach coraz więcej, nawet ładnie.

Melodia, której nie potrafię nadać tytułu, uspokaja mnie. Zerkam jeszcze ponad ramionami przechodniów na stoisko z militariami. Ktoś pochyla się nad pudełkiem z naszywkami tak samo jak ja przed paroma sekundami. A jednak nie. Wziął do ręki jakiś bagnet.

- Opłata? Jaka opłata?! - słyszę z całkiem bliska, jak ktoś gardłuje; to sprzedawca starych mebli, głównie krzeseł, ustawionych zapobiegliwie pod brezentową plandeką.

- Zwyczajna - odpowiada ze spokojem zbieracz opłat targowiskowych, wypisując z wprawą niewielki blankiet.

- Ale aż tyle? - jęczy boleśnie drugi z gości od krzeseł; obaj są dość młodzi i pewnie pierwszy raz próbują szczęścia na Kole.

- Jak wszyscy, według zajmowanej powierzchni - egzekutor robi okrągły gest ręką, bo chłopackowie w istocie zajęli trochę placu, i wzrusza ramionami, pewnie na znak, że sobie do kieszeni tych pieniędzy nie weźmie. - A jak pan twierdzisz, że źle policzyłem, to ci oddaję całą tę torbę - klepie się po wypchanym chlebaku, jakby bił się w piersi.

Na tym dyskusja ustaje. Ruszam w dalszą drogę, rozglądając się na boki, już jednak z coraz mniejszą uwagą. Zmysły tępieją, kolory bledną, kształty zacierają się. Słońce stoi już niemal w zenicie i przygrzewa mocno. Robi mi się coraz bardziej gorąco. Jestem teraz



najlepszym kandydatem na wyciągnięcie pieniędzy i wciśnięcie barachła. O, choćby takiego obrazka, który nie jest niczym innym jak trochę większą pocztówką, umieszczoną za szkłem i okoloną odpowiednio sfatygowanymi ramkami. Jakieś przedwojenne miasto, najprawdopodobniej niemieckie. Czerwone, gotyckie wieże kościołów, spadziste dachy domów. Na pierwszym planie most na jakiejś rzeczce, a na nim stary, śmieszny tramwaj, jeden czerwony wóz z żółtym pasem pod oknami.

Tuż obok, co jest nawet dobrym pomysłem, stoi inny obrazek. To także fotografia, przedstawiająca młodego mężczyznę, chłopaka właściwie. Chłopak ów ma na sobie mundurową bluzę z czarnymi epoletami. Szeregowiec. Mundur jest niemiecki, tak dobrze znany, jeśli nie z życia, to z filmów. I zniechęcony. Myślę sobie, że właściwie taki obrazek powinien być prezentowany na stoisku z militariami, gdzie przed chwilą byłem. Spoglądam w tamtym kierunku, ale nic nie widzę, bo akurat tłum stęzał mocno i skutecznie zasłania widoczność. Przenoszę zatem wzrok z powrotem na czarnobiałego żołnierza. I już wiem.

Wiem, że go dobrze znam.

Robi mi się gorąco. Przygryzam wargi do bólu. Uwolnione po chwili, bezwiednie i bezgłośnie składają się w słowa wypowiedziane przez brukowego marszanda:

- Cały ten dzień jakiś kiepski, jakiś taki...

\*

Śniło mu się, że ma wolne ręce i nogi. I że może biegać. Że biegnie po deszczu, rozbijając wodę w kałużach, nie bacząc na mokre buty, spodnie, zdziwienie mijających go ludzi. Lubił tak biegać. W młodości. Kiedyś była. Chwilę po tym, jak czule pożegnał się z ukochaną dziewczyną. Biegł, by zdążyć na czas.

Bo wtedy był czas: na miłość, na radość, na życie. Bo wtedy był czas i wydawało się, że nigdy, przenigdy go nie zabraknie. Że będzie jutro i ta dziewczyna. Jutro może świecić słońce, ale może i padać deszcz. Byleby oni byli ze sobą. On i ona. Ona. Jak ona miała na imię? Jak miała na imię? Nie mógł sobie przypomnieć, jak miała na imię.

To śmieszne, przecież to tak proste, że aż śmieszne. Jej imię...

Obudziło go wilgotne zimno na twarzy. Otworzył oczy, lecz niczego nie zobaczył. Czuł jednak, że nad głową ma... Tak, nie mogło być inaczej: to było niebo. Nad głową miał niebo. Najprawdziwsze niebo! Nie czuł bólu, tylko w głowie pulsujący szum. Siedział oparty o coś twardego. Spróbował się podnieść. Kajdanki na nogach i rękach, połączone łańcuchem, wciąż jednak krępowały mu ruchy. Za to wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności.

W pewnej chwili Jamal dostrzegł w oddali jakieś poruszające się cienie z latarkami. Biegły, pokrzykując coś niezrozumiale, w kierunku wielkiego kształtu, który coraz wyraźniej odznaczał się na tle blednącego i różowiejącego już nieba. Poznał od razu. Cielsko boeinga leżało bezwładne, jedno skrzydło sterczało żałośnie, uniesione w górę niczym płetwa umierającego na brzegu morza wieloryba. Z daleka dobiegł ryk syren.

Deszcz zaczął padać coraz mocniej. Pachniało wilgotną ziemią i zgniłymi dawno liśćmi. Mężczyzna wstał. Zakręciło mu się w głowie. Z tyłu namacał chropowatą korę drzewa. Jednocześnie zauważył, że jedna z bransoletek znalazła się na wysokości kostek palców. Spróbował przesunąć metal po mokrym ciele, jednocześnie zwiężając dłoń do granicy bólu. Ku jego zdumieniu zimna obręcz gładko prześliznęła się po namoczonej skórze. Po chwili to samo Jamal uczynił z drugą ręką, szybko zszedł buty i oswobodził nogi. Ze złością odrzucił łańcuchy w bok.

Tymczasem syreny były już wyraźne. Po kilku chwilach na otwartą przestrzeń, która mogła być zarówno lotniskiem, jak i rozległą łąką albo polem uprawnym, wtoczyło się kilka samochodów. Obciążone hektolitrami wody wozy bojowe straży pożarnej, dużo mniejsze karetek pogotowia i policji zbliżały się do leżącego kadłuba. Obracające się na dachach niebieskie sygnalizatory oświetlały cielsko samolotu i ścianę lasu.

Wtem potworny huk rozdarł powietrze. Gorący podmuch zakołysał koronami drzew, zmierzwił włosy człowieka, targnął więziennym uniformem. Ogromna kula ognia oświetliła okolicę. Musiały eksplodować baki z paliwem - skonstatował przytomnie Jamal. Boeing palił się. Wokół uwijały się cienie strażaków, kilka strumieni wody już skierowano na źródło ognia, ale nie mogły wiele zdziałać.

Jamal odwrócił się. Przed sobą miał litą ścianę lasu. Nagle wydało mu się, że słyszy ujadanie psów. Niewiele myśląc, ruszył przed siebie. Płomień palącego się samolotu-więzienia oświetlał pnie drzew jak harcerskie ognisko za dawnych lat. Podłużne cienie przesuwały się wraz z idącym. Niektóre wyprzedzały go, inne zostawały w tyle. Światło pożaru, w miarę jak mężczyzna zagłębiał się w mokry, rozszeptany gąszcz, coraz bardziej jednak słabło.

Aż w końcu samotny cień, brodząc po kolana w wysokiej, mokrej trawie, w lekkiej mgielce, parł przed siebie już tylko po omacku...

\*

Pora wyjaśnić jedną sprawę. Chodzi o to, że jestem człek piszący, przez złośliwych nazywany piśmiennym, choć może dobre i to. Określenie, to pierwsze, oznacza, że udaje mi się utrzymywać w życiu (choć coraz częściej można to nazwać utrzymywaniem się przy życiu, bo woda coraz to sięga ust, ty-ci-tyci...) z zapisywania słów. Kiedyś mówiło się dumnie o zaczerpieniu karek papieru, ale dziś, w dobie powszechnej komputeryzacji i Internetu, kojarzy się to raczej z ciężkim zatwardzeniem.

A zatem piszę słowa, zdania, czasami nawet całe strony. I czasami też robię coś całkowicie irracjonalnie. Moja codzienna czynność, o której wcześniej wspomniałem i pewnie jeszcze nieraz wspomnę, trochę mnie tłumaczy. Niedużo, ale zawsze. Irracjonalne tego dnia było wszystko: począwszy od śniadania, na które zjadłem dwie kromki razowego chleba i jajecznicę z jednego, bo tylko tyle mi zostało w lodówce, jaja. Potem wyjście na targ staroci na Kole, nie wiadomo właściwie po co, bo niczego ze sobą nie przyniosłem. I obiad, już trochę lepszy niż śniadanie, ale konkretny skład menu nie ma tutaj większego znaczenia, choć może kiedyś pokuszę się o napisanie jakiejś książki kucharskiej. Tylko że taką, przeznaczoną dla mieszkających w pojedynkę, ktoś ponoć ostatnio wydał. Idę zresztą o zakład, że autor tej książki ma najpewniej żonę i trójkę dzieci, a ta żona pysznie gotuje.

Postanowiłem spędzić kilka dni w rodzinnych stronach. Mimo że wiedziałem, po co i dokąd jadę, nie byłem do końca przekonany, że zabranie kluczyków auta, otworzenie nimi drzwi, wejście do gorącego wnętrza, przekręcenie kluczyka w stacyjce, zapięcie pasów bezpieczeństwa to najwłaściwsze posunięcia. Mimo iż wszystko było dokładnie obliczone:

trasa, czas, nawet benzyna w baku, nie byłem pewien swego.

Nie będę ukrywał: jestem gość sentymentalny. Często popadam w melancholię, a także uparcie gloryfikuję przeszłość, zupełnie jak ten stary pierdoła siedzący na ławeczce przed blokiem, co to dłubie w nosie i mówi, że kiedyś wszystko było lepsze. A poza tym uważam siebie za raczej zrównoważonego faceta. Niesionej szklanki z gorącą herbatą nie wypuszczę widowiskowo z ręki na wieść straszną i niespodziewaną, tylko spokojnie doniosę i postawię na stole, najwyżej roniąc kilka kropel. Nie schylę się po leżącą na schodach drobną monetę, gdy schodzę na stację metra, a za mną prze tyraliera spieszących się jak co rano do pracy ludzi.

Ale oto z bijącym mocno sercem wyjeżdżam z miasta. Zwykle czuję się podobnie, gdy doń wjeżdżam, a nie odwrotnie. Widzę od tak dawna wyczekiwaną tablicę z nazwą, zdejmuję nogę z gazu. I gdy za chwilę czeka mnie jakieś spotkanie, przykre lub miłe. Ale teraz, jak mówię, zabudowa rzędzie, ruch też. Mogę przyspieszyć, więc wrzucam piąty bieg i mocniej naciskam pedał gazu.

Jest już wieczór. Samochód co chwilę wpada w kłębowisko mgły i równie szybko udaje mu się z niego wyprysnąć. Dzieje się tak z reguły wtedy, gdy zjeżdżam w dół, w miejsca, gdzie szosa przecina się z kanałem, rzeczką bądź biegnie wzdłuż brzegu jeziora. Od kilkudziesięciu minut pojazd mój jedzie bowiem przez lasy, rozpoczynające się tuż za równiną Mazowska i Kurpi.

Znajome tabliczki z nazwami, uśpione domostwa i szczekające czujnie psy podwórkowe migocą tylko w bocznych szybach auta. Opony syczą, przecinając kałuże, trzeszczą, ścinając pobocze, gdy z przeciwka widać zbliżające się światła, szosa wszak coraz węższa, coraz gorzej utrzymana. Mimo że jest już późna pora, w ogóle nie czuję zmęczenia. Co więcej, po całym tym dziwnym dniu czynność prowadzenia samochodu niesie mi wyraźną ulgę. Mijane wsie i miasta zapadają się w ciemność. Łagodnie wchodzę w zakręty, przyspieszam i zwalniam, z radością zmieniam biegi, jakbym siedział za kółkiem po raz pierwszy w życiu. Pęd powietrza i drzenie pojazdu niesie spokój.

Dzień gaśnie. Szosa jest już w bardzo kiepskim stanie, pełna dziur i wąska, toteż muszę skupić uwagę na prowadzeniu samochodu. Tydzień się skończył, więc można się

spodziewać podchmielonych rowerzystów czy grupek zmierzającej na wiejską dyskotekę młodzieży. Nie mówiąc już o zwierzętach leśnych i domowych.

Od samego początku słucham radia, choć szybko zniechęcam się do każdej kolejnej stacji, a tych jest coraz mniej. Jakoś nic nie jest mnie w stanie zadowolić. Co chwila gaszę odbiornik, by po kilkunastu minutach znów go włączyć. Dopiero piosenka z lat osiemdziesiątych wprawia mnie w tęskne rozrzewnienie. Ale kończy się i puszczają hip-hop, a tego już nie jestem w stanie znieść. Wyciągam rękę, by wyłączyć radio. Palec nie natrafia jednak na przycisk. Opuszczam wzrok i ponawiam próbę...

W tym momencie auto wpada w wiraż. Błyskawicznie naciskam na hamulec. Siła odśrodkowa rzuca jednak pojazd na bok. Koła łapią pobocze. Chrobot żwiru. Jakiś cień przemyka tuż przed maską. Coś głucho wali o karoserię...

Duszne przerażenie ściska mi klatkę piersiową, rzuca na twarz niewidzialną, mokrą i gorącą szmatę. Zimny dreszcz batem przez plecy. Zatrzymuję się na poboczu.

- No, to narobiłem - huczy mi w uszach jakiś głos, choć przecież radio udało mi się w końcu wyłączyć.

Wyłączam też silnik, zostawiając jednak zapalone światła mijania. Na przedniej szybie momentalnie pojawiają się okrągłe liszaje. Wiem, że powinienem wysiąść. Wiem też, że się boję. Boję się jak jasna cholera. Stoję zupełnie sam, w lesie, wokół zadnych świateł, to i nie dziwota. Nikt też nie mógł mnie widzieć. Nikt oprócz...

Wreszcie otwieram drzwi i wychodzę z samochodu. Cisza jest totalna, żadnych złorzeczeń, żadnego rżenia rannego, wołania o pomoc, o uśmierzenie bólu, nic. Nawet świerszcze i żaby wyniosły się stąd albo zaniemówiły nagle, bo oto znów homo homini gotuje smutny los. Choć wciąż jest niby sapiens. Robię dwa kroki wzdłuż auta, potem jeszcze jeden.

Żwir pobocza chrzęści pod podeszwami butów, ale ja słyszę go tak, jak słyszy się ziarenka piasku, które dostały się między zęby.

- Halo! - wołam i słyszę się, jakbym był w doskonale wygłuszonym radiowym studiu.

Niczego nie widzę. Nie ma też szans, żebym mógł przeszukać rów, który ciągnie się wzdłuż szosy. Już chcę wrócić, gdy w czerwonej poświacie tylnych świateł, kilka metrów za samochodem dostrzegam wyraźny podłużny kształt.

Człowiek. Rusza się. Powoli idzie. Idzie w moją stronę...

- Halo! Nic się panu nie stało? - wołam znów przez ściśnięte strachem gardło.

Tamten jednak nie odzywa się.

Ja go nie zabiłem, więc teraz on mnie... - myślę sobie i szybko tego żałuję, gdyż swój wewnętrzny głos słyszę teraz spotęgowany i huczący; nie jestem nawet pewien, czy i on go nie usłyszał...

Zaczynam się cofać.

- Co? - odzywa się naraz tamten, nieco bełkotliwie, jakby ktoś wyrwał go gwałtownie z głębokiego snu. - Co się stało?!

Jest już blisko. Idzie lekkim skosem, jakby był pijany. Pewnie i jest, bo to święta sobota. Mężczyzna powoli wchodzi w krąg czerwonej poświaty, która w całkowitej ciemności w zupełności wystarcza, by można było zobaczyć, co się nawyprawiało.

Staje jakiś metr przede mną. Nie czuję jednak wódki. Mimo to ten człowiek wygląda okropnie. Kuleje, z głowy cieknie mu krew. Ma na sobie czarny sweter i także buty bez połysku. Niebieskie dzinsy. To wszystko. Średni wzrost, krótkie włosy, twarz... Jego twarz... Patrzę na nią i wiem, że ją skądś znam.

- Cholera - klnie naraz intruz, choć dzieci bluzgają gorzej; opuszcza nieco zakrwawioną głowę i obie jego ręce gwałtownie opadają na klapę bagażnika mojego samochodu.

Ciężko przetykam ślinę. Słyszałem już o takich przypadkach. Niektórzy moi znajomi

zaczęli nawet wozić ze sobą kije baseballowe. A ja nie mam pod ręką nic - ani lewarka, ani blokady kierownicy. Nawet klucza. Nie spojrzałem nawet, jak wygląda przód wozu. Ale zaraz zobaczę, jak będzie wyglądał jego tył. A wiedziałem, od początku czułem, że coś się jednak wydarzy.

- Ty - woła znów tamten, nie zmieniając pozycji, której ponoć wymagają amerykańskie przepisy od kierowcy rewidowanego przez policjanta.

- Bardzo pana przepraszam... - próbuję przybrać pewny, oficjalny ton; gościowi najwyraźniej nic nie jest i myślę, że chyba można zacząć się ewakuować.

- Ty - rzuca znów facet, ale już jakoś łagodniej.

- No co?

Cisza. Słyszeć tylko przyspieszony oddech nieznajomego znajomego. Dopiero teraz zauważam, że on patrzy na mnie. Od dołu, bo wciąż się pochyla, ale przenikliwym, trzeźwym spojrzeniem.

- Jesteś Bem? - pyta po chwili.

Robi mi się jakoś ciepło. Jak na dźwięk swojego nazwiska, które wyczytywał kiedyś z dziennika surowy nauczyciel, choć jednak trochę inaczej. Żadnego belfra gość też mi nie przypomina, ale nazwisko, owszem, jest moje...

- Tak - potwierdzam niegłośno.

- Nie poznajesz mnie?

Teraz to już robi mi się gorąco. Ale wciąż nic nie odpowiadam.

- Nie poznajesz...

Chcę coś powiedzieć, bo jakoś czuję, że wypada. On jednak po raz kolejny jest

szybszy.

- Prycza w pryczę, prawie cztery lata - śmieje się cicho. - Piotr.

Prostuje tułów i odwraca głowę w moją stronę. Silnik samochodu pracuje miarowo, ale co chwila z rury wydechowej coś prycha. Nie wiadomo czemu, właśnie wokół tego zjawiska zaczynają teraz krążyć moje myśli. Przekonanie, że przecież przed chwilą przekręciłem kluczyk w stacyjce, szybko przestaje być cokolwiek warte.

- Jasne - odczuwam jakby nagłe olśnienie. - Jasne, że tak. Poznaję cię!

- Ja też nie byłem pewien.

- Co tu robisz? Nic ci nie jest?

- Bywało lepiej - odpowiada, krzywiąc się w uśmiechu.

- To ja cię tak urządziłem? - pytam niepewnie.

- Nie. To wcześniej - jęczy on, po czym przysiada na tylnym zderzaku, dysząc ciężko.

- Chyba trzeba coś z tobą zrobić - mówię po dłuższej chwili.

Kiwa głową. Próbuje się nawet uśmiechnąć.

- Pewnie. Zróbmy coś.

Po kilku chwilach jedziemy dalej razem. Zupełnie jakby nic się nie stało. To, póki co, najlepsze, co można zrobić.

- Dokąd jechałeś? - pyta mnie Piotr.

- Będziesz się śmiał...



Ale on już nie chce wiedzieć. Pewnie mu i nie do śmiechu.

- Stawiam świat na głowie do góry nogami. Na odwrót i wspan bawię się słowami. Na białym, czarnym kreślę jakieś plany. Jutro będę duży, dzisiaj jestem mały... - dobiegają z radia słowa przeboju sprzed lat.

- Wreszcie coś porządnego - mówię, zerkając we wstecznym lusterku na Piotra, który pólleży na tylnym siedzeniu.

- Co? - ten jakby znów wybudza się z letargu.

- Zaraz będzie miasto. Pojedziemy na pogotowie.

- Na pogotowie? - mruczy niechętnie.

- A co? Przecież trzeba cię opatryć. Wiem, w starych gangsterskich filmach jechało się raczej do weterynarza. Kurcze, nikt by mi w to nie uwierzył...

Patrzę znów we wsteczne lusterko. Spodziewam się ujrzeć uśmiech na twarzy mojego starego szkolnego kolegi, jako potwierdzenie żartu, jednak zamiast tego widzę tylko grymas. Nieodespanego kaca? Wysiłku? Bólu?

- Ale żeś się, stary, zaprawił. Jakaś impreza była, co? - pytam po chwili.

- Coś w tym rodzaju - odpowiada ranny.

- Nie widzieliśmy się tyle lat. Ledwo cię poznałem.

- A ja ciebie od razu.

Milkniemy obaj. Po bokach migoczą światła. Znam dobrze tę miejscowość, więc od razu i bez pytania o drogę zmierzam do szpitala. Wkrótce zatrzymujemy się przed podjazdem dla karettek. Pomagam wysiąść poszkodowanemu, po czym dokładnie zamykam wóz.

Kierujemy się ku oświetlonemu wejściu. Wnętrze śmierdzi jakimś środkiem dezynfekcyjnym.

- Z wypadku? - pyta nas ładna pielęgniarka, gdy wchodzimy nieco głębiej.

- Nie - odpowiadam. - Jakiś większy wypadek był? Drogowy?

- Nie. Samolot rozbił się podczas podchodzenia do lądowania. Słyszeliśmy w radiu - mówi siostra. - Ale jeszcze nikogo do nas nie przywieźli...

Piotr mamrocze coś niezrozumiale. Siostra ogarnia nas podejrzliwym spojrzeniem.

- Proszę usiąść i chwilę poczekać - mówi wreszcie bardzo oficjalnym tonem. - Zaraz przyjmie panów lekarz.

Kuśtykamy w stronę rzędu białych krzeseł, ustawionych pod ścianą, na której powieszono plakaty z kolorowymi obrazkami i hasłami: MYJ ZĘBY DWA RAZY DZIENNIE albo BŁONICA WCIAŻ GROŻNA.

- Nie widzieliśmy się tyle lat - odzywam się po chwili.

- Już to mówiłeś.

- A tak, rzeczywiście...

Lampy jarzeniowe, które oświetlają poczekalnię izby przyjęć szpitala, buczą jednostajnie. O sufit obijają się komary. Z pomieszczenia, w którym siedzi pielęgniarka, przez oszklone okienko dobiegają nas strzępy jakichś głosów, dochodzące prawdopodobnie z radia.

Dopiero teraz mogę dokładniej przyjrzeć się dawno niewidzianemu znajomemu. Zupełnie się nie zmienił. Nieogolony, wyświechtany - wygląda, jakby w istocie ostro balował. I to przez kilka dni i nocy. Krew na skroni zakrzepła i przybrała barwę brązową.

- Czy pamiętasz, jaki kolor miały lamperie w naszej szkole? - pyta naraz Piotr, patrząc

nieruchomo przed siebie.

- Lamperie? - dziwię się.

- Tak.

- Zawsze się mówiło: zapier... - ucinam nie wiadomo czemu, ale on bez skrępowania dokańcza stare i nieprzyzwoite powiedzenie:

- Zapierdalać jak pershing na wysokości lamperii.

Spłoszony nieco, patrzę, czy przekleństwo nie zdenerwowało siostrzyczki, Piotr jednak jakby się tym zupełnie nie przejmował.

- A teraz za cholere nie mogę sobie przypomnieć ich koloru - ciągnie ze spokojem. - A ty? Pamiętasz?

- Czasami mam trudności z przypomnieniem sobie, co było wczoraj - śmieję się.

- Pamiętasz naszą szkołę?

- Czegoś takiego się nie zapomina.

- A internat?

- To przecież właściwie jedno i to samo.

- Właściwie tak.

- Niby nic takiego, szkoła jak szkoła.

- Niby nic.

Z okienka dobiega fragment melodii. Znów znajomo rzewnej, jakby jakiegoś didżeja

albo kilku naraz wzięło na wspominki. Lub nagle wszyscy się pochorowali i w zastępstwie przysłali do rozgłośni swoich rodziców. Piotr podnosi głowę. Słucha z napiętą uwagą. Po chwili szklą mu się oczy. Zawstydzony, szybko odwraca twarz...

## ROK PIERWSZY

- Opowiadaj.

- Ja chyba jednak mało co pamiętam.

- Pamiętasz bardzo dobrze. Kto, jak nie ty?

- Przecież to już tyle lat.

- Pamiętasz, pamiętasz. Mów wreszcie!

Pamiętam? Może tyle, że wieczór był ciepły i wyjątkowo cichy. Z pobliskiej łąki albo trawiastych stoków rozciągających się za ogrodzeniem szkoły i internatu dochodził jedynie szmer koników polnych czy innego ukrytego za dnia robactwa. Miarowy, jakby był dziełem najprawdziwszej orkiestry, gimnastykującej się w pocie czoła na koniec upalnego letniego dnia pod okiem surowego dyrygenta, przegieętego w krzyżu, ale dość jeszcze żywego starca.

Finał i wezwanie na spoczynek. Choć równie dobrze mógł nim być w tym czasie również dochodzący z otwartych okien domów sygnał Dziennika Telewizyjnego, a po nim suchy, monotony głos lektora, donoszącego, że znów nam się udało na froncie odnowy, że partia liczy na zrozumienie, jednoczy się i tak dalej. Albo wcale przyjemny głosik dopiero co rozbłyśłej gwiazdki estrady, przekonującej, że przecież nie ma się czym przejmować, bo mamy po dwadzieścia lat...

- A my nawet tyle nie mieliśmy!

- Nie przerywaj! Mam mówić dalej?

- Tak, mów. Przecież pamiętasz.

Pamiętam? Pamiętam bardzo dobrze słońce tego wieczora. Coraz niżej pochylało się nad jeziorem, a niebo między porastającymi brzeg drzewami przypominało swoją barwą...

- Krew!

Bez przesady... Zwyczajnie różowiało, może już nawet czerwienilo się.

- Jak każdy z nas w tych dniach na dźwięk swojego nazwiska.

- A to dobre!

Zbliżał się wieczór. Czas powrotów do domów. Nie pierwszy to raz, nie ostatni - pomyślałoby wielu podobnych do nas. Nastolatków. I poszliby sobie, nie przejmując się niczym, na jeszcze jeden wieczorny spacer, który miał duże szanse przerodzić się w nocną eskapadę.

Żeby tak można było pójść sobie jak gdyby nigdy nic, jak jeszcze tydzień temu, jak wczoraj. Nad rzekę, na Stare Miasto z pasażem, wzdłuż którego usadowili się uliczni grajkowie, czy na brzeg morza, znad którego powoli zaczęli składać swoje kramy handlarze bursztynowymi naszyjnikami i właściciele prowizorycznych smaźalni ryb, jeszcze przed tygodniem obleganych przez tabuny wczasowiczów. Bo przecież zarówno sierpień, jak i całe wakacje kończyły się nieuchronnie.

Pamiętam?

\*

- Kurwa mać! - zaklął któryś szkaradnie i splunął pod nogi. - Ile to może trwać?!

- Kolejka jak po mięso.

- A masz może jeszcze kawałek tej kiełbasy z kolacji?

- Pytałeś pięć minut temu.

- Nie dość, że kazali nam przyjechać jeszcze w sierpniu, to każą nam stać w kolejkach

- dorzucił swoje czarniawy chłopak, ostrzyżony na języka, ale o dość długich włosach.

- Ktoś cię zmuszał? - dobiegło gdzieś z boku; nie było widać autora tych słów.

Któryś zaśmiał się głupkowato, inny rozejrzał się z trwogą dookoła, jakby spodziewał się uderzenia albo co najmniej ostrej reprymendy, poprzedzonej niezbyt głośnym, ale i tak wzbudzającym trwogę krzykiem.

Nic z tych rzeczy jednak nie nastąpiło. Tylko znów ta cisza.

Kolejka poruszyła się niespokojnie, by po chwili znów znieruchomieć, jak legwan chwilę po zjedzeniu muchy. Jakaś spora, sądząc po głosach, grupka roześmianych dziewcząt przechodziła wzdłuż ogrodzenia w stronę miasta.

- Dupki, dupeczki! - zawołał chłopak słusznej postury i o niezłym bicepsie, z czym kontrastowała niewinna twarzyczka szkolnego prymusa; wykonał przy tym ruch, jakby gotował się do skoku. - Poczekajcie...

- Już lecą - zaśmiał się stojący z tyłu niepozorny, chudy, z zakrzywionym nosem, którego dodatkowo charakteryzowało drobienie w miejscu.

- Co się dziwicie chłopakowi - odezwał się niewysoki blondyn, którego imienia również nie zdążyłem poznać. - Może nie miał farta w wakacje, każdemu się zdarza.

- A my tu za płotem, jak te małpy w zoo, a tam cipki stygną - dobiegło z przodu kolejki, na co wszyscy tylko cicho, ale jak jeden westchnęli.

No! Taki spacer wieczorny. Z dziewczyną. Sama radość. Może jeszcze nie ostatni raz, choć jesień coraz to dawała o sobie znać chłodniejszym wieczornym powiewem od jeziora i lasu, a nad ranem może już nawet pierwszą, cienką jeszcze warstewką szronu na parapetach, dachach małych i dużych fiatów czy kątownikach ogrodzenia szkół, w kierunku których coraz więcej par oczu popatrywało z coraz większą niechęcią, a może przeciwnie - ciekawością i nadzieją.

- Idę do nich! - krzyknął ten z bicipsem, wychodząc z kolejki, ale tylko jedną nogą.

- Akurat - drwił nadal drobiący w miejscu.

- Myślisz, że nie przeskoczę przez ten płot jebany?

- Tak samo jak dwa miesiące temu, na egzaminach, mówiłeś, że wyskoczyć po flaszkę do miasta, to dla ciebie pikuś.

- Nie pamiętam cię z egzaminów.

- Za to ja cię kojarzę. To jak to z tą flaszką było?

- Tam stali wartownicy z kałachami. Kadeci ze szkoły. Jeszcze mi życie miłe.

- Jasne. Ale tutaj tylko dziadek cieć na bramie, więc o co chodzi? Leć!

- Sam wiem, co mam robić.

- Taki płotek, w dodatku bez drutu kolczastego - nie przestawał prowokować drobiący w miejscu. - Nawet dwóch metrów nie ma. Dziecko by przeskoczyło.

- A chcesz w ryło? - zdenerwował się „biceps”.

- Ciszej tam, do cholery! - dobiegł nas wyraźny, schrypnięty głos magazyniera, dość ponurego typu dobrze po pięćdziesiątce, który pewnie na co dzień wystawał w takich samych, a może i dłuższych kolejkach po mięso czy poranną gazetę. Ale teraz to on był panem naszego czasu.

Kolejka znów się poruszyła. Spojrzeliśmy ku przodowi ogonka, który kończył się, a raczej chyba zaczynał przy starym poniemieckim, piętrowym budynku z czerwonej cegły, w którym mieścił się magazyn. Z nadzieją spojrzeliśmy. Jedni zrobili to, stając na palcach, inni wystawiając głowy na boki, a niektórzy zupełnie bez wysiłku.



Z lewej strony przeszło dwóch chłopaków objuczonych foliowymi workami. Mimo to pryszczate gębusie śmiały im się od ucha do ucha. Szczęśliwcy. Tyle godzin czekania. Na głowy włożyli sobie granatowe rogatywki z wężykiem wyszywanym srebrnym bajorkiem w miejscu paska; w rękach nieśli po parze czarnych pantofli, z których wystawały drewniane prawidła.

- Ale obciach te galowe czapki - ocenił skrzekliwym głosem ktoś ze stojących z przodu.

- Gównu się znasz - zripostował ktoś budzącym posłuch basem.

Znów krok do przodu. Zaczynały mnie boleć nogi. Usiadłem na wysokim krawężniku.

- Portki sobie upaprzesz - zauważył „drobiący”.

- Czemu? - zdziwiłem się, unosząc tyłek.

- Krawężniki są pomalowane wapnem.

- Wapnem?

- Jak w każdej jednostce. Równiuszko ma być!

Potarłem dłonią zimny beton. Na skórze rzeczywiście zostało trochę białego proszku.

- A trawę na zielono malują - zaśmiał się niewysoki blondyn, ten, którego imienia wciąż jeszcze nie zdążyłem poznać.

Od razu przyłączyli się do niego następni; również nie znałem ich imion ani nawet przydomków. Dotychczas szeptali tylko w parach lub co najwyżej w trójkach, przestępowali z nogi na nogę, jakby dokuczał im pełny pęcherz, lub tylko spluwali na boki, popatrując tęsknym wzrokiem w kierunku płotu albo stołówki. Ale było już dobrze po kolacji.

- Ja słyszałem, że kible myje się sznurowadłem.

- A boisko szczoteczką do zębów.
- Ciekawe, co nam każą dziś wieczorem robić.
- Pewnie jakiś nocny marsz.
- Do kibla i z powrotem.
- Może czołgać się?
- Albo pompki trzaskać.
- Ja to pięćdziesiąt z palcem w dupie zrobię.
- To chyba na jednej ręce. Nie dasz rady.

Zarechotało zdrowo z pół kolejki.

- Wiecie, czemu nad bramą do każdej jednostki wojskowej jest napis WOJSKO POLSKIE? - zapytał „drobiący”, na co kilku z nas tylko wzruszyło ramionami, nastawiając jednocześnie uszu. No bo jak to po co? Radzieckie, amerykańskie? Wiadomo, że polskie!

- Żeby ktoś z cyrkiem nie pomylił - prychnął drobiący chudzielec.

Zaśmialiśmy się. Zbiorowo i krótko. Po wojskowemu.

- Ciszej tam z tyłu, do ciężkiej cholery! - wrzasnął znów magazynier.

Poskutkowało. Na chwilę. Chyba nawet te świerszcze z pobliskiej łączki ucichły stropione, a może tylko nam się zdawało. W każdym razie szum rozmów, chrząknięć, pomruków i splunięć znów uniósł się nad naszą kolejką.

- A wiecie, gdzie zaczyna się wojsko? - zadał z kolei swoją zagadkę udobruchany

„biceps”, po czym zawiesił głos dla lepszego efektu.

- Nie - odpowiedziało kilku z nas niemal jednocześnie.

- Tam, gdzie kończy się rozsądek i zdrowe myślenie.

- Ktoś cię zmuszał? - dobiegło znów gdzieś z boku; i znów nie było widać, który z chłopaków to powiedział...

Nie. Nikt nas nie zmuszał.

Bramę dopiero co otwieranego Ogólnokształcącego Liceum Wojskowego w wojewódzkim mieście, bramę czwartej tego typu szkoły w kraju, przekroczyliśmy z własnej i nieprzymuszonej woli. Poprzedniego popołudnia i wieczora. Odprawdzani przez rodziców, dzielnie powstrzymujących łzy, dziewczyny, jeśli który miał, albo kolegów, którzy mogli cieszyć się jeszcze kilkoma dniami wakacji. A może po cichu nam zazdrościli? Cholera ich wie...

Przywożeni samochodami, pociągami, autobusami albo przynoszeni przez własne nogi, wszak wielu z nas mieszkało w tym mieście od urodzenia, przekraczaliśmy bramę byłej, odnowionej jednostki wojskowej, położonej jak inne na skraju miasta, nad jeziorem i w pobliżu miejskiego lasu. Już za parę dni miał się tu rozlec pierwszy szkolny dzwonek.

Ot, niby nic takiego...

- Liceum jak każde, tylko bez babek. Mniej będziecie walić konia, to i zdrowsi będziecie! - tu następował zwykle koński śmiech na granicy torsji i przyjacielskie poklepywanie po plecach.

- No bo przecież w takiej samochodówce, kolejówce czy jakimś innym technikum elektrycznym też same ptysie i bale samców, że do klasy wejść się nie da, bo capi potem, fajkami i niepranymi skarpetami - przekonywali nas koledzy z podstawówki czy podwórka, a może to my sami dodawaliśmy sobie otuchy?

- Ogólnokształcące i jednocześnie wojskowe? To jakiś kit! Albo, albo. Jak wojskowe, to przecież nie ogólnokształcące. Tak jak jest liceum pocztowe czy jakieś zawodowe - mądrzyły się, trącając się przy tym znacząco łokciami, inne podwórkowe omnibusy.

Na początku była portiernia: pomalowany na żółto i pokryty brązowym eternitem budynek z dużymi szybami i automatem telefonicznym. Ze ściany zapomniano zdjąć blaszaną tabliczkę z napisem BIURO PRZEPUSTEK, a ze środka wywietrzyć charakterystyczny smrodek. Zresztą coś w rodzaju przepustki, opieczetowanego druczku z własnym imieniem i nazwiskiem, będącego również i biletem na pociąg, każdy z nas w wyciągniętej, spoconej dłoni trzymał.

Obok portierni znajdowała się brama ze szlabanem. Emeryt na tejże placówce, z wprawą byłego oficera informacji wojskowej lub dzielnicowego, bez podnoszenia się z miejsca, przyglądał się okazywanym mu kwitkom.

- W porządku - mówił lekko bełkotliwie. - Teraz zgłoscie się do kierownika internatu. Prosto trza iść i w prawo, a potem w lewo - machnął ręką w powietrzu, zainteresowany już bardziej prognozą pogody po Dzienniku, który oglądał w małym czarno-białym telewizorku.

Internat. Ładny nawet, świeżo otynkowany i pomalowany także na żółto budynek, otoczony jakimś zielskiem, kilkoma karłowatymi świerczkami. W kilku otwartych oknach kudłate głowy pierwszych skazańców.

- W porządku - powiedział siedzący na recepcji oficer w mundurze podpułkownika wojsk lądowych, mężczyzna o ogorzałej, postarzałej twarzy, przypominający dobrotliwego niepiśmiennego hodowcę owiec.

On właśnie okazał się być tu gospodarzem, czyli kierownikiem internatu, czyli taką naszą babcią na pensji, która ciągle powtarza: myć się, dziewczynki, pod kołdrę wskakiwać i chłopców nie przyjmować. Tak, był nawet sympatyczny. Mimo to stałem wyprostowany. Z duszą na ramieniu i plecakiem na drugim.

- Klasa I B, z językiem angielskim - zaordynował, wpisując moje nazwisko do jakichś dokumentów.

- Ale ja się niemieckiego uczyłem. Trzy lata prawie... - bąknąłem niewyraźnie.

W tej samej chwili zmroził mnie dreszcz przerażenia. Że też, durna pało, języka na wodzy trzymać nie potrafisz! Wrodzona wada wpięprzania się ze swoim „ale” w najmniej oczekiwanym momencie. Po cholere się odzywasz? Podpadziocha jak nic. I to już pierwszego dnia.

Popatrzył na mnie zmęczonym wzrokiem. Pewnie przyjmował już tego dnia któregoś z kolei takiego gagatka. Za mną ustawiła się już spora kolejka nie mniej przerażonych rówieśników.

- W takim razie klasa I C, z językiem niemieckim - powiedział, po czym znów coś zapisał, przekreślił, parafował. - Pokój 207 na drugim piętrze. Następny.

Wykończone drewnem schody lekko skrzypiały, wokół w ogóle pachniało drewnem, farbą, gumoleum, jakimś środkiem dezynfekcyjnym. No i nowością. Zewsząd dochodziło trzaskanie drzwiami, chlapiące głosy, jakieś nawoływania. Nawet śmiech.

W moim pokoju był już jeden.

- Karol jestem. Sulik.

- Krzysztof.

Poznaliśmy się sucho. Kilka zdawkowych informacji, skąd i czy dziewczyna będzie tęsknić. Na razie bez trudnych pytań, w rodzaju „po co” i „dlaczego”. Wybrałem sobie pryczę pod ścianą, najbliżej drzwi. W ciągu następnej godziny był już cały skład: w przypadku pokoju 207 - cztery osoby.

- Czterech pancernych - zażartował ten, co się pojawił jako trzeci, chudy chłopak o długim nosie. - Tylko psa szukać.

- Jak w ruskim czołgu, to my tu przechlapane będziemy mieli - oceniłem.

- A mi tam nie zależy - skrzywił się kolega Karolek.

- No co ty? Po takiej nerwówce na egzaminach? - zdziwiliśmy się z chudym o długim nosie.

- Ja się do dwóch liceów dostałem...

Dalsza rozmowa niezbyt się kleiła. Każdy jeszcze trochę dziki, z bagażem wyniesionych z rodzinnego domu przyzwyczajęń, może już zaczynał tęsknić za mamusią albo nawet żałować, na razie po cichu, życiowej, bo tak ją można było już chyba traktować, decyzji.

- Może magnet włączyć? - zapalił się znów ten chudy.

- Masz?

- Grundiga.

- A ten głośnik nad drzwiami nie działa? - odezwał się Tadeusz Piskor, czwarty z nas, wysoki, z kręconymi włosami; było to zresztą pierwsze całe zdanie, jakie tego wieczora wypowiedział.

- Nie wiem - bąknąłem. - Wstańcie i sprawdźcie.

Ale nikt się nie ruszył ze swojej pryczy. Dalej więc leżeliśmy tak sobie na kraciastych kocykach, na żołnierskich, metalowych łózkach, z rękami splecionymi za głowami. Leżeliśmy i patrzyliśmy w sufit, trochę za okna, gdzie powoli gasł sierpniowy dzień. No i przede wszystkim podziwialiśmy dobra, jakimi ludowa armia i ojczyzna robotników i chłopów miała nas za darmo i na długo obdarzyć, a właściwie to już przecież obdarzyła.

A mianowicie: biurczkiem młodzieżowym z mogącymi pomieścić wiele książek i uczniowskich drobiazgów szufladkami, półeczkami, przegródkami, szklaną miniwitrynką, gdzie można było z powodzeniem umieścić fotografię dziewczyny, pocztówkę z wakacji lub

święty obrazek, a nawet maluszkim sejfikiem zamykanym na kluczyk, który zresztą otrzymałem od przybyłego wcześniej kolegi (wszystkie cztery schował do kieszeni, taki zapobiegliwy!). Cały mebelek był w kolorze jasny beż, okleinka jak ta lala.

Obok stał takiego samego koloru słupek szerokości około pięćdziesięciu centymetrów, z wieszakami i nadstawką na pomniejsze części garderoby. Na biurku regulowana, blaszana lampka do czytania, obok krzeselko twarde, ale własne. Wszystko pachnące jeszcze fabryką czy meblowym składem. I, co najważniejsze, cztery takie komplety w czterech kątach izby, obok łóżek. A nas czterech.

- Mydło! Mydło rozdają! - dobiegł nas czyjś wrzask z korytarza.

Niemal jednocześnie zerwaliśmy się na równe nogi. Każdy tylko popatrzył na drugiego. A jednak nam zależy. Jak cholera. Nawet na głupim mydle.

Wyszliśmy na długi, wąski korytarz. W jednej chwili zaroilo się od chłopactwa: wysokich i niskich, grubych i chudych, przygarbionych i wyprostowanych jak struna, blondynów i czarniawych, przyczajonych i wygadanych, wyglądających na swój wiek i młodszych, już wąsatych i jeszcze przeżywających męki trądziku młodzieńczego. Albo obdarzonych jednym i drugim równocześnie.

W jednym z pomieszczeń gospodarczych na parterze internatu, gdzie starszy mężczyzna przydzielał środki czystości, zastaliśmy wcale sporą i rozgadaną kolejkę. Ale dość szybko szło. Magazynier przydzielał każdemu z nas po kostce śmierdzącego szarego mydła marki Junak, małej tubce miętowej pasty do zębów nivea i ordynarnej szczoteczce do zębów, a także po pudełku czarnej pasty do butów. Do tego gustowne flanelowe wdzianko nocne, czyli piżamka: używany powszechnie w szpitalach resortowych i więzieniach biało-niebieski pasiak, zapinana z przodu bluza z trzema kieszeniami oraz porcięta dość luźne, szerokie i niemodne, wszak wciąż panował styl punk, ale na miasto to i tak przecież nikt w tym wychodził nie będzie.

- Oświęcim wita was - zanucił któryś, powodując wybuch śmiechu reszty, na co magazynier czujnie podniósł wzrok, błyskając gniewnie szklami okularów, ale w żaden sposób nie skomentował tego skojarzenia.

Całości podstawowego wyposażenia każdego czyściocha dopełniał biały ręczniczek, szmatka raczej, z tłoczonymi inicjałami WP, co od razu rozszyfrowaliśmy jako... West Point, i drugi, frotte, kolorowy. Biały do nóg, kolorowy zaś do rąk i buźki. Tak się nam przynajmniej wtedy wydawało, choć potem oba te sorty znajdowały bardzo szerokie zastosowanie.

Szybko wróciliśmy do swoich pokoi. Niektórzy postanowili wypróbować od razu zdobycze rodzimego przemysłu chemicznego, wszak zbliżała się już noc i należało powoli zacząć myśleć o udaniu się na spoczynek.

W łazience, gdzie na dwóch ścianach umieszczono umywalki, czuć było chlorem i pastą do zębów, przy pomocy której zresztą ktoś już zdążył napisać na lustrze słowo MON... Nie wiedziałem, czy autor wychwalał swoją dziewczynę i został przyłapany na tej czynności, przez co nie zdążył ogłosić światu, że chodzi o jakąś Monikę, czy też dziękował w ten osobliwy sposób właściwemu ministerstwu za obdarzenie go szczęściem odrobinę chyba ponad miarę. W głębi łazienki szumiała woda w natryskach i dochodził przebój mijających wakacji:

- Nasza love tak się kręci jak maxi... maxisingiel krótko trwa! - fałszował ktoś wściekle i nie było wiadomo, czy ta jego wymarzona love w istocie się kręci, czy tylko przesuwana w tę i nazad pod letnią wodą.

Gdy wróciłem do swojego pokoju, reszta już leżała w łóżkach. Przykryci po nosy, rączki już grzecznie na kołdrze. Wszyscy w jednakowych piżamkach w paski wyglądaliśmy rzeczywiście trochę smutno, a może nawet przerażająco.

- Rzeczywiście, wyglądamy, jakbyśmy w jakimś obozie siedzieli - zażartował któryś. - Tylko czekać na kapo.

Jakby w odpowiedzi skrzypnęła klamka w drzwiach, które ktoś następnie lekko uchylił.

- No i wykrakałeś - zaśmiałem się.



- Się puka, jak się wchodzi! - krzyknął na niewidocznego jeszcze intruza Karol, ten pierwszy, który zasiedlił naszą izbę. - Nie wychowali cię w domu?

Drzwi naszego pokoju uchyliły się szerzej i ukazała się w nich głowa oficera w czapce z czterema gwiazdkami.

- O, cholera... - jęknął chłopak, po czym zakrył sobie twarz kołdrą.

Kapitan wszedł do środka, pociągnął nosem znacząco, otaksował nasze posłania, policzył sztuki na nich leżące, po czym coś zanotował. Był co prawda niewysoki, ale mundur i czapka garnizonowa dodawały mu splendoru, nie mówiąc o tych kilku cennych centymetrach. Twarz miał gładko ogoloną, nos haczykowaty, tylko jego jasne oczy jakoś wzbudzały sympatię.

- Kto tutaj jest starszym pokoju? - rzucił dźwięcznym tenorem, ale z odrobinę wieśniaczym akcentem.

Odpowiedziała mu cisza. Nie zdążyliśmy jeszcze dobrze poznać naszych imion, a ten pyta, kto tu jest najstarszy. Pewnie ten z nas, który się najwcześniej urodził, dobre sobie. Przestraszony Karol łypał jednym okiem spod kołdry.

Oficer spojrzał na mnie. No i po cholere brałem łóżko przy samych drzwiach?

- Kim? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie, próbując się uśmiechnąć.

- Nazwisko?

Podalem ze ściśniętym gardłem. Zanotował skwapliwie w swoim zeszycie. No, to pięknie...

- Będiesz starszym pokoju - dokonał mianowania. - Pobudka jutro szósta trzydzieści. I nie bluzgać mi tutaj.

Nim zdążyłem pomyśleć, zaprotestować, proponując inną, może bardziej demokratyczną, poprzedzoną dyskusją formę wyborów, kapitana nie było już w pokoju. Zdążył jeszcze zgasić nam górne światło.

- Załapałeś plusa - ocenił ten z długim nosem.

- Akurat - mruknąłem z niezadowoleniem. - Kto to w ogóle był? Dyrektor szkoły?

- Chyba opiekun roku - wtrącił swoje kręcony Tadzik, a było to drugie i ostatnie tego dnia zdanie, które wypowiedział.

Tymczasem za oknami zrobiło się już zupełnie ciemno.

- Ciekaw jestem tych panienek - odezwał się po dłuższej chwili Karol.

- Jakich panienek? - zdziwiłem się. - Tutaj?

- No skąd tutaj - obruszył się chłopak. - Z medyka czy innego ekonomika. Chyba jakieś dyskoteki tu będą, co?

- To może magnet włączyć? Grundiga! - zapalił się znów ten o długim nosie, którego imienia jakoś wciąż nie udało mi się wychwycić w toku prowadzonej coraz śmieiej dyskusji.

Ale ani on, ani nikt z nas się nie ruszył ze swojej pryczy. Rozmawialiśmy trochę o dziewczynach, trochę o swoich miastach albo o tym, co nas tutaj czeka. Ale zdania padały coraz rzadziej. Z korytarza dochodziły stłumione głosy, jakaś muzyka. Szybko jednak i to ucichło zupełnie.

\*

Pobudka następnego ranka była okrutna. Zerwałem się z łóżka z bijącym jak młot sercem.

- Co jest?! Co jest?! - mamrotał z zamkniętymi oczami małomówny Tadzik.

A było to, że dokładnie nad naszymi drzwiami terkotał szkolny dzwonek. I to chyba już od pół minuty. No, to się zaczęło - pomyślało w tym momencie chyba ze sto dwadzieścia głów.

Dzień się zaczął: siku albo klocek, jak kto mniej nerwowy, bo drzwi w ubikacjach nie miały skobelków. Potem szybka toaleta, sianie łóżek, jak kto umiał, ubieranie się. Jeszcze spojrzenie w lustro. Nie, to tylko woda. Zachlapali przy myciu, nieponie. Woda. Nie łyż. Dobrze będzie.

Pod wodzą jednego z nas, Mariusza Hallera, wybranego jednogłośnie na gospodarza klasy, głównie z uwagi na gabaryty zapaśnika wagi ciężkiej, wyszliśmy na asfaltowe boisko szkolne. Umiejscowiono je na samym środku kompleksu większych i mniejszych, ale pomalowanych jednakowo na żółto budynków. Kazali nam się ustawić w czworobok. Cztery klasy, w każdej trzydzieści i więcej miejsc, czyli dobrze ponad setka chłopca.

Mrużąc oczy od słońca, a może niewyspania, podejrzliwie popatrywaliśmy na siebie. Poznany wczorajszego wieczora kapitan miotał się między szeregami, póki co, cywilbandy, usiłując zaprowadzić jako taki ład. Potem pojawił się kierownik internatu, który coś gadał o wielkiej chwili, jaka nastąpiła w naszym życiu, praniu, sprzątnięciu i paleniu papierosów, a raczej jego kategorycznym zakazie, bo jak kogoś złapią, to od razu do widzenia.

- Jeść - jęknął ktoś odważniejszy w szeregu, na co reszta tylko westchnęła.

Ze stojących na trawnikach kolorowych drewnianych tablic, które mogły być tylko niechlubną pozostałością po jednostce wojskowej, krzyczały do nas jakieś łuszczące się bohomy, a także wymalowane jakby pośpiesznie i wyblakłe już nieco hasła: UCZYĆ SIĘ, UCZYĆ I JESZCZE RAZ UCZYĆ! LENIN. Albo: TAKIE BĘDĄ RZECZPOSPOLITE, JAKIE ICH MŁODZIEŻY CHOWANIA - ANDRZEJ FRYCZ MODRZEWSKI.

Wreszcie odpuścili. Oficerowie. Jeszcze tylko jedno zdanie o paleniu i już. Ruszyliśmy w kierunku piętrowej hali stołówki na śniadanie. Pierwsze śniadanie. Pierwsze...

Zapach przypalanej zupy mlecznej, gnijących obierków ziemniaczanych, a także

jakiegoś środka czystości roznosił się już na schodach. Stołówka była ogromna, stoliczki przykryte gustownymi kraciastymi ceratami, czteroosobowe, ustawione w kilku bardzo długich rzędach. Kolejka do okienka, a raczej długiego, skrytego za pomalowanym bladozieloną farbą przepierzenia kontuaru, gdzie wydawano już gorącą strawę, oczywiście - także gigantyczna.

Stanęliśmy wszyscy, cała nasza dopiero co sformowana klasa, choć jeszcze, jeśli nie liczyć wyfasowanych wczoraj wieczorem pasiastych pizam - żałosna cywilbanda. Na przedzie najbardziej głodni, a może tylko najsprytniejsi, najpewniej pół na pół. Usiłując złapać równowagę na śliskiej podłodze, w innych zaś miejscach spróbować się do niej nie przykleić, ustawiliśmy się w zwarty rząd, przesuając się karnie nieco pod ścianę. Mimo to mogłem spojrzeć na wiszące nad naszymi głowami inne haselka, kilku nowych kolegów uczyniło to samo. Zauważyłem, że stało się to już jednym ze zbiorowych zachowań.

Aby szybciej czas mijał, zaczęliśmy je czytać na głos:

- UMYJ RĘCE PRZED JEDZENIEM, TO NIE NAZWĄ CIEBIE LENIEM.

- RÓWNIEŻ WINIEN BYĆ BEZWZGLĘDNIE CZYSTY KUBEK I NIEZBĘDNIK.

- Co za bzdura!

- To dobre, słuchajcie: SPOŻYWAJ CHLEB WEDŁUG POTRZEB...

- Zły akcent dałeś, na ostatnią sylabę ma być. Według poTRZEB!

- Ty to masz łeb.

- Teraz dobrze.

- Jak koń! Poeta się znalazł.

- SPOŻYWAJ CHLEB WEDŁUG POTRZEB. NIE MARNUJ POZOSTAŁOŚCI. TO DOBRO SPOŁECZNE.

- Kto w ogóle takie bzdury powymyślał?

- Tego posłuchajcie: GDY ZOBACZĘ JAK JESZ A POWIEM CI KIM JESTEŚ.

- No i co chcesz od tego hasła?

- Ale jestem głodny, jak cież piernicę.

- Przesuńcie się do przodu, co?

Już pierwsi szczęśliwcy pałaszowali zupę mleczną z kluseczkami, siorbiąc przy tym głośno, ale i czujnie zezując na boki. Ci, którzy za nią nie przepadali, krzywili się, próbując kawy, przypominającej rozwodnione gówno, albo zabierali się od razu do niełatwej sztuki rozsmarowania na kromce chleba kawałka kostki zmrożonego na kamień masła.

Powoli dobrnęliśmy do celu. Wydające posiłki kucharki, z reguły stare raszple, patrzyły na nas jak na napierających okupantów. Czasem któraś fuknęła coś pod nosem. Każdy z nas najpierw pobierał z przegródek mokre sztućce, potem z piętrzącej się piramidy trójkątą, blaszaną tacę, po czym zaczynał ustawiać na niej po kolei: talerz z zupą, talerzyk z kawałkiem kiełbasy, kosteczką smarowidła wielkości czterech sześciątów do gry, a także kilkoma sklejonymi kromkami chleba. Na koniec plastikowy kubek z kawą zbożową, który należało ustawić przy wierzchołku trójkąta. I tak zaopatrzonym udać się na poszukiwanie miejsca.

Nie, nie pamiętam. Co było potem. Przez cały dzień. Wiem dobrze, że było śniadanie, że był obiad, a potem kolacja. A co między posiłkami? Jakieś słowa, wypowiedane coraz śmielej, ale już wysłuchiwane z niesłabnącą bojaźnią, bo padające z ust coraz to nowych ludzi, o których nie wiedzieliśmy, czy przy nich siedzieć, czy stać, odzywać się, a może tylko milczeć i słuchać.

- Teraz pójdziecie tam, potem tam. Pobierzecie, uzyskacie, dostaniecie, przyniesiecie... - słowa zlewały się w jeden coraz mniej znośny huk.

- Zajoba można dostać - klęli po cichutku co odważniejsi z nas, émiąc przy tym w kibelku na piętrze „popularesy”, tym samym nic sobie nie robiąc z najważniejszego tutaj (ważniejszego chyba nawet od szpiegostwa na rzecz obcego mocarstwa) zakazu.

- Święta racja - zgadzali się ci, którzy w tym samym momencie tylko korzystali z pisuarów w jak najbardziej tradycyjny sposób.

Jedno było pewne: w tym dziwnym łańcuchu pokarmowym nie kto inny, a właśnie my i tylko my byliśmy na samym końcu. Na dnie. W każdej chwili gotowi na sflekowanie, opierdol, rozmowę indywidualną, zakaz opuszczania miejsca zakwaterowania, czyli w skrócie ZOMZ, konieczność przybrania pozycji zbliżonej do zasadniczej - i to bez głupiego uśmiechu, a następnie podania nazwiska do umieszczenia na czarnej liście, a taką każdy z oficerów (którzy pojawiali się coraz gęściej i za cholereę nie wiadomo było, czym się zajmowali!) miał swoją.

A przecież jednocześnie to my, właśnie my, byliśmy tutaj najważniejsi. To wszystko było przecież zorganizowane dla nas.

- Zajoba można dostać.

- No to może po pall mallu?

- Mistrzunio. Dawaj!

- Prosto z „peku”.

- Tylko niech któryś patrzy, czy kto nie idzie...

\*

A wszystko przez kolorowy, składany na trzy folderek, który wpadł w ręce, najpewniej przypadkiem, większości z nas w tej szczególnej chwili, gdy szkolne ławy w rodzimych podstawówkach zaczynały się robić zbyt ciasne, wąs się sypał, pedagodzy szkolni zadawali głupie pytania, serce wyrывało się gdzieś, nie wiadomo gdzie, a kolejna wiosna

zbliżała się nieuchronnie.

MŁODY PRZYJACIELU! - zaczynał się ów informator, którego autor, sam będąc zapewne po siedmiu klasach podstawówki, agitował z wielkim sercem, choć już niekoniecznie zgodnie z obowiązującymi zasadami ortografii, interpunkcji i gramatyki języka ojczystego. Ale już wizerunek wojskowego orzełka (jeszcze bez korony) na pelcie i flagi biało-czerwonej usprawiedliwiał wszelkie niedociągnięcia. - Kończąc szkołę podstawową zastanawiasz się zapewne nad wyborem dalszej drogi życiowej odpowiedniej do twoich zainteresowań i uzdolnień.

Proponujemy Ci naukę w nowej szkole. Jest nią

LICEUM WOJSKOWE (nauka trwa 4 lata)

Poniżej podano dokładne adresy pięciu tego typu placówek, w tym, na końcu, również naszej. Na następnej stronie było zdjęcie przedstawiające kilku chłopciaków z rozdziawionymi gębami, pochylonych nad spadochronem składanym przez mężczyznę w mundurze. Pod fotografią parę słów dalszego wyjaśnienia, jakby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości i jeszcze nie pobięł rychtować plecaka i żegnać się z matulą:

Liceum to realizuje pełny program średniej szkoły ogólnokształcącej z zastosowaniem elementów politechnizacji, komputeryzacji, cybernetyki i informatyki w procesie nauczania.

PRZYGOTOWUJE MŁODZIEŻ MĘSKĄ DO STUDIÓW W WYŻSZYM SZKOLNICTWIE WOJSKOWYM. O PRZYJĘCIE DO LICEUM MOGĄ SIĘ UBIEGAĆ KANDYDACI, KTÓRZY:

\* posiadają obywatelstwo polskie;

To akurat nie budziło żadnych wątpliwości, a i wpływu przecież żaden z nas nie mógł mieć większego na miejsce, w którym się urodził. Nie pamiętam też, żeby komuś wywlekano zbyt mocno wujka, który uciekł z PRL-u na zgniły Zachód za chlebem, czy coś takiego. Co więcej, wkrótce okazało się, że jeden z nas ma w Chicago osobistą mamusię, która śle synusiowi zarobione w pocie czoła dolary, dzięki czemu ów przypomina ubiorem płatnego

mordercę z Bronksu, pija tylko i wyłącznie coca-colę w puszkach, zakupioną w pobliskim Peweksie. Potem nawet udało się komuś z nas namówić go na zakup motocykla, ale to nie na długo zaspokoilo zew zdobywców i prowokatorów z tego samego pokoju. Ale już duży fiat, którego nabył za gotówkę na giełdzie samochodowej, wprawił wszystkich w osłupienie, a potem w podziw. To nic, że nikt nie miał jeszcze prawa jazdy. Niestety, auto szybko skończyło żywot w jakimś rowie.

Inny z nas, rodem z Hajnówki czy Białowieży, przyznał się, że jest wyznania prawosławnego, dzięki czemu zawsze dwa razy wyjeżdżał na święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Od razu znalazło się kilku, którzy chcieli zmienić wiarę...

\* ukończyli 8 klas szkoły podstawowej;

Cóż, nie było łatwo...

\* nie ukończyli 16. roku życia;

Ale nie było znowu tak źle!

Niektórzy z kolegów z podstawówek stukali się w czoło, no bo „kto normalny na trepa idzie?!”. Drudzy patrzyli ze skrywanym podziwem, inni z obojętnością. Dziewczęta zapewne próbowały sobie wyobrazić delikwenta w mundurze, a może i siebie obok niego, kto wie...

Prawda była jedna: przecieraliśmy szlak, którego nikt wcześniej nie przebył. Owszem, z pozostałych liceów wojskowych dochodziły jakieś strzępki doniesień, choćby takie, że szkoła leje się z całym miastem na noże i kastety, za sojuszników mając tylko jedno osiedle. Kilka razy mignęli koleżkowie w granatowych mundurach także w telewizyjnym show pod głupim tytułem: „Co dalej, ósma klaso?”. Ale obraz naszego liceum, które my mieliśmy rozpocząć - i to w każdym tego słowa znaczeniu - pozostawał wciąż mglisty.

Tak, to dobre! Przecieraliśmy sobie drogę. Miarowo, metodycznie, dzień za dniem: szmatami, metalowymi wiórkami do podłóg, pastą do butów. Tylko mundurowe portki w niektórych miejscach przecierały się może zbyt szybko...



\* posiadają nienaganną opinię ze szkoły;

Chyba z westchnieniem ulgi niektórych z nas się pozbywali.

\* posiadają odpowiednie zdolności fizyczne i psychiczne, stwierdzone przez  
Wojskową Komisję Lekarską;

Na pielgrzymkę po wojskowym szpitalu, a wcześniej dojazd doń, potem wyczekiwania pod gabinetami specjalistów, badania, a następnie wyrok z pisemnym uzasadnieniem trzeba było poświęcić cały boży dzień. To odbywało się jeszcze bardzo wczesną wiosną i należało zwagarować z podstawówki. Na szczęście legalnie. Na pierwszą w życiu wojskową komisję lekarską pojechałem z mamą.

- I po co do wojska idziesz? Opieprzać będą. Na co ci to?! - zapytał mnie z wrodzoną, a może wyuczoną subtelnością lekarz internista, a ja tylko wzruszyłem nagimi ramionami.

Następnie byli inni spece od ludzkiego ciała, a także umysłu. Chirurg co prawda pomylił mnie chyba z kandydatem do szkoły chorążych, bo kazał ściągnąć spodenki, wypiąć się, po czym nie odmówił sobie przyjemności przedziutkiego zajrzenia mi w dupę.

Kiedy to potem opowiadałem jednemu koledze, z którym stawaliśmy w tym samym momencie na komisji lekarskiej, bardzo się zdziwił. I przestraszył. Odpadł zresztą na końcu ze względu na trądzik młodzieńczy, a może płafusa. Chyba się trochę podłamał, może nawet rozważał możliwość pobiegnięcia do chirurga i wyjaśnienia nieporozumienia, skorygowania tego niedopatrzenia. Szedłem wtedy o zakład, że przypadłości, które u biedaka wykryli, nie będą nikomu przeszkadzać, gdy po kilku latach armia będzie chciała zagospodarować delikwentowi kilkadziesiąt miesięcy życia. I to w trochę mniej sympatycznych okolicznościach.

\* złożą potwierdzone przez ustawowego przedstawiciela (rodziców lub opiekunów)  
zobowiązanie do wstąpienia po ukończeniu liceum do jednej z wyższych szkół oficerskich;

Następnie w folderze informacyjnym następował gustowny szlaczek.

Wiedzieli, co robią! Armia ojczyzny robotników i chłopów, która zblamowała się podczas stanu wojennego, potrzebowała, najprościej mówiąc, młodej krwi. Jeszcze młodszej niż krew maturzystów idących do szkół oficerskich na złość dziewczynie, jeszcze młodszej też niż tych chłopaków po szkołach zawodowych, którzy nie chcąc jeszcze iść zapieprzać na tokarce czy frezarce, przekraczali próg szkół chorążych. Potrzebowali nas: piętnastolatków!

Bo co możesz, gówniarzu, wiedzieć wtedy o świecie? Gówno! A my ci ten świat pokazemy, powiemy, co jest dobre, a co be. Będziemy wabić, czym tylko można. Tylko podpisz cyrograf. Państwa też poprosimy, o tu. Najpierw mamusia, potem tatuś.

A wszystko przez kolorowy folder, który wpadł nam w ręce zamiast wydanego na kredowym papierze prospektu ze zdjęciami zachodnich samochodów albo pisemka dla dorosłych panów. Na kolejnym zdjęciu w folderze grupka roześmianych szczęśliwców zaglądała do wnętrza czołgu czy wozu opancerzonego, dalej zaś stało:

Uczniowie w czasie nauki otrzymują bezpłatnie:

- \* zakwaterowanie w internacie;
- \* ubiór szkolny (wyjściowy i codzienny);
- \* wyżywienie;
- \* wojskową pomoc medyczną;
- \* podręczniki i inne materiały szkolne;
- \* cztery razy w roku bezpłatny przejazd do miejsca stałego zamieszkania najbliższych członków rodziny.

W okresie ferii wakacyjnych po I, II i III roku nauki organizuje się bezpłatne, trzytygodniowe atrakcyjne obozy szkoleniowe, w ramach których można uzyskać m.in. kartę pływacką, patent żeglarza jachtowego oraz inne uprawnienia sportowo-obronne, a także poznać piękno swego kraju i jego chlubne tradycje. Uczniowie korzystają również ze

świętecznych ferii zimowych i wiosennych.

Kolejną stronę otwierał znów szlaczek, taki sam. A pod nim:

Kandydaci zdają egzamin wstępny z matematyki, języka polskiego oraz podlegają sprawdzianowi sprawności fizycznej.

Pomyślałby kto, że łapanka na ulicach. Albo branka. Jak kiedyś do carskiej armii? Akurat! To, że o jedno miejsce w dotychczas istniejących szkołach starało się nawet siedmiu chętnych, wiedzieliśmy dobrze. Marne szanse dawali nam nasi ulubieni nauczyciele z podstawówek. A jednak szliśmy w zaparte.

Egzaminy odbyły się w szkole chorążych, kilka ulic dalej (pewnie u nas nie zdążyli jeszcze wyskubać trawy i pobielić ścian, a może jeszcze zastanawiali się, czy w ogóle warto...). Nazjeżdżało się towarzystwa chyba z połowy Polski. Podzielono nas na grupy według nazwisk, oddano pod komendę odbywających wtedy służbę zasadniczą podchorążych, których nazywano popularnie „bażantami”, następnie pogrożono, że jak złapią kogoś na paleniu, to od razu do widzenia, i tym podobne. A dalej to już było po bożemu: język polski, matematyka, jakieś rozmowy, czyli zwyczajowe kompletowanie punktów egzaminacyjnych i wrzodów na żołądku.

Inaczej rzecz się miała z zapowiadany egzaminem ze sprawności fizycznej. Wbrew czarnym prorocstwom znajomych z podwórka nie kazano nam nikogo pałować, pływać pod wodą ani podciągać się sto razy na drążku. Był za to bieg na tysiąc metrów, potem sprint na setkę i rzut piłką lekarską do tyłu. Trzeba było rzucić nią przynajmniej na odległość dziesięciu metrów.

Ta ostatnia konkurencja odbywała się w ogromnej sali gimnastycznej. Wpuścili nas na parkiet i pozwolili najpierw poćwiczyć. Jeden z kandydatów, który, sądząc z postury i przyciasnego kompletu sportowego, był akurat dobrze po okresie siewu, a jeszcze przed zniwami, złapał jedną z takich trzykilogramowych piłeczek i, jakby trzymał małą główkę kapusty, cisnął za siebie. Przez pół sali. Dobrze, że akurat nie było nikogo na linii strzału!

Wybryk ten zauważył jeden z egzaminujących nas oficerów w stopniu majora.

- Choć no tu, kochasiu! - zawołał wojskowy wuefista, otwierając swój tajemniczy zeszyt.

Kolega, z czerwoną twarzą i uszami po sobie, zestrachany zbliżył się do oficera.

- Tak? - bąknął pod nosem.

- Nazwisko.

Podał cichusieńko, modląc się w duchu, żeby tylko nie bili, i pewnie usiłując sobie przypomnieć rozkład autobusów PKS, z których jeden za chwilę powiezie go do domu.

- Zdałeś! - zawyrokował major, notując personalia miotacza.

My też. Jeden z dwóch i pół kandydata na jedno miejsce. Tego chcieliśmy. Właśnie tego?

\*

- Kurwa mać! - zaklął któryś i splunął pod nogi. - Ile to jeszcze może trwać?!

- Jak po mięso kolejka, jak po kielbasę.

- A masz może jeszcze kawałek z kolacji?

- Pytałeś pięć minut temu.

- Jeszcze chwila - zauważył blondas, ten nieduży. - Zresztą i tak już po dobranocce - dodał, spoglądając na zegarek.

Rzeczywiście, widać już było rozświetlone skąpo wnętrze magazynu, a nawet czuć bijący stamtąd zapach stęchlizny, pomieszany ze smrodem dymu z podłego papierosa, którego przed chwilą zapalił magazynier. W końcu też człowiek. Im bliżej celu, tym bardziej

go lubiliśmy.

Kolejka znów posunęła się do przodu. O jakieś dwie stopy. Dwaj kolejni szczęśliwcy, objuczeni świeżo wyfasowanymi sortami mundurowymi i tym razem z czarnymi, przypominającymi nieco te będące na wyposażeniu hitlerowskiego SA, czapkami zimowymi na głowach, wracali już do internatu.

- Ale obciach te zimowe czapki - ocenił ktoś skrzekliwym głosem.

- A te džinsowe komplety widzieliście? - zapytał muskularny. - Chłopaki mówią, że ponoć sztywne jak plastik.

- I jajka farbują - zaśmiał się czarniawy z językiem.

- Jajka to trzeba mieć! - odparował ktoś skryty w tłumie.

- A w kalendarzu wojskowym pisali: džinsowe komplety w najmodniejszym stylu - kpił dalej chłopak z dużym bicipsem. - Wiocha jakaś.

- Gównu się znasz - zripostował inny basem, coraz mniej jednak budzącym posłuch wśród kolejkowiczów.

- A chcesz w ryło?

- Ciszej tam, do cholery! - dobiegł znów schrypnięty głos magazyniera.

Tymczasem na dworze zrobiło się całkiem szaro. Płonęły już sodowe latarnie wzdłuż wąskich uliczek, po których maszerowało kiedyś ze śpiewem na ustach wojsko. Z okien sąsiadującej z naszą szkołą jednostki inżynierijno-budowlanej dochodził śmiech żołnierzy służby zasadniczej. Ciekawe, czy dworowali sobie z nas?

- A może zagramy w pokerka? - zapytał jeden taki wysoki brunet, z wąsikami.

- Dawaj - zapalił się niewysoki blondyn, którego imienia, jak i zresztą imion

pozostałych, jeszcze nie zdążyłem poznać.

- Kto jeszcze?

Przykucnęli we czterech, reszta zaś obstała ich ciasnym kołem. Brunet dobył z zanadru talie sfatygowanych mocno kart i zaczął je z wprawą tasować. Blondas zaś wykonał prowizoryczny stoliczek z wyciągniętego skądś tobołka. Po chwili karty zaklaskały równo.

- No to cyk. To sru.

- Ciach babkę w piach.

- I chuj.

- Następny! - zawołał magazynier.

Przekroczyłem próg starego budynku z czerwonej cegły z sercem bijącym w gardle, krok za mną szedł Paweł, ten z bicipsem. Wszędzie walały się plastikowe worki z jednakowymi ciuchami. Magazynier odłożył delikatnie dymiącego peta na brzeg popielniczki i ujął w zażółcone palce długopis, przy pomocy którego zaczął wypełniać rubryki w jakimś grubym skoroszycie.

- Nazwiska? - burknął.

Podąłem swoje.

- Paweł Grot - przedstawił się kolega masywny.

- Mundury galowe przymierzać - zakomenderował magazynier. - Ty, większy, z tej kupki, a ty spróbuj z tamtej.

Zaczęliśmy się biegusiem rozbierać, a następnie buszować w foliowych worach, próbując wyciągnąć z nich jakieś elementy garderoby.

- Marynarka dobra - odezwał się siłacz. - Ale spodnie mnie cisną w udach.

- No i co? - skrzywił się magazynier.

- Poproszę o większe.

- Przecież nie rozkompletuję! - zachnął się pan naszego czasu i spodni, ucinając temat raz na zawsze. - Numer buta?

- Dwadzieścia siedem - jęknąłem.

- Na pewno nie - zawyrokował magazynier, spojrzawszy krytycznie na moje stopy, po czym wskazał kolejną kupkę. - Tam są buty, wybierzcie sobie. Uwaga! Rozdaję bieliznę.

Moje spodnie na szczęście były dobre. Góra, czyli dwurzędowa, granatowa marynarka też. Teraz bielizna? Trzeba było nie lada sprytu, żeby złapać rzucane na ślepo kałesony, skarpetki, spodenki gimnastyczne, koszulki i wszelkie inne dobra, jakie mieliśmy na grzbietach nosić z dumą i dozgonną wdzięcznością.

Pakowaliśmy wszystko do plastikowych worów bez ładu i składu: igły i nici mieszały się z butami. Po chwili tachaliśmy wypełnione wory w stronę internatu, zmęczeni, ale szczęśliwi. Nie zwracaliśmy uwagi na rozkołysaną, plującą na boki i coraz głośniejszą klnącą kolejkę.

W pokoju usiłowałem rozłożyć poszczególne sorty w szufladkach i na półkach, ale szybko minęła mi na to ochota. Ale jednego nie mogłem sobie odmówić: włożenia całego, włącznie z białą koszulą, krawatem, butami i czapką, munduru galowego. Uwinąłem się szybko, zapiąłem wszystkie guziki i stanąłem wyprostowany przed lustrem w pustej w tym momencie łazience.

- No to masz - powiedziałem niegłośnie sam do siebie.

- Zmuszał cię ktoś? - doszło z pomieszczenia, gdzie znajdowały się prysznice. Ale nie miałem odwagi sprawdzić, kto do mnie mówi.

\*

Szkoła jak każda inna - to nam brzmiało uparcie w uszach, odstających naiwnie czy szpetnie, ale za to gotowych łowić najcichsze nawet słowa, słówka, dzięki którym da się tu przeżyć. Czyjś głos, a może swój, już nie wiadomo.

Nadszedł 1 września, dzień, w którym normalni ludzie zaczynali dopiero martwić się tym tworem złośliwym, jakim w życiu młodych w każdym chyba okresie historycznym była, jest i pewnie pozostanie szkoła.

Ile razy do czasu uroczystej inauguracji roku szkolnego staliśmy w czworoboku, a ile w innym szyku, nikt nie próbował zliczyć. Dość, że za każdym razem ustawić się równo było nam łatwiej. Raz, że, jak mówi stare przysłowie, trening czyni mistrza, dwa - po każdej zbiórce zostawał na asfaltowym boisku... czworobok z płwocin, bo ślina, która może z racji palenia tytoniu, a może z nerwów zbierała się w naszych ustach wyjątkowo obficie, nie nadążała wysychać.

- Bacność! Spocznij! - kapitan Jan Karzyński, opiekun roku, którego z racji niewielkiego wzrostu i nazwiska nazwaliśmy z miejsca „Karakanem”, już któryś dzień zdierał sobie gardło. Przekształcić cywilbandę, która prawdziwej musztry zasmakowała jedynie na lekcjach przysposobienia obronnego albo w harcerstwie, w karną kompanię, nie było wcale rzeczą łatwą.

Wszystko jednak musiało wypaść na tip-top. Wszak na uroczystość były zaproszone najwyższe władze wojskowe garnizonu i okręgu oraz partyjne miasta, a nawet województwa. Do Rosjan modlono się o dobrą pogodę.

Żeby wszystko wyglądało, jak należy, umyliśmy się dokładnie, ogoliliśmy, choć mało który już musiał. Mogliśmy również skorzystać z darmowych usług fryzjera, a raczej fryzjerki, której gabinet ulokowano w jednym z budynków szkolnych. Wybraliśmy się we trzech. Usiadłem jako pierwszy na fryzjerskim fotelu.

- Jak strzyc? - zapytała znudzonym głosem.



- Po męsku - zdecydowałem, a jakże, po męsku.

Objechała mnie jak się patrzy maszynką terkoczącą jak karabin maszynowy. Na języka. Jak zmieniać życie, to całe. Moi kamraci patrzyli z przerażeniem.

- Z szyi zebrać? - zapytała uprzejmie mistrzyni nożyc i grzebienia.

- Poproszę.

- A masz może maszynkę? Taką na żyletki?

No tak. A niektórzy, jak Tadek Piskor, wybrali się w jednej parze skarpetek...

Po tygodniu gabinet stał pusty, a po konsultacjach z nami pani podziękowano za współpracę.

- W prawo zwrot! W lewo zwrot! - komenderował nasz opiekun roku, a my mieliśmy niezłą zabawę. Nie znaczyło to wcale, że bawił się też Karzyński. - Nie śmiać się tam. Wystąp! Wstąp!

Nic też nie zostało mu już po dźwięcznym tenorze. Tylko ten odrobinę wieśniaczy akcent.

Rozwijała się też internatowa moda, a zadawać szyku to my, co jak co, ale lubiliśmy. I to od samego początku. Do szczytów elegancji należały zatem trampki, spodnie od dresu, wążiutkie, koloru granatowego, koszulka barwy stalowej, będąca dotychczas na wyposażeniu każdego marynarza. Całości dopełniała dżinsowa bluza od munduru codziennego - koniecznie z podniesionym kołnierzem, spod którego błyskała biała metka, na której nie zdążyliśmy jeszcze wykaligrafować naszych inicjałów.

Za ów postawiony kołnierz ścigano nas zresztą bez skrupułów, ale cóż, prawdziwa moda od zarania dziejów nie miała łatwego życia i nie od razu zyskiwała zrozumienie wśród współczesnych. Musiała przejść swoje. Tak jak my.

Lubiliśmy też chodzić w skóropodobnych laczkach z dziureczkami. Na świecie wciąż jeszcze trwało lato, więc tym bardziej było to obuwie właściwe. Szczególnie gdy w grę wchodziło jedynie wyjście na stołówkę i z powrotem. Ale to z kolei bardzo nie podobało się naszemu samemu głównemu dyrektorowi, podpułkownikowi z rudym wąsikiem. Gdy złapał takiego, co się zbyt domowo poczuł, mówił skrzeczącym głosem:

- Kapatcie w zęby i w tył na lewo!

Oznaczało to, że mamy na bosaka biec do internatu i wzuć inne buty.

1 września wbiliśmy się zatem w galowe garniaki i białe koszule, wypucowaliśmy pantofle, dopasowaliśmy przed lustrem rogatywki, choć żeby było do końca pięknie, tu i ówdzie musiały się również zawiązać... spółdzielnie wiązania krawatów. Na kłamce, na szyi, lustrzanie i w ciemno, na raz i na dwa - szkół było wiele. Ale efekt jeden. Wyglądaliśmy jak grupa wystraszonych licealistów prymusów z początku lat sześćdziesiątych na audyencji u pana wojewody.

- Szkoda, że nas matki nie widzą - pociągnął któryś smętnie nosem.

- Moja będzie - pochwalił się Maciek Czuma, chłopak nadpobudliwy nieco i z blizną na policzku, którego pamiętałem jeszcze z egzaminów.

- No tak, nie każdy mieszka dwie ulice dalej.

- Za to wszyscy muszą w internacie.

I było wyjaśnione, kto ma lepiej. Wszyscy mieliśmy jednakowo przekichane. Ci z miasta, bo nagle nie mogli tak sobie po prostu wstać i wyjść. Ci z daleka - bo byli z daleka...

No to sobie tak staliśmy odziani w garniturki jak spod sztancy, które wcześniej pomagały nam prasować miłe panie, bo i takie się znalazły. Na szczęście, a może wręcz przeciwnie, były tylko miłe: z administracji szkoły, a także internatu.

Bo na czele poszczególnych klas nie stali wcale sadystyczni kaprale, jak podawało ponoć Radio Wolna Europa, tylko cywile - kilku wychowawców. Mężczyźni, ale i również kobiety. W przypadku naszej klasy była to wcale ładna i wcale świeża absolwentka wyższych studiów w miejscowej uczelni pedagogicznej.

- Jestem magistrem pedagogiki opiekuńczo-wychowawczej - poinformowała nas na wstępie miłej współpracy swoim kryształowym głosikiem. - Możecie się do mnie zwracać „pani Ulu”.

Odetchnęliśmy z ulgą. Więc nie jest tak źle, jak by się mogło wydawać. Może tylko ktoś zastanawiał się po cichu, czy sympatyczna pani Ula bardziej nas będzie wychowywać czy może jednak opiekować się zbłąkanymi duszyczkami.

- A jak sobie ze mną będziecie lecieć, to i ja sobie z wami polecę - zakończyła młodzieżowym slangiem spod wiejskiej dyskoteki, do tego zrobiła obrażoną minę, a my nie wiedzieliśmy już, czy płakać, czy głośno płakać.

Głośno chyba nie wypadało. W końcu mieliśmy być złotą młodzieżą sił zbrojnych. Komunistycznych - dodałoby pewnie cytowane już radio, które póki co pracowicie zagłuszano. Ze strzępków usłyszanych w eterze zdań dochodziły do nas rewelacje, że ponoć nie mamy w internacie normalnych schodów, tylko wspinamy się na piętra po linach. Że na przykład drut kolczasty nad ogrodzeniem jest pod wysokim napięciem albo że gdy hałastrą współczesnych janczarów wychodzi do miasta, to miejscowa ludność masowo zatrząskuje przed nią okiennice domów i chowa dzieci, a już na pewno dziewczyny. A jak już mamy wrócić do siebie, najpewniej pijani i z krwią na rękach, to zamiast emeryta w przepoconej, śmierdzącej portierni wita nas gniazdo karabinów maszynowych.

Był zatem 1 września, a my wystawaliśmy dzielnie swoje. W zwartym dwuszeregu, wzdłuż linii boiska do siatkówki. Wciągnięto flagę biało-czerwoną na maszt, orkiestra wojskowa zagrała „Mazurka Dąbrowskiego”, a może nawet i „Rotę”, która tym bardziej pasowała do dekoracji byłych pruskich koszar, w których mieliśmy spędzić kilka następnych lat życia. Letnie jeszcze słońeczko przygrzewało przyjemnie, miękły nam odrobinę plastikowe daszki galowych czapek i nogi przy okazji.

Zaproszeni oficjale, stłoczeni na trybunie honorowej z metalowym orłem, przemówili ludzkim głosem, my na to krzyknęliśmy ile sił w gardłach i kilka razy: czolem! Nieco z boku ustawił się barwny tłumek - byli to nauczyciele, wychowawcy, pracownicy administracji, rodzice i zaproszeni goście. To było naprawdę wzruszające. Wszyscy razem i każdy z osobna czuliśmy smak tej szczególnej chwili w życiu...

- Nie wiecie, co dziś będzie na obiad? - zapytał ktoś z pierwszego szeregu.

- Chyba schabowy, ale nie wiem na pewno.

- Rzeczywiście, coś mi tak pachnie schaboszczakiem od rana.

- Myślicie, że puszczą nas potem do miasta?

Odpowiedź na to pytanie jednak nie padła. Chyba ze wzruszenia wszystkim głos znów odebrało, bo właśnie przemawiał dyrektor. Że wita wszystkich serdecznie, że będzie dobrze, że ma nadzieję i liczy na współpracę, ale jak kogoś na paleniu złapie, to...

A mnie w pewnym momencie urwał się guzik od marynarki. Pech. Po chwili trzasnął drugi. Nie trzeba było długo czekać, a poleciał ostatni; w ostatniej chwili udało mi się go pochwycić.

- Co ja mam teraz zrobić? - nie wiedzieć czemu, zacząłem naprawdę panikować; stałem przecież w drugim szeregu, więc nie rzucałem się za bardzo w oczy.

- Masz zapalki - szepnął ktoś za mną.

Czyjaś ręka podała mi sfatygowane pudełko, z którego wyłuskałem trzy sztuki i drżącymi rękami połączyłem je z uszkiem każdego guzika, a przy okazji z mundurem. Zupełna prowizorka.

I tak już miało być do końca.

- Niech wy, chłopcy, i wasi... nauczycielowie, prawda, pracują w tych murach, proszę

ja was, wspólnie dla dobra, wicie-rozumiecie, dla wspólnego dobra naszej socjalistycznej ojczyzny, Polski Ludowej - zakończył wykrzykiwać do podstawionego pod nos mikrofonu towarzysz pierwszy sekretarz komitetu wojewódzkiego.

- Amen! - dokończył któryś z nas piskliwym głosikiem, czemu ktoś inny zawtórował głośnym bąkiem.

Zachichotaliśmy. Karzyński, który mógł wszystko słyszeć, pociągnął długim, zakrzywionym nosem niczym czujny wyżeł. Próbował odwrócić głowę w naszą stronę, ale musiał w tym momencie salutować długo, więc tylko zezował.

Wreszcie uroczystość dobiegła końca. Bez kwiatów, wszak to dopiero początek zabawy, a nie koniec, bez defilady, bo maszerować jeszcze za bardzo nie umieliśmy, a i o sztandarze jeszcze jakoś nikt nie pomyślał. Może za rok, kiedy kobiety, jak za starych czasów, wyszyją go w tajemnicy. Albo miejscowe społeczeństwo zrobi zbiórkę.

Póki co jednak trzeba było społeczeństwo oswoić z faktem, że oprócz aresztu śledczego, policyjnej izby dziecka i kilku domów poprawczych ma w mieście również i coś takiego. Nie wszyscy wszak byli wiernymi słuchaczami Wolnej Europy...

\*

Myślę, że od razu nas pokochali. Bo kiedy w końcu otrzymaliśmy karty mieszkańca internatu, uprawniające do opuszczenia terenu ogrodzonego, czyli zielonkawe dokumenty ze zdjęciem, zwane swojsko „kenkartami”, i kiedy wyskoczyliśmy całkiem sporą grupką do miasta, ubrani zgodnie z regulaminem w granatowe, dżinsowe komplety, z furażerkami na głowach uszytymi z takiegoż samego materiału, ludzie się za nami oglądali, jakbyśmy szli ulicą co najmniej nago. Pocieszaliśmy się tym, że przypominamy nieco angielskich lotników. No i chyba coś w tym było, bo część z nas wracała potem do internatu lotem koszącym.

Tak czy inaczej - dużo śmiechu, pokazywania palcami, trącania się łokciami - ty, patrz, jakie pajace maszerują! Dobrze, że nie zanotowano stłuczek czy nawet innych, poważniejszych wypadków samochodowych, choć z drugiej strony żaden z nas nie był przecież jakąś ekstradziwczyną, żeby miało dochodzić do karamboli. Nie mieliśmy jeszcze

wtedy tarcz szkolnych, no to niby skąd ludziska mieli wiedzieć, kto zacz? Może zapytać? Jakiś odważniejszy, a może tylko lekko podpity przechodzień usiłował nas nawet zagadnąć. Po rosyjsku.

Włóczyliśmy się tak bez celu, samotnie lub małymi grupkami, próbując zająć czymś myśli, które nie przestawały kotłować się w głowach. Ułożyć sobie życie na nowo, bez znajomych, którzy zostali gdzieś tam, daleko. Bez dotychczasowych przyzwyczajzeń, dziewczyny, ulubionego psa. Jeździliśmy windami w wieżowcach, niektórzy po raz pierwszy w życiu. Chodziliśmy po sklepach, w których niczego nie można było kupić. Co odważniejsi, no i już po cywilnemu, szli na małe jasne do jednej z licznych piwiarni na Starówce lub nad rzeką, gdzie podawano piwo w grubych kufiach.

- Wypijesz tyle? - pytał jeden drugiego, spoglądając na pękate naczynie wypełnione złocistym napojem i ukoronowane grubą warstwą białej piany.

- Mowa! - wzruszał ramionami młodociany piwosz, przyjmując pozę cwaniaczka, po czym z wprawą przechylał kufelek, a potem tylko mlaskał z upodobaniem.

Czy będąc w tym wieku, można było zaimponować rówieśnikom czymś innym? No, chyba że kolejką elektryczną. Albo zdjęciem dziewczyny w stroju kąpielowym, zrobionym podczas ostatnich wakacji.

- A jak każą nam chuchnąć? - nie odpuszczał dyżurny panikarz, przez co reszta towarzystwa zaczynała się powoli zastanawiać, czy zabierać go ze sobą następnym razem.

- Nie każą. Sami są nie lepsi.

- No co wy...

- Widziałeś kiedyś trzeźwego trepa?

Tak nam mijał czas na początku. Aż dochodziła piąta po południu i trzeba było wracać. Nie można przecież było zawieść okazywanego nam zaufania, zatem bywało i tak, że mocno wyciągało się nogi, żeby tylko zdążyć na czas.

Któregoś z wrześnieowych jeszcze dni, kiedy duża wskazówka na wieży ratusza nieuchronnie zbliżała się już do dwunastki, postanowiliśmy pokonać trasę ze Starego Miasta do szkoły sprintem. W pewnym momencie któremuś z nas na drodze wyrosła parkowa ławeczka, którą ten, niewiele myśląc, przeskoczył. A to już nie spodobało się parze obserwujących naszą grupkę od kilku dobrych chwil milicjantów. Coś krzyknęli za nami. Przystopowaliśmy, zestrachani. Z przedstawicielami prawa nie było wszak żartów. Przynajmniej na początku.

Rozpoczęło się przesłuchiwanie i spisywanie.

- A który to... bez ławki skakał? - padło decydujące pytanie.

Jak jeden parsknęliśmy śmiechem. Małorolny spojrział na nas ostro spod dacha.

- Weszło wam? - zapytał drugi z milicjantów, już szukając po omacku przywieszanej do paska gumowej „blondyny”.

- Skąd - zapewnił Darek Jasiński, który pochodził z dużego miasta i wiedział, co to solidarnościowa zadyma, armatki wodne i pałowanie.

- Wydaje mnie się co innego.

W takich momentach należało już powoli przechodzić do kontrataku.

- A tak poza tym, to my nie podlegamy pod milicję - rzucaliśmy niby od niechcienia.

- A pod kogo? - zomole momentalnie wydali się zbici z pantałyku; chyba takich numerów nikt - roznosząca antypaństwowe ulotki młodzież licealna, podejrzani studenci czy brodata opozycja - jeszcze z nimi nie próbował.

- Pod Wojskową Służbę Wewnętrzną - oznajmił z dumą Robert Rómmel, jeden z najbardziej wyszczekanych z nas.

Po chwili biegliśmy dalej, choć i tak było już po piątej. A kanarom z WSW mówiliśmy, że podlegamy pod milicję.

Innego dnia wybraliśmy się do wesołego miasteczka, które zlokalizowano na niedalekim osiedlu. Była to jedna z tych nielicznych wypraw, na którą wybraliśmy się w mundurach i tych gustownych furażerkach na głowach. Nie trzeba było być wielkim filozofem, żeby wiedzieć, iż w miejscach takich jak wesołe miasteczko, szczególnie w okolicach strzelnicy i karuzeli łańcuchowej, zbiera się zawsze kwiat osiedla, często już wzmocniony kilkoma głębszymi, zaaplikowanymi pod osiedlowym samem. Tak było i w tym przypadku.

Okazane nam zainteresowanie przerosło nasze najśmielsze oczekiwania. Uprzejmość autochtonów też. Atmosfera zgęstniała jeszcze bardziej, gdy któryś z osiedlowych ramboidów zapragnął przymierzyć czapkę jednego z nas. A że znał pewnie tylko dwa słowa: „kurwa” i „chuj”, więc ściągnął ją z głowy kolegi bez pytania, po czym odskoczył żwawo. Nie spodobało się nam to bardzo. Odzyskaliśmy czapkę niemal również bez słowa, ale nagle wokół nas zrobiło się trochę nazbyt tłoczno. „Ich tysiące, naszych garstka” - napisał kiedyś jakiś poeta.

Skończyło się jednak tylko na utarczkach słownych, spluwaniu pod nogi i prężeniu mięśni. Wróciliśmy tam zresztą nazajutrz, już w trochę silniejszej kompanii i cywilnych łaskach, jednak żadnego z wczorajszych cwaniaczków niestety nie spotkaliśmy.

- To może przynajmniej postrzelamy do zapalek? - zaproponował ten drobiący w miejscu kolega, Krzysztof Zajaczek, ale odeszła nas ochota i na to.

Kolejnym punktem programu dnia, który obowiązywał nas już od dobrego tygodnia, była „Nauka własna”. Czyli siedzenie nad książką i zeszytem przy biurku. Broń Boże leżenie! Tego dopilnować mieli wychowawcy, którzy kilka chwil po siedemnastej, uzbrojeni w długopisy i zeszyty (czyżby pozazdrościli mundurowym?), zaczęli swój obchód. Czasami w tym samym momencie na pielgrzymkę po pokojach udawał się również opiekun roku, kierownik internatu, dyrektor szkoły bądź jego zastępca do spraw wychowawczo-obronnych, poczciwy grubas w stopniu podpułkownika, którego pewnie chcieliśmy zapytać po cichu, czy bardziej nas będzie wychowywać czy może jednak bronić.



A jeżeli to drugie, to przed kim.

Bywało zatem, że wszyscy oni wchodzili na siebie jak na odwiedzinach w szpitalu u chorej cioci.

- O czym czytacie? - pytali na początku mundurowi.

- O Kochanowskim, obywatelu pułkownika - odpowiadało się. - Janie.

- A kto, jak nie wy?

- My? Przecież ja tu jestem sam. Kolega jest w bibliotece.

- No właśnie, właśnie! Kochanowski, tak? Czyli pewnie i dziewczynę macie?

- Mam, obywatelu pułkownika.

- Daleko?

- Daleko. Pod ruską granicą.

- Radziecką, chcieliście powiedzieć. Radziecką!

- Tak jest.

- Kochacie ją?

- Granicę?

- Dziewczynę! Pijani jesteście?

- Nie, obywatelu pułkownika.

- Chuchnijcie! No. To jak, kochacie?

- Bardzo, obywatelu pułkowniku.

- To czemu nie zamiatacie pod łóżkiem?

- Przepraszam, zaraz pozamiatam.

- No właśnie, właśnie! Już Kochanowski pisał... - uczulał nas oficer, po czym, żeby nie być gorszym od jakiegoś tam Jana Kochanowskiego, też sobie coś zapisywał.

Inaczej rozmawiało się z wychowawcami, szczególnie z kobietami. Można było nawet poprosić na przykład o pomoc w przyszyciu guzika lub tarczy szkolnej, których całych komplet wreszcie każdy z nas otrzymał. Nigdy nie odmawiały, a i uczucia macierzyńskie można było łatwo tym wzbudzić. Ale nasza wychowawczyni często była w złym humorze i czepiała się, że pod łóżkiem nie pozamiatane.

- Zastanawiam się czasem, wie pani... - zawieszało się wtedy głos, tak dla lepszego efektu, po czym kierowało się tępy wzrok za okno.

- Nad czym? - pytała wtedy pani magister pedagogiki opiekuńczo-wychowawczej.

- Czy to ma w ogóle jakiś sens, jakikolwiek... - tu przykładowo wzdychaliśmy głęboko.

- Tęsknisz do domu?

Nie odpowiadaliśmy od razu. Czasami warto było nawet doczekać z tym wzdychaniem i spoglądaniem za okno do kolejnego pytania.

- Chcesz zrezygnować?

- Sam nie wiem.

- Zastanów się dobrze.

- Wokół tyle broni, wszyscy jesteście zamknięci.

- Zastanów się dobrze, nie rób niczego pochopnie.

- Sam nie wiem.

- Patrz, przyszyłam ci tarczę.

A więc tak wyglądała. Nasza tarcza. Kształt wydłużonego jaja, napisy i trzy symbole: otwarta książka, płonący znicz i z dwóch stron liście laurowe.

- Dziękuję, ale czy to ma w ogóle jakiś sens...

W tym momencie zazwyczaj pani wychowawczynie dawała spokój, cichuteńko zamykając za sobą drzwi od strony korytarza. A my siedzieliśmy sobie dalej i czytaliśmy, co nam kazano. Albo i nie.

Z podręczników, które otrzymaliśmy, oczywiście za darmo, szczególnie przypadł nam do gustu jeden, i to całkiem gruby. Było to „Przysposobienie do życia w rodzinie” - nowość w programie nauczania liceum ogólnokształcącego. Książka ta miała się okazać, przynajmniej u nas, absolutnym przebojem. A było to przecież w czasach, gdy z kiosków jeszcze nie wysypywały się czasopisma pełne zdjęć rozebranych dziewczyn albo dziewczyn z facetami w akcji.

Naszym pornoem był właśnie ten podręcznik i umieszczone w nim rysunki, przedstawiające pary pieprzące się w różnych pozycjach. W kilku pokojach podczas zwyczajowych obchodów oficerowie znaleźli nawet przekalkowane obrazki, które powiesiliśmy sobie nad łózkami, możliwie w zasięgu wzroku. I udawali święte oburzenie, bijąc w tym chyba nawet podstarzałe dewoty z porannej mszy. Nie chcieli uwierzyć, że to przecież tylko pomoce naukowe.

Oczywiście, nie zabrakło też przeciwników książki wśród nas samych. Jasiński, który zawsze ssał kciuk, nie posiadał się z oburzenia, wertując swój egzemplarz. Staraliśmy się mu

wytłumaczyć, że to przecież sama natura, że od zarania dziejów i może by się wyluzował. Nie przynosiło to jednak żadnych efektów. Ale po kilku dniach, wieczorem, zastaliśmy go z owym bezeceństwem leżącego w łóżku. Z zainteresowaniem, a może już nawet pasją przyswajał kolejne, bogato ilustrowane rozdziały.

- Nie wiedziałem, że to takie fajne - powiedział, a zaraz dodał: - Czy ktoś mógłby mi przewrócić stronę?

Rzeczywiście. Trzeba było mu pomóc, gdyż jedną rękę miał ukrytą pod kołdrą. Bo jeśli chodzi o drugą, to ciągle ssał kciuk...

Niestety, jakoś nie doczekaliśmy się przedmiotu Przystosowanie do życia w rodzinie w planie lekcji. Zresztą, kto miałby takie zajęcia prowadzić? Chyba nie tych kilka przechodzonych kurew, które z przyzwyczajenia włączyły się wzdłuż ogrodzenia, choć jednostki wojskowej nie było w tym miejscu od ponad pół roku. Podręcznik zaś, którego sława sięgnęła daleko poza naszą szkołę, po kilku tygodniach odebrano nam, wycofując go oficjalnie z użytku, i to z wielkim hukiem. Podobno interweniowało w tej sprawie nawet ministerstwo oświaty.

Dzień jednak trwał dalej, choć już chylił się ku końcowi. Potem to już po bożemu: kolacja i... obowiązkowe oglądanie Dziennika Telewizyjnego. Na każdym piętrze mieliśmy bowiem świetlicę, a w niej stoły, miękkie krzeselka, no i przede wszystkim kolorowy telewizor. I żebyśmy w nim tylko głupot nie oglądali, a i myśleli praworządnie, trzeba było wysiedzieć pół godzinki, słuchając doniesień, że znów nam się udało na froncie odbudowy, że partia jednoczy się, liczy na zrozumienie, spokój, wicherzyciele nie obalą i tak dalej...

No to siedzieliśmy i słuchaliśmy lub tylko udawaliśmy, że słuchamy. A nasza ulubiona pani Ula liczyła inwentarz i spisywała, kogo nie ma. Po kryjomu czytało się książki albo dokańczało kolację, grywało w karty, a nawet drzemało w pozie myśliciela.

Ale co byśmy wtedy nie myśleli, zaczęło się. Na dobre.

\*

Cały teren szkoły miał kształt prostokąta, z drugiej strony trudno sobie wyobrazić, żeby Prusacy, bo to oni budowali ów kompleks, ze swoim zamiłowaniem do porządku, ustanowili cośkolwiek i zbudowali na bazie innej figury geometrycznej. To zresztą było dobrze widać w każdym mieście czy miasteczku dawnych Prus Wschodnich: kwadratowy rynecek, często z ratuszem, w centrum i odchodząca od niego siatka prostopadłych uliczek. Od Iławy po Olecko, bo dalej to już zaczynała się Azja i jej perła architektury i urbanistyki - Suwałki.

Jak już wspomniałem, na samym środku szkoły znajdował się wyasfaltowany plac apelowy, składający się z boiska do koszykówki i siatkówki, pewnie i w piłkę ręczną można było tam zagrać, a może też w tenisa ziemnego; zimą zaś w hokeja, by ducha zdrowej rywalizacji nawet i w tym okresie nie gasić, ku chwale narodzi i socjalistycznej ojczyźnie. Nad placem apelowym górował maszt, na którym pierwszego września powiesiliśmy flagę narodową, oraz kamienna trybuna honorowa, gdzie na środku znajdowały się metalowe pogięte i pomalowane białą farbą wstęgi, które po oddaleniu oka kamery (może już jakaś telewizja rychtowała sprzęt?) okazywały się białym orłem na czerwonym tle.

- Bez korony - zauważył któryś z naszych, gdyśmy ustawili się pierwszy czy drugi raz w regulaminowym dwuszeregu przez ową trybuną i biało-czerwonym masztem, a ja byłem pewny, że już taki tekst wcześniej słyszałem; tak, chyba to było w filmie, w którym Polacy przyjeżdżają do Sielc nad Oką, by zamienić „wczoraj łach” na „mundur dziś...”.

Asfaltowy plac otulały trawniki z małymi drzewkami, krzaczkami, kilkoma parkowymi ławeczkami i tablicami propagandowymi. Przy jednym z krótszych boków prostokąta znajdował się nawet spory skwerek z płataniną ścieżek, jakie spotyka się przed dworcami kolejowymi w małych miasteczkach, za nim zaś niewielki budynek, od początku pełniący chyba rolę sztabu czy dowództwa, teraz jednak remontowany.

Cały teren szkoły, mimo że rok szkolny trwał w najlepsze, sprawiał wciąż wrażenie placu budowy. Tu i ówdzie stały rusztowania, gdzieś hałasowała betoniarka, a wszędzie kręcili się żołnierze w umorusanych cementem kombinezonach i beretkach, na których często nie sposób już było dostrzec gumowego orła. Prócz siarczystych przekleństw słyszało się chyba wszystkie polskie gwary, od góroli po Kaszubów.

Za trawnikami i skwerkami, między wysokimi, pobielonymi wapnem (o czym przekonałem się już pierwszego dnia) krawężnikami była jezdnia, po której nawet od czasu do czasu coś jeździło; z reguły był to pomarańczowy mały fiat należący do dyrektora szkoły.

Wreszcie budynki. Stare, może nawet stuletnie, ale po generalnym remoncie, o których neogotyckim stylu świadczyło kilka charakterystycznych okien. Budynki pomalowano jednakowo: kilka małych, wśród nich stołówka, przyszyły klub ucznia, a także cztery większe, trzypiętrowe, z których w jednym mieszkaliśmy, a w drugim pobieraliśmy nauki. Coś ponad setka chłopaków, dla których ciągnęły tu z miasta grupki nauczycieli i innego personelu. Dziś za takie wygody młodzież w liceach prywatnych, zwanych dumnie autorskimi, płaci co miesiąc słone chesne. I nie ma, że boli.

A lamperie w naszej szkole miały kolor żółty.

\*

- W prawo zwrot! W lewo zwrot! - wydawał komendy kapitan Karzyński, zaś przedmiot, który wykładał lub wydawało mu się, że wykłada, w odróżnieniu do szkół cywilnych nazywał się dumnie Przysposobieniem wojskowym.

Zajęcia odbywały się na boisku szkolnym bądź w specjalnej salce, obitej topornie boazerią i ozdobionej fotografiami żołnierzy, flagami państw Układu Warszawskiego i mapkami, na których zaznaczono historyczne ruchy wojsk podczas ostatniej wojny. Była to najpewniej izba pamięci, którą odziedziczyliśmy po jednostce wraz z całym inwentarzem. Te mapki wykonano zresztą z dość nietrwałych materiałów, bo już po kilku tygodniach wojska szły w zupełnie innym kierunku.

- Maski włoż! Maski zdejm! - na tortury jeszcze mieliśmy sobie trochę poczekać, my i nasz pan kapitan.

- Padnij! Powstań! - tego chyba się trochę bał.

Reszta szacownych profesorów, nie mniej wystraszonych od nas, nie przesadzała z ambicjami. Chyba że się tylko przyczaili - tego jeszcze nie mogliśmy przecież wiedzieć. A

może podziękować należało, jak już wiele razy, powszechnemu niedoinformowaniu? Czasami mieliśmy wrażenie, że podróżnik Vasco da Gama wiedział więcej o drodze, która go czeka, niż nasi przełożeni o tym, co mają począć z nami za godzinę. No, może poza porami karmienia. Te musiały być święte.

Kochanowski Kochanowskim, całki całkami, historia historią. Ale co oni robią w tym ich internacie, nie wiadomo - może właśnie tak sobie myślała część czcigodnego i, jak zwykle, dalece sfeminizowanego grona pedagogicznego. Póki co chyba woleli trzymać nas na dystans.

- Ty masz katar? - zapytała pewnego dnia, z samego rana, pani rusycystka, a zapytanym był kolega, który rzeczywiście miał katar, bo to już jesień była, a do tego siedział w pierwszej ławce. No i chyba się ucieszył, że ktoś się o niego martwi tak daleko od domu.

- Tak, pani profesor - zajęczał zgodnie z konwencją. - Już trzeci dzień.

- To uciekaj do tyłu, bo mnie jeszcze zarazisz. Wy obok też. Wszyscy!

Kilkoro z profesorów, dla podreperowania domowego budżetu, a może z przyczyn poznawczych, zdecydowało się wprawdzie nawet na wieczorne dyżury w internacie, ale i to chyba niewiele pomogło. Tak jak my słabo się jeszcze znali. Na tyle kiepsko, że nie mogli wypracować wspólnej skutecznej taktyki ustawiania nas do pionu. A bez tego przecież nie sposób utrzymać nikogo w ryzach. Nawet aniołów.

Nie znaczy to, że nikomu się ta sztuka nie udawała. Był sobie na przykład pan profesor od techniki, którego z racji rudawego owłosienia i wystających zębów nazwaliśmy „Wiewiórą”. Chyba trochę na wyrost, bo każda gałąź by pod nim pękła, był bowiem dość okazałych rozmiarów i tuszy. Kiedy przychodził na lekcję, bardzo głośno sapał, a na czole perlił mu się pot.

- Biegł pan, panie profesorze? - pytał któryś z nas.

- Nie. Herbatę piłem - odpowiadał z największą powagą „Wiewióra”.

On to najpierw przekazał nam surowy regulamin korzystania ze swojej pracowni. Zrobił to zresztą za pośrednictwem odbywającego u nas służbę podchorążego nazwiskiem Taran, w cywilu nauczyciela, który pełnił tutaj zaszczytną funkcję przynieś-wynieś. A potem, po powrocie z urlopu, bo pewnie wolał wypocząć przed niż po, pan „Wiewióra” z nie mniejszą surowością egzekwował ów regulamin, doprowadzając nas do łez. Z początku nie chcieliśmy wierzyć, a jednak.

- Trzy - mówił, pokazując delikwentowi, którego akurat namierzył, trzy grube paluchy prawej dłoni, by nie było żadnych wątpliwości.

- Co trzy? - zapytywał skazaniec słabym głosem.

- Nie trzy, ale trzydzieści - śmiał się na to „Wiewióra”.

A chodziło o to, że śmiałek, który ośmielił się złamać jakiś punkt regulaminu, musiał ów punkt, jego treść, przepisywać trzydzieści razy. Na papierze milimetrowym. Pismem technicznym!

Do najczęściej kopiowanych po benedyktyńsku mądrości należał punkt mówiący, że „Po sygnale oznaczającym koniec przerwy uczniowie ustawiają się przed pracownią Techniki”. Jeżeli ktoś miał z kimś na pieńku, a byliśmy zbyt kulturalni, by stawać naprzeciwko siebie na ubitej ziemi, wystarczyło lekko wypchnąć wroga z szeregu, co nadchodzący profesor od razu kwalifikował jako złamanie regulaminu. I nie było tłumaczeń.

Równie popularny był inny punkt: „Uczeń zajmuje przyporządkowane mu przez nauczyciela miejsce w pracowni Techniki”. Wystarczyło, że wychyliłeś się po gumkę do ścierania...

- Trzy!

Kiedyś jeden kolega, zamiast użyć słowa „strug” na określenie hebla, nieopatrznie powiedział: hebel. No i niedostateczny. Podobnie rzecz się miała z nazywaniem piły krajegą, poziomicy wasserwągą, wkrętaka śrubokrętem albo szczypiec uniwersalnych płaskich kombinerkami. Oj, nie mieliśmy my łatwego życia z panem „Wiewiórą”...



Bo jakby tego było mało, dorabiał on także w internacie. Brał zawsze nockę z niedzieli na poniedziałek. Bładym świtem, zanim poturlaliśmy się na ciepłe śniadanko, kazał nam się ustawiać w zwyczajowym czworoboku, deszcz nie deszcz. Potem odwracał swe szanowne wiewiórcze oblicze ku frontowi budynku internatu. Jeżeli w którymkolwiek z okien paliło się światło, mieszkaniec właściwej izby musiał biec i gasić. A reszta czekała, klnąc cicho. Dopiero potem puszczał wszystkich na stołówkę. Dlatego zniechęciłem niedzielne wieczory.

Przerwy między lekcjami dawały chwilę wytchnienia, zaś dwudziestominutowa, po trzeciej godzinie lekcyjnej - drugie śniadanie. Zazwyczaj była to buła z czymś tam i herbatka, które spożywaliliśmy na stołówce.

Pozostałe przerwy poświęcaliliśmy najczęściej na pielgrzymki z klasy do klasy, z jednego budynku szkolnego do drugiego, a także młodzieńcze figle. Do ulubionych należało wieszanie: brało się upatrzonego delikwenta, unieruchamiano w sile sześciu czy siedmiu, podnosiło w górę i wieszano za pasek na... kranie wystającym z rurki instalacji ciepłej. Koleś dyndał, a śmiechu było co niemiara.

Któregoś dniach usiłowaliśmy ochrzcić w ten sposób nowego kolegę, który dołączył do nas z odwołania, z kilkutygodniowym opóźnieniem. Nawet się mocno nie bronił. Gdy już dzieło było skończone, chłopak zapytał zdziwiony:

- To na czym ma polegać ten kawał?

Miał bowiem niemal metr dziewięćdziesiąt wzrostu i wcale nie dyndał. Nazywał się Mirosław Bołtuć i od razu ochrzciliśmy go „Milimetrem”.

Na pewien czas zarzuciliśmy podobne praktyki, poświęcając się nauce i poznawaniu kolejnych profesorów. Od pierwszych zajęć polubiliśmy na przykład biologię. Pani profesor była ładna i dopiero co po studiach. Na swoje nieszczęście na pierwszej lekcję w naszej klasie włożyła bluzeczkę białą i na tyle przezroczystą, że wyraźnie było widać jej staniczek, a nawet i coś więcej.

- Chciałabym, żeby moja klasa tonęła w kwiatach - snuła swoją wizję z dziewczęcą egzaltacją. - Byłoby miło, gdybyście przynieśli jakieś interesujące okazy roślin.

- A mogą być zwierzątka? - zapytał jakiś szczęściarz z pierwszej ławki.

- Tak - odpowiedziała rozmarzona, by za chwilę niemal wykrzyknąć: - Tylko broń Boże węże!

Ciekawe, kiedy spostrzegła, co leży u podstaw naszej błyskawicznej fascynacji tym niełatwym przedmiotem. I czy czasem mylnie nie zinterpretowała naszych zachowań, bo w pewnym momencie odwróciła się gwałtownie od tablicy i fuknęła:

- Komentarze na mój temat zostawcie sobie na przerwę!

Tak też się stało.

Powoli poznawaliśmy również innych wykładowców, nadając im, jak w większości szkół, charakterystyczne przezwiska. Najczęściej z bogatego świata fauny różnych kontynentów albo pochodzące wprost od nazwisk. A byliśmy w tym dobrym położeniu, że to my jako pierwsi mogliśmy je nadać. Oni, nie wiedząc lub udając, że nie wiedzą, jak o nich zwykliśmy mówić, rewanżowali się nam stopniami. Dobrymi lub trochę gorszymi. I tak mijały nam szkolne dni i tygodnie.

\*

Prawdziwe życie było jednak gdzie indziej. I rządziło się swoimi prawami. Od początku. Czasami nauczyciele nie mogli wyjść z podziwu, że na lekcjach, szczególnie tych pierwszych, byliśmy lekko nieświeży. Przecież nie musieliśmy nawet dojeżdżać. Problem w tym, że życie towarzyskie, którego smak zaczynaliśmy dopiero powoli poznawać i doceniać, zaczynało się o godzinie 22, czyli w chwili ogłoszenia przy pomocy elektrycznego dzwonka ciszy nocnej.

Na szczęście po pięciu dniach nauki nadchodziły dni wolne: sobota, w szkolnictwie już dzień ustawowo wolny, a zaraz po niej - niedziela. Nie można było co prawda wyjechać

jeszcze wtedy do domu, bo każdy bał się wydać taką poważną decyzję, a nawet zapytać o zdanie wyższej instancji. Ale przynajmniej można było wstać godzinę później. Wreszcie nie musieć się spieszyć. Zjeść sobie spokojnie śniadanko, wzuć papucie i...

- Zbiórka do wyjścia. Zbiórka! - z korytarza dobiegł głos kapitana, w akompaniamencie trzaskania drzwiami.

- O co chodzi? - zapytałem, wysuwając nieśmiało głowę z pokoju.

- Zbiórka do wyjścia! - huknął mi do ucha oficer; był po cywilnemu, więc nie od razu go poznałem. - Nie czytałeś na tablicy ogłoszeń?

- Czego? - bąknąłem niezbyt przytomnie.

W sukurs przyszedł mi Grot, wracający akurat z łazienki, wypachniony i ulizany.

- Idziemy na miasto! - zawołał z zadowoleniem.

- Nie na miasto, a do miasta - poprawił do Karzyński.

- Do miasta. I do pańienek.

Styliści się znaleźli. Miodki jeden z drugim. A ja wciąż nie wiedziałem, w czym rzecz.

Rzeczywiście, na tablicy ogłoszeń wisiała jakaś kartka, gdzie napisano o wyjściu w sobotę i w niedzielę. Ale tylko DLA CHĘTNYCH! Powiedziałem o tym od razu opiekunowi roku.

- A ty nie jesteś chętny? - zapytał, mrużąc podejrzliwie oczy.

- Ja? To znaczy...

- Wasze nazwisko? - zapytał, dobywając oręza, czyli swojego służbowego notesu i długopisu.

- To może ja się ubiorę.

Po chwili wszyscy „chętni” stali w dwuszeregu na boisku szkolnym. Siąpił drobny, niezbyt przyjemny jesienny deszczyk. To był chyba rzeczywiście kiepski pomysł z wyjściem dokądkolwiek. Kapitan też, biedny, musiał się do nas fatygować przy sobocie.

- Teraz udacie się kolumną dwójkową na zwiedzanie szkoły chorążych - oznajmił nam „Karakan”.

Zabuczało, choć w pobliżu nie przebiegała żadna linia wysokiego napięcia. Kapitan nie zareagował.

Czyżby miał dla nas jeszcze jakąś niespodziankę?

- Grupą dowodzi kapral podchorąży Taran.

Zabuczało jeszcze bardziej. Może z transformatora, co stał niedaleko jeziora.

„Bażant” Taran, ubrany w wyjściowy mundur, wyprężył się służbiście. Świński blondynek z rudym wąsikiem, grubo ciosany; na nosie lecznicze okulary, ciemniejące na słońcu. Już wcześniej nieźle zdążył nam się dać we znaki: biegał po internacie jak rączy jeleń, budził nas, opierdalał i spisywał opornych. W szkole chadzał też na zastępstwa przedmiotów ścisłych, nie szczędząc nam uwag i złośliwostek. Nie powinien się nazywać Taran, a raczej Młotek.

- Baczność! Spocznij! W prawo zwrot! Naprzód marsz! - zaczął wydawać komendy, drąc się jak rasowy zupak.

Powlekliśmy się niczym grupa jeńców nazajutrz po rozbiciu pułku przez przeważające siły wroga. Ale już po kilku chwilach wrócił nam wigor i dobry humor. Bo zawsze potrafiliśmy znaleźć sposobność do dobrej zabawy. No bo kiedy, jak nie teraz?

W szkole chorążych, gdzie kilka miesięcy wcześniej „popełniliśmy życiowy błąd”,

mieliśmy zwiedzać. Na pierwszy ogień poszła izba pamięci. Wisiały w niej historyczne sztandary, jakieś spłowiałe mundury, zardzewiałe hełmy i broń. Obowiązkowe mapki ze strzałkami oznaczającymi ruchy zwycięzców i pokonanych. To wszystko jakoś przeżyliśmy.

Potem zaprowadzono nas do salki, gdzie prezentowano broń palną, ręczną i maszynową.

- To jest pistolet TT, czyli popularna tetetka - poinformował nas znudzony oficer-historyk, po czym podał egzemplarz pierwszemu z brzegu, by go sobie dokładnie obejrzał i przekazał dalej.

Następnie na warsztat poszedł kałasznikow, pistolety P-64 i P-83 i jakieś inne śmiertcionośne żelastwo, jak to kiedyś pięknie określił jeden z kandydatów, którego poznaliśmy na egzaminach. Zdał wtedy z łatwością, po czym od razu... zrezygnował. A z takim kwitkiem mógł się zresztą dostać, dokąd chciał. I taki chyba miał zamiar od samego początku.

- Gdzie tetetka? - w pewnej chwili oficer potoczył groźnym wzrokiem po naszej grupie. - Proszę już oddać egzemplarz.

Oddaliśmy grzecznie. Mężczyzna wziął pistolet do ręki i zbladł.

- A gdzie jest magazynek? Kto wyjął magazynek z pistoletu?!

I więcej już nie zwiedzaliśmy szkoły chorążych.

Powrót do internatu też był wesoły. Taran, biedaczysko, biegał wzdłuż kolumny, usiłując nadać jej pożądany, regulaminowy wygląd. A to niełatwe, szczególnie gdy ma się do czynienia z niemal setką chłopaków. Akurat przechodziliśmy wzdłuż płotu. Kiedy „bażant” korygował czoło kolumny, jej tył zaczynał walić rękami w siatkę. Zaalarmowany podchorąży biegł wtenczas do tyłu, by obrugać i spisać winowajców. W tym momencie hałas powodowali z kolei ci, którzy otwierali wesoły pochód.

- Cisza. Spokój! - sapał biedny podchorążak.

My jednak nie mieliśmy wcale dość. W pewnej chwili ruchem domina zaczęliśmy podnosić ręce i zakładać je za głowę, czym żywo przypominaliśmy kolumnę dopiero co wziętych w niewolę żołnierzy piechoty. Jakiś mijający nas staruszek patrzył na nas ze współczuciem, a nawet usiłował częstować papierosami.

Po takim spacerze obiadek smakował nam bardzo. To jednak nie był koniec atrakcji, jakie dla nas przygotowano tego dnia.

- Po obiedzie idziemy całą szkołą do kina - poinformował nas kapitan, gdy popijaliśmy kompocikiem drugie danie.

- Na jaki film? - zapytał ktoś z głębi stołówki, ale oficer puścił tę interpelację mimo uszu, a może po prostu nie dosłyszał.

No to poszliśmy, pobekując z cicha, wszak posiłek był dość obfity, a my nie zdążyliśmy przecież odbyć poobiedniej sjesty. W drugą, bardziej cywilizowaną część miasta. Do jednego z najnowocześniejszych kin. Dolby stereo, szeroki ekran, miękkie fotele. Niektórzy z nas po raz pierwszy w życiu byli w tak nowoczesnym przybytku kultury.

Obstawialiśmy też, jaki film będzie nam dane obejrzeć. W nieoficjalnym rankingu wygrał „Och, Karol!” - komedia, którą reklamowano jako erotyczną, a której większość z nas jeszcze nie widziała. No i puścili nam film. Gruziński...

Noc minęła w miarę spokojnie. A potem była niedziela. Wreszcie można było pospać godzinę dłużej, a potem zjeść sobie spokojnie pożywne śniadanko, wzuć papucie i...

- Zbiórka do wyjścia. Zbiórka!

Jeżeli komuś jeszcze przed chwilą wydawało się, że będzie dzień święty święcił, jak nauczyli go rodzice, dziadkowie i ksiądz proboszcz dobrodziej w rodzinnej parafii, to właśnie powoli zaczynał sobie uzmysławiać, że chyba będzie musiał znaleźć sobie jakiś inny, mniej rzucający się w oczy sposób obcowania ze Stwórcą. Bo ktoś nad tym myślał. Ktoś wiedział, co robi, wymyślając szczegółowy plan spędzania przez nas niedzieli, a ktoś inny miał ów plan

wcielić w życie.

- Dokąd tym razem? - zapytał złośliwie obywatela kapitana Jurek Kutrzeba, ten czarny z językiem, teraz mokrym po porannej toalecie. A kapitan pewnie też musiał przechodzić prawdziwe katusze, że oto każą mu i w niedzielę zapierdalać do roboty i zatruwać nam dupy.

- Do kina - odparł półgębkiem nasz opiekun roku.

- Przecież byliśmy wczoraj - próbował protestować Zajączek, ale Karzyński już sięgał po kajet i nazbyt wnikliwy kolega zamilknął, chowając się za plecami innych towarzyszy w biedzie.

- Idziemy na odczyt, a potem będzie film - warknął wreszcie „Karakan”.

- Z podchorążym Taranem? - zapytałem, wietrząc w tym przynajmniej szansę na powtórkę dobrej zabawy z wczoraj.

- Z podchorążym Taranem - potwierdził kapitan i zaraz szybko, nie bez dumy odpowiedział: - I ze mną.

No i ruszyliśmy. Do lasu. Tamtędy było bowiem można dotrzeć na skróty, brodząc po kostki w opadłych liściach, do kina garnizonowego, które, podobnie jak większość tego typu kin w dużych miastach garnizonowych w tym kraju, nazywało się „Grunwald”. Tam czekały na nas wyjątkowe atrakcje. Ktoś nawet próbował coś zaśpiewać, ale szybko kazaliśmy mu się zamknąć.

W zatopionej w półmroku sali kinowej czekało już kilka plutonów żołnierzy służby zasadniczej i śmierdziało równo. Zajęliśmy skromnie miejsca z tyłu. Kilku z nas, którzy wynieśli naukę z wczorajszego seansu filmowego, zabierając ze sobą kurtki - od razu miejsca leżące. Po prostu organizowali sobie posłanie między rzędami foteli i spokojnie zaczęli odsypiać nockę. Większość jednak zainteresował ów odczyt, który miał poprzedzić seans filmowy.

Na mównicę wkroczył dziarskim krokiem zasuszony staruszek. Przegięty w krzyżu

jak nasz siłacz i miłośnik pańienek, Pawełek Grot, który jakiś czas temu znalazł na ulicy stówę z Waryńskim i już nie potrafił inaczej chodzić. Weteran potoczył wzrokiem po sali. Kilka rzędów medali, które ciągnęły mu marynarkę w dół, zabręczało zamiast braw. Stuknął kilka razy w mikrofon, założył na nos okulary, po czym dobył z kieszeni plik kartek.

- O ja pierdołę - zaklął cicho Tomek Langiewicz, ten blondas z pamiętnej kolejki, najbardziej wygadany, a reszta skazańców zgodziła się z nim głośnym westchnieniem.

- Droga młodzieży - zaczął z werwą i lekką sapką staruszek na mównicy. - Na początku 1942 roku linia frontu przesunęła się...

Śniło mi się, że jestem ze swoją dziewczyną. To znaczy pierwszy raz widziałem ją na oczy, ale skądś wiedziałem, że jest moja. Siedzieliśmy na piasku, nad brzegiem morza. Dzień był słoneczny, upalny, ale i wietrzny. Spienione fale miarowo uderzały o brzeg. Jeszcze raz. I jeszcze raz...

Uderzyłem głową o poręcz fotela. Wybrzmiała jeszcze jedna salwa katusz na ekranie, a może to było morze. Nie, to był tylko film. Rosjanie bronili jakiegoś miasta przed hitlerowcami. I będą tak bronić jeszcze kilka godzin, więc może iść za przykładem chrapiących już zdrowo kolegów?

Zerknąłem w prawo. Kimali niemal wszyscy. Sprawdziłem z drugiej strony. Jeden patrzył w ekran i... miał łzy w oczach. Nazywał się Bogusław Jagmin. Jeszcze dość słabo się znaliśmy.

- Co ci jest? - zapytałem szeptem.

- Nic - odparł po chwili, wycierając nos końcem rękawa.

- Wzruszyłeś się?

Bodek spojrzał na mnie dziwnie i westchnął głęboko.

- Dziś jest niedziela, nie?



- Niedziela.

- Dziś opuściłem pierwszą mszę w życiu. Pierwszą, rozumiesz?

- Mszę?

- Jest niedziela, a ja nie byłem w kościele!

Zupełnie mnie zatkało. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- To może wieczorem będziesz mógł iść...

- Może - przygryzł tylko wargi i głośno siąknął nosem.

Ale nie mógł. Na niedzielny wieczór zaplanowano bowiem... wyjście do teatru.

„Karakan”, wbity w niemodny garniturek w drobną krateszkę i pantofle na wysokim obcasie a la dekada sukcesu, pilnował, żebyśmy również wyglądali odświętnie. A to oznaczało, że musieliśmy się ubrać w mundury galowe. Jeszcze się nie zdążyły mocno zakurzyć od chwili inauguracji roku szkolnego.

Obstawieni dodatkowo przez wychowawców (czyżby zaczynano się bać rozruchów lub dezercji?), ruszyliśmy tym razem do miejskiego teatru. Znałem ten stary ponemiecki gmach, położony w centrum miasta, gdyż pod koniec nauki w szkole podstawowej przywieźli nas tutaj na jakąś sztukę. Chyba była to „Zemsta” Aleksandra Fredry.

A ja nawet lubiłem teatr, tym bardziej że i bilety na spektakle były w tamtych czasach dość tanie. Dużo tańsze niż do kina. Tym razem jednak o klasyce można było tylko pomarzyć, chociaż nie do końca...

- Idziecie na Mrożka, na sztukę Mrożka Sławomira - kierownik internatu, który też był na swoim posterunku, sprawdzał coś w cienkiej broszurze, która mogła być równie dobrze teatralnym programem, jak i wytycznymi, co z nami zrobić na wypadek buntu. - Tak, Mrożek.

Sztuka nosi tytuł „Tango”, a będą to gościnne występy teatru z... Leningradu.

Widownia była bardzo ładna. Zajęliśmy cały jej środek. Gdyby ktoś spojrzął w dół z balkonu, zobaczyłby jedną wielką granatową plamę. Po bokach przycupnęli nieśmiało jacyś cywile.

Rozpoczęło się przedstawienie. Z którego nie zrozumieliśmy nic. Jakieś wrzaski, gonitwy po scenie, to akurat fajne było i nieco nas ożywiało. Antrakt powitaliśmy z prawdziwą wdzięcznością.

- Która godzina? - zapytał mnie „Milimetr”, gdy staliśmy w foyer teatru.

- Za piętnaście szósta - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Szósta?! - zawołał ktoś z chłopaków, a w jego głosie wyraźnie zabrzmiało przerażenie. - A co z kolacją?

Pięć minut później byliśmy już w drodze do internatu. Trzeba było zdrowo wyciągać nogi, ale ssanie w żołądku było dobrym doradcą. Ani kapitan, ani nikt z wychowawców nie zgłaszał sprzeciwu. Pewnie w duchu modlili się, żeby nikt nie wytknął im tego niedopatrzenia.

Za to nikt nie pomyślał chyba o tych biednych aktorach, którzy po wejściu na drugi akt zastali niemal pustą widownię...

A kiedy wieczorem kładliśmy się spać, byliśmy bardziej zmęczeni niż po całym tygodniu wytężonej nauki. Tak oto, bez chwili na nudę i kulturalnie, minął nam jeden z pierwszych weekendów w nowej szkole.

\*

Lampy jarzeniowe w poczekalni izby przyjęć szpitala bucza miarowo, zmieniając co chwilę ton. Wyższy i niższy, ale wciąż płaczący. Komary nadal uparcie objają się o biały sufit. Czyżby swoimi owadzimi oczyma widziały za nim jakiś inny, lepszy świat? Na szarym,

pokrytym bąblami i zrytym miejscami przez buty pacjentów gumoleum stukają wreszcie obcasami korkowych butów.

Podnoszę powoli wzrok. Białe buty, białe spodnie. Lekarz.

- Panowie do mnie? - pyta i nie czekając odpowiedzi, ordynuje sucho: - Zapraszam do mojego gabinetu.

Mężczyzna odwraca się i rusza w kierunku załomu korytarza. Nie zdążyłem nawet przyjrzeć się jego twarzy. Ciemnowłosa, wysoki, kawał chłopca - tyle tylko udaje mi się zarejestrować. I ten głos... Głos lekarza wydaje mi się skądś znajomy.

W taką noc wszystko się może wydawać - myślę sobie, wstając z krzesła.

- Obudź się - lekko klepię rannego po ramieniu. - Lekarz przyszedł.

- Nie śpię - odpowiada Piotr, nie otwierając oczu.

Stęka, wstaje, zatacza się, ale szybko odzyskuje pion. Wciąż kulejąc, rusza w stronę drzwi, za którymi właśnie zniknął dyżurny lekarz.

- Może ci pomogę? - ofiaruję się, ale ranny łagodnym, lecz zdecydowanym ruchem odsuwa moją rękę.

Po chwili wchodzimy do gabinetu. Lekarz siedzi za biurkiem i coś notuje. Pisarz jaki czy co? Wszyscy tylko zapisują: gliniarze na ulicach, lekarze w szpitalach. Bronić i leczyć, a nie się opierdalać. Od tego ja tu jestem.

- Proszę usiąść - mruczy, nie podnosząc wzroku. - Pan zaczeka na zewnątrz.

- Przepraszam - mówię, odwracając się na pięcie.

Już mam nacisnąć klamkę, kiedy dogania mnie głos lekarza.

- Bemek?

Co za noc - myślę znów, przypatrując się z uwagą liszajom białej farby na drzwiach.

- Czy my się czasem nie znamy? - odzywa się znów lekarz.

- Robert Skrzynecki! - brzmi moja odpowiedź.

Za biurkiem siedzi w istocie Robert Skrzynecki, nasz szkolny kolega, patrzy na nas ze zdumieniem zza szkieł okularów i uśmiecha się szeroko.

- Co wy tu robicie? - pyta.

- Dokładnie godzinę temu na szosie zapytałem o to Piotra.

Instynkt lekarza zwycięża jednak nad ciekawością. Robert wstaje zza biurka i zaczyna badać rannego. Po chwili do gabinetu wchodzi ładna pielęgniarka i przynosi na tacy jakieś środki opatrunkowe. Oboje zajmują się chorym. Ja siadam z boku, w milczeniu przyglądając się zabiegowi.

Jest cisza zupełna, słychać tylko jednostajne buczenie jarzeniowych lamp pod sufitem. Nawet owady zrezygnowały ze swojej walki, gdzieś się pochowały.

Nagle światła zmieniają się na niebieskie, a raczej fioletowe. Pamiętam dobrze ten kolor. Kiedy byłem mały i przechodziłem z mamą koło szpitala, pytałem, czemu niektóre okna są niebieskie. Odpowiadała, że tam leżą ludzie, z którymi jest bardzo źle.

Przenoszę wzrok w miejsce, gdzie siedzi Piotr. Zamiast niego widzę jednak kilkoro ludzi w zielonych fartuchach, czepkach na głowach i maskach na twarzach. Niektórzy stoją odwróceny plecami. Wszyscy pochylają się nad czymś lub nad kimś. Ich płynne ruchy świadczą o jakiejś czynności. Szybko staje się jasne, co robią.

- Skalpel, proszę - słyszę spokojny męski głos.

- Odsysacz - wtóruje mu dźwięczny tenor.

- Tampon - to znów ten pierwszy.

- Ciśnienie w normie - do duetu dołącza trzeci głos, kobiecy.

To mnie uspokaja. Szczęk metalowych przedmiotów o blaszaną tackę. Czyste sztuce!

Za chwilę podadzą smaczną kolację. Właściwie to zupełnie o niej zapomniałem.

- Otwieram go.

- Blżej daj odsysacz.

- Jeszcze jeden tampon poproszę. Jak ciśnienie? Nie odlatuje nam?

- Ciśnienie w normie.

Jak w normie, to w normie. Nie wiem, po cholere ludzie panikują przed salą operacyjną. Trochę zaufania. A takie światło mógłbym właściwie zafundować sobie w domu.

- Ja go ciach, a on mi w piach! - podśpiewuje sobie tenor.

- Dasz sobie radę? Dawno nie operowałeś... - pyta kobieta.

- Ćwiczył na swoim psie - śmieje się ktoś pod maską, ale nawet w tym śmiechu jakiś spokój, jakieś skupienie.

- Znałem kiedyś takiego fachurę od elektryki. Zawsze rano ręce mu się trzęsły w delirze. Dopiero jak strzelił sobie pięćdziesiątkę albo jasne pełne, mógł się zabierać do pracy. A robił przy bardzo delikatnych urządzeniach. Druciki, oporniczki.

- Jeszcze jeden tampon poproszę.

- Może wpadlibyście do mnie dziś wieczorem na brydżyka? Mam dobre winko.

- Dziś nie mogę. Muszę się przygotować do sprawy.

- Naprawdę się rozwodzicie?

- Dowiedziała się w końcu.

Trochę mi tak głupio siedzieć i podsłuchiwać. Rozmowa to, bądź co bądź, prywatna.

- Ja go ciach, a on mi w piach. Ja go na pół, a on mi w dół.

- Daj mi ten tampon, do cholery. Cieknie jak przy świniobiciu.

- Ciśnienie spada. Ciśnienie spada!

- Zatrzymanie akcji serca. Tracimy go!

Gdzieś z góry spada głośny, twardy akord. E-moll chyba.

- Dziesięć miligramów dożylnie.

- Nic.

Po chwili jeszcze raz, wzmocniony dźwiękiem kotła.

- Elektrody. Dwieście. Raz!

- Nadal nic.

Za nim lecą smyki, raz-dwa, raz-dwa.

- Jeszcze raz.

- Dwadzieścia miligramów dożylnie.

- Nic.

Wśród smyków coraz wyraźniejszy staje się jeden żalony, wydłużający się jęk.

- Kurwa mać! Wiedziałem od początku.

- Czas zgonu?

- Dwudziesta pierwsza zero sześć.

Cisza. Cisza zupełna, głucha, przerażająca. Nawet jarzeniówki nie mruczą.

- No, to może jednak wpadlibyście do mnie dziś wieczorem na brydzyka? Mam naprawdę dobre winko.

- Dziś nie mogę, poważnie. Muszę się przygotować do tej jutrzejszej sprawy.

- Naprawdę się rozwodzicie?

- W końcu się wydało.

- Ja go ciach, a on mi w piach. Ja go na pół, a on mi w dół.

- Jakie miał życie?

Cisza. Podnoszę powoli wzrok. Patrzą na mnie pytająco. Ręce całe we krwi, między materiałem masek i czepków zmęczone oczy i zmarszczone, świecące się od kropel potu czoła.

- Nie wiem - odpowiadam ze ściśniętym gardłem. - Prawie się nie znaliśmy...

Z lewej strony dobiega śmiech zza kadru, niczym strumień zimnej wody prosto w

twarz.

- Hej, kolego nasz!

Podłoga przemyka przez wąski kadr, za nią sufit i światła.

- Zasnął.

Stoją nade mną we dwóch: Piotr i Robert. Piotr w białym turbanie z bandaży. Siostra zbiera sprawnie wszystkie rzeczy, zakrwawione waciki i znika za drzwiami. Pocieram oczy.

- Teraz możemy spokojnie pogadać - mówi doktor. - Napijcie się czegoś?

- A co masz? - interesuje się świeżo opatrzony.

- Zawsze pierwszy - prycha śmiechem doktor Skrzynecki. - A tak właściwie, bo nie zdążyłem zapytać...

- Co?

- Gdzie ty byłeś przez te wszystkie lata? Właściwie też chciałem od początku o to zapytać.

- Trochę tu, trochę tam... - odpowiada wymijająco Piotrek.

- Zniknąłeś wtedy tak szybko. Nic nam nie chcieli powiedzieć...

Piotr też nic nam nie odpowiada. Tylko kiwa głową i uśmiecha się tajemniczo, choć najwyraźniej walcząc z bólem.

- To gdzie byłeś? - docieka lekarz.

Zamiast odpowiedzi terkoce telefon na biurku. Doktor podnosi słuchawkę i chwilę pilnie nasłuchuje.



- Dobrze - rzecze w sitko, po czym kładzie słuchawkę na widelki. - O czym to ja mówiłem?

- O czymś do picia - podpowiadam ochoczo.

- Jasne! - zgadza się lekarz, po czym wstaje, podchodzi do szafki, z której wyjmuje karafkę z jakimś ciemnoczerwonym, szlachetnym zapewne płynem i trzy kieliszeczki.

- Na ulicy bym cię nie poznał, „Skrzynka” - stwierdzam, gdy lekarz siada ciężko na krześle, na którym ledwo się mieści. - Trochę urosłeś.

- Cóż, wszyscy się starzejemy - wzrusza ramionami, po czym zabiera się do odmierzania alkoholu w szklanych pięćdziesiątkach.

Wypijamy po kolejce.

- Mocna rzecz - oceniam.

- Dziękuję w imieniu firmy - śmieje się Skrzynecki. - To co, na drugą nóżkę?

- Chyba już gdzieś o tym czytałem - marszczę czoło w udawanym gniewie. - Zaraz, gdzieś tu miałem dyktafon i komórkę. I wizytówkę kumpla z „Super Expressu”. Damy tak: „Pijany lekarz na dyżurze przyjmował pacjentów”. Albo: „Kolejny skandal w służbie zdrowia”. I trzy wykrzykniki.

Doktor Skrzynecki od razu podejmuje grę.

- Proponuję inny tytuł: „Bydlak w lekarskim fartuchu”.

- Pamiętaj o wykrzyknikach.

Śmiejemy się wszyscy trzej. Jak za starych, dobrych czasów, które na pewno za chwilę powrócą. Choć tylko w rozmowie, choć tylko w zacierającym się wspomnieniu

jednego, które od razu zweryfikują inni, nie ujmując mu jednak ani grama słodczy...

- A co ty tu właściwie robisz? - pyta lekarza milczący dotąd Piotr.

- Kurwię się za pieniądze - odpowiada Robert z szerokim uśmiechem.

Wypijamy po następnej kolejce. Nalewka własnej roboty, jak po raz kolejny podkreśla Skrzynecki, jest słodka i rozgrzewa szybko. Ciepła błogość rozlewa mi się po wnętrznościach, zaczyna zlepić powieki i lekko szumieć w głowie.

- Stacjonuję prawie pod litewską granicą, gdzie jestem głównym lekarzem jednostki - mówi Skrzynecki, wygodnie wyciągnąwszy się w fotelu. - Dowódca chciał ze mnie zrobić prawdziwego oficera i zaczął mnie trochę ganiać.

- Skąd my to znamy... - wtrącam.

- Tylko że zmienił zdanie, jak się nad nim pewnego pięknego dnia kostucha zbyt nisko pochyliła. I od tej pory mam spokój - śmieje się znów, zacierając ręce z zadowoleniem.

- Wcześniej pracowałem w Siedlcach, no to jeżdżę tam sobie dalej, raz na tydzień. Fajny zespół lekarski, zupełnie nowy sprzęt, to czemu nie? A po drodze zaliczam jeszcze dwa szpitale: w Ostrowi i tutaj. I tak w kółko, przez cały miesiąc.

- Współczuję - bąka Piotr i od razu zakrywa sobie usta.

- Daj spokój. Fajnie jest. Wolę to, niż siedzieć przez cały tydzień na dupie.

- Na zadupiu... - wyrywa mi się niechcący.

- Dzięki - śmieje się lekarz.

- Sorry.

- Nie ma sprawy. Byle do emerytury.

Naraz Piotr zaczyna się rozglądać po ścianach. Próbujemy zdążyć za jego spojrzeniem. Wreszcie coś znajduje.

- Jest - mruży cicho, ale z wyraźną satysfakcją.

- Co? - pytamy jednocześnie, Robert i ja.

- Tablica do badań wzroku - wyjaśnia z uśmiechem mężczyzna w bandażach na głowie, po czym odwraca się do niej plecami. - Patrzcie, czy dobrze. Lecę od góry...

I zaczyna wymieniać wszystkie litery! Patrzymy z niedowierzaniem. Wylicza. Od tej jednej, największej, stojącej na szczycie piramidy, aż po ostatni rząd najmniejszych, przypominających jednakowe mrówki. Nie myli się ani razu.

- Dobrze? - pyta wreszcie, odwracając się.

- Dobrze - zgadza się wojskowy lekarz. - Jest pan zdolny do spełnienia powszechnego obowiązku obrony ojczyzny - recytuje szybko znaną skądinąd i niezmiennie wzbudzającą panikę wśród młodych chłopaków formułkę.

- Nie rozumiem - bąkam, ale Piotr już spieszy z wyjaśnieniami:

- Pamiętacie, jak w czwartej klasie stawaliśmy jeszcze raz przed komisją lekarską? Wtedy okazało się, że ci, którzy noszą okulary, mogą mieć kłopoty u okulisty.

- Ale ty przecież nie nosiłeś szkieł - zauważa lekarz.

- Ja nie. Ale w pewnym momencie zaczął je nosić Bodek Jagmin, a to postawiło pod znakiem zapytania jego dalszą karierę w armii. Ale chłopak umiał kombinować, przyznacie, więc postanowił oszukać okulistę. No to się nauczył całej tej tablicy na pamięć. A przy okazji i ja się nauczyłem. Tak na wszelki wypadek.

Miło się robi na wspomnienie dawnych dziejów, jak i pewnie dawno niewidzianego

następnego kolegi, Bogusława Jagmina.

- Przypomniał mi się kawał - mówię po chwili.

- Wal! - zachęcają mnie.

- Przychodzi chłopak na komisję wojskową, idzie do okulisty, ale nieszczęśnik potrafi przeczytać tylko największą cyfrę z tej tablicy. Na to zadowolony lekarz wpisuje mu do papierów...

- Co? - oburza się nasz lekarz.

- Zdolny do walki z... czołgami!

Po kilku chwilach osuszamy karafkę. I naraz robi się smutno.

- Trzeba skoczyć po flaszkę - komenderuje pan doktor, wstając ciężko z fotela.

Podnosimy się z Piotrem.

- Albo nie - rzecze Skrzynecki. - Pójdziemy do lokalu.

- Ale ze striptizem - zastrzega Piotrek.

- Z tym mógłby być mały kłopot. Może kiedy indziej... - doktor drapie się z zakłopotaniem po potylicy, by za chwilę na nowo wybuchnąć niegdysiejszym entuzjazmem. - Nigdy nie zgadniecie, kto ma tutaj pub!

- Wygrałeś. Nie zgadniemy - poddaję się bez walki.

- Rómmel!

- Tutaj?

- Przy dworcu kolejowym - precyzuje doktor z triumfem. - Chodźcie. Na pewno jest na miejscu i się ucieszy.

- A twój dyżur? - pyta Piotr, odruchowo poprawiając bandaż na głowie.

- Skończyłem dwie godziny temu - oznajmia Skrzynecki, zdejmując fartuch.

Kiedy wychodzimy przed szpital, siąpi drobny deszczyk. Jest świeżo i pachnie zielskiem. Wiem, że do dworca jest jednak spory kawałek drogi.

- Chyba trzeba wezwać taryfę - rzekę niepewnie.

- Po co? Przecież mamy furę - dziwi się lekarz, choć w tej chwili już bez budzącego szacunek fartucha i stetoskopu.

- Ale piliśmy...

- Co ty, dziecko jesteś?! - śmieje się Robert Skrzynecki, po czym kieruje się w stronę auta, stojącego nieopodal mojego samochodu. - Przeskoczmy, nawet nie zdążysz pomyśleć.

- Moja gablota będzie tutaj bezpieczna?

- Spokojnie.

- No, to teraz pokaż, lekarzu, co masz w garażu - podśpiewuję prowokująco.

- Była gangrena, więc mam volkswagena - podchwytuje Skrzynecki, dzwoniąc kluczykami.

Wsiadamy do samochodu. Doktor przekręca kluczyk w stacyjce i niemal od razu wóz z piskiem opon wypryskuje z szeregu innych pojazdów. Po chwili płyniemy szeroką, mokrą ulicą.

- A pamiętacie, jak pierwszy raz poszliśmy na piwo nad rzekę? - pyta Piotr.

- Kiedy to było?

- Jakoś tak jeszcze we wrześniu. Na samym początku.

- Wtedy to ja jeszcze nie piłem.

- Chyba w małych ilościach.

Za szybą przepływają światła niewielkiego powiatowego miasteczka. Ulice, place, drzewa, domy, sklepy z rozświetlonymi witrynami, upstrzone kolorowymi reklamami i okrągłymi kasetami browarów i napojów chłodzących. Niczym niemy film w wąskim kadrze mokrej szyby samochodu. Tu i ówdzie pod parasolami przemykają nieliczni statyści i tresowane psy.

Skrzynecki, mimo wypitego alkoholu, który teraz cierpliwie niesie jego krew, prowadzi pewnie. Setki kilometrów w ciągu tygodnia, a takim wynikiem mógł się pochwalić już nie każdy przedstawiciel handlowy, czynią z niego starego wyjadacza. Szybko osiągamy wyznaczony cel.

Pub mieści się w starej, stylowej, niezbyt wysokiej wieży ciśnień, tuż obok budynku dworca kolejowego - kiedyś tętniącego życiem, dziś obsługującego może najwyżej trzy pociągi w ciągu doby. Kilka barowych parasoli z symbolem podupadającego browaru, ustawionych chyba trochę za wcześnie, moknie przed wejściem. Drzwi do pubu są otwarte.

Wchodzimy do środka po drewnianych, skrzypiących schodach. Z baru dochodzi muzyka - gitarowa solówka.

- Mój syn już gra na gitarze - chwali się Robert.

- Ile ma lat? - pytam bardziej przez uprzejmość niż z autentycznej potrzeby posiadania tej wiedzy.

- Łukasz w lipcu skończy sześć, a młodszy, Patryk, ma cztery - oznajmia z dumą pan

doktor.

- A wy macie dzieci?

- Ja nie - przyznaję się, a Piotr nic nie odpowiada.

- Moje chłopaki to diabły, prawdziwe dzikusy! - przeżywa Robert Skrzynecki. - Jak na nich czasami patrzę, to tak jakbym widział nas...

\*

Dzikusy? Bez przesady!

Jak już powiedziałem, życie, a ograniczało nam je kilkaset metrów ogrodzenia, musiało rządzić się swoimi prawami. Jak więzienie czy kacet podczas ostatniej wojny. Tym bardziej, że przecież skazaliśmy się na pobyt weń zupełnie dobrowolnie. Na takie życie. Jeszcze myśleliśmy, że to nasze życie. Jeszcze wierzyliśmy, że nigdy się nie skończy, jeszcze zachwycało nas wszystko to, czego potem już się nie zauważa: bieg do utraty tchu, taplanie się pod prysznicami po kostki w wodzie, śpiew przy gitarze, pierwsza bitwa na śnieżki na boisku szkolnym, gdzie pewnego wieczora naprzeciw siebie stanęły klasy anglo - i niemieckojęzyczne - w sumie chyba setka chłopów! Jeszcze nie zgruboskórnieliśmy, choć pewnie ktoś, kto spędziłby w naszym towarzystwie choć jeden dzień, a nawet godzinę, pomyślałby inaczej.

A zatem: prawa. Tora, Koran, Bhagawadgita, Regulamin Służby Wewnętrznej. I nasz mały, nieoficjalny, niespisany nigdzie Dekalog, może jedenaście punktów, a może trochę mniej. Naszych Siedem Grzechów Głównych, których chyba nikt nie potrafiłby wymienić, nazwać, a tym bardziej znaleźć u siebie, a i bez których słodkiego popełniania chyba również potrafiłby żyć. Tylko co to za życie...

Pierwszy?

Pierwszy listopada, czyli Wszystkich Świętych. Mogliśmy pojechać wtedy do swoich domów rodzinnych, bodajże drugi raz dopiero; wiele czasu bowiem zajęło naszym

przełożonym zdecydowanie, czy wolno nas spuścić na dłużej ze smyczy, czy może jednak jeszcze nie. A na Zaduszki - już nie było bata.

No to pojechaliśmy. Nie trzeba było nawet biletów kupować, bo armia ufundowała każdemu tak zwany rozkaz wyjazdu, który należało tylko podstemplować w kasie i można było ruszać w siną dal. Tylko ci, co mieszkali na miejscu, czuli się trochę pokrzywdzeni, bo nikt nie dał im na bilet autobusowy ani taksówkę, zresztą i tak prawie codziennie dymali do domu na własnych nogach.

Ale teraz jechaliśmy na Zaduszki. Mogliśmy pokazać się też swoim najbliższym - i nie tylko - w mundurach galowych. No to się pokazaliśmy. Portki przepasowane, choć u niektórych, co zaczęli gwałtownie, może na skutek stresu albo jedzenia, przybierać na wzroście - nieco już przykrótkie (a magazynier jakoś dziwnie nieosiągalny). Do tego pantofle wypucowane na glanc, kurtka rozpięta od góry, żeby było widać białą koszulę i czarny, lotniczy krawat, rogatywka z bijącym po oczach wężykiem ze srebrnego bajorka - po szelmowsku lekko przekrzywiona. Na rękawie kurtki - żeby nie było już najmniejszych wątpliwości - tarcza szkolna.

- Uczy się syn? - zapytała moją matkę pewna starowinka, sąsiadka z cmentarza, na który wybraliśmy się, by uczcić w tradycyjny sposób rzeczne święto. - Ja pamiętam, że mój nieboszczyk mąż, świeć Panie nad jego duszą, też taki mundur nosił. Jeszcze przed wojną! A syn uczy się, tak?

Mama pokiwała głową. Owszem, była dumna. Nawet bardzo. To uczucie chyba wygrywało z permanentnym lękiem o syna, szczególnie teraz, gdy wreszcie był blisko. Przynajmniej kilka dni. Chyba większość matek czuła podobnie i po śniadaniu poprosiła, żebyśmy ubrali się w te ładne mundury i poszli tak odwiedzić groby naszych bliskich.

Potem odwiedziny u dalszych krewnych i znajomych, opowieści, anegdotki i zapewnienia, że nie jest tak źle, jak by się mogło wydawać.

- I co, pewnie generałem chcesz zostać?

- A jak!



Po czym następowały obiadki i deserki, bo jak ty schudłeś, pewnie was tam głodzą, biedaku ty mój, zjedz jeszcze...

- Pycha! - sapaliśmy nad talerzami.

I chyba coś w tym było.

Po drugie.

Co bardziej przedsiębiorczy z nas, ci, którym przysługiwał ów rozkaz wyjazdu, ale nie mieli do swych domów znów tak daleko, żeby nie wyłuskać kilku złotych na bilet, wymyślili pewien sprytny patent. Kapali mianowicie otrzymany druk ścisłego zarachowania w jakimś środku chemicznym, a ów miał tę właściwość, że wywabiał atrament długopisu, którym ręka kadrowej wypisała nasze nazwiska, a także nazwę stacji docelowej. Zostawały tylko odpowiednie pieczętki. No i sam druk na druczku. Po czym nasi domorośli fałszerze wpisywali sobie w odpowiednich rubrykach nazwę jakiejś bardzo odległej stacji, do której mieli zamiar się udać.

Mało tego! Mogli umieścić na blankiecie dowolną liczbę osób. No, może nie sto ani pięćdziesiąt, bo kto by ich potem szukał po całym pociągu. Ale już kilkusobowa paczka przyjaciół wraz z dziewczynami mogła tym sposobem udać się na koszt armii i kolei na zasłużone wakacje w dowolne miejsce naszej pięknej ludowej ojczyzny.

Chyba nigdy nie narzekaliśmy na brak pieniędzy. Przynajmniej większość z nas. Bo wszystko to w tamtych czasach było bardzo sprytnie urządzone. Kiedy na przykład przez jakiś czas nie było nas w internacie i nie jedliśmy w stołówce, przysługiwał nam ekwiwalent pieniężny, czyli tak zwane wyprowiantowanie.

Czasami było tak, że ktoś na gwałt potrzebował gotówki. Wszak nie znasz dnia ani godziny, a człowiek nie kaktus - pić musi. Wtedy pan Potrzebnicki uzyskiwał zgodę wszystkich przełożonych na wyjazd do domu, pobierał swoją „kenkartę”, wypisywał się z powagą w specjalnej książce wejść i wyjść, pobierał w kasie pieniążki, obiecywał pozdrowić serdecznie rodziców, po czym... nie wyjeżdżał. A żeby przeżyć, prosił kolegów w pokoju, aby

przynosili mu coś ze stołówki, niby dla kolegi, który się nie najlepiej czuje i musi, biedaczysko, leżeć. Ale i tak zawsze w niedzielę wieczorem chodził jeden z drugim po pokojach po prośbie.

- Czy jest suchy chleb dla konia? - brzmiało znane skądinąd hasło.

I jakaś mała pajdka albo dwie, zgodnie z maksymą uwiecznioną na tablicy wiszącej na stołówce, zawsze się znajdowała. A kasa się zgadzała.

Inaczej rzecz się miała z wakacjami. Kiedy na chwilę przed rozdaniem świadectw ukończenia pierwszej klasy liceum ustawiliśmy się grzecznie w kolejce po pieniądze, było wiadomo, że iskry polecą. Mieliśmy bowiem otrzymać dość pokaźną sumkę za niejedzenie przez półtora miesiąca; chyba nawet mogła to być równowartość kilku urzędniczych pensji.

Tym sposobem tego samego wieczora pół internatu wracało z miasta w stanie kompletnego ululania.

Od razu wszczęto alarm. Jakieś rozmowy, ostrzeżenia, groźby. Ale przecież pieniędzy nie mogli nam odebrać. I wtedy, zupełnie niechcący, podsunąłem kadrze naszej szkoły pomysł rozwiązania patowej sytuacji. Było to na kilka dni przed końcem roku szkolnego, na niewielkiej poczcie, która sąsiadowała z naszym liceum i chyba też obsługiwała tylko nas.

- Dzień dobry - ukloniłem się naszemu kierownikowi internatu, kiedy mijaliśmy się w drzwiach urzędu.

- Dzień dobry - odpowiedział na pozdrowienie pułkownik; wprawne oko frontowca zauważyło, że trzymam w ręku książeczkę oszczędnościową, z której akurat wypłacałem jakieś grosze.

Nazajutrz po naszej domorosłej Kanie Galilejskiej, kiedy zebrali nas wszystkich na placu, żeby rozdać świadectwa, a większość z utracjuszy walczyła z kacem i myślami, co teraz będzie, kierownik internatu przypomniał sobie o tamtym spotkaniu w drzwiach poczty.

- Wstydźcie się! - grzmiał. - Bierzcie przykład z ucznia... - tu wymienił moje

nazwisko, a ja pokraśniałem momentalnie; ktoś złośliwy wypchnął mnie nawet z szeregu i mało nie wyrznięłem nosem w asfalt. - Ten uczeń każdą kwotę wpłaca na książeczkę PKO.

Nie wiedziałem, co z oczami zrobić. Taki obciach! A dyrekcja szkoły ogłosiła, że nie wypuści nas na wolność, póki każdy nie założy sobie książeczki oszczędnościowej i nie wpłaci na nią całej otrzymanej kwoty.

Punkt trzeci?

Podobno dodawali nam bromu do herbaty i kawy. Ale jakoś nikt nie chciał w to wierzyć. Nie zanotowano żadnych zaburzeń erekcji. A i kiedy wieźli nas na przykład samochodem ciężarowym na strzelnicę, my, zamiast grzecznie siedzieć na ławkach, zawijaliśmy plandekę, zwisaliśmy z burty ciężarówki i nie było dziewczyny, która przeszłaby ulicą na trasie naszego przejazdu, a nie została przez nas zauważona.

- Hej, lala! Bucik ci się przypala! - wrzeszczeliśmy jak banda Zulusów.

To było jedno z grzeczniejszych zawołań, jakimi obdarzaliśmy napotykaną białogłową. Nie znaczy to, że w bezpośrednim kontakcie bylibyśmy tacy sami. No, broń Boże! Tak po prostu działała adrenalina, a może coś innego, czego nazwać nie potrafiliśmy. Syndrom grupy samców, wygłodniałych choćby nawet widoku dziewczyny, która nie byłaby kucharką, pielęgniarką, wychowawczynią czy nauczycielką.

W jednym z pokojów na naszym piętrze odbyły się na przykład zawody onanistów. Kto szybciej osiągnie upragniony cel. Rekord, który pobił zdaje się Jacek Traugutt rodem z Łomży, wynosił jakieś piętnaście sekund. To jeśli chodzi o szybkość, bo gdyby ktoś chciał zapytać o wytrzymałość, to takie mistrzostwa też miały miejsce.

Pewnego dnia jeden kolega założył się z drugim, że będzie na każdej przerwie, czyli co czterdzieści pięć minut, zwał sobie konia. Nad prawidłowością prób czuwał neutralny sekundant, z którym ów śmiałek po każdej lekcji udawał się do szkolnej toalety. A zajęcia w tym dniu trwały wyjątkowo długo. Nie pamiętam już, co wtedy wygrał...

Jak już wspomniałem, nad biurkiem każdy z nas miał oszkloną witrynkę. Wielu z nas

trzymało w niej święte obrazki, ale też fotografie dziewczyn. Poczesne miejsce zajmowały tam popularne wtedy piosenkarki: Samantha Fox, Sabrina czy Sandra. I ponoć były też swoje - dziewczyny z naszych miasteczek i wsi, które, jak zapewniał posiadacz fotki, wiernie czekały. Zdjęcia były autentyczne, nie żadne wycięte z kolorowych czasopism, choć już o prawdziwość uczuć nikt wprost jakoś nie pytał. Za to o konsumpcję - czemu nie?! Wielu chwaliło się, że ma to już za sobą. Ten pierwszy raz. Interesowały nas w takim razie szczegóły. Żeby się tego dowiedzieć, należało najpierw wyrazić zachwyt urodą sympatii.

- Superlaska.

- Dzięki.

- Czy wy, to znaczy ty i...

- Iwona - podrzucił z dumą pytany, zadowolony chyba, że z takiego powodu może oderwać się na chwilkę od swoich zajęć, na przykład odrabiania zadania domowego z chemii bądź pracy zleconej przez pana „Wiewiórę”.

- No właśnie! Czy ty i Iwona, czy wy... No, wiesz...

Indagowany uśmiechał się tajemniczo.

- A co? Ty jeszcze nie? - pytał nas, tak dla lepszego efektu, a może i bladego tła dla swoich wyczynów casanowy.

- No, powiedz, nie bądź wał - naciskaliśmy wtedy niewzruszenie.

- Co ci będę mówił - wzruszał tylko ramionami, ale dobrze wiedzieliśmy, że szuka tylko odpowiedniej metafory, by nas pognębić do końca. - Było jak... Było jak w niebie.

My jednak twardo domagaliśmy się szczegółów.

- Bolało?

- No co ty! - oburzał się mistrz seksu, choć takiego pytania chyba się nie spodziewał. - Trzeba znać odpowiednie techniki, żeby nie bolało. Błona dziewicza...

- Ale ja pytałem o twoją rękę!

Rechtot całego pokoju był najlepszą nagrodą za udany kawał.

Innego dnia przeczytaliśmy w lokalnej gazecie, że w sobotę, w późnych godzinach nocnych, w telewizji zostanie wyemitowany film z „Różowej serii”. Ta wiadomość zelektryzowała wszystkich. Niestety, również jedną z wychowawczyń, która miała wtedy mieć nockę i którą postanowiliśmy uczciwie zapytać, czy będziemy mogli ów film obejrzeć.

- Nie ma mowy! - ucięła z miejsca wszelkie dyskusje, a nam się zrobiło naprawdę przykro.

Można było się tego spodziewać. Był to bowiem typ podstarzałej matrony, która, gdyby mogła, sprawdzałaby chętnie, czy nie zapomnieliśmy czasem zdjąć majteczek przed założeniem spodenek od piżamki na owłosioną pupcię.

Ale i na nią znaleźliśmy sposób. Odpowiednio wcześniej, jeszcze chyba podczas oglądania Dziennika Telewizyjnego, wykręciliśmy kilka śrubek z zamka drzwi.

- Ale to nie przejdzie - panikował ktoś.

- Co będzie, gdy ona będzie chciała zrobić obchód? - pytał inny i od razu roztaczał wizję apokalipsy. - Mówię wam, ona nam pokaże...

- To ja też jej wtedy pokażę - odgrażał się domorosły ślusarz. - A mam bardzo luźną gumkę w spodniach od piżamy.

Gdy wychowawczyni z nieskrywaną dumą zamknęła drzwi na klucz i poszła do siebie, my o odpowiedniej porze z łatwością wyjęliśmy drzwi świetlicy z zawiasów i spokojnie obejrzeliśmy sobie „Różową serię”. Resztę okryła tajemnica i żołnierska kołdra...

Generalnie rozwijaliśmy się zdrowo. Na początku szkoły kochaliśmy swoje dziewczyny. Potem, gdzieś po miesiącu, zaczynały nam się podobać niektóre nauczycielki, z których większość była świeżo po studiach. Po dwóch miesiącach zaczynaliśmy zauważać, że i panie z administracji szkolnej, a także pielęgniarki są niczego sobie. Po pół roku dziewczyny, które przychodziły na dyskotekę, były jednakowo piękne. Po roku podobały nam się kucharki. Na szczęście potem następowały wakacje i jakoś udawało nam się wrócić na prostą. Tyle że pod koniec sierpnia już zaczynaliśmy tęsknić za naszymi kucharkami.

Co dalej?

Mieliśmy kilka swoich ulubionych powiedzonek. Jedne miały żywot krótki, inne nieco dłuższy. To jednak towarzyszyło nam bardzo długo.

- Budzi się we mnie zwierzę... - tu następowała pauza, niezbędna na wykonanie sugestywnego, a jednocześnie dość przyjemnego ruchu, polegającego na wyprostowaniu ramion i wydaniu z siebie dźwięku rzeczowego zwierza. - Ale obawiam się, że jest to... leniwiec!

Trzymało nas to miłe skądinąd zwierzątko, oj, trzymało! Swego czasu słuchaliśmy na kasetach magnetofonowych jakiegoś kabaretu w wykonaniu aktora Janusza Rewińskiego. Akcja działa się w Republice Południowej Afryki, wśród afrykanerów, którzy znajdowali dziką przyjemność w biciu Murzynów za czasów apartheidu. Aluzje do PRL i jego ramienia zbrojnego, czyli ZOMO, były oczywiste. No i w tym kabarecie dowódca każe w pewnej chwili wystąpić tym, którzy nie są do czegoś chętni. Występują wszyscy, oprócz jednego o popularnym (było wśród nas dwóch takich) nazwisku Zieliński. Wtenczas wzruszony dowódca zwraca się do niego bodajże w te słowa:

- Dziękuję wam, bardzo dziękuję wam, Zieliński, za wkład, za zaangażowanie...

- Co pan, panie kapitanie - odpowiadał na to Zieliński. - Mnie to się nawet wystąpić nie chciało...

No bo na przykład nauka większości z nas szła dość opornie. Może dopiero przy końcu każdego semestru nabieraliśmy nieco wiatru w żagle, gdyż nie chcieliśmy zanadto

martwić rodziców, zaś klasy w przypadku tej szkoły nie można było powtarzać. Bo kto by za to płacił?

Byli oczywiście tacy (bracia bliźniacy), co bili nas na głowę wynikami w nauce, nie rozstając się z podręcznikiem albo zeszytem nawet przy porannym myciu zębów. Oni i kilku innych jeszcze - byli świetni zarówno z przedmiotów ścisłych, jak i humanistycznych, dobrze radzili sobie z językami obcymi. I tyle.

Fakt, że mieszkaliśmy razem w internacie, wykorzystywaliśmy do tego, iż żadna praca domowa nie nastęczała nigdy zbyt wielu problemów. Ci, co byli lepsi w matmie, rozwiązywali zadania z całek i różniczek, a reszta potem najspokojniej w świecie spisywała; ci zaś, którym nieco lepiej przychodziło układanie słów w ojczystym języku, pisali wypracowania z polskiego. Prawda znana od wieków, bo chyba nawet taki Żeromski Stefek, kiedy w latach szkolnych pomieszkiwał w Kielcach na jakiejś stacji, zżynał w najlepsze, a i pewnie też po koleżeńsku dawał zżynać.

Od prawdziwego leniuchowania była oczywiście sobota i niedziela. Kiedy po jakimś czasie odpuszczono nam wreszcie prowadzenie jak stada baranów do kina garnizonowego na filmy w rodzaju „Blokady Moskwy” czy „Obrony Leningradu”, można było nawet w ogóle nie wychodzić do miasta. Wychowawcy mieli mniej kłopotów.

Byli więc tacy wśród nas, co wzięli to do siebie - i przez cały weekend... nie zdejmowali piżam. Tylko aby nie zmarznąć w drodze na stołówkę, nakładali na siebie nasz kultowy już, granatowy dresik i kurtkę, ciepłe skarpetki i buty. A po zapelnieniu brzucha - z powrotem w kimono.

Wiązało się to mocno z kolejnym punktem. Było to Nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu. Po piąte, jakby jeszcze ktoś miał jakieś wątpliwości.

Jak już wcześniej wspominałem, naszą stołówkę wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza, czyli haselkami propagandowymi i brudem, odziedziczyliśmy w spadku po jednostce wojskowej. Z czasem dowiedzieliśmy się, że jednostka owa wchodziła w skład sił OTK, czyli Obrony Terytorium Kraju. W języku prostych żołnierzy i prześmiewców systemu znaczyło to coś zupełnie innego, a mianowicie: ostatnia twoja kariera.

Jak widać, nie dla wszystkich okazała się ona ostatnia, gdyż i nasz kapitan, i magazynierzy, z których wyszło wreszcie prostactwo sierżantów, lekarz, którego praktyki jeszcze nieraz będą się nam śnić po nocach, służyli w tejże jednostce. Tylko kucharki musieli zatrudnić, gdyż w jednostkach wojskowych było tak, iż to żołnierze żołnierzom gotowali. Ten los...

Kucharek było chyba z dziesięć: od starych raszpli po młodziutki, prosto po szkole gastronomicznej. Kucharz jeden, malutki, że ledwo zza kontuaru wystawał. Nad nimi trzymały pieczę jakieś zażywne szefowe w białych, lekarskich fartuchach, nad całością zaś - kwatermistrz - pan chorąży, rzadko kiedy trzeźwy, a jeżeli już, to i tak bełkoczący jak nalany, że trudno go było zrozumieć. Ale nie nasz problem, my go rozumieć nie musieliśmy. My chcieliśmy tylko dobrze zjeść.

Wielu ludzi twierdzi, że kuchnia to najważniejsza część domu. Zgadaliśmy się z tym.

W całej rozciągłości kotleta schabowego.

- Dzień dobry, chłopcy - witała nas bladym świtem jedna z kucharek, gdy przychodziliśmy na pierwsze śniadanko. - Ilu wasz jest?

- Sztu! - odpowiadał zgodnie z narzuconą konwencją ten z nas, co był tego dnia najszybciej przy korycie, jak ten Bartosz Głowacki, co czapiną zgasił palący się lont w carskiej armacie w czas kościuszkowskiej insurekcji.

Kuchara obrażała się na wejście, ale my nie przejmowaliśmy się tym. Za głośno grało w naszych żołądkach łaknienie. Bo następował czas żeru. Świętego i codziennego.

- Coś mała ta kielbaska - zauważał ktoś następny w kolejce, kto nigdy jakoś nie sływał z przesadnej dociekliwości.

- Jest taka, jak być powinna - reagowała ostro najstarsza z kucht, rzucając z nienawiścią talerzyk na blat z pociemniałego lastryko. - Następny!



O tym, że waliły nas po rogach, a raczej po żołądkach i kieszeniach, wiedzieliśmy od dawna. Bo jakoś tak dziwnie się składało, że kiedy rano zwartą grupką (jakby bały się, że coś może „przypadkiem” wypaść z okna internatu) przemykały od bramy w kierunku kuchni, to każda trzymała na ramieniu lub w ręku jedynie zgrabną, niewielką torebkę. A kiedy wieczorem szły do domu, siatami ciągnęły niemal po ziemi. Nietrudno było się domyśleć, co w nich dzwigały.

- Kurwy! Oddawać kielbasę! - dobiegało wtedy z okien, na co kuchary przyspieszały kroku, by jak najszybciej znaleźć się za bramą, bo wydawało im się, krowom głupim, że w tym miejscu to my możemy im już nagwizdać.

Pewnego dnia kilku z nas wskoczyło nawet specjalnie na tę okazję w mundurki, na ręce wciągnęło biało-czerwone opaski, które na co dzień służyły dyżurującym przy telefonie, i dalej ścigać wstrętne babska.

- Proszę pokazać, co ma pani w siatce! - zażądał któryś ze śmiałków tonem srogiego i bardzo drogiego celnika.

Kucharka poczerwieniała, napuszyła się jak kwoka, ale w tym samym momencie koleżanki za jej plecami zaczęły napierać jak w kolejce po mięso, której to cennej umiejętności chyba nigdy się nie zapomina. Od strony internatu biegł już ktoś z kadry, zaalarmowany przez konfidenta portiera. No i przeszły. Ale chyba dzięki temu wywieszono jakąś kartkę z obowiązującymi normami, ponoć też zaczęto ważyć każdą porcję. Tak nam przynajmniej obiecano. Jak wiele rzeczy.

Czas na stołówce mijał nam bardzo miło. Wszak nie ma to jak pogawędka z przyjaznymi kolegami przy kubeczku kawy zbożowej. Ten zdrowy skądinąd napitek szybko się nam jednak znudził. Nasze liczne interpelacje w sprawie zwykłej herbaty nie przynosiły, niestety, żadnego skutku.

- Ja już nawet sram na czarno - żalił się Jasiak Sosabowski, z którym się nawet polubiliśmy i znaleźliśmy wspólne zainteresowania; pojawiła się też szansa, żeby zamieszkać w jednym pokoju.

Coś należało z tym fantem zrobić. Niezwłocznie. Ktoś zaproponował bunt.

- Ale to się przecież nie uda - zaproponował z miejsca jeden z etatowych defetystów, ale równie szybko go zakrzyczano.

Bunt miał polegać na tym, iż następnego ranka zjemy śniadanie na sucho. Kawa zostanie w kubeczkach na stołach, tak jak stała, a także w dzbankach, z których się nalewało, gdy komuś było mało, no i reszta w kotle.

- A niech się któryś wyłamie! - przekazywano z ust do ust tę groźbę, którą właściwie nie wiadomo kto sformułował.

Ale nikt się nie wyłamał. Kuchary klęły, ale nic nie mogły zrobić. Jedynie zameldować o tym wyższej instancji, która nie po raz pierwszy zrozumiała, że będzie miała z nami kłopoty. Próbowano jednak negocjować.

- Jak już nie wypiliście, to może pozmywacie? - zaproponowano nieśmiało.

Przyjęliśmy warunki. Wyznaczona delegacja, w gronie której znalazłem się i ja, wzięła na siebie ciężar zmywania.

- Co, nie chciało się nosić teczki, trzeba zmywać kubeczki? - zaśmiała się niskim głosem jedna z grubych kuchar, ale żaden z nas nie zaśmiał się z dowcipu.

Kawy zbożowej więcej nie było. To nas trochę podbudowało. Gdy brakowało na przykład chleba, wiedzieliśmy już, co zrobić, by się znalazł.

- Chleba! - ryczał ktoś jak zraniony jeleń.

- Chlebaaaa!!! - po chwili przychodzili mu w sukurs kolejni.

- I igrzysk - próbował żartować któryś z pilnujących nas wychowawców, jednak nam wcale nie chciało się żartować, a może nie znaliśmy jeszcze tego starego zawołania.

Gdy chleba wciąż nie było, przechodziliśmy do kolejnego etapu protestu. W „Syzyfowych pracach” Stefana Żeromskiego jest taka scena, gdy chłopcy w obronie jednego kolegi napierdalają miarowo pulpitemi, a rosyjscy nauczyciele miotają się po szkole, nie wiedząc, co z tym zrobić. My nie chcieliśmy być gorsi.

- Same tego chciały - wydawał wyrok prowodyr buntu, którego jednak daremnie byłoby szukać w tłumie, nie tylko z powodu jednakowych strojów.

- Poczekajmy jeszcze chwilę - mówił ktoś inny, po czym dawał kucharom jeszcze jedną szansę, wrzeszcząc co sił w płucach: - Chlebaaaa!!!

Jednak i to zwykle nie skutkowało. Trzeba było iść dalej.

- No to siup - komenderował prowodyr.

I uderzał aluminiową łyżką w stół. Reszta w lot łapała, o co chodzi, chwytając oręż w dłoń. Miarowe łup-łup. I coraz szybciej, coraz głośniej. Odgłos ten jako żywo przypominał serię z karabinu maszynowego. Nawet ci, którym sprawa dodatkowego chleba była obojętna, walili z zapalem, znajdując w tym świetny sposób na nudę.

- Chleba! Chleba! Chleba! - skandował tłum, bardziej chyba dla draki niż z uczucia prawdziwego głodu.

No, gdyby nas wtedy mógł widzieć taki Ludwik Waryński. Ale nie mógł. My zresztą tego smutnego pana znaleźliśmy tylko z banknotu stużłotowego. I niezbyt lubiliśmy. Nie tylko dlatego, że przypisany mu nominał coraz szybciej tracił wartość.

Łup-łup! Łup-łup! Łup-łup!

W tym momencie nasi wychowawcy zazwyczaj wycofywali się dyskretnie ze stołówek. A kilka bochenków dodatkowego chleba było wnoszone w dużym koszu przez małego kucharza. Znikał w sekundę. Kucharz zresztą też.

Poza tym jedzenie raczej nam smakowało. Najlepiej ilustrowała to historia pewnej

kostki serka topionego, którym nas z zapalem karmiono. Jednemu z nas widać wyjątkowo nie podpasował, gdyż któregoś dnia na samym początku nauki, opuszczając stołówkę, cisnął nim przed siebie. Nieszczęsny serek rozpląszczył się na luksferze, dobrych kilka metrów nad schodami. No i został tam aż do matury, a kto wie, może jeszcze tam jest...

Grzech szósty - Zazdrość. Uczucie prawie nam nieznane.

Grzech siódmy, ostatni - Gniew...

No, dobra. Były niesnaski, głównie o dziewczyny, które z czasem zaczęły pojawiać się u nas na dyskotekach, organizowanych nieśmiało. Nie pamiętam jednak, żeby dochodziło na tym tle do poważniejszych incydentów na pobliskiej łączce czy w szkolnej toalecie.

Za to nam chyba zazdrozczono. Chwilę po zmianie stroju nasza lokalna posłanka z Solidarności zarzekała się, oświadczając wszem i wobec, że teraz weźmie się za lokalne Liceum Wojskowe. Nigdy jednak się nie dowiedzieliśmy, czy się wzięła, czy tylko... wzięła.

Szybko poszło. Wyjątkowo szybko. Cielący zachwyty prostaczków, bojaźń maluczkich, zahukanie tych, których w domu nauczono jeść nożem i widelcem, mówić „dziękuję” i „przepraszam”. Wszystko to, dzień po dniu, ustępowało innemu, bardzo niedobremu uczuciu. Gniewowi.

Uczono nas gniewu. Noc po nocy. Nieświadomie, ale skutecznie. Zanim zrobił użytek z mydła junak owiniętego w ręcznik, zanim zimną lufą kałacha przyłożoną do podbródka przyniósł świadomość śpiącemu podchorążemu z Zegrza na chwilę przed utratą jej na zawsze, zanim wycelował lufami moździerzy w afgańską wioskę, o tej skuteczności nauczania zarówno oni (ci oni, którymi być mieliśmy wkrótce my), jak i my sami mieliśmy się przekonać szybko, i to na własnej skórze...

## ROK DRUGI

- Ciągłe mówisz: my, oni. My zrobiliśmy, my poszliśmy, wzięliśmy.
- Tak właśnie mówię. A co?
- Przecież każdy z nas miał swoją twarz, imię i nazwisko. Każdy miał swoją historię!
- To prawda. W takim razie dalej będzie o każdym z osobna.
- Kpisz sobie. Znam cię.
- Mówię poważnie! Tylko że zajmie to kilka godzin.
- Mamy czas.
- A jakbym chciał to spisać, to może nawet kilka tomów.
- A co stoi na przeszkodzie?
- To, że żaden z nas nie nazywa się Harry Potter.
- Kto?
- Ani nikt nie był pedałem.
- Tego to ja nie wiem...
- Ale ja wiem.
- Dobra, opowiadaj dalej.
- Już nic więcej nie pamiętam. To już tyle lat.

- Gadasz jak stary pierdoła.
  
- Mylą mi się daty, fakty. Wszystko się zaciera...
  
- Mów bez dat. Daty nieważne.
  
- Dobrze, że cię historyk nie słyszy.
  
- Mów wreszcie!

Tak, to prawda. Każdy z nas miałby do opowiedzenia oddzielną, pasjonującą zapewne historię. Niektórzy jednak nic już nie powiedzą, inni nie mają na to najmniejszej ochoty, bo się wstydzą albo po prostu mogliby powiedzieć za dużo. A my za chwilę będziemy w dupę pijani, a zresztą i tak nie mamy teraz nic lepszego do roboty.

No, to już!

\*

Klasa szkolna, czas liceum. Ją się zapamiętuje na całe życie albo nawet pisze się o niej piosenki, tak jak to zrobił Jacek Kaczmarski, którego piosenki po cichu już śpiewaliśmy. Poznawaliśmy się powoli, nieśmiało, jak te panienki na pensji oddane z rodzinnych domów.

Najpierw kumple z pokoi, które potem, w miarę docierania się postaw i charakterków, zmienialiśmy często; potem ktoś w kolejce na stołówkę, zawodnicy z jednej drużyny siatkówki na zajęciach wychowania fizycznego, sąsiad z ławki - na każdej lekcji inny. Różne charaktery, usposobienia, nastawienia do świata. Palący i niepalący, żarłoki i niejadki, mali i duzi, cisi i głośni, pyskaci i bardzo pyskaci, wierzący i niewierzący, muzycalni i niemuzycalni - ta ostatnia para kategorii zresztą przy końcu nauki straciła rację bytu, ponieważ gdy na początku pierwszej klasy na gitarze grać umiało dwóch czy trzech, to w okolicach matury - niemal wszyscy!

Naszą klasę C można było podzielić na kilka kategorii.

Pierwsza to fizyczni, czyli pakerzy albo siłacze. Wszędzie ich było pełno, jak to mówią: chętni byli do bitki i do wypitki. Robili pompki, chadzali na siłownię lub na treningi taekwondo, gdzie uczyli się trafiać przeciwnika piętą w grdykę, lubili się siłować na rękę, rozdawać przyjacielskie kuksańce na prawo i lewo. Z kolei borsuki potrzebowały dużo snu i w ogóle starały się nie rzucać niepotrzebnie w oczy - takie potulne. W przeciwieństwie do pyskatych, którzy zawsze mieli coś do powiedzenia. Wielu z nas nosiło kilka cech jednocześnie.

Zaczęliśmy się powoli docierać, poznawać. Po kilku tygodniach wiedzieliśmy już, jak komu na imię. Był więc Tomek, Jurek, Grześ. Trzech Krzysztofów, Andrzej, Wieś. Był też Czarek, wielki zuch.

Wojtek, Artur, Mirków dwóch. Zaczynały też powoli funkcjonować pseudonimy - jedne pochodzące wprost od nazwiska albo po prostu będące nazwiskiem, inne przyniesione z podstawówek, jeszcze inne nadane spontanicznie i będące efektem jakiejś śmiesznej sytuacji bądź odrobinę złośliwe, komentujące w jakiś sposób wygląd lub sposób bycia nazwanego.

Ogólnie - z każdym można było o czymś porozmawiać. Z jednym o dupach, z innym o samochodach, z trzecim nawet o poezji i sensie życia. A czasu w ciągu czterech lat w zupełności na to starczyło. A może nie? Może nie wszystko zostało powiedziane, wyjaśnione do końca?

Jedna z pierwszych takich rozmów, a raczej paneli dyskusyjnych, zawiązała się pewnego wieczora, kilka tygodni po rozpoczęciu nauki, w jednym z pokoiów. Oczywiście - zupełnie spontanicznie. I po Dzienniku Telewizyjnym.

- Boga nie ma! - rzucił rękawicę ten nieduży blondynek, Tomek Langiewicz.

- Co ty chrzaniasz?! - zaproponował Bodek Jagmin, chłopak z Kurpi, którego charakteryzował silny rumieniec, a w tej chwili poczerwieniał jeszcze bardziej.

I już było wiadomo, kto będzie przewodził dwóm grupom, które miały w tym miejscu i czasie stoczyć pojedynek na słowa i argumenty. Oby tylko na to.

Siedziałem z boku i przysłuchiwałem się dyskusji. Z początku przekrzykiwali się bez ładu i składu, potem ktoś usiłował zaprowadzić jakiś porządek, nawet zapisywać w kolejce do głosu. No i poszło na całego.

- Czy ktoś z was kiedyś widział cud?

- Każdy cud da się logicznie wytłumaczyć.

- Słyszałem, że księża sami robią te cuda, żeby ludzi na wsiach w ciemnocie trzymać.

- Nie rozśmieszaj mnie! Na religię chodziłeś?

- A żebyś wiedział, że chodziłem!

- No i?

- Wyleciałem.

- Nie potrafiłeś się przeżegnać?

- Nie, po prostu zapytałem księdza, kto zrobił płot, o który oparł się Adam.

Salwa śmiechu. Potem szala zwycięstwa przechylała się z jednej strony na drugą, by za chwilę pokonać tę samą drogę. Można było domniemywać, że w takiej szkole i w tym czasie obowiązuje jeden światopogląd. Tak jednak nie było. Religia, która stanowiła temat tej dyskusji, miała równie dużo przeciwników, jak i zagorzałych zwolenników.

- Boga nie ma! - huknął jeszcze raz Tomek Langiewicz.

- A ja się za Boga dam zabić - uderzył się w piersi Bodek.

- Za Boga? Chyba za... łysą dupę!



Na to Bodek Jagmin się popłakał. I było po dyskusji. Ktoś przypomniał sobie nagle o nieodrobionej pracy domowej, ktoś inny zapragnął niezwłocznie umyć sobie zęby. Zaczęliśmy się powoli rozchodzić po pokojach.

- Sorry, Bodek - Langiewicz wyciągnął rękę na zgodę, ale chłopak minął go bez słowa.

Wróciłem i ja do swojego numeru. Na skutek nieporozumień ze współlokatorami, z którymi nas pierwotnie zakwaterowano, jak i ogólnych ruchów migracyjnych mieszkaliśmy od kilku dni tylko we dwóch, ja i Jasio Sosabowski.

- Ostra dyskusja? - zapytał Jasiak, nie podnosząc wzroku znad czytanego w świetle nocnej lampki podręcznika.

- Na drugi raz trzeba im będzie zabrać noże, bo jeszcze zrobią z nich użytek.

- Jak będą chcieli, to i z cyrkla zrobią użytek.

Jakby na potwierdzenie tych słów dobiegł naszych uszu dziwny dźwięk. Po chwili otworzyły się drzwi, w których... tkwił wbity cyrkiel.

- Co jest?! - krzyknąłem.

- Polujemy na Wieśka - odparł Krzysiek Zajączek, po czym wyciągnął przybór matematyczny z naszych drzwi.

Wiesiek Kościuszko był z nas najmniejszy i odrobinę dupowaty, więc od początku zrobili sobie z niego ofiarę. Nigdy jednak nie robiono mu krzywdy, byliśmy wszak ludźmi na poziomie. Ot, zwykłe przyjacielskie figle, choćby trzymanie za kostki Wieśka wiszącego głową w dół z okna drugiego piętra. Albo gonitwy po schodach i rzucanie cyrklami.

- Tu się pracuje - mruknął z pretensją Jasiak, przekładając kolejną stronę książki.

Zajączek tylko się zaśmiał, po czym zamknął starannie drzwi.

Chciałem jeszcze przed snem zajrzeć do zeszytów, ale chyba nie było mi to dzisiaj dane, gdyż znów uchyliły się drzwi. Myślałem, że to przyszedł ktoś, by pożyczyć ode mnie encyklopedię; starowinka była, ale zdezaktualizować się miała dopiero za dwa, trzy lata.

W drzwiach tymczasem stanął Mirek Bołtuć, czyli „Milimetr”, ten drań, któregośmy powiesili na kranie i nie za bardzo nam się kawał udał. Był w samych slipkach, za to w rękach dzierzył gitarę. Często do mnie przychodzili, aby coś zagrać. Albo po prostu pożyczyć moje „pudło”.

- Słuchajcie, nauczyłem się nowego kawałka - powiedział, gotując instrument do gry.

I nim zdążyliśmy zaprotestować czy cokolwiek powiedzieć, Mirek już nam grał, robił wygibasy i śpiewał na znajomą nutę:

- Jadą wozy milicyjne z zomolami, dopierdolcie im, stoczniowcy, kamieniami!

Ale znów piosenkę przerwały dzikie wrzaski, które nagle dobiegły z korytarza.

- Chłopaki! Chłopaki! - rozpoznaliśmy głos Grzeška Prądyńskiego, chudzielca i nałogowego palacza, który zwykle o tej porze umiłał nam czas, stojąc przy kiblu i śpiewając: Dobranoc, dobranoc ci mówię, słoneczko...

Teraz jednak nie zawodził, a darł się wniebogłosy:

- Jezu, Jezu! Bodek się powiesił!

- Umarł za Boga? - wyrwało mi się bezwiednie.

W jednej chwili zerwaliśmy się z łóżek i dopadliśmy drzwi. W korytarzu zderzyliśmy się z Wieśkiem i Zajączkiem, którzy, zaalarmowani tak jak my, przzerwali swoją zabawę i porzucili role myśliwego i zwierzyny. Przed wejściem do szczytowego, sześciuosobowego pokoju, w którym zamieszkiwali Jagmin, Prądyński i jeszcze czterech innych pancernych, kotłowała się już niemal cała nasza klasa.

- Bodek, nie umieraj. Nie umieraj! - łkał Grześ.

Przepchałem się przez gęstniejącą ciżbę, żeby lepiej widzieć. I on tam wisiał, to znaczy pólśedział. Ubrany w pasiastą piżamę, z głową w uciskającej szyję pętli, którą podczepiono do wieszaka na ubrania. Twarz nabrzmiała, oczy zamknięte. Nieruchomy. Jak trup.

- I co żeście zrobili?! - Prądyński potoczył nienawistnym wzrokiem po zgromadzonych. - Zobaczcie, do czegoście doprowadzili?! - grzmiał chłopak, tyle że ja nie byłem do końca pewien, po której stronie był on kilkanaście minut temu.

Fakty jednak, choćbyśmy tarli oczy i do krwi szczypali się nawzajem, pozostawały faktami: Bodek wisiał. Słyszeliśmy już o kilku takich przypadkach, że ktoś w końcu nie wytrzymał presji i usiłował w ten czy inny sposób sprawę załatwić raz na zawsze. I chyba nie tylko mi zrobiło się wtedy po raz pierwszy gorąco. Tylko jeden z nas zachował zimną krew: Langiewicz. Tak jak nie wierzył w cuda czy prawdy wiekuiste, tak nie za bardzo dawał się przekonać samobójstwem Bodka. Złapał za stojącą w kącie miotłę i dalej wpychać jej koniec w dupę wisielcowi.

- Bodek, nie umieraj. Nie umieraj! - przedrzeźniał Prądyńskiego.

Wisielec jednak wciąż nie żył...

Jakiś ruch dał się odczuć od strony korytarza.

- Donata, Donata idzie - podawano z ust do ust.

W istocie, przez falujący wciąż w drzwiach tłumek przedzierała się już wychowawczyni, wysoka, piersiasta, umalowana jak zwykle koszmarne i do tego sroga Donata.

- Co się tu dzieje? - zapytała budzącym zwykle posłuch altem.

No i ona również zobaczyła, co myśmy wcześniej zobaczyli. I zbladła tak samo, bo Bodek jak nie żył, tak nie żył. Tylko Tomek uparcie trącał wisielca kijem od szczotki.

- Co mu robisz?! - huknęła Donata.

Langiewicz zaniechał czynności. W tej samej chwili Prądyński pochylił się nad uchem Bodka, jakby chciał szepnąć mu coś na ostatnią wędrówkę.

- Bodek, Donata przyszła - powiedział cicho.

Wisielec raptownie otworzył oczy i wydał z siebie wrzask postrzelonego orangutana, przez co pierwszy rząd odskoczył jak na dobrym horrorze. Bo drugi i każdy następny, z przestraszoną wychowawczynią na czele, już tylko odetchnął z wielką ulgą. Kiedy wracaliśmy do swoich pokoi, serducha nieźle nam jeszcze waliły.

Właśnie dzwonek obwieścił ciszę nocną. Jednak wieczór nie miał zamiaru jeszcze się zakończyć. Koledzy z dołu zaprosili kilku z nas na własne przedstawienie. Widać nie chcieli być gorsi.

- Co będzie? - zapytałem.

- Darek założył się z Orlikiem, że zbije żarówkę - informowano dość lakonicznie, gdy zajmowaliśmy miejsca w oknach wychodzących na dziedziniec szkoły.

Też mi wielka rzecz: żarówka. Na razie to się przecież zakładali, że zbiją co innego...

- Jaką żarówkę, Orlik? - postanowiłem dowiedzieć się u źródła.

Orlik to był ten czarny z wąsikami, który czas oczekiwania na wydanie sortów mundurowych na początku nauki umilał sobie grą w karty.

- Powiedział, że wejdzie na sam koniec ramienia dźwigu i zbije żarówkę - wyłożył w kilku prostych, żołnierskich słowach Orlik, syn sierżanta z jednego ze wschodnich garnizonów.

W istocie, na prawo od naszego internatu rozciągała się budowa nowego budynku, gdzie stał normalnych rozmiarów dźwig.

- A nie wejdzie? - wątpiłem.

- Spęka - rzucił w odpowiedzi ktoś z kibiców.

- Uwaga, zaczął - zauważył ktoś z wyglądających przez okno.

Wychyliliśmy się. Niewielki cień ludzki sprytnie pokonywał kolejne metry metalowej konstrukcji. Trwało to może z dziesięć minut, a był już na szczycie części pionowej.

- Dalej nie da rady - powiedział ktoś szeptem, ale nikt się z nim nie zgodził ani nie zaoponował.

Desperat tymczasem zaczął piąć się po nachylonym nad ziemią ramieniu dźwigu. Już ktoś o słabszych nerwach odszedł od okna, gdzieś z boku dobiegły słowa modlitwy.

Tymczasem cień wariata zastygł dokładnie w połowie.

- Nie da rady dalej - jęknął Orlik.

- Niech ktoś krzyknie, żeby schodził - powiedziałem, ale znów nikt nie zareagował.

Po chwili śmiałek ruszył jednak dalej. I zanim zdążyliśmy pomyśleć i wyobrazić sobie konsekwencje, które nas czekają na wypadek najgorszego, żarówka na szczycie dźwigu zgasła.

- Mistrzuniu! - krzyknęliśmy głośno, mimo późnej pory.

- Jeszcze musi wrócić - rzekł Orlik, który oto przegrał zakład.

Powrót jednak udał się i po kilku minutach Darek był w pokoju. Zmarznięty, siny

prawie, ale gęba mu się śmiała.

- Całe miasto było widać - to były pierwsze słowa, jakie z siebie wydobył.

No i było po przedstawieniu. Jakoś nawet nie zapytałem, o co właściwie założyli się Darek z Orlikiem.

Po kilku chwilach, stojąc przy umywalkach, wymienialiśmy wrażenia zarówno na temat kończącego się dnia, jak i ogólnie - życia. Wpadł Grześ Prądyński, stanął przed lustrem i zaczął się wydzierać, trzymając szczoteczkę do zębów tak, jak się trzyma mikrofon:

- Co nam powie zwierciadełko, kiedy staniemy na baczność przed nim z rana?

To był najnowszy przebój Róż Europy, który katowała radiowa Trójka, a zatem katowaliśmy i my, choć nie zawsze ten czy ów wiedział, o czym śpiewa:

- Powie nam, że nasze dziewczyny są dla nas najpiękniejsze. Że my dla naszych dziewczyn jesteśmy najładniejsi! - wyśpiewaliśmy nieco nierówno, ale spontanicznie.

Potem już było nieco spokojniej.

- Wiecie, przeczytałem w „Jestem”, że kiedy się myje zęby, trzeba też szorować język - powiedział w pewnej chwili Prądyński.

- Naprawdę? - zdziwiłem się.

- Naprawdę - rzekł znów uczenie Grzegorz. - Pokażę wam, jak to się robi.

Po czym wpakował sobie szczoteczkę do ust i zaczął pocierać nią język. W pewnej chwili jednak wepchnął ją chyba zbyt głęboko, gdyż jego ciałem targnął nagły spazm, oczy wyszły mu z orbit i z ust wprost na lustro chlusnęła fasolka po bretońsku, czyli nasza dzisiejsza kolacja...

- O ja cię chrzanię! - jęknął ktoś, odwracając wzrok z obrzydzeniem.

- Ale żeś narobił chlewu.

Prądyński nic już nie mówił, tylko wyplukawszy sobie z gracją usta, wziął się grzecznie za sprzątanie. W tym momencie każdy z nas postanowił sobie twardo, że przenigdy nie weźmie do rąk czasopisma „Jestem”.

Kiedy wychodziłem z łazienki, Maciek Czuma napełniał wannę wodą.

- Będziesz się kąpał? - zapytałem, on jednak tylko się zaśmiał pod nosem.

Zanurzyłem dłoń w wodzie; była koszmarnie lodowata! Czyżby to miał być jakiś nowy sposób na przyrost masy mięśniowej, o którą ostatnimi czasy dbał nasz miejscowy kolega? Nie pytałem jednak o szczegóły, tylko udałem się do pokoju.

Capstrzyk.

Oddalający się stukot gumowych podeszew nocnych pantofli na drewnianej podłodze, chlupot wody w umywalkach, muszlach klozetowych i pisuarach, stłumione głosy zapóźnionych czyściochów albo palaczy. Dochodząca skądś muzyka i skrzypienie sprężyn łóżka, bo ktoś znów, nie mogąc zasnąć, po raz dziesiąty przewraca się na drugi bok. Postukiwanie miotły o nogi łóżka, bo ktoś sobie przypomniał o porządkach lub robi je na zaś. Zza uchylonego okna wiatr w gałęziach drzew, gwizd lokomotywy, warkot przejeżdżającego naszą ulicą samochodu.

Często jednak odgłosy uwertury nocy coś zakłóca. Śmiech zbiorowy, nazbyt głośny; może czyjeś imieniny, urodziny, pierwsze prawdziwe ruchanko, a może literek bez okazji. Syrena karetki pogotowia, która jeszcze nie dotyczy nas osobiście i może nigdy nie będzie dotyczyć. Stłumiony przez las huk wystrzałów - nocne ćwiczenia na oddalonej o wiele kilometrów wojskowej strzelnicy.

Kiedy już zasypialiśmy, zza drzwi dobiegł odgłos kroków i jakieś szepty. W ciągu tych kilku miesięcy poznaliśmy już dokładnie większość internatowych odgłosów. Korytarzem mogła przechodzić większa ilość ludzi.

- Czego? - zapytał grzecznie Misza, klasowy psotnik pochodzący chyba z Ustki, kiedy wyrząłem przez uchylone drzwi.

- Czego czego? - odpowiedziałem odzewem na rzucone hasło.

I dalej szliśmy już razem. Misza, uzbrojony w jakiś zardzewiały łańcuch, w pizamie i w zimowej czapce na głowie, szedł na czele pochodu.

- Siła? - zapytałem.

- Sześciu ludzi - odpowiedział wódz.

- Cel?

- Rómmel.

- Śpi?

- Jak dziecko. Sprawdzaliśmy przed minutą.

Dziś padło zatem na niego. Robert Rómmel. Zawsze lubił mieć swoje zdanie, które zwykle artykułował bardzo szybko, czasami wręcz niezrozumiale.

Delikatnie uchyliliśmy drzwi jego pokoju. Był to zresztą ten sam pokój, w którym odbyła się dyskusja o religii; gospodarze nie zdążyli go jeszcze dobrze wywietrzyć, co stwierdziliśmy z przykrością, gdy po chwili cichuteńko weszliśmy do środka. Rómmel zajmował wyrko z samego brzegu. Spał w najlepsze, podobnie jak i reszta załogi.

Popatrzyliśmy na siebie. Niestety, koszty zostały poniesione i trzeba było skończyć, co się zaczęło.

- Kołdra - zakomenderował półgłosem Misza.



Ktoś chwycił za brzeg kołdry i jednym ruchem zerwał ją z Roberta. Sześć par rąk sięgnęło po biedaka, złapało za piżamę, uniosło w górę i obróciło się w kierunku drzwi. Wydawało się jednak, że Rómmel cały czas śpi. Pochód skierował się w stronę łazienki. Z pokoi powyłaziło kilku ciekawskich z kubeczkami z parującą herbatką, któryś wręcz zapiał z uciechy. Niesiony na ramionach chłopak wciąż jednak sprawiał wrażenie nieprzytomnego.

- Co robicie? - zawołał Prączyński, wychodząc z łazienki; nikt mu jednak nie był łaskaw wytłumaczyć, w czym problem. Zresztą wszystko można było sobie obejrzeć jak w kinie.

Kondukt był już w środku. Zastygli nad wanną jak ci saperzy na pomniku w Warszawie, którzy wbijają w dno Wisły pał przy pomocy specjalnej baby. A tą babą, za przeproszeniem, był u nas nasz koleżka, Robert Rómmel. Koleżka, który w tym momencie otworzył oczy. Było już jednak za późno na jakiegokolwiek reakcje koleżki. Bezwładne dotąd ciało naprężyło się dokładnie w chwili, gdy dotykało tafli lodowatej wody.

Chlusnęło na całą łazienkę, lustra pokryły się mokrymi liszajami. Żabi rechot wypełnił pomieszczenie. Rómmel wypluwał wodę, usiłując pojąć, co tu robi. Widownia rozpięzchła się w jednej chwili, gdyż ktoś doniósł, iż nadchodzi Donata.

W istocie, po chwili na korytarzu zastukały wysokie obcasy. Szła od razu od łazienki.

- Co tu robisz? - zapytała leżącego wciąż w wannie Rómmela.

- Kąpię się - odparł chłopak, usiłując złapać powietrze.

- Tak późno?

- Późno?

- Już jest dawno po ciszy nocnej!

- Ja długo się uczyłem, pani Donato...

Odeszła, kręcąc głową z politowaniem. Nie sprawdziła nawet temperatury wody. Może się brzydziła zanurzyć dłoń. Kawał można było zatem spokojnie uznać za udany. Tylko że jakoś nikt nie zapytał, czemu z kolei ona nie zapytała, dlaczego Rómmel kąpie się w pizamie...

\*

Jeden z pierwszych weekendów poza szkołą, chociaż określenia „weekend” jeszcze się nawet nie używało. A zatem sobota, wywalczona jako dzień wolny przez niepokornych związkowców kilka lat wcześniej, i niedziela - dzień święty, który nie zawsze mogliśmy święcić.

Zaraz po lekcjach, których w piątek wcale nie było mniej, wszak godzina obiadu rzecz święta, złapało się za torby, plecaki i co tam który miał i hajda na dworzec PKP. W całej swojej naiwności młodzieńczej, ufności i pewności trafnego wyboru ruszaliśmy w rodzinne strony w codziennych, dzinsowych mundurach. Na palcach rąk i nóg można było policzyć tych, którzy wskakiwali w cywilne łaszki. A może wtedy był taki przymus, by nawet w rodzinne strony udawać się w mundurach jako żywe reklamy nowego stylu? Już nie pamiętam. Być może. Może ci, którzy wkładali cywilne ciuchy, ryzykowali? Jest i taka możliwość...

- Macie bilety? - pytał któryś z lekką sapką, gdyśmy poginali w kilku, połączeni wspólnym kierunkiem jazdy, na nieodległą stację.

- A kto by się tym przejmował! - prychnął z pogardą jakiś twardziel, przyspieszając jednocześnie kroku, bo czasu do odjazdu pociągu zostało niewiele. - Niech mi tylko jaki „semafor” podskoczy, to od razu zobaczy - dorzucił buńczucznie, choć nie był w tym zbyt przekonujący; nawet gdy przy pomocy dwóch łokci pokazał nam działanie semafora.

Ale bilety kupili grzecznie wszyscy, także i lekkoduch-buntownik. Kolejka do kasy, z racji piątkowej, południowej pory, była gigantyczna, ale szczęściem stało w niej kilku naszych i bilety, ku oburzeniu kilku podchmielonych gości i wiejskich bab, udało się nam nabyć.

Gorzej było z wejściem do pociągu. Nabity już na dworcu głównym, wiara po fajrancie i pięciu dniach roboty waliła bowiem na swoje wsie i do pobliskich miasteczek, teraz oferował tylko miejsca wiszące. Jednak i to dało radę jakoś załatwić, choć musieliśmy się rozdzielić. Udało nam się znaleźć dwa miejsca w przedziale okupowanym przez samych facetów, którzy starym wagonowym zwyczajem robili sztuczny tłok. Zobaczywszy w drzwiach przedziału młodych mężczyzn w podobnych strojach (bardziej chyba lotnicze koszule i krawaty niż reszta), pozwolili nam się dosiąść.

Pociąg ruszył.

- Tutaj to zawsze obcinają - rzucił jeden facet, łysy, siedzący przy samym oknie.

- Co panu obcinają? - zainteresował się jego sąsiad z naprzeciwka, grubas zajadający odwiniełą z zatłuszczonego papieru kanapkę z kiełbasą.

Ogarnąłem jednym spojrzeniem cały nasz przedział. Tak się złożyło, że siedzieli tu w istocie sami faceci - młodszy, starsi, wszyscy jednakowo jakoś wymięci, jakby podróż kończyli, w dodatku wielogodzinną i w koszmarnym ścisku, a nie dopiero zaczynali. Tłumaczyła nas piątkowa, popołudniowa pora. Szczęściem nikt nie palił (przedział był dla niepalących, choć dla Polaka to żaden zakaz); w innych częściach wagonu można było się spodziewać gęstej zawiesiny dymu z wyjątkowo podłej, bo i najtańszej machorki.

- Obcinają, jak nic obcinają - powtórzył swoje ten przy oknie i zrobił kilka znaczących kiwnięć łysą głową; spojrzałem i ja w tym kierunku, ale nie było tam nic prócz budynku i bramy sąsiadującej z naszą szkołą jednostki inżyniersko-budowlanej.

- Powiesz pan wreszcie, o co biega?! - dopytywał się grubas, w którego tonie głosu chyba zaczął wzbierać już gniew, a przynajmniej irytacja.

Łysy spod okna skrzywił się boleśnie niczym intelektualista, którego proszą po raz setny o przybliżenie swoich rewolucyjnych, ewolucyjnych i dyskusyjnych teorii egzystencji.

- Kiedyś widziałem, jak jeden facet zrobił zdjęcie z pociągu - powiedział, po czym spojrzał na grubasa. - Tak jakbyś pan albo ja wstał, otworzył okno...

- Weź pan i otwórz. No, weź pan i otwórz! - przerwał mu, śmiejąc się przy tym krótko a nerwowo, milczący dotąd gość w ciemnej sztruksowej marynarce, który siedział przy drzwiach. - W polskich wagonach to prawie niemożliwe.

- I co z tym fotografem? - dopytywał się gruby pasażer, żując najpewniej chrząstkę z kiełbasy.

- Zrobił kilka zdjęć obiektów wojskowych, tak na wprost, dokładnie jak przed chwilą staliśmy. A potem spokojnie schował aparat i usiadł. W następnym mieście już na niego czekało na peronie WSW... - zakończył Łysy, przygryzając sobie paznokieć prawego kciuka.

Zapadła cisza, ale tylko na chwilę.

- A skąd wiedzieli, że to akurat ten? - zaśmiał się ten w sztruksowej marynarce. - Przecież takim pociągiem jedzie z tysiąc naroda.

- Albo i lepiej! - dorzucił cienkim głosem mój koleżka, z którym znaleźliśmy tu miejsce, i od razu się zaczerwienił; mimo to jego głos nie został pominięty.

- Albo i lepiej - potwierdził facet z rudym wąsem, szeleszcząc czytana gazetą miejscową.

- Nie słuchaliście?! - zaperzył się dryblas. - Przecież tu obcinają.

Tymczasem nasz pociąg nabierał prędkości. Tajemnicze miejsce, w którym wedle teorii narodu obcinają, a które było tylko bramą i budynkiem, które dobrze znaliśmy, dawno już zakryły inne budynki, drzewa i pagórki. Po kilku chwilach znajomy od kilku tygodni krajobraz również zniknął mi z oczu. Poczulem się wtedy dziwnie, choć nie potrafiłem nazwać tego stanu. Dziś, gdy wielu stanom duszy z powodzeniem nadaje się konkretne, naukowe nazwy, jest kłopot trochę innego rodzaju. Coraz trudniej o te stany.

- To, jak i gdzie obcinają, to chyba koledzy powinni najlepiej wiedzieć - usłyszałem naraz głos któregoś z mężczyzn.

Otworzyłem szeroko oczy; nie wiadomo kiedy mnie zmoгло. Cisza. O jakich kolegów chodziło pasażerowi brudnego przedziału pociągu jadącego na zachód piątkowym późnym popołudniem? Nawet mój kumpel patrzył na mnie pytająco. Poczulem się, jakby mnie nagle wyrwano do odpowiedzi na lekcji wyjątkowo niepodchodzącego mi przedmiotu, a takich nie brakowało.

Wszyscy faceci w przedziale patrzyli na mnie i mojego tak samo ubranego kolegę.

- Co pan? Jeszcze za wcześnie - zaśmiał się grubas, który w międzyczasie rozpakował z papieru kolejną kanapkę z kiełbasą. - Co oni mogą teraz wiedzieć?

- Dowiedzą się, kiedy dostaną cztery takie rozstrzelone gwiazdki - łysy przy oknie uczynił gest jak po wejściu do cerkwi, a reszta zgodziła się z nim niemal jednoczesnym skinieniem głów.

Zrobiło mi się nawet miło. Znali nas przecież. Ciekawe, czy mojemu koledze też było miło?

- A ja tam bym dziecka za cholerę nie puścił - burknął naraz ten w sztruksowej marynarce. - Za wiele mi krwi napsuliście w osiemdziesiątym pierwszym.

I na to reszta przedziału pokiwała głowami.

- Zamiast džinsu zwykła Odra - prychnął z pogardą ten z gazetą, taksując nasze mundurowe spodnie i bluzy, które tak nam się podobały.

- Zdaje się, macie do kompletu jeszcze takie ruskie pierożki na głowę? - dorzucił rubasznie grubas, nadając papierowi po kanapce kształt kulki swoimi wielkimi łapskami.

Na szczęście w tym momencie rozsunęły się drzwi przedziału i stanął w nich konduktor.

- Bilety do kontroli proszsz...

Niechętnie zaczęli sięgać w zanadrze, do kieszeni spodni czy teczek, w poszukiwaniu biletów, miesięcznych czy jednorazowych, normalnych czy ulgowych. Podałem i swój.

- Legitymację proszsz... - zażądał konduktor.

Podałem grzecznie. Czyli szybko.

- To jest taka szkoła? - zdziwił się kolejarz, odchyliwszy starym sposobem folię, by upewnić się, czy dokumentu nie sfalszowano, przeprawiając datę urodzenia czy wbijając pieczętkę przy pomocy ugotowanego na twardo jajka.

- A jest, panie, jest! - potwierdził w naszym imieniu łysy spod okna, na co reszta przedziału (dlaczego mnie to nie zdziwiło?) z ochotą i z uśmiechem, wręcz sympatią pokiwała głowami.

Mimo to spodziewałem się, że po wyjściu konduktora nasi przedziałowi prześladowcy przypuszczą na nas nowy atak, ale na szczęście każdy z mężczyzn wrócił do swoich podróźnych czynności - czytania gazety, jedzenia czy choćby drzemki. Nie mogłem jednak oprzeć się wtedy wrażeniu, że nie spuszczają z nas oka. I nie są to sympatyczne spojrzenia.

Może ten, co mówi, że dziecka by nie puścił, puścił, owszem, nawet osobiście odwiózł na egzaminy wstępne, tylko gówniarz ich nie zdał, schlał się z kolegami z piaskownicy dzień wcześniej, błędów ortograficznych narobił i w ogóle poruta. A już ojczulo farbę kupił, by pokój po smarkaczu odmalować i mieć tylko dla siebie. Teraz zgrywa wielkiego weterana walk z caratem. A temu w marynarze ze sztruksu, może nauczycielowi, najpewniej koleżanka z pracy, na którą ostrzył sobie od dawna zepsute zęby, przeniosła się do nas. Wystarczający to powód, by znienawidzić brudnożółte budynki nad jeziorem i ludzi w nich przebywających. Ciekawe, która to może być...

Myśli zaczęły gwałtownie przyspieszać, zapętląć się, okręcać głowę jak szarpie rannego. Skład kołysał, koła miarowo stukały o spojenia szyn. Na szczęście po kilku chwilach pociąg dojechał do mojej stacji i opuściłem przedział. Nie odważyłem się też już więcej wyjechać z miasta w mundurze lub czymkolwiek, co by go choć trochę przypominało.

\*

Od samego początku obiecywano nam, prócz wikt, opierunku i wiedzy, także możliwość rozwijania swoich talentów. Na terenie szkoły aż roilo się od rozmaitych specjalistów i specjalistek od tego czy od tamtego, którzy mieli być do naszej dyspozycji.

Któregoś dnia zaczepiliśmy jakiegoś skacowanego jegomościa, który ponoć dysponował kluczem od salki, gdzie leżał sprzęt muzyczny, nie wiem, czy zakupiony specjalnie dla nas, czy może pozostawiony nam w spadku wraz z grzybem na ścianach i tablicami propagandowymi. Kilku z nas bowiem na czymś kiedyś pogrywało, ku uciesze koleżanek z podstawówki i pewnie też rodziców, że się człek nie szlaja, nie pije jabcoka na ławce w parku, nie utopi latem na kąpielisku czy nie połamie sobie nóg, tylko grzecznie ćwiczy gamy.

Umówiliśmy się, kilku chłopaków, z których każdy coś tam kumał, po lekcjach. Fachura od klucza umówił z kolei na spotkanie innego fachurę. Był to chudy, rozgestykulowany facet w marynarce w jodełkę, który na co dzień odpowiadał za dźwięk w jakimś klubie garnizonowym czy czymś w tym guście.

- No, chłopcy, do dzieła! - wykrzyknął spec, gdyśmy się już nieco oswoili.

Po czym jął nas, swoją nową orkiestrę, ustawiać, wręczać instrumenty, instruować, jak się który prawidłowo trzyma, gadając przy tym zapamiętałe i wywijając długimi łapskami, czym przypominał żydowskiego kupca, który usiłuje upchnąć nam ten cały towar po okazji niskiej cenie.

Dwóch z nas się niemal pobiło, tak bardzo każdy chciał siedzieć za bębnami; udało się jednak wyperswadować im, że zrobią to na zmianę. Podłączyliśmy instrumenty; te, które wymagały wzmocnienia - do wzmacniaczy (ktoś chciał od razu lecieć też po wzmocnienie dla muzyków, ale nie znalazł zbyt wielkiego poklasku, ważniejsza okazała się jednak sztuka).

Po paru chwilach staliśmy już wszyscy, cały rozbudowany do granic możliwości i zasobów finansowych niejednego festiwalu w Kołobrzegu band, gotowi do zagrania

pierwszego kawałka, a potem nieuniknionego podboju świata w akompaniamencie trzaskających fleszy i krzyczących w ekstazie na chwilę przed omdleniem nastolatek.

Maestro z klubu garnizonowego stanął naprzeciwko, następnie uniósł w górę długie ręce niczym światowej sławy dyrygent. I bylibyśmy dali czadu, ognia i do pieca, gdyby nie pewien mały szczegół. Nie wiedzieliśmy, co mamy grać.

- Punka gramy.

- Nie, Metallicę!

- Papa Dance. „Panoramę Tatr”?

- A może coś harcerskiego?

- Weź, spierdalaj!

Na szczęście instruktor nie dał się zbić z pantałyku. Ani tym bardziej przekonać przez którąkolwiek ze stron. Zamachał rękami, obracając wniwecz doskonale proste, składające się z milionów drobin kurzu promienie wrześniowego, popołudniowego słońca.

- Będzie piosenka włoska - zakomenderował, po czym zabrał jednemu z naszych kolegów gitarę basową, pokręcił gałkami i zaczął śpiewać: - Maccheroni cannelloni peperoni eccola per me zuppa romana...

A czemuż by nie? Próbowaliśmy dotrzymać kroku basiście, oczywiście każdy na swój sposób, co jednak nie było łatwą sztuką. Po chwili stwierdziliśmy, że będzie to nie tyle niełatwe, co raczej niewykonalne.

- Mozzarella mortadella tarantella eccola perme... - śpiewał dalej niezmordowany instruktor z klubu garnizonowego, a myśmy niezmordowanie szarpali struny nie do końca nastrojonych gitar, uderzali w klawisze, dęli w ustniki, walili pałkami w membrany bębnów i blachy talerzy. I śpiewaliśmy też, ile sił w młodych gardłach, gdy nadszedł czas:



- Zuppa romana!

A po kilku zwrotkach już wszyscy:

- Dupa Romana!

Po czym próba została przerwana. Instruktor przekonywał, że będzie dobrze, tylko trzeba dużo ćwiczyć. Część z nas, rozdrażniona treścią piosenki, poszła z miejsca coś zjeść do miasta albo do kantyny, bo do kolacji było jeszcze sporo czasu. Postanowiliśmy też nie śpiewać już więcej, przynajmniej głośno, o tej dupie Romana. Bo tak się składało, że jeden z wychowawców miał na imię właśnie Roman. A jego żoną była nasza pani Ula.

Jedno było pewne - wielka dupa wyszła też z tego całego naszego zespołu. Może zabrakło nam wytrwałości, może część stwierdziła, że jednak woli na siłowni dbać o powodzenie wśród dziewcząt. Odtąd brzmienie instrumentów, na których niektórzy z nas chcieli grać ostrego punka, a inni jeszcze ostrzejszy heavy metal, zaczęła łagodzić gruba warstwa kurzu.

Inna ładna pani, która pracowała w naszej szkole, również zajmowała się kulturą. Jej praca polegała w gruncie rzeczy chyba tylko na załatwieniu biletów na jakiś seans kinowy dla całej szkoły. Raz na jakiś czas. Albo na zaproszeniu na spotkanie z żądną kultury młodzieżą jakiegoś miejscowego pisarza, który specjalnie dla nas wybierał do głośnego czytania co bardziej pieprzne kawałki, bądź też podstarzałego, zapijaczonego aktorzyzny, żeby się powywnętrzniął, dowartościował i popsioczył na zawistnych kolegów w miejskim teatrze.

Ale któregoś dnia zobaczyliśmy, jak owa pani tańczy. W parze z jednym z podchorążych, odwalających u nas praktykę. I tu nas mieli! Bo to już wystarczyło, żeby wiara zaczęła szukać szczęścia w szkołach tańca w mieście. A trzeba powiedzieć, że miasto naszej młodości było wtedy istną kopalnią talentów w tańcu towarzyskim, wśród których te bardziej już utytułowane zaczęły zakładać szkoły. W jednym z osiedlowych klubów działała też grupa tańca nowoczesnego i tam też wiodły ścieżki z naszej budy. Po umiejętności, dzięki którym będzie się zadawać szyku na parkiecie, ale pewnie też po to, aby poznać jakieś ciekawe partnerki. Do tańca, oczywista.

Od początku te nasze potańcówki, których się usilnie domagaliśmy, wyglądały, powiedzmy sobie, dość siermiężnie. Przy zgaszonych światłach w jednej z sal stołowych, skąd uprzednio wynieśliśmy w pocie czoła stoliki i krzesła. Przy blasku przyniesionego przez kogoś kolorofonu i muzyce granej przed domorosłego didżeja na wypożyczonym z klubu garnizonowego sprzęcie.

Najlepiej było chyba z doborem repertuaru. No i znalazły się też dziewczyny, w co dyżurni defetyści do końca jakoś nie wierzyli, układając już pewnie w myślach drogę ucieczki do internatu albo jeszcze dalej, w razie gdyby to im przypadła czerwona wstążeczka na ramieniu i rola partnerki. Aż tak źle jednak, jak mówię, nie było. Kilkoro z naszych profesorów uczyło na co dzień także w normalnych (!) szkołach, więc z nawiązaniem kontaktu z „tymi nowymi zza jeziora”, jak często o nas mówiono, nie było wielkich kłopotów. Na pierwszy ogień poszły, jak się można było spodziewać, liceum medyczne i ekonomiczne.

- To teraz patrzcie, dzieci, i uczcie się - rzekł buńczucznie Pawełek Grot, po czym poprawił jednym gestem włosy, wciągnął przez zęby zimne powietrze celem odświeżenia oddechu, wypiął klatę do przodu i ruszył ku zbitym w małe grupki i jeszcze trochę wystraszoną dziewczętom.

Z głośników pruknęło, po czym zaczęła wydobywać się rytmiczna melodia; bardziej jednak rytm, mniej w tym było melodii. O to zresztą chodziło. Grot wypatrzył w tłumku jedną wcale atrakcyjną blondynkę i już szli, trzymając się za ręce, na środek sali. Dalsze kroki też wyszły mu niczego sobie, bo para już po chwili wywijała, aż miło było popatrzeć.

Część z nas zresztą na tym patrzeniu tylko miała zamiar zakończyć. No bo w las jakoś poszedł podstawówkowy luz, wręcz lubieżne rozpasanie ósmoklasisty, kiedy to bez najmniejszego skrępowania łapało się koleżanki z klasy za tyłki na przerwie, zaglądało pod spódniczki lub wręcz próbowało szybkiego macanka podczas dyskoteki lub w szkolnej szatni. A tutaj, kiedy nie miał kto nawet poskarżyć się starym na nieobyczajne zachowanie syna? No, jakoś nie...

Może nie wszyscy mieli podobne opory, bo tłumek mieszany, szachownica bluzeczek koloru lilaróż z białymi wymiętolonymi koszulami (zgadnijcie, w co która z płci była ubrana!), zagęszczał się coraz bardziej, jeśli nie parami tańczącymi, nazwijmy to, klasycznie,

czyli z dotykaniem się rąk i czasami nawet ocieraniem bioder, to parami gibającymi obok siebie w bezpiecznej odległości, że nie było się nawet potem z czego spowiadać. Ów pierwszy rodzaj tańca też raczej niewiele miał wspólnego ze sztuką, której uczyli się nasi pradziadowie. Zwykle raz-dwa, na boki, jakby partnerzy zabijali jakoś czas w oczekiwaniu na zwolnienie toalety. Popisy z prawdziwego zdarzenia z bardziej skomplikowanymi krokami czy wręcz figurami należały naprawdę do rzadkości. Sytuację tę w znacznej mierze zmieniła właśnie nauka tańca.

Poza tym robiliśmy też sporo innych rzeczy. Ktoś działał w dyskusyjnym klubie filmowym, inny już udzielał się społecznie w domu dziecka. Oczywiście, wszystko to w mieście. Bowiem miasto się do nas przyzwyczało, a my do miasta. Psy zostały oswojone, choć nigdy nie należało do końca uśpić w sobie czujności...

\*

Kolejne dni i tygodnie mijały nam na dobrej zabawie. Kąpiący dziś, jutro mogli być kąpieni, wieszający, wieszani, ofiary katami, a wyśmiewani mogli do bólu brzucha kogoś wyśmiewać. Człek nie znał dnia ani godziny.

Bo nasz Miszka w końcu się dograł i wyleciał ze szkoły za swoje wygłupy. Kilka razy przechodził z pokoju do pokoju po gzymsie na wysokości drugiego piętra, palił fajki, choć gdy mu Karzyński kazał chuchnąć, chłopak wciągał powietrze miast je wypuszczać, więc kapitan ani razu nic nie wyczuł. Ale szalę przeważyła ponoć popularna w więzieniach grzałka z żyłek, doprowadzająca wodę do wrzenia w kilka sekund, przy pomocy której Miszka przygotowywał sobie herbatkę.

W szkole profesorowie również skończyli z taryfą ulgową i solidnie zaczęli się nam dobierać do skóry. Już nie tylko niezmordowany pan „Wiewióra”, który mógł się zmęczyć samym podnoszeniem trzech paluchów do góry, ale też inni postanowili pokazać nam, że liceum ogólnokształcące, a szczególnie liceum wojskowe to nie fiu-bździu, a matury nie zdaje się z musztry, strzelania, wychowania fizycznego i robienia sobie nawzajem kawałów, a z algebry i gramatyki, kombinatoryki, języków obcych i literatury polskiej.

Oczywiście, próbowaliśmy różnych sposobów, żeby dyskusję skierować zawsze na

bezpieczne, przyjazne nam tory. A to usiłować wprost podważyć sens rozwiązywania układów równań, bo do czego się nam to przyda? Albo na polskim, przy okazji „Pieśni o Rolandzie”, pastwić się nad biedakiem, nazywając go zbrodniarzem wojennym. Tudzież, omawiając przyczyny klęski wrześniowej, zapewniać buńczucznie, że my to byśmy frycom pokazali. Tylko o zbrodnię katyńską jeszcze jakoś nie pytaliśmy. Zresztą nie wiadomo, czy na coś by się to zdało.

Gdy było naprawdę źle, ratunku zaczynaliśmy szukać w szkolnym ambulatorium, które wraz z izbą chorych zajmowało pomieszczenia na parterze jednego z budynków szkolnych. Tam też, przy dobrych układach lub ruchach prątków, można było zalec nawet na kilka dni. Na początku było zawsze miłe spotkanie z urodziwymi paniami pielęgniarkami, dzięki którym właściwie już było nam dużo lepiej. Jednak po chwili trzeba było stanąć twarzą w twarz z naszym lekarzem, majorem Waligóram, który swoimi praktykami i tym, że chyba za bardzo nie orientował się, że nie ma już do czynienia z żołnierzami służby zasadniczej, od samego początku zyskał sobie wśród nas uznanie i swojski przydomek... „Doktor Mengele”.

- Co ci dolega? - pytał lekarz, bazgrołąc coś na druczkach recept.

- Mam zawroty głowy, nudności... - usiłowaliśmy spokojnie wyliczyć wszystkie objawy groźnej choroby, która być może już nas toczyła, by ułatwić doktorowi postawienie diagnozy.

- Tak? - lekarz zachęcał nas, jak tylko potrafił, a w jego głosie wyraźnie czuć było troskę o dobro pacjenta. - Coś jeszcze?

- Wymiotowałem dwa razy, wczoraj wieczorem i dzisiaj rano.

Major przysuwał sobie talerzyk z pączkiem i gryzł kawałek.

- Stolec był? - pytał po chwili.

- Był.

- Jakiego koloru był stolec?

- Czarny - odpowiadaliśmy trochę w ciemno, wszak nie wiedzieliśmy jeszcze, że może to mieć tak duże znaczenie.

Lekarz pociągał łyk herbaty ze szklanki i znów coś bazgrolił po stole.

- Wszystko? - pytał po dłuższej chwili.

- Tak - odpowiadaliśmy słabym głosem i czekaliśmy już tylko na pomoc.

A ta, choć jeszcze przez chwilę mieliśmy nadzieję, że będzie inaczej, była jedna: - Witamina B i płukanie gardła.

Czyli zwyczajowy zestaw dla symulantów, wypróbowany na wielu rocznikach biednych żołnierzy OTK. Zwykle po takim płukaniu gardła azulanem naprawdę zachciewało się nam rzygać. Nie było rady, trzeba było wracać na zajęcia i próbować innych metod.

- Nie mogę dziś odpowiadać, pani profesor - mówił Grześ Prądyński, stając przed panią od języka niemieckiego, którą pieszczotliwie nazywaliśmy „Helgą”.

- Warum? - pytała germanistka.

- Bo mam dreszcze - odpowiadał symulant i usiłował się nawet zatrząść.

Wtedy trzęsła się, ale już ze śmiechu, również pani profesor „Helga”.

Nie było więc odwołania - nauka była nauką, a nauczyciele bardzo skrupulatni i nie chcieli nawet udawać, że jest inaczej. Dlatego obiad każdego dnia witaliśmy z prawdziwą wdzięcznością, co by nie dano do żarcia - pójście na stołówkę oznaczało koniec zajęć. Można było zająć umysł czym innym. Większość myślni była już w mieście. W normalnym świecie, wśród anonimowych przechodniów. Przynajmniej przez te dwie godziny dziennie.

Niestety, podpadnięci mogli tylko o tym pomarzyć. Pozostawało boisko szkolne, krótka kima albo, to już nieco później, dziura w płocie. Podpadziochy i ci, którym wypadał

tego dnia dyżur, czyli ślęczenie przy niewygodnym stoliczku na korytarzu, odbieranie telefonów, a wieczorem przetarcie podłogi w łazienkach. Któregoś dnia przyjemność taka spotkała również i mnie.

Siedziałem sobie zatem spokojnie i patrzyłem z odrobiną zazdrości, jak kawalerka wybiera się na gościnne występy. Pluskała wesoło woda w umywalkach, a nawet prysznicu. Zewsząd dochodził śmiech, radosne nawoływania i różne inne, mniej lub bardziej zagadkowe dźwięki. Po pokojach latały ciuchy jak u jakichś dziewczątek strojących się na pierwszy w życiu bal. Dawno już w kął poszły mundurowe elementy garderoby, wyparte przez piramidki kupowane na bazaru i tureckie sweterki we wzorek a la dzikie węże.

- Garujesz? - zapytał Zajączek, przechodząc korytarzem.

- Jak widać - odrzekłem, powracając do czytanej książki.

Kilka metrów od stoliczka dyżurnego były drzwi gabinetu naszego opiekuna roku, kapitana Karzyńskiego. W pewnej chwili stanął przed nimi Mirek Bołtuć, nasz „Milimetr”. Umundurowany jak trzeba, choć już było po godzinach. Poprawił krawat, przygładził blond włosy, zaszurał nogami, zapukał, po czym wszedł do środka.

- Rozmowa indywidualna - skwitowałem pod nosem tę zwyczajną sytuację i los każdego podpadniętego, po czym przewróciłem kolejną stronę książki.

Po chwili zadzwonił telefon. Ktoś po drugiej stronie chciał rozmawiać z Zajączkiem. Poinformowałem, że ów oddalił się i będzie za dwie godziny. Rozmówca bez słowa odłożył z trzaskiem słuchawkę. Aż mnie ucho zabolalo w środku.

W tej samej sekundzie trzasnęło też po drugiej stronie. To były drzwi gabinetu „Karakana”. Bołtuć stał na korytarzu i ciężko oddychał. Twarz miał czerwoną z gniewu albo wstydu.

- Co się stało? - zaniepokoił się szczupły brunet, Robert Skrzynecki, który dopiero wracał z obiadu.

Odpowiedzi jednak nie było. Tylko po kilku chwilach deklaracja, którą nieraz już każdy z nas składał w myślach.

- Zabiję go! - syknął Mirek, zaciskając dłonie w pięści.

Jak na zawołanie zebrał się spory tłumek zainteresowanych dalszym obrotem sprawy. Mirosław tymczasem gwałtownie obrócił się na pięcie, szarpnął za klamkę i znów był w środku.

- Co ci się, kurwa, nie podoba?! - dobiegł naszych uszu wrzask chłopaka.

I znów wyszedł. I znów trzasnął drzwiami, ale tylko po to, żeby po sekundzie je otworzyć zamaszystym szarpnięciem.

- Masz coś jeszcze, to chodź, wyjdziemy! - odgrażał się „Milimetr” tak, że mu aż ślina tryskała na boki.

Jak jeden wstrzymaliśmy oddech.

- Wyleci, jak bum-cyk-cyk, wyleci - opiniował jeden z borsuków, mały Sławek Kleeberg, być może dopiero co wyrwany z poobiedniej drzemki.

I jeszcze raz awanturnik trzasnął drzwiami, i jeszcze raz z jego ust bluznęły obelgi.

- Coś mówiłeś, kurwa?! Powiedz tylko jedno słowo, to zobaczysz, kurduplu jebany!

Ostatnie trzaśnięcie drzwiami, aż tynk się posypał spod futryny.

- Kto idzie zapalić? - potoczył Bołtuć wściekłym wzrokiem po sporym już tłumku gapiów.

Odeszli chyba w pięciu w kierunku toalet. Reszta rozpierchła się dość szybko, mimo że spektakl był wcale frapujący, ale zwyciężył chyba strach przez Karzyńskim, który lada chwila mógł wypaść ze swej gawry i szukać zemsty, a nie ma nic gorszego, jak stać się

przypadkową ofiarą. Po kilku chwilach byłem znów na korytarzu sam.

I wtedy po schodach wolnym krokiem wszedł na nasze piętro... kapitan Jan Karzyński.

Tak. Byliśmy świrusami. Co by nie mówić i jak by na to nie patrzeć. Choroba młodości, a może i sposób na to, żeby... naprawdę nie ześwirować?

Po kilku chwilach mogłem powtórnie zagłębić się w lekturze. Ale tego dnia chyba nie było mi to dane, bo właśnie nade mną stanął Piotr. Niepozorny szatyn, o twarzy, jakich setki mija się na co dzień w tłumie przechodniów. Dobry z matmy. Wydawał się być czymś zaaferowany. Nietrudno było się domyśleć czym.

- Niezły numer, co? - zaśmiałem się.

- Jaki? - zapytał nieprzytomnie.

- Nie widziałeś, co „Milimetr” zrobił z Karzyńskim?

- Nie. A co zrobił?

Rzeczywiście, Piotrek musiał być myślami zupełnie gdzieś indziej, daleko, a może blisko. W każdym razie nie tutaj. I nie drążyłem już głębiej tematu.

- Czy mógłbyś mi pożyczyć swój pasek, wiesz, ten czarny? - zapytał po chwili.

- Jasne - odparłem. - Wybierasz się gdzieś?

- Do dziewczyny idę - bąknął wyraźnie zawstydzony.

Wszedłem do swojego pokoju po pasek. Nie było nic nadzwyczajnego w tym, że pożyczaliśmy od siebie różne elementy garderoby. Oby tylko pasowały. Jak któryś z chłopaków szedł na randkę, to razem z nim szły nasze najlepsze ciuchy, buty (wczoraj ratowałem swoimi „depechówkami” Jurka Kutrzebę), oryginalne, czasami nieco szpanerskie dodatki. Tak jak teraz mój pasek z dobrej skóry, z fajną srebrną sprzączką. A z Piotrem to



nawet się polubiliśmy, więc tym bardziej nie widziałem jakichkolwiek przeszkód.

- Masz.

- Dzięki! - kiwnął głową i chyba nawet się uśmiechnął. - Wiesz, bo ja po raz pierwszy idę dzisiaj do niej do domu.

- Super! Mieszka tutaj, w mieście?

- Tak. Poznaliśmy się jeszcze w ósmej klasie, na olimpiadzie matematycznej. Potem się okazało, że otwierają tę naszą szkołę, no i dzięki temu jesteśmy bliżej.

- Przynajmniej jakaś korzyść z naszej budy - zaśmiałem się.

- Żebyś wiedział.

- Pasuje ci pasek?

- W porządku. Dzięki.

- Opowiesz mi wszystko, jak wrócisz? Co?

Opowie. Zrobi to - i to nie tylko z wdzięczności za pożyczony pasek. Bo my lubiliśmy o tym mówić. Co się zdarzyło naprawdę, zapierało nam dech w piersi, ucisnęło w żołądku czy stwardniało w spodniach. I co było jedynie wytworem naszej młodości, pryszczatej wyobraźni - też. Opowie, tylko stąd wyjdzie...

- Czekam na was o godzinie szesnastej czterdzieści pięć - powiedziała pani Ula, pani naszego czasu, do większej grupki wychodzących na wolność.

- Ale przecież czas wolny jest do siedemnastej - Piotr próbował oponować, bardziej z przyzwyczajenia niż dla jakichś większych korzyści.

- Zgadza się, ale piętnaście minut jest na przygotowanie do nauki własnej - wyjaśniła

bez mrugnięcia okiem.

- Ale ja myślałem...

- Widocznie myślenie nie jest twoją najlepszą stroną - ucięła wszelkie dyskusje, waząc w smukłej dłoni nasz dokument uprawniający do wyjścia.

Mimo to Piotr uśmiechał się w duchu. Opowie, jak tylko wróci do internatu, jeszcze oszołomiony, zachwycony, nieobecny. Że od razu po wyjściu za bramę i pokonaniu kilkuset metrów drogi wzdłuż jeziora przypasał mu autobus jadący do centrum. Nawet nie musiał podbiegać. To wróżyło fart.

- Proszę, niech pani usiądzie! - zerwał się z siedzenia, ponieważ do autobusu weszła właśnie jakaś starowinka.

Jakoś nie potrafił inaczej, mimo że na rękawie kurtki nie miał tarczy, która od razu by go zdemaskowała. Zresztą teraz mógł jechać nawet na stojąco, na wisząco, jak tylko! Mógłby z ochotą biec, żeby tylko być szybciej. Bo chciał być już przy niej, przy swojej dziewczynie. Przy Agnieszce.

Był chłodny, ale suchy dzień listopadowy. Jeszcze jasno, ale za pół godziny już się znacznie ściemniać. Wiatr wiał dość mocno, zatrzymując w miejscu lub popychając do przodu idących ulicami przechodniów. Niósł zapach gnijących liści i dym z ognisk rozpalanych nad jeziorami. Autobus, sapiąc ciężko, wspinał się pochyłą ulicą ku głównemu skrzyżowaniu miasta, gdzie wznosił się miejski ratusz. Po chwili Piotr wyskoczył na przystanku przy Domach Towarowych „Centrum” i biegiem ruszył w stronę okazałego gmachu z wysoką wieżą. Tam zwykle umawiali się wszyscy zakochani. Aga już czekała. Długie blond włosy, czerwona spódniczka. Poznał ją już z daleka.

- Cześć - sapnął.

- Jesteś, Piotrusiu...

Uwielbiał ten jej uśmiech, trochę tajemniczy, trochę kpiarski. Ale jeszcze bardziej

lubił smak jej ust. Przyłgął do nich chciwie. W końcu nie widzieli się przez całe dwadzieścia dwie godziny.

- Bo mnie udusisz! - zaśmiała się dziewczyna, delikatnie wyrywając się z jego uścisku. - Ile masz czasu?

- Jak zwykle, niestety - odparł ze smutkiem w głosie.

- Nic nie udało ci się utargować?

- Ula ma dzisiaj dyżur, a ona jest gorsza od pięciu kaprali.

- Trudno, chodźmy - zawołała Agnieszka, ciągnąc swojego chłopaka za mankiet kurtki.

- Naprawdę musimy? - jęknął chłopak.

- Mama przygotowała pyszną pieczeń.

- Ale ja już jadłem obiad...

- Trudno. No, już... Nie rób mi tego.

Po kilkunastu minutach stali przed drzwiami jej mieszkania. Istotnie, zapach pieczonego mięsa przyjemnie pieścił zmysły już od parteru, a Agnieszka wraz z rodzicami mieszkała na ostatnim, czwartym piętrze, w typowym bloku z wielkiej płyty, niezbyt daleko centrum miasta.

- Uwaga! - zawołała dziewczyna, naciskając klamkę. - Prowadzę gościa.

Kręciło mu się w głowie. Po raz pierwszy miał zobaczyć jej rodziców, oni jego zresztą też. Trochę się bał takich chwil, a zwykle objawiało się to tym, że zapominał języka w gębie. Dziś jednak czuł się wyjątkowo lekko. Elegancko, z pocałowaniem ręki przedstawił się matce, która okazała się zupełnie niepodobna do Agi; ojca jeszcze nie było.

- Siadajcie, dzieci. Siadajcie - zapraszała matka. - Zaraz podam zupę.

I tak od wieków, i tak dalej. Męki konkurenta. Niby coraz łatwiej, niby szybciej, a jednak. Zanim podano zupę, Piotr spocił się jak mysz. A po zupie to już szkoda gadać. Agnieszka uśmiechała się ujmująco, może nawet ze skrywaną dumą. Czyżby było już po pierwszych kuchennych recenzjach?

Zgrzytnął zamek w drzwiach. Do mieszkania wszedł ojciec.

- Chodź do nas, tatku! - zawołała słodko Aga, a Piotrek ścierpł ze strachu.

Wszedł do pokoju. Zwalisty, budzący respekt, siwiejący na skroniach chłop.

- Malinowski - przedstawił się, wyciągając dłoń.

- Piotr... - wykrztusił chłopak, unosząc się znad talerza z resztą zupy.

- Siadajcie już, dzieci. Siadajcie - mówiła matka. - Zaraz podam drugie danie.

Agnieszka była jeszcze bardziej dumna. Ciekawe z kogo. Ta myśl nie dawała spokoju chłopakowi, a cisza, która nagle zawisła nad stołem, była już zupełnie nie do wytrzymania.

- To jak tam z wami jest? - ojciec zadał pytanie, ale rzucił je w przestrzeń między zakochanymi, więc nie było za bardzo wiadomo, kto ma odpowiadać.

Piotr, nauczony doświadczeniem wielu miesięcy spędzonych za płotem, milczał. Aga tylko zaśmiała się figlarnie.

- Słyszałem, że się z Agusią razem uczycie - spróbował jeszcze raz ojciec, siorbiąc przyniesioną mu przez matkę pomidorową.

- Czasami - powiedział chłopak cichutko i odchrząknął.

- To Piotruś, tato. On chodzi do tego nowego, wojskowego...

Ojciec spojrział znad talerza.

- Aha, wiem - bąknął. - Ja też byłem w wojsku, całe dwa lata. Nieciekawa instytucja.

Pieczeń była pyszna, zresztą po kilkutygodniowym żołnierskim festiwalu, gdzie w rolach głównych występowały mięsiwa o twardości podeszwy, smakowało wszystko. Piotr czuł, jak koszula, już zimna, powoli odlepia mu się od pleców. Ojciec Agnieszki za to bawił się świetnie. Z dumą i przy wsparciu żony roztaczał wizje przyszłości swojej ukochanej jedynaczki, widząc dziecko koniecznie na studiach prawniczych w stolicy, a potem w jakiejś dobrej kancelarii adwokackiej bądź notarialnej, koniecznie z tradycjami.

Tymczasem za oknem zrobiło się już zupełnie ciemno i trzeba było się zbierać. Mieszkaniec internatu niespokojnie spojrzął na zegarek.

- Dyscyplina, co? - ojciec uśmiechnął się krzywo, choć chłopakowi wydawało się, że w głosie tego mężczyzny usłyszał kpinę.

- Tak, dyscyplina - zgodził się, wstając od stołu. - Dziękuję bardzo za obiad.

- Mam nadzieję, że ci smakowało - odpowiedziała matka z uśmiechem. - Kiedy znów do nas przyjdiesz?

- Jak go puszczą - odpowiedział w zastępstwie ojciec Agnieszki.

Śmiech serdeczny wypełnił salon. Piotr, nauczony doświadczeniem kilku miesięcy spędzonych za płotem, za który zresztą zaraz będzie wracać, przyłączył się tylko przez grzeczność. Aga odprowadzała go na przystanek.

- Przepraszam za tatę - powiedziała, gdy schodzili w dół po schodach.

- Czemu?

- Nie udawaj, że nic się nie stało. Przyczepiał się - rzekła, wzruszając ramionami. - Ale to nic nie znaczy. On już tak ma.

- Tak - mruknął niewyraźnie chłopak. - Kiedy się zobaczymy?

Powroty były zawsze trudne. Już nawet nie chodziło o to, że autobus jadący w stronę internatu nie przyjeżdżał wcale albo się spóźniał, albo był za wcześnie i trzeba było za nim gonić, nie zdążywszy się należycie pożegnać. Że akurat zaczynał lać deszcz, a przez cały dzień ani kropli, ludzie byli nieuprzejmi, pojazd włókł się niemiłosiernie, a duża wskazówka na ratuszu zbliżała się nieuchronnie do dwunastki.

- Dziesięć minut spóźnienia - stwierdziła sucho pani Ula.

Siedziała sobie wraz z innymi wychowawcami w ciepłym pokoiku. I patrzyli na Piotra, chyba z nudów, co najmniej jak na mordercę. Ale tylko przez chwilę.

- Patrzcie, jaki fajny podkoszulek kupiłam - powiedziała Donata, wyjmując coś z torby.

- Bawełniany? - zainteresowała się „Mikro”, wychowawczyni klasy B, nieduża, wścibska i z wielkimi okularami o silnych szklach.

- Bawełna!

- Gdzie kupiłaś?

- W „pedecie”.

- Były różowe?

- Nie, tylko białe.

- A, to szkoda.

- Przepraszam - powiedział Piotrek cicho, żeby nie przerywać tej frapującej dysputy; w tym samym momencie za nim pojawiło się jeszcze dwóch spóźnialskich; obaj zapamiętali żuli gumę miętową, pewnie żeby zniwelować woń alkoholu i papierosów.

Pani Ula skrupulatnie zanotowała coś w swoim kajeciku, ale chłopakowi było już zupełnie obojętne co.

- Jeszcze sobie o tym porozmawiamy - powiedziała srogo, jakby rzeczywiście jej podopieczny był winny jakichś potworności.

Wrócił do pokoju. Próbował coś czytać, ale zupełnie mu dziś nie szło. Cały czas myślami był gdzie indziej: w mieszkaniu Agnieszki, w dużym pokoju, podczas tego nieszczęsnego obiadu. Potem była kolacja, podczas której zmówiliśmy się w kilku na nocne karty. Dopiero około jedenastej wieczorem udało się nam porozmawiać.

- Myślisz, że to ma sens? - zapytał mnie między pierwszym a drugim rozdaniem.

- Co?

- Ta cała nasza szkoła, nasza przyszłość. Czy zrobiliśmy dobrze?

- Sam nie wiem. Chyba tak - odparłem trochę od niechcenia, by za chwilę się poprawić. - Lepiej myśleć, że tak.

Chwila ciszy, bo z korytarza doszły naszych uszu jakieś podejrzane dźwięki. Mógł to być jeden z recepcjonistów, zwany „Cichą Stopą” lub trochę mniej sympatycznie „Volksdeutschem”, bo lubił nas szpiegować, a potem donosić stosownym władzom. Jak na emerytowanego żołnierza Wojskowej Służby Wewnętrznej przystało. Cichutko, na paluszkach - stąd jego pierwszy pseudonim. Czaił się przy drzwiach i nasłuchiwał, by za chwilę z triumfem łowcy je otworzyć, demaskując nasze tajemnice. Potem, kiedy pewnego wieczora zastał w jednym łóżku dwóch z nas - i to bez koszulek - trochę przystopował. Oni zresztą nic nie robili. Po prostu się wygłupiali, ale „Cicha Stopa” już tego nie mógł wiedzieć.

Tym razem jednak alarm okazał się fałszywy. Graliśmy spokojnie dalej.

- No to cyk. Sru!

- Ciach babkę w piach.

- I chuj!

Wygrałem rozdanie. Wszystkie zapalki moje. Potem na chwilę musieliśmy przerwać, gdyż obok, na jednym z łóżek, rozpoczął się właśnie zabieg chirurgiczny. Jeden kolega, Andrzej Szylling, nabawił się bowiem czyraka na tylnej części ciała. A że za lekarzami jakoś nie przepadał, więc się chłopina męczył, aż szkoda było patrzeć. No to Sosabowski wraz z Zajączkiem postanowili mu ulżyć w cierpieniu. Wymagało to jednak przygotowań. Z izby chorych podprowadzili po południu skalpel, który teraz właśnie wyjęto z kubeczka, gdzie grzałka doprowadziła do wrzenia wodę. Jasiak usiadł mu na rękach, a drugi z grubasów, gospodarz klasy Mariusz Haller, na nogach. Włożyli pacjentowi w zęby zwinięty ręcznik, wcześniej jeszcze zaaplikowali do znieczulenia setkę spirytusu salicylowego...

- Trzymaj się, Andy! - rzekł cicho Zajączek, nachylając się ze skalpelem nad tylną częścią ciała kolegi.

Nim ktokolwiek zdążył pomyśleć, było po wszystkim. Operacja się udała, choć Krzysiek nie widział się jakoś w zawodzie chirurga. I ręcznik trzeba było jak najszybciej wymienić, bo w tym starym zostały dziury po zębach...

Z tą wymianą to też były facecje. Ręczniki wymieniało się co tydzień, zaś pościel i piżamy co dwa. Ale pewnego dnia ktoś zapieprzył mi bluzę-pasiaka. Strata w sumie niewielka, ale trzeba było ją pokryć albo poradzić sobie w jakiś inny sposób. Traf chciał, że znalazłem w jakichś piwnicznych kazamatach kilka szmat, które wcześniej były takimi właśnie bluzami. Zszyłem je w jedną całość białą nitką, a następnie, w momencie wymiany, rzuciłem to coś na kupkę z brudami, fasując po chwili nową bluzę. Było to nie w porządku, ale co było robić. Poza tym obowiązywała nas stara żołnierska zasada, że sztuka jest sztuka.

Tak, z wieloma problemami potrafiliśmy radzić sobie sami. Jednak, niestety, nie ze wszystkimi.



- Oni nas chyba nie lubią - powiedział Piotrek, gdy po obejrzeniu udanego zabiegu powróciliśmy do rozgrywki.

- Kto? Kogo? - zainteresowała się nagle reszta graczy.

- Oni, cywile. Ci wszyscy zwyczajni ludzie z miasta - wyliczał chłopak. - Zastanawiam się po prostu, czy oni... Czy oni będą chcieli mieć...

- Co? Kogo?

- Zięcia trepa - wyrzucił z siebie po kilku chwilach, a nas zamurowało.

No bo nie wiedzieliśmy! Część z nas miała dziewczyny, których fotografie wymieniały się w szklanych drzwiach szafek bądź tylko zmieniały miejsce ekspozycji. Ale raz, że chyba jeszcze tak naprawdę nie myśleliśmy o żeniaczce albo przynajmniej nie mówiliśmy o tym głośno, dwa - nie zastanawialiśmy się, czy coś takiego jak przyszły zawód może stanąć na przeszkodzie rozwijającemu się dotąd jak piękny kwiat związkowi. Dym z papierosów unosił się nad stołem. Oddech żadnego z graczy nie zniweczył jego doskonałego, kulistego kształtu.

\*

Dzień szedł za dniem, czasem wolniej, czasem szybciej. I każdego dnia czekaliśmy na listy od swoich bliskich, a one z kolei nas oczekiwały, przyniesione w popołudniowych godzinach przez grubą babę z maleńkiej poczty do internatu, wystawione za szklanym okienkiem recepcji. Był czas, kiedy dostawałem listy codziennie. W różnej wielkości kopertach, czasem z jakimś babskim ozdobnikiem, szlaczkiem, pierdółką, ale zawsze ze starannie wykaligrafowanym moim imieniem, nazwiskiem i adresem szkoły. Duma, spełnienie, a przynajmniej ukoronowanie dnia.

Na szczęście nikt z kolegów nie przejmował korespondencji, wzorem zwyczajnych jednostek wojskowych, każąc potem młodszemu żołnierzowi trzaskać pompki, z reguły tyle, ile znajdowało się liter na kopercie; zdarzali się złośliwcy, którzy mieli już wojo za sobą, więc

znali ten głupi zwyczaj i specjalnie wysyłali delikwentowi koperty puste, jak w starej piosence o miłości, za to upstrzone literkami, znaczkami i zwrotami typu: WIELCE SZANOWNY PAN. Nie zapominano też o imieniu patrona ulicy, a także o drugim imieniu adresata i tym od bierzmowania oczywiście też. Co się bidny szeregowy natrzaskał potem po próżnicy pompek na kompanii, to jego...

- Musi bardzo kochać, co? - pytała recepcjonistka, a ja nic nie mówiłem, tylko uśmiechałem się tajemniczo, zabierałem przesyłkę i biegłem z nią do pokoju; z reguły nie wytrzymywałem i rozrywałem kopertę jeszcze podczas drogi.

W pewnym momencie zaczęła się nawet rywalizacja między mną a Pawłem Grotem: kto więcej listów dostanie od swojej lubej. Napomknąłem o tym mojej Czesi, bo tak trochę staroświecko, za to oryginalnie miała na imię, a ona jeden list rozpisywała na trzech kartkach, pakowała do trzech kopert i wysyłała. Miałem nawet trochę wyrzutów sumienia, bo przecież musiała też kupować znaczki, ale zew konfrontacji z kolegą, przynajmniej na tym polu, okazał się silniejszy.

Dobrze, że nikt nie oceniał treści listów. Raz, że byłaby to dalece posunięta niedyskrecja, a dwa - cóż... Mam ochotę na ogórka z cukrem. Właśnie go sobie wzięłam. Nie dogaduję się z matką. Siostra przygotowuje się do matury. Za oknem już jesień. Mam kłopoty w szkole, nie idzie mi z zajęć praktyczno-technicznych i chemii... I dalej w ten deseń. Typowa sieczka nastolatków.

Kilka razy ją odwiedziłem, gdyż mieszkała godzinę jazdy pociągiem, w miasteczku podobnym do mojego. Zostałem przedstawiony „u dworu”; myślę, że jej starzy od razu mnie polubili.

Któregoś dnia, było to zimą, wybrałem się jak gdyby nigdy nic do swojej Czesi. Miałem jak zwykle nadzieję na jakiś dobry obiad, a potem trochę pocałunków i przytulania w jej pokoju, gdy za oknem zimowy mrok, i tak dalej. Podróż pociągiem dłużyła się jak zwykle, droga z dworca do domu dziewczyny też, ale w końcu byłem u celu.

- Cześć, mała - przywitałem się, gdy otworzyła mi drzwi. - Stęskniłem się.

Już od progu dostrzegłem jednak, że coś nie gra. W pokoju Czesi był gość: kolega z jej klasy z liceum. Miał nogę w gipsie, gips był tradycyjnie pokryty podpisami kolegów i koleżanek z klasy i śmiesznymi rysunkami. Początkowo tłumaczyłem sobie jego obecność koleżeńską pomocą w nauce; tak to zresztą zostało nazwane. Dziewczyna była jednak jakaś inna niż dotąd, no i można było też obejść się smakiem, jeśli chodzi o te sprawy po obiedzie.

W następnym tygodniu nie dostałem od niej żadnego listu.

- Na pewno coś jej wypadło... - tłumaczyła z trwogą w głosie recepcjonistka, gdy jak niepyszny odchodziłem od okienka bez upragnionej przesyłki.

W następną sobotę znów do niej pojechałem. I znów była inna, dziwna, zimna, i to nie tylko dlatego, że mieli w domu jakąś awarię ogrzewania. Nie wytrzymałem w końcu i zapytałem:

- Co się dzieje?

- Maciek - powiedziała tylko, a ja już wiedziałem, że prócz zupy ogórkowej (a może to był rosół, bo niedziela?) i kotleta schabowego na obiad, dostanę dziś na deser także kopa w dupę.

Bo chyba tylko świeżo upieczeni licealiści wierzą całym sercem, że to, a raczej ta, którą im los zesłał, to już na zawsze będzie. W całej swojej naiwności nie wiedzą, a może jeszcze nie chcą wiedzieć, że istnieją na świecie jeszcze takie pojęcia jak zdrada, znudzenie, zmiana, bo zawsze wydaje się, że będzie lepiej, a przynajmniej inaczej. Zresztą rzadko kiedy w takich chwilach kobieta używa do myślenia głowy...

Biegłem na wieczorny pociąg do szkoły, co chwilę wycierając sobie twarz świeżym śniegiem. Biegłem i wylem. Klatkę piersiową czułem, jakby była w imadle. Rozpacz czarna jak krajobraz za oknem pociągu, las i las tylko, nic, kurwa, więcej.

- Co jest? - spytał Sosabowski, kiedy dotarłem już do pokoju w internacie.

- Nic - jęknąłem tylko przez ściśnięte gardło.

Musiałem chyba wyglądać, jakby coś było. Oczy zaczerwienione, bo w końcu i tam puściło. Jak u przedszkolaka, któremu zabrano ulubioną zabawkę i dano jego największemu wrogowi. Normalnie to bym się uchlał i jakoś by było. Ale ja nie umiałem nawet pić. Złapałem za to świeży, gruby brulion w kratkę, długopis i dalej przelewać swoje żale na papier. Może trochę mi wtedy ulżyło, rzeczywiście. Całe szczęście, że zeszyt ów nie dotrwał do końca nauki w liceum.

A potem to już było z górki. Schemat zawsze ten sam: poznanie, zauroczenie, które zawsze rozpoznawało się po tym, że za cholerę nie mogłem sobie przypomnieć jej twarzy (nie tylko mnie to spotykało, więc pewnie ma to nawet swoją psychologiczną nazwę). Potem czatowanie w krzaczorach pod jej szkołą, a czasami nawet, gdy odwagi było więcej i szła sama, a nie ze swoją rozwrzeszczaną zwykle klasą, zgrywanie przypadkowego spotkania i niewinna propozycja odprowadzenia.

Dziś coraz częściej bierze mnie na sumowanie. Liczenie kobiet. No i do czego z którą doszło. Tyle i tyle pocałunków, tyle to i tyle numerków na całego, a tyle nie do końca. Kobiety nigdy mnie nie chciały. Bo i po co?! Zawsze trafił się albo lada dzień miał się trafić lepszy ode mnie. I bogatszy - jak śpiewał Mieczysław Fogg w przedwojennym szlagierze o tej ostatniej niedzieli, o którą błaga porzucony rogowiec swoją panią. Potem, kiedy już udawało się być z którą na poważnie, a przyznam się szczerze, i niech się twardziele w kułak śmieją, że te sprawy zawsze traktowałem poważnie, więc jak już byłem w krótszym czy dłuższym związku (raczej wszystkie były nie za długie), panny pozostawiały mnie, używając podobnej gamy tekstów. Najczęściej używanym był, rzecz jasna:

- Wiesz, lepiej będzie, jak zostaniemy przyjaciółmi - aż muszę to sobie na głos powiedzieć, choć nie lubię masochizmu, ale tak dla lepszego zrozumienia, bo z tym ciągle kiepsko.

Tudzież:

- Za kogo ty mnie masz?!

Albo nieco łagodniej, choć chodzi o to samo:

- Nie jestem jeszcze gotowa... - tu zwykle następowało, że na poważny związek, ale wiadomo, że chodziło o pierdolenie. Ze mną, rzecz jasna.

Tylko jedna z ostatnich wielkich miłości moich była przynajmniej w tej kwestii bardziej oryginalna, bo powiedziała, a raczej napisała mi na kartce, bo nie rozmawialiśmy już wtedy:

- Mam kłopot.

Wtedy zdrętwiałem, bo pomyślałem, że skoro ona ma, to mam i ja. A może i dobrze, bo kiedyś przecież czas się ustatkować. Ale gdy zapytałem, jaki to kłopot, napisała:

- Cysty na jajnikach. Chyba ze starości...

A prawda była taka, że zanim mnie jedna z drugą, kurwy jedne, zostawiły, musiały mieć plan awaryjny, wyjście jakieś i pewność, że gdzieś tam czeka na nie bokser ze złamanym nosem i długim chujem (rzadziej odwrotnie) i łóżko grzeje. Żadna z pewnością w ciemno by na poniewierkę nie poszła, a skąd! Czyli jednak myślą głową.

I nie dość, że dzisiaj gaszą nasze pożary, to jeszcze daje im się oficerskie gwiazdki...

Potem jest już lepiej: stała partnerka albo żona, szczęście rodzinnego stadła. A dup wokół, jak na złość, coraz więcej, coraz młodsze i ładniejsze. Monogamia jest czymś wbrew naturze człowieka. A winny jest Mieszko I z rodu Piastów, którego przedstawia się dziś na banknotach o średnim nominale i który przyjął chrześcijaństwo nie z nie wiadomo jakich przyczyn, bo mu się na przykład Jezus Chrystus, taki jeden dawno zmarły Żyd, który miał wielu uczniów, albo Matka Boska, jego matka, pokazali we śnie. Nie, chodziło o politykę. Żeby można było pracować sąsiednie plemiona po łbach, palić i rabować. I z tego powodu odprawił swoje wszystkie pogańskie żony i został tylko z jedną, nową, chrześcijańską. Pewnie i z małym przebiegiem, i niczego sobie była ta Dobrawa, Czeszka. Niestety, z tego też powodu powinno się go uznać za największego zbrodniarza w dziejach ludzkości.

Kiedyś jednego mojego znajomego zapytałem kilka tygodni po jego ślubie:

- I co? Lepiej?

Uśmiechnął się krzywo ten żonkoś świeżo upieczony, wzruszył ramionami, popatrzył w bok.

- Ja wiem, czy lepiej? Na pewno częściej - odpowiedział.

\*

Jednakowe stroje sprawiały, że człek od samego początku niezbyt wyróżniał się z tłumu. Niektórym bardzo to pasowało i przynosiło wymierne efekty. Oczywiście, póki się w końcu jeden z drugim nie odezwali. Inni, dla których ciuch był ważną rzeczą w życiu, a i pewnie na modne dziny, koszulkę z nadrukiem, a nawet garniturek na dużą okazję mieli jeszcze jako uczniowie podstawówek, nakaz chodzenia w nie za pięknych kompletach Odry przyjmowali ze średnim zachwytem.

Dlatego w takiej niebieskiej jak, no właśnie, Odra (sto lat temu...) masie najszybciej byli rozpoznawalni ci, których gabaryty dalece odstępowały od przeciętnej. I o ile jakichś totalnych konusów nie zanotowaliśmy, zresztą sami się chyba nie chcieli pchać w takie towarzystwo, przeczuwając z góry, że los ich będzie smutny, to dużych, a jednocześnie szerokich kilku, w istocie, było. I na starcie wzbudzali respekt pozostałych. Przynajmniej do czasu.

Jeden z dużych, Artur Dąbrowski, którego nazwaliśmy „Hawranek”, bo opowiadał stare dowcipy o jakimś Czechu o tymże nazwisku, był to byk jak się patrzy. Ale serce miał chłopak gołębie.

- Demolka jakaś była? - zapytałem raz Krzyśka Zajączka, zobaczywszy, że drzwi jego zamykanej na zamek szafy górnej zwisają smętnie; czyżby ktoś z pozostałej garstki trenujących taekwondo ćwiczył na niej wykop?

- „Hawranek” był u mnie z wizytą - odpowiedział Zajączek, zapisując coś w zeszycie od języka rosyjskiego.

Wpadłem właściwie tylko po słownik wyrazów obcych, ale do całości obrazu świata i spokoju wewnętrznego nie pasował mi jakoś obraz kolegi Artura Dąbrowskiego rozwalającego szafkę koledze Zajączkowi.

- Nie wierzę - wzruszyłem ramionami.

- Ja też nie wierzyłem - westchnął chłopak. - On wpadł do mnie tylko po to, żeby pożyczyć kapelusz, wiesz, ten nowy, czarny, bo akurat wybierał się do miasta.

- No i trzeba było mu pożyczyć.

- Ale ja mu właśnie pożyczyłem ten pieprzony kapelusz! - zaperzył się Krzyś. - Powiedziałem, że mam go na górze, w szafie. Ale nie zdążyłem mu podać klucza, a potem to już zamek można było zbierać po podłodze. Bardzo mu było głupio, przeproszał mnie chyba z pół godziny...

Miał chłopak łapsko, nie ma co! Jednocześnie udzielał się Artur kulturalnie. Moda była wtedy, szczególnie w dużych zgromadzeniach samców, a takim byliśmy przecież, na przebieranki za kobiety.

Oczywiście nie w tym sensie, żeby coś z przebierańcami robić niekoniecznie przyzwoitego. Chodziło o zabawę. W telewizji popularny był wtedy facet przebrany za świętokrzyską czarownicę, Genowefę Pigwę. Taki z garbem i na krzywych nogach. A my dorobiliśmy się naszej Pelagii Parzydło, w którą wcielił się właśnie „Hawranek”. Odpowiednio przebrany i umalowany, umiejętnie modulował głos, gestykulował, wzbudzając śmiech przy różnych okazjach: na apelach, uroczystościach z okazji Dnia Nauczyciela, Wojska Polskiego, Kobiet czy obchodach rocznicy rewolucji październikowej.

A kiedy w kinach puścili film z naszym ulubionym zabijaką, Sylwkiem Stallone, gdzie ów brał udział w zawodach, w których herosi i inni kierowcy ciężarówek siłowali się na rękę, podobne mistrzostwa zaczęliśmy organizować i my. Startować chciało, rzecz jasna, wielu. Szybko jednak okazało się, że tak naprawdę pogadać na ten temat może tylko dwóch.

Pierwszym był Maciek z klasy A, niezły byczek z okolic Tykocina, którego ja poznałem jeszcze na egzaminach, bo nasze nazwiska zaczynały się na tę samą literę. Od początku „pakował” nieźle, ale zwyczajowo, więc żmudna droga szybko go znudziła. Dużo później, gdzieś pod koniec klasy trzeciej to było, postanowił Maciej przyspieszyć nabieranie masy i kupił sobie odżywkę. Nie byłoby w tym nic wielkiego, gdyby nie to, że była to odżywka... dla tuczników. Dwie pierwsze porcje koleżka Maciej wyrzygał, ale na trzeci dzień oznajmił nam z radością, że się przyjęło. Potem próbował jeszcze wielu innych rzeczy i choć mu mówiliśmy, że wygląda świetnie, nie przestawał. Do tego stopnia, że gdy nadszedł czas badań lekarskich, chodził po internacie i prosił kolegów, by za niego nasiusiali do słoika, który miał być oddany do analizy. Tak był nafaszerowany sterydami.

Po drugiej stronie stołu zasiadł nasz Paweł Grot, którego również wielką pasją, może nawet na równi z panienkami, było chodzenie „na pakernię”.

Pierwszą walkę wygrał Maciej. Potem musiało dojść do rewanżu. Zawodnicy zamienili się rękami i wtedy lepszy okazał się Grot. Zabawę mieliśmy przednią, dopingując każda klasa swojego. I wszystko zakończyłoby się dobrze, gdyby przypadkiem do pokoiku, gdzie zorganizowano zawody, nie przyszedł „Hawranek”. Popatrzył, powęszył po swojemu nosem, krzywiąc się przy tym, bo pokój zdążył już chyba nasiąknąć smrodkiem potu.

- Czy ja też mogę? - zapytał ledwo słyszalnie, jak to miał w zwyczaju.

Nasi mistrzowie, choć zmęczeni, a może tylko rozgrzani, zgodzili się. Od razu podniósł się też rwetes, czyli doping, głównie zgromadzonych koleśków z pierwszego piętra, bo oto w zawodach siłaczy mieli mieć swojego reprezentanta. A Artur Dąbrowski, zwany „Hawrankiem”, jak siadł, tak w mgnieniu oka położył i Maćka, i Pawła Grota. Obaj z miejsca zażądali satysfakcji, domagając się rewanżu, jednak ten nie udał się żadnemu. A nasz „Hawranek” jak cichutko przyszedł, tak i cichutko wstał, uśmiechnął się smutno i zaszurał nogami.

- Sorry - rzekł tylko, za co anglistka by go pewnie pochwaliła, i wyszedł z pokoju.

Opowiadaliśmy sobie tę historię jeszcze długo, za każdym razem śmiejąc się bardziej. Któregoś dnia wyszedł jednak nasz „Hawranek”, jak wtedy z izby mieszkalnej, gdzie wygrał



zawody, równie cicho, ale na dobre. Ktoś widział go, jak w magazynie zdaje sprzęt, ktoś próbował pytać, może nawet wiedział więcej. Wiadomo, że najbliższy był „Hawranek” swojej klasie i oni wiedzieli.

Rezygnacje zdarzały się wciąż, jednak ta dotykała nas szczególnie boleśnie. Sprawy rodzinne, osobiste, ktoś mówił coś nawet o kwestiach wiary - tak szybko wytłumaczono nam odejście Artura. My traciliśmy fajnego kumpla, ale jednocześnie zyskiwali go, jego wielkie serce, poczucie humoru i siłę, jacyś inni licealiści w jego rodzinnym mieście. Dobre i to - tłumaczył któryś i zdawaliśmy się być przekonani. Że może tak będzie lepiej dla Artura i jego rodziny, pewnie głównie tej przyszłej.

Mijały miesiące, a nasza pamięć o nim powoli się zacierała. Nawet miejsce pani Pelagii zajęła inna „baba” i nawet była zabawna. Któregoś ranka, na porannym apelu, gdyśmy stali już w szyku, a oficerowie jeszcze nie zaczęli kazań, Mariusz Haller, który jadąc wczoraj od siebie z Gdańska, zahaczył o miasteczko, z którego pochodził Dąbrowski, powiedział:

- Wiecie, że „Hawranek” nie żyje? Pamiętacie go? Artur, ten duży...

- Co się stało? - zaczęliśmy się dopytywać, coraz ciszej jednak, bo apel już się rozpoczął i zaczęli coś jak zwykle pierdolić.

- Kilka tygodni temu zaczęła go głowa boleć - wyjaśniał szeptem Mariusz. - Kiedy już nie mógł wytrzymać, starzy zawieźli go do szpitala. Lekarze nie mieli wątpliwości. Rak mózgu. Szybko się zawiął, biedny...

To była pierwsza śmierć, z jaką się zetknęliśmy. Jeszcze nam oszczędzono jej bliskości z jękami, cierpieniem; była nagła, przynajmniej wiadomość o niej, ale już oddalona, nie do końca nasza. Ale była. Pierwsza, ale nie ostatnia.

\*

Zbliżał się maj, a wraz z nim pochód pierwszomajowy. Uczestniczyliśmy w nim tylko jeden raz. A właściwie dwa razy: po raz pierwszy i ostatni. Wtedy jednak tego jeszcze nikt nie wiedział. Kto zachorował lub będąc nawet i tutaj, pogrywał jak opozycja, ten potem żałował.

Już od połowy kwietnia zastanawialiśmy się, jak będzie. A w przededniu święta to już w ogóle. Nie tam, że ktoś chciał demonstrować, opowiadać się czy przywiązywać do tradycji ojców; chodziło, jak zawsze, o zabawę. Poza tym miasto miało nas po raz pierwszy zobaczyć w pełnej krasie.

- Słyszałem, że jak chłopaki z Wrocławia i Lublina wyszli pierwszy raz, to im panienki kwiaty pod nogi rzucały. A niektórym to nawet na szyję - rzekł Mirek Bołtuć, spluwając na trzymane w rękach buty galowe, które czyścił z zapalem.

No tak, Lublin miał akurat wprawę w rzucaniu w wojsko kwiatami, szczególnie pod koniec ostatniej wojny. Wrocław też, choć już czym innym tam wtedy rzucali. Teraz my mieliśmy przekonać się, czy nas tu lubią czy nie za bardzo. Poza tym była to dobra okazja do sprawdzenia, czegośmy się nauczyli na zajęciach przysposobienia wojskowego; nasz opiekun roku, kapitan Jan Karżyński, pewnie srał w gacie ze strachu.

Od razu pojawiły się jednak obawy, czy to aby najlepszy pomysł, żebyśmy wystąpili w galowych mundurach. Wciąż bowiem mówiło się o zakłócaniu oficjalnych obchodów Święta Pracy przez zdelegalizowaną opozycję, studentów czy innych wichrzycieli.

- Panowie, gdyby cokolwiek się działo: w tył i na lewo - ostrzegął dyrektor, gdyśmy już stali w świąteczny ranek na placu apelowym, ogoleni, wypomadowani i gotowi do wymarszu.

Pogoda była typowo majowa: słońce, lekki wietrzyk. Na drzewach pierwsze zielone liście. Kilku z nas dostało do rąk biało-czerwone szturmówki (na szczęście nie było całych czerwonych), po czym ruszyliśmy czwórkami za bramę. Nikt jakoś nie zastanawiał się, dlaczego akurat przez tylną; pewnie spieszyliśmy się na zgrupowanie.

I ledwośmy opuścili teren szkoły, cała misternie ułożona przez opiekuna roku kolumna rozsypała się w bezkształtną tłuszcę. Zmieszaliśmy się z naszymi paniami profesor i wychowawczyniami z internatu, którym też kazano przyjść i uczestniczyć. One też chyba tym chętniej wmieszały się pomiędzy nas, by nie rzucać się zanadto w oczy w swoim mieście. Od razu zapanowała też atmosfera właściwa świętu: głośne rozmowy, śmiech, opowiadanie kawałów, ten i ów próbował psikusów w rodzaju podstawiania nóg kolegom. Nasz kapitan

biegał jak kot z pęcherzem wzdłuż kolumny, porozrywanej jak jelita piechura po nadeptaniu na minę. Jednak długo nie mógł nic wskórać. Udało mu się dopiero na chwilę przed połączeniem naszej szkoły z innymi liceami.

- Śmiało podnieśmy w górę sztandary... - huczała w rozwieszonych na latarniach głośnikach stara rewolucyjna pieśń, no tośmy podnosili: przede wszystkim głowy w poszukiwaniu jakichś ładnych licealistek.

Czym były pochody pierwszomajowe w czasach naszych szczenięcych? Dla nas na pewno żadną polityczną sprawą. A nawet jak który podrósł i starzy zabierali go na jakąś kontrmanifestację, żeby liznął gówniarz historii i nie trzeba było mu potem „opowiadać o tych wypadkach”, to i tak bardziej chodziło o drakę, o potyczkę z milicją, zabawę w to, kto wyjdzie z tej zadymy nieoblany z armatki wodnej, niż o prawdziwe racje tej czy innej strony.

Jak by człowiek na to nie patrzył, pierwszego maja zawsze była ładna pogoda. Pamiętam to dokładnie. Ani jednego deszczowego Święta Pracy! Wstawało się już podnieconym, choćby dlatego, że był to dzień inny niż poprzedni i wcześniejsze. Gdzieś z daleka dobiegała muzyka orkiestr dętych, przemieszczających się na miejsce zbiórki. Ludzie walili całą szerokością chodników, dzieciaki cieszyły się, że dostaną kolorowe baloniki, lizaki, plastikowe wiatraczki na druciku. Dorośli cieszyli się za to na kielbaski, piwo i spotkania z dawno niewidzianymi znajomymi.

Było właściwie jak na odpuszcie, ale z większym rozmachem, którego ówczesnym władzom odmówić nie było można. Szkoły, maszerujące po kolei, niosły wielkie tarcze ze sklejki i jakieś inne akcesoria, żeby się tylko wyróżnić. Jakże też inaczej rodzinne miasteczko wyglądało z perspektywy samego środka głównej ulicy, którym nie chodziło się przecież na co dzień. Potem, w relacjach telewizyjnych z Warszawy, podziwiał się tłum walący całą szerokością najszerszej arterii, wypatrywało znajomych twarzy aktorów, gdy szły teatry.

I teraz wszystko było tak jak w latach ubiegłych. Tylko że większe i więcej. Ulica, po której maszerował pochód, szersza niż w większości miast i miasteczek, z których pochodziliśmy. Cała udekorowana czerwonymi flagami, wśród których zdarzały się też biało-czerwone, a także zielone chłopskie i tęczowe, które kiedyś oznaczały ponoć organizacje młodzieżowe, dziś to symbol kochających inaczej. Wszędzie transparenty z

dobrze znanymi hasłami. I aż niebiesko od milicji.

- Chłopcy, dziewczęta. Do roboty, do roboty... - zagrzewała kolejna pieśń, tylko nie za bardzo wiedzieliśmy, kogo i do jakiej roboty; oby nie tych niebieskich do zrobienia użytku z gumowych pałek zwisających u pasów, do czego się z pewnością szykowali.

Wreszcie muzyka zamilkła. Kto miał przemówić, przemówił. Kto miał zaklaskać, nie zaklaskał. Pochód mógł ruszyć. Gdzieś z przodu, na niewidocznym czole manifestacji, marsza grała jakaś orkiestra, a z tego dźwięku, co się niósł szerokim wąwozem śródmiejskiej ulicy, szczególnie wybijał się huk wielkiego bębna. Niczym wybuchy petard, których wielu się spodziewało.

- Pamiętajcie, gdyby cokolwiek się działo: w tył i na lewo. Czyli na małe jasne! - przedrzeźniał naszego dyrektora Tomek Langiewicz.

Z nim to i kilkoma innymi, z racji wzrostu raczej średniego, maszerowaliśmy w jednej z ostatnich czwórek. A może to były ósemki? Ulica była wszak dość szeroka i chyba właśnie ósemki najlepiej się prezentowały na każdym pochodzie pierwszomajowym. Nikt się też zresztą nie przejmował za bardzo, czy taka ósemka idzie prosto, pod sznurek, jak na ruskich defiladach, czy krzywo. Z megafonów na przemian huczały marsze oraz pieśni rewolucyjne i głos konferansjera, ukrytego pewnie gdzieś wysoko, bezpiecznie, który komentował całe wydarzenie niczym pasjonujący mecz piłki nożnej.

- Proszę państwa! Właśnie przed trybuną honorową maszeruje młodzież szkół średnich naszego miasta!

Co znaczyło, że pewnie niewiele już nam zostało drogi do pokonania. W naszym mieście nie było ich, szkół znaczy, znowu tak wiele. Ten i ów, co się przejął za bardzo, a może w tłumie na krawędzi ulicy czekała jego osobista sympatia, poprawił dyskretnie węzeł krawata, czapkę, rozprostował poły marynarki.

- Uczniowie i uczennice Liceum Ogólnokształcącego numer jeden pozdrawiają przedstawicieli wojewódzkich władz partyjnych i państwowych - relacjonował z zapalem Jana Ciszewskiego komentator pochodu.

Po chwili w tej swojej wyliczance liceów doszedł do numeru cztery (gdzie, nawiasem mówiąc, uczyły się bardzo ładne dziewczyny). A i my już widzieliśmy stojące u stóp trybuny honorowej poczty sztandarowe. Orły na drzewcach błyszczały w majowym słońcu, wszędzie łopotały kolorowe flagi.

- Już widzę ich piękne granatowe mundury! - huknął głos w megafonach z werwą, ale i jakąś serdecznością, ciepłem, wręcz tkliwością.

Niejeden z nas, nawet ci, co mieli wszystko głęboko, wstrzymał chyba w tym momencie oddech i nadstawił uszu.

- Proszę państwa! Przed trybuną honorową maszerują właśnie uczniowie... - mówił dalej komentator, jakby celowo przedłużając tę chwilę wyczekiwania, niepewności, która towarzyszy zawsze hollywoodzkim aktorom, oczekującym na werdykt oskarowej akademii. Już widzieliśmy ich twarze. Ludzi na obitej dyktą i pomalowanej czerwoną i białą farbą trybunie z godłem państwowym na środku. Widzieliśmy dokładnie, jak machają do nas, właśnie do nas i tylko do nas swoimi wypielęgowanymi rękami, uśmiechają się serdecznie jak dawno niewidziani wujkowie. Teraz czekaliśmy tylko na jedno: na głos komentatora, że oto idziemy, po raz pierwszy tu i teraz, właśnie my. Że Oscara otrzymuje, pierwsze miejsce zajął, zdobywcą bramki jest...

- A przed trybuną honorową maszerują właśnie uczniowie... technikum kolejowego!

Rozległy się brawa, okrzyki, kiwano głowami z uśmiechem i w poszanowaniu dla przyszłych maszynistów, konduktorów czy kierowników pociągów, wymieniano uwagi na temat naszego umundurowania. Pewnie, kurwa, najpewniej tak było. A my nie mieliśmy nadziei, choć wielu z nas niosło ją wytrwale w swoich sercach. Nie było nadziei, za nami maszerowało bowiem liceum medyczne - same dziewczyny. Któryś gałgan próbował nawet żartować, mówiąc coś o lokomotywie sukcesu, kolejce do wypicia czy wagonach papierosów. Ale mało kto się z tego śmiał.

Jednym z priorytetów tej szkoły było, abyśmy dbali o swą tężyznę fizyczną. Kiedy bowiem bardziej odczuwa się radość ze sportu niż wtedy, gdy ma się tych naście lat? Kiedy biegnie się przed siebie do utraty tchu w piersiach, ale ze świadomością, że gdyby tylko się chciało, dałoby radę o wiele szybciej? Zapach przepoconej sali gimnastycznej ani mocno używanej pary tramppek jeszcze nie przeszkadza tak bardzo, a zrobienie kilku pompek czy przysiadów nie zalicza się do sportów ekstremalnych.

Już w pierwszym tygodniu nauki zapisywano na taekwondo - koreańską sztukę walki. Na pierwszy trening poszła chyba cała szkoła.

- Jestem ninja! Uaaa!!! - krzyтели przyszli następcy Bruce'a Lee czy Chucka Norrisa w drodze na salę gimnastyczną, gdzie oczekiwali ich instruktorzy.

Bo już w drodze powrotnej nie krzyтели nic. Nawet mówić im się nie chciało. Nie mieli za bardzo siły. A na następny trening poszła już tylko połowa.

Potem pan major Ludwik Otręba, szef wyszkolenia sportowego naszego liceum, którego poznaliśmy podczas egzaminów sprawnościowych, zapytał, kto z nas nie umie pływać. Przyznało się kilkunastu z nas, w tym i ja. Bez bicia. No to następnego dnia po lekcjach zawieźli nas na jeden z miejskich basenów, kazali przebrać się w białe, resortowe kąpielówki, wskoczyć do brodziku dla przedszkolaków i ustawić się w szeregu. Woda była ciepła i bardzo jechała chlorem.

- Za chwilę krzyknę: start - zawołał major Otręba. - Gdy krzyknę, wtedy plyniecie w moim kierunku. Ale dopiero w momencie, gdy krzyknę...

- Ale my nie umiemy pływać! - odkrzyknął któryś z nas.

- Plyniecie, jak kto tylko potrafi - sprostował szef naszych wuefistów, poprawiając sobie gustowną zaczeskę na głowie.

Wreszcie krzyknął i zaczęliśmy płynąć. Jak kto potrafił, w większości przypadków popularnym stylem rozpaczliwym. Rozbijana omdlewającymi z wysiłku ramionami woda buzowała niczym wrzątek. A kiedy wreszcie dobrnęliśmy do celu, czyli przeciwległej

krawędzi basenu, stojący na niej major zawyrokował z zadowoleniem:

- Umiecie pływać.

Gdy któryś z nas próbował protestować, oficer zagroził:

- Jak powiedziałem, że umiecie pływać, to umiecie! Nie dyskutować, bo za takie oszukiwanie mogę zameldować w dyrekcji.

Tak. To był chyba najkrótszy kurs nauki pływania, o jakim słyszałem. A pływać i tak nie umiem do dzisiaj.

Nie pozostawało nam nic innego, jak tylko zająć się innymi sportami. Do najpopularniejszych należał niezmiennie pokerek. W miłej, choć trochę gęstej atmosferze. Ale odrobinę zdrówka można było załapać, jak w jednym z odcinków „Czterdziestolatka”, na którym się przecież wychowywaliśmy. Kolejna dyscyplina to cztery razy sto... bez zagrychy. I podnoszenie ciężarów, czemu sprzyjało zorganizowanie w pokoju przez jednego przedsiębiorczego kolegę małej melinki. Na czołowym miejscu był też curling (miotła, szmata, podłoga) albo wszelkie sporty, do których uprawianiu można było użyć noża bądź tylko cyrkla. Wiedział o tym maniak białej broni Czarek Maczek, wiedział też wciąż robiący za zwierzynę Wiesiek Kościuszko.

Któregoś dnia wstawiliśmy naszemu dyrektorowi dla kawału jego malucha między dwa drzewa. Niestety, niezbyt mu się to spodobało. Zwołał wszystkich na apel i kazał wystąpić dowcipnisiom. Przyznałem się od razu, ze mną dwóch jeszcze. No i wyszło na to, że dokonaliśmy tej sztuki we trzech. I pomyśleć, że mistrz świata strongmanów, Pudzianowski, robił wtedy jeszcze w gacie...

Z kolei nie uprawialiśmy, może za sprawą tego, że nikt nie mógł nas do tego zmusić, sportów typowo żołnierskich. W rodzaju wspinaczki na Mount Everest. W koszarach górę zastępowały spiętrzone łóżka, a rozrzedzone powietrze - założenie himalaiście na twarz maski przeciwgazowej. I tak góra-dół, góra-dół. Albo bobsleje. Brało się stół ze świetlicy, kładło na blacie, nogami do góry, czterech zawodników wsiadało i zjeżdżało ze schodów. Pojenie orła? Proszę bardzo! Stał delikwent ze szklanką wody w uniesionej ręce przed godłem naszej

ojczyzny. Godzinę, dwie, czasem trzy. No, chyba że orzeł wypił wcześniej.

Ja do mistrzów sportu raczej nie mogłem się zaliczać, ale nawet lubiłem zajęcia wychowania fizycznego. Może dlatego, że wyjście na te zajęcia wiązało się z opuszczeniem terenu szkoły. Sala gimnastyczna położona była bowiem w sąsiedniej jednostce wojskowej. Naszej jeszcze nie zdążyli nam zbudować. Owszem, starali się, ale któregoś dnia ktoś z budujących ją żołnierzy czegoś nie dopatrzył bądź nie zachował należytej ostrożności przy spawaniu i... Kiedy wracaliśmy z domów po dłuższym weekendzie, jeszcze się nieźle dymiło...

No to musieliśmy dalej korzystać z gościnności żołnierzy jednostki raketowej. Tej łopata-ziemia-powietrze. Wychodziliśmy przez furtkę w płocie, mijaliśmy garnizonowego ancla, zwanego „Pod Kasztanami” i gawędziliśmy po przyjacielsku, a wszystkie kłopoty, których źródłem były inne przedmioty nauczania, zostawały w tyle. Droga wiodła między podniszczonymi budynkami koszar i zapomnianych magazynów, z których otwartych okien ziało stęchlizną. Czasami nie potrafiliśmy odmówić sobie przyjemności podniesienia z ziemi solidnego kamulca i rzucenia nim w szybę albo dyktę, którego to aktu wandalizmu i tak nikt z tubylców nie był w stanie zauważyć.

- Ale syf! - powiedział któregoś dnia „Milimetr”, gdy zagapił się i wpakował po kostki w głęboką kałużę, niemal na środku drogi.

- W takim syfie będziesz robił - zauważył Darek Jasiński.

- Nie wiem jak ty, ale ja mam zamiar przychodzić do pracy w białych rękawiczkach - starannie ważąc słowa, wyjaśnił mu Mirek Bołtuć.

- Masz zamiar być kelnerem? - zaśmiałem się, a za mną kilku jeszcze.

Bołtuć nic nie odpowiedział.

Bo tak, w myśl wszystkich mądrych planów, zarządzeń, rozkazów i wytycznych, miało być. Przyszła praca, a raczej służba w jakiejś, niekoniecznie przez siebie wybranej, jednostce wojskowej. Czy o tym wiedzieliśmy? Nie wiem. Może nie chcieliśmy wiedzieć? Że



hasła, które w kalendarzykach rezerwisty lub później na trójkątnych kolorowych chustach wypisywały młode chłopaki wypuszczane do cywila, mają coś w sobie. „Lepiej chujem orać pole niż chorążym być po szkole”. Albo: „Gdy cię zgębi jakiś trep, zdejmij buta, daj mu w łeb!”. To o naszych głowach było, niestety.

Lubili też, styliści pieprzeni, bawić się w szyfrantów. Oficjalnie bowiem WSO było skrótem od Wyższej Szkoły Oficerskiej. To miały być zresztą nasze przyszłe uczelnie. Inna nazwa jednak brzmiała: „Wpierdoliłeś Się Okrutnie”. Szkoła Chorążych? Proszę bardzo: „Sam Chciałeś!”. Szkoła Podchorążych Rezerwy? „Spierdolone Pół Roku”. I tak dalej.

Mieli swoje powody, nie da się temu zaprzeczyć. Szweje. Na jakiś czas odrywano ich od ich gospodarstw, od ukochanej dziewczyny bądź motoru. I to my, właśnie my mieliśmy zająć im ten czas. W smrodzie wieloosobowych sal sypialnych po grochówce na obiad. W błocie i śniegu na poligonie. W zimnie i deszczu podczas psiej warty. Pod pasami i butami starego wojska, wszak fala jest falą i nie zmienisz tego. Zawsze jednak możesz się, bracie, zwrócić do swojego porucznika.

On ci pomoże. Twój dowódca. Wykształcony, po takiej szkole jak nasza, i inteligentny. Książki czytał. Dusza człowiek po prostu! Pod warunkiem, że będzie miał do tego głowę. Że mu żona nie ucieknie, bo w leśnym garnizonie nie ma przecież sklepów i koleżanek. Albo nie zacznie się dymać, ślubna, najdroższa moja, z kim popadnie, bo mąż będzie zajebany na kompanii od rana do nocy i od nocy do rana. Tak, pod warunkiem wszak, że pan porucznik będzie miał do tego głowę. Że jeszcze sobie w nią nie strzeli ze służbowego P-83, bo nie będzie potrafił znieść samotności, upokorzenia, poczucia beznadziei albo tego, że mu na przykład wynieśli pół magazynu czegoś tam i teraz będzie musiał z własnej kieszeni zwracać. Albo że jeszcze będzie widział ostro, nie zapije się na śmierć w domowym zaciszu bądź w oficerskiej kantynie...

Bo czy tak naprawdę wiedzieliśmy, w co się pakujemy?!

„Milimetr” spojrział na mnie znudzonym wzrokiem, po czym schylił się szybko po kamulca. Zdrętwiałem na sekundę. Drażał jednak uśmiechnął się tylko, po czym zamachnął się i z całej siły cisnął w jedno z okien magazynowego stryszku. Szyba poszła w drobny mak.

Nagrodziliśmy go owacjami i gwizdami aprobaty.

Wkrótce dochodziliśmy do sali gimnastycznej. Stara, również poniemiecka, z czerwonej cegły. Zaraz za drzwiami, po obu stronach krótkiego korytarzyka, były dwie mikroskopijnej wielkości szatnie.

Zawsze się zastanawiałem, czy ludzie kiedyś, sto lat temu, byli naprawdę tacy mali, że wystarczały im również tak niepozorne pomieszczenia?

- Panowie na prawo! - krzyczał Mierosławski, co było już tradycją.

- Prądyński na lewo! - odpowiadał mu ktoś, kto był akurat najbliżej, również zgodnie z przyjętą konwencją.

Radocha była z tego i tym razem. Grześ Prądyński też miał.

Wuefistów, prócz majora Otręby, było trzech: Mały, Duży i Brodaty. Na początku zajął się nami ten najmniejszy. Bardzo chciał nas wyszkolić na siatkarzy. Miała to być dyscyplina wiodąca naszej szkoły. Pominę jednak milczeniem moje osiągnięcia w tej dziedzinie, a i o sukcesach moich kolegów też nie chce mi się za bardzo pisać.

Wbiegliśmy truchcikiem na salę gimnastyczną. Wysoko, między okratowanymi oknami widniały jakieś zatarte napisy, wśród których dopatrzyłem się kiedyś nawet szwabachy.

Rozległ się przeciągły gwizd

- Rozgrzeweczka! - krzyknął Mały, wchodząc na salę w przydużym dresie.

Za to my wyglądaliśmy tak, że mogła nam pozazdrościć każda drużyna futbolowa, nawet klasy okręgowej. Jednakowe koszulki barwy seledynowej i resortowe spodenki gimnastyczne, wpadające w gustowny fiolet. Na nogach trampki.

- Chujowo, ale jednakowo - podsumował któryś poeta, jeszcze pierwszego dnia.

Potem co prawda sportowe stroje nam blakły, spierały się i zmieniały kolor. I już nie było przynajmniej jednakowo...

Rozegraliśmy sobie meczyk w siatkówkę. Mały pokrzykiwał:

- Chodzimy nisko na nóżkach, chodzimy!

Chłopaki, na czele z „Milimetrem”, też mieli swoje uwagi:

- Jedną ręką to się kury maca!

Zgodnie z tymi zaleceniami zaliczyłem tego dnia kilka punktów: ściana, okno. Nawet jednego kosza. Ale Mały mnie pochwalił, bo przynajmniej się starałem, walcząc o piłkę.

Po wychowaniu fizycznym, przepoceni, ku udręce nauczycielek, wracaliśmy tą samą drogą na dalsze lekcje.

Tego dnia mieliśmy jednak okazję wykazać się w jeszcze jednej dyscyplinie sportowej, której jeszcze nie wymieniłem. Było nią wiórkowanie.

- Ale to jest bez sensu - próbowaliśmy tradycyjnie negocjować, wysyłając znów na pierwszy ogień któregoś z klasowych prymusów.

- Nie dyskutujcie - ucinał dyskusje Karzyński, za którym już czał się magazynier.

- Przecież wystarczy pociągnąć podłogi lakierem - tłumaczył zawzięcie prymus przy naszej wydatnej pomocy.

- Poprawcie krawat! Jak stoicie?!

Było po dyskusji. Oficjalna wersja brzmiała:

- Nie chcemy, żeby wam, chłopcy, szkodliwe opary lakieru szkodziły - wyjaśniał

kierownik internatu z naprawdę zatroskaną miną.

O wyjściu do miasta trzeba było zapomnieć. Za to zaraz po obiedzie ustawić się w kolejce do kanciapy na parterze internatu, gdzie magazynier gorliwie fasował materiały niezbędne do operacji. Jak sama nazwa wskazuje, wiórkowanie nie mogło się obejść bez wiórków - metalowych, pozwijanych okrawków, przypominających zmywak do naczyń, tylko że o wiele większy i ostrzejszy.

- Cholera - zaklął Zbyszek Zbyszewski, ustawiając się na końcu kolejki; zwykle nie klął, bo łagodny był jak baranek, ale w takich sytuacjach ciężko było utrzymać język na wodzy. - A chciałem dzisiaj iść do kina.

- A co grają? - zainteresowałem się, nie tylko przez grzeczność.

- „Porno”.

- Amerykański czy francuski?

- Polski.

- Eee tam! - machnął ręką Tomek Langiewicz. - Pewnie tyle tam będzie tej golizny co w bajce na dobranoc...

Mimo to przykro było nie iść. Po prostu stąd wyjść. Wyjść za płot, popatrzeć, jeżeli już nie na film, to przynajmniej na ludzi, na dziewczyny.

Po kilku chwilach pobraliśmy po kilka paczek wiórków - pozostałości z tajnej produkcji fabryk zbrojeniowych na południu Polski - i poszliśmy na górę. Tam rządził już kapitan Jan Karzyński w duecie z panią Ulą; w tle coraz pojawiał się również kierownik internatu.

Rozpoczęliśmy zatem wiórkowanie. Zabawa polegała na tym, żeby wyczyścić podłogę z drewnianych klepek, którą w każdym innym pomieszczeniu i normalnym kraju na świecie rzeczywiście pokryto by lakierem, a potem tylko zmywano na mokro ścierką bądź

mopem. Ale nie. My mieliśmy usunąć brud, nalot, nadać znów kremowy kolor szlachetnego drewna. Wywiórkować po prostu. Wszystko to szlachetne bardzo było, ale czemu akurat nas to spotykało?

- Kurwa mać! - zaklął znów Sosabowski, podnosząc palec do ust.

- Co jest?

- Skaleczyłem się.

- Leć do łazienki.

O rany było nietrudno. O ból kręgosłupa zresztą również. Całą robotę wykonywało się bowiem na klęczkach. Jak służące w XIX wieku, na których wypięte w tej pozycji wdzięki łakomym okiem łypał pan lub jego syn, panicz. Nie próbowaliśmy nawet liczyć, po ile metrów kwadratowych wypadało na łebka. Zamieszkiwaliśmy pokoik dwuosobowy, ale byli też tacy, co spali w izbie wielkości świetlicy. Co prawda w sześciu chłopa, ale zawsze było to więcej niż u nas.

Jasiek, z którego ręki ciekło już niezłe, wyszedł do łazienki, aby obmyć ranę. Wykorzystałem ten czas, żeby sobie chwilę odsapnąć. Wyjrzałem przez okno, za którym powoli gasł dzień. Niebo było blad różowe. Gałęzie starego klonu, stojącego dokładnie naprzeciwko okna, dzieliły je na trójkąty, a te z kolei przecinały na mniejsze figury czarne jaskółki.

Okno naszego pokoju wychodziło na jakieś zarośla, gdzie ciągnęły się zapomniane transzeje, i jednostkę wojskową, wzdłuż budynków której rosły drzewa trampkowe. Chodziło o to, że raz w roku wojsko wiązało za sznurowadła stare, zużyte i śmierdzące już nieprawdopodobnie półtrampki i znajdowało dziką przyjemność w rzucaniu nimi z okien w kierunku drzew. W jednostce tej szkolili się kucharze. Chyba z połowy naszego okręgu wojskowego, bo wśród zielonych „zajaków” widywało się również stalowe mundury lotników, jak i granatowe marynarzy. No i właśnie się szkolili:

- Bacność! Spocznij! W prawo zwrot! W lewo zwrot! - wydzierali się kaprale. - W

tył zwrot! Kurwa, przez lewe ramię, mówiłem!

Bez tej wiedzy wszak nie mógł się obyć żaden kucharz.

Tymczasem Jasiak wrócił.

- Spotkałem po drodze Ulę. Mało nie zemdląła - zaśmiał się. - Chciała mnie od razu wysyłać do lekarza.

- Trzeba było skorzystać.

Tylko machnął ręką. Tą zdrową. Wróciliśmy do pracy. Szary nalot, brud nagromadzony przez kilka miesięcy, schodził bardzo opornie. Trzeba było naciskać mocno, przez co zewsząd unosił się pył, a gniazda wiórków szybko się rozlatywały i trzeba było je wymieniać. Próbowałem kilka razy szorować nogą, ale okazało się to wyższą szkołą jazdy. Trzeba było znów paść na kolana. I to przed kim. W miarę jak podłoga odzyskiwała pierwotny wygląd, w nas narastała bezsilna złość.

- Mam nadzieję, że potem polakierują - sapnął Sosabowski, usiłując się wyprostować.

Nic nie odpowiedziałem. Kątem oka zauważyłem, że chłopak przygląda się dziwnie pionowej rurze, która biegła przy jego łóżku.

Do pokoju zajrzał kapitan.

- Kończycie? - zapytał.

- Nie - odburknąłem.

- Pośpieszcie się. Za chwilę będzie chodziła komisja.

- Jaka komisja? - zainteresował się mój współlokator, przerywając na chwilę czynność wydłubywania czegoś spomiędzy rury a ściany.

- Ogłosiliśmy konkurs na najlepiej wywiórkowany pokój - ogłosił nasz opiekun roku z nieskrywaną dumą. - Radzę wam się pospieszyć.

- A jaka jest nagroda? - drążył jeszcze Jasiek, ale oficer był już na korytarzu.

- Przecież wiesz, że nagrodą jest brak kary - rzekłem. - Co ty tam dłubiesz? - zapytałem współlokatora po chwili.

- Ser.

- Co?

- Serem wędzonym załatali, skurwysyny! - krzyknął prawie, wyciągając przed siebie dłoń, na której leżały wydłubane ze spojenia dwóch rur jakieś kawałki koloru lamperii.

No to niechęć wyjaśniliśmy wielką tajemnicę. Ja od samego początku wspólnego mieszkania myślałem, że to od niego tak wali, a on pewnie był święcie przekonany, że to sprawka moich nóg albo i czegoś więcej. A to sprytny żołnierz-budowlaniec, terminujący kiedyś zapewne u własnego ojca przy budowie chlewiku czy obory, a potem w ramach służby krajowi remontujący dla nas internat, zamiast gipsu użył wędzonego sera z kolacji albo śniadania. Cóż, Polak potrafi.

Szybko pozamiataliśmy pył z resztkami wiórków, poustawialiśmy meble na swoje miejsca. Potem nadeszła zapowiadana komisja: kierownik przybytku, kapitan i nasza wychowawczyni. Otaksowali z wyższością i pobieżnie wewnątrz naszej sypialni, coś zapisali, każdy w swoim kajeciku, i poszli sobie. Tak wyglądała ocena naszej pracy.

A wygrały chłopaki z szóstki. Może dlatego, że mieli naprawdę najwięcej do czyszczenia.

\*

Wedle obietnic i wszystkich mądrych zapisów po pierwszym roku nauki zabrali nas na obóz żeglarski, gdzie mieliśmy poznawać tajniki tego pięknego sportu. Prawdziwą sztuką

było jednak skompletowanie wszystkich przyszłych wacht, i to w dodatku w środku wakacji. Smutna prawda była taka, że oto kończą się one dla nas dokładnie w połowie. Dla jednych była to tragedia, bo właśnie ojczyzna ściągała ich z leżących na nadmorskich plażach bądź brzegach jezior czy nawet glinianek, opalonych ciał partnerek, których imion często nawet nie zdążyło się poznać. Albo z górskich stanic, gdzie ponoć, dokładnie miało to miejsce w Bieszczadach, chłopcy ułożyli sobie w namiocie terakotę na podłodze, czyli ziemi. Z kapsli po leżajsku i zagłobie.

Dla innych z nas, kisańców w murach swoich miast i miasteczek, gdzie coraz mniej było znajomych twarzy - i to nie tylko z powodu letniej pory, hasło do wyjazdu brzmiało jednak jak prawdziwe wybawienie. Biadolić mógł jedynie tatulo rolnik, bo przecież ubywała mu właśnie para rąk do pracy. I to chwilę przez żniwami.

Inną sprawą było przekonać kapitana Karżyńskiego i innych pryncypałów, że nie ma się lat pięciu i skoro nad jezioro, gdzie czekały już namioty i żaglówki, jedzie się z rodzinnej miejscowości ledwo godzinkę z hakiem, to po jakiego grzyba nadkładać drogi i telepać się pociągiem do szkoły? Ale nie dało się. Koledzy mieszkający w najdalszych zakątkach kraju musieli popierdalać przez pół doby, by się stawić najpierw w internacie, a potem wspólnie ruszyć z powrotem.

Radość ze spotkania szybko łagodziła trudy podróży.

- Cześć, mordy! - rozlegało się na piętrze za każdym razem, gdy wracał któryś z naszych.

A na to z pokoi wyglądały te gęby ukochane, opalone lub poblądłe, grubsze lub szczuplejsze niż przed wakacjami, a często nawet... brodate!

- Ale żeś zarósł - witaliśmy nową twarz Roberta Rómmla, który przypominał Jezusa Chrystusa, ale tego z rysunków w piśmie świadków Jehowy „Strażnica”, gdzie zawsze miał trochę krótsze włosy niż na świętych obrazach w katolickich domach.

- Jakby ojciec zapalki w gówno powsadzał - skomentował z właściwą sobie subtelnością Tomek Langiewicz z za pleców pozostałych, po czym wybuchł zbiorowy śmiech



i od razu czuliśmy, że jesteśmy znów w domu.

Nazajutrz, odziani w niebieskie mundurki, wypływałe już nieco po roku nauki, sprane i często mocno przyciasne, jechaliśmy pociągiem osobowym na Pojezierze Drawskie. Każdy wiół z sobą świeże jeszcze obrazy z wakacji, ten i ów bazgrolił na kolanie list do dziewczyny, zazdrośnie zasłaniając kartkę dłonią przed wzrokiem kompanów. W przenośnym radyjku słuchaliśmy najnowszego przeboju lata, w którego refrenie dziewczyna śpiewała z przekonaniem:

- Chciałabym, chciała! Chciałabym, chciała...

Myślę, że w tamtym czasie niejedyn z nas z pewnością nie przestawał się zastanawiać, czy tak jest i w jego przypadku...

Czekały na nas wypływałe wojskowe namioty, ustawione w kilku rzędach. Koło pierwszego z nich, z tabliczką SŁUŻBA DYŻURNA, stało w rzędzie kilka tablic propagandowych, bo i tutaj nie miano zamiaru dać nam spokoju. WIERNI BOJOWYM TRADYCYJOM TWORZYMY POMYŚLNOŚĆ I SIŁĘ POLSKI. Na drugiej jakiś domorosły artycha wymalował czołg ze skrzydłami. Albo orła na gąsienicach.

Jezioro powitało nas chłodną wieczorną bryzą i trzaskiem want przycumowanych do kei żaglówek typu omega, na których mieliśmy zdobywać swoje szlify. Nad okolicą górował stadion, który, według opowieści, miał służyć przed wojną sportowcom III Rzeszy, przygotowującym się do igrzysk olimpijskich w Berlinie. Z jednej jego strony stały dwa ogromne kominy z czerwonej cegły, które ktoś z naszych dyżurnych optymistów od razu skojarzył z krematorium. Ale się pomylił, bo, według starej legendy, miały one podtrzymywać dach nad murawą, ale budowy nie dokończono, bo Adolf dostał po dupsku. Oprócz tego na brzegu jeziora stała piękna willa, w której rzekomo mieszkała kiedyś Ewa Braun, kochanka Hitlera.

Ledwo ktoś skończył opowiadać, doszedł naszych uszu dziwny szum, który po chwili przeszedł w modulowany warkot. Spojrzeliśmy w stronę, skąd dochodził. W pewnej chwili, dokładnie pomiędzy kominami, na których miał zawisnąć strop chroniący niemieckich sportowców przed śniegiem i deszczem, pojawił się cień samolotu. Za nim następny...

- Co jest, cholera? - zapytał Cezary Maczek, mrużąc przy tym oczy.

Zanim jednak ktokolwiek zdążył powiedzieć cokolwiek więcej, samoloty przelatywały tuż nad naszymi głowami. Nisko, niziuteńko, kołysząc się na boki i powodując potworny huk.

Któryś z naszych aż skulił się w sobie, ktoś gibnął w bok, jakby obawiał się, że spód cielska maszyny za chwilę oderwie się bomba. Bo i rzeczywiście wyglądaliśmy z naszymi tobołkami jak ci uciekinierzy z polskich miast, prący z nadzieją na wschód we wrześniu 1939 roku. Za chwilę kolumna rozerwie się, rozleje na boki, do rowów, a przez jej środek przebiegnie ścieg kul wystrzeliwanych z pokładowych karabinów maszynowych, które osiągną tych, co nie zdążyli się schować. Obok wykwitnie ziemia od wybuchów bomb, rozrywających ciała ludzi i zwierząt.

My jednak nie ruszaliśmy się z miejsca. Chociaż oprócz tego wszystko byłoby rzeczywiście jak w jakimś filmie wojennym. No i jeszcze jedna różnica była: samoloty miały na skrzydłach odrobinę inny symbol...

- Ruscy - rzucił Wojtek Dreszer, gdyśmy już odprowadzali wzrokiem dwa ptasie cienie, lecące teraz nad jeziorem; on to właśnie miał z nas najbliżej do naszych sąsiadów, choć nie wiadomo, czy teraz miało to jakieś znaczenie. - Stacjonują niedaleko, pytałem Karzyńskiego - wyjaśnił szybko.

- Pewnie nawaleni jak messerschmitty - prychnął z pogardą Jagmin.

- JAK, ale siedemnaście - sprostował niegłośno Maczek i zaraz dodał ze znanstwem: - Kupa złomu. Cud, że w ogóle się to jeszcze w powietrzu utrzymuje.

Mimo tych nalotów, których odtąd regularnie się spodziewaliśmy (choć nikt nie przypuszczał, że w tym upojeniu alkoholowym albo tęsknocie za mateczką Rosją chłopaki będą niemal szorować skrzydłami po wodzie!), wydawać się mogło, że oto mamy przed sobą bite trzy tygodnie laby, które spędzimy sobie, żeglując po jezioru, w ciszy jako takiej, tudzież uwaleni na leżaczkach, na brzegu, a wieczorami paląc ogniska. O tym, że tak nie będzie, dowiedzieliśmy się bardzo szybko...

- Nazywam się podporucznik Wojcieszek Zbigniew, o żesz kurwa wasza mać! - huknął do nas człowieczek o wyglądzie skacowanego węglokrada.

Rzecz miała miejsce na pierwszym wieczornym apelu, na którym po raz pierwszy, przy dźwięku żeglarskiego dzwonu i gwizdka, wstawiono na maszt biało-czerwoną banderę.

- Klasa B? - zapytał Wojcieszek, gdy się już uspokoiło nieco.

- Nie - odpowiedział cichutko któryś z nas, wskazując jednocześnie palcem właściwą grupę; ta nie miała już tyle szczęścia co my.

- O żesz kurwa wasza mać! Nazywam się podporucznik Wojcieszek Zbigniew...

Okazało się bowiem, że zamiast nauczycieli i wychowawców, za którymi, mimo wakacyjnej pory, z miejsca zatęskniliśmy, zająć się nami mieli prawdziwi porucznicy.

- Ja jestem z jednostki liniowej - chwalił się inny, wielkie bydlę, którego z miejsca nazwaliśmy „Gibonem”. - U mnie jest tak, że gdy żołnierz służby zasadniczej niesubordynację wykazuje, to się okopuje do pozycji stojącej.

Brzmiało to trochę abstrakcyjnie, tym bardziej że nie wiedzieliśmy, o czyj wzrost tu może chodzić: żołnierza czy dowódcy. Ale nie chcieliśmy się przekonywać na własnej skórze, jak ta metoda wychowawcza może zadziałać w praktyce. Porucznicy od samego początku stosowali zatem inne, nie mniej skuteczne. A mianowicie: sprzątanie obozowych ubikacji. Pierwszego wieczora dowódca naszego plutonu, podporucznik Piekarczyk Jan, w którym to szyku nam się wcześniej przedstawił, wezwał do swojego oficerskiego wigwamu kilku podpadziochów. Ich wina polegała bodajże na zbyt głośnym śmiechu podczas kolacji.

- Za karę macie posprzątać pod sanitariatamy! - krzyknął Piekarczyk (nie wymawiał samogłoski „i”; być może dlatego, że była zbyt miękka, a dla mięczaków miejsca w armii nie ma). - Czas operacyjny dwadzieścia minut.

Wrócili po pięciu.

- Co jest?! - zdziwił się nasz dowódca. - Już posprzątałyście?

- Meldujemy niemożność wykonania zadania - wyrecytował Maciek Czuma.

- A to czemu, kurwa wasza mać?

- Mieliśmy posprzątać pod sanitariatami.

- No y?

- Ale tam jest beton, obywatelu poruczniku...

Nie chcieli nam jednak opowiedzieć, co się stało potem. Chyba niezbyt dobrze się skończyły te gierki słowne z dowódcą, jak by nie patrzeć, plutonu czołgów, choć na wczasach. No bo nasi wrócili nieźle zasapani.

Musieliśmy zatem wrócić do tematu dyżurnego, a tym, zwyczajowo w skupiskach męskich, były dupy. Leżeliśmy sobie zatem w ośmioosobowych namiotach typu NS „beczka”, używanych przez armię na poligonach, i snuliśmy swoje wywody. Światło, czyli goła żarówka zwisająca z sufitu, było już zgaszone, a capstryk ogłoszony, więc gadaliśmy po ciemku. Zresztą może to i lepiej, bo ciemność pobudzała wyobraźnię, a jednocześnie wstyd zmniejszała...

Obudziła nas piosenka nadawana przez radiowęzeł, zanim dyżurny, wspomagany watami, nie zaczął drzeć ryja, żeby wstawać i zbierać się na zaprawę poranną.

- Och, Ela, straciłaś przyjaciela. Musisz się wreszcie nauczyć, że miłości nie wolno odrzucić - wyjękiwał do rytmu wokalista popularnego zespołu.

Śniła mi się, w istocie, Elka, którą poznałem w lipcu. Niestety, mieszkała na drugim krańcu Polski i choć już planowałem wyprawę, wykorzystując pierwszą nadarżającą się okazję i środki finansowe Ministerstwa Obrony, druga część mojej psychiki podpowiadała, że i tak nigdzie nie pojedę.

- Biegusiemy, chłopcy, biegusiemy! - zachęcał nas odziany w gustowny, acz nieco przyciasny dresik nasz naczelny wuefista, major Otręba, którego też wysłano tu z nami. Na urlop znaczy.

Każdego dnia wybiegaliśmy z terenu obozu, do lasku, gdzie najsampierw odbywał się zwyczajowy „morza szum, ptaków śpiew”, czyli niezbędne poranne opróżnianie pęcherzy. A potem zaprawa, którą najgorzej przyjmowali ci, co już kładli się zdrowo zaprawieni. Po śniadaniu przychodził czas na sprzątanie.

- Rozpoczynamy konkurs czystości - ogłosił drugiego dnia z ogromną radością nasz kapitan, Jan Karzyński.

Spojrzałem, zresztą nie tylko chyba ja, bojaźliwie pod nogi. Nic tam nie było szczęściem do wiórkowania, a przecież ten rodzaj tortur nasz opiekun roku ukochał najbardziej. Jednak cały czas chodziliśmy po trawie, a tę, wzorem wielu jednostek wojskowych, można było malować ławkowcem na zielono; tu i ówdzie wytyczono też betonowe alejki, a nie było lepszego sposobu na nudzących się żołnierzy, jak nakazać im skubać zielsko ze szczelin między chodnikowymi płytkami albo bielić krawężniki, nie tylko przed wizytą oficjeli ze sztabu okręgu.

Tak zresztą zajmowano czas również panom podchorążym, którymi mieliśmy kiedyś być. Szczególnie w niedalekim Poznaniu, gdzie znajdowała się Szkoła Oficerska Służb Kwatermistrzowskich imienia przedwojennego komunisty, Mariana Buczka, której właściwy skrót, WSOSK, czytano jako: Wyższa Szkoła... Ogrodnicza Specjalność Klomby. To jednak, póki co, była odległa przyszłość.

- Najlepiej wysprzątnany namiot dostanie na koniec obozu nagrodę - uściślił nasz dowódca na wieczornym apelu.

Przez szeregi przetoczył się pomruk niezadowolenia, a może to tylko zagrał nisko silnik starego JAK-a 7, wracającego do bazy po wieczornym oblocie okolicy.

- Wytłumaczcie mi może, jak namiot może dostać nagrodę? - zastanawiał się głośno

Mirosław Bołtuć.

- Mogą go wyprać albo nawet wyczyścić. Może nawet po raz pierwszy - stwierdził z zupełnie poważną miną Krzysiek Zajączek.

- Albo zakwaterować w nim jakieś fajne panienki - podpowiedział Pawełek Grot, czym nie zdziwił absolutnie nikogo; co więcej, odgrażał się buńczucznie, że już najbliższej nocy zaczyna podbój okolicy, gdzie ponoć zjechały się całkiem urodziwe wczasowiczki, a w dodatku organizuje się tutaj fajne dyskoteki.

- Pewnie jeden wielki pic ten konkurs - zawyrokował wreszcie któryś z naszych, stojący w drugim szeregu apelowego szyku.

Dzięki czemu przestaliśmy się martwić na zapas. Aż do następnego ranka...

- Ja to jestem z jednostki liniowej. U mnie jest tak, kurwa, że jak żołnierz służby zasadniczej niesubordynację wykazuje, to się mi okopuje saperką do pozycji stojącej! - przypomniał nam tę smutną prawdę podporucznik „Gibon”.

A oznaczało to również, że nasi dowódcy mają zamiar potraktować serio ten cały konkurs czystości. Komisja, która sprawdzała stan namiotów, przyznawała punkty, czyli nagrody. Porucznicy natomiast wymierzali kary załogom tych namiotów, które dostały tych punktów za mało. Jednym słowem - współzawodnictwo na całego. Nawet na wakacjach. Maksymalną notą, tak że normalnie mucha nie siada, bo przetnie się na dwoje na załamaniu koca, było pięć punktów. Ale już za czwórkę zaczynały nas dotykać restrykcje.

- Za czwórkę obczyszczacie namiot ze sprzętu, myjecie podłogie i wstawiacie „wozy” z powrotem - instruował nas porucznik Wojcieszek Zbigniew, nazwany przez swój pluton „Wodzem”.

Spojrzeliliśmy z nadzieją w stronę naszego wodza, Piekarczyka, ale ten tylko kiwał głową z aprobatą dla pomysłów kolegi.

- Y ma my tam błyszczeć jak psu jajca - dodał jeszcze nasz pan porucznik, żeby już

nie było najmniejszych wątpliwości, pytań, pochrząkiwań ani znaczących spluwań.

Niestety, wachcie, w której byłem, dostała się trójczyna już drugiego dnia trwania tego wspaniałego współzawodnictwa. Ktoś czegoś nie dopilnował, może zostawił na łóżku, czyli popularnym „wozie”, skarpetki albo nie domknął szafki. Grunt, że podpadliśmy na całej linii. Karą była wyprowadzka, ale już nie przed namiot, a na skraj całego naszego miasteczka obozowego. I jeżeli dotąd, przez cały pierwszy, chyba najtrudniejszy rok nauki i rozłąki z domem, ktoś nie żałował, że wdepnął w śmierdzącą sprawę, której na imię było Wojsko Polskie, teraz zaczynało go to dopadać.

- A mogłem teraz wylegiwać się na plaży w Juracie - jęknął boleśnie Mirek Unrug, któremu zawsze zazdrościliśmy, że pochodził z Gdyni i nie musiał za daleko wyjeżdżać na wakacje.

Przystąpiliśmy do egzekucji kary. Gdyby rzecz dotyczyła tylko łóżek, nie byłoby wielkiego halo i uporalibyśmy się z tym raz-dwa. Ale trzeba było też ogołocić namiot z szafek, a były to metalowe wysokie żołnierskie szafy, służące przymusowym obrońcom kraju i ustroju za szafy grające (zamykało się delikwenta w środku, a następnie waliło się pięściami i kopało od zewnątrz).

Taskanie takiej szafy przez kilkanaście metrów, nawet we dwóch, to już była prawdziwa katorga. Ręce mdlały z wysiłku, pot zalewał oczy, krzyż balansował na krawędzi nieszczęścia. Najgorsze jednak było to, że nijak żaden z nas, ukaranych, nie potrafił znaleźć w tym jakiegokolwiek sensu, wytłumaczyć dzisiejszej mordęgi czymkolwiek późniejszym, co miałoby jakikolwiek głębszy sens.

- Cieszcie się, że to tylko tu - powiedział Bodek Jagmin, którego załodze udało się dziś otrzymać maksymalną notę w obozowym letnim konkursie czystości, więc mógł tylko przypatrywać się naszemu nieszczęściu.

- Weźcie go, dobra? - warknął ze złością Janusz Sosabowski, dysząc ciężko nad metalową skrzynią szafy.

- A ciekawe, co byłoby za jeden punkt. Albo za zero - zapytałem naraz.

Odpowiedziało mi milczenie. Ciężkie jak ta szafa. Nikt chyba nie chciał wypowiedzieć tego głośno, a już tym bardziej przeżyć. Tylko znany z czarnowidztwa Wiesiek Kościuszko rzucił, niby od niechcienia:

- Za pałę pewnie wspinalibyśmy się z majdanem na górę i ustawiali go na stadionie. A za zero pod te kominy - wskazał palcem przed siebie, choć doskonale wiedzieliśmy, gdzie stoją niedoszłe filary hitlerowskiego stadionu, a i pewnie systemu.

Jednak od tej pory wszystkie muchy omijały szerokim łukiem przynajmniej nasz namiot. Wkrótce nadeszła też pora, kiedy po raz pierwszy mogliśmy wejść na pokłady kryp, na których mieliśmy zdobywać żeglarskie szlify. Za instruktorów robili żołnierze służby zasadniczej, których wytypowano tu, chyba ku radości, bo kto by chciał latem gnić w murach jednostki, choćby i na krawieckiej miarce rezerwisty zostało tylko kilka prostokątów do odcięcia.

Z początku popatrywali na nas dość nieufnie, wszak byliśmy przyszlą przeciwną stroną odwiecznego konfliktu między poborowymi a zawodowymi nosicielami polskich mundurów. Między tymi, co nie chcą chodzić w przyciężkich kamaszach, a tymi, którym jakoś nie stało lepszych pomysłów na życie. Ale szybko udało nam się nawiązać jako taką nić porozumienia.

- Ale żaden inny tjep, pojucznik, nie wejdzie na moją kjypę! - odgrażał się Romek, któregośmy bardzo szybko nazwali Jomkiem z racji niewielkiego defektu w wymowie.

A dalej to już jakoś poszło. Najpierw odrobina wiedzy teoretycznej, a potem na wodę.

- Ta łódka jest praktycznie niewywracalna - uspokajał swoją załogę instruktor, który przedstawił się nam buńczucznie jako „Banan”, a trafność tego pseudonimu poznać mieliśmy dopiero po kilku dniach, gdy ktoś z naszych zapytał, czyje są prezerwatywy suszące się na sznurku od bielizny, przy namiocie...

Ledwo instruktor-żołnierz zwanym „Bananem” wypowiedział te słowa, w płachtę grotu uderzył z hukiem nagły szkwał. Jacht pochylił się gwałtownie, zasyczała woda po



dwóch stronach burty, jakby ją ktoś podgrzał. Siedzący na zawietrznej Jasiak Sosabowski i Mariusz Haller, których wspólna waga dochodzić mogła do dwustu kilogramów, w sekundę zaczęli szorować tyłkami po tafli wody. Żeby nie zamoczyć się bardziej, któryś z nich chwycił ręką za talię żagla, czyli kilka linek łączących dwa bloczki, bom z gretingiem, czyli podłogą, przy pomocy którego to urządzenia „Banan” miał zamiar przywrócić omegę do pionu. Tylko że nie mógł tego zrobić, bo przecież, jak głosi stare, mądre porzekadło, tonący... talii się chwyta.

- Puść to! - wrzasnął instruktor.

Ale było już za późno, by cokolwiek wskórać. Omega plasnęła masztem o powierzchnię jeziora, zajęczały żałośnie wanty. Jednak tylko przez chwilę żagiel leżał na wodzie, ponieważ jacht zaczął przekreślać się wokół własnej osi. Po kilku sekundach maszt znów znajdował się w pozycji prostopadłej do wody, choć już odwrotnie. Fachowcy nazywali to „grzybkiem”. Dookoła czerwonego kadłuba omegi wystawały mokre głowy. Jasiak trzymał w zębach sandał.

„Banan” szybko przeliczył przydzielonych mu pod dowództwo i opiekę załogantów. Jednego brakowało. Nie znał wszystkich jeszcze po imieniu, więc krzyknął:

- Gdzie jest ten... - imię, a może przekleństwo w ustach instruktora żeglarstwa, który oto pierwszego dnia zaliczył wywrotkę, wykropkowały kropelki wody tryskające z ust.

Rozejrzeli się dookoła. Brakowało Roberta Rómmela, który... nie umiał pływać. Nim jednak ktokolwiek wydobył z siebie jakikolwiek dźwięk, uszu przymusowych pływaków doszedł charakterystyczny śmiech.

- I co? Zimna woda? - pytał Rómmel, którego zobaczyli wysoko nad sobą, siedzącego na kadłubie omegi, tuż obok wycelowanego groźnie w niebo miecza.

Okazało się, że jako jedyny wykazał się refleksem, a może pomógł mu też strach przed głębią, bo w chwili, gdy jacht obracał się, chłopak wędrował razem z nim, po burcie, potem po dnie. Dzięki temu nie dość, że nie wpadł do wody, to jeszcze był zupełnie suchutki, suchusieńki jak przelyk podchorążego po przepustce nad ranem.

Nietrudno się domyślić, że dzięki temu wyczynowi został nasz Rómmel-Robinson bohaterem dnia. Chociaż już wieczorem, po kiepskiej kolacji, po toalecie, którąśmy specjalnie przedłużali z nudów, przez co przed umywalnią utworzyło się bajoro mydlin, bo instalacja nie nadążała (kto mógł przypuszczać, że przyjadą tacy, co będą używać mydła i pasty do zębów?!), po ogłoszeniu capstrzyku, inny temat królował pod półkoliście sklepionymi dachami namiotów z butwiejącego brezentu. Żarówka zwisająca z sufitu już się nie świeciła, więc dyskusja toczyła się w mroku.

- Ja muszę to zrobić jeszcze przed osiemnastką - powiedział ktoś niegłośnie.

Pytań jednak nie było. Dyskusja się urwała. Może każdy postanowił w myślach podobnie, a może miał już to za sobą. W okrągłych oknach namiotu łuna zachodu mieszała się z bladym światłem latarni, dzięki którym nocą obóz nasz nie różnił się od średniej wielkości i zamożności wsi. Ktoś już pochrapywał miarowo, inny kręcił się na pryczy, przekręcając się z boku na bok.

Tej nocy długo nie mogłeś zasnąć.

- Mamo, mamuniu... - gada przez sen ktoś leżący na jednej z prycz w drugim rzędzie, a gdy nie gada, to mlaska głośnie; może śnił mu się jakieś mamine specjały, podane na niedzielny obiad?

Ale to nie przez to sen wciąż nie nadchodzi. Jest cicho, wiatr wyraźnie osłabł, nie szarpie płachtami namiotu. Jest cicho, może nawet za bardzo. Przekręcasz się z boku na bok niezliczoną ilość razy, za każdym z nadzieją, że to już ostatni raz i wreszcie się uda. Chociaż na kilka godzin.

Żeby jeszcze można było zzuć buty i dać odpocząć stopom... Właściwie nikt nie każe nie zdejmować, ale tak dla spokoju. Lepiej nie. I pomyśleć, że tyle piasku naokoło, jak na jakiejś plaży, na przykład nad Bałtykiem, w Ustce czy Jastarni, a trzeba chodzić po nim w ciężkich, wysokich buciorach na grubym traktorze. Do tego sztywny kołnierz mundurowej kurtki uwiera w szyję, podrażnioną przez słońce, ale i ją rzadko kto zdejmuje, udając się na spoczynek.

A snu wciąż nie ma. Rana na dłoni od oparzenia już nie boli. Wczoraj jeszcze nieźle dawała o sobie znać, dziś już, posmarowana jakimś babskim kremem, niemal wcale. A nie chciałeś, głupi, wierzyć, jak mówili, że broń, przynajmniej jej wszystkie metalowe elementy, więc niemal całą, trzeba owinąć szmatami. Inaczej masz gotowe żelazko, choć niczego nim nie uprasujesz. Więc albo szmaty, albo chodzić w rękawicach, ale w nich źle się naciska spust. Bo to jakbyś dotykał kobiecej piersi w rękawiczce. Albo używał prezerwatywy wiadomo do czego...

Oj, kiepskie porównanie! Teraz to już w ogóle nie przytnie się komara. A kałach leży pod łóżkiem, obok kamizelki kuloodpornej, teraz zupełnie zimny. Pustynia to dziwna kraina. Znów przewracasz się na drugi bok, możliwie jak najciszej, żeby nie zbudzić nikogo. No i nie przerywać tej ciszy, która jest tutaj jak najgrubszy mur z żelbetonu.

- Mamm... - rozciamkał się znów ten tęskniący za rodziną, a może we śnie już dolary liczy, które mu skapną?

„Mamm” wypowiedziane z satysfakcją i przeciągnięciem ostatniej głoski, z lubością, jakby się jadło najsmaczniejszą, dawno nie kosztowaną potrawę lub wlewało do gardła pierwszy łyk zimnego napoju. „Tak samo jak »jestemmm«». Zupełnie tak samo, a jednak inaczej” - przechodzi ci przez myśl.

Nie można zgasić światła, to wiadomo. Nie tylko ze względu na szczury, które tylko po ciemku mogą się odważyć podejść bliżej i usiłować wgryźć się w gardło. Wroga, przed którym bronisz się najpierw przy pomocy światła, i tak nie widać. Jest u siebie. Ty nie.

Wczoraj afera z miejscowymi, co się najęli do nowej milicji. Żaden nawet maszerować nie potrafi, strzelać to może z procy, ale przecież z czegoś trzeba żyć, wcale liczne rodziny wyżywić. Choćby z... wypożyczenia broni rebeliantom, na noc. Tacy są! A wtedy bronili swojego, który na oczach naszych ukarał swoją córkę za to, że rozmawiała z niewiernym, to znaczy z jednym z nas. Ukarał. Wyjął długi, zakrzywiony nóż i poderznął gardło.

Niemal obciął jej głowę!

Chłopaki od razu zarepetowali broń, a ci sprzymierzeńcy, pies ich ganiał, stanęli okoniem, bełkocząc coś po swojemu i szybko. Bo takie ich prawo. Prawu szariatu.

Gdzieś z daleka dochodzi seria z karabinu maszynowego. Daleko, może nawet za miastem. Nieważne. Jak coś, to zbudzą. Byle tylko zasnąć. Nagły podmuch wiatru szarpie płachtą namiotu. Przynosi dziwny, choć przyjemny zapach. To ich jedzenie, którym tysiące kilometrów stąd zajadają się gogusie w garniturach i białych kołnierzykach, wypuszczeni ze szklanych biurów w porze lunchu.

Już niedługo do świtu, potem śniadanie i zjazd do bazy. Wieje coraz bardziej, raz za razem, jakby ktoś wyciągał z pochwy długi, zakrzywiony, ostry jak brzytwa nóż. Jakby ktoś wyciąg...

Każdy wietrzny poranek witaliśmy z radością. Od wiatru zależało przecież dalsze szkolenie, a w miarę upływu dni sztuka żeglowania stawała się coraz łatwiejsza i przyjemniejsza.

- Wyobraź sobie, bierzesz potem jachcik, załogę złożoną z panienek w strojach kąpielowych i wypływasz sobie z portu w Mikołajkach - fantazjował Grzesio Prądyński, a każdy, któremu wyobraźnia pracowała przez to na wyższych obrotach, z jeszcze większym zaangażowaniem wykonywał zwroty przez sztag, rufę czy ratowanie tonącego.

Któregoś dnia odwiedził nas Łosiek. Z początku było mi głupio trochę, bo to był właśnie ten, którego zamieniono, zaocznie, ze mną na klasy i pokoje. Ale chyba nie z tego powodu zrezygnował gdzieś tak po pierwszym półroczu, spakował manatki, pomachał nam na do widzenia i skończył z armią. Przynajmniej póki ona sama nie przypomni sobie o nim, gdy trzeba będzie wyszkolić trochę mięsa armatniego i zająć dwa lata życia młodzieńcowi, żeby mu głupoty po łbie nie chodziły, a materiał genetyczny za bardzo na mózg nie napierał. Ale Łosiek nie dał sobie siana z dalszą nauką na generała z powodu prześladowań w pokoju czy niedostatecznych wyników z języka obcego. Wtedy w istocie mógłbym się czuć winny. Chodziło chyba o jakąś dziewczynę.

Oto stał przed nami, opalony, wszak miał chłopak wakacje, ubrany kolorowo i z

fantazją i zadowolony z regularnego opróżniania pewnych części ciała. Tak wyglądał ktoś, kto uciekł z naszej szkoły? Jakoś wciąż nie chciało nam się inaczej tego nazywać, choć z Łoskiem pogadali sobie chłopcy od serca, osuszyli kilka butelek, pytając pewnie, jak to jest.

- Normalnie - wzruszył tylko ramionami. - Bardziej chyba matka się cieszy, że mnie ma w domu, blisko.

Zapytany, czy nie żałuje decyzji sprzed kilku miesięcy, zdecydowanie pokręcił głową.

- Chłopaki, teraz to jeszcze kaszka z mleczkiem - rzekł, po czym kiwnął grzywką w stronę, gdzie ciągnął się płot jednostki wojskowej, do której należał też nasz ośrodek. - Problem to się zaczyna potem, w pracy, jak cię rzucą do takiej dziury jak ta. Ja znam tych ludzi, choć nie wiem, czy następnego dnia rano jeszcze zobaczę sąsiada w jednym kawałku...

- Mają tu materiały wybuchowe? - zastrzygł uszami Czarek Maczek, nasz klasowy maniak broni, ale Łosiek puścił to pytanie mimo uszu.

- Chodzi o to, czy się jeden pan porucznik w nocy nie zapił czasem na śmierć. Albo nie strzelił sobie w łeb ze służbowej broni, bo żona nie mogła już wytrzymać i uciekła mu do miasta.

Smutno się zrobiło. Ale tylko przez chwilę. Ktoś doniósł jeszcze kilka butelek, a Łosiek pochwalił się, że w wakacje robi za wykidajkę w jednej z okolicznych dyskotek. I że nas serdecznie zaprasza na dziś wieczór.

- Dziewczyny są ładne. Dziś nowe przyjechały, słyszałem. Z Warszawy. Tylko przebierać! - zachęcił na ostatek, pobudzając wyobraźnię niejednego z nas.

Tylko że tego dnia porucznik Janek Piekarczyk miał wyjątkowo zły humor i nawet jeśli ktoś nosił jeszcze w sercu nadzieję, że jak pójdzie i po ludzku wyłoży w czym rzecz, to dowódca da się przekonać, to po kolacji było już bardzo źle. Nawet nie wiadomo, z jakiego powodu. Ktoś nawet sugerował, że chodzi też o żonę, która Piekarczykowi uciekła, ale na palcu oficera nie zauważyliśmy obrączki, więc to chyba nie było to. Grunt, że o dyskotecę można było tylko pomarzyć.

Ale Paweł Grot, który po tym wyjeździe obiecywał sobie bardzo wiele, i to nie tylko jeśli chodzi o umiejętności żeglarskie, nie miał zamiaru odpuścić. I gdy zapadł zmrok, umył się, wypchnął, ubrał najpiękniej, jak mógł, i chyłkiem, opłótkami, opuścił teren obozu z zamiarem dotarcia na dyskotekę i dobrej zabawy, uwieńczonej zdobyciem jakiegoś wianka.

W radiowęźle zagraniczny piosenkarz Fancy śpiewał o płomieniach miłości, co było przebojem tego lata, a myśmy tylko smętnie gapili się w płomienie ogniska, które pozwolili nam rozpalic. Któryś z instruktorów przyniósł gitarę i usiłował nauczyć swoich podkomendnych jakiejś szanty.

- Gdzie ta keja, aprzy niej ten jacht? Gdzie ta koja wymarzona w snach... - niosło się po wodzie coraz głośniejsze i śmielej, a myśmy tylko mieli nadzieję, że nas oficer nie zapyta: gdzie jest Grot?

Ale nie musiał. Sam wiedział, gdzie i jak się zacząć, by złapać wracającego w nocy z dyskoteki Pawła. Albo był to zupełny przypadek, nieważne: amator nocnych tańców został schwytany na gorącym uczynku.

Nie powiadomiono władz. Porucznik potrafił sobie radzić nie z takimi koleżkami i już niemal do końca turnusu Pawełek z kibla nie wyszedł, równie intensywnie operując zarówno drewnianym rumplem steru, jak i trzonkiem miotły, mokrą szmatą i workiem z chlorem, którym dezynfekowało się klozety i pisuary.

- Kabinę pierwszą sprząta dziś tradycyjnie dysko jeden - wydawał dyspozycje porucznik każdego dnia rano. - A kabyna numer dwa, dysko dwa - tu do sprzątnięcia szedł ktoś, kto akurat dał ciała i podpadł, ale nazwa kary pozostała.

Drugim największym podpadziochą po Grocie był Tomek Mierosławski, z którym na początku szkoły mieszkałem w jednym pokoju i który teraz, podczas pierwszej wycieczki do miasta, gdy kazano nam iść do miejscowego fotografa i zrobić sobie fotki, które mieliśmy potem mieć wklejone w książeczkach żeglarskich, spóźnił się czterdzieści minut na miejsce zbiórki. Czy zablądził, czy myślał nie wiadomo o czym, nie wiadomo. Nie chciał gadać.

- Wkurwyliście mnie, Mierosławsky - powiedział tylko oficer, kręcąc głową, a każdy z nas już szczerze współczuł Tomkowi, puszczając nawet w niepamięć to, że siedzieliśmy przez niego tak długo na ruchliwym skwerze i wdychaliśmy spaliny.

Na innych opornych znalazł swój sposób ostatni z poruczników, którego z racji rzadkich blond włosów nazwaliśmy „Pisklakiem”. Był chyba najgorszy ze wszystkich, bluzgał najczęściej, jak chyba jeszcze żaden z nas w życiu nie słyszał. Choć z drugiej strony rodzaj tortury, którą wymyślił, był raczej z tych inteligentnych, a i jakąś naukę w życie wnoszących.

- Założyliśmy koło miłośników „Regulaminu Służby Wewnętrznej” - oznajmił na którymś z apeli, unosząc w górę niewielką czerwoną książeczkę

Nie była to jednak słynna „Czerwona książeczka” Mao Tse Thunga, przywódcy komunistycznych Chin, co któryś z nas od razu żartem zasugerował. A na czym polegała kara? Podpadnięci zbierali się w jednym miejscu, dostawali po egzemplarzu rzeczzonego „Regulaminu Służby Wewnętrznej Sił Zbrojnych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”, a „Pisklak” kazał im się uczyć na pamięć poszczególnych ustępów czy paragrafów, a potem z tego dokładnie odpytywał.

- Wymień mi, kurwa... - zaczynał porucznik „Pisklak”, a niejeden z nas w myślach błogosławił naszych belfrów, wśród których nawet ci najsroźsi i najbardziej wymagający w momencie odpytywania używali zwykle słówka: proszę.

- Tak?

- Kurwa... Co zaliczamy do podstawowych cech żołnierskich?

To było jego ulubione pytanie. Zawsze chciał, by mu na nie odpowiadano, jakby onanizował się słowami, a te były dość mocne, dość wzniosłe:

- Odwaga, zdolność...

- Całym zdaniem odpowiadamy - przerywał oficer jak ta pani od polskiego w klasie

czwartej czy piątej niejednej podstawówki.

- Do podstawowych cech żołnierskich należy odwaga, zdolność do poświęceń, hart, wytrwałość na trudy życia żołnierskiego oraz umiejętność działania w trudnych warunkach wymagających napięcia wszystkich sił fizycznych i psychicznych - wyrzucało się z szybkością karabinu maszynowego, a dowódca kiwał z uznaniem tym swoim pisklęcim łbem.

Czasami się człek jednak zacinał. Okres wakacyjny robił swoje, mózg dawno nie używany do trudnej sztuki zapamiętywania danych (prócz tych niezbędnych do życia, czyli gdzie jest dobre piwo czy ładne dziewczyny na kąpielisku). Porucznik w oczekiwaniu podnosił brwi, prawie niewidoczne były, bo tak jasne, a tu zaćma, czarna dziura. Raz, gdy miałem wątpliwy honor zdawać nieformalny egzamin z „Regulaminu Służby Wewnętrznej Sił Zbrojnych PRL”, pomógł mi przypadek. Jakaś grupka kopała gałę w niedalekim sąsiedztwie wigwamu wodzów. I chyba właśnie któryś zdobył bramkę. „Pisklak” zerwał się z rozkładanego turystycznego krzeselka, wystawił łeb z namiotu.

- O ty, kurwa twoja... - zaklął pod nosem, ale to nic mu nie dało; chciał wiedzieć, kogo lży. - Skąd są te małpy?

To byli nasi: Jarek Okulicki, Artur Szembek, ktoś jeszcze. Bawili się w najlepsze, jak to na wakacjach. Od jeziora szła świeża bryza, wiatr rozpylał drobiny wody, tworząc tęczę, symbol nadziei, a w głośnikach obozowego radiowęzła ktoś śpiewał, że życie jest piękne. A my staliśmy we dwóch z kolegą, zamieszkującym na co dzień parter naszego Alcatraz. I wtedy on, może niechcący, a może z zemsty, zapominając, że nie obowiązuje nomenklatura szkolna, a obozowa, że nie ma klas z przypisanymi im literami, a plutony i cyfry, powiedział:

- Ce...

- Chuje - dokończył dzieła zniszczenia „Pisklak”.

A mnie olśniło raptem!

- Żołnierza... cechuje uczciwość i rzetelność, samodzielność i inicjatywa w działaniu, wysoka wymagalność wobec siebie i swych podwładnych, stanowczość i konsekwencja w



postępowaniu oraz dbałość o prezencję i schludny, estetyczny wygląd - wyrecytowałem szybko ten stek bzdur.

Ktoś nawet usiłował zrozumieć intencje autorów regulaminu, co więcej, wyobrazić sobie, jak taki żołnierz polski, wzór wszelkich cnót, miałby wyglądać. Umięśniony jak Rambo, ale wypucowany mydełkiem junak. Superman z amerykańskiego komiksu z twarzą pastuszka z mazowieckich łąk. Zawsze ramię w ramię z towarzyszem broni, czerwonoarmistą, bo przecież:

- Żołnierze Wojska Polskiego są zespoleni nierozzerwalną przyjaźnią, koleżeństwem i wzajemnym szacunkiem z żołnierzami Sił Zbrojnych ZSRR i pozostałych armii państw-sygnatariuszy Układu Warszawskiego oraz innych zaprzyjaźnionych państw socjalistycznych - zadeklamował kolega.

Miód na serce porucznika „Pisklaka” rozlał się szerokim, kojącym strumieniem. Puścił nas. Ułaskawił.

W ciągu trzech tygodni, prócz „Regulaminu Służby Wewnętrznej”, usiłowano też co niektórych z nas nauczyć pływać. Ale nie nauczono. Nawet najprostszymi sposobami, którymi ponoć posługiwano się w naszej Marynarce Wojennej.

- Skaczesz - wydawał polecenie Romek, zwany Jomkiem, po czym delikwent, chciał-nie chciał, lądował za burtą kropy; całe szczęście, że w ogóle ostrzeżony o kąpieli i w kapoku na grzbiecie.

Któregoś dnia, gdzieś tak w połowie turnusu, Bodek Jagmin zasiadł znów za sterem omegi. Załoga, z którą na co dzień pływał, była tego ranka dość nieruchawa. Chyba ich męczył kac, innych natomiast dopadał typowy w tym wieku kryzys niewyspania; wakacje niby w pełni, a pokimać nie można, jak zwykle, jak w ubiegłych latach. Za tydzień zacznie się szkoła i znów szósta trzydzieści dzwonek i walenie w drzwi. To między innymi z tych powodów nikt jakoś nie kwapił się, by zasiąść za sterem i pociągnąć za szoty grota.

Z początku Bodek Jagmin bał się pływać. W jego rodzinnych stronach nie było jezior; największy zbiornik wodny to była Narew, po której raczej nikt nie żeglował. Tyle co starą

łódką po rybkę, ale większość było takich, co bez wody, oczywiście wyłączając mycie się i jedzenie, się obywatła. Zastanawiał się zatem Bodek, na co mu ów patent żeglarza jachtowego, jak dumnie brzmiała nazwa uprawnień, które mieliśmy zdobyć. Wytłumaczyli mu szybko oficerowie, gdy któregoś dnia, zresztą w większej grupce, zbuntowaliśmy się przeciw zakuwaniu zasad locji i teorii żeglowania.

- U mnie nie ma jezior, na co mi to? - zastanawiał się głośno Bogusław, a Jurek Kutrzeba wtrącił:

- Prawo jazdy i owszem, przyda się. Drogi są przecież wszędzie.

Ale to nie spodobało się oficerom. Do rozmowy włączył się „Pisklak”, bo cała ta rozmowa miała miejsce w namiocie dowódców.

- Jak pan porucznik mówi, że masz siedzieć i się uczyć teorii żeglowania, to ma tak być! - krzyknął oficer.

Znaliśmy to. Zaczynaliśmy się powoli przyzwyczajać. Ale za chwilę stało się coś, co trudno już było znieść. Porucznik „Pisklak” musiał przecież podsumować. No to podsumował:

- Ty kurwo jedna.

Krótko a dotkliwie, jak wkłucie noża we wrażliwe miejsce na ciele ofiary. Że patrzył akurat na Jurka, ten wziął to do siebie. Rzadko zdarzało nam się zapłakać. Jeśli już, to chodziło najprędzej o zawiedzioną miłość czy coś w tym guście, ale i tak każdy to skrzętnie ukrywał. Wtedy jednak nie dało rady i Jurkowi zaszkliły się oczy. Siedzieliśmy potem przez kilka godzin w większej grupce na trawie pod płótem, jak im kazał porucznik, i wkuwaliśmy teorię.

Mogłoby się więc zdawać, że po czymś takim Jagmin na dobre znenawidzi ten piękny sport, ale nie wiedzieć czemu, stało się odwrotnie.

- Przygotować się do zwrotu przez sztag! - wydał komendę, z radością i entuzjazmem.

Wszystkie elementy zwrotu zostały wykonane bezbłędnie, choć instruktor Jomek był surowym arbitrem.

- Czwórka - ocenił niegłęboko i z kamienną twarzą.

To jednak ani trochę nie deprimowało zdobywającego szlify sternika.

- No dobjaj, Bodek. A teźaz wyskakuj za bujtę - powiedział po dłuższej chwili instruktor, zapalając bez pośpiechu papierosa.

Właśnie kolejny pijany radziecki liotczik przeleciał na swoim zdezelowanym sprzęcie tuż nad taflą jeziora, doprowadzając wodę niemal do wrzenia. Jagmin nie zareagował na polecenie. Wpatrywał się czujnym wzrokiem kapitana Lorda Jima czy jednonogiego wariata z „Moby Dicka” w jakiś punkt na przeciwległym brzegu jeziora. Jego twarz była spokojna, tylko palce zacisnęły się na rumplu tak mocno, aż zbieleły mu paznokcie...

- Nie słyszałeś, co mówiłem?

Sześć par oczu spojrzało na sternika, jakby zdziwionych i pełnych pretensji, czemu bierze inny kurs niż ten na dawno wyczekiwany ląd. Lub dlaczego, tchórz jeden, nie wydaje rozkazu do ataku na angielski bryg, prawdopodobnie wypełniony po burty złotem?! A Bodek nic, jakby nie słyszał lub nie o niego tu chodziło.

- Panowie, jóbta swoje - powiedział po chwili instruktor.

W mgnieniu oka wyciągnęło się po Bodka Jagmina kilka par rąk, wczepiło się w odzież, pochwyciło chciwie, jak gdyby w akcie długo wyczekiwanej i obmyślanej zemsty. Za spędzone na zimnych morzach lata krzywd i upokorzeń, podły krwiopijco! W sekundę Jagmin był w jeziorze. Najpierw zanurzył się cały, po chwili kapok, który szczęściem przez cały czas miał na sobie, zaczął wyciągać go na powierzchnię, przyduszając chłopaka zbyt ciasno związanymi sznurkami na wysokości szyi. Linia brzegu wreszcie przestała się kołysać, choć nadal była dość niewyraźna przez krople zalewające wciąż oczy. Bodek wypluł wodę.

Naraz poczuł, że znów coś ciągnie go ku dołowi. Szybko skojarzył, że muszą to być spodnie od dresu, które, jak opowiadali uczestnicy pierwszej wywrotki, w kilka sekund nasiąkają i stają się ciężkie, jakby kto ołowiu w kieszenie nawsadzał. Próbował je podciągnąć, ale efekt był taki, że zanurzył się jeszcze bardziej i napił wody. Zamachał kilka razy bezradnie rękami, woda wlała mu się do uszu. Zdrętwiał cały. Strach przed czarną głębią, którą miał pod stopami, i coraz zimniejszą wodą sprawiał, że nie przestawał dygotać.

- Jezu - jęknął tylko, choć chciał krzyczeć, wzywać ratunku, cokolwiek.

Nagle usłyszał za plecami syk wody, jakby ktoś gorącym żelazkiem najechał na mokrą koszulę. Kilkoma rozpaczliwymi ruchami zdołał się odwrócić, mając nadzieję na widok wracających po swojego sternika kompanów. I od razu tego pożałował. Kilka metrów przed jego twarzą wyrastał z wody ogromny biały kadłub.

Transatlantyk, Titanic, Boże święty! - skojarzył w myślach.

Tymczasem trójkątna góra lodowa zbliżała się coraz szybciej, tnąc z łatwością tafle wody na dwie połówki. Krawędź ostra jak brzytwa zaraz rozplata mu głowę na pół. Bodek rzucił się w bok, zagarniając wodę z całych sił. Ledwo po kilku takich ruchach czuł jednak, jak ręce omdlewają mu już z wysiłku. A prujący falę plastikowy kadłub, który nijak nie przypominał oglądanej dotąd z boku niepozornej skorupy omegi, wciąż kierował się prosto na niego.

Nie mogąc już dalej płynąć, pochylił głowę w dół, robiąc jednocześnie zamach ramionami, jakby chciał zarzucić je na ramiona dawno niewidzianej, bliskiej osoby...

- Stój, dokąd uciekasz?! - dobiegły jego uszu krzyki kolegów na łodzi, a może to tylko woda wlewająca się bez przerwy do małżowin bulgotała, przedrzeźniając mowę ludzi, których już tylu pochłonęła gwałtownie i na zawsze.

I Bodek Jagmin czuł, że to już koniec. Trochę głupio, że tak wcześnie i w ogóle. Boże, Boże mój... - pomyślał jeszcze, zanim niekończący się bulgot nie przeszkodził i temu. Zielono-czarna otchłań otworzyła mu się przed oczami, nagła cisza naparła na otwory uszu. Dwie grube ryby nagle wśliznęły mu się pod ramiona, pociągnęły w górę. Przez huk

przelewającej się w uszach wody dobiegły znajome głosy.

- Tonący na pokładzie!

- Kurs na port.

- Bodek, ale czemu ty właściwie spiejdalałeś przed żaglówką? - pytał zdziwiony instruktor Jomek, nachylając się z dymiącym papierosem w kąciu ust nad wyciągniętym z matni niedoszłym topielcem.

Kiedy opowiadaliśmy sobie tę historię przy kolacji, śmiali się wszyscy. Bodek również, choć trzeba go było czasami dwa razy pytać, bo ogłuchł trochę, tyle wody nalało mu się do uszu. Być może też dlatego nie zmartwił się zbyt, gdy na wieczornym apelu ktoś z oficjeli do końca rozwiął wątpliwości, że patentu nie dostanie nikt, kto nie ma karty pływackiej.

\*

Czas na obozie płynął sobie raz szybciej, raz wolniej. Biało-czerwona bandera była wstawiana co rano na apelu, my, uczestnicy obozu, a także jego kadra, wstawialiśmy się sami, wieczorem. Któregoś dnia jednemu z naszych sierżantów magazynierów, co to przyjechał z nami, żeby sobie móc łowić ryby, przyczepiliśmy dla kawału do łódki dwa wiadra z kamieniami. Ale i tak grubas jeden przepierdolił tak z pół jeziora, dziwiąc się wielce. Poza tym chodziliśmy kraść jabłka do ogromnych wojskowych sadów. Jabłka były ogromne, czerwone i dojrzałe, choć na kolacje, nie wiadomo czemu, przez cały czas dawali nam jakieś robaczywe psiary.

Cały kurs żeglarski zaś miały uwieńczyć egzaminy, żeby nie było zbyt miło i łatwo. Przeprowadzić miała je ściągnięta w tym celu z Bydgoszczy komisja składająca się z kilku starszych, smutnych panów, którzy, jeśliby razem weszli na którąś z kryp, na pewno doprowadziliby do jej zatonięcia.

- Jak się czasem polepszy, to się czasem popieprzy... - zwykł mawiać główny sternik - dziadek, pan Henio, który za punkt honoru obrał sobie, żebyśmy wszyscy zdobyli stosowne

papiery uprawniające do samodzielnego żeglowania.

Lubiliśmy bardzo pana Henia za te jego rymowanki.

- I na nowo jest chujowo.

Egzamin jednak miał się odbyć jak najbardziej na poważnie. Testy, komisja i temu podobne szopki. Nie sprawdziły się gdybania i spekulacje, jakobyśmy mieli patenty dostać w prezencie lub nawet próbowali nam je wcisnąć na siłę, bo przecież kazali zawczasu zrobić zdjęcia. Ale wtedy nasz pan Henio pocieszał nas, nieźle już zestrachanych:

- Jak czegoś nie będziesz wiedział na egzaminie pisemnym, to zostaw puste miejsce. Smurfy ci pomogą - śmiał się dziadek, po czym wracaliśmy do wspólnego śpiewania szant, spośród których wybierał, ku zgorszeniu wypoczywających z nami pielęgniarek, lekarza szkolnego i kucharek z rodzinami, te najbardziej nieprzyzwoite.

- Znałem kiedyś taką kurwę, co jej było krwawa Bronka, bo jak zaciskała uda, ucinała członka - zapodawał wodzirej, a wiara waliła dalej ze znanym pod każdą szerokością geograficzną refrenem: - Hej, ha! Kolejkę nalej. Hej, ha! Kielichy wznieśmy. To robi doskonale morskim opowieściom!

Egzaminy jakoś poszły. Smurfy też zrobiły swoje, choć już z praktyką nie było najlepiej. Nie wyszedł mi za cholereę zwrot przez rufę. Bo jakoś nigdy też nie uciekałem skądkolwiek, nadrabiając przy tym dupą jak kaczka, co traci orientację. Zrehabilitowałem się podejściem do tonącego, choć tak naprawdę było wiadomo, kto tu tonie. Ale udało się.

Na koniec miał się odbyć chrzest żeglarski, bo dopiero po przejściu tegoż mogliśmy mówić o sobie, że jesteśmy ludzie morza. W związku z tym zastanawialiśmy się, jakie też morskie imiona zostaną nam podczas tej uroczystości nadane. Królowały „Leniwy Leszcz” i „Szybki Szczupak”, choć o daniu szczupaka do swojego domowego wyra można było tylko pomarzyć.

Chłopaki z drugiego plutonu zapytali swojego porucznika, tego, co to najwięcej przeklinał (w czym był lepszy nawet od „Pisklaka”), jakie imię on chciałby nosić.

- Znaczy się, o co biega? - oficer nie za bardzo wiedział z początku, w czym rzecz.

- No, jakie imię wódz chciałby nosić? - tłumaczył cierpliwie Darek Orlik.

- A jakie można?

- „Zakrecony Szot”. „Grająca Wanta” albo „Sprytny Okoń”! - zaczęli się wtedy przekrzykiwać chłopcy, popuszczając przy tym wodze fantazji.

Na to porucznik, nazywany „Wodzem”, zmarszczył czoło w zamyśleniu, a awangarda drugiego plutonu wstrzymała jak jeden oddechy. Wreszcie twarz dowódcy rozjaśniła się uśmiechem.

- Wiem, jak chciałbym się nazywać - powiedział.

- Jak? - zapytali jak dzieci w przedszkolu, chórem.

- „Ochujały w Piździe”!

Chrzest wyglądał tak. Nasi instruktorzy kazali nam się rozebrać do spodenek. Najpierw siedzieliśmy w starej szalupie, którą ktoś wcześniej wypełnił pracowicie szlamem, błotem i rybimi odpadkami. Jeżeli ktoś się jeszcze nie porzygał, to starano się o to bardzo, podając specjalną miksturę do wypicia. Potem trzeba było pocałować umazane musztardą kolano żony Neptuna, Prozerpiny, za którą przebrany był „Banan”. I usiąść kością ogonową na wbitym w ziemię metalowym mieczu od jakiejś starej krypy, ale z podniesionymi nogami. Makabra!

Cały czas pilnowano nas, opornych traktując pagajami po tyłkach. Tak też kończył się cały rytuał - klepnięciem wiosłem w dupsko. Jeden z żołnierzy instruktorów, któremu widać jeszcze dużo brakowało do cywila, ale oto mógł się zemścić na rodzaju trepim, walił tak mocno, że aż nasz dyro kazał zwrócić mu uwagę:

- Uspokójcie żołnierza, bo zaraz ich pozabija.

Jakoś jednak udało nam się to przeżyć, a wszystko skończyło się wspólną kąpielą, podczas której można było już odpłacić się chrzczącym za ich chrzciny.

Wieczorem tego samego dnia mogliśmy obejrzeć w jednym z namiotów pełniącym funkcję świetlicy jakiś film na video, o którym jeden z poruczników, właśnie ten od oryginalnego żeglarskiego przezwiska, zwykł mawiać: wideło. Co znaczy przyzwyczajenie! W oczekiwaniu na seans popatrywaliśmy nieco znudzeni na telewizor, gdzie jeszcze nikomu nieznana piosenkarka o trochę pretensjonalnym pseudonimie Kayah, którą jakimś sposobem wpuścili na Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie, wydzieriała się do mikrofonu:

- Córeczko, wołałabym, żebyś była chłopcem!

Pewnie nie wiedziała o istnieniu liceów wojskowych...

\*

To będzie wracać, coraz częściej. Obrazy, słowa, imiona i nazwiska kolegów. Stawać zaczął przed oczami, wyraźne jak film w telewizorze plazmowym najnowszej generacji, który nie zajmuje miejsca w salonie, bo wieszka się go na ścianie, jak niegdyś prześcieradło - domowy ekran do puszczenia slajdów, kolorowych bajek na kliszach, które wyświetlało się przy pomocy pokrętła na specjalnym aparacie Jacek-3, a czasem nawet filmów z prawdziwego projektora. Technologia poszła do przodu, panie dziejku, ale marzenia wciąż te same. Już za chwilę nasz syn wypytywać zacznie ojca, jak to nam było za płotem, wszak nigdy się jakoś specjalnie nie wstydziliśmy tych lat młodzieńczych, matka wciąż się rumieni, gdy temat na tapecie, a gówniarz za chwilę idzie do szkoły średniej; tyle pomysłów na życie, wybrać trzeba jeden, więc może wojsko, gdzie zawsze chleb pewny i emerytura potem.

Pamiętam opowieść jednego znajomego sprzed lat, który spędził był kilka miesięcy w młodości w istniejącej jeszcze wtedy Szkole Oficerskiej Inżynierii Wojskowej. Rozstając się z nią, zapytał swojego dowódcę, czy nie ma nic przeciwko, żeby kiedyś, gdy będzie miał syna, przyjechał tu i pokazał miejsce, w którym ojciec spędził jakiś czas życia. Porucznik, połechtany mile, mimo głupiej sytuacji, bo przecież właśnie się rozstawali na zawsze, zgodził się łaskawie, na co ten znajomy kończył myśl:



- Pooglądamy sobie budynki. Pokażę synowi, gdzie mieszkałem.

- Tak, to miłe - mówił oficer, uśmiechając się pod oficerskim swoim wąsem.

- A potem pójdziemy na środek placu apelowego - ciągnął ten mój znajomy. - Na samym środku placu apelowego zdejmę pasa, ściągnę gówniarzowi spodnie i tak zleję dupsko, że będzie płakał krwawymi łzami. I wtedy będę miał pewność, że on tutaj nigdy, ale to przenigdy nie wróci!

Ale to i tak będzie wracać, coraz częściej. Choćby za sprawą serdecznego jednego kolegi, który właśnie wrócił był z wczasów klimatycznych w Iraku czy Afganistanie, więc okazja do spotkania jest szczególna. Do tego jeszcze otrzymał awans, kolejną gwiazdkę. Będziemy się zachwycać urodą żony i córki tegoż kolegi, która nie wiadomo kiedy stała się też kobietą. Spotkamy kilka znanych twarzy, kilku nie poznamy, bo latka lecą i włosy też. Ktoś nie zostanie rozpoznany z racji swojej tuszy, a w szkole był przecież zawsze chudy jak przecinek; ktoś przypomni sobie i nam przy okazji zabawną jakąś sytuację sprzed lat, jakiś szczeniacki internatowy wyglup, jednak przed wybuchem zbiorowego śmiechu powstrzyma nas fakt, że kondukt pogrzebowy właśnie rusza na miejsce, gdzie kolega nasz, ten, co to właśnie wrócił z Iraku czy Afganistanu, dostał gwiazdkę, spocznie w trumience, z której przedtem ściągną biało-czerwoną flagę, na wieki wieków, amen...

Kiedyś czas mijał wolniej. Niekiedy udawało się nam go zauważyć. Jego nieuchronny upływ. A to nasz kolega z ławki niepostrzeżenie przerósł nas niemal o głowę, a to drugi już się golił, używając przy tym żyletek polsilver, przez co kłął przed lustrem jak swój własny ojciec.

Przeleciał rok od chwili, kiedy po raz pierwszy przekroczyliśmy bramę naszych koszar. Przesypały się cierpliwie ziarnka piasku w tej niewidocznej klepsydrze, którą być może ktoś nad nami mierzył czas, i ze skarpy, na której zółcił się nasz dom. Przesypały się zeschnięte liście, kryształki lodu w rynnach i ziarna zbóż, z których miano upiec dla nas chleb - odwieczny powód buntów. Przez cały rok sypał się tylko tynk ze ścian naszego internatu i budynków szkolnych, które kiedyś były koszarami, gdzie roznosił się dźwięk polskich, a przedtem niemieckich komend.

Bo któregoś dnia, kiedy wracałem z miasta, zobaczyłem właśnie jedną z takich pamiątek przeszłości: na chodniku, jak gdyby nigdy nic, a wróg wycofał się godzinę temu, leżał sobie zardzewiały niemiecki hełm, o charakterystycznym, jeszcze budzącym wśród Polaków grozę kształcie.

- Przymierz - dobiegł z boku czyjś głos.

Dopiero teraz zauważyłem, że niedaleko ulicy, tam, gdzie jeszcze niedawno ciągnęły się należące do wojska szklarnie, kilku naszych zapamiętałe kopie łopatami w ziemi.

- Co jest?! - krzyknąłem w ich stronę, ale nikt mi nie odpowiedział, bo wszyscy pochylili się nad jedną dziurą w ziemi, czyli chyba coś znaleźli.

Po kilku chwilach na płocie najspokojniej w świecie zawisła sobie taśma od karabinu maszynowego, zaś o wysoki krawężnik ktoś oparł... minę przeciwpiechotną.

- Zupełny przypadek, masz pojęcie? - przeżywał Robert Rómmel.

- To wszystko tam wykopaliście? - zapytałem, wciąż nie wierząc własnym oczom.

- Ktoś z naszych przechodził i przyważył, że jakaś rurka z ziemi wystaje. Okazało się, że to lufa od kaemu.

- A ta mina to chyba nie wybuchnie, co? - zaniepokoiłem się.

- Co ma wybuchnąć... - uspokajał Cezary Maczek, maniak wszelkiego uzbrojenia.

- Wrzucimy wieczorem do ogniska, to się zobaczy - zaśmiał się Maciek Czuma, nasz etatowy narwaniec.

I ja byłem pewny, że mogą to zrobić. Co jednak uczynili z miną, taśmą i pomniejszym żelastwem - nie wiem. Może wrzucili do ognia i na szczęście mina nie eksplodowała. Ale hełm, który okazał się być egzemplarzem jeszcze z I wojny światowej, bo miał po bokach

rogi, a w nich wywietrzniki, odtąd zajmował honorowe miejsce na szafce w jednym z pokoi.

Jakie znaczenie miały dla nas, nastoletnich wtedy, zapryszczonych, te kawałki zardzewiałego żelastwa, wykopane oto spod ziemi? Czy miały jakiegokolwiek? Dla maniaków militariów (których wszak nie mogło brakować w takiej szkole), co wiedzieli od razu, co to, jak to i ile ludzi było w stanie zabić, bądź planowali sprawdzić koniecznie w bibliotekach wszelkie parametry - z pewnością tak. Ale kto nosił ów hełm w złowróbnym kształcie, co sobie myślał pod nim - nie sędzę.

Któż z nas zauważał wtedy zatarte napisy szwabachą, prześwitujące gdzieś na ścianach starych kamienic? Kto pochylał się nad metalowymi pokrywami studzienek kanalizacyjnych, gdzie równie często jak WĘGIERSKA GÓRKA widniała wciąż tak samo wyraźna niemiecka nazwa naszego miasta? (Pawełek Grot, który kiedyś znalazł na ulicy stowę, po której nie został mu jednak nawet smród, wciąż niezmiennie chodził jak połamany!).

Czy któryś z nas zastanawiał się choć przez krótką chwilę, kto przed nami spał w tych salach pewnie o wiele większych i mniej przytulnych, kto ćwiczył musztrę na placu apelowym, na którym wystawaliśmy my teraz, słuchając pierdolenia przełożonych i plując pod nogi? Czemu tylko na noc otwierano drzwi toalet nocnych, tych na korytarzach, zaś w dzień musiał żołnierz maszerować przez cały plac apelowy do sanitariatów dziennych, a i pewnie często też nie zdążyć z „rozbrojeniem miny”. Do czego służyły choćby te metalowe kółka, przymocowane do muru budynków szkoły chorążych, gdzie zdawaliśmy egzaminy, a potem chodziliśmy zwiedzać i strzelać? Ano do przywiązywania koni, gdyż kiedyś stacjonowała tam kawaleria. Z tym że na pewno nie byli to ci, którzy „przybyli pod okienko” w starej żołnierskiej piosence...

Kiedyśmy pewnego jesiennego popołudnia zbłądzili w dzielnicę kolejarskich domków i starych magazynów z czerwonej cegły, któryś zauważył na jednym z nich skutny mur.

- Hitlerowska gapa tu była - rzekł koleżka nasz, mrużąc przy tym oczy, jak na specja przystało, po czym zaczął kreślić palcem w powietrzu. - To jest przecież dokładnie kształt gapy: skrzydła, łeb, koło ze swastyką...

No i tak to wyglądało. Oczywiście znaleźli się z miejsca oponenty, więc później nasz znawca nie dał już sobie ręki uciąć. W tej samej dzielnicy był też bardzo stary cmentarz, gdzie leżeli jacyś dziadkowie czy pradiadkowie naszego Maćka Czumy. On był przecież stąd, choć nie zdawaliśmy sobie sprawy, że aż tak bardzo, to znaczy od tak dawna. Ale nie chciał za bardzo o tym mówić. Tylko z Bodkiem Jagminem, bo razem mieszkali i trzymali sztamę mocno. Pewnie chciał po prostu spokojnie skończyć szkołę i niekoniecznie od razu zasilać Bundeswehrę.

Od czasu do czasu widywaliśmy w mieście eleganckie autokary, z których wysiadali babcie i dziadziusiowie, siwi bardzo, uśmiechnięci głupkowato, w okularach w srebrnej bądź złotej oprawie. Zawsze ubrani w jasne stroje bądź eleganckie dresy w kolorze morskim. Emerycy, korzystający z pogodnej jesieni życia. Szwargotali przy tym, aż niemiło. Mało który z nas chyba pamiętał też słowa pieśni, którą codziennie, w samo południe, wygrywały kuranty ratusza. „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz i dzieci nam germanił...”. Maria Konopnicka, ta od słonka, co wiele widziało. Idę jednak o zakład, że większość chłopaków z naszej szkoły, gdyby nie była akurat tutaj, już szykowałaby się do drogi, by dać się metodycznie i do końca zgermanić. Za ciężkie marki oczywiście.

Wkrótce nadeszła również chwila, w której znaleziony wówczas hełm prusacki mógł być przez nas użyty. Rozpoczął się bowiem następny rok nauki i do naszej szkoły przyszedł kolejny rocznik. A że to my budowaliśmy historię tej szkoły, więc młody rocznik trzeba było, w całości i każdego z osobna, ochrzcić.

Ubrani w dresiki młodzieńcy, wśród których zauważyliśmy niemal dzieci, ustawili się karnie na boisku szkolnym. Potem było smarowanie pastą do butów, oblewanie wodą, czołganie i temu podobne przyjemności. Porządku pilnowali wybrani spośród nas i ubrani w komplety moro „kaprale”. Jeden z nich, a był nim Bodek Jagmin, miał na głowie właśnie ów prusacki hełm. Pokrzykujący monosylabami blondyn, z wysuniętą do przodu, kwadratową niemal szczęką i plastikowym pistoletem zabawką budził mieszane uczucia. Nie tylko wśród chrzczonych właśnie „kotów”.

Wtedy też jacyś żołnierze z graniczącej z nami jednostki budowlanej, przyglądający się uroczystości, zaczęli płaczącego się po terenie szkoły rodzica. Zapytali go:

- Pan masz tu syna?

- Tak - odpowiedział ojczulek z nieskrywaną dumą.

- A kochasz pan swoje dziecko? - drążyli temat żołnierze.

- Oczywiście, że tak.

- To jeżeli kochasz pan swoje dziecko, zabierz je pan stąd czym prędzej!

Dokładnie tak powiedzieli. Z kolei ja nie pamiętam już dokładnie, czy rzeczywiście było to wtedy, kiedy chrzciliśmy młodych, czy może jednak rok wcześniej...

Nie ścigaliśmy „kotów” zbyt wiele. Poza paroma wyjątkami, bo akurat kilku z nas zabrakło papierosów albo nie chciało im się czyścić butów. Zwykła koleżeńska przysługa. Tylko że ktoś coś źle zrozumiał, w pewnym momencie doszło do szarpaniny, ktoś doniósł gorze i, niestety, dwóm z nas zaproponowano daleko idące zmiany w życiu.

W ogóle w ciągu pierwszego roku dobrowolnie zrezygnowało ze szkoły - a można to było zrobić i nie płacić ani jednego grosza za koszty wikt i opierunku, które w tym czasie poniosła armia - prócz „Hawranka” naszego nieszczęsnego, chyba z dziesięciu chłopaków. Jednych żegnaliśmy z żalem, innych z obojętnością. Ktoś nawet zanucił kiedyś za idącymi w stronę magazynu dezertierami popularną swego czasu piosenkę Perfectu:

- Idź precz! Do mamusi, do tatusia! Idź precz...

Byliśmy już rok starsi. Za chwilę dwa lata, potem trzy. Kiedy to zleciało? Więc to już? To tak ma wyglądać życie?

I dalej cierpliwie przesypywały się ziarnka piasku w tej niewidocznej klepsydrze, którą być może ktoś nad nami mierzył czas, a także ze skarpy, na której musiano zbudować jeszcze jeden internat dla kolejnych roczników. Przesypywały się kryształki lodu w coraz

bardziej zardzewiałyh rynnach i ziarna zbóż, z których miano upiec dla nas chleb. Sypał się wąż u tych, u których wcześniej było tylko mleko pod nosem. Sypała się pasta do butów i do zębów marki Nivea, których nikt nie używał, więc w końcu skruszały. Sypał do przełożonych kolega kolegę, choć nigdy nie dla korzyści wymiernych, a bardziej z zemsty za to czy za tamto, czasem śmieszno, czasem straszno. Nasze jednakowe dżinsowe komplety też się sypały - tu przecierały się, tam płowiały, dzięki czemu wyglądaliśmy nieco bardziej przyzwoicie i już nie tak bardzo jednakowo. Ale potem zwykle następowała wymiana na nowe. Dziewczyny odchodziły i przychodziły świeże albo te stare wracały.

Sypał się również system, którego mieliśmy być wiernymi obrońcami. Gdzieś tam, daleko, zaczynało już powoli szukać gwoździ do wbicia w okrągły stół...

\*

Zbliżało się kolejne wspólne święto nauczycieli i wojskowych w jednym, czyli dwunasty i czternasty października. Trzynasty, mimo że dzień pechowy, był zawsze przeznaczony na leczenie kaca i niezbędne uzupełnienie trunków i zakąsek. Z tej okazji ja, Jurek Kutrzeba i Krzysiek Zajączek zostaliśmy wytypowani do pójścia do lokalnej rozgłośni radiowej, aby z okazji kolejnych rocznic bitwy pod Lenino i jeszcze bardziej oddalonych w czasie spraw związanych z Komisją Edukacji Narodowej, trochę poopowiadać o życiu w naszej szkole. Czemu akurat my mieliśmy to zrobić, nie wiedziałem. Ale Zajączek się domyślał:

- To proste. Mam miły, radiowy głos - ocenił niezbyt skromnie.

- Skąd wiesz? - zapytał Kutrzeba.

- Moja dziewczyna tak uważa.

Dla świętego spokoju postanowiliśmy z Jurkiem mieć podobne zdanie. I chytrze dać koledze pole do popisu w godzinie próby, czyli gdy już będziemy siedzieć przed radiowym mikrofonem.

Na co dzień woleliśmy telewizję i muzykę z kaset. Jeżeli już, to słuchaliśmy

zazwyczaj ogólnopolskiej Trójki z listą przebojów Marka Niedźwieckiego, który puszczał zawsze najświeższe przeboje, czasem Jedyńki na nosowych długich falach, no i też programu lokalnego, dzięki któremu można było się na przykład dowiedzieć, w którym ze sklepów w mieście i kiedy rodzice dzieci na diecie bezglutenowej będą mogli zaopatrzyć się w banany. Poza tym nigdy wcześniej nie byłem w radiu. Studio zawsze wyobrażałem sobie jako niewielkie, głuche pomieszczenie, może tylko odrobinę większe od kanciapy do przechowywania środków czystości, wypełnione sprzętem muzycznym, który pamiętało się z dyskotek w podstawówce. No i ciemne. W radiu na pewno zawsze jest ciemno.

Było jeszcze ciemno, gdy obudziło mnie szarpanie za ramię. Z trudem otworzyłem oczy, nieprzytomnie rozejrzałem się po pokoju. Sosabowski chrapał w najlepsze. Okno pokoju ktoś wykleił szarym kawałkiem szarego papieru pakowego. Żartów im się jeszcze zachciewa. Ciekawe, kiedy z tego wyrosną...

Przy mojej pryczy stała dyżurująca w nocy wychowawczyni, pani „Mikro”.

- Wstawaj - powiedziała, a ja już wiedziałem, że nie jest senną marą.

- Ale czemu? - jęknąłem.

- Idziesz przecież do radia - rzekła scenicznym szeptem, po czym zniknęła za drzwiami.

Niestety, ktoś i tym razem wziął pieniądze za myślenie i wymyślił, że reklamować nasz resort i naszą budę będziemy bladym świtem, w porannej audycji. Mimo to uwinęliśmy się szybko. Tylko szkoda było trochę iść tak o suchym pysku. Wiedzieliśmy, że w momencie gdy my w imię wyższych celów będziemy się produkować przed mikrofonem, nasi koledzy będą w najlepsze opychać się naszymi bułeczkami. Trochę jednak szkoda... Ale „Mikro” obiecała, że koledzy zrobią nam kanapki.

- Już widzę, jak je robią - fuknął gniewnie Kutrzeba.

Wyszliśmy ze szkoły. Nawet portier, zwykle dokładnie kontrolujący nasze przepustki, o nic nie pytał, tylko uśmiechnął się, a zaraz potem pokazał brudnym palcem na swoje

skrzeczące radio. Aha, więc wiedzieli już wszyscy. Nie będzie można dać płamy... Zaraz za bramą zaczęliśmy się zastawiać, jak będzie najlepiej iść. Można było, po bożemu, przez miasto, nakładając nieco drogi; można też było przez las. Wybraliśmy to drugie. Do pewnego momentu droga była wszak nam dobrze znana, choćby z sobotnio-niedzielných wojaży sprzed roku, gdy prowadzano nas do garnizonowego kina na radzieckie filmy wojenne.

Ruszyliśmy zwawo. W sąsiedniej jednostce, którą po chwili mijaliśmy i w której kształcili się kucharze z całego okręgu wojskowego, kotłowało się już nieźle; wiara była tam na nogach od dobrego kwadransa.

- To raczej ich powinni do radia wysłać - zaśmiałem się, wskazując ręką na płot, na co moi towarzysze nic nie odpowiedzieli.

Po kilku chwilach weszliśmy do lasu. Pachniało znajomo grzybami, butwiejącymi liśćmi i mokrą ziemią. Przecinki ścieliła jeszcze lekka mgiełka. Było definitywnie po lecie, a nigdzie się człowiek o tym tak dobrze nie przekonuje, jak w lesie właśnie. Nie chcąc poddać się nastrojowi przemijania, jakoś tak od słowa do słowa zaczęliśmy wspominać wakacje.

- A pamiętacie, jak Bodek przed łajbą uciekał? - zaśmiał się Zajączek.

- Albo jak porucznik „Pisklak” nas od ostatnich zwyzywał - dorzuciłem, spoglądając z ukosa na Kutrzebę, bo to właśnie on i ja byliśmy ofiarami psychola; Jurek tylko się skrzywił i nie podchwycił tematu, widać rany w jego psychice były jeszcze głębokie.

Szliśmy tak sobie przez jesienny las, dyskusja szybko zeszła tradycyjnie na dziewczyny. Zajączek po raz chyba sto piąty opowiadał o swojej wakacyjnej miłości sprzed bodajże dwóch lat. Miłość miała na imię Claudia, miała lat naście i dziadka najpewniej w SS, ponieważ scenografią młodzieńczych uniesień Zajączka i pięknej Claudii była Niemiecka Republika Demokratyczna. Naówczas był to szczyt wakacyjnych marzeń polskiej młodzieży, a rzecz konkretnie działa się w jakimś nadmorskim kurorcie, gdzie organizowano obozy harcersko-pionierskie. Tylko z nazwy zresztą, gdyż rzadko spotykało się tam prawdziwych harcerzy, tylko poprzebierane na tę okazję w czapki rogate z lilijkami oraz mundury koloru szarego i khaki dzieci działaczy partyjnych, nauczycieli i milicjantów. Ale wyjątki się



zdarzały, tym chlubnym był wszak nasz Zajączek.

Na takich wyjazdach widywało się po raz pierwszy w życiu całkowicie gołą babę na plaży, bo Niemki nie miały z tym problemu (szczególnie te stare), piło się colę z taką ilością gazu, że aż człowieka dusiło, czasami nawet kosztowało pilsnera, a do domu przywoziło po kilkadziesiąt tabliczek czekolady po osiemdziesiąt fenigów do jednej marki za sztukę, które to delicje smakowały co prawda jak mydło, ale były czekoladą.

Tak sobie gadając miło, doszliśmy do rzeki, która płynęła w głębokim korycie wartkim, przypominającym górski strumień nurtem. Mosteczek, za nim górka całkiem stroma, potem jeszcze jedna górka, nieco łagodniejsza, i już było kino garnizonowe „Grunwald”, a ponad kilometr dalej lokalna rozgłośnia radiowa.

Przystanęliśmy na chwilę na kładce i opierając się o drewnianą balustradę, zaczęliśmy spluwać do rzeki.

- Pięknie jest. Taka cisza - zachwycaliśmy się zgodnie.

- Dobra, trzeba lecieć - rzekł wreszcie Kutrzeba, spojrzawszy na zegarek; solidna była z niego firma, jak to się mówi, nic więc dziwnego, że to właśnie jego wytypowano do wzięcia udziału w porannej audycji radiowej.

- Kazali być przed siódmą. Mamy jeszcze pół godziny - zauważył Zajączek.

- I trzydzieści sześć... przepraszam, już pięć sekund, jak mawiają nasi kochani dowódcy - zaśmiał się Jurek.

- Powiesz to przed mikrofonem?

- Przecież ty masz mówić.

- Słuchajcie, a może pójdziemy dalej przez las? - zaproponowałem.

- Znasz drogę? - zapytali jednocześnie moi druhowie, dzięki czemu Krzysiek Zajączek

nie odmówił sobie przyjemności wymierzenia Kutrzebie solidnego prztyczka w grdykę, czyli popularnego „szekspira”.

Ich pytanie wciąż jednak pozostawało bez odpowiedzi.

- Jasne - odpowiedziałem po chwili. - Kilka razy już tędy chodziłem - dodałem jeszcze od niechcienia, żeby dodać sobie nieco pewności, bo prawdy w tym było tyle, co, nie przymierzając, mięsa w podawanym nam na obiad bigosie.

- No to ciach, babkę w piach! - zarządził ten o „pięknym, radiowym głosie” i poszliśmy dalej wzdłuż rzeki.

Była dość kręta, nawet na terenie miasta jej koryto wyglądało podobnie. Tu jednak natura była górą: wzdłuż stromych brzegów ciągnęły się gęste chaszczce, gdzieniegdzie wiatr i burze, których kilka w ciągu minionego lata przeszło nad regionem, zamieniły potężne drzewa na dodatkowe przeprawy. Ścieżka, która nas wiodła, była dość grząska, ale nikt głośno nie narzekał. Kilka razy też rozwidlała się; za każdym razem pewnie wybierałem szerszą jej odnogę. Tym oto sposobem szybko doszliśmy. Do... wysokiego ogrodzenia z siatki.

- Pewnie gdzieś tu jest jakaś dziura - rzekłem i zaczęliśmy szukać możliwości przejścia na drugą stronę niespodziewanej przeszkody.

Na dziury zawsze można było liczyć. Mieliśmy w tym zresztą już pewną praktykę, bo jakiś rok wcześniej, uczestnicząc w turystycznym rajdzie nocnym, też stanęliśmy przed takim właśnie płotem. Mapa sztabowa, którą nam dali, swoje, a rzeczywistość swoje. Tam płotu nie ma, tu jest. Poziomy drut kolczasty, z dodatkowymi krzyżującymi się na środku, między słupami. Ale jest i dziura, bo to Polska właśnie, więc ruszyliśmy całą bandą śmiało i z przytupem.

Niestety, nie przeszliśmy nawet trzydziestu metrów, kiedy nagle oślepiły nas długie światła samochodu wojskowego marki Star, który jechał w naszym kierunku, a po bokach biegło kilku żołnierzy z wycelowanymi również w nas kałachami, pokrzykując groźnie. Znaleźliśmy się bowiem na czynnym lotnisku wojskowym i musieliśmy się potem w

namiocie oficera dyżurnego gęsto tłumaczyć, skąd jesteśmy i że to tylko wynik pomyłki, niewyspania, bo to już trzecia nad ranem, a przede wszystkim przestarzałych map sztabowych. Okazało się zresztą, że jesteśmy już trzecią grupą tej nocy, którą złapali, gdy usiłowała przejść na ukos przez czynne, a jakże, lotnisko wojskowe.

Tym razem jednak niczego nie udało nam się znaleźć. Żadnej, choćby najmniejszej dziury w płocie. Jurek zaproponował, że może byśmy spróbowali górą. Zadarliśmy głowy, bo płot był dość wysoki. Niestety, nie dość, że wysoki, to jeszcze zakończony drutem kolczastym.

- Nie wchodzę, nie ma bata - skrzywił się Zajączek. - Mam nowe portki.

Zawróciliśmy. Wyciągaliśmy nogi, bo czasu było coraz mniej. Gdzieś tam, w niedalekiej przeciw rozgłośni, ktoś denerwował się pewnie tak samo, jeżeli nie bardziej, popatrywał na zegarek i zegar na ścianie studia. I jak by nie kręcił gałami radiowej konsoly, szarpał „heble”, pluł w sitko mikrofonu - nas, nieszczęsnych bohaterów porannej audycji, jak nie było, tak nie było...

Dyszac ciężko, wypatrywaliśmy naszego znajomego mostu, ale znaleźliśmy inny. Kiedyś też jedni tacy wylądowali o jeden most za daleko i źle się to skończyło. Tamto jednak było niczym w porównaniu z tym, co nas teraz czekało. Zajączek i Kutrzeba nawet mi mocno nie wymyślali. Za bardzo trzymał ich strach. Mnie zresztą też. I to podwójny.

Wreszcie po kilkunastu minutach znaleźliśmy nasz mostek. Dopadliśmy go, jakby od jego utrzymania zależały losy całej armii. Podeszwy naszych butów krótko zabębniły o drewniane belki; już wspinaliśmy się pod stromą górę, po chwili mineliśmy nasze kino. Wtedy dopiero dotarło do nas, że już po ptakach. Patrzyliśmy na zegarki, porównywaliśmy godziny, każdy sprawdzał, czy jego czasomierz aby nie stanął. Ale czas nie stanął w miejscu, a do nas zaczęła docierać okrutna prawda: nie dotarliśmy do rozgłośni, jak nam kazali, nie wzięliśmy udziału w audycji, której pewnie słuchali wszyscy - od portiera do dyrektora szkoły. Czy ktokolwiek z nich będzie chciał słuchać naszych tłumaczeń? Czy wezmą pod uwagę dotychczasowy, pozbawiony niemal wpadek przebieg nauki, nie najgorsze stopnie, brak kłopotów wychowawczych, kiepską sytuację materialną rodziców, bo kto jej nie ma...

Kiedy dotarliśmy z powrotem do szkoły, na portierni czekał nasz opiekun roku. Widzieliśmy go z daleka, jednak żaden z nas nie zatrzymał się nawet na chwilę. Po drodze okrzepliśmy bowiem już nieco, wymyśliliśmy nawet naszą wersję wydarzeń. Żywiliśmy nadzieję, że opowieść o tym, że w lesie zostaliśmy otoczeni przez bandę jakichś wyrostków (zawodówek w tamtej okolicy nie brakowało) i poturbowani, sprawi, że nasi przełożeni zapomną nam nieobecność w radiowym studiu z okazji wspólnego święta wojska polskiego i nauczycieli. Tylko kto z nas pierwszy zacznie beczelnie, w żywe oczy łżeć? Tego jeszcze między sobą nie ustaliliśmy; nie było też czasu, żeby nad tym debatować, bo kapitan Jan Karżyński właśnie nas zauważył.

- No, panowie... - rzucił w naszym kierunku, a mnie się zaczęło wydawać, że nogi mam jak z wyrobionej w ciepłych dłoniach plasteliny.

- Dzień dobry, obywatelu kapitanie - rzucił z głupia frant Krzysztof Zajączek.

- Gratuluję wam, chłopcy - powiedział wtedy oficer i jął wyciągać rękę do każdego z nas po kolei i ścisnąć serdecznie nasze dłonie. - Naprawdę ładnie wyszło, naprawdę.

- Poważnie? - zapytał Zajączek cicho, cichusieńko.

- Naprawdę. Wzruszyłem się! Dyrekcja też słuchała - zapewnił z uśmiechem, a potem na dłużej zatrzymał wzrok na Kutrzebie. - A który z was, chłopcy, ma taki piękny radiowy głos? Ty, Jurek...?

\*

Nie była to jednak nasza pierwsza przygoda z mediami. Któregoś dnia, a było to jakieś pół roku od rozpoczęcia nauki, błąkał się po terenie jeden taki wystraszony i zadawał głupie pytania. Po kilku dniach zobaczyliśmy efekt tego błąkania (a może obłąkania?) w lokalnej popołudniówce.

Pierwsze, co rzucało się w oczy, to zdjęcia. Chyba jaskiniowcy mieli lepszą technikę przelewania obrazów na ściany swoich grot. Ziarno pszenicy podczas klęski urodzaju i szaro-czarne plamy zamiast twarzy. Niestety, lepsze zdjęcia były wówczas dostępne tylko w

kolorowym miesięczniku „Kraj Rad”. Z największym trudem udało nam się rozpoznać na jednej z tych fotek, umieszczonej zresztą na pierwszej stronie lokalnej popołudniówki, naszego Bodka Jagmina. Chłopak trzymał w rękach rozłożonego na części pierwsze kałacha. Patrzył przy tym w obiektyw reporterskiego aparatu z takim namaszczeniem, jakby to nie był pistolet maszynowy, tylko na przykład gipsowa figura Najświętszej Pani. Świeżo po odmalowaniu.

- Dobra, tylko bez takich - warknął ze złością Bodek.

Na drugim planie tej samej fotografii Tomasz Langiewicz bawi się. Chyba granatem.

- Mam nadzieję, że moja matka tego nie widziała - powiedział niegłośnie Tomek.

Obok nich, po lewej stronie, zamieścili inną fotografię. Trzech z nas przed monitorem komputera, ktoś czwarty maże kredą po tablicy.

- Równie dobrze mógłby to być telewizor i pornol na ekranie. I tak by dobrze wyszło w tej gazecie, czyli nie wyszło - podsumował któryś nieco zawile, ale ani przez chwilę nie chciało nam się nad tym głębiej zastanawiać.

Zaczęliśmy czytać.

Przy komputerach siedzą... i tu leciały nazwiska trzech naszych chłopaków, a także nazwy miast, z których przyjechali.

- Nie tylko te komputery ściągnęły nas tutaj - wyznają zgodnie.

- Ja, mówi Robert, chcę trafić do szkoły morskiej.

DOKOŃCZENIE NA STR. 5

Zaszeleściły płachty gazety, odezwał się przykry dźwięk rozdieranych stron.

- Uważaj, co robisz!

- Przecież to tylko gazeta...

- Gdzie ma być to zakończenie? O, już jest.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

W środku też dali kilka zdjęć, między innymi ze szkolnej stołówki. Na pierwszym planie Sławek Kleeberg obgryzał paznokcie.

- Bułkę jadłem. Nie widzicie? - zaczął się bronić nasz pierwszy klasowy śpioch, wyjątkowo przytomnie i krzepko.

- No, można tak powiedzieć - stwierdziliśmy po dłuższym zastanowieniu.

A dalej artykuł leciał w ten deseń:

- W programie telewizyjnym usłyszałem informację o wojskowych liceach. Chcę trafić do wojskowej akademii medycznej. I dlatego trafiłem tu.

- Mój tata jest zawodowym wojskowym.

- Mój też jest starszym chorążym w wojsku. Ja chcę skończyć medycynę na WAM.

Można długo cytować wypowiedzi młodych ludzi, którzy znaleźli się w tutejszym liceum wojskowym. Jest to szkoła o profilu matematyczno-fizycznym. Przygotowuje kadry dla wojska. Ci, którzy zdadzą maturę z wynikami bardzo dobrymi, mają otwarte drzwi w wojskowych akademiach. Inni mogą trafić do różnych wyższych szkół wojskowych, zostać oficerami i specjalistami wojskowymi.

We wrześniu ubiegłego roku zgłosiło się do szkoły więcej chętnych niż miejsc. Dwa i pół kandydata na jedno miejsce. Szkoła stwarza bardzo dobre warunki do nauki: wszystkie pomoce naukowe, pełne umundurowanie, wyżywienie i internat. Mieszkają w 2-, 4-osobowych pokojach...

- Dobrze sobie! - zaśmiali się jednocześnie Jagmin z Bołtuciem, którzy, jak by nie patrzeć i nie liczyć, mieszkali w izbie sześćciosobowej.

- Pewnie cenzura nie puściła - zawyrokował Robert Rómmel, wzruszając ramionami.

- Nie chcą wystraszyć młodego narybku.

Dzień pracy trwa od 6.30 do 21.30. Obowiązuje tu nieco odmienny od liceów cywilnych rytm nauki i życia codziennego. W zależności od osiągniętych wyników w nauce, każdy ma więcej lub mniej wolnego czasu. Teoretycznie ma dziennie 2 godziny wolnego. A i wówczas opuszcza teren szkoły z przepustką w kieszeni.

Szkoła wciąż się rozbudowuje i wyposaża. Przybywa nowych gabinetów i urzędów...

- Chyba aparatów do wykrywania kłamstw - zarechotał Zajączek.

Wyróżniająca to liceum jest sala, w której młodzież poznaje tajniki wojskowości. Od broni osobistej, po uzbrojenie całych zespołów. Od regulaminu wojskowego do teorii obronności i bezpieczeństwa. Umiejętność posługiwania się pistoletem sportowym czy krótką bronią palną jest ciekawa i pociągająca. Powołane zostały też najróżniejsze koła zainteresowań. Jest ich kilkanaście...

Tym razem zaśmialiśmy się całą gromadą.

Nie brakuje również zajęć sportowych. Młodzież posiada bibliotekę. Niebagatelna jest sprawa kuchni. Trafiłem na drugie śniadanie. Stołówka z całym zapleczem i pełną obsługą. Uczniowie sami się obsługują...

- Nie rozumiem, czegoś tu nie rozumiem. Albo pełna obsługa, albo... samoobsługa? - deliberował niegłośno i na boku Jurek Kutrzeba.

Tego dnia były bułki z masłem i jajka.

- Nie narzekamy - stwierdzają chórem. - Wyżywienie jest smaczne, starcza każdemu. Zawsze można dostać repetę.

- Ciekawe, jaki chór to powiedział? I ile im za to zapłacili? - oburzał się Tomek Langiewicz, który chodził wiecznie głodny.

- Albo czym zagrozili - rzuciłem.

- Chyba że to błąd drukarski.

- Czyli jak powinno być?

- Staje każdemu.

Pozostało ostatnie zdanie: Wkrótce do szkoły zawitają nowi kandydaci.

- Podła gadzinówka - podsumował Sosabowski. - Tak się fajnie czytało, ale na koniec, oczywiście, musieli przedobrzyć.

- Masz na myśli jedzenie czy nowych kandydatów? - dopytywał się „Milimetr”, ale Sosabowski nic nie odpowiedział.

- Może powiesimy ten artykuł na stołówce, co? Zawsze to będzie jakiś argument w walce z kucharami - proponował jeszcze nieśmiało Wiesiek Kościuszko.

Ale wyrok już zapadł. Gazecie został nadany kształt kulki, a że nie było akurat pod ręką delikwenta, który popełnił ów artykuł, któryś z nas, i wcale nie był to najlepszy z koszykarzy, skierował kulkę do najbliższego kosza na śmieci.

\*

Jakiś czas później do naszej szkoły przyjechał inny dziennikarz, tym razem z samej Warszawy, z jakiejś ogólnopolskiej, resortowej gazety. Nazywał się jakoś tak z góralska: Juhas czy po prostu Góral, był dobrze pod czterdziestkę, tęższy, siwiejący i od razu widać też



było, że za kołnierz nie wylewa. Trafił chyba akurat na moment, kiedyśmy oficjalnie, z błogosławieństwem przełożonych, urządzali otrzęsiny młodszego rocznika. Po całej zabawie kazali nam pójść z gościem na świetlicę.

- Ale przejebane mieli ci wasi młodzi - walnął gość na wejście, podsumowując otrzęsiny, i jakoś od razu poczuliśmy do niego sympatię.

Mimo że była to pora oglądania Dziennika w telewizji, zebrała nas się tutaj całkiem spora gromada. Może zresztą właśnie o to chodziło - zamiast siedzieć pod okiem pani Uli i jej kajeciku z naszymi winami, zamiast słuchać bzdur z telewizora, mogliśmy przynajmniej spróbować mieć wpływ na otaczającą nas rzeczywistość. Że może się tak stać, przekonywaliśmy się z każdą chwilą. Bo zaraz na początku facet zapalił papierosa.

- Czy mogę? - spytał nas wcześniej, wszak stolica to stolica, czyli kultura większa i ogląda.

Kiwnęliśmy głowami na znak aprobaty.

- A wy nie palicie? - zapytał znów dziennikarz.

Odpowiedziało mu milczenie.

- A kto pyta? - doleciało gdzieś z tyłu.

- Przyjaciel - odparł gość wesoło.

- To palimy.

- No to palcie.

No to zapalili ci, co palili. Od razu zrobiła się inna atmosfera, sprzyjająca jeżeli nie zdrowiu naszych płuc i oskrzeli, to z pewnością twórczemu niepokojowi i ożywionej dyskusji. A ta zaczęła się nie wiadomo kiedy. Ze spotykaną wcześniej tylko wśród swoich szczerością zaczęliśmy wyłuszczać, co nas boli najbardziej.

Wtem otworzyły się drzwi i do świetlicy wpadł opiekun roku. Pociągnął swoim długim nosem, ale nic nie powiedział. Nic prócz:

- Przyprowaździłem jeszcze dwóch.

Byli to dwaj szkolni prymusi. I wcale nie byli zadowoleni z takiego obrotu rzeczy, bo pewnie kaźdy z nich wołał w tej chwili siedzieć w pokoju i wkuwać.

- Podstawieni - syknąłem konspiracyjnie, na co dziennikarz porozumiewawczo mrugnął okiem.

- No to jak, chłopcy, oceniacie dzisiejszą zabawę? - zwrócił się w tej samej chwili, przesadnie głośno, do dwóch chłoptasiów z młodszego rocznika, noszących jeszcze na głowie i dresach ślady niedawnych otrzęsin.

- Tak, to rzeczywiście była naprawdę dobra zabawa - odparł jeden z nich, jakby przeczytał to zdanie z trzymanego pod blatem podręcznika.

Karżyński cichutko zniknął za drzwiami. Odetchnęliśmy głęboko, jak tylko pozwalała na to gęstniejąca z kaźdą chwilą chmura papierosowego dymu.

- Mów dalej - zachęcił dziennikarz młodego, no to młody dokończył swoją myśl, zresztą w takim samym tonie.

- Panowie. Chodzi o to, że dyrektor szkoły chciał zobaczyć ten mój tekst jeszcze przed wydrukowaniem w gazecie - powiedział po chwili mężczyzna. - Ale ja go pierdołę. Najważniejsi jesteście tu wy. A teraz mówcie ze mną szczerze, jak tu jest. Da się żyć? Obiecuję, że w tym artykule nie padnie nazwisko kaźnego z was...

Poczułem się, jakby mnie kto uniósł pół metra ponad siedzisko krzesła. Myślę, że większość chłopaków poczuła podobnie. Oto przychodzi do nas, po ponad roku, pierwszy sprawiedliwy i spolegliwy, z nałogami, ale któż z nas ich nie ma, z niewyparzonym językiem, ale dzisiaj nie można inaczej. On nas wysłucha, on nam pomoże, jak ten nieogolony, wiecznie

skacowany gliniarz, który jako jedyny wierzy w nieprawdopodobną wersję wydarzeń bohatera. I chce mu pomóc, choć nie będzie to proste, ale przecież nic na świecie proste nie jest i kilka odcinków kryminalnego serialu czymś wypełnić trzeba. Nas mógł wybawić ten gość. Naprawdę. Czy wreszcie może coś da się tutaj zmienić?

- Słyszałem, że macie tu kilkanaście kół zainteresowań - rzucił gość.

Była to przynęta, bardzo dobrze dobrana, gdyż rzuciliśmy się na nią jak wygłodniałe leszcze.

- Może na papierze - zawołałem ze złością. - No bo kto ma czas na nie chodzić, proszę pana. Wszystko tu mamy na dzwonek, człowiek czasami nie ma czasu załatwić się porządnie. Ledwo wyrabiamy z normalnym materiałem, a jeszcze chciałoby się wyjść stąd czasem, zobaczyć, jak normalni ludzie na mieście wyglądają.

- Dziewczyny! - dorzucił z chichotem ktoś z tyłu świetlicy.

A potem lawina ruszyła.

- Ze sprawdzaniem porządków wychowawcy przesadzają.

- Nie można się z miasta spóźnić nawet kwadransa.

- A nawet jak człowiek chce na chwilę wyskoczyć, to organizują jakieś sprzątania, wiórkowania czy apele mundurowe.

- Każą nam pisemnie uzasadniać, po co chcemy pojechać do domu.

- Przecież to nie jest wojsko!

Nie uwierzyłby, gdyby nie usłyszał. Gdyby tylko mógł usłyszeć. Ten, który wpadł na genialny w swojej prostocie pomysł, by i w naszej kochanej ojczyźnie wcielić w życie prastary pomysł na szkoły janczarów. Dziennikarz z samej Warszawy, z jakiejś ogólnopolskiej, resortowej gazety, frasował się za niego. Kręcił głową z niedowierzaniem,

zapalał kolejnego papierosa i głęboko zaciągał się dymem, czasem coś notował w swoim grubym zeszytcie. Na pewno potrafił nas zrozumieć, właściwie już rozumiał doskonale.

- Dziękuję, chłopcy - rzekł na końcu, ściskając ręce tym, którzy najczęściej zabierali głos. - Otworzyliście mi oczy na wiele spraw. Ja tego tak nie zostawię, niedoczekanie ich, tam na górze. Teraz już wiem, że wybrałem ten zawód, żeby coś zmienić. Dziękuję wam. Cześć!

Nam też tkliwość szarpała więzadła głosowe, choć może to tylko dym z popularesów gryzł przełyk, bo kilku z nas, co to dotychczas nie paliło, właśnie miało za sobą ten pierwszy raz.

Mijały dni, minęło kilka tygodni i jakoś zapomnieliśmy o dziennikarzu ze stolicy i wywiadzie, którego mu udzieliliśmy. Aż pewnego pięknego dnia ktoś z kadry przyniósł nam ową ogólnopolską, resortową gazetę, a w niej napisany przez redaktora Juhasa czy Górala artykuł o nas. To znaczy nie o nas, tylko o jakichś leniach i degeneratach, którym ludowa ojczyzna dała wszystko, od ołówka do podglówka, o nieodpowiedzialnych lekkoduchach, nie potrafiących podporządkować się kilku prostym regułom, z którymi większych problemów nie miałyby dzieci w przedszkolu, o nastoletnich hipokrytach, na których tak liczyło polskie wojsko, ale nie wiadomo, co tak naprawdę z tego będzie. Sformułowanie „nie chce się” było w tekście powtórzone chyba z dziesięć razy i odmienione na wszelkie sposoby. I to bynajmniej nie pismakowi się nie chciało. On swoją pracę wykonał, wziął za to dołę, zrobił zakupy w sklepie monopolowym, a po wszystkim zasnął z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wobec swojej ojczyzny i oficera prowadzącego.

Nikt jednak nie wzywał na dywanik uczestników tamtej rozmowy, mimo że spodziewając się szykan, przygotowywaliśmy się, gromadząc argumenty, włącznie z tymi, że zostaliśmy oszukani, zagrano z nami podstępem i szantażem. Może nie wierzyli, ci na górze. Przecież nie mógł tego powiedzieć żaden z bliźniaków prymusów, wydelegowanych na spotkanie z dziennikarzem ze stolicy...

\*

Pewnego dnia kazano nam się zebrać na boisku szkolnym. Potrafiliśmy się już ustawić w szyku bez plucia i bez linii pomocniczych. Był dyrektor szkoły, a obok niego jakiś

nieznany nam oficer w stopniu majora. Był też opiekun roku, kierownik internatu, kilku dyżurujących wychowawców. Dyro swoim skrzekliwym głosem poinformował nas, że wie, iż ciągle palimy, więc jak kogoś złapie, i tak dalej. I że dotychczasowy jego zastępca do spraw wychowawczo-obronnych zakończył był służbę, a na jego miejsce przyszedł major Pawelec. To ten obok.

Owszem, mieli już nieprzyjemność niektórzy z nas. Poprzedniego dnia. Zatrzymał nas na boisku szkolnym: mnie, Zajączka, Kutrzebę i Marcina Maresza, zwanego z racji szczupłej sylwetki „Makaronem”, po czym zapytał:

- Jak chodzimy?

Ot, pytanie. Jak chodzimy. Szybko, wolno. Albo „zbiórkami”, jak zwykł pokrzykiwać za nami kierownik internatu. Przypomniała mi się wtedy cała seria starych dowcipów w rodzaju: Co żołnierz je? Żołnierz je obrońcą ojczyzny. Co ma żołnierz w butach? Chodzić, dopóki nie dostanie nowych, itd. Ale jak chodzimy?

- Zapięci - odpowiedział „Makaron” po długiej, przynajmniej dla mnie, chwili milczenia.

- Dobrze - ocenił nieznany nam jeszcze bliżej oficer. - Więc proszę się zapiąć.

I zrobiło się nam od razu cieplej. Nie tylko dlatego, żeśmy się szybko, grzecznie i szczerze, po samą szyję pozapinali. A teraz go poznawaliśmy bliżej. Rzeczony Pawelec uśmiechnął się zimno, postąpił krok do przodu, przymrużył oczy i odezwał się w te słowa:

- Nazywam się major Pawelec - trochę seplenił, ale słyszeliśmy go całkiem dobrze. - W moim pierwszym wystąpieniu chciałbym przypomnieć wszystkim uczniom, że znajdujemy się w Ogólnokształcącym Liceum Wojskowym...

- Amerykę odkrył! - prychnął Tomek Langiewicz.

- To nowa placówka dydaktyczno-wychowawcza - ciągnął swoje nowy zastępca dyrektora. - Chciałbym przypomnieć, że, podobnie jak inne w całej Polskiej Rzeczypospolitej

Ludowej, jest ona instytucją świecką.

- Szwedzką? Jaką szwedzką? - zapytał Tomek Mierosławski, który lubił wszystko przekreślać. A zrobił to na tyle głośno, że usłyszała go cała klasa i zachichotaliśmy sobie zdrowo. - Szwedzką czy polską w końcu?

- W związku z tym - ciągnął swój przydługą w porównaniu z innymi oficerami wywód Pawelec. - Zwracam się do wszystkich uczniów z poleceniem...

- Powinni ich cytować na paczkach fajek, jako ostrzeżenie - zaśmiał się w kułak „Milimetr”, my jednak wyteżyliśmy słuch, bo oto pan Pawelec mówił z coraz większą złością bądź też, tego jeszcze nie mogliśmy przecież wiedzieć, pasją:

-...aby wywieźli z internatu do swoich domów rodzinnych wszystkie, powtarzam, wszystkie przedmioty związane z kultem religijnym.

Nie wierzyliśmy własnym uszom. Kim był ten człowiek? Skąd go przysłano?

Ktoś z nas usiłował zbagatelizować sytuację, pajacując jak zwykle, ale szybko go uciszono.

- Mnie to ryba! I tak nie wierzę - wzruszył ramionami Rómmel.

Ale i jemu mina wyraźnie zrzędła. Tak jak Bodkowi Jagminowi, Jurkowi Kutrzebie i kilku innym chłopakom.

Tymczasem nowy wicedyrektor Tadeusz Pawelec skończył gadać, spojrzał na nas z triumfem niczym wódz zwycięskiej armii na trupy pokonanych i wycofał się bardzo powoli. Zapadła cisza. Dla niektórych cisza przerażająca, dla innych tylko krępująca. Dokładnie usłyszeliśmy, jak za naszymi plecami, gdzie budowano nowy internat, ktoś wbijał gwóźdź młotkiem. A potem łaskawie pozwolono nam się rozejść. I wtedy zrozumieliśmy, że coś się skończyło...

- To co? Odjazd? - pyta wesoło Rómmel, po czym zwinnie zbiera szkło ze stołu i rusza w stronę dystrybutora z piwem.

Nie protestujemy. Podoba nam się również sformułowanie. Świetnie pasuje do tego miejsca. Lokal Roberta Rómmla, z racji sąsiedztwa, jest bowiem urządzone w stylu kolejowym. Na ścianach wiszą emaliowane tablice z nazwami stacji, stare bilety - bure kartoniki oprawione w antyramy, tudzież spoczywa czapka zawiadowcy stacji, stareńki lizak z długą rączką i wiele innych, ciekawych i spotykanych często już tylko w muzeach eksponatów. Na ścianach umieszczono popielniczki i śmietniczki z literami PKP, które spotyka się w wagonach. Całości dość przyjemnym światłem dopełnia kilka lampek stylizowanych na naftowe.

- Kibelki też masz tak urządzone? - zapytuję naszego gospodarza.

- Nie, ale myślę, żeby kupić dwie gotowe kabiny, które montują w wagonach ekspresów - odpowiada Rómmel, nalewając piwo z kega do pierwszej szklanki.

- Dobry pomysł - rzecze doktor Robert Skrzynecki, przecierając chustką szkła okularów. - Pamiętajcie tylko, że korzystanie z kabiny podczas postoju jest surowo zabronione.

Ma chłopak humor. I zdrowie, zważywszy, że jest po kilkugodzinnym dyżurze w szpitalu. Ale ma i w co wlewać alkohol. W szkole chudzina i nieduży, teraz zwałisty, kawał chłopca, z wąsem porządnym, czarnym. Posypaliśmy się trochę przez te lata, nie ma co. Najczęściej zwiększają numerację kołnierzyki koszul. Potem obwód pasa; zmienia się także litera określająca wielkość podkoszulków, a raczej dochodzą do niej kolejne ikсы z przodu. Ogólnie zwiększało się wszystko, włącznie z czasem potrzebnym na poranne podniesienie się z łóżka. No, bo buty to już chyba raczej nie.

- To jak będzie z tym pociągiem, panie zawiadowco? - woła lekarz w stronę barmana, swojego niegdysiejszego kolegi z jednej klasy. - Będzie opóźnienie?

- Najpierw musi być opróżnienie.

- Święte słowa - rzecze Skrzynecki, wstając od stołu.

Rusza slalomem między stolikami, nie poruszając jednak żadnego z krzeseł ani stolików. Chirurgiczna precyzja. Piotr za to zdaje się drzemać.

Ja natomiast rozglądam się jeszcze raz po wnętrzu pubu. Z pewnością włożono w niego dużo wysiłku, nie mówiąc już o pieniądzech. Na przykład wszystkie stoliki były kiedyś stylowymi, metalowymi obudowami maszyn do szycia, na miejscu których teraz znajdują się szklane blaty. Na nich zaś popielniczki z logiem jednej z popularnych (nie tylko na salach amerykańskich sądów) marek i szklanki z alkoholem, które teraz gospodarz przybytku zabrał do napełnienia w barze.

- Widzieliście, on jest łysy - mówi doktor, bo już na powrót usiadł między nami.

- Kto? - interesuje się koleżka w bandażach.

- Rómmel.

- Nie zauważyłem.

Jest, w istocie, łysy. A w szkole, w szczytowym okresie naszego buntu i rozpasania, miał przecież długie, całkiem gęste włosy. Aż w kitkę je sobie musiał wiązać, co wówczas nie było jeszcze tak powszechne jak dziś. Bo chłop to był chłop, a baba - baba! Nie to co teraz. Dziś nasz Rómmel jest łysy. To znaczy tylko nad uszami sobie strzyże przy skórze, bo czoło mu się zrobiło wysokie zupełnie naturalnie. To tak dla wyrównania proporcji. Albo tak, albo siak. Zawsze lubił dobrze sobie wszystko ułożyć. A poza fryzurą się nie zmienił.

Chyba wszyscy mało się zmieniliśmy przez ten czas. I najważniejsze, że było wciąż o czym gadać. Ile to już razy takie spotkania po latach, całkowicie przypadkowe i spontaniczne albo przeciwnie: organizowane pieczołowicie zjazdy, kończą się wielkim rozczarowaniem. Jest miło, owszem, ale gdzieś tak do chwili wyciągnięcia z torebek bądź portfeli fotografii dzieci - pulchniutkich, różowiutkich, srających jeszcze w pieluchy bobasków lub już całkiem dużych, na przykład przystępujących do pierwszej komunii świętej modniś lub wiecznie



spoconych pyskaczy.

Potem już tylko orka na ugorze. Bo klasowy dowcipniś, który kiedyś nie mógł wytrzymać chwili, by komuś nie zrobić psikusa lub przynajmniej zabawnie nie skomentować jakiejś sytuacji, teraz okazuje się przybitym i zniechęconym do życia człowiekiem. Albo raczej strzępem człowieka. A klasowa piękność, dla której każdy z chłopaków poszedłby choćby i do piekła, dziś jest szczerbatą, przedwcześnie otyłą kobietą o zniszczonej twarzy i rękach. Klasowy zapiewajło nie wiedzieć czemu obraża się, gdy go się poprosi o przypomnienie jakiegoś szlagieru z tamtych lat.

A jeszcze później to już wszystko nieuchronnie leci w dół, jak lawina kamieni albo śniegu. Pomyłają się imiona klasowych braci bliźniaków. Ten, kto nigdy za kołnierz nie wylewał, teraz będzie się wzbraniał przed wypiciem za zdrowie, a gdy go się przycisnie, zacznie być agresywny. Pytanie o dawną, wydawałoby się dozgonną miłość najlepszego kumpla okaże się wielkim nietaktem, a niewinna prośba o pokazanie zdjęć dzieci, skierowana do najlepszej koleżanki - początkiem trzęsienia ziemi. Płacz i zgrzytanie zębów.

Czy na nas też czeka jakaś niespodzianka? Przyjemna czy może jednak nie? I kiedy nadeśniemy na tę minę? Ile będzie ofiar i jak wielkich można się spodziewać zniszczeń? Czy któryś z chłopaków jest może saperem? Tego jeszcze nie wiem. Poza nami w pubie nie ma nikogo. Owszem, gdy wchodziliśmy do środka, jakaś parka mieszana i nastoletnia marudziła przy barze, ale zobaczywszy bandażę na głowie Piotra, ewakuowali się czym prędzej. Było nam odrobinę głupio, że wypłoszyliśmy Rómmłowi klientelę, ale ten tylko machnął za nimi ręką.

- I tak nie byłoby z nich wielkiego pożytku.

- Masz stałych klientów? - pytam.

- Głównie towarzystwo punkowe i postpunkowe - klasyfikuje ze znanstwem Robert Rómmel. - Ale i tak kokosów z tego nie ma. Jedno piwo potrafią sączyć przez godzinę albo i lepiej - prycha z zalem.

- Co się dziwisz. Ludzie tutaj nie są zbyt dziani - wzrusza ramionami Skrzynecki, po

czym wzrok jego spoczywa na mnie. - Nie to co w Warszawie.

- Zdziwiłbyś się - reaguję po dłuższej chwili.

- Anie jest tak?

- Zdziwiłbyś się - powtarzam swoje, choć bez złości. - W ogóle wyobrażaliśmy sobie nie wiadomo co. Że wszystko w życiu będzie na pstryk, jak sklejanie modeli samolotów z papieru. Że śmiechem, sprytem i pyskowaniem świat zawojujemy.

- A nie? - śmieje się prowokacyjnie doktor.

- Akurat.

Nikt nic więcej nie mówi. Za ścianą pubu rozlega się jakiś rumor, zaraz potem niepokojący huk, który narasta z każdą chwilą. Szkło na półkach nad szynkwasem rozdzwania się miarowo.

- Osobowy do Pizsa - wyjaśnia Rómmel tonem maszyny zapowiadającej przyjazdy i odjazdy pociągów na dworcach, po czym podstawia pod kranik kega ostatnią szklanę.

Wierzmy mu na słowo. Skład, zapewne ostatni tego dnia, wtacza się z hukiem na peron. Po chwili nasz pociąg też stoi już na stoliku, gotowy do odjazdu.

- Żeby nam się - wznosi szklanicę gospodarz.

Moczmy usta w pożądaną grubość pianie. Robert Rómmel badawczym, choć już nieco mętnym wzrokiem przygląda się odzieniu Piotra.

- To nasza kurtka? - pyta.

Piotr nie odpowiada jednak na pytanie.

- Co tu właściwie robisz? - napiera znów Rómmel.

- Spotkaliśmy się niedaleko - spieszę nie wiadomo czemu z wyjaśnieniami. - Na drodze, bo ja jechałem akurat z Warszawy i...

- Zupełny przypadek, masz pojęcie! - przerywa mi bezceremonialnie doktor Skrzynecki. - Na szczęście nie trzeba było szyć...

Usatysfakcjonowany widać taką odpowiedzią łysy mruczy coś pod nosem i pociąga spory łyk ze swojego kufelka. No to i my sobie pociągamy z lubością, wszak chyba po to, może prócz naszego gospodarza, tutaj siedzimy.

- A tobie co się stało w rękę? - rewanżuje się pytaniem Piotr, wskazując brodą na spoczywającą na szklanym blacie stołu dłoń Rómmla z widoczną blizną między palcami.

- Gwóźdź. Pamiątka od Jugola - odpowiada półgębkiem chłopak, po czym unosi dłoń pod światło.

- Wiem, coś słyszałem - wtrąca się lekarz i zaaferowany aż wstaje z miejsca. - Byłeś dowódcą plutonu KFOR-u i złapali cię Serbowie. Potem przybili ci rękę do stołu, przyłożyli lufę kałacha do skroni i chcieli wyciągnąć, gdzie są twoi ludzie. Dobrze mówię?

Słuchamy jak przybici. I to nie jednym gwoździem. Oslupiali. Rómmel zresztą też. Aż gębę ze zdziwienia rozdziawił.

- A potem wpadli tam nasi i wytlukli wszystkich co do nogi - kończy Robert Skrzynecki obrazowo i z triumfem, zupełnie jakby on sam osobiście pozbawił życia co najmniej połowę z serbskich nacjonalistów porywaczy.

- Co ty opowiadasz, człowieku? Witaminy jakiejś się najadłeś? - wykrztusza wreszcie z siebie nasz domniemany bohater.

- A co, nieprawda może?

- Pracowałem przez rok w jednej macedońskiej knajpie i gwóźdź sobie wbiłem

podczas remontu - wyjaśnia spokojnie Rómmel. - I nie byłem w żadnej Bośni, bo z resortu odszedłem po drugim roku szkoły. Nie pamiętasz?

- No to kto, jak nie ty? Z tym gwoździem...

- „Samuraj”!

- Kto? - pytamy wszyscy trzej niemal jednocześnie.

- Był jeden taki, rok niżej - peroruje właściciel baru. - Machał takim japońskim mieczem, więc mówili na niego „Samuraj”. A nazywał się tak jak ja tylko bez kreski. Nawet imię miał na tę samą literę, więc się często baby na poczcie myliły, kierując listy do niego do naszego internatu i odwrotnie. I on rzeczywiście był na misji pokojowej.

Piotr zaczyna mocno kaszleć.

- I co? Wrócił? - pyta lekarz, mocno zbity z tropu.

- Wrócił, wrócił. Nawet zajrzał raz do mnie.

- Pewnie awansował po tej historii z gwoździem - spekuluję.

- Owszem - krzywi się Rómmel. - Na ochroniarza w supermarkecie...

Po tych słowach barman wyjmuje z kieszeni telewizyjnego pilota i kieruje go w stronę niewielkiego odbiornika, stojącego na półeczce zawieszanej w rogu sali.

- Zobaczmy, co tam w świecie ciekawego.

Na ekranie ktoś za kimś goni, podstawia mikrofony pod nos, zagląda kamerą do zupy. Norma, jak wczoraj, jak jutro.

- Zróbcie głośniej.

- I tylko tyle?

- Może na Jedynce powiedzą więcej...

Ale, ale! Żeby tak z własnej woli oglądać wiadomości? A pamiętacie, jeszcze nie tak dawno? Hej! Co się z wami stało, chłopackowie mili? Niewolnicy giełdowych notowań i wykresów, spadków i upadków walut, stóp procentowych, a z nimi kredytów, ciężących u szyi jak kamień, bo nie będziesz miał banków cudzych przede mną. I nie będziesz wzywał imienia... developera nadaremno. Będziesz w dzień świąty po centrum handlowym się kręcił, a ojca i matkę swoją zabierał, gdy przyjadą zobaczyć, jak się dziecku w tej Warszawie powodzi. Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, a potem nie zapomnij zwrócić DVD do północy. Nie rób fałszywego PIT-a przeciw urzędowi swojemu. Nie pożądam żony stanowiska nowego. Ani żadnej rzeczy, która przed wypłatą nie do kupienia jest... Co jest, kochani, którzyście mi byli bliżsi niż rodzeni bracia? Gdzieście się podziali? Mali i duzi, blondyni i czarniawi? Małomówni i gadatliwi, palący i niepalący? Pracowici i leniwi? Smutni i weseli? Wierzący i niewierzący? Gdzie jesteście?!

\*

- Opowiadaj dalej.

- Ja? Ja już nic więcej nie pamiętam.

- Masz to na pewno gdzieś zapisane, przyznaj się.

- Może i mam... Ale nie tutaj!

- Wyślemy GROM, oni znajdą.

- Ty i bez tego dobrze pamiętasz. Opowiadaj.

Pamiętam? Może jeszcze tylko to, że poranek tamtego dnia był mglisty. Od pierwszej chwili, kiedy zaterkotał dzwonek nad drzwiami naszego pokoju (okleiliśmy ustrojstwo taśmą samoprzylepną, żeby któregoś pięknego dnia nie dostać zawału serca), czułem, że coś się tego

dnia wydarzy. Coś podłego wisiało w powietrzu. To się czasami wie, nie wiadomo właściwie skąd. Ale żeby tak jeszcze wiedzieć, co zrobić, by los się nie dopełnił.

Słońce dzielnie przebijało się przez mleczną zasłonę. Dzień mógł się wkrótce okazać bardzo ładnym. W sam raz na popołudniową randkę z dziewczyną, spacer po przyzamkowym parku, który przybrał już piękne jesienne barwy. Piwo nad rzeką albo mecz koszykówki na szkolnym boisku lub w piłkę nożną na pobliskiej łące. Ale wszystko to równie dobrze mogło okazać się tylko marzeniem.

Wyszliśmy na śniadanie.

- Zbiórkamy chodzimy, chłopcy. Zbiórkamy - powtarzał do porzygania kierownik internatu, przyglądając się z uwagą swojej trzódce.

No to łapaliśmy się za rączki i grzecznie, parami, maszerowaliśmy na zupkę mleczną i bułeczkę z marmoladą.

Każda klasa miała przydzielony swój rejon na całym terenie szkoły (określał to szczegółowo wyrysowany plan, do którego nawet pan profesor „Wiewióra” nie śmiał się przypieprzyć) i miała dbać, żeby był tam porządek: zimą odśnieżone, a jak trzeba, to i odkute, zaś w pozostałe pory roku po prostu czysto. Problem największy był właśnie z trawnikami. Przez noc przybyło nieco pod rachitycznymi drzewkami, z których nie dalej jak wczoraj strząsaliśmy żółte i brązowe liście. Jeden z nas, najsilniejszy (a palmę pierwszeństwa pod tym względem przejął niedawno po Mariuszu Hallerze Paweł Grot), obejmował drzewko za pień i potrzasał nim, czterech pozostałych zaś usiłowało... złapać spadające liście w rozpostarte koce. Zabawa była przednia. Ale nie tylko o zabawę nam chodziło.

- Będziecie grabić liście - wydał polecenie Karzyński, a jemu zapewne wydał je ktoś inny, wyższy stopniem.

- Ale to jest bez sensu - próbowaliśmy pertraktować, wysyłając na pierwszy ogień jednego z klasowych prymusów, którymi byli na zmianę Robert Skrzynecki i Jurek Kutrzeba; zresztą jeden lepszy w jednym, a drugi w drugim, bo i tak wszyscy byliśmy jednakowo mongoły.

- Nie dyskutujcie!

- Miejsce liści jest na trawie, to zgodne z naturą - tłumaczyła nasza alfa i omega. - A z chodników i boiska przecież już zostały zamiecione.

- Poprawcie krawat. Jak stoicie?!

Niestety, kadra oficerska, która wydała nam polecenie sprzątnięcia liści, poszła już wtedy do domów i nie miała okazji oglądać naszej demonstracji. „Głupota za głupotą” - ta dewiza przyświecała nam od jakiegoś czasu. Wykonywać wszelkie polecenia z największą dokładnością. Nie dyskutować. Sami się prędzej czy później udławiają.

Bo ten niewidoczny mur, ten podział my-oni, który przecież był od początku, ale może nie zawsze chcieliśmy go zauważać, teraz dawał się nam we znaki szczególnie mocno. Zaczynaliśmy po prostu myśleć, chadzać swoimi ścieżkami, zadawać kłopotliwe pytania - w ten etap życia musiał wstąpić przecież każdy pryszczaty. Tylko że jeden z drugim, z normalnego liceum czy technikum, mógł sobie nie przyjść do szkoły albo po prostu poskarżyć się swoim starym. My nie mogliśmy. Na temat tego szczególnego okresu dojrzewania dziecka powstało zapewne mnóstwo mądrych książek z zakresu pedagogiki. Na nas jednak wciąż eksperymentowano.

Śniadanie tego dnia zjedliśmy bez większych emocji. Gorąca herbata nieco nas obudziła. Przy stolikach rozmawiało się głównie o nauce. O tym, co dziś wymyśli ten czy ów nauczyciel. Czy polonistka da się przebłagać i przełoży zapowiedzianą pracę klasową z całego okresu literackiego. A może zrobi to bez prośzenia, sama z siebie, tak jak tydzień temu pani profesor od matematyki, która przesunęła sprawdzian o tydzień. I Jasio Sosabowski, który, żeby nie pisać klasówki, kazał sobie wtedy skoczyć z łóżka na dłoń Hallerowi (i to w wojskowym bucie!), by potem czym prędzej udać się z opuchniętą łapą do lekarza, wołając pomocy - będzie sobie pluł w brodę...

- Masz zadania z całek?

- Jaki jest symbol chemiczny glinu?

- Przeczytałeś tę książkę do końca?

- Jak wygląda ameba?

- Was ist das?

- What is it?

Zwyczajne dyskusje zwyczajnych licealistów. Te same przecież toczyły się w tym momencie na ulicach miasta prowadzących do szkół, w autobusach i podmiejskich pociągach, w innych internatach. Ja jednak wciąż czułem przez skórę, że dziś stanie się coś złego.

Potem rozległ się dzwonek, który tradycyjnie ogłaszał rozpoczęcie nauki. Zajęcia szkolne potoczyły się w miarę normalnie. W przypadku jednych przedmiotów czterdzieści pięć minut lekcji było prawdziwą wiecznością, na innych przemykało niczym chwila. Czasami było tak cicho, że słyszeliśmy stukot much rozpaczliwie objadających się o szyby klasy, innym razem dyskusja była tak żywiołowa, że przechodzący korytarzem oficerowie czy inni nauczyciele zaglądali do środka, myśląc, że siedzimy w klasie sami i lada chwila pójdzie na noże. Bilans zysków i strat, czyli ocen i uwag w dzienniku lekcyjnym, zmieniał się albo nie.

Przerwy spędzaliśmy wciąż tradycyjnie, na figlach. Wieszanie na kranie zastąpił wiatraczek, polegający na tym, iż podchodziło się do ofiary od tyłu, łapało za spodnie między tylnymi kieszeniami i trochę poniżej, po czym gwałtownie podnosiło w górę. Efekt wiatraczka uzyskiwało się za pomocą rąk. Oczywiście tego, co był na górze. Działo się tak jednak tylko wtedy, gdy kolejna lekcja była niezbyt stresująca. Inaczej czas przerwy przeznaczano się na naukę. No bo kiedyś w końcu czas taki trzeba było znaleźć...

Nauczyciele użerali się z nami, my kiwaliśmy nauczycieli, jak tylko umieliśmy. A to udając chorobę, a to mądrzejszych niż w istocie byliśmy. Układ stary jak świat. Obiecaliśmy, że zajrzemy do pracy domowej, a jakoś się tak w końcu składało, że jednak nie zaglądaliśmy. Nasze prawo młodości, a ich, naszych profesorów, ryzyko wpisane w ten zawód od zarania dziejów. Dopiero potem, po latach, pracując już w innych szkołach, stwierdzą oni otwarcie,



że nie realizują tam nawet połowy materiału, jaki kiedyś realizowali z nami. Czyli może jednak nie było w końcu aż tak źle?

Późnym popołudniem, po obiedzie i powrocie z wychodnego, gdy siedzieliśmy sobie spokojnie w pokojach, udając, że się uczymy, zelektryzowała nas nieoczekiwana wiadomość:

- Pawelec krąży po internacie!

Wtedy wiedziałem już, że przecucie mnie nie myliło. Migiem poukładaliśmy z grubsza w szafkach, wyrównaliśmy koce na łóżkach, przejechaliśmy podłogi miotłami, bijąc przy tym chyba wszystkie rekordy w zimowej, pozbawionej większego sensu dyscyplinie sportu - curlingu. Nikt bowiem nie chciał napytać sobie biedy. Wiedzieliśmy też dobrze, czego może chcieć od nas zastępca dyrektora szkoły do sprawy wychowawczo-obronnych. Chciał nas wychowywać, ale w jedynie słusznym duchu. I bronić pewnie też.

Noc świętego Bartłomieja to mało. Czarna msza o północy na cmentarzu, połączona z rytualnym zabijaniem czarnego kota? Tylko tego biednego zwierzęcia brakowało. Krzyży co prawda nie łamaliśmy, ale już samo ściąganie ich ze ścian, znad łóżek czy biurków dla wielu z nas musiało być równie przykre. Podobnie ze świętymi obrazkami, które również kilku wciąż trzymało. Któremuś w tym całym ferworze rozsypał się różaniec. Najgorsza wróżba...

- Cholera - klął chłopak, wybierając paciorki spod łóżka.

Tymczasem na piętro wkroczył major. Nie zapachniało co prawda siarką, tylko wcale dobrą wodą po goleniu. Ale mimo to nie było przyjemnie. Właściwie on nie kroczył, a raczej czał się. Jakby do skoku. Mundur, czapka garnizonowa na głowie, pod pachą, jakżeby inaczej, gruby notes. Mocno ściskany, jakby zawierał same tajne instrukcje użycia broni jądrowej przez państwa sprzymierzone Układu Warszawskiego.

Nasz pokój miał to nieszczęście, że był pierwszy z brzegu. Staliśmy z Jaśkiem przy swoich biurkach bez słowa. Oficer wszedł, rozejrzał się po izbie, jakby był w muzeum.

- Dzień dobry - powiedział wreszcie.

- Dzień dobry - odpowiedzieliśmy z Sosabowskim niemal jednocześnie.

I wtedy mało nie buchnąłem śmiechem. Oficer miał całkiem sporą przerwę między zębami, a ja po raz pierwszy widziałem go z tak bliska. Może coś wyczuł, bo przyglądał mi się z uwagą.

- Nazwisko? - zagadnął wreszcie, sepleniąc przy tym.

Podąłem. A on je zanotował. Chciałem zaprotestować.

- Ale ja nie mam krzyżyka! - wyrwało mi się.

- Czego? - zapytał, mrużąc oczy.

- Niczego.

Taka odpowiedź zapewne w pełni go satysfakcjonowała. Nie było sprawy. Nie mogło być! Wszak szkoła nasza, tak jak i wszystkie w tym kraju, jest instytucją świecką, i tak dalej...

- Uczyć się - rzekł zimno i wyszedł z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

- Lenin - podsumował Sosabowski, choć nie byłem pewien, czy chodzi mu o autora hasła, wypisanego na tablicy stojącej jeszcze na boisku szkolnym, czy może nazwał tak Pawelca, ten wszak był również łysy i urodził się pod czerwoną gwiazdą.

Tak czy owak - odetchnęliśmy z ulgą. Po chwili dopadliśmy drzwi. Byliśmy ciekawi, czy w swojej skrupulatności wicedyrektor zaliczy wszystkie pokoje, czy może da sobie spokój i wróci do domu, gdzie zapewne czekała na niego żona i dzieci. Ciekawe, czy bali się tak samo jak my?

Nie usłyszeliśmy jednak, żeby coś się wydarzyło tego wieczora. Wyglądało na to, że wszystkim udało się uniknąć losu pierwszych chrześcijan.

Kolejny dzień był słoneczny i ciepły. Aż się chciało wstawać.

- Zbiórkamy chodzimy, chłopcy. Zbiórkamy - gadał swoje kierownik internatu, który czekał na nas w tym samym miejscu co wczoraj i tydzień temu: przy drzwiach. Jakby go ktoś tam przykuł. Ale my byliśmy w stanie tolerować tego dnia nawet jego. No to i dziś łapaliśmy się za rączki i grzecznie, parami, jak wzorowe przedszkolaki, maszerowaliśmy na pyszną zupkę mleczną i bułeczkę z marmoladą.

- Chleba! - ryknął któryś na stołowie, bardziej dla draki niż z rzeczywistej potrzeby zapelnienia żołądka i zaspokojenia głodu.

No i chleb, cały kosz świeżutkiego, chrupiącego i pokrojonego w równe kromki pieczywa, tradycyjnie znalazł się bardzo szybko. Również lekcje, które miały się lada chwila zacząć, nie wzbudzały w nas większego lęku. Czego trzeba było chcieć więcej do szczęścia?

Dzwonek wzywający nas do budynku szkolnego zabrzmiał nieco wcześniej niż zwykle. Wyszliśmy na boisko. Tam czekał już major Pawelec. Jego mina nie wróżyła nic dobrego. Ustawiliśmy się w tradycyjnym czworoboku, by wysłuchać kolejnej pogadanki. Kiedy się już uspokoiliśmy, rozsmarowaliśmy podszwami ślinę na mokrym asfalcie boiska, zastępca dyrektora postąpił krok do przodu i wymienił nazwiska dwóch z nas.

- Wystąp! - rozkazał po chwili.

Major Walerian Łukasiński, spiskowiec przykuty łańcuchami do armaty po powstaniu listopadowym. Niedoszli zamachowcy na wielkiego księcia Konstantego chwilę po hańbiącym zdarciu im epoletów. Już jadą po nich kibitki. I to mało! Bogusław Jagmin poczerwieniał na twarzy, przepchał się przez ciżbę i wolno, jakby spodziewał się uderzenia, wystąpił przed szereg. To samo uczynił jeszcze jeden chłopak z klasy B.

- Kilka dni temu wydałem wam polecenie, abyście wywieźli do swoich domów wszystkie przedmioty związane z kultem religijnym - cedził Pawelec, tocząc po szeregach wściekłym wzrokiem. - Dokonałem w dniu wczorajszym kontroli w waszych pokojach. U tych uczniów znalazłem wymienione przedmioty.

- Skurwiel! - bluznął „Milimetr”, a my zgodziliśmy się z jego opinią głośnym, jednoczesnym pomrukiem.

Tylko Jagmin sprawiał wrażenie, jakby wciąż nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Dopiero dziś rano wrócił z izby chorych, gdzie leżał od kilku dni z grypą czy czymś w tym rodzaju. Nie zdziwiłbym się, gdyby jeszcze miał gorączkę. Nasz pan doktor był w swoich diagnozach coraz bardziej powierzchowny...

- Niniejszym informuję, że rozpatrujemy z dyrekcją kwestię usunięcia tych uczniów ze szkoły - wycharczał major, a po szeregach przetoczył się kolejny pomruk niezadowolenia.

Słońce skryło się za ciemną jesienną chmurą, od jeziora powiał zimny wiatr. Po chwili pozwolono nam odmaszerować na zajęcia.

- Nie przejmuj się, Bodek. On tylko tak gada - próbowaliśmy go pocieszać, ale chyba jeszcze nie do końca dochodziło do niego to, co się stało.

- Wyleci - prorokował ktoś w tłumie.

\*

Dziwna była ta kraina, w której przyszło nam spędzić lata młodości. Zagubiona między gęstymi lasami, jeziorami i bagnami, zamieszkała wieki temu przez pogańskie plemiona pruskie, do których to pewnego razu zawitał praski biskup Adalbert, czyli Wojciech, by szerzyć nową wiarę. Nie posłuchali go jednak, co więcej, nie zdołali powstrzymać też gniewu niejakiego Sicca, trochę nieopierzonego narwańca, ale jednego z najlepszych wojowników, szczególnie we władaniu włócznią... Potem przyszli Krzyżacy, którzy wiarę w jedyne go słusznego Boga zaczęli wprowadzać ogniem i mieczem. Marcin Luter po wiekach też dołożył swoje, bo odkąd przybił na drzwiach oddalonego o tysiąc kilometrów kościoła swoje tezy, jedni zaczęli krzywo patrzeć na drugich, sąsiad na sąsiada. Dopiero II wojna światowa zrównała wszystkich, niwecząc wszelkie podziały, zaś przedstawiciele porządku, który po wojennej zawierusze nastął, człowiekowi temu, przed niemal tysiącem lat rozpiętemu w potwornych bólach na krzyżu, przyglądali się z wyjątkową

podejrzliwością i niechęcią. Aż do dzisiaj.

Bodek nie wyleciał ze szkoły. Żaden z nich, którzy nie wykonali rozkazu majora Pawelca. Co się jednak nasłuchali od Pawelca, to ich. My zresztą też!

Pewnego dnia bowiem nasz major kochany kazał się wszystkim nam stawić na stołówce szkolnej, ale nie po to, by spożyć smaczny posiłek, ale by wysłuchać jego wykładu. „Szkoła w PRL jako instytucja świecka”. Gadał jak nakręcony, a my siedzieliśmy przy stolikach, przy których zwykle jedliśmy, i słuchaliśmy go z rozdziawionymi gębami. Rozdziawionymi ze zdziwienia.

- A teraz pokażę wam obrazek - zaseplenił w pewnym momencie Pawelec, sięgając do swojej magicznej teczki, z której niczym króliki z cylindra wyciągał kolejne dziwy.

- Już się boję - szepnął Zajaczek.

- To jest Noe, który na swoją arkę zabrał zwierzęta - rzekł zastępca dyrektora, podnosząc w górę kolorową reprodukcję. - Tytuł obrazu brzmi: „Pijaństwo Noego”. Noe był pijakiem!

Zapadła cisza. Żadnego pokasywania, pomruków niezadowolenia, żadnego oddechu.

- Był pijakiem - powtórzył jeszcze raz, rozglądając się z satysfakcją po stołówce.

I dalej w ten deseń. Wyrwane z kontekstu fragmenty Biblii, uproszczenia myślowe, stereotypy spod budki z piwem - to była jego broń. No i to pijaństwo. Dobrze, że nie palił papierosów. Ten Noe, degenerat. U nas byłby już skończony. Siedzieliśmy i słuchaliśmy tych bzdur kosmicznych ze szkolenia dla partyjnego narybku i aż zaczęło nam od tego w brzuchach burczeć. Na szczęście po ostatnim posiłku zostało w koszu trochę chleba. Naszego powszedniego.

W tym czasie popularna była piosenka zespołu Lady Pank, której refren sobie śpiewaliśmy pod prysznicem albo gdy było nam smutno, czasami na kilka głosów:

- To co mam, to co mam świętego. Tego mi nie zabierze nikt...

- Tobie nic, tobie nic do tego!

- Jestem tu, jeśli chcesz się bić!

No tak, ale, jak już mówiłem, za wiarę specjalnie chyba nikt, może prócz naszego Bodka Jagmina i kilku innych chłopaków, bić się nie zamierzał. Tak mi się przynajmniej wydawało. Pawelec satanistą też przecież nie był, zresztą kilku takich, co słuchali heavy metalu, również znaleźliśmy. Najgorsze jednak było to, że tymi metodami mógł facet próbować któregoś z nas, którego akurat złapał z brudną szyją lub nie wyczyszczonymi butami, próbować oskarżyć o... zabójstwo prezydenta Kennedy'ego! To zresztą chyba zły przykład, bo za coś takiego z pewnością wyczałowałby delikwenta, a może nawet przedstawił do odznaczenia...

Przed wszystkim niezbyt pasowało nam, że ktoś próbuje ograniczać naszą wolność, co do posiadania której udało nam się już przekonać całkiem sporo osób. A to panią Ulę, że Dziennik Telewizyjny kłamie i nie należy go oglądać, a to kapitana Karzyńskiego, że nie jesteśmy żołnierzami. Tylko dyrektora jakoś nie udawało nam się przekonać, że palić po prostu lubimy. I dalej paliliśmy po kryjomu.

Burza minęła. Tak nam się przynajmniej wydawało.

\*

W ciągu kilku następnych tygodni nikt nie przygotowywał nam żadnych niespodzianek, choć z drugiej strony, jak to mówią, nie znasz dnia ani... marszruty. Po obiedzie internat pustoszał w kilka chwil. Za płotem czekało bowiem życie. Ciekawe, czy coś się zmieniło od wczoraj czy przedwczoraj. Czy dziewczyna jeszcze kocha, a piwo w ulubionej piwiarni nie zdrożało jak wszystko wokół? Ale świat dookoła był jak należy, więc można było spokojnie wracać w pielesze. Kto jednak miał jakieś ważne sprawy, które wymagały od niego dłuższego przebywania poza internatem, wystarczało powiedzieć o tym kolegom. Na kolegów zawsze można było liczyć.

- Gdzie jest Bołtuć? - zapytała pani Ula chwilę po wejściu do pokoju, w którym zamieszkiwał „Milimetr”.

- U lekarza - odpowiedzieli bez mrugnięcia okiem koledzy, dobrze wiedząc, że Mirek w tej chwili właśnie bawi się w lekarza, ale ze swoją dziewczyną.

- Aha - mruknęła wychowawczyni i tradycyjnie coś zanotowała.

Po dwudziestu minutach powtórzyła swoje pytanie.

- Widocznie nastąpiło pogorszenie - odparł z kamienną twarzą Jagmin, bo „Milimetra” wciąż nie było w pokoju i nie odrabiał lekcji, jak miał przykazane.

Poszła sobie. Na dworze zrobiło się chłodno i niezbyt przyjemnie.

- Nie będzie jej się chciało iść - spekulowałem.

Istniało jednak prawdopodobieństwo, że jak nie pójdzie, to pewnie spróbuje inaczej wywiedzieć się o zdrowie Bołtucia.

- A jak zadzwoni? - zapytał Wiesiek Kościuszko, co to właśnie przyniósł zeszyt do matmy, z którego czasami dawał nam wspaniałomyślnie odpisywać trudniejsze zadania.

- To dowie się, że pan Bołtuć był, wziął lek i wyszedł - odparł przez sen Jurek Kutrzeba.

- A był?

- Owszem. Tyle że trzy godziny temu - rzekł Jagmin, wertując zapamiętałe jakiś podręcznik.

- Poprosił o witaminę C, połknął na miejscu, pielęgniarka odnotowała jego wizytę, a on spokojniutko skierował się w stronę dziury w płocie i poturlał do miasta.

Mieliśmy swoje sposoby. Raz się udawało, a raz nie. Częściej jednak tak. Jak skok wzwyż, przez poprzeczkę zawieszoną wciąż na tej samej wysokości. Czasami się ją delikatnie podwyższało, ale nigdy nie szła w dół. Mieliśmy swój honor, a i latka mijały. A Mirek Bołtuć zjawiał się na stołówce punkt siódma. Zapytany przez wychowawczynię, czy już się dobrze czuje, odparł, że nigdy nie czuł się lepiej. Istotnie, fasolkę po bretońsku pałaszował za dwóch.

Następnego dnia z miasta wrócił też jeden z chłopaków z klasy B, kędzierzawy szatyn, na którego wołaliśmy Strzemek. Pluł krwią, pod okiem ciemniała mu solidna śliwa.

- Dorwali go pod dworcem, zerwali łańcuszek i skroili skórę - relacjonował rozgorączkowany Darek Orlik, a wieść rozniosła się po internacie lotem ruskiej rakiety.

- Organizujemy krucjatę. Zbiórka przy dziurze w płocie - brzmiał kolejny meldunek.

To był nasz sport ulubiony. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. A bić nie szło się dwóch ani dziesięciu. Jeżeli zdarzał się wypadek, że ktoś nie tak jak trzeba zachował się wobec któregoś z nas, szła nas nawet setka.

- Dopierdolimy im - odgrażał się Bodek Jagmin, podnosząc w górę jedno ze starych drewnianych krzeseł, które poniewierały się niedaleko naszego internatu.

Gniewnie cisnął nim o ziemię. Mebel roztrzaskał się na kawałki, a jeden z nich okazał się całkiem poręczną pałą z wystającymi groźnie drzazgami, którą Bodek dzierżył w dłoni, wygrażając niewidocznemu, póki co, wrogowi.

- Zabijałem w ten sposób psy - pochwalił się, po czym zademonstrował szeroki zamach, na linii którego miała znajdować się głowa nieszczęsnego bezpańskiego czworonoga.

- Gdzieś ty je zabijał? - zainteresował się sceptyczny z natury Mariusz Haller.

- U siebie na wsi, z bratem - uściślił chłopak, wciąż machając nogą od krzesła. - Przychodziły kundły, dusiły kury, więc trzeba było z tym skończyć, nie?

Nie było jednak czasu na zbędne dyskusje. Teraz należało jak najszybciej dopaść tych,



którzy skrzywdzili Strzemka. Sam zainteresowany, który siedł otoczony przez wianuszek kumpli z pokoju, też niezbyt mocno oponował przeciw szykującej się wendecie. Chyba nie tylko z powodu straconego łańcuszka.

- Jam jest Andrzej Kmicic! - wołał Bodek Jagmin, wymachując orężem niczym najprawdziwszą szabelką.

Ostatnimi czasy rzadko bywał potulny. Widać po tej historii z Pawelcem doszedł do wniosku, że się nie opłaca. Potrafił nawet czasem rzucać się do naszego gospodarza klasy, Mariusza Hallera, który w przeszłości trenował zapasy, a teraz i tak przerastał Bodka o ponad głowę. Mimo to Jagmin nie dawał za wygraną.

- Oko ci wypierdolę! - ryczał wściekle, unosząc w górę rękę zakończoną ostro palcem wskazującym.

Ale szybko się godzili. Jak my wszyscy zresztą. W końcu byliśmy jednym plutonem. Plutonem, który teraz miał iść razem na akcję. W tle zamajaczyło kilku wychowawców, więc udaliśmy, że się tylko bawimy. A przy okazji „Potop” Sienkiewicza omawiamy.

Od strony drugiego internatu nadbiegła mała grupka młodych.

- Idziecie na „dym”? - krzyknął jeden z nich.

- Stul mordę - warknął któryś z naszych siłaczy.

Ale wychowawców już nie było na boisku szkolnym. Może wiedzieli, co się święci, a może po prostu poszli już do swojego pokoju, by przygotować się do powrotu do swojego życia. Tego, które zostawili za płotem.

A nasze życie było tu i teraz. I w tej chwili nie było innego.

Przed dziurą w ogrodzeniu zameldowały się na oko jakieś dwie klasy, czyli około sześćdziesięciu osób. Kilku miało kastety własnej roboty, metalowe krany, pookręcane wokół rąk paski, jakieś pałki. Zdecydowana większość jednak zamierzała w tej konfrontacji użyć

gołych pięści. I nóg - wszak z koreańskiej sztuki walki taekwondo jeszcze coś tam zostało.

W okolicy dworca zachodniego, gdzie napadnięto naszego kolegę, mieliśmy około trzech minut drogi. Biegiem byłoby o wiele szybciej, jednak woleliśmy oszczędzać siły na walkę.

- Są - szepnęła swoim druhom Strzemek, a wieść szybko rozniosła się po szeregach.

Byli. Kilku, może nawet dziesięciu obszcymurów w przepoconych, zażółconych pod pachami podkoszulkach i dżinsach zielonych na dupach od brudu. Oblegali małą ławeczkę na skwerku przed budynkiem dworcowym, wydłubywali sobie przez nosy resztki mózgow i najspokojniej w świecie obalali winiawkę z gwinta.

- Najpierw pertraktujemy, schowajcie sprzęt - zarządził półgłosem Orlik, ruszając z poszkodowanym Strzemkiem i kilkoma co wyższymi w stronę ławeczki; reszta grupy uderzeniowej została w odwodzie i czekała na rozwój wypadków.

Nie chcieli pertraktować. Te obszcymury osiedlowe, te złamasy z żałobą za paznokciami. Oddać łańcuszka ani skórzanej kurtki też. Pewnie już któryś potruczał ze zdobyczą do wujka Heńka, wykonującego wielce popularny w okolicy i szanowany zawód pasera. A ulubiona kurtka naszego szkolnego kolegi jutro będzie ozdobą stoiska na pobliskim bazarku. Posypały się za to kurwy, bojowe odchrząkiwania, obficie zroszone śliną. Strzemek poczerwieniał na twarzy jak pomidor. Nie można było dłużej czekać.

Jeden z obszcymurów ostentacyjnie włożył sobie oto do gęby szyjkę butelki i pociągnął spory łyk jabcoka, przymykając oczy z lubością i myśląc, że za chwilę beknie sobie głośno...

Ale już nie beknie. Popęłnił błąd, ten ich lider z miodem w uszach. Jeden z naszych, Czarek Maczek, w mgnieniu oka podniósł nogę. Dopiero teraz zauważyliśmy, że ma na nogach „kajdany”, czyli ciężkie wojskowe buciory z opinaczami. Było jednak za późno na cokolwiek. Chłopak z całej siły kopnął przed siebie, precyzyjnie trafiając w denko butelki. Zazgrzytały wybijane zęby. Chłopak bryznął krwią pomieszaną z winem, śliną i zepsutymi trzonowcami. Brudnobiała koszulka innego, najbliższego stojącego kompana, pokryła się

solidarycą krwawych plam.

A dalej już poszło jak z płatka. Podniósł się krzyk. Miejscowi rozpierzchli się na wszystkie strony, ale błyskawicznie ruszyły za nimi grupy pościgowe. Z miejsca wyczuli, że się nie będziemy z nimi patyczkować. Może nawet wcześniej niż my sami? Kilku uciekło na ulicę, przemknęło między hamującymi z piskiem opon samochodami. Ale w kilka chwil dorwaliśmy wszystkich. W ruch poszły pięści, a także nogi, tylko Bodek z szaleństwem w oczach wykręcał młynki swoją nogą od krzesła.

- Hajda na Wolmontowicze! - ryczał wściekle, szukając celu.

Nie trzeba było zużywać wszystkich sił, więc część z nas, również i ja, stała z boku i przyglądała się walce, przygryzając wargi z emocji. Strategia to była, a może miłosierdzie? Ale mimo to biernie braliśmy udział w bitwie, jak ci nałogowi gracze w salonie gier, którym ręce chodzą na boki, a całe ciało wyrывa się ku nie wiadomo czemu. Zresztą w każdej chwili byliśmy gotowi też wesprzeć swoich kompanów. Coś w nas wstąpiło wtedy. Coś złego. Praliśmy po przyszczatych pyskach z nieświeżym oddechem, wyręczając w pracy szkolnego dentystę. Okładaliśmy po żołądkach zepsutych siarką z tanich win. Rozkwaszaliśmy nosy, zanim zdążyły się zaczerwienić od nadmiaru trunku czy kleju butapren. A jednocześnie umykaliśmy ciosom pięści zwiniętych z brudnych rąk, ale i przyjmowaliśmy uderzenia, które jednak wcale nie bolały.

Być może kiedyś będą lekarzami, prawnikami czy nauczycielami, dobrymi mężami i ojcami. Wyjdą na ludzi. Ale teraz mieliśmy wyładować na nich swój gniew. Nie było taryfy ulgowej. Sami zaczęli, nie wiedząc może za bardzo, kogo obrabowali. Trudno, ich problem.

- Za co, Jezu? Za co?! - ryczał na pół miasta jeden z miejscowych, którego kilku naszych dorwało pod płótem stacji.

Za co? Kurwa, się pytasz jeszcze za co?! Za los najmniejszych uczniów w klasie podstawówki, sflekowanych w szatni sali gimnastycznej, opluwanych na schodach i szkolnych korytarzach. Za śmichy-chichy koleżanek z klasy czy spod trzepaka, głupich kurew, które stać będzie tylko na rozkładanie nóg przed mężusiem nierobem, bo tak wypada. Za sińce i powykręcane ręce, będące udziałem starszych kolegów z podwórka czy szkoły.

Tchórzy jebanych, operatorów tokarek w przykładowej szkółce lub cwaniaczków w lewisach z paczek od tatusia w Stanach czy Reichu, przez co lepszych niż pozostali. Kombinatorów domorosłych. „Na trepa idziesz, na trepa?!” - powtarzane do zrzygania pytanie, mruganie oczkami w towarzystwie i niekończący się śmiech na granicy spazmu.

No, to teraz masz. Mojego trepa. Na gębie!

- Za co?! Jezu!!!

Za co? Za tamtą niefortunną wyprawę na karuzelę, kiedyśmy jeszcze byli nieopierzeni i głupi. Za pyskówki na przepeconych dyskotekach i poszarpywania za kołnierze, bo „tych psich chujków nowych zza jeziora trzeba sprawdzić, no to wyskocz któryś na solo!”. Za to, co było, i to, co jeszcze będzie. Albo nigdy się nie zdarzy.

Naraz spojrzałem w bok i zabrakło mi tchu...

Stali w kilku i kopali leżącego. Nery, krocze, brzuch, głowa, którą resztkami sił próbował ukryć w dłoniach. Kopali, jakby chcieli rozetrzeć po twardym betonie jak świeżo wyplutą z gardła flegmę, wszorować na powrót w ziemię niczym glistę. Przypadkowa ofiara. Taką być najgłupiej.

A kto powiedział, że byliśmy święci? No kto?! Może ten sam, co wyszedł z jednego z pokoi klasy B, udając, że nic nie widzi, gdy dwóch krzyżowało złapanego nietoperza. Szpilkami na desce. A potem poszli do wychowawczynie „Mikro”, by ze łzami w oczach powiadomić ją, że Gacek umarł. A może ten sam, co śmiał się tylko, gdy wróciwszy z miasta, zastał na samym środku korytarza Tomka

Langiewicza, leżącego na stoliku od telefonu i spętanego dla kawału sznurkiem do bielizny, łączącym podwinięte nogi, ręce na plecach i szyję, czyli pętlą „na Popiełuszkę”?

Bezsilna złość, która się w nas kumulowała przez tyle czasu, znalazła wreszcie swoje ujście. Jednoczesne złamanie wszystkich zakazów i nakazów, w których okowach żyliśmy. Wpisywania do tych ich zeszyków tajemniczych, opierdolek za samo istnienie, reprimend, raportów. I oto macie! Golem się zbuntował i niesie światu śmierć. Syn Frankensteina zaciska

dłonie na szyi swojego ojca wynalazcy. Eksperyment wypalił, ale wymknął się spod kontroli. Przepraszamy, prosimy o wybaczenie, kasa zwraca pieniądze za bilety...

- Mordercy! Syna mi zabijają, mordercy! - przeszył nas raptownie wysoki głos.

To jakaś kobiecina w kuchennym fartuchu biegła od strony pobliskich kamienic, wymachując rękami. Zwarte grupki walczących nagle zaczęły się rozpiezchać na boki. Z głębi ulicy dobiegł odgłos syren.

- Mendi! - krzyknął Orlik, dysząc ciężko.

Było to hasło do odwrotu. Ruszyliśmy biegiem w stronę budynku dworca, niektórzy skakali przez płot. Tylko Jagmin zapamiętałe wywijał kijem, ale już nie w powietrzu. Startł się bowiem z całkiem roslým autochtonem, który nacierał na niego z długą sztachetą wyrwaną z ławki.

- Walcz, świnió! - krzyczał nasz Kmicic.

Brodzący juchą, ale mimo to biegnący sprintem Maczek, niewiele myśląc, wymierzył temu ze sztachetą solidnego kopa w brudną dupę. Nagłe, wsparte impetem uderzenie rzuciło autochtona o ziemię, zaś wypuszczona z rąk sztacheta sama zdzieliła go po łbie.

- Dzięki - zawołał Bodek, gdy już biegli ramię w ramię.

Tymczasem na ulicę wpadły dwa radiowozy na sygnale. Z polonezów wyskoczyło kilku milicjantów z pałami. Ciężko dźwigający się z ziemi niedawni dręczyciele Strzemka, bełkocząc coś niewyraźnie, wskazywali rękami płot i drzwi odrapanego budynku dworca zachodniego, w których zniknęli ostatni uczestnicy krucjaty.

Wbiegliśmy całą hałastrą na peron. Nie było jednak czasu bawić się w schodzenie do śmierdzącego wiecznie uryną i zbutwiałymi liśćmi tunelu - ruszyliśmy wprost przed siebie, szeroką tyralierą, przez tory. W sumie cztery. Gdyby w tym momencie przejeżdżał pospieszny z Gdyni, Warszawy czy Wrocławia, bylibyśmy poszatkwani jak główki kapusty na chwilę przed włożeniem do beczek i udeptaniem przez brudne bosa stopy wiejskiej

gospodyni i jej grubych córek.

Po chwili znaleźliśmy się po drugiej stronie. Mała przepustowość wąskiej furtki trochę opóźniła nasz odwrót, ale też pozwoliła na złapanie oddechu. Zbiegliśmy ze skarpy, potykając się o korzenie porastających ją drzew. Na ulicy, za którą zaczynały się już jednostki wojskowe, czekały już na nas dwa polonezy na sygnale. Musiały przejechać tunelem albo były to inne, nowe. Nikt z nich jednak nie wychodził, tylko chrobot z milicyjnego radia zakłócał tę ciszę wieczora, ciszę po bitwie.

- Spokój, panowie - powiedział Orlik. - Nie dajemy się sprowokować.

Bodek Jagmin dyskretnie, choć z widocznym żalem, pozbył się swojego drewnianego oręża, odrzucając pałę w pobliskie zarośla. Strzemek smarknął krwią i wytarł nos do czysta. Czarek Maczek swoje „kajdany” wytarł z krwi o wysoką trawę. I spokojnie, jak na spacerku, przeszliśmy sobie przez skwerek i po minucie byliśmy już na ulicy, przy której znajdowało się nasze liceum i internaty. Nie bacząc na przepisy ruchu drogowego, maszerowaliśmy całą szerokością jezdni.

Tymczasem w radiowozach zazgrzytały skrzynie biegów i po chwili oba znalazły się dokładnie za naszymi plecami. Jechały wolniutko, jeden obok drugiego, również wbrew przepisom. Żadnych słów, żadnych niepotrzebnych gestów z żadnej strony. I dopiero teraz powoli zaczęło schodzić z nas napięcie. Ktoś jęknął, oglądając poharatany łokieć, ktoś głośno ssał krew z rozciętego palca, inny rozpaczał nad rozprutą na szwie koszulką.

- Dobrze było, nie? - zapytał mnie Bodek.

- Tak jak miało być. Niech wiedzą, że z nami nie ma żartów.

- A jak się zemszczą?

- Wtedy pójdzie nas trochę więcej.

Co mogło być przerażającą prawdą...

Nie pamiętam już dokładnie, kto zaczął. Śpiewać. Nie pamiętam już melodii, bo chyba nawet nie było jakiejś konkretnej, tylko słowa, które ktoś wymyślił na poczekaniu, a które szybko zamieniły się w krzyk, zbiorowe skandowanie, jakiego coraz częściej słuchały polskie ulice.

- My będziemy oficerami! Będziemy wódkę pić szklankami!

Do szkoły weszliśmy główną bramą, jak w tej innej piosence, popularnej swego czasu na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu: Poszlim, poszlim cicho, a wracamy głośno... Radiowozy zawróciły. Rozeszliśmy się po pokojach. Nikt o nic nie pytał.

\*

Jednak atmosfera wojny nie miała zamiaru przestać gęstnieć. W przeciwieństwie do zup, które podawano nam na obiady. Kilka tygodni później jak gdyby nigdy nic wracałem sobie z popołudniowego wychodnego. Nie spieszyłem się, głowę miałem zajęta swoimi myślami. Byłem już na naszej ulicy, kiedy nagle drogę zastąpiło mi dwóch chłystków. Jak spod ziemi wyrosli, a może raczej z ziemią, bo jeszcze jej niewielkie grudki i kamyczki się staczały ze skarpy, gdy oni stali już na chodniku. Tam stali. Ledwo trzymali się na nogach! Ale uścisk w łapsku mieli dość silny - jeden złapał mnie za ramię. Mordy czerwone, ostrzyżeni krótko, koszulki a la dyskoteka w Kozborowie Dolnym. Gorzelnią czuć było na odległość.

- A ty co, co? - wybełkotał jeden.

Zrobiło mi się jakoś niewyraźnie. Czyżby pobici niedawno autochtoni szukali zemsty? Byłem sam, a ich dwóch. Jak by nie liczył. Dwóch. W dodatku na wspomaganie polskiego żyta.

- Zostaw go - rzucił w pewnym momencie drugi. - To Żyd.

- Aha, Żyd... - potwierdził pierwszy i puścił, jakby z obrzydzeniem, moje ramię.

Czyżbym się przesłyszał? A może nie zauważyłem, kiedy moje myśli przeistaczają się

w słowa? I oni tylko źle zrozumieli, nie dosłyszeli. Szedłem dalej, wolny, ale spodziewając się w każdej chwili ciosu, który spadnie mi na plecy. Jak ten Żyd, ten biedny potomek Mojżesza przez stulecia na poniewierce, której apogeum przypadło na czas ostatniej wojny. Nie tak znów dawno temu.

Tak się jednak nie stało. Nie uszedłem dwudziestu kroków, kiedy ze skarpy, już na wysokości naszego płotu, znów potoczyły się kamienie, kępy trawy i ziemia. Desant tym razem składał się z naszych w sile dziesięciu, może piętnastu chłopca. Z młodszego rocznika.

- Widziałeś dwóch ocelotów? - zapytał mnie kroczący na czele grupki byczek, zwany z racji swych gabarytów i metod „Ojcem”.

- Kogo?

- Obrona cywilna, junacy - tłumaczył niecierpliwie, ale z szacunkiem należnym starszemu koledze.

Dopiero teraz przypomniałem sobie, że w jednostce obok nas, zamiast żołnierzy batalionu inżynieryjno-budowlanego, zwanych popularnie „Bibolami”, stacjonuje od niedawna obrona cywilna. Czyli debile, którzy ze względu na swój stwierdzony ponad wszelką wątpliwość - bo komisyjnie - debilizm, nie nadawali się nawet do odbywania zasadniczej służby wojskowej.

- Jakichś dwóch poszło nad jezioro - powiedziałem po chwili, wskazując kierunek.

Pobiegli ochoczo, pocharkując w rytm kroków. A ja, już nieco spokojniejszy, wróciłem do internatu odrabiać grzecznie zadane lekcje oraz szukać w sobie żydowskich cech.

Dopiero w czasie kolacji, podczas której zaserwowano, dla odmiany, fasolkę po bretońsku, doszły do mnie szczegóły wypadków. Okazało się, że między naszymi chłopakami a ocelotami doszło do jakichś nieporozumień. Pewnie o głupotę, jak zwykle. Jakieś jabłko, jakąś Helenę czy coś innego - różnie to w popieprzonej historii bywało i jeszcze głupiej się kończyło. Po jakimś czasie nikt już nie wiedział dokładnie, co leżało u podstaw tego



konfliktu. Ważny był konflikt. I kolejne zwycięstwo, a do szybkich zwycięstw zaczynaliśmy się już powoli przyzwyczajać.

No to zaczęli się bawić. W policjantów i złodziei, partyzantów i Wehrmacht tudzież zomowców i znudzoną coraz bardziej opozycję. Niektórzy z naprawdę palących powodów, takich jak honor i ojczyzna, inni dla zabicia nudy i żeby sprawdzić, czy aby godziny spędzone na siłowni, zaaplikowane sterydy i hektolitry wylanego potu nie poszły na marne. A prym w opowieściach z placu boju wodził Jagmin.

- Słuchajcie. Wracamy sobie z Tadzikiem z miasta, po kilku piwkach, a tu do nas dwóch wszarzy startuje... - opowiadał, a my słuchaliśmy jak dziadka, co przypomniał sobie bitwę pod Verdun; Tadzik

Piskor zaś, małomówny z natury, tylko przytakiwał. - Jeden z nich pyta, skąd jesteśmy. A my na to: a co cię obchodzi...

- Chuju - odpowiedział jakiś przyczajony stylistą.

- Chuju! - podchwycił Jagmin. - A co cię to obchodzi, chuju? No, to on do nas wtedy z piąchami. Tadeusz z miejsca przyładował mu w nos i gość miękki poleciał w krzaki. W tym momencie ten drugi zaczął spierdzielać. My za nim. Nie można było szczura wypuścić, bo jeszcze by szkód narobił innym. Ale popełnił, debil jeden, błąd, bo zaczął uciekać w stronę działek, taką wąską, piaszczystą alejką. A na jej końcu...

- Jezioro - zgadł inny przyczajony znawca terenu, a może utajniony wędkarz.

- Jezioro, a jak! - triumfował nasz sprawozdawca i uczestnik w jednym. - Koleś się odwraca, patrzy, że nie ma dokąd uciec. A my z Tadzikiem coraz wolniej, już spokojni, że nam nie ucieknie. W tym momencie ocelot wrzeszczy: nie dostaniecie mnie! Nie dostaniecie mnie!

- Wariat jakiś - pokręcił głową Grześ Prądyński.

- Wariat, żebyś wiedział. Wariat - zgodził się Bodek, po czym zrobił dłuższą pauzę,

tak dla lepszego efektu.

- No, mów dalej - ponaglał jego współlokator, Maciek Czuma, który pewnie żałował, że go przy tym nie było. - Co koleś zrobił?

- Skoczył do jeziora - rzekł Bogusław. - Skoczył i zaczął iść po dnie, bo pewnie pływać nie umiał. Piskor chciał rzucić się za nim, ale go powstrzymałem. Mówię: poczekaj, inaczej szczura załatwimy. Ocelot stanął po szyję w wodzie i zaczyna znów swoją śpiewkę: nie dostaniecie mnie. Nie dostaniecie mnie! No, to schyliłem się po połówkę cegły, Tadzik jakiegoś większego kamulca i...

Zapanowała cisza. Grobowa. Ścięło wszystkich, nie ma co. Nie spodziewaliśmy się takiego zakończenia. Właściwie to zakończenia można się było tylko domyślać. Czekaliśmy na wybuch śmiechu Jagmina, połączony z tym jego dobrze znanym: ale was nabrałem! I może byśmy się doczekali, gdyby nie nagły rwetes, który dobiegł z boiska szkolnego.

- Biją naszych!!!

Wybiegliśmy z internatu. Stojąc już na boisku i słuchając ostatnich relacji z placu boju, kątem oka zauważyłem, że ktoś zamyka okno pokoju wychowawców. Od strony jednostki ocelotów nadbiegała właśnie spora grupka chłopaków z młodszego rocznika.

- Rozejm, rozejm - ogłaszał wszem i wobec jeden z byczków, rozcierając przy tym ramię.

- Dlaczego? - zapytał któryś z naszych.

- Jednego z tych debili wyciągnęli z jeziora i odwieźli do szpitala...

Popatrzyliśmy na Jagmina i Piskora. Na ich twarzach już dawno nie było wyrazu triumfu, który zwykle maluje się na czerwonych od wódki obliczach myśliwych w dzień świętego Huberta. Raczej zdziwienie. Młody tymczasem ciągnął dalej swą opowieść, z emocji aż połykając zgłoski:

- Spotkaliśmy się za stołówką, było mniej więcej dwóch naszych na jednego debila.

- I co? Załatwiliście w końcu sprawę?! - niecierpliwił się „Milimetr”.

- Nie - bąknął byczek i zwiesił smętnie głowę.

- Czemu?

- Mieli argument przetargowy.

- Jaki?

- Siekierę.

Rozeszliśmy się po pokojach. I znów nikt o nic nie pytał. A następnego dnia Bodek Jagmin ponoć wskoczył do jeziora w tym samym miejscu, gdzie z Tadzikiem Piskorem kamieniowali ocelota. W ubraniu, tak jak stał. Nie był całkiem nietrzeźwy. Nie umiał też pływać. Tadeusz wyciągnął go z wody w ostatniej chwili...

\*

Spoza wysokich, soczystych traw, wyrastających tu i ówdzie krzaczków ostu i samosiejek zbóż nie było widać świata. Jeżeli już, to tylko korony drzew pobliskiego lasu, delikatnie kołysane przez wiatr, dzięki czemu żeglarze wiedzieli, czy dziś będą mogli popływać, czy od razu wyznaczyć kurs na najbliższą tawernę. Poprzez świeże źdźbła trawy prześwitywała czasami koszulka leżącego obok kolegi bądź jego naga skóra. Jeżeli niebo było błękitne albo gdy powoli żeglowały po nim białe, pierzaste obłoki, nie trzeba było niczego więcej.

Mieliśmy swoją ulubioną łączkę. Chyba każdy ją miał w czasach licealnych. Każda szkoła czy klasa, nawet pojedynczy uczniowie. Z reguły znajdowała się ona, łączka znaczy, w niedalekim sąsiedztwie budynków szkolnych. Każda ze szkół średnich, które w tym czasie istniały w naszym mieście, miała taki skrawek zieleni, gdzie młodzi ludzie mogli złapać oddech (albo wręcz przeciwnie - zdławić go w sobie, skrócić, spłycić przy pomocy

głębokiego sztachnięcia się mocnym lub popularesem).

Jedno z liceów, to najstarsze w mieście, miało zatem sympatyczny skwerek w środku miasta i jakieś ogrody na tyłach szkoły, inne duży park wraz z miejskim stadionem, a jeszcze inne... cmentarz. My mieliśmy swoją łączkę, a także las i jezioro. Wszystko jak na sielankowym obrazku, wiszącym w jednej z sal klubu garnizonowego albo żołnierskiej kantyny. Obok, za płotem z drutu kolczastego z tabliczkami ZAKAZ FOTOGRAFOWANIA znajdowały się jakieś tajemnicze, kryte darnią i najeżone przypominającymi wielkie dzidy odgromnikami magazyny wojskowe. Po drugiej stronie zaś pracownicze działki z prowizorycznymi drewnianymi altankami.

- Panowie, dzisiaj łączka - mówił na początku zajęć wychowania fizycznego profesor Duży i już wiedzieliśmy, że wiosna nadeszła.

Był wysoki ten nasz pan od fikołków, nawet bardzo. Mieliśmy kiedyś ubaw po pachy, jak stanęli obok siebie, ramię w ramię: on i nasz kapitan Karzyński. No i dystans miał, jak chyba żaden z belfrów, do nas i całego trzęsącego się otoczenia. Potrafił z kamienną twarzą podać temat lekcji „Zabawy na śniegu i ze śniegiem”, a potem przyglądać się, jak naparzamy się śnieżkami czy lepimy bałwana, któremu ktoś od razu robi naramienniki z czterema gwiazdkami.

Na łączce jednak nie zawsze było tak słodko, bo zazwyczaj plenerowe zajęcia wychowania fizycznego nie polegały na tym, że swobodnie sobie biegaliśmy po tych łąkach zielonych i w najlepsze kopaliśmy gałę. Nie. Zazwyczaj po krótkiej rozgrzewce czekało nas kilka okrążeń jeziora. I nie była to jakaś kałuża, glinianka czy chuj wie co: jeziorzysko, mimo że jedno z najmniejszych w obrębie miasta, nie bez powodu nosiło nazwę Długie. Wokół niego wiodła malownicza ścieżka, pełna zakrętasów, wznosząca się i opadająca. W sam raz dla parki zakochanych, żeby móc co chwila zniknąć z oczu świata, wymieniać pocałunki za drzewami czy nawet pozwalać sobie na małe ręczne roboty.

Tak. Może kiedyś, może po południu. Bo póki co my musieliśmy po tej ścieżce, w dodatku żylastej korzeniami drzew niczym ręka emerytowanego górnika z przodka, biegać na czas. Szmaciane trampunie w ogóle nie chroniły przed skręcieniami kończyn. Gałęzie drzew smagały po twarzy. Roje upierdliwych muszek czy komarów, gdy zbliżało się lato, wlatywały

do ust, gardła i oczu. Czasami spotykało się podczas takiego biegu ładne dziewczęta i wynik na trzymanym przez profesora Dużego stoperze schodził wtedy na plan dalszy, choć też tylko na chwilę.

Dobrze się za to wypoczywało po takim biegu, leżąc na bujnej trawie i trzymając w zębach świeże źdźbło, choć zazwyczaj tylko w towarzystwie spoconych kolegów z klasy. Rzadko kiedy jakaś gładka skórka skwierczała w promieniach słońca na tej naszej łączce. Gdzieś tam, po drugiej stronie jeziora, rzęziło, mruzczało, kaszłało miasto ze swoim tysiącem niecierpiących zwłoki spraw, trąbiącymi samochodami, hukiem fabryk, hałasem wyładowanych ludźmi autobusów, wiecznym pośpiechem nie wiadomo po co, na co i jak długo jeszcze. Czym była w porównaniu z tym cisza jednostki wojskowej? Ciszą po prostu, ciszą nad cisze ze swoją łuszczącą się bezgłośnie farbą koloru żółtego, którą malowano wszystko, od klopa po komendanturę, z rdzewiejącym cicho, cichuteńko sprzętem zmechanizowanym, który miał dojechać nad Atlantyk, wreszcie z wojskiem głuchym na wszystko, chwilę po wyjściu kadry do domów, bo już piętnasta.

- Ciekawe, co teraz robi moja Mariolka - zastanawiał się Tomek Langiewicz, leżąc na plecach, z rękami splecionymi za głową i mrużąc oczy od słońca.

- Pewnie poszła do Tolka - zaśmiał się któryś z dyżurnych złośliwców, na których można było liczyć zawsze i wszędzie.

- To jedyna Tolka przewaga - rzekł Langiewicz bez złości, ciągnąc źdźbło trawy, które po chwili ustąpiło z charakterystycznym pierdnięciem. - Że może być praktycznie na każde zawołanie. Nie tak jak my...

Ale do lasu i nad nasze jezioro chodziliśmy także w innych celach, można by powiedzieć - naukowych. Dokładnie chodziło o badania biologiczne. I to bez jakichkolwiek podtekstów, choć ten i ów od razu próbował sądzić rzecz swoją miarą.

- Chłopcy, dziś będzie lekcja w plenerze - poinformowała nas któregoś pogodnego dnia pani profesor od biologii, klaszcząc przy tym w dłonie z uciechy jak przedszkolanka, na co klaskaliśmy w dłonie i my.

Po czym przemieściliśmy się szybko nad nasze jezioro, nad brzegiem którego niebawem rozpoczęła się lekcja biologii.

- Tematem dzisiejszych zajęć będą organizmy wodne - zaczęła pani profesor, po czym przy pomocy jakiegoś prymusa zanurzyła w wodzie specjalną siatkę podobną do siatki na motyle, ale z dużo mniejszymi oczkami.

Nie uszło naszej uwadze, że biologica była tego dnia ubrana bardzo ładnie. I nie za grubo, wszak zbliżało się już lato, czas połowów robaczków do badań. Spódniczka ledwo za kolano, zapinana na guziczki bluzeczka. Pani profesor szybko wyjęła siatkę, ukucnęła i pochyliła się nad wodą, w której pływały jakieś śmieci.

- Patrzcie, to jest właśnie *Ranatra linearis* - powiedziała, wskazując coś palcem.

Nie pamiętam, żebyśmy nad jakimkolwiek innym tematem zajęć pochyłali się z równym zapałem i zainteresowaniem.

Do lasu i nad brzeg jeziora chadzaliśmy też czasem w godzinach zajęć z naszym historykiem, panem profesorem Adamem. Nosił on „wałdochy”, sprane dzinsy i sweter, był niewiele starszy od nas i równy był z niego gość, bo nie dość, że opowiadać umiał ciekawie, to jeszcze można było przy nim bezkarnie palić.

Słońko przygrzewało coraz bardziej, nie przykładając, jak to na chwilę przed bitwą pod Grunwaldem, dzięki czemu łatwiej mogliśmy pojąć, że stojący w szczerym polu i zakuci w żelazne zbroje Krzyżacy, chciał nie chciał, musieli dostać wtedy od nas i Litwinów ciężki i bezapelacyjny wpierdol. Pan Adam opowiadał nam też o innych bitwach, o zakrętach historii, która zresztą na naszych oczach też właśnie ostro i z piskiem zakręcała.

Również to on, jak na historyka przystało, pokazał nam pewien dokument, który ci z nas, co nie mieli starszego rodzeństwa, mogli zobaczyć po raz pierwszy. Tym dokumentem była niewielka zielona książeczka, czyli dowód osobisty. To jeszcze nie robiło wielkiego wrażenia, wszak właśnie byliśmy świeżo po lub w przededniu otrzymania takiego glejtu. Chodziło o pewną pieczętkę.

- Tak się, chłopcy, traci wolność - zaśmiał się profesor, pokazując nam jedną ze stron, na której nikt nie wpisał adnotacji o utracie praw publicznych, cośmy z przerażeniem spekulowali, ale imię i nazwisko świeżo poślubionej żony...

\*

Czas mijał. Niepostrzeżenie i nieubłaganie. Raz wolniej, raz szybciej, ale sumiennie, niezmiennie, zawsze do przodu. Skończyła się jesień i nadeszła zima - pora szalików, rękawiczek, ciepłych kurtek, czapek i kalesonów ogólnowojskowych, których już nie wstydziliśmy się nosić. Czas bitew na śnieżki i porannego odśnieżania ścieżek, których jakoś nikt nie chciał za nas odśnieżyć. Armia konsekwentnie pozbywała się junaków obrony cywilnej, którzy woleli zbierać po nas śmieci, niż dymać po poligonie (niby ze względu na przekonania). W pewnym momencie trzeba było nawet zająć miejsce recepcjonistek, przynajmniej za dnia. Przyszedł czas kucia lodu, obcojęzycznych słówek, symboli chemicznych i setki innych bzdur, co do nauki których buntowaliśmy się raz bardziej, raz mniej.

Któregoś dnia wicedyrektor Pawelec zabrał głos na porannym apelu. Nic nadzwyczajnego. Przyzwyczajaliśmy się do gościa, a i on pewnie też do nas.

- Co dziś donosi Radio Moskwa? - prychnął Krzysiek Zajączek.

Zachichotaliśmy i my z tej aluzji do czapki oficera: futrzanej papacy, która tylko orzełkiem różniła się od tych, jakie na głowach mieli oficjele stojący na trybunie honorowej podczas obchodów kolejnej rocznicy rewolucji październikowej.

Pawelec postąpił krok naprzód i wyjął zza pleców... naszą czapkę. Czarną, zimową, z daszkiem. Przypominającą nieco zimowe nakrycie głowy bojówkarzy SA, cośmy zauważyli już pierwszego dnia, a może i chłopców z Hitlerjugend.

- Tę czapkę znalazłem utyłaną w błocie i śniegu - cedził oficer, prezentując ją nam niczym odciętą głowę zdrajcy. - Czapkę zrobioną rękami polskiego robotnika...

- Nie trzeba było tak zacząć od razu? - westchnął głośno Langiewicz.

- Polskiego robotnika! - powtórzył jeszcze raz, by dramatycznie zawiesić głos. - A być może matki Polki!

Kutrzeba aż się zakrztusił. Musieliśmy go walić po plecach, ale przemawiający oficer nie zauważył żadnych ruchów w podległych mu szeregach. Chyba bardziej był zajęty swoją przemową, a co jak co, ale braku elokwencji nie można było mu zarzucić. Lubił facet przemawiać, szczególnie gdy ktoś, najlepiej duża grupa, stał i słuchał.

Kilka miesięcy wcześniej na przykład napatoczył się w weekend. Jakby nigdy nic, Grzesiek Prądyński siedział sobie na parapecie w otwartym oknie kibelka i palił papierosa, wsłuchując się w śpiew ptaszków. I mimo że mieszkaliśmy na drugim piętrze, idący do biura Pawelec go zauważył. Momentalnie kazał wszystkim, śpiącym - nie śpiącym, zebrać się na placu. Gdy to zrobiliśmy, polecił wystąpić Grzesiowi. Gdy ten wystąpił ze zwieszoną głową, dyrektor tylko zapytał:

- Kiedy rzucasz palenie?

- Dzisiaj - odpowiedział Prądyński.

- Dziękuję. Rozejść się - wydał polecenie Pawelec.

Dziś jednak spraw było o wiele więcej do przegadania.

- Teraz chciałbym zająć stanowisko w temacie pluskiew - rzekł Pawelec.

Rzeczywiście. Zalęgło się toto u co niektórych z nas, najprawdziwsze - nie żadne amerykańskie przyrządy podsłuchowe. Były nawet przypadki pogryzień. No, to major zajął oficjalne stanowisko: będzie odpluskwianie.

- Następna sprawa. Kilku z naszych chłopców w ubiegłą sobotę wzięło udział w międzyszkolnych zawodach w piłce ręcznej.

Tak w istocie było. Kilku z nas, między innymi Jagmin, Czuma, Kutrzeba i Grot, co



mniej więcej wiedziało, z czym to się je, stworzyło na poczekaniu drużynę i „wczesnym rankiem, skoro świt” ruszyło na zawody. Jak można było się spodziewać, dostali ostre baty.

Całe szczęście, że Pawelec docenił ich trud, obite kości i siniaki, więc teraz pewnie każe wystąpić i podziękuje przy całej szkole.

- Ci uczniowie przynieśli... ujmę naszej szkole.

Zatkało nas. No, normalnie słowa, kurwa, nikt nie mógł wykrztusić! Oficer tymczasem niezmordowanie ciągnął dalej.

- Doszły do mnie również słuchy, że chcecie zorganizować dyskotekę - powiedział major Pawelec, mrużąc szczywanie oczka, a ja zauważyłem, że kilku z nas... stoi już z zamkniętymi oczami. - Proszę napisać plan takiej zabawy, gdzie zostaną wyszczególnione wszystkie jej elementy, punkt po punkcie. W godzinach, minutach, sekundach.

- Ja już wiem, w jaki sposób Pawelec dorobił się dwóch córek - zarechotał Sosabowski, kiedyśmy maszerowali do szkoły; dochodziła bowiem ósma rano, choć niektórym z pewnością się zdawało, że już co najmniej południe.

- No? - zainteresowałem się.

- Napisał sobie konspekt. Dwudziesta druga: ściągnięcie spodni, dwudziesta druga zero jeden: erekcja, dwudziesta druga zero dwa: stosunek właściwy, dwudziesta druga zero trzy: wytrysk.

- Przynajmniej ma chłop pewność, że nie będzie miał przedwczesnego - skomentował Tomek

Langiewicz. - To przecież tak samo źle, jak się spóźnić, co nie?

\*

Tego samego dnia Bodek Jagmin włóczył się bez celu po mieście. Lita skała szarości,

nigdzie zaczepić oka. To samo, choć nieco jaśniej, nad głową. Śladu słońca. Tę szarość szczególnie dobrze widać tutaj, za płotem, wśród ludzi - tak samo nijakich. Kolejki przed sklepami, gdzie nie było można dostać naprawdę niczego. Skądś tam, z daleka, dochodziły co prawda wieści, że się ma ruszyć, że wreszcie, doczekaliśmy i jeszcze Polska nie zginęła. Ale wciąż, mimo skrywanej euforii, brzmiało to jak opowieści zza siedmiu mórz. Czysta fantastyka.

Ulicą przechodził patrol milicji. Dwóch, najwyżej kilka lat starszych. Chłopak wsadził ręce głęboko w kieszenie mundurowej kurtki. Zmierzyli go znudzonym wzrokiem. Za chwilę znikną za załosem jednej ze staromiejskich uliczek. I znów nic się nie wydarzy.

- W jakiej cenie te róże? - zapytał, przystając koło stoiska z kwiatami, umiejscowionego pod arkadami kamieniczek, tuż obok wejścia do delikatesów.

Stara, otyła i wąsata kwiaciarka, ze szklami okularów przypominającymi denka od butelek, wymieniła jakąś kwotę. Ale już jej nie słuchał. Oddalił się, na nowo zatapiając się w swoich myślach. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie kupić jednego kwiatka i nie iść do dziewczyny. Nie widzieli się od kilku dni. Spojrzał na zegarek, oceniając swoje szanse. Nie zdąży, choćby nie wiadomo co. Rzucić wszystko, niech sobie robią z nim, co chcą.

- Nie dzisiaj - powiedział sam do siebie.

I była to, niestety, bolesna prawda. Nie mógł pozwolić sobie teraz na jakiegokolwiek wyskoki. Nie mógł, a nawet nie chciał robić tego matce. Kilka tygodni temu Bodek Jagmin pochował bowiem ojca. Rozległy zawał serca, żadnych szans ratunku. A on jakby coś przeczuwał, bo dzień przed śmiercią ojca wziął gitarę od „Milimetra” i poszedł do jednego z klasowych grajków, prosząc, by ten nauczył go „Marsza żałobnego” Chopina! No to sobie zagrał. I wykrakał.

Na pogrzeb szkoła wysłała razem z nim kilku chłopaków. Zrzucił się resort na bilety. W mundurach galowych jechać kazali. Tylko co to mogło zmienić. Nic. A jeszcze się na cmentarzu ludzie ze wsi dziwnie patrzyli. Szkoda gadać...

- Za czym stoi ta kolejka? - zapytał okutaną w chusty kobiecinę, stojącą na końcu

gigantycznego świńskiego ogonka.

Baba coś mamrotała, ale i jej nie słuchał. Szedł dalej, opadając w dół uliczką Starego Miasta. Głowa zaczynała go już boleć od tego myślenia. Coś w nim pękło. Na pewno. Już nigdy nie będzie się śmiać, żartować. I już nigdy nie skrzywdzi bliźniego. Zresztą, czy zdąży to zrobić, a raczej nie uczynić? To chyba nawet trudniejsze. Życie jest przecież tak krótkie i kruche.

Wtem z jednej z bocznych uliczek dobiegły jakieś krzyki. Miarowe, mocne, z kilkunasu, może nawet kilkudziesięciu gardeł.

- Enzetes! Enzetes! Enzetes!

Ciarki przeszły mu po plecach. Kilkoro przechodniów zatrzymało się tak jak on i nasłuchiwało z uwagą. Okrzyki zbliżały się. Bodek, niepomny historii, które od prawie dziesięciu lat miały miejsce w większych miastach Polski, ruszył przed siebie, w stronę źródła zbiorowego krzyku. Zarzewia protestu. Szedł, nawet podbiegał co chwila, aby szybciej być w środku wydarzeń.

- Enzetes! Enzetes! Enzetes!

Szli zwartą kolumną, kilkaset osób. Chłopcy i dziewczęta. W oczy rzucały się barwne szaliki, zielone, przypominające wojskowe kurtki, tu i ówdzie bieleły się studenckie czapki rogatywki z kolorowymi otokami. Nad tym barwnym, a jednocześnie emanującym wstrzymywanym zbyt długo gniewem tłumem studentów łopotały biało-czerwone flagi i transparenty, z których razem z ludźmi krzyczały hasła wymalowane czerwoną i czarną farbą. Krzyczeli to samo, jakby korzystali z gigantycznych rozmiarów ściąg:

- Uwolnić politycznych!

- Nie ma wolności bez Solidarności!

- Zima wasza, wiosna nasza!

Bodek stał wsparty o mokry mur staromiejskiej kamieniczki. Coś chwyciło go za gardło, zaszczypało w oczy. Oddychał ciężko.

- Ruszyli się. Wreszcie się ruszyli - powiedział jakiś stojący obok emeryt i zaklaskał w dłonie.

Nagle nadeszło chłodne otrzeźwienie. Jagmin oderwał się od muru, jednym susem wskoczył na stojący obok kosz na śmieci i spojrzał w bok, w perspektywę ulicy. Spodziewał się tam ujrzeć kordon milicji i samochody opancerzone, względnie takie z armatkami wodnymi na dachach. Nikt jednak nie czekał na demonstrantów, żadna z licznych niespodzianek, w których specjalizowały się władze republiki. Ani u wylotu ulicy, ani nigdzie indziej nie było milicji. Choćby jednego mundurowego! Nawet mijany przed paroma chwilami patrol młokosów w niebieskich mundurach gdzieś się ulotnił. Czyżby więc to już miało być to? Właśnie to? Czyżby nie chcieli nadstawić karku, bo posiadali jakąś wiedzę, rozkazy nieznane postronnym, cywilom?

- U-wol-nić Ha-ve-la - stojący obok Jagmina staruszek sylabizował głośno napis na jednym z niesionych przez młodzież transparentów. - Kto to jest ta Havela?

- To ich przywódca - wyjaśniła jakaś babina z zatroskaną miną.

- Biedna kobieta - jęknął dziadek.

Po czym oboje rozejrzeli się wokół siebie, czy nikt podejrzany czasem nie nasłuchuje. Nikt jednak nie nasłuchiwał. Nikt nie pałował, nie robił zdjęć z ukrycia, nie celował w tłum powalającym strumieniem z armatki wodnej, nie rzucał granatami gazowymi, nie bił dla postrachu szturmowymi łagami w plastikowe tarcze z napisem MILICJA. Mimo to Bodek Jagmin wyraźnie czuł wypełniającą go adrenalinę. Już rozsadzała mu żyły w rękach, bulgotała tętniczą krwią gdzieś poniżej uszu, aż musiał zluzować uciskający krtań kołnierzyk koszuli. Dłonie same zaciskały się w pięści; musiał je mocno wsunąć do kieszeni, by nie wystrzeliły w górę. Euforia rozsadzała mu piersi, tak samo jak jeszcze kilka tygodni temu śmiertelna niemożność rozsadziła ojcowskie serce.

Że też nie mógł tego doczekać...- pomyślał i wstrząsnął nim spazm żalu. Nie zapłakał

jednak. Nie dziś i długo jeszcze nie! Za to chciał krzyczeć, głośno krzyczeć. Z tym że za bardzo nie wiedział co.

- Enzetes! Enzetes! Enzetes!

Nawet nie zauważył, kiedy szedł w pochodzie...

Po kilkudziesięciu minutach, kiedy Bogdan Jagmin przekraczał próg internatu i mijął kilku chłopaków z młodszego rocznika, ci krzyknęli za nim, z podziwem dla niegdysiejszych wyczynów:

- Cześć, Kmicic! Jak się masz?!

On odwrócił się powoli, pociągnął nosem, pomachał im ręką i sprostował niezbyt głośno:

- Ja nie Kmicic. Ja Babinicz...

\*

W marcu, w pierwszy dzień wiosny, zagraliśmy koncert w hali sportowo-widowiskowej. Był to dzień wagarowicza, który, w odróżnieniu od Dnia Młodzieży, obchodzili wszyscy. Bo z tym Dniem Młodzieży to była dziwna sprawa. Odbył się, gdy byliśmy jeszcze w pierwszej klasie, w październiku. Poprzebierani wyszliśmy do miasta. A za nami kilku ubeków. Paru nadgorliwców niosło nawet transparent: NIE MA TO JAK W WOJSKU. NIE MA TO JAK W ARMII. WOJSKO CIĘ UBIERZE. ARMIA CIĘ WYKARMI. Potem pokrzyczeliśmy trochę i wróciliśmy do internatu.

Wszyscy patrzyli na nas jak na idiotów, a nikt jakoś nie potrafił nam przybliżyć genezy tego Dnia Młodzieży.

Co innego teraz, po kilku latach, gdy „wiatr odnowy wiał”, choć Frasyński ciągle siedział. Po raz pierwszy chyba wszystkie licea, zamiast włączyć się po mieście, pić piwo i wszczynać zadymy, spotkały się w jednym miejscu, gdzie zorganizowano nam zabawy

sportowe i jakiś dźwięk. Co do tego ostatniego, mieliśmy mały kłopot. Skrzyknęliśmy się w wieczór wcześniej i ćwiczyliśmy do upadłego dwie piosenki zespołu T. Love: „Szarzyznę” i „Czwarte liceum”. Ja miałem zadanie zaśpiewać.

- Kiepsko to widzę - stwierdził pan profesor „Wiewióra”, którego wyznaczono do pilnowania naszego zespołu.

Ale się udało. Po kilkudziesięciu minutach nudy zięjącej ze sceny, nieśmiesznych kabaretów i źle nagłośnionych zespołów grających muzykę elektroniczną, na „półkę” wskoczyliśmy my. Nikomu jeszcze nieznaną czwórka z nad jeziora.

I zaczęliśmy grać. Już po pierwszych akordach ogłuszył nas wrzask tłumu. Potem przed nami zafalowało, tłuszcza tak gwałtownie naparła na scenę, że ją przesunęła i nasz perkusista mało nie zleciał z bębnami. Na scenę wpadli jacyś goście z obsługi i kazali nam przerwać. Ale trzeba było być twardym. Dopadłem do mikrofonu i zacząłem:

- Dzień dobry, maleńka! Jak ci na imię? Zgubiłaś się w tym tłumie. Wyciągam do ciebie swoją dłoń, odpowiedź na wszystko się znajdzie...

A pod sceną wprost zaroilo się od maleńkich. Leciały w naszym kierunku kwiaty i drobne monety, a przez wrzask przebijały słowa refrenu, śpiewanego przez tłum:

- Czwarte liceum ogólnokształcące! Wszystko może się zdarzyć! Czwarte liceum ogólnokształcące! Granatowy sen...

Nigdy jeszcze nie czułem w sobie czegoś podobnego. Wypełniającej płuca euforii, łaskotania pod pachami, jakby ktoś złapał mnie tam mocno silnymi rękami i za chwilę miał unieść w górę, bardzo wysoko. I wiedziałem już wtedy dobrze, że nie poczuję tego nigdy więcej, jeśli nie złamię kilku przyrzeczeń i zobowiązań. Nie zawiodę oczekiwań i nadziei, które we mnie pokładano. Nie zgrzeszę.

Jakiś czas później zaczęliśmy omawiać „Dziady” Adama Mickiewicza. Z początku szło dość opornie. Jak to z grubymi księgami, które kazano nam obowiązkowo czytać, a które nie były komiksami. Ile trzeba było mieć w sobie samozaparcia, żeby bez poczucia

obrzydzenia sięgnąć po wolumen. Część z nas, oczywista, nie pohańbiła się lekturą, a skąd. Próbowali starymi sposobami robić mądre miny, włączać się do zbiorowej dyskusji, potakiwać, kiedy trzeba, i nie zgadzać się również, gdy klasowy kujon stanowczo oponował. Stwarzać pozory.

- Trzecia część „Dziadów” to jedno z najważniejszych dzieł Adama Mickiewicza - zaczęła pani profesor od języka polskiego, którą nawet lubiliśmy, bo pozwalała na dyskusje, a te czasami przeradzały się w swobodny dryf, starą szkolną sztuczkę.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do klasy wszedł Grzegorz Prądyński. Minę miał nietęgą, więc od razu wiedzieliśmy, o co mu chodzi.

- O co chodzi? - zapytała nauczycielka. - Czemu się spóźniłeś?

- Byłem w izbie chorych - jęknął Grzesz. - Bardzo źle się czuję, wymiotowałem rano...

Mało co nie parsknęliśmy śmiechem. Jego stary numer. Aż dziw, że profesorowie jeszcze się na to nabierali. W ogóle to sposobów tych naszych mieliśmy coraz mniej, jednak zawsze warto było spróbować. Tylko jeden z nas, Tomek Mierosławski, który wystarczyło, że zrobił sobie prztyczka w nos, a zaczynał krwawić obficie, nadal uchodził niesprawiedliwości. Teraz chyba jednak Prądyńskiemu się nie udało. Mimo to ucieszyliśmy się, gdyż właśnie zyskaliśmy cenną minutę.

- Usiądź - powiedziała polonistka, westchnąwszy głośno.

Zajrzała w dziennik lekcyjny, być może chcąc już złowić któregoś z nas. W tym momencie Jasiński wyjął ssany kciuk z ust i podniósł rękę ku górze, a gdy udzielono mu głosu, stwierdził, że za bardzo nie rozumiemy przeczytanego tekstu. Już kobiecina ręce załamać nad nami głębami miała, gdy przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Czy moglibyśmy przeczytać fragment z podziałem na role? - zapytałem.

Głucha cisza. Tego jeszcze nie grali. Za to polonistka zgodziła się bez problemu. Może też miała czasami dosyć i nie chciało jej się strzępić języka. Miałem czytać rolę Jana.

- Niedobrze - zacząłem. - Dziś na Sybir kibitek dwadzieścia wywieźli... Cisza.

- Żegota! - zawołała nauczycielka. - To znaczy, Tomek...

- Kogo? - prychnął wezwany Langiewicz, jakby go kto wyrwał ze snu, zresztą tak chyba było.

- Naszych? - dokończyła za niego polonistka.

- Studentów ze Żmudzi - dokończyłem kwestię, a dalej poszło już gładko:

Wszystkich, co do jednego. Sam widziałem (...) Małe chłopcy, znędzniące, wszyscy jak rekruci Z ogolonymi głowami; na nogach okuci. Biedne chłopcy! - najmłodszy, dziesięć lat, nieboże, Skarżył się, że łańcuchapodźwignąć nie może (...) Wywiedli Janczewskiego - poznałem, oszpetniał, Szerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał. (...) Wstrząsł nogą łańcuch, na znak, że mu niezbyt ciężył. A wtem zacięto konia - kibitka runęła - On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył, I trzykroć krzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła.” (...) Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, Zapomnij o mnie.

Najmniejszego szmeru, z niepokojem rozejrzałem się po klasie. Słuchali.

- Czytaj dalej - powiedziała cicho nauczycielka. - Teraz kwestię Konrada. Czytałem zatem:

Potem pójdziem, krew wroga wypijem, Ciało jego rozrąbiem toporem, Ręce, nogi gwoździampiżbijem, By nie powstał i nie był upiorem. Z duszą jego do piekła iść musim, Wszyscy razem na duszy usiędziem, Póki z niej nieśmiertelność wydusim, Póki ona czuć będzie, gryźć będziem Tak! zemsta, zemsta, zemsta na wroga, Z Bogiem i choćby mimo Boga!

Skończyłem. Cisza. Nawet mucha nie objąła się jak zwykle rozpaczliwie o szybę, tylko szła po niej cierpliwie. Może pozasypiali? Nie, żaden nie kimał. Słońce wiosenne świeciło mocno, jego promienie kładły się bezgłośnie na naszych ławkach, zeszytach,



nieruchomych dłoniach. Unoszący się w powietrzu kurz, widoczny pod postacią słonecznych wiązek, zdawał się pętać nasze nogi i ręce niczym najcięższe kajdany.

Czy to wtedy pojąłem, co jest moim łańcuchem i kajdanami?

\*

Co potem? Potem znów nadeszła wiosna. Trawka i kwiatki rosły sobie na łączce, jak gdyby nigdy nic, o porządek, domenę armii, cokolwiek niosłaby ona na swoich sztandarach, nie można było się doprosić. A i kurwy dawno przestały chodzić pod naszym płotem.

A potem, któregoś pogodnego popołudnia, kiedy marcowy, ciepły, niosący zgniły zapach jeziora wiatr wymiółł szkołę i internat co do nastroszonej głowy z coraz dłuższymi włosami, ja zbłądziłem. Zbłądziłem na złą ścieżkę, kochani. Wiodła ona, ta ścieżka występku, przez asfaltowe boisko, gdzie już tylko gdzieniegdzie, na obrzeżach, szarzały liszaje brudnego śniegu, wiodła po schodach stołówki, niezmiennie tłustych, jakby do ich mycia używano resztek spalonego w kuchni oleju, wreszcie wiodła wąskim korytarzem między bibliotecznymi regałami.

Czemu akurat moich pięć palców chwyciło za ofoliowaną celem zmniejszenia zużycia okładkę? Czemu nie gdzieś niżej albo bardziej w bok, w lewo lub prawo, gdzie stały lektury szkolne, do których wciąż, mimo przymusu spowodowanego programem nauczania języka ojczystego, nie chciało mi się sięgać? Albo tomiki poezji? (Jeden nawet splodził i ogłosił drukiem jakiś oficer. Musiało mu w istocie coś doskwierać, bo wiersze były o kwiatkach na poligonie. Może jakiś szrapnel trzasnął zbyt blisko? Albo żona nie wytrzymała i poszła w tango...).

Potem odpowiedzi na zasadnicze, dręczące wszystkich pytania zacząłem szukać nie w podręcznikach historii, gdzie omawiano kolejne z wojen, matematyczne, fizyczne czy chemiczne sposoby eliminacji przeciwnika na każdym polu, tym bardziej nie w Regulaminach Służby Wewnętrznej czy Wartowniczej Sił Zbrojnych PRL, ale w ciszy kościołów miasta mojej młodości, gdzie dotąd bywałem rzadko albo wcale. Poza tym, jakby tłumacząc się z powyższego, oczarowany, półprzytomny, oglądałem się za czarnymi kotami, wolałem noc, szczególnie z pełnią Księżycy, od dnia, błądziłem bez jakiegokolwiek celu po

staromiejskich zaułkach, wyobrażając sobie, że to część innego zupełnie miasta i w innym zupełnie czasie. Przede wszystkim jednak zacząłem usilnie poszukiwać jej - swojej Małgorzaty...

- Jesiotr drugiej świeżości - brzmiała moja ocena kolacji, na którą składała się ryba; była zresztą całkiem świeża, puszkowa, a koledzy przy stoliku patrzyli dziwnie.

Można było jednak znaleźć ludzi, tu, za płotem, wtajemniczonych.

- Jednakowoż piękną mamy dziś pogodę - usłyszałem od jakiegoś młodego chwilę po tym, jak potraktowałem ulubionym cytatem całkiem świeżego śledzika.

Rano budzi się milczący, ale zupełnie spokojny i zdrowy. Jego poraniona pamięć przestaje boleć i aż do następnej pełni profesora nie dręczy już nikt: ani beznosy zabójca Gestasa, ani okrutny namiestnik Judei, rycerz Poncjusz Piłat.

Tak oto ciężka lektura, po którą wtenczas sięgnęła moja ręka, zrobiła ze mnie lekkoducha.

## ROK TRZECI

Na ekranie małego telewizora stojącego w rogu sali pubu pokazują jakiś pożar. Nawet całkiem nieźle się hajcuje. Jak na dobrym amerykańskim filmie katastroficznym: biegający dookoła w pozornym nieładzie strażacy, ciężkie wozy bojowe, strumienie wody tryskające z kilku sikawek. Po chwili ekran wypełniają jakieś zakrwawione ciała. Arabowie wygrażający całemu światu automatami Kałasznikowa. Polityk ze zniekształconą specjalnie twarzą, prowadzony w kajdankach - realizatorzy wiadomości, a i szefowie stacji zacierają pewnie ręce z zadowolenia. Coś się dzieje, a jak wiadomo nie od dzisiaj - dobra wiadomość to... zła wiadomość.

- Nie masz żadnej muzycznej stacji? - zapytuje Skrzynecki trochę nazbyt głośno.

- Trochę mi Polsat śnieży - burczy w odpowiedzi Rómmel.

- No tak. Ludzie tutaj nie są zbyt dziani - wzrusza ramionami pan doktor. - Nie to co...

- Cicho! - psyka naraz Piotr. - Możesz zrobić trochę głośniej?

Teraz w okienku pokazują jakiegoś opasłego urzędasza. Oczka małe, spojrzenie władcy, samozadowolenie i przekonanie o własnej nieomyślności. Z głośnika telewizora przez jednostajny szum przebija z trudem tubalny głos:

- Obecność polskich wojsk w Iraku i Afganistanie uważamy za konieczne...

- A potem ich zszywaj w jeden kawałek - oburza się doktor Skrzynecki z charakterystycznym dyszkantem pijaczków, wspomaganym prychnięciem piwnej piany i uderzeniem dłoni o uda, znamionującym dodatkowo zawiedzionego kibica piłki nożnej.

- Przymknij się, felczerze! - śmieje się gospodarz. - Tu o ważnych rzeczach mówią. Chłopcy twojej wolności bronią, a ty chcesz gołe murzyńskie dupy oglądać?!

- Jakiej wolności? - interesuję się; nie wiadomo czemu zaczyna mi nagle bardzo

zależać na poznaniu szczegółów.

Skrzynecki milczy, a ja kręcę głową z niedowierzaniem. Tymczasem jakiś inny typ w garniturze wypełnia sobą ekran telewizora.

- Po raz kolejny chciałbym zdementować, jakoby w Polsce istniały więzienia...

- Jak nie istnieją. Jak nie istnieją! - oburza się znów Skrzynecki, jakby mu kto na powrót włączył zasilanie.

- Przymknij się, felczerze - uspokaja go Rómmel. - Tu o ważnych rzeczach mówią. Samolot się po sąsiedzku rozpaździerzyl, a ty chcesz murzyńskie...

- Jaki samolot? - dopytuję.

- Coś o jakimś samolocie w radiu mówili - wtrąca doktor, z którego jakby ktoś ręką zdjął wszelkie objawy nietrzeźwości. - Dziwna rzecz, bo lotnisko zwykle funkcjonuje latem, kiedy przywożą wycieczki dziadków z Reichu. Ale teraz? Na wszelki wypadek zaczęliśmy krew i łóżka szykować.

- Podobno przetrzymują ich w jednym ośrodku, niedaleko stąd - wtrąca barman.

- Kogo? - pytam.

- No, tych z Al-Kaidy. CIA i te sprawy. Latające więzienia.

- To chyba jakaś fantastyka. Witamin się najadłeś - śmieję się. - Albo dziennikarskie wymysły, żeby sobie podnieść sprzedaż.

- Mów sobie, co chcesz. Ale ludzie w okolicy swoje wiedzą. Tu nawet jedna cała wieś pracuje dla wywiadu - mówi Robert Skrzynecki, popijając piwo ze szklanki. - A ty co o tym wszystkim sądzisz, Piotr? Hej!

Spoglądamy wszyscy na mężczyznę w nieco brudnawej dżinsowej kurtce, który

kiedyś był jednym z nas. Nie! Przecież wciąż nim jest. Siedzimy tu razem, pijemy, śmiejemy się, wspominamy stare, dobre czasy. Ale on nic nie odpowiada. Tylko unosi w górę rękę i dotyka nią zabandażowanej głowy. Wciąż ma oczy przymknięte.

- Źle się czujesz? - niepokoje się doktor, ale Piotr kręci odmownie głową.

Wstaję z miejsca i wychodzę z sali. Trochę kręci mi się w głowie. Postanawiam wyjść na zewnątrz, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Dużo wrażeń jak na jeden dzień i wieczór. I noc, która, jak można się spodziewać, znając tych tam birbantów, nieprędko się zakończy.

- Przymknij się, felczerze - słyszę jeszcze podniesiony głos swojego starego kolegi, właściciela pubu, który na nadmiar gości nigdy jakoś nie narzeka.

Na dworze jest ciemno i chłodno. Tęsknie wyje silnik pekaesu odjeżdżającego z pobliskiego dworca autobusowego, na którego ścianie ktoś napisał kiedyś: WITAJ KURPIU NA MAZURACH! Ciekawe, czy ten napis jeszcze tam jest? Nie, nie pójde tego sprawdzić. Gdzieś niedaleko ujada przykuty łańcuchem do budy pies, niepokojony pewnie przez jakiegoś zapóźnionego przechodnia, którego być może przywiózł tu pociąg. Ostatni pociąg z miasta, w którym była nasza szkoła. Tak blisko, a jednocześnie daleko. Godzina jazdy, może trochę mniej. Kiedyś wydawało nam się to wiecznością, dłużyło się niemiłosiernie. Zwykła godzina, sześćdziesiąt minut. Dziś przemija niemal niezauważenie, odchodzi w niebyt i nigdy już nie wraca. Bezwrotnie stracona, nie do odzyskania. Nawet dla najlepszych informatyków.

I myślę sobie, właściwie będzie lepiej, jak zapytam siebie samego w myślach: dlaczego. Kurwa, że dodam. Dlaczego przestało mnie cieszyć moje własne życie? Po prostu. Bo w pewnym momencie naszego tutaj bytowania tak się zawsze staje. Nie zachwycamy się już zachodem słońca, o wschodzie nawet nie wspominając, bo bardziej się ceni tych kilka godzin snu więcej. Kiedyś wyobrażałem sobie, że odbicie mojej ulicy w uchylonym oknie to zupełnie inny świat. Tajemniczy, piękniejszy o wiele, bo obcy, choć niby dobrze znany. Dziś to tylko odbicie, może w mojej głowie.

Zresztą kto dziś otwiera na oścież okna, kto spędza choćby nawet ciepłe letnie wieczory z poduszką na parapecie? Lepsza telewizja kablowa. Alicja nie jest już ciekawa, co jest po drugiej stronie lustra, bo ma swój ulubiony serial „M jak miłość”. Niepoprawny

marzyciel nie ma czasu ani ochoty wjeżdżać na najwyższe piętro wieżowca, by spojrzeć na świat z góry. Nie wyobraża sobie ukrytych w porannej mgle innych miast ponad znane dobrze ulice i gmachy, w jednym z których ma zresztą nieprzyjemną sprawę urzędową do załatwienia. I nie tylko dlatego coraz rzadziej zdarza mu się przymrużyć oczy, żeby na linii horyzontu zamiast lasu ujrzeć morze...

Robi mi się jeszcze bardziej chłodno, stawiam kołnierz marynarki, wsuwam dłonie w kieszenie spodni, chociaż na niewiele się to zdaje. Wiosna jest tego roku dość kapryśna. Ciepłe, miejscami upalne dni nie oznaczają wcale takich samych nocy. To chyba tak jak na pustyni. A ja nigdy nie byłem na pustyni.

Nagle migocze mi przed oczami. Musiałem za dużo wypić. Opieram się ciężko o mur. Jest zimny i wilgotny. Ale za to stanowi dość stabilne oparcie. Na ziemię coś opada, może fragmenty naruszonego tynku. Albo ślimak, któremu przerwałem żmudną wspinaczkę. Z całkiem bliska dobiegają jakieś stłumione ludzkie głosy, dzwoni szyba i obluzowany haczyk otwieranego okna.

- Cicho. Cichuteńko... - rozlega się wyraźny szept.

Kilka cieni zaczyna wyskakiwać z okna na parterze. Ledwo dosięgają ziemi, przywierają do muru. Posuwają się powoli wzdłuż ściany, aż do rogu budynku. Po chwili pierwszy z nich wygląda ostrożnie zza załomu. Nikt niepożądany nie nadchodzi.

Zbliża się dwudziesta trzecia.

- Nie łapcie paranoi, przecież wszyscy śpią - mówi, już normalnym głosem, jeden z nich.

- Pssst. Zdurniałeś? - denerwuje się inny.

- On ma rację, bierzmy się lepiej do roboty.

- Jesteście do końca przekonani?

- A masz jakiś inny sposób?

- Petycję napiszmy.

- Patrzcie, Wiesiek się zbudził ze snu zimowego.

- A co? Petycja zła rzecz? Przecież jak Pawelcowi wyjaśnimy, że...

- Tak! W godzinach, minutach, sekundach.

- No właśnie.

- Już napisaliśmy.

- Ico?

- Gówno! I to samo, co od prawie dwóch lat.

- Czyli...

- Gówno.

- Czyżbyś jeszcze nie zauważył, że mają nas tu za frajerów, którym można wszystko wcisnąć? Nie pamiętasz, jak zaczęły ludziom ginąć rzeczy w internacie, a oni zorganizowali nam... pogadankę z oficerem Wojskowej Służby Wewnętrznej?

- Rzeczywiście, był jeden taki smutny.

- No właśnie!

- Ja wiem jedno: że jeżeli czegoś sami nie załatwimy, to nikt tego za nas nie załatwi. Dlatego tu jesteśmy i skończymy, co zaczęliśmy.

- Ale przecież jeszcze nie zaczęliśmy. Możemy wrócić...

- Weźcie go, bo zabiję.

- Dobra już, dobra. Łapcie się. Ta pójdzie pierwsza.

- A jak potrzebne będą łopaty?

- Wtedy się będziemy martwić.

Cienie rozpierchają się, znikają między karłowatymi drzewkami. Na dziedzińcu szkolnym i placu apelowym spada lekka mgiełka i blade światło nielicznych sodowych lamp. Czarne bryły budynków dydaktycznych mającą na tle łuny światła pobliskiego miasta. Ale brak odgłosów metropolii - nawet najcichszych. Wyraźnie słychać za to szum drzew w pobliskim lesie.

Stają we trzech wokół pierwszej tablicy, a raczej figury zbudowanej na podstawie trójkąta. Chwytają każdy za jedną część.

- Skąd my łopatę weźmiemy? - jęczy znów któryś, choć jeszcze nie zrobił żadnego ruchu.

Nie był to też sygnał do działania. Dopiero teraz...

- Gotowi? Trzy, cztery...

Już! Napierają od dołu, prostując jednocześnie kolana i plecy. Prostopadłościan okazuje się jednak zaskakująco lekkim. Ośmieleni wagą i łatwością trudnego z początku lub wręcz niemożliwego zadania, podrywają go wyżej, prostując się niemal całkowicie. Po chwili z ziemi wystają tylko trzy grube metalowe rury. Kolebiąc się lekko na boki, ruszają na ukos przez plac apelowy w kierunku budynku dyrekcji szkoły. Kilka kroków za nimi maszeruje już druga grupa z inną tablicą. Wygląda to tak, jakby byli w trakcie przegrupowywania do mającego ruszyć za chwilę ulicami miasta pochodu pierwszomajowego. Pełni dumy z wykonanej własnoręcznie pracy, zmęczeni nieco, ale szczęśliwi, jeszcze ze śladami czerwonej farby na rękach, która równie dobrze mogła być też krwią. A jej mieli nigdy nie szczędzić.



- Uważaj.

- Wyżej podnieś!

- Spoko.

- Już niedaleko.

Za chwilę połączą się z właściwym pochodem, a potem w takt marsza granego przez wojskową orkiestrę ruszą główną, udekorowaną kolorowymi flagami aleją miasta, wzbudzając aplauz, nawet zazdrość i okrzyki podziwu. Ale nie. Tych tablic już nikt nie zobaczy. Nikt ich nie będzie już podziwiać, oklaskiwać ani się nimi oburzać. Nikt już nie będzie analizować hasła UCZYĆ SIĘ, UCZYĆ I JESZCZE RAZ UCZYĆ! LENIN, gdzie, nieco niżej, ktoś czarnym flamastrem nagryzmolił pospiesznie i pewnie również wieczorną porą: LENIĆ SIĘ, LENIĆ I JESZCZE RAZ LENIĆ! UCZNIOWIE.

Nie ma już Lenina ani jego nauk. Odchodzą do śmietnika historii. W innych miastach zwalają z cokołów figury wodza rewolucji i jego najbliższych współpracowników. Te, którym nie daje się rady, oblewane są czerwoną farbą. Euforia każe bić oklaski i krzyczeć z radości, gdy w stolicy ściągają przy pomocy dźwigu rzeźbę Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego i podczas tej operacji figura rozpada się na części. Wrzask i gwizdy. Nikt nie pałuje, nie rychtuje armatek wodnych, można się cieszyć.

Nam nikt nie pozwolił się cieszyć. Do teraz.

Z wyraźną ulgą zrzucają ciężar między ścianą budynku dyrekcji a płotem. Trochę huku przy tym i zamieszania, ale nie przejmują się tym - w każdej chwili gotowi do ucieczki. Najważniejsze jednak jest to, że zadanie zostaje wykonane. Po chwili nadchodzą następni i zwalają obok swój ładunek, po nich jeszcze jedni. Któryś splota z pogardą, inny wyciera sobie buty z ziemi o powierzchnię płyty pilśniowej, niechlujnie zamalowanej białą farbą.

- Sami tego chcieli.

- Nie posłuchali nas, a prosiliśmy grzecznie.

- Zima wasza, wiosna nasza!

Już chcą wracać do internatu, kiedy Zajączek krzywi się nagle i rzece:

- Ale mi się szczać chce.

- A wiesz, że mi też? - powiada „Milimetr”.

Jakoś tak wszystkim się zachciewa. Po krótkiej chwili krople gorącego moczu bębnią na płytach ostatniego marsza...

Wtulam głowę w ramiona. Rozpadało się już nieźle. Wierzchem dłoni ocieram krople z czoła. Z wąskiej prostopadłej uliczki dobiegają jakieś wrzaski. Po chwili rozpoznaję w nich jeden z przebojów ostatnich wakacji. Wrzaski niewiele zresztą różnią się od wykonania piosenki przez sztucznie pompowaną gwiazdkę jednego sezonu.

Wracam do pubu. Telewizor jest nadal włączony, ale bez fonii. Zamiast tego ryczy barowa wieża. Stwierdzam, że mamy jeszcze jednego gościa.

- Zajączek?

- Zgadza się - wstaje i wyciąga do mnie rękę.

Krzysztof Zajączek. Przytył nieco, na nosie ma okulary. Poza tym się nie zmienił.

- Co dobrego? - pytamy jednocześnie.

- Szekspir! - krzyczy on i bezceremonialnie daje mi prztyczka w grdykę.

- Więc co dobrego? - pytam jeszcze raz, tym razem sam.

- W porządku - odpowiada mój imiennik. - Godzinę temu skończyłem służbę.

Zadzwonili po mnie, a ja, jak wiesz, takich okazji nie przepuszczam.

- Świetnie - cieszę się.

- Gdzie się podziewałeś? - pyta z udawaną pretensją Skrzynecki.

- Chodź, mamy mały problem do rozwiązania - woła z kolei Rómmel.

- Jaki?

- Nie możemy go dobudzić - rzecze doktor, wskazując na Piotra. - Badałem go przed chwilą, wszystko w porządku.

Piotr siedzi sztywno na krześle. Ręce położył na podłokietnikach, łydki wzdłuż nóg krzesła. Oczy nadal zamknięte.

Dziwny. Zawsze był nieco z boku, sam ze sobą, zatopiony w swoich myślach. Bodajże jako pierwszy zbudował sobie bunkier. Tak nazwaliśmy przemysłne konstrukcje, które, ku udręce kadry tak oficerskiej, jak i cywilnej, zaczęły w pewnym okresie masowo powstawać w naszych pokojach. Brało się po prostu swoją szafkę, dotąd stojącą pod ścianą, i przy pomocy kolegów stawiało ją na środku pokoju - oczywiście tyłem do drzwi. I tak z pozostałymi. W ten prosty sposób w czteroosobowym pokoju uzyskiwało się cztery mniejsze pomieszczenia - niezbędne przecież dla zdrowego rozwoju młodego człowieka. A przy wejściu do pokoju całowało niemal z płytą październową, no, ewentualnie przyozdobioną plakatem obdarzonej sownice Samantha Fox.

Niestety, oficerowie i wychowawcy nie potrafili zrozumieć naszej potrzeby posiadania tej odrobiny intymności. Może bali się, że coś im może spaść na głowę. Albo nie chciało im się chodzić i zaglądać do każdego z bunkrów z osobna lub podejrzewali, że oddajemy się w zaciszu swojego kącika jakimś nieprzyzwoitym czynnościom. Nigdy nie było bowiem wiadomo, co, jaką część chłopięcego ciała, jedna z drugą, nasze kochane wychowawczynie, nasze matki internatowe zobaczą, wychylając się zza szafki, czyli zapuszczając żurawia.

- A co ty robisz, Henryku? - mogła zapytać zdziwiona pani Donata chwilę po tym, jak

zajrzała do środka.

- Walę konia, pani Donato - poinformowałby ją z największą powagą Henryk, nie przerywając czynności.

Takie scenki nam się marzyły, a może przeciwnie - woleliśmy je sobie tylko wyobrażać. Poza tym nie było między nami żadnego Heńka.

Niestety, ktoś w końcu stracił cierpliwość i nasze bunkry kazali nam zlikwidować. Piotr nie oponował. Zawsze sumiennie wykonywał wszystkie polecenia. Na szczęście jego dziewczyna mieszkała na miejscu i mogli spotykać się niemal codziennie. Ciekawe, czy jeszcze są razem? Jak miała na imię? Chyba Agnieszka. Czy Piotr ma żonę Agnieszkę? Nie wiadomo dlaczego, ale pragnę bardzo o to zapytać, coś przysłania mi obraz. Zaraz potem ktoś wyłącza dźwięk.

Nie zapłacił Rómmel rachunków - przechodzi mi jeszcze przez myśl. Ostatnią.

\*

Z perspektywy czasu lata spędzone w liceum kojarzą mi się z kartką papieru złożoną na pół, a potem na cztery. Bo to cztery lata przecież, choć z drugiej strony byłby chyba mały problem z zapisaniem tych czterech czworokątów w taki sposób, by pokryć je równomiernie. Niektóre lata pamięta się przecież lepiej, inne nieco słabiej. Pierwszy obszar, czyli pierwszą klasę, pokryłby, paradoksalnie, drobny maczek. Początki szkoły i obóz żeglarski po pierwszym roku nauki. Potem już nieco luźniej by było, choć pamięć winna sięgać do tych lat z większą łatwością.

Dlatego obóz po drugim roku nauki, który szumnie zapowiadano w folderach informacyjnych jako obóz przysposobienia wojskowego (jakby pozostały czas w liceum był jakimś jednym wielkim przysposobieniem klasztornym na przykład albo, nie wiem, bibliotecznym; bzdura totalna!), wrył mi się w pamięć już odrobinę słabiej niż ten pierwszy, żeglarski, kiedyśmy spędzali po raz pierwszy ze sobą czas wakacyjny, a nie szkolny, a dodatkowo zdobywali żeglarskie szlify czy próbowali tłumaczyć sobie jeszcze jakoś chamstwo przydzielonych nam jako dowódców oficerów.

O wiele łatwiej już teraz było przekonać naszego kapitana, że nie trzeba się telepać przez całą Polskę pociągiem, jak na przykład Irek Zaruski, który mieszkał pod Szczecinem, tylko po to, żeby potem całą grupą przemieścić się w ten sam sposób z powrotem. Obóz PW, jak go w skrócie nazwaliśmy, a co niektórzy z figlarzy naszych rozszyfrowali z miejsca jako... Pić Więcej, znów zorganizowano bowiem nam na Pojezierzu Drawskim, całkiem niedaleko sławnego poligonu, na którym po kilku latach generalicja polska, przez kogoś podjudzona, podczas sławnego obiadu miała ministrowi obrony narodowej w stopniu admirała powiedzieć coś do rymu. Mianowicie: wała!

Trochę nam się jednak udzielił ten luz i rozpasanie za bardzo, a przekonaliśmy się o tym już podczas pierwszego obozowego apelu, kiedy to głos zabrał komendant obozu, czyli nasz wicedyrektor, Tadeusz Pawelec.

- Wyglądacie jak przebierańcy żywieccy - ocenił z sarkazmem, ogarnawszy jednym spojrzeniem bazyliuszka podległe mu szeregi.

Nie skamienieliśmy jednak. Przynajmniej nie od razu. A nie spodobały mu się bardzo nasze wakacyjne stroje. Jeden bowiem wystąpił w kwiecistej koszuli, w której szął wzbudzał na wcześniejszym wakacyjnym wyjeździe nad morze, inny całkiem dobrze prezentował się w bermudach barwy seledynowej. Większość miała na głowach kolorowe czapki baseballówki, coraz bardziej wtedy modne, tudzież turystyczne kapelusiki, do których wcześniej dumnie przypinała metalowe znaczki z wizerunkami i nazwami zdobytych (ponoć) górskich szczytów. Któryś nawet chciał iść w samych kąpielówkach i honor fladze narodowej oddawać, aleśmy mu to jakoś wyperswadowali i wciągnął na grzbiet koszulkę na ramiączkach wściekloczerwona i jakieś porcięta. To jednak i tak nie zachwyciło Pawelca.

- Wyglądacie jak przebierańcy żywieccy! - powtórzył jeszcze raz, dokładnie cedząc przez tę swoją dziurę między zębami ostatnie dwie sylaby.

- Byłem kiedyś w Żywcu - bąknął Kutrzeba.

- Ja też piłem - zgodził się z nim Bołtuć.

I nic więcej nie mówili, bo cóż było gadać.

- Za dziewięć minut chcę tu widzieć wszystkie plutony ubrane w stroje licujące z powagą ucznia ogólnokształcącego liceum wojskowego - wydał rozkaz Pawelec i kazał się rozejść.

Chodziło, jeżeli ktoś jeszcze nie wiedział, o komplety granatowych dresów. A potem był przemarsz wzdłuż szeregów (generał się znalazł!) i szczegółowy przegląd, z którego wynikało, komu i jakiej części mundurowej garderoby nie chciało się dźwigać w torbie. I co mu za to może grozić. Od razu wiedzieliśmy też, że nie będzie łatwo. Bo o ile w przypadku obozu sprzed roku mieliśmy pływać na łajbach, a potem pokazać, że umiemy to robić, teraz nie wiadomo było, po co, jak i dlaczego nas tu w ogóle wszystkich przywieźli. Zazdrościliśmy tym kilku z nas, którzy zgłosili się, tak jak choćby Bodek Jagmin, by szkolić w żeglarstwie chłopaków z młodszego rocznika.

- Zdechniemy tu z nudy, panowie - krakał Wiesiek Kościuszko.

- Wziął któryś przynajmniej karty? - pytał Andrzej Szylling.

Przynajmniej dowódcy plutonów byli dużo lepsi niż przed rokiem. Starsi nieco, stopniami też, o wiele bardziej kulturalni i nie rzucający mięchem jak pamiętny podporucznik „Pisklak”, „Wódz Ochujały w Piździe” i spółka. Nasz nazywał się Andrzej Owczyński i na co dzień był oficerem od fikołków, czyli wuefistą w jakiejś jednostce. Nie wchodzić sobie bez potrzeby w drogę - ta prawda miała nam przyświecać przez najbliższe trzy tygodnie. Owczyński i koledzy jego chyba też nie za bardzo radzi byli z tej formy wypoczynku, bo dość często się znieczulali.

Któregoś wieczora jeden z poruczników, kapitan prawie, w stanie najwyższego znieczulenia usiłował na przykład zgasić papierosa. A że chciał to zrobić na... ramieniu jednego z chłopaków, który mu się pod rękę akurat nawinał, w dodatku na oczach całego plutonu, wyczekującego na coś, cokolwiek, w karnym dwuszeregu, jakoś mu puściliśmy w niepamięć.

Wbrew czarnym prorocstwom Tomka Langiewicza nie było też indoktrynacji ze strony

majora, co w wydaniu, bądź co bądź, wakacyjnym byłoby już w ogóle nie do zniesienia. Całe dnie spędzaliśmy za to nad jeziorem, na trawiastej plaży. I tak bez końca. Nuda więc rzeczywiście zżarłaby nas bez popitki, gdyby nie nasz stary kapitan. Na szczęście nie wymyślił konkursu czystości, który przed rokiem o mało co nie doprowadził do rezygnacji z kariery wojskowej kilku z nas, mniej odpornych na dźwiganie metalowych cielsk szaf i chamstwo dowódców.

- Ogłaszamy konkurs piosenki marszowej - poinformował nas nasz opiekun roku, gdy mu na którymś z porannych apeli Pawelec głosu łaskawie udzielił.

A to nas zaskoczył, nie powiem. Muzyka była wcale silną naszą stroną. Naszej klasy, czyli na czas wakacyjnego wyjazdu - plutonu. Nikt więc nawet, przynajmniej głośno, nie komentował tego nowego pomysłu kapitana. Spodziewanych pomruków niezadowolenia i stłumionych bluzgów nie zanotowały ani sejsmografy, ani notatniki służbowe agentów GRU, w których istnienie, i to w najbliższym otoczeniu, niektórzy z nas cały czas wierzyli.

- Lepsze to niż nuda - tłumaczył sobie pewnie każdy z nas.

Problem pojawił się jednak, gdy trzeba było dobrać odpowiedni repertuar na ów konkurs, który zresztą szybko awansował do dumnego, ale nieco zobowiązującego miana festiwalu.

- „Rozklekotaną ciężarówkę” umiemy - odpowiedzieliśmy chórem, kiedy „Karakan” zbierał propozycje pieśni na swój konkurs-festiwal.

Z początku zastrzygł uszami, bo pewnie mu się coś tam w mózgowicy kołatało. Tej wesołej piosenki uczyliśmy się przecież na lekcjach muzyki, jeszcze niespełna miesiąc temu. Ale potem czemuś kapitan posmutniał.

- A o czym to jest? - spytał podejrzliwie, węsząc spisek.

- O osadnikach, którzy szli na zachód - wyjaśniłem szybko.

Na to kapitan z zakłopotaniem podrapał się po siwiejącej głowie. Wiedzieliśmy

dobrze, co trapi chłopinę. Żeby ci osadnicy za daleko na ten zachód czasem nie doszli (no, chyba że w czołgu T-83 aż do wybrzeży Portugalii). Albo czemu ta ciężarówka jest właściwie rozklekotana? To przecież godzi wprost w radzieckich konstruktorów i producentów. I jak on się potem z tego Pawelcowi wytłumaczy, no jak?

- Oczywiście pod koniec II wojny światowej - uściślił zaraz Robert Skrzynecki, ale i te zapewnienia nie do końca przekonały naszego opiekuna roku.

W końcu jednak udało się nam go jakoś przekonać, stanęło na naszym i piosenkę, którą nazwaliśmy dla ułatwienia „Śliną”, można było sobie zacząć przypominać. Miał ją wykonać każdy pluton jako repertuar obowiązkowy. A czemu „Ślina”? Od pierwszych słów refrenu:

- Ślina zachód osadnicy, szlakiem Wielkiej Niedźwiedzicy! - roznosiło się odtąd po terenie naszego obozu.

Ale to była tylko połowa sukcesu, bowiem na festiwalu trzeba było jeszcze zaśpiewać drugi utwór. Ktoś od razu zaproponował „Rezerwę”, ale wzięto to za kiepski żart (choć piosenkę znaliśmy i lubiliśmy, szczególnie te najbardziej ostre kawałki). Na „Pierwszą Brygadę” czas jeszcze nie nadszedł, więc też daliśmy sobie spokój z tym pomysłem. Potem ktoś inny przypomniał smętną pieśń z czołówki serialu z dzieciństwa „Czterej pancerni i pies”, ale i jego szybko zakrzyczano, że jest za wolna.

- Zaśpiewamy, jak będziemy Pawelca chować z honorami - zaśmiał się Szylling.

- Jak ta za wolna, no to może „Hajli, hajlo, hajla” byłaby dobra? - wtrącił Maczek, bo od niedawna zaczęli się z Mareszem interesować niemieckimi komandosami z ostatniej wojny; nie chodziło o ideologię, a o umiejętności. - Bo żywsza to na pewno! Bawarska chyba.

Lubiliśmy prowokować, ale nie do tego stopnia.

- A pamiętacie tę piosenkę z filmu „Jak rozpętałem II wojnę światową”? - spytałem wtedy niegłośno.



I trafiłem w dziesiątkę. Wszyscy pamiętali ten trzyczęściowy film o przygodach szeregowego Franka Dolasa, trochę pechowca, trochę ofiary i dekownika, no i ten kawałek o róży czerwonej i białym bzie czy jakoś tak. I tych kuchniach polowych, które się w końcu odnalazły, a to nie bez znaczenia, bo wtrząchnąć coś na ciepło podstawowa rzecz. Trzeba było sobie zatem przypominać po kolei poszczególne wersy, co wcale nie było takie proste.

- Stary karabin, twój brat, jeszcze zadziwi świat... - śpiewaliśmy już po chwili wszyscy.

Spodobało się i naszemu dowódcy, porucznikowi Owczyńskiemu, bo uśmiechał się, stojąc ze splecionymi na piersiach rękoma w drzwiach baraku-świetlicy, czyli tymczasowej sali prób. Po kilku razach piosenka była „naumiana”, jak zwykli mawiać kaprale. Pozostała jedynie kwestia, jak dopasować ją do marszowego kroku kolumny czwórkowej. Równiuszko, jak kompania reprezentacyjna przed panem premierem i pierwszym sekretarzem razem wziętymi. Naszego Mirka Bołtucia osobisty ojciec był zresztą w tejże kompanii w czasach młodości, to potem nam „Milimetr” opowiadał, że chłopaki tam tupali dzień w dzień, tak że po dwóch latach takich wczasów wracali do domu ze zwyrodnieniem stawów.

Nam to jednak nie groziło. Przynajmniej tak się większości wydawało. Poćwiczyć jednak należało, bo akurat ten aspekt armijnego życia nie był dotąd zbyt przesadnie eksploatowany. Nie mieliśmy zresztą nawet odpowiednich butów, które szweje zwali nie bez powodu „kajdanami”, żeby móc właściwie potupać krokiem defiladowym. Poza tym tutaj rosła sobie tylko trawka, tam żwirek, więc pozostało nam tylko w miarę równo przejść i zaśpiewać.

- Pluton naprzód marsz! - huknął porucznik, no to poszliśmy, aż się kurz podniósł.

Niby bułka z zamrożonym masłem, a jednak. Szybko się bowiem okazało, że nie wszyscy mają ku temu odpowiednie predyspozycje. Mirek Unrug, nasz marynarz, bo z Gdyni pochodził, w ogóle nie potrafił maszerować! Po pokładzie rozhuśtanego okrętu to i owszem, z pewnością dałby sobie radę. Urodzony matros. Szeroko trzeba, żeby się nie wypieprzyć i za burtę nie wypaść. Ale na lądzie? Szans żadnych. Nie pomagało głośne skandowanie: lewa, lewa. Ktoś sugerował, żeby mu przywiązać nogę do czyjejś nogi jak w głupiej kolonijnej zabawie albo niczym łupki do złamanej kończyny, ale i ten pomysł szybko zarzuciliśmy.

Dezercja Mirka Unruga na czas festiwalowego przemarszu również nie wchodziła w grę, bo znali już nas wszystkich po dwóch latach aż za dobrze. Nie tylko z imienia, nazwiska i gęby, ale i pewnie z nałogów, których większość już się dorobiła.

- Schowajcie go po prostu w środku kolumny - zaproponował od niechcienia porucznik Owczyński, co prędko i ku wdzięczności samego Unruga uczyniliśmy, dziwiąc się jednocześnie, że wcześniej nikt na to nie wpadł (ot, co znaczyły studia oficerskie).

Tak naprawdę był to chyba główny powód, dla którego większość chłopaków zdecydowała się na taką szkołę, a potem studia i pracę. Parady. Galowe mundury, gwiazdki, wyglancowane buty. Pięknie to wszystko wygląda, gdy ogląda się defiladę w czas jakiejś uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie, z okazji państwowego lub wojskowego święta. Równy stukot podkutych butów, kolumny jak pod sznurek, błysk szabel i bagnatów. Jeden z kilkuset dni dymania pod górę, użerania się z głupotą, tępotą i skurwysyństwem. Uniesienie, chwila, choćby krótka, choćby tylko jedna w całym długim roku spędzonym w leśnym garnizonie na końcu świata.

- Wzgórza przejdziemy, fronty przełamiemy! - śpiewaliśmy z całych sił w dniu konkursu, a co tam każdy myślał sobie, to jego.

Bo nie było wzgórze chyba, na które człowiek by się wtedy nie wdrapał, frontu, którego by nie przeszedł i nie przełamał. W mundurze czy w cywilkach, w buciorach przyciężkich czy boso, z gwiazdkami na pagonach czy tylko w umowach kredytowych z bankiem, ale z tą samą siłą, której na imię było dumnie, a może i trochę naiwnie, może banalnie, a może tylko głupio: młodość.

- Będą znów piękne dziewczyny za wojskiem szły...

- Jak psy - dodawał na każdej próbie swoją dolę Tomek Mierosławski, choć nie myśleliśmy, że zrobi to także podczas prezentacji, narażając kolumnę marszową na rozsypanie ze śmiechu.

- A że w oczy deszcz, to nic! - skończyliśmy jednak zwrotkę i przeszliśmy do refrenu.

- Róża czerwono, biało kwitnie bez. Nikt z nas nie pęka, chociaż krucho jest!

- Koniec śpiewu! - wydał wreszcie komendę prowadzący pluton Bołtuć, kiedyśmy kończyli pierwsze kółeczko wokół placu apelowego, a jury konkursowe w składzie: Pawelec, Karżyński, szefowa kuchni i lekarz kusiło się o pierwsze oceny i komentarze.

A te były pozytywne. „Ślina zachód osadnicy” też poszło całkiem nieźle, właściwie najlepiej ze wszystkich, bo wygraliśmy ten cały festiwal. Byliśmy, jak by nie było, najbardziej buntującą się, ale i najbardziej rozśpiewaną klasą, przez co trzeba było mieć na nas oko, bo piosenki już wiele razy w historii ludzkości kruszyły mury, a te lada dzień, co zapowiadał „Głos Ameryki”, który ktoś z nudów łapał w namiocie na małym tranzystorowym radjku, miały pierdolnąć z hukiem.

Póki co była nagroda. Jakiś koszmarny, kupiony pewnie w sklepie z piłkami, deskami do nauki pływania i pompkami do roweru puchar, w którym potem załoga któregoś pokoju w naszym internacie gotowała grzałką wodę na herbatę. I jeszcze wycieczka autokarowa.

- Dokąd jedziemy? - zapytał w imieniu plutonu Mirek Bołtuć, oczywiście już po oficjalnym ogłoszeniu tej radosnej nowiny.

Na to pomysłodawca konkursu, kapitan Karżyński, zrobił uroczystą, a jednocześnie tajemniczą minę.

- Jedziecie, chłopcy... - zawiesił głos dla lepszego efektu. - Jedziecie... wszyscy...

- Jak to wszyscy?! - tu nastąpiła kolejna, choć już niezamierzona przerwa, a tym, który śmiał ją wywołać, wymóc bezczelnie, był Zajączek.

Że na wycieczkę do Piły, nie miało już znaczenia przy tym, że znów nas w ciula zrobili. Ale pojechaliśmy. Żal było odpuścić sobie cokolwiek, co nie byłoby beczynnym leżeniem plackiem na wypalanej słońcem trawie nad jeziorem, o którego nazwę nawet nikt nie pytał. Świata cokolwiek zobaczyć, ludzi żywych, no a przede wszystkim panienki, których brak, zwłaszcza w scenerii letnich miesięcy, był szczególnie dotkliwy.

Tylko że głównym punktem eskapady miało być zwiedzanie... szkoły oficerskiej. Dokładnie szkoły służb samochodowych, więc tym bardziej na spotkanie jakiejś białogłowy szanse były takie jak na sukces w hodowli bananów na Alasce. Tylko tłoki oglądać, jakbyśmy tego tematu mieli zbyt mało na co dzień. Pojechać jednak chcieli wszyscy, co bardzo pokrzepiło naszych oficjeli, że z zapewnieniem młodego narybku podupadającym szkołom oficerskim, nie tylko tej, na której zwiedzanie się udawaliśmy, nie będzie w przyszłości kłopotu, a może i jaki medal dadzą...

Przegonili nas po szkółce, pokazując wszystko, co się do pokazania nadawało. Dwaj podchorążowie, prymusi pewnie (jakby można było być głąbem w przerzucaniu biegów czy naciskaniu pedału sprzęgła, choć i tacy pewnie bywają), obaj przejęci bardzo, jakby po Luwrze co najmniej wycieczkę oprowadzali czy innym Ermitażu, i to jakichś wyjątkowych, znudzonych turystów. Nie to co Japońce, których interesuje absolutnie wszystko i wszystko uwieczniają na tych swoich malutkich aparatach fotograficznych czy kamerach video. Gdzieś tak w połowie zwiedzania nasz dowódca zniknął. A kiedy się odnalazł, znać było od razu, że literek pękł. Nawet wiadomo było z kim, bo mu machało dwóch podobnych szarżą i posturą i teraz też się kołysali nieźle. Myśleliśmy, że w drodze powrotnej zalegnie grzecznie pan porucznik na tylnych siedzeniach autokaru, ale on ani myślał.

- Nie szumcie wierzby nam... - nucił Owczyński przez nos, balansując pomiędzy rzędami foteli w tę i z powrotem.

W pewnym momencie zawisł na dłuższą chwilę nad oparciem pierwszego fotela, który zajmował drugi z oficerów eskortujących nas podczas wycieczki, dowódca czwartego plutonu.

- Co jest, Andrzej? - zapytał półgębkiem, odwracając z wysiłkiem przekrwione oczy, też bowiem przyjął dawkę promili w gościnnej, nomen omen, Pile.

Owczyński utkwiał mętny wzrok w przedniej szybie autobusu, dość długo wpatrywał się w znikającą pod brzuchem autokaru asfaltową drogę.

- Ty mendo jedna - burknął naraz.

- Co jest, Andrzej? - powtórzył pytanie drugi oficer i nawet trochę się uniósł, choć tylko na autokarowym fotelu.

- Dla wojska jeździsz, a na zachód chcesz spierdalać? - krzyknął niemal, na co poruszyły się pierwsze i kolejne rzędy chłopaków, z zainteresowaniem podnosząc głowy, aby dowiedzieć się, do kogo tak się porucznik nasz, w miarę spokojny na co dzień, przypiął.

Chodziło o kierowcę, który jednak nie za bardzo wiedział, o co może chodzić pijanemu oficerowi. Jedyne, co mógł zrobić, to tylko zezować przez ramię, bo inaczej byśmy wszyscy skończyli w jakimś przydrożnym rowie, a zakrętów na szosach Wału Pomorskiego było dużo.

- Naprawdę ci tu źle, kurwa?! - bluzgał coraz głośniejsze Owczyński, trzymając się kurczowo siedzenia niczym sejmowej mównicy.

- O co panu chodzi? - wykrztusił wreszcie zaatakowany szofer, kiedy autobus wjechał na dłuższy prosty odcinek drogi.

- A o to! - krzyknął, celując wskazującym palcem w miejsce nad przednią szybą autokaru, gdzie zwykle kierowcy PKS przypinali niezliczone ilości proporczyków klubów sportowych lub z herbami miast, przyklejali etykiety po piwach bądź też wycięte z gazet zdjęcia gołych bab.

Tutaj babek nie było, a szkoda. Może by się nasz dowódca uspokoił nieco, przyciął komara i śnił wiadomo o czym. Były proporczyki, jakieś znaczki i naklejki, niektóre już wyblakłe i zatarte. Która z nich podziałała na porucznika jak czerwona płachta na działacza KPN-u?

- KAŻDY KIEROWCA MARZY O WEST?! - wyartykułował wreszcie pijany, celując zakrzywionym palcem jeszcze dokładniej (choć gdyby miał strzelać, nic by z pewnością z tego nie było, bo mu łapa latała jak w delirze...).

Rzeczywiście, nad szybą znajdowała się naklejka właśnie takiej, choć nie do końca jasnej treści. Bo nie była to marka zagranicznych papierosów, co od razu stwierdzili ci, którzy

palili i od czasu do czasu pozwalali sobie na ekstrawagancję, czyli zakupienie paczki w Peweksie czy Baltonie. Mogła to być reklama towarzystwa ubezpieczeniowego, tylko że niekompletna, naderwana, ale tego żaden z nas, mimowolnych obserwatorów rozwijającej się awantury, nie był w stu procentach pewny. Ale Owczyńskiemu to w zupełności wystarczyło, żeby odsądzać kierowcę od czci i wiary, a przede wszystkim miłości do socjalistycznej ojczyzny.

- Jeździsz w armii, a myślisz, żeby spierdolić na zachód - brzmiało oskarżenie.

- Na jaki zachód, do cholery? - bronił się pan szofer, nie odrywając jednak ani na chwilę rąk od kółka.

- Na west, na zachód znaczy - przetłumaczył porucznik Owczyński.

- Do Rajchu - przyszedł mu w sukurs drugi oficer, po czym czknął głośno.

- Albo USA.

Cisza. Tylko silnik pracował miarowo, a za lewymi szybami pojazdu gwizdały mijające nas samochody osobowe ze szczęśliwymi pasażerami w środku.

- Co ty, kurwa, Bonny Tyler jesteś?! - krzyknął znów Owczyński. - Bonny Tyler?

No bo i duży, kolorowy plakat wokalistki, która kiedyś z charakterystyczną chrypką śpiewała o herosach, był przyklejony za kierowcą, na szybie oddzielającej go od pasażerów.

- Uspokój się pan, dobrze! - kierowcę najwyraźniej przestało to bawić, choć z początku w istocie docinki poruczników można było za zabawę, niezbyt inteligentną, ale uznać.

- Ty, on mi mówi, żebym się zamknął - poskarżył się dowódca koledze, po czym po raz pierwszy odwrócił się w naszą stronę. - Ja, polski oficer, mam się zamknąć?

- Nie zamknąć, a uspokoić - uściślił ze spokojem kierowca, by po chwili, nie wiedzieć

czemu, wybuchnąć, aż autokarem zarzuciło: - Bo was stąd, kurwa, powyrzucam!

Przed wojną poszłoby na szable albo pistolety. I to na miejscu. Nikt nie pitoliłby się z umawianiem się w lesie.

Wstrzymaliśmy oddechy, bo awantura, która chyba właśnie osiągała swój punkt kulminacyjny, urozmaicała nam czas podczas podróży. Co teraz zrobi porucznik Owczyński i jego kolega, dowódca czwartego plutonu? Może któryś zapobiegliwie zabrał ze sobą służbowe P-64 i teraz potraktuje nim zdrajcę, robiąc niewielką dziurkę w potylicy?

Ale porucznik Owczyński tylko wzruszył ramionami, zachwiał się, po czym grzecznie, wspierając się rękami o oparcia kolejnych foteli, ruszył na tył pojazdu, gdzie zaległ na siedzeniu, jak powinien zrobić już dawno.

- Na west mu się zachciewa, na west - pomrukiwał tylko pod nosem. - Bonny Tyler pierdolony...

Po przyjeździe na teren obozu poszedł grzecznie spać do swojego namiotu. A rano nic nie pamiętał.

Do końca turnusu nie pojechaliśmy już na żadną wycieczkę.

\*

A któregoś dnia porucznik Owczyński zniknął nam z oczu na dłużej. Myśleliśmy, że odsypia kaca, ale nie było go w namiocie oficerów. Błąkaliśmy się zatem jak dzieci pozostawione bez opieki, na który to widok dziś zapobiegliwi czytelnicy gazet kolorowych od razu wzywają policję. Było dobrze po obiedzie, kiedy nasz dowódca się znalazł. Jakieś zmartwienie wyraźnie go męczyło, bo powarkiwał pod nosem i do żartów nie był skłonny. Nie pamiętam, czy ktoś coś podsłuchał, a może dowiedział się po prostu u źródeł, ale okazało się, że mamy kłopot. To znaczy co prawda nie my, ale nasz wódz, ale tak naprawdę działała tu zasada naczyń połączonych. Półlitrowki i literatki.

- Chodzi o to, że „Owca” poszedł do jakiejś laski w mieście - relacjonował Zajączek.

- A jest żonaty? - zapytał od razu Rómmel.

- Nie wiem, nieważne - niecierpliwił się wtajemniczający.

- Jak nieważne! Ja bym nigdy swojej Mariolki... - zaczął bulgotać Langiewicz, ale mu zagrozili kręceniem wora albo załaskotaniem na śmierć, więc się z miejsca przymknął, bo znał doskonale ten rodzaj tortur.

- Problem w tym, że porucznik pożyczył od niej rower, pewnie po to, żeby szybciej móc wrócić na teren obozu...

- Wzruszyłem się - pokręcił głową Sosabowski.

- Ale właśnie ktoś mu ten rower wziął i podpierdolił - zakończył dramatycznie Zajączek, na co nikt już nic nie odpowiedział, bo akurat nic nie było do powiedzenia, bo na złodzieju czapka gore, bo nie wiem co...

Chcieliśmy mu jakoś pomóc. Jakkolwiek, bo facet był w sumie w porządku. Tylko że nikt nie wiedział jak. A może krył sprawców, którzy za pieniądze uzyskane ze sprzedaży fanta mieli na piwo albo i co mocniejszego. Choć nie sądzę. Porucznik zaś, o czym się szybko dowiedzieliśmy, postanowił uruchomić swoje osobiste, pewne kontakty, a te miał w stacjonującej nieopodal brygadzie pancерnej, do której już kilka razy zaprowadzono nas wiadomym celem zwiedzania, żebyśmy dowiedzieli się, na czym polega stare, popularne powiedzenie „przejebane jak w ruskim czołgu”.

Porucznik Owczyński poprosił więc o pomoc kolegę, a ten błyskawicznie, jakby otrzymał tajne instrukcje z Moskwy (póki co), wydał odpowiednie rozkazy. Sprawa była bowiem bardzo poważna. Kobiety zawieść nie można, a i przyjaciołom się przecież nie odmawia, czego mogliśmy się przy okazji nauczyć. Bo oto specjalna grupa w sile kilkunastu żołnierzy służby zasadniczej, szczęściem nie pod bronią, ale i tak chyba budząca respekt, miała mu ów rower znaleźć.

No i odnaleźli. Aż sześć sztuk. Tylko że żaden nie okazał się tym, który skradziono



porucznikowi Owczyńskiemu...

Czas do końca obozu minął nam spokojnie. Kilku z nas zrobiło sobie małą sesję fotograficzną, do której pozowali ucharakteryzowani na Arnolda Schwarzeneggera w filmie „Komando” bądź na Rambo: bez koszulek, celujący w niewidocznego wroga z kałachów i granatników przeciwpancernych, bo właśnie takie zabawki dał swoim dzieciom kapitan Karzyński.

A zdjęcia, które obejrzelśmy sobie już jesienią, były czarno-białe, kiepskiej jakości. Chłopaki nie celowali na nich do siebie nawzajem, bawiąc się w egzekucję. Choć gdyby wtedy istniały tabloidy, ich redaktorzy spokojnie poradziliby sobie z tą niedoskonałością, rozdmuchując aferę nazwaną „zdjęciami...” lub „taśmami hańby”.

\*

A potem? Potem Polska nam wybuchła. Właściwie to pierdolnęła już wcześniej, bo w czerwcu, ale wtedy większość z nas myślała bardziej o dupach, trochę o końcu roku szkolnego.

„Polska nam wybuchła! Polska nam wybuchła” - tak gadał redaktor Pieniązek w „Popiele i diamencie” Jerzego Andrzejewskiego, którą to powieść kazano nam przeczytać w ramach obowiązującego kanonu lektur. Oczywiście, obejrzelśmy także film Wajdy. Większość zresztą tylko to. Oj, dostało się towarzyszowi Szczuce od nas, dostało. Jeszcze bardziej niż od Maćka Chelmskiego na samym końcu. Zresztą nie tylko temu jednemu towarzyszowi.

- A kiedy przyjdzie na ciebie czas... - nuciłem sobie refren popularnej wówczas piosenki zespołu De Mono.

- A przyjdzie czas na ciebie - dołączali koledzy.

I mimo że piosenka była o miłości, bardzo trafnie, przynajmniej w tym refrenie, komentowała to, co zaczęło się dziać wokół nas. Przyszedł bowiem czas na wielu ludzi w tym kraju, również z naszego najbliższego otoczenia.

Kiedy wróciliśmy z wakacji, pod nogami zaczął plątać się świeży narybek naiwniaków. Słyszało się rozmaite gwary i widziało najróżniejsze typy ludzkie. Czasem nawet któremuś zbierało się na odwagę, bo podchodził do nas, „dziadków”, i pytał nieśmiało, acz śpiewnie:

- Tadzika od Piskorów wy znacie, a?

Młodzież licealna zasiedliła nowiutki, dopiero co oddany na jej potrzeby internat. Przez chwilę mieliśmy pretensje, że to nie my się przenosimy do nowych, zazwyczaj dwuosobowych izb mieszkalnych, do tego z widokiem na jezioro, ale szybko nam przeszło. Okazało się bowiem, że budynek stawiali żołnierze. I co mogli, to wynieśli. Od początku młodzi skarżyli się zatem, że im zimno w nocy. Ktoś z naszych próbował się z nich śmiać, że mamusi pierzynka to już przeszłość. Ale szybko wyszło, że rzeczywiście, szpary w oknach były takie, że palce można było wsadzać. W porównaniu z tym usterki w blokach oddawanych w latach osiemdziesiątych na warszawskim Ursynowie, o których nawet filmy kręcili czy seriale, to nic, pesteczka. Chłopaki kładli się spać w dresach i kurtkach, a budzili się ze szronem na wąsach, jeśli który już miał.

Narzekali też, że nie ma ciepłej wody w kranach. I jeden się na własnej skórze - i to w szczególnym bardzo miejscu - przekonał dlaczego. Siedząc na sedesie, spuścił, nieszczęsny, wodę. I dupę sobie poparzył, bo szweje, czy to z zemsty za złe traktowanie przez zawodowych żołnierzy, czy przez zwykłą pomyłkę źle podłączyli jakieś rury. Nie, niełatwo było być nowym w naszej szkole, niełatwo.

Ci, którzy dostali się do naszej szkoły też musieli zdać egzaminy. Tyle że nas pilnowały „bażanty”, a teraz na cerberów wybrano kilku z nas. Najlepszych uczniów, żeby przykładem świecili, i tak dalej.

Przyprowadzili ich do nas jakoś tak jeszcze w czerwcu, żeby sobie popatrzyli i w razie czego mogli w porę dać nogę i zapisać się do jakiegoś normalnego liceum z domem dwie ulice dalej. Rzadko przecież bywa tak, że młode wojsko z poboru może sobie obejrzeć jednostkę, w której będzie służyć, zanim łaskawie wyrazi zgodę i przywdzieje mundur. Albo więźniowie w obozie pracy czy śmierci, zanim zatrzaśnie się za nimi brama, będą mogli sobie

nawet barak odpowiednio słoneczny wybrać. Choć to drugie to chyba kiepskie porównanie. Mimo że wzór gustownych piżamek, jakie nosiliśmy, wciąż był taki sam...

Szli w karnej kolumnie, spłoszeni, zahukani, choć chyba nie przez naszych „opiekunów”. Mali i duzi, pryszczaci i bardzo pryszczaci, włochaci i już zapobiegliwie wystrzyżeni, jakby to mogło cokolwiek pomóc w rozwiązywaniu zadań matematycznych czy pisaniu wypracowania z języka ojczystego na egzaminie wstępnym. Potem obejrżeli, przekonali się albo i nie przekonali, ale nic z tym nie zrobili, bo nie ma co robić kłopotu i zmartwienia ojcu. Chyba nawet ktoś im coś zdążył nagadać, ostrzec, do rozumu przemówić, zapytany czy z własnej woli.

- Chłopaki, po co wam to?

Zazdrosny o poziom wiktury i opierunku, który przy zwiększeniu składu liczebnego mógł drastycznie spaść, albo sam już mocno zniechęcony do instytucji armii czy własnego w niej miejsca lub, po prostu, nie lubiący zbyt wielkiego tłoku.

Tak. Nie wiedziałem, czemu im to wtedy powiedziałem...

Świeży narybek poszedł sobie wreszcie, odprowadzany przez naszych „kaprali”, by przez pozostały jeszcze czas próbować się pouczyć. Nasi, ululawszy podwładnych, zasiedli do biesiady. I widać długo nie mogli skończyć, bo następnego dnia, kiedy całe towarzystwo (współ z rodzicami, którzy tłumnie przybyli, by dopingować swoje latorośle) zebrało się, by w najwyższym napięciu wysłuchać słów wyroku, czyli wyników egzaminów wstępnych, jednego z naszych, chyba Marianka z klasy B, złapała mała awaria systemu.

Próbowaliśmy sobie to potem wyobrazić: z jednej strony zupełna cisza, nerwy, oczekiwanie. Sekunda za sekundą, nazwisko za nazwiskiem. Zdał, nie zdał. Martwy, żywy. A na tle tego wszystkiego głośna, rytmiczna czkawka, nad którą Marianek za cholerę nie potrafił zapanować...

To było kilka miesięcy wcześniej. Teraz jednak pod pewnymi względami sami poczuliśmy się jak młodzi. Okazało się bowiem, że zostało przeniesionych do naszej szkoły kilku nowych oficerów. Nie spotkaliśmy już naszego opiekuna roku, kapitana Jana

Karżyńskiego. Na jego miejsce przyszedł podpułkownik Władysław Wiciewicz. Już pierwsze spotkanie z nim mogło zmiękczyć najtwardszych. Kawał chłopa, wąs sumiasty - jednym słowem dowódca pełną gębą.

- Nazywam się Władysław Wiciewicz, mam 41 lat - mówił donośnym głosem, z chrypą. - Nienawidzę kłamstwa, pijaństwa i palenia papierosów...

- A to jakaś nowość - mruknął pod nosem Tomek Langiewicz.

- Kwiatki są na łące, porządek w wojsku, a kurwy za płotem! - zakończył nasz nowy opiekun swoją tyradę cenną dewizą, którą, zważywszy na ton i postawę mówcy, niechybnie będzie chciał wprowadzać w życie.

Jeszcze tego samego dnia złapał kilku z flaszką taniej winiawki. Winowajcy tak się przestraszyli, że dobrowolnie oddali także drugą, zakupioną dużo wcześniej.

- Otwierajcie! - huknął pułkownik.

Koneserzy jabcoka skrupulatnie i z wprawą wykonali rozkaz.

- Tam są szmaty - oficer wskazał ręką drzwi składziku, niewielkiego pomieszczenia w rogu korytarza, w którym przechowywaliśmy środki czystości.

Potem to już było jak w dobrej komedii. Wiciewicz wziął mianowicie w ręce obie butelki, przechylił je szyjkami do dołu i szybkim krokiem ruszył przez korytarz. A dwaj wystraszeni czym prędzej na kolanach ścierali wylewane wino...

Jeśli zaś chodzi o szkołę, to przeszliśmy do kolejnej, trzeciej klasy. Jedni przeskoczyli, inni się przetoczyli, innych przenieśli dyndających na włosku, ledwo, ledwo. Oczywiście znów namawiano nas do wytężonej pracy i nauki, ale nie wspomiano już, że na najlepszych spośród nas czekają studia wyższe w Poczdamie, Moskwie, a nawet Pekinie.

Poza tym zmieniała się dyrekcja. Stary dyro odszedł na zasłużoną emeryturę, choć krążyły słuchy, że wcale jeszcze nie musiał. Jego zastępczynią do spraw dydaktycznych, w

miejsce srogiej matematycy o kamiennej twarzy, mianowano sympatyczną i młodą panią profesor od chemii. Nowym zastępcą do spraw wychowawczo-obronnych, z naciskiem na to ostatnie słowo - co do tego już nie mieliśmy wątpliwości - został ponury typ w randze podpułkownika, Wojdala. Kiedy się do nas zwracał, a kilka razy mu się zdarzyło, nie mówił „uczniowie” tylko... „ucznie”. No, ale co się dziwić. Widać ta jedna sylaba więcej stanowiła dla niego poważny problem. Wcześniej pewnie zwracał się do ludzi, nad którymi trzymał pieczę, per... „chuje”, a przyzwyczajenie to, jak mówią mądrzy ludzie, druga natura człowieka. Był też nowy kierownik internatu, podpułkownik Adamczewski, a także kilku specjalistów, którym podlegały magazyny. Pojawienie się kilku nowych kucharek również przyjęto ze sporą satysfakcją.

Ogólnie panowała euforia. Opozycja w Warszawie goliła brody, wyciągała z szaf garnitury i przesiadała się do rządowych limuzyn. Orłowi na godle państwowym dorysowywano koronę. Studenci, acz niechętnie, wracali na studia i, już z większym zapalem, szli do rad nadzorczych oraz zarządów powstających jak grzyby po deszczu oddziałów zachodnich firm. A pisarze, w myśl starych haseł - do... biura. Polskę odwiedził prezydent Stanów Zjednoczonych George Bush. Otwierano granice, rozkwitał handel na bazarkach. Tylko targowiska wciąż myliły się niektórym z Targowicą.

A kto został dyrektorem naszej sławetnej budy? O ironio! Pawelec. Właśnie obronił chłopina doktorat z filozofii i socjologii, a kilka tygodni później dostał też awans na podpułkownika. No, szczęście po prostu!

Po raz pierwszy w mundurze z dwiema gwiazdkami pokazał się na uroczystości zorganizowanej w znanym nam dobrze kinie garnizonowym. Święto wojska przypadało wtedy jeszcze w rocznicę masakry pod Lenino, czyli 12 października. Dwa dni później wciąż przypadał Dzień Nauczyciela, zwany dumnie Świętem Komisji Edukacji Narodowej, więc okazja do świętowania była podwójna. Na naszych barkach znów spoczęło zorganizowanie uroczystej akademii.

Jako że dla zawodu wojskowego byłem już w oczach co niektórych stracony, zapisałem się do kółka dramatycznego, które polonistka prowadziła w ramach zajęć pozalekcyjnych.

Chcieliśmy iść na ambit, więc profesor zaproponowała nam wystawienie sztuki „Pieszko” Sławomira Mrożka. Przynajmniej jej fragmentów, wszak uroczystość nie mogła trwać zbyt długo - wódka i śledzie na stołach w jednej z salek naszej szkolnej stołówki już się przecież grzały, a przecież oblewać było co. Choćby oficerskie gwiazdki w przypadku kadry umundurowanej i satysfakcję z wykonywanego zawodu, którą grono pedagogiczne odczuwało w takim dniu szczególnie.

Wątkowaliśmy tekst chyba ze dwa tygodnie. Rzecz działa się zaraz po wojnie i była opowieścią o facetach, którzy wracają do domu, oczywiście pieszo, ale wrócić nie mogą. Coś o tym co niektórzy spośród nas wiedzieli, z tą tylko niewielką różnicą, że kłopot mieli z powrotem nie do domu, a do internatu, po weekendzie.

Jacek Traugutt, który grał martwego wojaka, ostrzygł się nawet na pałę, żeby dodać sobie autentyzmu. Mi przypadła rola Ojca, a kolega z młodszego rocznika, nazywany z racji upodobań muzycznych „Metalem”, mojego syna. Postaraliśmy się o jakieś spatynowane ciuchy, czapkę oprychówkę miałem od dziadka, bo już mu na działce nie była potrzebna. Nie goliłem się przez kilka dni, żeby wyglądać starzej. I mimo że to dla sztuki było, wolałem przez te dni unikać spotkań z oficerami i na porannych apelach ukrywałem się za plecami pozostałych. Waldek z klasy B, zwany „Oharą”, który miał grać kobietę, przyniósł od babci jakieś fatałaszkę, modne zaraz po insurekcji kościuszkowskiej, zaczął ćwiczyć głos i był w tym całkiem przekonujący. Trema jednak była

- Skaranie boskie z tobą - rozpocząłem swoją kwestię, jak i całe przedstawienie. - Kto widział tak szczać i szczać?

Przez widownię przetoczył się zdrowy rechot. Nietrudno rozśmieszyć takie towarzyscho, wystarczy mięchem rzucić. Dobre wejście to też już połowa sukcesu. Ciekaw byłem, czy pierwszy rząd, w którym zasiadła dyrekcja szkoły i wszyscy święci, też się zaśmiał. Nie mogłem jednak tego dostrzec, ponieważ waliły nam prosto w oczy mocne światła scenicznych reflektorów. Zresztą, stojący na stronie Syn kończył już markowane oddawanie moczu i sztuka leciała dalej.

- Umiecie czytać? - zapytywał mnie w pewnym momencie cienkim głosikiem kolega „Ohara”, ja zaś nie odpowiadałem, bo jako postać widać nie umiałem pisać ani czytać, więc

Kobieta pocieszał: - To się nauczą. Mamy doskonały program edukacji i... kolaboracji!

Zastanawiałem się, co na to Pawelec. Pewnie poczerwieniał, biedaczysko. Ale już po chwili musiał mieć lepszą minę, bo oto grzmiałem ze sceny:

- Proszę mi pokazać swoją legitymację! Bez legitymacji nie będę w ogóle z panem rozmawiał. Dawać legitymację!

Sztuka Mrozka wreszcie dobiegła końca. Rozległy się brawa, o których wiedziałem, że chłopaki walą bardziej dla draki niż dlatego, że im się jakoś specjalnie podobały nasze komedianckie wyczyny. Połowa zresztą, jak znałem życie, przysypiała na średnio miękkich fotelach i w półmroku sali kinowej, bo i w tym mieliśmy przecież praktykę, gdy nas wyciągali tu w niedziele, na początku szkoły, czego jeszcze wielu nie potrafiło wybaczyć...

Potem kilku naszych w białych, rozpiętych koszulach skazańców-spiskowców na chwilę przed egzekucją zaczęło recytować patriotyczne wiersze. Pojedynczo i chórem.

- Dziś ślubujemy! Ojczyzno!

Lawina braw i okrzyków. Jak po prawdziwej premierze w teatrze, choć pewnie też gwizdano tylko dla jaj i żeby głośniej było. Tylko po trzykroć „Niech żyje!” brakowało.

Siedzący w pierwszym rzędzie w otoczeniu grona pedagogicznego Pawelec klaskał najgłośniej, to już mogłem dostrzec zupełnie wyraźnie. A kiedy opadła kurtyna, nie odmówił sobie przyjemności wejścia na scenę, żeby dać wyraz swojemu wzruszeniu.

- Ja nie wiedziałem, nie zdawałem sobie sprawy... - głos nagle uwiązł mu w gardle, twarz wykrzywił grymas, a połyskująca w świetle teatralnych reflektorów łysina pokryła się rumieńcem.

- Nie popłacz się - mruknął pod nosem Jasiak Sosabowski, który jeszcze przed chwilą stał w pierwszym szeregu recytatorów-spiskowców.

- Bo nasi chłopcy recytowali... - mówił dyrektor łamiącym się głosem. - Tak pięknie

recytowali wiersze... Sławomira Mrożka!

Nie dość, że jak mało kto znał się na religii, a także filozofii i socjologii, na co w dodatku miał papier, to i historia polskiej literatury nie była mu obca. No, chyba że wiedział więcej od profesorów polonistyki. Albo w 1968 roku zajrzał naszemu słynnemu dramaturgowi do esbeckiej teczki i znalazł tam jakieś młodzieńcze wypociny, kto wie...

Po niespełna miesiącu po raz pierwszy można było obchodzić legalnie także inne święto - 11 listopada, czyli Święto Niepodległości. Zaprzestaliśmy z tej okazji na chwilę dowcipkować na temat fletów, dzwonek czy innych instrumentów, także muzycznych, i namówiliśmy panią profesor od muzyki, żeby nauczyła naszą klasę śpiewać „Pierwszą Brygadę”. Nie na głosy, a na cały głos. Bez żadnych ozdobników, tylko równo. Pełną piersią. Spod jaj. Po prostu szczerze.

Nasz nowy dyro siedział w pierwszym rzędzie, ale już nie tak szczęśliwy jak wtedy. Może dlatego, że nie na miękkim kinowym fotelu, tylko na twardym krześle naszej stołówki. Znów pokraśniała mu łysina, ale już pewnie z zupełnie innych powodów.

- Na stos rzuciliśmy swój życia los. Na stos, na stos! - śpiewaliśmy co sił w młodych płucach i gardłach.

Bo pewnie wielu z nas widziało na tym albo innym stosie konkretne osoby.

\*

Piotr był jednym z najlepszych siatkarzy w naszej klasie. Mimo to rzadko pozwalał sobie na jakieś uwagi, gdy ktoś zmarnował piłkę czy wybił ją na aut. Nie darł mordy, nie kłął, jak to w zwyczaju miało wielu, którym zew walki kazał łamać zasady dobrego wychowania. Piotr był dokładny, zawsze dawał z siebie wszystko. Pewnego dnia jednak to on właśnie skupił na sobie gniew pozostałych.

- Śpisz, kurwa?! - wrzasnął Mirek Bołtuć, gdy Piotrek nie przyjął dzieciennie łatwej piłki, która trafiła w pole, przynosząc prawo zagrywki drużynie przeciwnej.



- Przepraszam - jęknął tylko ledwo dosłyszalnie.

Potem, w szatni, z nikim nie gadał. Podobnie podczas drogi powrotnej do szkoły trzymał się nieco na uboczu hałastu, nie uczestnicząc w wybrykach, na które jakoś wciąż, mimo godziny wysiłku fizycznego, mieliśmy ochotę. Kutrzeba właśnie wybił kamieniem dwie szyby w wojskowych magazynach, dostał za to brawa od pozostałych. Piotr szedł jednak ponury, zatopiony w swoich myślach.

- Co się dzieje, stary? - zapytałem, gdy wracaliśmy z obiadu.

Tylko głową pokręcił, dłonie prowokacyjnie wsunął głęboko do kieszeni. Rozejrzałem się, czy nikt z kadry nas nie widzi, bo za to przecież mógł Piotr dostać zjebkę. Wydawało mi się jednak, że ma to głęboko. Coś go najwyraźniej gryzło, ale z diagnozą trzeba było chyba nieco poczekać.

Tego dnia miałem dyżur przy telefonie. Przypomniało mi się tamto popołudnie, kiedy Piotr pożyczał ode mnie pasek od spodni. Zwyczaj dzielenia się co fajniejszymi elementami garderoby jakoś zamarł; każdy przez ten czas chyba już sobie nakupował, co tylko mu fantazja wraz z ulicą i telewizją podpowiadały. W tym momencie królowały akurat długie czarne płaszcze; chyba jedna trzecia chłopaków na naszym piętrze nosiła takie, przez co przypadkowy przechodzień, patrząc na naszą bramę około trzeciej po południu, mógłby zadać sobie pytanie, czy tu jeszcze jest liceum wojskowe, czy może już je przekształcono w seminarium duchowne.

Zaterkotał telefon na małym stolyczku. Podniosłem słuchawkę, z trudem oderwawszy się od czytanej właśnie powieści Bułhakowa.

- Klasa III C, słucham - powiedziałem do sitka.

Po drugiej stronie tylko coś zatrzeszczało.

- Halo!

Znów jakieś trzaski. Już chciałem odłożyć słuchawkę, gdy z tych trzasków wyłonił się

bardziej ludzki dźwięk. Był to kaszel. A po chwili głos: męski, niemłody, skrzypiący nieco.

- Z Piotrusiem chciałem - rzekł głos z drugiej strony kabla.

- Nie ma go w internacie - powiedziałem szybko.

Była to prawda. Piotr wyszedł, pewnie do miasta, bo ubrany był w cywilne ciuchy. Zwróciłem też uwagę, że chyba odrobinę poweselał, a może to tylko kolorowe łąchy sprawiały takie wrażenie. Miałem wrażenie, że mężczyzna, z którym rozmawiałem, zmielił w ustach popularne przekleństwo, chociaż równie dobrze mogło mi się tylko wydawać, ponieważ jakość połączenia była naprawdę bardzo kiepska. Usłyszałem za to dobrze przerywany sygnał. Odłożył słuchawkę bez słowa; ani dziękuję, ani do widzenia czy spieprzaj.

- Spieprzaj - wypełniłem pod nosem tę lukę, po czym chciwie złapałem za książkę. Dyżur minął szybko i bez większych ekscesów. Wszyscy wrócili z miasta, prędzej czy później, ale w jednym kawałku; coraz częściej mówiło się, że nowa subkultura, mianowicie łysogłowi skinheadzi, coś do nas ma. Brakowało tylko... No tak. Brakowało Piotra. Wychowawcy już dwa razy pytali o niego, chłopaki w jego pokoju za każdym razem go kryli, choć sami nie wiedzieli, co się dzieje.

Wpadł na stołówkę, gdy ostatni pobierali talerze z gorącą fasolką po bretońsku. Nie skrzywił się nawet na jej widok, wziął talerz, zapas chleba i usiadł przy swoim stoliku. Od razu zauważyłem, że coś jest nie tak z jego ciuchami. Były pomięte, jakby wytargane, jeden z guzików kurtki zwiślał smętnie na pętelce. Wyglądało na to, że się nasz koleżka z kimś szarpał. Od razu zresztą go o to zapytały klasowe zabijaki, których na udział w wendecie nie trzeba było nigdy długo namawiać. Piotr jednak zdecydowanie kręcił głową, podnosił ręce nieznacznie do góry, jakby chciał powiedzieć: pax, panowie, pax! Nie ma sprawy, poradzę sobie sam.

- Ale wiesz, jakby co, wystarczy, że powiesz tylko słowo - rzekł Czuma, kręcąc się niespokojnie na stołówkowym krzeselku. - Powiedz tylko słowo...

-...a będzie uzdrowiona dusza moja - dokończył jego największy druh, Bodek Jagmin.

Z tym było zawsze gorzej. Z duszą. Ale Piotr pękł gdzieś tak po Dzienniku Telewizyjnym.

- Ojciec - powiedział tylko i zaciął się, utkwivszy zboląły wzrok za oknem, za którym powoli gasł dzień.

Nietrudno sobie było dośpiewać dalszy ciąg. Umarł mu pewnie tatulo, jak Bodkowi niedawno. Pewnie mu Czarnobyl jeszcze swoje dołożył. To musi być cios cholerny dla syna i ból cholerny; trzeba będzie zrobić zrzutę na jakąś wiązanekę czy wieniec. Może szkoła znów się dołoży?

- Ile miał lat? - zapytał, najdelikatniej jak tylko potrafił, Prądryński.

- Co? Kto? - Piotr wydawał się półprzytomny; potoczył wzrokiem po nas wszystkich, dość przypadkowej grupie, którzyśmy siedzieli w jego pokoju i przypadło nam w udziale pocieszać kolegę w jakże bolesnym momencie życia.

- No, ojciec - parł dalej Grześ, choć już z mniejszym przekonaniem.

- Co wy pierdolicie, że miał?! - wybuchnął nagle Piotrek. - Ma, ciągle ma swoje pięćdziesiąt czy pięćdziesiąt dwa parszywe lata, z których co najmniej trzydzieści przechrął. A teraz przypomniał sobie o swoim synu, którego nie widział od lat...

Cała ferajna w pokoju ciekawie nastawiła uszu. Piotr poczerwieniał na twarzy jak burak, jego dość mocno wystająca grdyka zaczęła się poruszać miarowo.

- Odszedł od matki, kiedy byłem mały - wyjaśnił po chwili. - No, może niezupełnie, bo chyba przechodziłem wtedy do szóstej klasy, jakoś tak. A teraz jakiś kumpel od kieliszka mu pewnie podszeptał, że my tu mamy nie wiadomo jaki raj za tym pieprzonym płótem, więc się przypiął. Przecież żaden problem nas tu znaleźć..

- Co łatwo? Co łatwo?! Moja matka ze trzy godziny błędziła - palnął któryś z końskim rechetem, ale nikt więcej się nie roześmiał.

Piotr westchnął boleśnie, przygryzł wargi.

- Od kilku dni za mną chodzi i...

- I co?! - wyleciało z kilku gardeł jednocześnie, choć każdy ich właściciel z osobna dobrze już wiedział, o co tu biega.

- I chce ode mnie kasy - rzekł Piotr bezgłośnie.

Zapadła grobowa cisza. A ja dopiero teraz skojarzyłem dzisiejszy telefon, który odebrałem na dyżurze, i niezbyt kulturalnego rozmówcę, z którym miałem nieprzyjemność zamienić kilka słów.

- I co? Chyba mu nie dasz? - krzyknął naraz Grześ Prądyński.

Ale nie dowiedzieliśmy się niczego więcej, gdyż w tej samej chwili dyżurujący wychowawca rozgonił nas po pokojach. Pewnie tym samym wybawił Piotra z kłopotliwej sytuacji. Bo przecież wyznać bliskim osobom, co człowieka boli, zrzucić ciężar z wątroby to jedno, a roztrząsać to potem jak gnój na widłach, to drugie.

Długo przed zaśnięciem myślałem o problemie Piotra. Właściwie co to był za problem? Odwrócić się dupą do faceta, tak jak on kiedyś się odwrócił, po czym wyszedł do kiosku po papierosy i już nie wrócił do domu. Z drugiej strony łatwo powiedzieć: to przecież ojciec, rodzony, a raczej Piotr jest jego rodzonym dzieckiem.

Próbowałem sobie wyobrazić plugawego starca, ze sterczącą brodą, który robi swojemu synowi kosmiczną wręcz porotę. Na przykład zniecka wchodzi na szkolne boisko podczas porannego apelu, bo udało mu się przeleźć przez płot. Coś próbuje wykrzykiwać, bełkotać, gestykułuje przy tym, ledwo trzymając się na nogach. Gęba czerwona, przepita, posiniaczona. Jedno oko podbite. Wszyscy komentują, śmieją się, pokazują sobie to dziwo, trącając się łokciami. Patrzą z odrazą, każdy boi się podejść, brzydzi się. I dobrze, bo gość w pewnym momencie puszcza przed siebie pawia. Piotr tymczasem stoi w pierwszym szeregu, stoi nieruchomo i tylko patrzy. Nabrzmiące żyły na jego szyi pulsują, ręce opuszczone wzdłuż

ciała, ale zaciśnięte pięści drżą...

Albo inaczej: gość wpada na jakąś uroczystość, na przykład gdy produkujemy się artystycznie z okazji Dnia Kobiet. Klub ucznia pełen beneficjentek, wszystko eleganckie, wypachnione, ufryzowane, a i u nas pełna gala. A on wpada ululany na wesolutko, śmieje się pełną piersią. Potem głośno komentuje, dopowiada jakieś frazy do recytowanych przez nas wierszy i sam z nich chichoce. Gdy zaczynamy grać i śpiewać, wpada na scenę, zabiera komuś z nas gitarę i zapowiada, że „tera będzie włoska muzyka”. Piotr, który nie brał udziału w uroczystości, ale szybko dowiedział się, co zaszło, zamyka się sam w pokoju. Nie ma z nim żadnego kontaktu. Decydujemy się na wyważenie drzwi...

Rano obudziłem się z trudem i bólem głowy. Dzień za oknami był słoneczny. Gdy wracałem z łazienki, nagle zadzwonił telefon na stoliku, przy którym wczoraj pełniłem dyżur.

Nie wiem, być może woda, w której się myłem, była za ciepła, nie obudziła mnie do końca. Bo podniosłem słuchawkę.

- Klasa III C, słucham.

Po drugiej stronie jak zwykle coś zatrzeszczało. Po sekundzie do tych trzasków dołączył kaszel. Zimny dreszcz przebiegł mi przez plecy.

- Z Piotrusiem chciałem - wybełkotał głos w słuchawce.

- Z Piotrusiem... - powtórzyłem bezwiednie.

- Tak. Jest?

- Nie ma - odpowiedziałem, ale jakby kto inny to zrobił, bo nie poznałem swojego głosu. - On. Piotr... On nie żyje.

Słuchawka wysliznęła mi się z dłoni, ale udało mi się ją w porę pochwycić i ostrożnie, powoli, jakbym miał do czynienia ze szczególnie czułym ładunkiem wybuchowym, odłożyć na widełki.

Piotr już nigdy więcej nie wspominał o problemach ze swoim starym.

\*

Któregoś dnia, jeszcze na fali narodowej euforii, gościł w naszym mieście jeden ze sprawców, jeżeli nie główny prowodyr tego całego zamieszania, gdański elektryk Lech Wałęsa. Spotkanie było zorganizowane w hali sportowo-widowiskowej, gdzie co weekend odbywały się mecze siatkówki, nieco rzadziej koncerty i targi, a teraz ostrzyli sobie na nią zęby sprzedawcy różnorakiej tandety. Postanowiliśmy pójść w kilku na to historyczne spotkanie. Niestety, znów ktoś pomyślał wcześniej i na to samo popołudnie zarządzono apel mundurowy.

- Kurwa mać! - Bodek Jagmin kłął na czym świat stoi i miotał się po pokoju. - Specjalnie to zrobili, skurwysyny!

- Spokojnie, może zdążymy - uspokajałem druha, choć bez większego przekonania. Cóż było robić. „Poszedł na górę i czapkę nacisnął” - jak napisał hrabia Fredro. Czyżby już wtedy wiedział o istnieniu naszej szkoły?!

Apel mundurowy była to bowiem rzecz niezwykła i normalna zarazem. Kilka już przez te wszystkie lata przeżyliśmy. Zabawa polegała na tym, że wyjmowaliśmy z szaf wszystkie otrzymane wcześniej sorty mundurowe i na dany znak pokazywaliśmy, że ich nie sprzedaliśmy na pobliskim bazarku ani nie daliśmy młodszemu bratu albo siostrze do noszenia.

- Pantofle galowe czarne - czytał z kartki kierownik internatu, po czym rozpoczął rundę honorową wzdłuż szpaleru uniesionych rąk, w których zamiast szabel trzymaliśmy rzeczne pantofle galowe czarne.

- Koszulka marynarza szara - oficer przechodził do kolejnego punktu, a my bieглиśmy po koszulki albo też dumnie prężyliśmy piersi, gdyż koszulka ta wciąż była bardzo popularnym elementem naszej garderoby.

- Czapka galowa - brzmiała kolejna komenda.

No to zakładaliśmy sobie czapki galowe i salutowaliśmy dla kawału, choć nie było do czego, bo żadnego orzełka ani emblematu jeszcze się nie zdążyliśmy dorobić. Może zresztą nie było już sensu. Gorzej, gdy okazywało się, że dziewczyna albo jakaś dobra koleżanka chadza w najlepsze po swoim ogólniaku w naszym czarnym szpanerskim swetrze marynarza. Ale i na to były sposoby. Ci, którzy już zarejestrowali się jako szczęśliwi posiadacze tego gustownego wdzianka, szybko podawali je przez okna pokoi tym, którzy go chwilowo lub w ogóle nie mieli. Piętro niżej, to bez problemu, albo wyżej - na spuszczonej linie.

Zabawa była przednia, ale zawsze wiązało się to ze stratą czasu. Tak jak dzisiaj. Dodatkowej pikanterii sprawie dodawał fakt, że tym razem apel mundurowy miał się odbyć na placu apelowym. Czyli teoretycznie wykluczał oszustwo. Rzucanie spodniami czy butami nad głową oficera raczej nie wchodziło w rachubę. Chociaż...

- Spodnie jedne, spodnie drugie, trzecie... - Robert Skrzynecki czytał na głos wywieszkę, na której uwzględniono elementy garderoby, które mieliśmy ze sobą zabrać. - Poglupieli z tymi portkami?

- Może ktoś z nich zajrzał na targowisko - przestraszył się Maciek Czuma. Obwieszeni jak handlarze konfekcji z Istambułu ruszyliśmy na miejsce zbiórki. Jagmin nerwowo popatrywał na zegarek. Nie lubił zmieniać raz wytyczonych planów.

Naszym egzekutorem miał być tego dnia szef pionu gospodarczego, chorąży sztabowy Płaski. Już na nas czekał i... ledwo trzymał się na nogach. Nawalony jak messerschmitt!

- Usta... usta... - zaczął, ale w dalszej przemowie przeszkodziły mu chyba jakieś gastryczne niepokoje.

- Ja tam wolę z dziewczynami - zdeklarował się Paweł Grot, niezmiennie nasz klasowy kafar i casanova, co to ostatnio deklarował, że się ożeni z panną... z dzieckiem; miłość jest miłość!

- Ja też - przyszedł mu w sukurs Jurek Kutrzeba, zresztą reprezentował w tym temacie

wszystkich nas.

- Ustawić się - wybełkotał wreszcie pan chorąży.

Popatrzyliśmy po sobie. Nie wiadomo, kto zrobił to jako pierwszy, ale za nim to samo uczynili inni. W tył zwrot! Do miasta marsz!

- Co jest, rwa... Co jest?! - krzyczał za nami kwatermistrz, wygrażając pięściami.

Ale nikt nawet się nie odwrócił. Tylko Andrzej Szylling beknął mu potężnie na pożegnanie, bo potrafił robić to na zawołanie, zresztą bardzo przekonująco, jak to określił kiedyś, nie kryjąc zresztą obrzydzenia, nasz nauczyciel wychowania fizycznego Duży: prawie że z odzyskiem.

Po kilku chwilach Bodek Jagmin, Piotr i ja jechaliśmy autobusem do centrum miasta. Na spotkanie z historią.

- Wierzycie, że coś się zmieni? - próbowałem zagaic rozmowę.

Bodek skinął głową, a Piotr się skrzywił. Obaj, uczepleni uchwytów, apatycznie spoglądali w przeciwległe szyby autobusu. Na następnym przystanku weszło również kilku naszych, ale jakoś wcale nie zrobiło się weselej.

Jechaliśmy sobie tym rozklekotanym, przepełnionym, śmierdzącym spalinami autobusem marki Ikarus, część z nas z pewnością bez jasno określonego celu, zwisający z poziomych rur uchwytów niczym znudzone gibony. I bylibyśmy się chyba zanudzili na śmierć, gdyby na następnym przystanku nie weszło do pojazdu trzech kanarów.

W mieście naszej młodości kontrole biletów w autobusach komunikacji miejskiej odbywały się naówczas w dość specyficzny sposób. To nie to, że panowie kontrolerzy wchodzili do pojazdu, czekali, aż ten ruszył, po czym blokowali kasownik i rozpoczynali kontrolę. U nas wyglądało to zgoła inaczej: trzej myśliwi czaili się na przystanku autobusu, a gdy ów nadjeżdżał, dawali znak kierowcy, ile i które drzwi ma otworzyć. Rozpoczynała się łapanka tych, którzy wychodzili, no i rzecz jasna tych, co zostawali w środku. Bijatyki i



wyzwiska były na porządku dziennym.

Tak stało się i tym razem. Kontrolerzy byli już w środku i sprawdzali bilety. Ten, który nieuchronnie parł w naszym kierunku, był nawet uprzejmy. Może ktoś go całkiem niedawno potraktował z fлека przy wychodzeniu z autobusu, odciskając na czole numer buta wraz z nazwą firmy?

- Proszę - zawieszał głos na czas niezbędny na podsunięcie mu pod nos skasowanego biletu albo miesięcznej sieciówki, po czym skinąwszy głową, mówił: - Dziękuję.

- Proszę - rzekł do mnie, patrząc nie w oczy, lecz gdzieś w bok, może na moje lewe ucho.

Okazałem grzecznie swój bilet.

- Dziękuję.

- Proszę. Dziękuję - załatwił w podobny sposób Jagmina i Piotra.

Przecisnął się między nami, aż trafił na „Ojca” - tego uczącego się w najmłodszej klasie wielkoluda, o którym ponoć na Starym Mieście, pośród tamtejszej żulii, opowiadano już legendy. Z metra cięty kontroler sięgał mu nosem może w okolice splotu słonecznego. Mimo to musiał wykonywać swoje czynności służbowe.

- Proszę.

- Spierdalaj.

- Dziękuję.

Autobus zatrzymał się w centrum, więc wysiedliśmy. W perspektywie głównej, lekko wznoszącej się ku górze ulicy naszego miasta widać było wyraźnie lśniącą w wiosennym słońcu kopułę hali sportowo-widowiskowej - celu naszej dzisiejszej podróży. Ale świat wokół chyba wcale nie myślał o wielkiej polityce. Świat wokół wystawał na rogach ulic i śmiał się

głośno, śpiewał piosenki T. Love, Róż Europy i Sztynnego Pala Azji. Świat wokół nie był nigdy sam - był zawsze w grupce, mniejszej lub większej, ale zawsze wesołej, rozkrzyczanej i zwariowanej gromadzie. Z trudem mieścił w sobie entuzjazm i wiarę, ale czasem też rozczarowanie. Farbował niebieskie dzinsy w żółtej farbie i chodził w modnych, zielonych. Przebijał uszy, plół warkoczyki, nosił na przegubach rąk skórzane rzemyki. Kochał i nienawidził, odchodził i wracał, zdradzał i błagał o wybaczenie. Włóczył się bez celu. Chodził, spacerował, przechadzał się. Tak, to najbardziej lubił. Tracić czas. Jeszcze przekonany, że nigdy, przenigdy mu go nie zabraknie.

Zatrzymaliśmy się przed witryną dużego sklepu spożywczego.

- To co, idziemy? - zapytałem moich kompanów.

Jagmin i Piotr spojrzeli tęsknym wzrokiem... w przeciwne krańce ulicy.

- No to na razie.

- Nie dajcie się.

- Opowiesz wieczorem, jak było.

Bodek ruszył szybkim krokiem na spotkanie z legendarnym przywódcą podziemia, Piotr zaś do swojej dziewczyny, Agnieszki. A ja już wiedziałem, że przez następnych kilkanaście minut będę robił to, co lubię najbardziej. Dalej włóczył się bez celu.

\*

A potem nadszedł kapitalizm. Nam, którzy nie byliśmy jeszcze skazanymi na wyniszczenie robotnikami wielkich fabryk, studentami oglądającymi się coraz bardziej gorączkowo za fuchą w jakiejś zachodniej firmie albo startem w wolnych wyborach do parlamentu lub, co gorsza, działaczami partyjnymi, pokazał na początku całkiem znośną twarz.

Zauważyć go można było przede wszystkim na ulicy. Jeśli jeszcze przed paroma

miesiącami przez główną ulicę miasta z ratuszem, aresztem śledczym i Państwowym Domem Towarowym szło się jak przez główną ulicę miasta, czyli z pewnym trudem, tak teraz przedostanie się przez najbardziej reprezentacyjny odcinek przypominało slalom specjalny. Trzeba było nie lada sprytu, by nie wejść komuś w... stoisko handlowe, czyli folię rozłożoną wprost na chodniku (często w śniegu i błocie), a na niej wyłożony towar. W nieco lepszej sytuacji byli ci, którzy dysponowali na przykład łóżkiem polowym. Gdźieniegdzie montowano już blaszane, zamykane stoiska, zwane szczękami, bądź zbijano prowizoryczne budy. A handlowało się wszystkim, co tylko dało się udźwignąć.

Można też było legalnie kupić i sprzedać walutę, zaczęły powstawać pierwsze kantory. Kiedyś nawet kilku chłopaków zrobiło zrzutę, nabyło w jednym kantorze dolary, potem, kilka ulic dalej, wymieniło je na marki, potem na franki szwajcarskie, następnie funty brytyjskie, by na koniec znów kupić dolary i sprzedać je u jednego z cinkciarzy, których wciąż jeszcze można było spotkać pod bankiem. A może było zupełnie inaczej, może zaczęli od funtów, a potem były dolary - grunt, że na tej całej operacji zarobili na dwie flaszki i coś na ząb. Tak działał kapitalizm.

Innego dnia, wiosną, w mieście odbywała się hałaśliwa impreza, którą dziś specjaliści od sprzedaży nazwaliby dumnie (mimo że po polsku tylko) promocją. Promowała się i reklamowała jakaś nowa firma, sprzedająca anteny satelitarne, których talerze zdobiły coraz większą ilość balkonów w mieście, jak i pomniejszy sprzęt elektroniczny. Wcześniej firma ogłaszała się przy pomocy plakatów, którymi oklejono całe miasto, włącznie z peryferyjnymi dzielnicami.

Dopiero po kilku tygodniach, kiedy część plakatów odpadła, a część zdarto, wyszło na jaw, że przyklejający użyli (z oszczędności albo z musu) jakiejś farby zamiast kleju, przez co czarne prostokąty na murze wzdłuż jednej z ulic sprawiały wrażenie, jakby kryły pod sobą litery antypaństwowych haseł, a tych już przecież nikt nie musiał zamalowywać.

W każdym razie huk był. Tłum też się zgromadził całkiem spory przy największym w mieście kinie, bo to właśnie tam zorganizowano promocję. Rozdawano gadżety. Część rzucano na oślep w tłum, przy czym żaden nie upadł na ziemię. Największym powodzeniem cieszyły się jednorazowe zapalniczki, choć te mogli dostać tylko Jurkowie, bo akurat tego dnia było Jerzego. Żeby otrzymać prezent, trzeba się było wylegitymować. Dziwne, że nie

musiałeś już milicji, która w międzyczasie stała się policją, a okazywałeś dokument pracownikowi pierwszej lepszej firmy. Wtedy jednak nie pocztytywaliśmy tego za dyshonor. Ani tym bardziej za znak czasów. Jurek Kutrzeba, mimo że nie palił wtedy, był z powodu otrzymania imieninowego upominku bardzo zadowolony.

- Co, włosy na dupie będziesz sobie przypalał? - zapytał „Milimetr”.

- Zawsze się do czegoś przyda, nie? - odpowiedział Jurek, zapalając za pierwszym razem plastikowe ustrojstwo za kilka fenigów, z czego od razu skrzętnie skorzystał Bołtuć, przykładając do płomyczka wyciągniętego z pudełka marlborasa.

Potem przyszedł czas na koncerty. Na maleńkiej scenie ustawionej przy drzwiach kina wystąpiły najpierw Żuki, chałturniczny zespół specjalizujący się w repertuarze Beatlesów i Czerwonych Gitar, następnie zaś prawdziwa gwiazda polskiej estrady: Andrzej Zaucha. Zaśpiewał z półplaybacku kilka swoich znanych przebojów. Prowadzący koncert konferansjer (czyżby sam szef firmy?) wymienił nawet, może w żartach, a może była to prawda, wysokość gaży, za jaką chciało się znanej gwiazdzie tłuc tutaj starym mercedesem aż z Krakowa. Była rzeczywiście astronomiczna.

I to właśnie z Andrzejem Zauchą kojarzą mi się do dziś pierwsze chwile z kapitalizmem. Kilka miesięcy później bowiem ten niewielki człowieczek o wspaniałym głosie i wielkim ponoć sercu zginął wraz z pewną aktorką na parkingu przed krakowskim Teatrem Stu, zastrzelony z obrzyna przez zazdrosnego męża kobiety, francuskiego reżysera. Dopiero wtedy zrozumiałem do końca, że świat Zachodu przyszedł do nas naprawdę...

Kim lub czym byłaś wtedy dla nas, Polsko, zmieniająca oto swoje oblicze w akompaniamencie strzelających puszek coca-coli, ziaren prażonej kukurydzy i przebojów disco polo pierdzących z targowych stoisk czy z polowych łóżek ustawionych wprost na ulicy? Zmieniająca się jak kapryśna kochanka, która mówi „tak”, a myśli „nie”, wali cię po rogach i gzi się z innymi po kątach, gdy tylko odwrócisz wzrok, głupi ty, dumny, naiwny jak pięcioletnie dziecko? Czy byłaś zmęczona i pijana wciąż... jak w piosence Obywatela G.C., której wtedy z Grzesiem Prądyńskim namiętnie słuchaliśmy?

Czym byłaś ponad kształt znany każdemu dziecku, zbliżony do koła, a może do

kwadratu, wycinany po stokroć w szkolnych izbach z drewna, styropianu, brystolu i malowany białą i czerwoną farbą, drukowany w szkolnych podręcznikach, na wyborczych ulotkach; kształt - krzyż narodów, święty i zbrukany, cierpiący i skurwiony - niezmiennie powodujący szybsze bicie serca człowieka lub jego zatrzymanie, hymn pochwalny wieszczą Mickiewicza albo wiązkę najgorszych inwektyw spod budki z piwem lub pośredniaka, czasem zaczerwienienie oczu, wzruszenie i zaciskanie pięści, zwycięski wyrzut ramion do góry, bośmy znów dali radę, i gest papieskiego błogosławieństwa?

Kim byłaś wtedy dla nas, Polsko, zmieniająca swe godło, nazwę, władze, zapisy konstytucji, któreśmy mieli strzec z bronią w ręku do ostatniej kropli krwi?

- Gaude Mater, Polonia! - śpiewaliśmy zgodnym chórem na lekcjach muzyki, nie wiedząc, czy cieszy się ona w istocie, mając nas...

Bo i żaden z nas nie wiedział, jaka będziesz, Polsko ukochana, gdy powiemy: tak, dobrze - zostaję, oddam głos na Wałęsę w pierwszych wyborach prezydenckich, które są jednocześnie pierwszymi wyborami, w których wezmę udział. Potem złożę przysięgę na wierność narodowi, unosząc dwa palce na wysokość bagnetu. Sypniesz groszem z nieba, matko ty moja, czy piaskiem w oczy? Dasz kopa w sam środek dupy chwilę po otwarciu granic wielkiej Europy, a z nimi i rynków pracy?

Czy nie poskąpisz metrów kwadratowych mieszkania, innych apanaży, srebrnych gwiazdek i kolorowych baretek na mundurze? Czy może trumienkę prostą otulisz bielą i czerwienią, w imię wyższych racji, sojuszów i zaufania, rencinę rodzinie wypłacisz, słowami i ciepłem wypielęgnowanej dłoni pana premiera czy prezydenta na policzkach sierot pocieszysz? Czy może o ziemię rzucisz w godzinie szarej, kajdankami nadgarstki skujesz, kapotę na łeb założysz, co ochroni przed zdjęciami do gazet, i pod lufą kałacha żandarma z domu zabierzesz?

\*

Czas szkolny to czas beztroski. Kilka razy nawet i nam, zamkniętym za płotem, dane było jej posmakować. Choćby na kilku klasowych wycieczkach. A to pod sławetny Grunwald, gdzie król Władysław Jagiełło wespół z księciem litewskim Witoldem pobili

Krzyżaka, cośmy sobie wyobrażali (ze szczegółami, a na trzeźwo), stojąc w cieniu głupiego pomnika i patrząc na zielone, bezkresne i puste pola, będące niegdyś areną krwawej jatki. Pokazali nam zresztą potem ją we fragmencie starego filmu, w mieszczącym się w muzeum niewielkim kinie, jednak część z nas poległa chwilę po zgaszeniu świateł i zalegnięciu w miękkich fotelach, wszak syndrom radzieckich filmów wojennych nadal zbierał żniwo.

Jeszcze w klasie pierwszej co niektórzy wstawili się wyjazdem na biwak. Był to wyjazd oficjalny, z błogosławieństwem najwyższych władz szkolnych i w towarzystwie pań nauczycielek. Na miejsce odpoczynku na łonie przyrody wybrano popularną miejscowość Kretowiny nad niezbyt oddalonym od naszego miasta jeziorem Narie.

- W Kretowinach fajnie jest, można sobie popalić. Można piwka popić też i „ormowę” podpalić - śpiewał na znaną melodię piosenki, zaczynającej się od słów „Chociaż mało mamy lat...”, pochodzący z pobliskiego miasteczka Mirek Bołtuć.

Długo zachęcać nie trzeba było. Pojechali zatem chłopcy, by osobiście przekonać się, jak smakuje piwko, papieroski i wolny czas nad jeziorem Narie. Wzmiankowanego w piosence „Milimetra” posterunku ORMÓ już wtedy chyba nie było.

Wyjechali w piątek po lekcjach, mieli być, po bożemu, do niedzielnego popołudnia. Ale wrócili już w sobotę przed południem.

Była afera. Ledwo na leśnej polance rozbito namioty, rozbito też kilka połówek wódki czystej najtańszego gatunku. Ledwo w ziemię wbito śledzie, mające podtrzymywać namioty, gorzała lała się strumieniami i nikt nie zważał na śledzie czy inną zagryzkę.

- Za Metallicę! - brzmiał tego wieczora dyżurny toast.

Tyle że paniom nauczycielkom, które chyba na co dzień gustowały w trochę innej muzyce, bardzo się to nie spodobało. O bunkrowaniu się z piciem na pewnym etapie konsumpcji nie było już mowy. Tym bardziej, że w przypadku wielu kolegów wódka szła już w odwrotnym kierunku. Potem były krzyki, rwanie włosów z głowy, ustawianie delikwentów do pionu, co w większości przypadków było już, niestety, niewykonalne. Dobrze, że milicji żadna nie wezwała.

W amerykańskich filmach o trudnej młodzieży z college'u sprawa zakończyłaby się normalnie. Czyli roztrzaskaniem głów paniom profesor przy pomocy łopatek saperskich, a następnie zakopaniem zwłok w pobliskim lasku i spokojnym dokończeniem flaszki. Ale żyliśmy w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. I nazajutrz, wzięci w niewolę potwornego kaca i zależności, ze zwieszonymi głowami chłopcy wrócili na szkoły łono.

W poniedziałek na porannym apelu, na który wezwano rodziców winowajców, odbył się sąd. Matki płakały, ojcowie już zdejmowali pasy. Na szczęście nikt z miłośników Metalliki nie wyleciał z budy. Tyle że o kolejnych biwakach, o których już mówiło się „piwaki-libaki na polu wymiotowym”, mogliśmy zapomnieć. Przynajmniej na jakiś czas.

Prawda była taka, że nigdy chyba się człek tak nie szlajał jak w ciągu tych czterech lat liceum. Proceder był to nagminny do tego stopnia, że gdy się w końcu zjeżdżało na chatę, to matka czy ojciec stojący w otwartych drzwiach robili wielkie oczy, mówili dzień dobry, a nawet pytali: słucham, w jakiej sprawie, machinalnie szukając drobniaków na bułkę dla głodnego domokrażcy. Między bajki i partyzanckie wyczyny generałów można było włożyć opowieści starszych kolegów, że to dopiero potem, w czasie studiów, jest najlepszy czas na eskapady w rodzaju górskiego łązikowania, rajdów rowerowych czy spływów kajakowych. Może kiedyś tak było, przed wojną. Teraz, o czym niektórzy dowiedzieli się dopiero kilka lat po maturze, każdy parł ku swojemu domkowi z ogródkiem, a nie zwiedzać świat.

Ewentualnie do Reichu czy na Wyspy, zwiedzać, ale urzędy pracy czy od razu plantacje winogron albo tulipanów.

Były zatem licealne biwaki, obozy, krótsze lub dłuższe wycieczki tudzież zwyczajne weekendowe wizyty u przyjaznych kolegów, którzy za punkt honoru stawiali sobie przekonać kumpli z klasy czy pokoju, że u nich dyskoteki najlepsze, mimo że trzeba potem poginać per pedes nawet z dziesięć kilometrów. Było też kilka zorganizowanych rajdów pod egidą Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego i kilka takich, gdzie na czele wycieczki kroczył dumnie sam nasz pan dyrektor, podpułkownik Pawelec.

Któregoś dnia przyszło do nas zaproszenie na rajd pieszy po Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, które wysłało bratnie liceum wojskowe z Częstochowy

właśnie, raptem rok starsze od naszego. Skrzyknęła się grupka zapaleńców, spakowała plecaki, namówiła wychowawcę Romana, by się nimi w czas wyjazdu zaopiekował, co uczynił z ochotą (pewnie z panią Ulą, która w międzyczasie zaszła w ciążę, nie tylko my nie mogliśmy już wytrzymać), po czym ekipa wyjechała podziwiać piękną krainę Jury.

- Lubię ludzi z pasją - chwalił naszą grupę tamtejszy kierownik internatu. - Bo inni, proszę ja was, tylko przed telewizorami siedzą i Calgary oglądają...

Chodziło o olimpiadę. Letnią, choć zbliżała się jesień. Co z tego, że aktualnie emitowane w telewizji zawody sportowe odbywały się w Seulu. I tak nasza ekipa poczuła się mile połączona. I uspokojona, że nie tylko u nas pracują idioci w mundurach. Podobnych miłych uczuć turyści doznali już na szlaku, choć nie chodziło o jakieś niezapomniane widoki. Po prostu napotkali chłopcy na przykład przepiękny sad, gdzie rosły przepyszne jabłka. Sad wydawał się bezpieczny, a tym bardziej bezpsi, więc spragnione witamin nastolatki zaczęły zrywać garściami owoce, z których część wrzucały do plecaków, żeby było na później.

Trzeba jeszcze wspomnieć, jak wyglądała nasza turystyczna ekipa. Każdy ubrany był w komplet moro, który uprzednio kupił za flaszkę wódki lub dwie od żołnierza-sąsiada, dostał pod choinkę od ojca oficera, względnie pożyczył od kolegi z pokoju. Bo nie można było ubrać się inaczej jak w strój bitewny, włącznie z ciężkimi buciorami, szerokim skórzanym pasem i przytroczoną doń manierką i bagnetem. Ważny szczegół: rękawy podwiniete, gdyż, mimo września, było jeszcze ciepło.

Słowem: Wehrmacht podczas kampanii bałkańskiej!

Nic więc dziwnego, że gdy po chwili jednak napatoczyli się właściciele sadu, zasuszeni staruszkowie, gospodarz i gospodyni, zamiast szczucia psem, krzyków czy wyrażania sękatym kijem odezwali się słabiutko i w te słowa:

- Te są jeszcze kwaśne, zimowe - mówili niemal jednocześnie, wskazując coś trzęsącymi się, zniszczonymi rękami. - Ale tam dalej, proszę panów oficerów, rosną dobre malinówki...

Innym razem, a było to już gdzieś w połowie liceum, zapowiedziano nam, że



pojedziemy autokarem do Trójmiasta. Mariusz Haller i Mirek Unrug od razu zaczęli cieszyć się na kilka dni w domowych pieleszach, reszta zaś organizowała naprędce fundusze, by czas godnie spędzić w portowych czy staromiejskich knajpkach.

- Chłopcy, jedziecie na wymianę - poinformował nas kierownik internatu, podpułkownik Adamczewski, kiedyśmy zaczęli naciskać na szczegóły programu eskapady.

- Wymienią nas na amerykańskich szpiegów? - zaśmiał się Tomek Langiewicz, ale Jagmin szybko zbił go z pantałyku.

- Albo na sowieckich - rzekł, ale jakoś tak bez uśmiechu. - Podejrzewam, że raczej wpakują nas wszystkich na jakiś stary okręt, który odpłynie gdzieś dalej na Bałtyk i wtedy kilka rakiet lub torped załatwi problem raz na zawsze...

No, bo już nie było wiadomo, jak jest. I jak będzie. Z nami.

Mnie osobiście słówko kojarzyło się z nie tak wcale odległymi czasami, kiedy jeździło się do Niemieckiej Republiki Demokratycznej czy do którejś z republik ZSRR, a w zamian ich pionierzy zaznawali u nas wygod i poznawali cywilizację, kupując sobie najgorsze nasze dzinsopodobne portki, w które z upodobaniem wpinali sobie potem po kilka lub kilkanaście... agrafek, zgrywając się na punków. Moje miasto wyzwoliły w styczniu 1945 radzieckie czołgi, obracając je zresztą w perzynę, bo niemieckie było, więc swego czasu przebywający nad jeziorem pionierzy odsłoniли obelisk w postaci czołgu (na oko wykonanego w Hucie Łabędy w latach pięćdziesiątych), przemaszerowawszy wolniutko a dostojnie ulicami miasta z tymi swoimi śmiesznymi pierogami na głowach.

- Do nas przyjeżdżają chłopcy z Wojskowego Liceum Muzycznego w Gdańsku - wyjaśnił wreszcie wszelkie wątpliwości inny z oficerów.

Fakt, był taki twór. I to wcale nie nowy. Wiedzieliśmy, że prócz naszych kilku ogólnokształcących liceów wojskowych, najmłodszych w resorcie, istnieje jeszcze Liceum Lotnicze, czyli przedsionek do szkółki oficerskiej w Dęblinie, gdzie chłopcy uczą się rzygać na specjalnych karuzelach czy imitatorach lotu zaraz po podstawówce. Podobną szkołę otworzyli potem w Zielonej Górze.

Teraz mieliśmy też dowiedzieć się, czy grając w wojskowej orkiestrze na werbelku lub tubie, można mieć mniej przebrane, niż robiąc za trąbę w jakimś leśnym garnizonie na końcu świata. Koleżkowie muzycy bowiem zaraz po podstawówce czy zasadniczej zawodowej zakładali, nie tak jak my, dżinsowe wdzianka, a od razu zielone, można by rzec, prawdziwe mundury. A potem dostawali od razu stopień młodszego chorążego (złamane życie i gwiazdka nadziei) i do emerytury nie robili nic innego, jak tylko dęli w puzon na defiladach, pogrzebach czy innych, jeszcze smutniejszych uroczystościach.

Podróż do Gdańska przebiegła bez większych ekscesów. Kilku próbowało śpiewać nawet jakieś stare szkolne, wycieczkowe piosenki, ale szybko kazali im się zamknąć ci, co albo odsypiali zaległości, albo planując dobrą zabawę, chcieli wyspać się na zaś. Po kilku godzinach jazdy przez budzącą się, jak zwykle z opóźnieniem, do wiosennego życia Polskę północno-wschodnią ujrzeliśmy charakterystyczny dla miasta nad Motławą rys budowli i dźwigi stoczni, za murami której na powrót wrzało.

Wkrótce nasz autokar zajechał na jakiś ciemny dziedziniec. I nie chciał jechać dalej, choć chyba wszyscyśmy życzyli sobie tego w głębi serc naszych. Smutna prawda była jednak taka, że byliśmy na miejscu...

- Alcatraz - szepnął Jasiński, zadzierając głowę.

I my zadarliśmy głowy. Wysoko. Jak ci wypuszczeni po raz pierwszy na krwawą arenę gladiatorzy, usiłujący dostrzec choć skrawek błękitu ponad niebosiężnym murem Koloseum.

- O ja pierdołę! - zaklął Mirek Bołtuć. - Dokąd oni nas przywieźli?

- Mówiłem, że tak skończymy - pokręcił ze smutkiem głową Bodek Jagmin. - Łubianka jak nic. Pewnie ma to pod spodem kilka pięt piwnic.

Gmach szkoły muzycznej nie należał do najpiękniejszych. O ile nieobcy był nam gotyck, który w naszym mieście spotykało się na każdym kroku, to już brudnożółta cegła tzw. gotyku nadwiślańskiego, tu i ówdzie porośnięta rachitycznym bluszczem, nie wzbudzała

specjalnego zachwytu. Wszystko w ogóle jakieś przykurzone, okopcone, brudne, stare. W tym samym momencie nasze szkolne budynki, na których żółty tynk wciąż jakoś dzielnie się trzymał, wydały nam się czymś najpiękniejszym pod słońcem.

- Chodźcie, może w środku będzie trochę ładniej - powiedział któryś z dyżurnych optymistów, po czym weszliśmy do środka. - Przecież artyści muszą mieć jakieś porządne warunki, co nie?

Nie dowiedzieliśmy się jednak, czy są dobre, czy nie. Zgrupowali nas w jednej ogromnej sali, gdzie upchano metalowe, żołnierskie łóżka. Piętrowo, co już na wstępie nas ucieszyło, gdyż tej zabawy od początku konsekwentnie nam wzbraniano. Ale nie wszystkim pysie się śmiały.

- Prycze piętrowe, jak w Ostaszku - mruknął Bodek, uwaliwszy się na górnym „wozie” z rękami splecionymi pod głową. - Tyle że tam mieli nawet po sześć pięter...

- W jakim Ostaszku? - zainteresował się naraz któryś z chłopaków z równoległej klasy, leżący po sąsiedzku.

- W obozie.

- Fajnie było, co? - zapalił się sąsiad Jagmina. - Może i ja bym z dziewczyną latem podskoczył. Dasz jakiś adres? A jezioro tam jest?

Nie mogliśmy dłużej poleżeć, gdyż czekały na nas atrakcje. Pierwszą był specjalny, krótki koncert dla drogiej gości, wszak znajdowaliśmy się w Wojskowym Liceum Muzycznym.

- Bacha pewnie przypierdolą - jęknął boleśnie Grześ Prądyński, znany już ze swych zamiłowań do nowoczesnego brzmienia, zwanego od niedawna muzyką alternatywną bądź garażową.

Ale nie było aż tak źle. Band składał się z kilkunastu czy kilkudziesięciu chłopaków w zielonych kadeckich mundurach, spośród których niektórzy wyglądali jak synowie pułku -

tacy mali, co pogłębiało dodatkowo to, że grali na największych instrumentach: tubie czy bębnie; jednego gostka to prawie nie było widać zza perkusji.

Bacha czy innego Mozarta, wbrew obawom nie tylko Prądyńskiego, na szczęście nam nie zaserwowali. Były za to standardy jazzowe, jakiś krótki swing, no i oczywiście coś z repertuaru defiladowego, choć też obcego, bo był „Marsz konfederatów”. Chłopaczkowie dęli w trąby, aż miło, a konus siedzący za zestawem perkusyjnym przeszedł sam siebie.

- Jakie to płuca trzeba mieć! Pewnie ich tu sto razy bardziej ścigają za palenie niż nas - stwierdził po tym wszystkim „Milimetr”.

Ale mylił się, bo cała sekcja dęta chwilę po zakończeniu koncertu robiła w oficjalnej palarni zasłonę dymną, jakiej chyba jeszcze żaden z nas na oczy nie widział.

Po doznaniach duchowych przyszedł czas na cielesne, czyli zapełnienie żołądków, więc poturlaliśmy się na kolację. Wikt miała zapewnić nam sąsiednia jednostka wojskowa. Jadłospis nie za bardzo nas zdziwił, ale serwis już, niestety, tak...

- Co się dzieje?! - zaczął naraz wołać Jurek Kutrzeba, niosący jako jeden z pierwszych talerz z bigosem w jednej ręce, a kubek z kawą zbożową w drugiej; i to właśnie ten plastikowy, biały kubek zaczął mu się nagle... wysuwać spomiędzy palców.

No bo taki był tłusty. Nauczeni doświadczeniem kolegi, zaczęliśmy brać z kupki trójkątne tacki, które u nas dawno już wyszły z użycia.

- Jak komuś masła za mało, to wystarczy potrzeć chlebem o tackę - zauważył w pewnym momencie Zajączek i była to przerażająca prawda.

Sytuację najdobitniej podsumował nasz wychowawca, pan Wiesiek.

- Chłopcy nie brudźcie, bo tu się nie sprząta - powiedział i jak zawsze był chłop uśmiechnięty, tak teraz skrzywił się, jakby rozgryzł gorzką pastylkę.

Następnego dnia udaliśmy się na zwiedzanie. Trasa dobrze znana każdej wycieczce do

Trójmiasta: przejażdżka statkiem po Motławie, wizyta na Westerplatte, gdzie 1 września 1939 roku przerwano chłopcom słodki sen o godzinie 4.45 rano, za co nie można było w nikogo rzucić laczkiem. Szczęściem obyło się bez składana wieńców pod pomnikiem, symbolizującym ponoć wbity w ziemię bagnet (znawca bagnetów i innego żelastwa, Czarek Maczek, miał zresztą na ten temat swoje zdanie), za to zrobiliśmy sobie pamiątkową fotografię pod tymże.

Pamiętam nas, cywilbandę, stojących niedbale, z prowokacyjnie, a może tylko z chłodu wsuniętymi w kieszenie rękami; niektórzy kryli za plecami tłące się papierosy, ktoś usiłował starym zwyczajem doprawić rogi stojącemu przed nim koledze, a może, z racji miejsca, w jakim się znajdowaliśmy, ćwiczył już wykonywanie gestu zwycięstwa, tak zwanej wiktorii. Niemal wszyscy roześmiani, jakbyśmy fotografowali się w Disneylandzie, nie zaś w miejscu uświęconym, które jako pierwsze spłynęło kiedyś krwią polską, żołnierską, wrześniową.

Ale my chyba o tym wtedy nie myśleliśmy. Napięta, gorąca doraźność młodości kazała wytyczać już wtedy marszrutę wieczornych eskapad po obcym a interesującym mieście czy zastanawiać się, co napisać dziewczynie na pocztówce z fontanną Neptuna, ratuszem, Dworem Artusa czy Żurawiem. Albo jaki drobiazg z bursztynu kupić jej w jednym z licznych sklepików na przedprożach staromiejskich kamieniczek. I czy wystarczy na to kasy, wszak sklepiki owe celowały zwykle w trochę inną klientelę (napisy przy drzwiach WIR SPRECHEN DEUTSCH wyjaśniały wszystko).

Potem zaliczyliśmy katedrę w Oliwie ze słynnymi organami. Do pobliskiego zoo już nie poszliśmy, ale chyba nie dlatego, że co niektórych z nas mogliby stamtąd nie wypuścić, jak to dowcipnie, po swojemu, określił któryś, może Tomek Mierosławski. Wreszcie nastąpił czas wolny na Głównym Mieście w Gdańsku, po którym można się było posnuć grupkami, rzadziej samopas, choć i tacy, amatorzy kontemplacji albo desperaci, się trafili. Z reguły jednak wszyscy szli na węd: śladem kurczaków z różną, co było dość łatwe, i piwa z beczki, w którym to przypadku już trzeba było dobrego nosa.

- Pięknie tu, co nie? - westchnął głośno Rómmel, czego nikt nie skomentował, bo i pewnie każdemu podobało się co innego.

Wałęsaliśmy się (nomen omen) przeto bez celu i pewnie czas ten niczym nie różniłby się od stu popołudni spędzonych w naszym mieście, gdyby nie dekoracje. Inne, piękniejsze dla jednych, nic specjalnego dla drugich. Bida w sklepach to tak jak u nas. Gotyckie kościoły też właściwie takie same, choć nie każdy ma może takie wspaniałe karyliony jak święta Katarzyna (jak podpowiedział któryś z naszych omnibusów). No i nie każdy kościół jest słynnym na cały kraj kościołem świętej Brygidy, bo oto przed tymże naraz stanęliśmy i ciarki przebiegły nam przez plecy.

Miałem jeszcze świeżo w pamięci opowieść Darka Waltera, który jakiś czas temu gościł u kolegi z klasy, właściwie byłego kolegi, bo tenże zrezygnował z nauki i naszego towarzystwa, a gościł właśnie w Trójmieście. A jako że weekend składa się także z niedzieli, chłopcy poszli na poranną mszę do kościoła. A raczej tylko do kościoła, bo część z bogobojnych gdańszczan w ogóle do świątyni nie weszła, tylko stała przed wejściem. Można było stan taki tłumaczyć brakiem miejsc w środku, jak i lepszymi atrakcjami, które czekały na świeżym powietrzu. No bo zomolska „lodowa” do kościoła raczej nie wjedzie. Armatki wodne też lepiej działają na chłodzie. Tylko miarowy stukot szturmowych pał o plastikowe tarcze ginął jakoś w akompaniamencie krzyków, gwizdów, a nawet i śpiewu. Miał co Walter opowiadać, choć czy mu zazdrościliśmy przygody - sam nie wiem. Niektórzy pewnie tak.

Teraz jednak nic nie zapowiadało bitwy. Weszliśmy do środka.

W świątyni było cicho. Mimo panującego tu półmroku z miejsca dostrześliśmy symbole Solidarności, którymi udekorowany był calutki kościół. Zorganizowany przy wejściu niewielki kiosk oferował w sprzedaży pamiątki: kolorowe znaczki, proporcezki czy breloczki, przede wszystkim zaś zdjęcia. Na wszystkich widniał znany nam dobrze mężczyzna z czarnym wąsem. Na jednej fotografii sam, na drugiej z liczną rodziną. Tu na audiencji u Jego Świątobliwości, tam u prezydenta-kowboja. Osobną grupę stanowiły fotografie zamordowanego kilka lat wcześniej księdza. Szczególnie dużo było tych zrobionych kilka chwil po wyciągnięciu zmasakrowanego ciała z Wisły, choć nie wiem, czy akurat te schodziły najlepiej.

Było też w kościele tym miejsce usiane wprost szkolnymi tarczami. Różne były: niebieskie podstawówek i czerwone szkół średnich. I z całej Polski.

- Szkoda, że nie mamy naszej - westchnął cicho Jagmin.

W istocie, na wycieczkę pojechaliśmy w cywilkach; chyba żadnemu z nas przez myśl nawet nie przeszło, że miałby pajacować w obcym mieście w mundurowych sortach, w dodatku jeszcze z tarczą na rękawie, narażając się na komentarze, a może nawet obicie gęby.

- A kto powiedział, że nie mamy? - chytrze zaśmiał się Darek Jasiński, po czym wyciągnął z kieszeni spodni nasze jajo z napisami, zniczem i otwartą księgą wiedzy. - Odpruła mi się i jakoś tak ciągle zapominałem przyszyć - dodał, jakby się tłumaczył.

Położyliśmy z pietyzmem nasz szkolny emblemat obok pozostałych. Możliwie na widoku, dumnie żeby było. Nikt nic nie powiedział, bo i po co.

Pozostały czas minął nam szybko i raczej przyjemnie. Kilku z nas natknęło się nawet na wielkie czerwone, hitlerowskie flagi, takie ze swastyką pośrodku, wiszące w centrum miasta; jedną z nich, dokładnie jej drzewiec, jakiś podchmielony facet na ich oczach potraktował nawet szpadlem, łamiąc na pół. Patriota! Ale zaraz go zwinęła policja, nasza, polska, bowiem okazało się, że to nie demonstracja ziomkostw spod znaku Herr Hupki czy innych odwetowców, tylko kręcą tam film wojenny, a raczej traktujących o czasach przed wojną, kiedy jedni mieszkańcy z euforią krzyczeli heil!, wyrzucając rękę w górę w rzymskim geście, inni w tym czasie barykadowali się w swoich domach.

Następnego dnia wieczorem zawieźli nas do Sopotu na zabawną sztukę teatralną, zaś późnym wieczorem gościnni kadeci-muzycy przynieśli do wielkiej sali, w której spaliśmy, telewizor z odtwarzaczem video. I puścili nam ciekawy, rozgrywający się w Tyrolu albo Bawarii film. Był to film o... życiu płciowym tamtejszych górali. Niezwykle zresztą realistyczny, co niektórzy z nas docenili bardzo, spozierając znad kołderek z wypiekami na twarzach.

A gdy w niedzielę późnym popołudniem wróciliśmy do naszego miasta i internatu, okazało się, że goszczący u nas kadeci nadużyli nieco gościnności, paskudząc w pokojach, tudzież włamując się do naszych szafek. Komuś coś zginęło i nawet nazajutrz, w poniedziałek rano, pobiegł na skargę do dyrekcji. Szybko jednak wrócił, jakiś taki niewyraźny zresztą.

- I co? Będzie śledztwo? - dopytywaliśmy się ciekawie, żądni sprawiedliwości.

- Radzili siedzieć cicho - wyjaśnił emisariusz niegłośno.

- Jak, kurwa, cicho?! Co cicho?! - zaczęli buńczucznie pokrzykiwać co niektórzy, na co koleżka nasz jeszcze bardziej ściszył głos:

- Radzili nam siedzieć cicho - powtórzył. - Dowiedzieli się, że ktoś z naszych zostawił tarczę szkolną w świętej Brygidzie...

\*

Widmo dorosłości, kiedy to życie nagle przestaje nas traktować z taryfą ulgową, zaczynało straszyć większość z nas. Jedni tradycyjnie szukali zapomnienia w alkoholu. W naszym internacie desperaci zaczęli już popijać nawet acnosan, który to specyfik lekarz przepisywał nam na pryszczę. Popularny był też czysty spirytus rozcieńczony nieco sokiem owocowym tudzież woda po goleniu marki „Partner”. Kiedyś Jacek Traugutt zadał Jaśkowi Sosabowskiemu pytanie:

- Jasiu, masz partnera?

I nie miało to żadnych podtekstów erotycznych.

Inni zaś starali się zapomnieć o bożym świecie u boku ukochanej dziewczyny, która potrafiła człowieka zrozumieć jak mało kto. Jeszcze. Jeżeli przestawała, należało niezwłocznie działać. Kiedy na przykład facecje miał ze swoją Izką Mirek Bołtuć, pomógł nasz opiekun roku. Chodziło o to, że potrzebny był samochód - nie pamiętam już dobrze do czego: czy po to, by szybciej znaleźć się pod domem sympatii, czy może żeby poczuć się jak John Travolta w filmie „Grease”.

„Milimetr” miał prawo jazdy, ale nie miał auta. Auto, i to stojące po internatem, miał za to, nie dziwota, nasz podpułkownik Wiciewicz. Poszli do niego we trzech: Bołtuć, czyli bezpośrednio zainteresowany i potrzebny, oraz dwóch asystujących jak przy uroczystym podniesieniu flagi państwowej - Krzysiek Zajączek i Jurek Kutrzeba. Szanse były marne, ale



przekonać się o tym można było dopiero próbując.

Rozmowa była ponoć krótka:

- Panie pułkowniku, potrzebujemy samochodu.

Nawet się mocno nie zdziwił. Właściwie bardzo szybko chyba nauczył się nasz nowy opiekun roku nie dziwić się niczemu, co tu zobaczył i usłyszał. I to niezależnie skąd głosy te dochodziły: z góry czy z dołu.

- To znaczy? - zapytał oficer, wstając powoli zza biurka.

- Chcemy pożyczyć auto od pana - wyjaśnił Kutrzeba, bardziej chyba dla porządku niż w nadziei na pozytywne załatwienie sprawy.

- A czy wiecie, czego się nigdy, przenigdy nie pożyczają? - zapytał wtedy Wiciewicz, po czym sam z satysfakcją wymienił owe święte rzeczy: - Otóż nigdy, ale to przenigdy nie pożyczają się żony, szczoteczki do zębów, a także...

- Samochodu - dokończył smutno Zajączek.

- Zgadza się.

Tak, to było do przewidzenia. I już mieli zrobić w tył zwrot i wyjść z gabinetu opiekuna roku, gdy ten sięgnął do szuflady i zadzwonił pękiem kluczy z jakimś breloczkiem.

- Trzymajcie. Tylko proszę przed końcem mojego dyżuru oddać auto. Najlepiej w jednym kawałku.

Można też było szarpnąć się na jakiś gustowny drobiazg na przykład. Tylko że na to potrzebne były pieniądze. My, przy postępującym zepsuciu, które często towarzyszy dojrzewaniu osobników płci męskiej, złodziejami stanowczo nie byliśmy. A że pieniędzy z wyprowiantowania, który to sposób jeszcze całkiem nieźle funkcjonował, nie zawsze wystarczało nawet na bieżące potrzeby kochanka, należało je w jakiś uczciwy sposób, w

pocie czoła i możliwie szybko zarobić.

- A ja tam i tak w dupie mam - deklarował Sosabowski, którego coraz trudniej było ściągnąć z wyra, nawet na zajęcia szkolne.

Podobnie było, gdy pytałem mojego współlokatora, czy dziś wybiera się na zajęcia plastyki czy wychowania muzycznego.

- A ile ja mam lat?

Niestety, mówił tak coraz częściej. Nawet gdy pytałem o inne przedmioty...

A zatem kasa. Jak ją mieliśmy zdobyć? Kilku chłopaków próbowało szczęścia na niedalekim targowisku, na którym coraz śmielej poczynały sobie cwaniaczki grające w trzy karty. Kilku innych wybrało stary sposób polskich inteligentów, którym widmo śmierci głodowej zaczynało w oczy spoglądać. A mianowicie sprzątanie wagonów. W nocy, na kolejowej bocznicy. Tylko że sprawa szybko wyszła na jaw. Nie wiadomo nawet jak; być może mieliśmy w swoich szeregach jakiegoś zgniłego szczura.

Jednak kadra oficerska nie miała wcale zamiaru karać przedsiębiorczych kolegów. Wręcz przeciwnie!

- Chłopcy! - zwrócił się do nas, zgromadzonych na boisku szkolnym (gdzie, Bogiem a prawdą, potrafilibyśmy się już chyba ustawić w czworobok z zamkniętymi oczami), kierownik internatu, załamawszy przy tym spracowane ręce oficera politycznego.

- Chłopcy to w hamburskim burdelu - odciął się półgłosem Darek Jasiński, ale oficer ciągnął dalej swoją tyradę:

- Doszły nas słuchy, że kilku z was... - tu w kolejności alfabetycznej wymienił nazwiska winnych, aby ci niewinni nie poczuli się czasem urażeni. - Że ci chłopcy pracują nielegalnie na stacji PKP, aby zarobić pieniądze.

- Amerykę odkrył - prychnął z odrazą Czuma. - Za darmo chyba nikt normalny nie

sprząta cudzych gówen.

- No, chyba że w wojsku - sprostowałem.

Byliśmy bardzo ciekawi, co zrobią z tym fantem, jakie to wyjście z sytuacji nam proponują. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać.

- Po konsultacjach z dyrekcją szkoły ustaliliśmy, że stworzymy wam możliwość zarobienia pieniędzy.

Ktoś w dłonie zaklaskał, a może tylko usiłował naprędce chwycić, co mu spadało. Bo nas zamurowało. Czyżby reformy dotarły i tutaj, jak karma dla psów kapitalistów Pedigree Pal czy proszek do prania Vizir? Większość pewnie już w myślach liczyła, ile na tym interesie, o którym jeszcze nie wiedzieliśmy nic, będzie w stanie zarobić. Wszyscy jednak byli jednakowo wdzięczni naszej drogiej kadrze za taki gest, być może nawet w głębi duszy rozważali odpuścić jej wszystkich lub przynajmniej części grzechów.

O tym mogliśmy się przekonać już w najbliższy weekend. W sobotę, od razu po śniadaniu, wydano nam suchy prowiant w postaci konserw mięsnych i chleba, kazano ubrać się jak do pracy fizycznej, a jednocześnie dość ciepło, po czym zapakowano do podstawionego autokaru. Wszyscy się cieszyli, tylko Tomaszowi Langiewiczowi, wiecznemu defetyście, z Katyniem się te okoliczności jakoś dziwnie skojarzyły.

- Też dali im suchy prowiant - krakał.

Postanowiliśmy jednak nie zwracać na jego pierdolenie uwagi, bo z uwagą śledziliśmy trasę przejazdu, gdyż okna mieliśmy zwykłe, szklane. Ktoś nawet zaczął podśpiewywać sobie pod nosem naszą starą piosenkę, którą wygraliśmy obozowy festiwal kilka miesięcy wcześniej.

- Stary karabin, twój brat, jeszcze zadziwi świat... - śpiewaliśmy już po chwili wszyscy.

Nawet kierowcy autobusu gęba się śmiała; być może przypomniały mu się stare

żołnierskie czasy i piosenki, nie to co teraz: panie szofer gazu, panie szofer gazu, bo pół litra jest w garażu, co mu wożeni na wycieczki gówniarze z podstawówek namiętnie fundowali.

My zaś śpiewaliśmy dalej:

- Będą znów piękne dziewczyny za wojskiem szły...

- Jak psy - dodawał tradycyjnie swoją niezbędną dołę Mierosławski.

- A że w oczy deszcz, to nic! - kończyliśmy zwrotkę i przechodziliśmy do refrenu. - Róża czerwono, biało kwitnie bez. Nikt z nas nie pęka, chociaż krucho jest!

W tym momencie autobus zjechał z szerokiej asfaltowej drogi na wąską, polną. Przed nami zamajaczyła szara ściana lasu...

- A nie mówiłem! - zatriumfował Langiewicz i zaczął się rozglądać za młotkiem lub czymś takim, by wybić szybę i spróbować uniknąć smutnego losu naszych dziadów ze wschodnich rubieży Drugiej Rzeczypospolitej.

Było już jednak za późno na jakiegokolwiek akcje, gdyż pojazd wtoczył się na dużą leśną polanę, na której czekał mężczyzna z długą brodą pustelnika, cały ubrany na zielono.

- Sam nie da rady - ocenił ktoś.

- Na pewno czekają ukryci w lesie - spekulował Bodek Jagmin, któremu szybko udzielił się wisielczy humor Langiewicza.

Ale prócz człowieka lasu nikt na nas nie czekał. Po chwili leśniczy powitał nas i przybliżył szczegóły pracy, którą mieliśmy wykonywać i za którą mieliśmy być sowicie wynagrodzeni.

- Biercie te oto narzędzie i korujecie - rzekł, pochylając się z czymś w rodzaju motyki nad leżącą u jego stóp sosnową belką. - Tam są narzędzia - wskazał ręką na przyczepę, którą po chwili odłączył od motoru, by na nim odjechać, zostawiając nas w

chmurze śmierzących spalin.

Wzięliśmy się zatem do roboty: jedni za odzieranie belek z kory, która to czynność okazała się wcale nie tak łatwa, jak nam się to z początku wydawało; inni zaś za poszukiwanie w miarę suchego i miękkiego miejsca do spania.

Tak minęła nam sobota, a potem niedziela, kiedy to leśniczy podzielił się z nami ciekawostką, że łąka, przez którą jechaliśmy, była kiedyś niemieckim lotniskiem, z którego w 1939 startowały samoloty bombardujące Warszawę. Betonowe pasy startowe zresztą jeszcze leżą, tylko że zarośnięte są grubą warstwą zielska. Pomyślałem sobie wtedy, że weekend spędzony właśnie w Warszawie to musi być dopiero coś. Pod warunkiem, że nikt w tym czasie nie zamierza jej bombardować...

W niedzielę wybrał się z nami również nasz kierownik internatu. Trochę żeby doglądać inwentarza, trochę też, żeby odetchnąć świeżym leśnym powietrzem i odpocząć od zgiełku miasta. My jeszcze tego nie potrafiliśmy docenić, ale pewnie i na to miał przyjść odpowiedni czas.

Ktoś, już w drodze powrotnej, zagadnął oficera w ważnej kwestii:

- Kiedy dostaniemy pieniądze, panie pułkowniku?

- Jakie pieniądze? - zdziwił się oficer.

- No, te, cośmy je przed chwilą zarobili - przyszli w sukurs śmiałkowi siedzący najbliżej.

- A, te - zaśmiał się pułkownik. - Zdaje się, że zostaną przelane na konto szkoły w połowie przyszłego tygodnia.

Odetchnęliśmy z ulgą. Już ktoś miał zapytać, kiedy będzie je można wypłacić w kasie, kiedy kierownik internatu wyjaśnił kwestię do końca:

- Myślę, że za tydzień będziecie mogli sobie kupić... na świetlicę, co będziecie chcieli.

Ja myślałem o jakichś reprodukcjach znanych dzieł malarstwa polskiego. Widziałem całkiem ładne w naszym domu książki, ale to już, jak mówię, od was, chłopcy, zależy...

Zapadła cisza. Tylko skrzeczące radio grało polską piosenkę. W jej refrenie ktoś śpiewał o jakichś głupkach.

\*

Jakiś czas potem, wzorem innych liceów, zorganizowano nam połowinki. Nazwa była bardzo a propos, zważywszy na to, że nie zamierzaliśmy pić z tej okazji jedynie oranżady. Impreza odbyła się w nowo oddanym do użytku klubie ucznia, dokąd z jednego z budynków dydaktycznych przeniesiono naszą kantinę, gdzie zwyczajowo uzupełnialiśmy niedobory wapnia, tłuszczu, węglowodanów i dobrych manier. Oprócz bufetu było tam jeszcze kilka pomniejszych sal i salek, które oto udostępniono nam do zabawy.

- Idziesz na połowinki? - zapytałem Jasia Sosabowskiego i skrzywiłem się, gdyż pomijając wszystko inne, nazwa ta brzmiała bardzo po przedszkolacku.

Skrzywił się i Jasiak, ale już z innych powodów.

- Pierdolę.

Też miałem kłopoty z namówieniem jakiejś desperatki i w końcu żadna nie uległa. Mogła być znajoma bardziej niż dziewczyna w sensie, o jaki by mi tak naprawdę chodziło. A tu nawet i tego nie. I trudno. Może do studniówki uda mi się jakąś namówić - myślałem z goryczą.

Tymczasem kawalerka się odstawiła, że hej! Rzecz jasna, nie w mundury galowe, które, zaczynała już pokrywać w naszych szafach gruba warstwa kurzu. Nie mówiąc już o tym, że mało kto potrafił się jeszcze wcisnąć w za ciasne portki, których magazynier wciąż nie mógł rozkompletować z kompletem, czyli marynarą. Furorę za to robiły wąskie jedwabne krawaty w bardzo jaskrawych kolorach i piramidki, czyli dekatyzowane džinsy wprost z Turcji, nabyte drogą kupna na jednym z nowo otwartych bazarów bądź wprost na ulicy.

Było skromnie, choć miło. Muzyka z kaset, jakieś wygibasy w parach na śliskiej podłodze, dowcipy opowiadane przy stole. No i ta nieustająca prezentacja swoich miłości czy miłostek, a może tylko partnerek na ten jeden wieczór. Bodek Jagmin przyszedł ze swoją Zuzią, Piotr z Agnieszką - o obu słyszeliśmy, a niektórzy znali je już wcześniej. Ale już Tomek Langiewicz prowadził się z jakąś dziwną, niemal o głowę wyższą od niego blondyną, którą przedstawiał wszem i wobec jako nową i swoją osobistą, z tym że jakoś nie chciało nam się za bardzo wierzyć w te jego rewelacje.

- No, napijmy się - rzekł Jagmin, wznosząc literatkę z przezroczystym płynem; na dnie szklaneczki perliły się bąbelki. - Następna taka okazja dopiero na studniówce.

- Obyśmy spotkali się w tym samym gronie - powiedział Piotr niegłośnie, również salutując swoją szklaneczką.

- Zdrowie! - zawołały dziewczyny jednocześnie.

Tręcili się literatkami.

- Dobrze - oceniła Zuzia. - Co to jest? Tonik?

- Tonic - rzekł Bodek, żartobliwie mrugając okiem do swojego druha.

- Mówi się tonik - poprawiła go jego połówica.

- To nic - machnął ręką chłopak, po czym chwycił za butelkę. - Czas na następną kolejkę.

- My już będziemy lecieć - powiedział Piotr, a Agnieszka już wstała z miejsca, uśmiechając się przepraszająco.

- No co wy! Jeszcze dziesiątej nie ma - oburzył się siedzący nieco z boku Tomek, a jego wysoka dziewczyna wsparła go... męskim śmiechem.

- Musimy - uciął Piotrek. - Aga ma jutro ważny egzamin.

- Naprawdę? Nic nie mówiłaś... - zainteresowała się Zuzia.

- Prawo jazdy? - dopytywał się Bodek.

- Coś w tym rodzaju - odparł Piotr w zastępstwie swojej ukochanej. - Bawcie się dobrze!

Po kilku minutach szli już wzdłuż ogrodzenia szkoły. Z otwartych okien klubu dolatywały do ich uszu strzępy piosenki Sztywnego Pala Azji „Wieża radości, wieża samotności”.

- Pewnie Prądczyński dorwał się do konsoly - zaśmiał się chłopak. - Zaraz go Jagmin z „Milimetrem” wyniosą! Chociaż jakby się uprzeć, to i przy tym można tańczyć.

- Żałujesz, że wyszliśmy?

- Przecież się umówiliśmy, Aga.

- Wiem. Tak tylko pytam.

Wtuliła głowę w ramię swojego chłopaka. Chłodny wiatr znad jeziora niósł w stronę miasta słowa piosenki:

- Na białym czarnym kreślę jakieś plany. Jutro będę duży, dzisiaj jestem mały...

Piotr parł do przodu, ciągnąc za rękę dziewczynę. Szedł, a właściwie niosła go jakaś nieokreślona siła. Gdyby zostali kilka godzin dłużej, tą siłą musiałyby być pewnie Aga. Ale teraz nie. Nie żalowali też, że wyszli wcześniej. Nie będą żalowali tego, co za chwilę się stanie. Piotr był tego pewien, choć nie był też wolny od obaw. Oczekiwanie dawało o sobie znać ścisaniem w żołądku i odrobinę miękkimi nogami, choć równie dobrze mógł to być efekt szalonego tańca. Co chwilę serce zmrażała mu niepewność na przemian z gorącem, jakie niosła bliskość ukochanej.



Opowie im. Opowie, jak tylko wróci do chłopaków. Wargami pokąsanymi i spieczonymi od całowania się na wietrze. Jeszcze oszołomiony, nieobecny, ale szczęśliwy. Albo nie. Nic nie powie! Zachowa to tylko dla siebie. I dla niej. Bo odtąd będzie już inny. Prawdziwszy.

Będzie mężczyzną.

- Nie jest ci zimno? - zapytał cicho; Agnieszka pokręciła głową.

Brodząc po kostki w świeżo opadłych żółtych i brązowych liściach, pokonali kilkaset metrów drogi wzdłuż jeziora. Od razu nadjechał autobus. Odwieczna wróżba farta. Nawet nie musieli podbiegać, zresztą Agnieszka miała na nogach szpilki, w których chyba kiepsko by to wyszło. Spojrzał na nią jeszcze, kiedy wsiadali do „jedyńki”. Mimo że byli już po połowinkach, odrobinę wymięci i zużyci, Aga nadal wyglądała oszałamiająco.

- Wiesz, słyszałem fajny kawał - odezwał się on, gdy tylko usiedli na dwóch miejscach obok siebie.

- Tylko nie świński - zastrzegła Aga.

- Nie pękaj, tylko słuchaj - zaśmiał się chłopak. - Jedzie ojciec z synem na egzamin do liceum wojskowego. Syn mówi: tata, patrz, jaka laska!

- Miał nie być świński.

- No i nie będzie, słuchaj dalej - zirytował się Piotruś. - Ojciec na to: synu, zdaj najpierw egzaminy, potem z klasy do klasy, a następnie maturę. Dopiero wtedy będziesz mógł się oglądać za laskami. No to syn, który zawsze słuchał ojca, zdał grzecznie do liceum, przeżył cztery lata i na koniec zdał egzamin maturalny.

- Już się boję - jęknęła Agnieszka.

- Matury?

- Nie. Końca twojego dowcipu.

- Nie pękaj, tylko słuchaj. W dniu rozdania świadectw wracają obaj tym samym autobusem na dworzec. Ojciec mówi: synu, jestem z ciebie bardzo dumny. Spójrz, jaka laska tam siedzi. A syn na to krzywi się: ee tam, laska. Ten kierowca jest niczego sobie...

Agnieszka długo nie mogła wydobyć z siebie głosu. Tymczasem „jedyńka”, sapiąc jak zwykle, wspinała się ku głównemu skrzyżowaniu miasta, tam, gdzie wznosiła się strzelista wieża miejskiego ratusza, od niedawna dopiero rzęsiście iluminowana. Wskazówki na podświetlonej tarczy zegara, zastępującej dziś Księżyc w pełni, wskazywały dziesiątą wieczorem.

Po chwili wysiedli. Piotr miał świetny humor. Zaczął się wygłupiać.

- Cześć! - zawołał. - Cześć, Aga!

- Jesteś, Piotrusiu - ucieszyła się Agnieszka zgodnie z konwencją.

- Dokąd lecisz?

- Umówiłam się ze swoim chłopakiem.

- Szczęściarz z niego.

Uwielbiał ten jej uśmiech, tajemniczy i odrobinę kpiarski. Nie znudził mu się jeszcze nawet smak jej ust. Przyłgął do nich chciwie, jakby nie robił tego przez lata.

- Bo mnie udusisz! - powiedziała dziewczyna, delikatnie wrywając się z jego uścisku, po czym zapytała, jakby z przyzwyczajenia - Ile masz czasu?

- Całą noc - odparł cicho.

- Tylko tyle?

- I całe życie.

Po kilku chwilach kobieta siedząca na portierni hotelu spisywała dane z nowiutkiego dowodu osobistego pana Piotra.

- A ta pani? - zapytała, nie podnosząc wzroku.

- Wejdziemy razem tylko na chwilę, żeby zostawić bagaż, a potem idziemy zwiedzać miasto - wyrecytował chłopak, nie spuszczając ani na chwilę wzroku ze swojego dowodu tożsamości.

Portierka nawet nie mrugnęła powieką. Nie spojrzała też na bagaż: czarną torebkę Agnieszki. Z kamienną twarzą zainkasowała należność za nocleg. Po chwili młodzi szli na górę po krętych drewnianych schodach. Wciąż trzymali się za ręce.

- Co ci przyszło do głowy z tym zwiedzaniem miasta? - zapytała. - Myślałam, że zaraz parsknę śmiechem.

- Przecież to jest dom wycieczkowy - tłumaczył Piotr. - Zresztą, myślisz, że oni pierwszy raz mają takich gości jak my?

- Nie wiem.

- Już jesteśmy. Ostatnie piętro - sapnął chłopak.

Spocony w dłoni klucz szybko znalazł dziurkę zamka i przekręcił się z łatwością. Drzwi pokoju uchyliły się z cichym skrzypnięciem. Po raz ostatni Piotrowi przebiegł przez plecy zimny dreszcz. Serce uspokoiło swój bieg, oddech wyrównał się.

Hotelowy pokoik urządzony był ze schludną poprawnością. Drewniane, dość szerokie łóżko, obok szafka nocna, we wnęce szafa na ubrania - wszystko wykonane z takiego samego drewna i w podobnym, prostym i użytkowym stylu. W niewielkim okienku, przez które zapewne przed paroma setkami lat spoglądali strażnicy czuwający nad spokojnym snem mieszkańców grodu, a potem więźniowie, widać było wieżę ratusza.

Piotr uchylił okno, wpuszczając trochę powietrza. Zegar na wieży wybił właśnie kwadrans po dziesiątej wieczorem

- Ładnie - oceniła Agnieszka, rozglądając się po pokoju. - Całe życie mieszkam w tym mieście, a pierwszy raz tutaj jestem.

- To chyba normalne - powiedział chłopak. - Po co miałabyś tu przychodzić?

- Choćby po to - powiedziała, odwracając się gwałtownie.

Objęła go ramionami za szyję i wpiła się w usta, aż zabrakło mu tchu. Całowała ukochanego po policzkach, brodzie, oczach, czole. Długie palce jeszcze zimnych rąk Agnieszki zatopiły się w jego włosach, delikatnie szarpały płatki uszu, obejmowały szyję, pieściły kark i plecy. Przyłgnęła mocno do jego ciała, tak że dokładnie poczuł na nim twardość jej piersi.

- Kochana, kochana moja... - szeptał.

Opadli na łóżko, aż zatrzeszczało. Wciąż byli w odświętnych strojach: on w jasnej marynarce, koszuli i różowym krawacie, Aga zaś w granatowej sukience w drobne grochy, jednak nie zaprzęтали sobie tym głów. Zaczęli rozpinać guziki i haftki. Plątały się rękawy, strzelały naciągnięte gumki, ale przyjmowali to z cichym śmiechem. Bezładnie i zachłannie, coraz szybciej. Odkrywali siebie. Po raz kolejny, po raz pierwszy.

- Ale pamiętaj - odezwała się nagle dziewczyna, odrywając na chwilę usta od twarzy swojego kochanka.

- Co? - przestraszył się Piotr.

- Tylko na chwilę.

- Jaką chwilę? I co potem?

- Potem idziemy... zwiedzać miasto!

Kochał ją właśnie za to. Kochał ją z całych sił, jak tylko potrafił swoim osiemnastoletnim sercem. Targanym sprzecznościami, wrywającym się czasem do przodu jak głupie, innym razem niemal przycajonym jak truchlejący zając, jakby ostatecznie i nieodwracalnie zatrzymało swój bieg.

- Dobrze powiedziane - zgodził się, gryząc ją lekko w ucho. - Idziemy zwiedzać.

- Spokojnie, powoli, kochany mój... - szepnęła, ale wyraźnie wyczuł w jej drżącym głosie cień obawy.

- Mamy czas - mruknął uspokajająco.

- Ile?

- Mamy całe życie.

Wiedział już, że dziś, za chwilę zmieni się całe jego życie.

Zegar na ratuszowej wieży wydzwonił godzinę pierwszą w nocy. O parapet zabębniły ciężkie krople deszczu. Nagły powiew trzasnął oknem, szczęknął poruszony skobelek. Woda zaszemrała w starych rynnach. Gdzieś w oddali zawył przeciągle silnik nocnego autobusu albo jakiejś spóźnionej ciężarówki. Czyjeś wysokie obcasy zastukały na bruku Starego Miasta, który niedawno odsłonięto spod kilku warstw asfaltu. Aga zamruczała coś przez sen, przewracając się na drugi bok jak kotka.

Piotr otworzył oczy. Nie mógł uwierzyć, że to się wreszcie stało. Że ta dziewczyna, jego dziewczyna, a od dziś już kobieta leży tu teraz z nim. Był pewien, że nigdy, przenigdy nie dopuści do tego, żeby mogło być inaczej. Delikatnie dotknął jej włosów rozrzuconych na poduszce.

Nagle zabrakło mu tchu, a gołe stopy ogarnęło gorąco, jakby nieoczekiwanie postawiono go na rozżarzonych węglach. Krtań ścisnął mu lęk. Nie potrafił go nazwać ani

tym bardziej odpędzić.

I nie zasnął już do rana.

\*

Któregoś dnia podczas przemieszczania się z jednego budynku dydaktycznego do drugiego Bodek Jagmin zwierzył mi się:

- Wiesz, zmora mnie w nocy męczy.

Rzeczywiście, nie był ostatnio w najlepszej formie. Kilka dni znów spędził w izbie chorych po dotkliwym upadku na głowę z dość dużej wysokości. Czyżby jeszcze odczuwał jego skutki? Nie mogliśmy jednak dłużej pogadać, bo znów nauczyciele poczuli zew edukacji i zaczęli solidnie dobierać nam się do skóry. Dopiero po jakimś czasie mogliśmy wrócić do tej rozmowy.

- Wiesz, siada mi coś na piersi i nie daje złapać tchu - powiedział Bodek.

- Byłeś u lekarza? - zapytałem.

- Mam dość płukania gardła i witaminy B na całe życie.

- To prawda.

- Chyba skończę jak ojciec - jęknął, chwytając się za serce.

- Daj spokój.

- Mówię ci.

Oddychał ciężko, nawet teraz, w dzień. Opowiedział mi, że w nocy staje się to nieznosne. Nie może zasnąć, przewraca się tylko z boku na bok na metalowym, skrzypiącym łóżku, budząc przy tym ciągle Maćka Czumę, bo od kilku miesięcy mieszkali tylko we

dwóch.

- A czasami, jak się budzę, widzę kogoś, kto siedzi przy moim biurku - powiedział, nie wiedzieć czemu, szeptem. - Siedzi, głowę trzyma w dłoniach, wiesz? Jakby czymś się martwił.

- To Czuma nie ma swojego biurka? - zdziwiłem się, również szeptem.

- Maciek śpi. To ktoś inny.

- Kto?

- Duch.

Zaśmiałem się. Ale chyba tylko po to, żeby nie czuć dreszczy, których seria przebiegła mi przez plecy. Po chwili jednak przyszło otrzeźwienie. Duch? Jaki, u licha, duch? Książek się głupich Bodek naczytał, filmów video naoglądał albo jeszcze ma powikłania po tym upadku z wysokości.

- Chrzanisz - powiedziałem.

Tylko się skrzywił. Ale dał mi do myślenia z tym duchem, nie ma co. Sam nie mogłem długo zasnąć. Jasiek już dawno chrapał, a ja nic - o duchu myślałem. Ciekawe, czyj ten duch. Czemu siedzi przy biurku, a nie na przykład chodzi po piwnicach, podzwaniając łańcuchem. Powinien wstać i iść straszyc, jak na prawdziwego upiora przystało.

No, wstawaj, stary!

Wstał.

Śmiechu warte.

Nie widzę jego twarzy. Jest drobnej budowy ciała. Ubrany w szarozielone, mundurowe spodnie, białą koszulę. Oto zakłada na nią mundurową bluzę z czarnymi

epoletami. Szeregowiec. Na nogach skórzane buty, ale wysokie tylko do kostek. Gwoździe wbite w zelówki stukają w takt kroków. Bo idzie, ale wciąż z twarzą ukrytą w cieniu. Idzie korytarzem. Naraz przed nim otwierają się drzwi, w przejściu staje dwóch, tak samo ubranych, ale w rozpiętych mundurach.

- Dokąd to, Polaczku?! - krzyczy po niemiecku jeden z nich, wyższy, z sumiastym, podkręconym wąsem.

Duch mój nie reaguje jednak na zaczepkę i mija ich bez słowa. Idzie, pochylony ku przodowi, jakby zaraz miał biec, jakby był w amoku.

- Stój, jak do ciebie mówi feldfebel! - wrzeszczy za nim drugi, ryżawy, z przedziałkiem pośrodku głowy. - Ty polski psie!

Padają inne wyzwiska, niczym ciskane kulki śniegu. Ale tylko obijają się o sztywne, wyprostowane plecy idącego i spadają w dół, by za chwilę roztopić się bezpowrotnie, zamienić w brudną maź. Podoficerowie bełkoczą coś jeszcze, ale żaden nie rzuca się w pogoń. Po chwili znikają za drzwiami izby, z której wyszli. Na korytarzu zostaje po nich tylko trochę dymu z papierosów.

Widziany przeze mnie mężczyzna idzie po schodach, trzymając się poręczy. Nie, nie dotyka jej. Tylko unosi nad nią nieznacznie dłoń.

- Sigemund - woła ktoś za nim przyjaźnie.

Nie odwraca się, nie zatrzymuje.

- Sigemund! - wołanie się powtarza.

- Zygmunt - odzywa się na to mężczyzna-duch.

I to są jego pierwsze słowa. Głos ma mocny, zdecydowany, choć odrobinę jeszcze chłopięcy.



- Niech ci tam będzie, uparty Warmiaku - mówi ten ktoś, wychodząc z cienia.

Blondyn, wysoki, szczerze uśmiechnięty. Bez zarostu.

- Dokąd idziesz? - pyta.

Brak odpowiedzi.

- Jeśli za potrzebą, to już nie musisz ganiać na zewnątrz - mówi, podzwaniając pękiem kluczy na dużym kółku. - Właśnie otworzyłem nocne latryny.

Jakby na potwierdzenie tych słów z niewielkiego pomieszczenia w rogu korytarza wychodzi żołnierz z wyraźną ulgą malującą się na twarzy.

- Muszę odetchnąć świeżym powietrzem - rzecze po chwili żołnierz nazwany Sigemundem-Zygmuntem i przez jego twarz przebiega coś jakby uśmiech.

- To w porządku. Wracaj zaraz.

Ale on wie, że już nie wróci. I ja to wiem, że on wie.

- Żegnaj, Jurgen - mówi cicho, jakby do siebie.

Mija kolejne piętra, przez nikogo niezatrzymywany. Wychodzi na zewnątrz. Zgniły zapach tataraku, który niesie wiatr znad jeziora, miesza się z wonią gotowanej na jutro kapusty, której człowiek ten już nie skosztuje. Kilka latarni gazowych skąpo oświetla plac apelowy, kilkadziesiąt metrów dalej, koło budynku sztabu, płonie ogień. Dochodzą stamtąd jakieś głosy. Bliżej, w budyneczku kryjącymienne latryny, ktoś pokrzykuje gniewnie. Ale on już tego nie słyszy. Choć słucha, nie rozumie. Nie chce. Nie potrafi. Przebiega na ukos przez plac; podkute buty stukają o kamień. Ale tego też nie słyszy. Przedziera się przez zarośla, dopada sekretne przejście w murze koszar. Chwilę nasłuchuje, czy nie nadchodzi wartownik. Przepiska się przez dziurę, zbiega po zboczach, po chwili jest na ulicy.

- Paul? - w mroku dobiega wysoki kobiecy głos.

- Nein.

Dziewczyna oddała się ze stukotem obcasików, oglądając się bojaźliwie, jakby bała się, że będzie ją gonił i nagabywał w zastępstwie wywołanego Paula. Nie udaje mu się nawet zobaczyć jej twarzy, ocenić, czy ładna jest, czy brzydka. Czy szczęście ma ten jej Paul, czy może pecha straszego.

- Jezu, co ja robię? - pyta głośno sam siebie, ale i tych słów już nie słyszy.

Z daleka dobiega szczekanie psa. To pewnie owczarek pana Tschetschki, który mieszka w małym domku nad jeziorem. Czuć już wyraźnie zapach jeziora, szum sitowia słyhać. Tak! Słyhać. Podeszwy z wbitymi gwoździami trafiają na miękkie podłoże. Po chwili chlupot rozmięklej ziemi, więc buty ciężko oderwać od podłoża. Mężczyznę przeszywa zimny wiatr, a może to strach. Szorstkie trawy chwytają za sukno spodni na tydkach, sięgają wyżej.

- Nie dostaną mnie - powtarza głośno, a głos jego huczy mu w uszach, sprawiając wrażenie, jakby był głosem należącym do kogoś innego. - Już nie! Nie! Nie...

Lekko ugina nogi w kolanach, pochyla się do przodu. Skacze.

Woda obryzguje go do pasa; momentalnie wsiąka w materiał spodni, przez co zaczynają one ciążyć niczym ołów. Mężczyzna rusza przed siebie; pod stopami czuje nierówną powierzchnię, ale mimo to śmiało wstępuje coraz głębiej w ciemniejszą toń. Mimo że jest noc, mruży oczy. Kolejny powiew życiodajnej wilgoci wciska się w nozdrza, w małżowiny uszu, pod powieki.

- Kyrie eleison. Chryste eleison. Kyrie eleison - szepcze i słów własnych już znów nie słyszy. - Od sprzeciwiania się uznanej prawdzie chrześcijańskiej zachowaj nas, Panie. Od zatwardziałości serca zachowaj nas, Panie. Od gniewu, nienawiści i wszelkiej złej woli zachowaj nas, Panie.

Wieje zimny wiatr, marszcząc powierzchnię wody. Jezioro zapamiętało młascze o

brzeg, jakby było zgłodniałe.

- Od zła wszelkiego zachowaj nas, Panie - szepcze dalej mężczyzna. - Od powietrza, głodu, ognia i wojny, i od szatana, który w dom przychodzi i dusze zwodzi, zachowaj nas, Panie. Od nagłej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas, Panie. Od nagłej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas, Panie. Od nagłej i niespodziewanej...

Kiedy poziom wody sięga piersi, człowiek zatrzymuje się. Odrywa stopy od dna, macha rękami w zimnej toni, znów miękko staje na nogach. W pewnej chwili gwałtownie odbija się od podłoża, zgina w pałąk i wbija w toń głową i rękami złożonymi jak do modlitwy. Nurkuje ukośnie, woda za nim kotłuje się, rozbijana pracą stóp. Oddycha równo, w rytm ruchów ramion rozgarniających zimną wodę wszystkimi siłami. Oczy ma otwarte; prze wciąż w głąb, w mrok - coraz większym wysiłkiem ramion i nóg, wbrew okrągłej, ciemnej jak przypalone szkło otchłani.

Już wie wszystko: w jednej chwili czuje wszystko, czego nie rozumiał, zrozumiał, czego pragnął, zapragnął, czego już nie czuł. To wiedział...

Ocknąłem się z zimna. Był środek nocy. Okno otwarte. Sosabowski spał nieporuszony. Lampka na moim biurku paliła się. Wstałem i wyłączyłem. Zanim położyłem się z powrotem na pryczy, wyjrzałem jeszcze raz przez okno. Wiatr się wzmógł i ciarki przeszły mi po plecach.

Zamknąłem okno czym prędzej i wskoczyłem pod kołdrę. Długo jednak nie mogłem zasnąć.

\*

Czas płynął, a my rośliśmy. Jeszcze. Niektórzy wszcz, gdyż wikt jakoś ostatnimi czasy dziwnie się poprawił, w czym z natury podejrzliwi wietrzyli aferę, że może nowy rząd zechce nas teraz wysłać na wojnę ze Związkiem Radzieckim, niedawnym sojusznikiem, i raz na zawsze pozbyć się problemu. Albo dwóch za jednym zamachem. Inni koledzy zaś rośli wzdłuż. Pozycji „Milimetra” zaczął zagrażać niebezpiecznie Wojtek Dreszer, ale żaden z nich nie wykazywał w tej dla wielu ważnej kwestii żadnych emocji. Mirosław Bołtuć zresztą i tak

był spośród nas najstarszy i to nie miało raczej szans się zmienić. Jako pierwszy obchodził swoją osiemnastkę. Byłem jednym z zaproszonych gości.

- No to może toaścik? Zapraszam - pan Bołtuć wskazał szerokim gestem, jakbyśmy w istocie znajdowali się w jakichś eleganckich wnętrzach, nie zaś w internacie, na stoliczek od telefonu, na którym ustawiono w szeregu buteleczki z żółtym płynem, zapewne sokiem pomarańczowym.

Odśpiewaliśmy zwyczajowe „Sto lat”, po czym skosztowaliśmy napitku.

- Wóda - skostatował Darek Jasiński.

- Kupilem całą skrzynkę takich gotowych drinków - odparł z nieskrywaną dumą jubilat. - Pijcie, pijcie, panowie. Nie co dzień kończy się osiemnaście lat.

No to się napiliśmy - niektórzy ze smakiem, inni, mniej wprawieni w bojach, krzywiąc się. Po chwili ktoś zapukał do drzwi pokoju. Potrafiliśmy już rozpoznawać wychowawców po ich pukaniu, a wielu nawet po krokach. Jedno zdecydowane uderzenie pasowało akurat do pana Wieśka, jednego z naszych ulubionych wychowawców. Mimo to któryś z biesiadników ryknął po swojemu:

- Wlazł!

To był w istocie on, pan Wiesiek. Ryżawy blondyn o miłym uśmiechu. Lubiliśmy go bardzo. Jednym imponował swoim umięśnieniem i tym, że często organizował nam wycieczki, innym zaś poczuciem humoru. Potrafił na przykład zupełnie na serio uczyć nas... spuszczenia wody w klozecie i cichego zamykania drzwi.

Mimo zaproszenia jak do stodoły, nie przejął się.

- Co robicie, chłopaki? - zapytał z uśmiechem, zamykając za sobą starannie drzwi.

- Mirek kończy osiemnaście lat - pospieszył z wyjaśnieniami Zajączek.

- Wszystkiego najlepszego - wychowawca potrząsnął prawicą „Milimetra”, ten zaś, niewiele myśląc, zrewanżował się jedną z buteleczek.

- Proszę.

Struchleliśmy. Wychowawca pociągnął spory łyk, po czym skrzywił się:

- Trzeba było powiedzieć, że to nie jest fanta...

I wyszedł z buteleczką w dłoni, mimo wszystko śmiejąc się pod nosem.

To było niemal rok temu. Teraz obchodziliśmy własne osiemnastki, jedni z wielkim hukiem, inni w zaciszu domowym i tylko z najbliższą rodziną. Na tę okoliczność szkoła również przygotowała każdemu z nas miłą niespodziankę. Otóż gdy tylko przekraczaliśmy tę magiczną granicę i odbieraliśmy w swoich miastach dowody osobiste, wzywali nas do dyrekcji, sadzali przed stolikiem i dawali nam do ręki długopis, mówiąc łagodnie:

- Podpiszcie.

Dokument, podobny do tego, który lata temu, przed podjęciem przez nas nauki w szkole, podpisywali nasi rodzice. Że jeśli nie podejmiemy dalszej nauki w szkolnictwie wojskowym, mają zwrócić armii pieniądze. Teraz pewnie armia chciała mieć zabezpieczenie również w postaci naszego podpisu. Cyrograf po prostu. Dobrze, że nie krwią, choć znalazłyby się pewnie świry, które by to zrobiły z ochotą. Żeby tylko coś się działo.

- Dziękuję. Sto lat - powiedziała pracownica administracji, a ja w chwilę po parafowaniu umowy dopowiedziałem sobie po cichutku:

- Byle nie w armii...

A potem już było normalnie. Powroty z miasta na ramionach kolegów i straszenie lwa w łazience. Wyszukane prezenty, również z sex shopów, bo i takie zaczęły się pojawiać, w końcu mieliśmy już wolny rynek i zaczątki kapitalizmu. Szaleństwa jednym słowem. Ale przecież osiemnaście lat kończyło się tylko raz w życiu.

Ale jeden z nas zrobił sam sobie prezent, o którym nikt nawet by nie pomyślał. Nieco spóźniony, ale zawsze. Nasz Piotr. Któregoś dnia wychodził z internatu odwalony jak na własne wesele. Staliśmy akurat sporą grupką przed budynkiem internatu, zastanawiając się, co dziś ze sobą zrobić. Zapytaliśmy, dokąd idzie. Odpowiedział, że bierzmować. Wyraziliśmy aplauz. I natychmiastową gotowość do wymarszu. Nieważne nawet było, kogo mieliśmy dzisiaj wybierzmować.

- Tylko po co tak się wystroiłeś? - zapytał Czuma. - Nie szkoda ci nowego gajerka na dym?

- Ale ja naprawdę idę bierzmować. Się! Do kościoła. Tak jak w ósmej klasie - sprostował chłopak, lekko zawstydzony.

- Ja wiem, o co chodzi - rzekł Kutrzeba. - Przecież nie każdy wtedy mógł przystąpić do sakramentu, bo takie były czasy.

- U nas nawet były kłopoty z pierwszą komunią - przypomniał sobie Jagmin.

- Pierwszą komunię przyjąłem wczoraj - wyjaśnił Piotr.

Znów nas zatkało.

- A ochrzciłem się w tamtym tygodniu - zakończył z uśmiechem, poprawiając krawat.

Okazało się, że rzeczywiście. Wszystkie te ważne decyzje podjął sam, jako osoba pełnoletnia. Od początku do końca, świadomie. Ku początkowemu zdziwieniu, a następnie wielkiemu zadowoleniu jakiegoś miejscowego plebana. Nikt z nas w ten sposób nie uczcił swojej osiemnastki. To było naprawdę coś!

Któryś podszedł do sprawy bardzo sceptycznie, bo tylko wzruszył ramionami i rzekł:

- Tyle to i nawet ja nie potrafiłbym wypić.

\*

Zapach kadzidła, butwiejących tkanin kościelnych sztandarów i drewna, którego było wiele w każdej świątyni, zawsze wzbudzał w nim lęk. Bał się figur świętych i starych obrazów. Teraz jednak przepelniał go wewnętrzny spokój. I mimo że sytuacja była szczególna, przed którą każdy człowiek chyba czułby co najmniej tremę, Piotr oddychał spokojnie. Obok siebie miał bowiem swoją Agnieszkę, która ani na chwilę nie puszczała jego dłoni. Popołudniowe słońce wpadało do wnętrza katedry garnizonowej przez kolorowe szybki witraży. Oprócz nich w świątyni nie było nikogo.

Wszystko udało się załatwić w kilka tygodni. Z księdzem Marianem zrozumieli się od pierwszej chwili, a fakt, że Piotr był uczniem liceum wojskowego, jeszcze bardziej uprościł sprawę. Piotrek nie za bardzo wyobrażał sobie sytuację, w której przystępuje do pierwszej komunii świętej razem ze zgrają drugoklasistów, co gorsza w towarzystwie ich rodziców, a potem idzie na bierzmowanie z ósmoklasistami. Na szczęście tak się nie stało. Do świątyni zaczęli schodzić się ludzie. Z reguły była to młodzież, licealiści i studenci, choć nie zabrakło i starowinek z sąsiedztwa. Rozpoczęły się wielkopostne rekolekcje. Od strony zakrystii wszedł uroczyście uśmiechnięty ksiądz Marian. Ubrany był w szaty liturgiczne. Piotr i Aga wstali z ławki, cały czas jednak trzymając się za ręce. Wyglądali raczej na parę młodą.

- Spokojnie - szepnęła dziewczyna.

- Jestem spokojny - odparł równie cicho Piotr, ale głos mu wyraźnie drżał.

Najpierw mówił ksiądz, potem były jakieś śpiewy przy gitarze, w wykonaniu jakiejś grupy oazowej. Wreszcie ksiądz Marian dał znak Piotrowi.

- Powodzenia - szepnęła dziewczyna.

Chłopak podszedł do ołtarza, przyklęknął, przeżegnał się. Po chwili stanął za pulpitem, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki złożoną na czworo kartkę. Odchrząknął. Kapłan znów skinął przyzwalająco głową.

Piotr zaczął czytać. Początkowo w każdej niemal wypowiedzianej przez niego sylabie

wyraźną nutę grała trema, jednak szybko ustąpiła i od ścian gotyckiej świątyni odbijał się głos mocny, zdecydowany. Głos przyszłego podchorążego, a potem oficera.

- O nim to świadczą wszyscy prorocy, iż każdy, kto w niego wierzy, dostąpi odpuszczenia grzechów przez imię jego. A gdy Piotr jeszcze mówił te słowa...

W tym momencie Agnieszka nie wytrzymała i zachichotała. Na szczęście zrobiła to tak cicho, że nikt jej nie usłyszał. Na szczęście nie widział jej w tym momencie jej chłopak, skupiony na odczytywaniu tekstu:

-...zstąpił Duch Święty na wszystkich słuchających tej mowy. I zdumieni się wierni żydowskiego pochodzenia, którzy z Piotrem przyszli, że i na pogan został wylany dar Ducha Świętego. Słyszeli ich bowiem, jak mówili językami i wielbili Boga. Wtedy odezwał się Piotr: czy może ktoś odmówić wody, aby ochrzcić tych, którzy otrzymali Ducha Świętego jako i my? I rozkazał ich ochrzcić w imię Jezusa Chrystusa. Wtedy uprosili go, aby pozostał u nich kilka dni.

Jeżeli Piotr nie do końca jeszcze wierzył, że oto w tak krótkim czasie i w tak nietypowy sposób udało mu się zostać pełnoprawnym wiernym Kościoła katolickiego, dzięki czemu kolejna przeszkoda na drodze do szczęścia z jego ukochaną Agnieszką została pokonana, to wierzył z całych sił, że tego wspólnego szczęścia czeka ich więcej niż kilka dni.

\*

Jak bardzo człowiek hardział, świadczyło najlepiej przyznawanie się do wszelkich grzechów i grzeszków. Począwszy od sławnej akcji przeniesienia malucha dyrektora szkoły i wstawienia go między dwa drzewa. Przyznałem się wtedy, jako jeden z trzech. I od razu tego pożałowałem.

W tej samej chwili trwało bowiem zebranie rodziców, czyli tak zwany najazd stonki ziemniaczanej. Sprawa samochodu spowodowała zwołanie nas wszystkich na apelu. Ówczesny dyrektor szkoły kazał wystąpić sprawcom kawału. Wystąpiliśmy. Tylko że pan dyrektor wcale nie miał zamiaru żartować. Uświadomiliśmy to sobie dopiero w chwili, gdy zaraz po nas kazał wystąpić... naszym rodzicom! Nieszczęściem ojciec był wtedy w pobliżu,



no to wystąpili ze staruszkami innego z kumpli. Takim to prostym sposobem podpułkownik wziął odwet za swoje straty (coś się chyba naderwało w tym jego postrachu szos), poniżając na oczach wszystkich dwa pokolenia jednocześnie.

Nie wiedziałem, co z oczami zrobić. Wtedy i nawet później. W skórę co prawda nie dostałem, choć pewnie wolałbym to niż pełne wyrzutu spojrzenia pod tytułem „A tak na ciebie liczyliśmy”. Sprawa stała się głośna. Kilka godzin po tym całym zamieszaniu jedna ze starszych wychowawczyń, dowiedziawszy się wszystkiego z opowieści innych pedagogów, zajrzała do pokoju i westchnęła tylko:

- Cóż, do odważnych świat należy.

Ale póki co skurczył się bardzo. Nie chciało mi się nawet z budynku wychodzić.

- No i po jaki chuj się przyznawałeś? Przecież tylu was tam było... - mówili kumple z klasy i nie tylko, ale ja nie znałem odpowiedzi.

Nie tylko skórzany pejcz w rękach kata, oblepiany coraz to nową krwią ofiar, grubieje z czasem i twardnieje. Skóra ludzka też ponoć grubieje od bicia. Uodparnia się na razy. Któregoś dnia, kilka miesięcy po tamtych wydarzeniach, gdy siedząc w otwartych oknach szkoły, zauważyliśmy, że drogą do budynku dyrekcji maszeruje obciążonych walizkami i plecakami dwóch nowych podchorążych, czyli bażantów, wrzasnęliśmy na nich nie inaczej jak właśnie:

- „Bażanty”. Idą „bażanty”!

Nie było w tym zresztą żadnych złych intencji, po prostu - tak się popularnie mówiło o chłopakach po wyższych studiach, którym długich pięć lat spędzonych pośród ładnych pań i pijackich imprez w akademikach (a jakaż to mordęga!) potem przez pół roku wynagradzało wojsko polskie. Nazwa pochodziła od kolorowego obszycia pagonów, a dwaj panowie podchorążowie przyjechali do nas najpewniej na praktykę.

- Hej, „bażanty”!

Chyba nam wtedy nawet odmachali. A może nie, z zaciśniętymi ustami i pięściami szli dalej? Trudno o szczegóły po latach. Pamiętam za to, że chwilę po zakończeniu lekcji kazano nam się zebrać na placu apelowym. Dyrektor nie zamierzał długo ukrywać, co mu leży na wątrobie.

- Ci, którzy przywitali nowych podchorążych, krzycząc z okna, tu, do mnie - powiedział tym swoim kozim głosem i nawet dokładnie wskazał palcem miejsce, gdzie mieliby się ustawić.

To była nasza klasa. A właściwie tylko jej połowa, bo w chwili, gdy z okna padły okrzyki, trwała przerwa przed językiem obcym, a te mieliśmy przecież w grupach. Łatwo było to ustalić. Z jednej strony podejrzanych mało, bo piętnastu, z drugiej - weź i znajdź. Ilu zmieści się w otwartym oknie? Pięciu, siedmiu? Krąg winnych zaczyna nam się szybko zawężać. Ale dajmy im szansę, niech się sami przyznają. Przecież do odważnych świat należy!

- I tak wiemy, kto to zrobił - rzekł ówczesny dyrektor szkoły od niechcienia, co było starą sztuczką, na którą już się nie chcieliśmy dać nabrać.

Chwila grozy ciągnęła się w nieskończoność. Ja jednak odczuwałem wyjątkowy spokój. Bo choć także i ja stałem w otwartym oknie i wesoło krzyczałem do podchorążych, wiedziałem, wiedziałem to dobrze, że ani nie wyjdę przed szereg i nie zajmę wyznaczonego mi miejsca ze spuszczoną głową, ani nawet jeśli zrobi to ktoś i na torturach albo od razu wyjawi nazwiska współwinnych, nie przyznam się i będę szedł w zaparte. Do niczego się nie przyznam. Nie, już nie i nigdy nie!

Jakiś czas potem na ekrany naszych kin wszedł głupi polski film, w którym jeden bardzo kiepski aktor wypowiedział kiepsko, ale bardzo znamienne słowa: „Nigdy się nie przyznawaj. Jak znajdą pieniądze w twojej kieszeni, mów, że to pożyczone spodnie. Jak złapią cię za rękę, mów, że nie twoja ręka. Nigdy się nie przyznawaj”. Ja wiedziałem to już wtedy.

Nikt nie wystąpił przed szereg. Dyrektor, tak pewny swego, bez słowa i z głupią miną ruszył w kierunku swojego gabinetu. A z nowymi bażantami szybko się zaprzyjaźniliśmy.

I była jeszcze trzecia historia, wcale głośna afera, do której miałem się przyznać. Nadszedł czas murów. Niektóre burzono, o innych śpiewano przy gitarze. W tamtych czasach mury też krzyczały - słowami, hasłami, symbolami. Któregoś dnia na video obejrzelismy film Parkera „The Wall”, będący jednym wielkim teledyskiem zespołu Pink Floyd.

Różnie na to zareagowaliśmy: jedni postanowili, że nigdy już nie wezmą do ręki pistoletu, a co wyniknie z tej odmowy, to już ich nie obchodzi, ważne, że pozostaną wierni sami sobie; innym z kolegów bardzo spodobał się przedstawieni w filmie naziści - szczególnie angielski muzyk Bob Geldof, grający główną rolę, który w pewnym momencie golił sobie przed lustrem głowę, a nawet klatkę piersiową i brwi.

A ja? Dużo wcześniej zauważyłem, że nasze szkolne korytarze upiększają oszklone gabloty. Nie była to żadna nowość. Tylko że w innych liceach zwykle wisiały w nich zdobyte przez reprezentantów szkoły trofea, nagrody, dyplomy, względnie fotografie z eskapad, jeśli gablotą zajmowało się akurat szkolne koło PTTK. A u nas jakoś wszystkie wydawały się zapomniane, choć też nie do końca. Bo to na przykład w gazetce kółka fotograficznego ktoś dowcipny zamienił głowę przemawiającego na inauguracji roku szkolnego, byłego już dyrektora z inną częścią ciała jednego z kolegów, który, przypadkowo czy z ochotą, dał się sfotografować w toalecie w pewnej intymnej sytuacji fizjologicznej.

A tak poza tym, to nic. Nie wiem, co mnie natchnęło, by zagospodarować jedną z takich gablot, wiszącą na pierwszym piętrze.

Byłem wtedy sam w pokoju. Koncepcja wpadła mi do głowy od razu - czerwone cegły muru, a na nim wypisane hasła. Zdobicie kartonu, farb i pędzli nie mogło być kłopotem dla ucznia, który wciąż miał w planie lekcji przedmiot zwany wychowaniem plastycznym, choć nikt już chyba nie miał złudzeń, że zdoła nas wychować, a co dopiero plastycznie... Spodobała mi się widziana gdzieś okładka płyty grupy Dezerter, przedstawiająca profile członków zespołu tak, jakby to byli wodzowie rewolucji. No to namalowałem z łatwością takich Lenina, Marksa i Engelsa z fryzurami na irokeza i gwiazdkami na policzkach. Dobrze komponowali się z innymi wywrotowymi graffiti, które spotykało się w mieście, a które z pamięci udało mi się odtworzyć. Potem przyszedł czas na hasła i cytaty. Tytuł dałem THE WALL, więc nie mogło też zabraknąć piosenki z płyty „The Wall”.

Nie potrzebujemy edukacji.

Nie potrzebujemy kontroli naszych myśli

Ani mrocznej atmosfery sarkazmu w klasie.

Nauczyciele, zostawcie dzieci w spokoju.

Jesteście tylko jeszcze jedną cegłą w murze...

I tak dalej, ku uciesze autora tekstu, muzyki, stroiciela gitar, oświetleniowca, tragarza i nieznanego tłumacza. Podpisane: Pink Floyd, zresztą zgodnie z prawdą.

Z każdą chwilą znajdowałem w tej niebezpiecznej, jak by nie było, zabawie szczególne upodobanie i radość. Czy to samo mogli czuć moi rówieśnicy, kręcąc powielaczem lub wiele lat wcześniej czyszcząc pistolety i rychtując butelki z benzyną? Nie słyszałem nawet dzwonka na ciszę nocną. Kiedy do pokoju weszła któraś z wychowawczyń, nagle, w matczynym, ptasim odruchu, rozpostarłem ręce nad moim dziełem.

- Uczysz się jeszcze - stwierdziła ze współczuciem kobieta, po czym zamknęła cichutko drzwi z drugiej strony.

Następnego dnia rano uwinąłem się szybko, pobiegłem do budynku szkolnego i niezauważony przez nikogo umieściłem przy pomocy szpilek moją wywrotową gazetkę w jednej z gablot.

Czy zastanawiałem się wtedy, jakie mogą być tego postępuku-występuku efekty, konsekwencje? Pewnie tak. Draka, to byłaby najlepsza recenzja. Albo przynajmniej jakieś małe, maleńkie zainteresowaniem dziełem, o czym tak marzy każdy początkujący artysta, którego płótno czy inną instalację po raz pierwszy umieszcza się w jakiejś galerii i wpuszcza tam widzów. Nie liczyłem na zachwyt, raczej na uśmiech, zgodę wyrażoną w pokazywaniu sobie palcami szczegółów. A jakby się jeszcze trafił jaki krytyk z tym swoim ach i och. Albo nawet z...

- To skandal!

No bo właśnie trafił się jeden, zwariowany: garnitur, płaszcz, kapelusz w kratkę. Obok niego stała grupka wpatrzonych w gablotę, a zatem i w moje dzieło widzów. Było koło południa.

- To niebywałe. Wstyd i hańba dla całej naszej szkoły. Co ja mówię... Dla całej armii!

Bo to był sam Pawelec, już wtedy dyrektor szkoły, niemiłosiernie nam panujący, tylko że w cywilnych ciuchach, co też bywało rzadkością. Może go ktoś z urlopu ściągnął lub coś w tym guście. Jeśli tak, to sprawa musiała być poważna.

- Co się tam dzieje? - zapytałem jakiegoś kolesia z najmłodszego rocznika, który pierzchał jak zajęc z rejonu zagrożenia.

- Dyro się wściekł - odpowiedział młody. - Ktoś zrobił sabotaż, jakieś świńskie hasła i rysunki w gablocie poprzyklejał. I teraz nad tym radzą...

Dopiero w tej chwili pojąłem, że oto przed moim dziełem stoi cały samorząd uczniowski.

Nie mogłem jednak tak stać dalej i patrzeć, jak ten morderca, co ponoć zawsze wraca na miejsce zbrodni, bo właśnie odezwał się dzwonek i trzeba było zająć się kolejną epoką w literaturze polskiej. Nie mogłem się jednak należycie skupić na temacie przenoszenia literackich zwłok z jednej trumny do drugiej, jak ktoś kiedyś nazwał naukę o literaturze, włącznie z analizą i interpretacją wiersza. Życie tu i teraz było zbyt gorące... Na szczęście tego dnia, mimo zapowiedzi, nie było ostrego strzelania. Cały czas myślałem nad tym, co zrobiłem. I czy aby nie zostawiłem żadnych śladów? A jak zrobią rewizję w pokojach i znajdą farby, pędzle i resztki? Albo sprawdzą odciski palców? Cholera wie, do czego był się w stanie posunąć działający jeszcze tu i ówdzie aparat starej władzy, aby tylko ją utrzymać. Wkrótce już miałem się dowiedzieć do czego.

Na następnej przerwie chciałem pójść i dyskretnie, zza pleców widzów (oby!) zerknąć

na efekty swojej pracy i gniewu. Choćby na to, jak prezentują się w innym, bo już popołudniowym świetle. Ale gablota zniknęła ze ściany... Okazało się, że stoi w naszym klubie ucznia. Tam też odbyła się nadzwyczajna rada pedagogiczna, którą zwołał Pawelec ku udręce nauczycieli i wychowawców, którzy też chcieli mieć czas na jakieś swoje prywatne życie. Na radzie było także kilku chłopaków z samorządu uczniowskiego. To właśnie jednego z nich, prymusa pochodzącego z moich okolic, postanowiłem w najwyższej konspiracji zapytać, co się działo.

- A co, masz coś z tym wspólnego? - zapytał on z kolei, choć chyba bez złych intencji; z pewnością nie zamierzał się na nikim mścić za brak możliwości popołudniowego wyjścia do miasta, bo i tak rzadko kiedy wychodził, ponieważ kuł zapamiętałe.

Pokręciłem zdecydowanie głową, a i on nie drążył dalej.

- Bicie dwie godziny debaty, co to, jak to, a przede wszystkim kto mógł coś takiego zrobić - odpowiedział.

- I kto mógł?

- Tego nie wiemy. Są nawet podejrzenia, że ktoś z zewnątrz. Może studenci z NŻS-u.

- A profesorowie co na to? - zapytałem po chwili.

- Nic. Pawelec najbardziej wściekły był na tę gwiazdkę na policzku Lenina. A „Wiewióra” powiedział, że gdyby dowiedział się, kto to zrobił, oczywiście pod względem plastycznym, pomysłu i wykonania, to ten ktoś miałby u niego bardzo dobry...

Był to pierwszy argument przemawiający za tym, żeby się przyznać. Po szybkim przemyśleniu sprawy doszedłem jednak do wniosku, że się nie kalkuluje. Mimo wszystko. Mijały godziny, potem dni, a winnego jak nie było, tak nie było. Nie było też gabloty, więc postanowiłem o nią zawalczyć. Kiedyś znalazłem w domu, pośród dzieciennych zabawek, małą drukarenkę. Coś mnie podkusiło, żeby przywieźć ją tutaj. ODDAJCIE NAM NASZĄ GABLOTĘ. ODDAJCIE NAM „THE WALL”! - brzmiała treść ulotek, które wydrukowałem, a następnie dyskretnie rozrzuciłem po terenie szkoły.

Następnego dnia na porannym apelu Pawelec grzmiał:

- Tę ulotkę znalazłem wetkniętą w drzwiach dyrekcji. Oddajcie nam naszą gablotę, oddajcie nam... i tu następuje nazwa - chrząknął dyrektor. - Oddamy, ale najpierw osoba, która to zrobiła, musi się przyznać!

Po szeregach przetoczył się pomruk, bardziej jednak był to tłumiony śmiech niż częstszy w tym miejscu wyraz dezaprobaty. To nie spodobało się Pawelcowi. I wtedy postanowił użyć ostatecznej, najsilniejszej broni, wunderwaffe wszystkich dowódców.

- I tak wiemy, kto to zrobił - rzekł, udając, że robi to od niechcenia, ale wiedzieliśmy, że się chłopina gotuje w środku.

Aż nastąpił ostateczny cios w sprawcę, po którym tenże nie miał prawa się już podnieść. Tylko wystąpić na środek placu apelowego ze zwieszoną głową, gotowy na wymierzenie mu srogiej, odstraszej kary. Dyrektor nabrał w płuca powietrze, potoczył wściekłym wzrokiem po kilku setkach swoich podwładnych i rzekł:

- Pink Floyd, wystąp!

\*

W Europie też się zaczęło, na całego. W Bukareszcie strzelano do ludzi z helikopterów, a potem ci ludzie obalili dyktatora Ceausescu, który to fakt od razu ktoś z nas zaznaczył w sali przysposobienia wojskowego, gdzie wisiały sztandary państw Układu Warszawskiego, wydzierając godło z flagi Rumunii. Wszędzie zmieniały się rządy, żądano wycofania wojsk radzieckich z państw bloku wschodniego, zaś w Berlinie runął mur dzielący miasto.

A u nas? Wciąż stał. Ten odgradzający szkołę od miasta. Brudnoszary, z żelbetonowych, spękanych bloków, z wygiętymi słupami co parę metrów, które to słupy łączył jeszcze gdzieś zardzewiały drut kolczasty. Nie mogło to być.

- Rozwalmy go. Zróbmy coś. Napiszmy petycję! - judziłem kolegów, ale oni tylko odpowiadali mi na odczepnego:

- Kuję z matmy.

- Powtarzam z bioli.

- Jutro klasówka z całego półrocza, lepiej sam zajrzyj do książki.

Nie było się co dziwić. Dojrzewaliśmy po prostu, zaczynaliśmy coraz poważniej myśleć o swojej przyszłości i było do przewidzenia, że prędzej czy później każdy będzie ciągnął te sanki w swoją stronę. Za języki obce się weźmie albo zacznie na serio zastanawiać się, czy medycyna, czy może jednak cybernetyka albo magisterium z obsługi łopatkki saperskiej.

Ale takie wybory mieli przed sobą nasi mózgowcy. Lekkoduchów było zdecydowanie więcej. Z tym że wśród nich również nie mogłem jakoś znaleźć popleczników.

- Do dziewczyny dzisiaj idę.

Albo po prostu:

- Leję na to.

Ale już wieczorem okazało się, że duch nie ginie w narodzie. Przyszedł do mnie Zajączek.

- Mówiłeś coś o tablicach propagandowych. Lenin i te sprawy... - powiedział właściwym sobie tonem, przez co nigdy nie mogłem odgadnąć, czy się zgrywa, czy mówi serio. - Mówiłeś?

- Mówiłem - mruknąłem, nie odrywając wzroku od czytanej książki.

- No to chodź. Załatwimy to.



- We dwóch? Zgłupiałeś?!

- Chodź, nie pierdol.

Już czekali w łazience na parterze.

Załatwiliśmy sprawę w kilka chwil. Tylko trampki nadawały się do gruntownego czyszczenia. Byłem bardzo dumny i zadowolony, rozpierała mnie energia. Z drugiej strony było już dość późno i należało powoli kierować się w stronę łóżka.

- Dzięki chłopaki.

- Nie ma sprawy - rzekł Zajączek. - Możesz się od razu zrewanżować.

- To znaczy?

- Chodź z nami.

- Dokąd?

Ruszyli w kierunku jednego z budynków dydaktycznych. Ja za nimi, nie pytając o nic. Obeszliśmy dookoła i zatrzymaliśmy się na wysokości magazynów. Tam już czekali Bogusław Jagmin i Maciej Czuma. Pierwszy wydawał się nieobecny duchem, drugiego zaś aż nosiło.

- Co tak długo? - zapytał z pretensją. - Wszystko już przygotowane.

Dopiero teraz zauważyłem, że z góry zwisa lina.

- Co mam robić? - spytałem słabym głosem, bo niezbyt mi się uśmiechało bawić się w cyrkowca, i to jeszcze w nocy.

- Tylko pilnuj - odparł Jagmin. - „Specnaz” nie takie rzeczy robił.

W istocie, ostatnio Bodek wyrósł nam na prawdziwego arbitra, do którego zwracaliśmy się z problemami, które musiał ktoś rozsądzić sprawiedliwie. I katem też był. Gdy kilka razy trzeba było dać w nocy nauczkę komuś, kto miał za długi język i mieliśmy przez niego kłopoty, znów sprawę załatwiał Jagmin. Nie dalej jak dwa dni temu odbyła się ostatnia egzekucja. Najpierw na śpiącego wylała się plastikowa reklamówka wody, potem zerwano z niego kołdrę, a na koniec wpadał Bodek i kilkoma uderzeniami policyjnej pały, w której posiadanie ktoś wszedł na fali ostatniej odwilży, wyrównywał rachunki w imieniu całej klasy.

Nie wszystkim z nas się to podobało, ale jakoś trzeba było sobie z tym radzić. Zresztą wtedy, dwa dni temu, ofiara egzekucji nawet się nie obudziła.

Teraz też pokazywaliśmy, głównie sobie, że potrafimy sobie radzić. Nie minął kwadrans, a mieliśmy w rękach plik zapisanych kartek w kratkę. Klasówki z fizyki. Zacząłem wtedy pojmować, o co chodzi ludziom, którzy twierdzą, że prawda leży pośrodku. Albo że nie ma rzeczy tylko białych i tylko czarnych. I że życie tak w ogóle nie jest lekkie... Mimo nocnych przeżyć z niecierpliwością czekałem na poranek, żeby zobaczyć, jak wygląda wolny świat. No i miny oficerów.

- Skoro partyzanci wyciągnęli tablice, to może również wykopią stelaże? - zapytał kierownik internatu, a raczej wydał polecenie.

Zrobiliśmy to z ochotą, choć już nieco mniejszą niż w nocy.

Tego samego dnia, gdy wracałem z miasta, w którym znów przetoczyło się kilka demonstracji studenckich, rozklejono kilka tysięcy plakatów, zrobiono kilkoro dzieci, które, gdy dorosną, śmiać się będą z naszej młodości, sprzedano kilkaset kilogramów towaru z rozstawionych na ulicach łóżek polowych i turystycznych stoliczków, zastałem w pobliżu bramy kilku chłopaków z najmłodszego rocznika. Rozwalali mur...

\*

Winni byli zawsze poeci i żołnierze. Ci drudzy byli podjudzani przez pierwszych, a

wiadomo, że w każdym wojaku drzemie romantyk. Ci pierwsi zaś zazdrościli drugim zdrowia i sił, by trzymać karabin i mierzyć z niego do odwiecznego wroga, a w razie czego iść na bagnety. Kilku nawet się przemogło, ale kiepsko na tym wyszli. Choćby Adam Mickiewicz, co chciał tworzyć legion, zapadł na ciężką chorobę, która już nie odpuściła, a wiele lat później Krzysztof Kamil Baczyński poszedł do powstania i czwartego dnia za bardzo wychylił się z okna warszawskiego ratusza...

Bunt? Tak! Zawsze. Ale jaki? Kiedyś próbowaliśmy nawet potraktować sprawę historycznie, w czym zdążył nam pomóc pan profesor Adam. Zdążył, bo nie było zmiłuj i z niego też miano zrobić bażanta, wysyłając na półroczne szkolenie na drugi kraniec Polski. Był na przykład bunt podchorążych pod wodzą wiecznego porucznika Piotra Wysockiego, która to między innymi afera, podchody po Parku Łazienkowskim w poszukiwaniu namiestnika, zapoczątkowały powstanie listopadowe. Tylko jak zwykle generałowie spieprzyli potem sprawę. Chłopakom chodziło jednak o walkę z rosyjskim zaborcą. Co jeszcze? Strajk dzieci w wielkopolskiej Wrześni na początku XX wieku - podrzucił ktoś. Owszem, ale była germanizacja, Hakata i gówniarze walczyli o to, by móc w szkole modlić się i uczyć po polsku, a nie szczekać po niemiecku.

Potem były wojny, no to wiadomo - walczyło się z okupantem i nie było żartów. Nikt nikogo za uszka nie tarosił ani nie wpisywał nagany w dzienniczku, tylko stawiał pod murem. Albo za mur, to już za Stalina. W latach 80. zdaje się, podnieśli się strażacy, a właściwie jeszcze studenci Wyższej Szkoły Pożarnictwa w Warszawie, ale i z nimi zomoza sobie szybko poradziła.

Tylko że jak by nie patrzeć, to ostrze, które trzymaliśmy w uniesionych rękach, oczywiście symbolicznie, wymierzone było... w nas samych.

- A kto nam dawał kasę na to wszystko? - zapytał Langiewicz, ogarniając ręką wszystko dookoła. - Komuna, którą tak zwalczyliśmy. Jesteście pewni, że teraz nowa władza nie rozpędzi nas wszystkich na cztery wiatry?

Nie byliśmy pewni. Tak naprawdę niczego już nie byliśmy pewni.

Bo przecież nagle mogłoby się okazać, że pozostaliśmy tylko my. Ostatni bastion walącego się systemu. Tak jak podczas I wojny światowej cesarz Niemiec dał dyla do Niderlandów, władca Austro-Węgier też spieprzył sprawę, podczas gdy chłopaki gnili lub ginęli w okopach jeszcze w listopadzie 1918 roku, choć już nie było dla kogo i po co. Teraz nasza armia ludowa, nawet jej doborowe pułki, przechodzi na stronę opozycji. Twardogłowi generałowie zostają aresztowani albo od razu kula w łeb, tylko medale dzwonią, jak się jeden z drugim nogami nakrywa. Czołgi i bojowe wozy piechoty wjeżdżają triumfalnie na teren strajkujących stoczni, kopalni i zajezdni autobusowych, jednak nie po to, żeby masakrować strajkujących tam robotników, ale żeby ich bronić. Znana z tylu fotografii i filmów brama Stoczni Gdańskiej im. Lenina, ta udekorowana girlandami kwiatów, biało-czerwonymi flagami i wielkim portretem papieża Polaka na samym środku, staje się teraz gniazdem karabinów maszynowych, a ledwo co skończone przez stoczniowców i opuszczone na wodę statki - okrętami, a to za sprawą uzbrojenia ich za pomocą min, dział i wyrzutni rakiet.

Nawet chłopaki z osławionego „Wujka” ściskają się serdecznie ze swoimi ciemżycielami sprzed zaledwie paru lat, puszczając im w niepamięć śmierć dziewięciu kolegów w imię wyższych racji i wspólnej przyszłości. Jednocześnie komitety miejskie, wojewódzkie, a przede wszystkim centralny komitet Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej zamieniają się w twierdze. Generał Jaruzelski gdzieś znika. Wszystko zamiera w napiętym do granic oczekiwaniu.

Wtedy nagle ktoś przypomina sobie o nas. Odkurza wymyśloną przez nie wiadomo już kogo ideę, dla której nasza szkoła i podobne jej cztery w ogóle zostały powołane do życia, wpisane do rejestrów, okólników, ksiąg przychodów i rozchodów, wejść, wyjść i zejść. Nie czekają długo. Szybko rozdają nam broń i ostrą amunicję. Jest tego tyle, że możemy się obwiesić żelastwem jak partyzanci z Gwatemali, co też z ochotą czynimy. Najbardziej twarzowe są granaty RG-42, malowniczo dyndające od pasa po szyję, taśmy z nabojami do karabinów maszynowych krzyżujące się na piersiach, a także pistolety, noszone z obu stron jak na kowbojskich filmach, nonszalancko i jak najniżej. Za każdym razem przykład bierzemy z plakatów filmowych zdobiących ściany w naszych pokojach. Nauczyciele i wychowawcy nie przychodzą do pracy. Niczego już nie będą potrafili nas nauczyć, a tym bardziej nas wychować.

Bo dzieciństwo nasze i młodość to już odległa przeszłość. Przechodzimy błyskawiczny kurs dowodzenia, a także obsługi działek przeciwpancernych i przeciwlotniczych, moździerzy, ręcznych granatników; ci lepsi z fizyki i matematyki - raket ziemia-ziemia i ziemia-powietrze. Jeździć samochodami nikt nas nie uczy, bo to przecież potrafi każde dziecko. Rozwaloną już pierwszego dnia bramą wjazdową do szkoły nikt nie zaprzęta sobie głowy. Nasze szkolne boisko staje się jednym wielkim parkiem maszyn, a może raczej parkingiem.

W trybie przyspieszonym, wojennym, dostajemy także pierwsze, upragnione oficerskie gwiazdki. Nasze kuchary, które jakoś nadal, z przymusu czy z przyzwyczajenia, do nas przychodzą, gotują coraz lepiej. Domagamy się wrzaskiem i waleniem pięściami w stoły coraz bardziej wymyślnych potraw i dużo żeby było, a każda taka zachcianka natychmiast jest spełniana. Babska boją się, robią w barchanowe majty chyba, że pogroźki czy groźne pochrząkiwania, które zawsze od nas słyszały, teraz wcielimy w czyn, wszak mamy broń. Na razie strzelanie ćwiczymy jednak za internatem, mierząc do pustych butelek po wódce i piwie, a także do puszek po konserwach lub jeszcze z mielonką w środku. Wystarczy chwilę poczekać, a za muszką i szczerbinką glocka pojawiają się także ruchome cele - bezpańskie psy i koty, zwabione tu przepyszny zapachem mielonki. Któregoś dnia urządzamy nawet szkolne mistrzostwa w strzelaniu, które bez większego trudu wygrywa nasz pluton, będący jeszcze do niedawna szkolną klasą młokosów. Ale dzieciństwo i młodość to już odległa przeszłość. Ktoś od razu chce wypróbować także działka przeciwlotnicze. Na wronach. Pomysł ten szybko wybijamy mu z głowy.

Pewnego dnia przychodzi jednak rozkaz wymarszu. Żegnamy się ze sobą trzymanymi jeszcze w kleszczach kaca, bo pożegnanie przeciągnęło się do późnych godzin nocnych. Część z nas wsiada do swoich pojazdów i po kolei wyjeżdża. Machamy im, stojąc na szkolnym boisku. Po bramie szkoły nie zostaje nawet kamień na kamieniu...

Nikt z tych, którzy wyjechali, już nie wraca. Doniesienia z frontu są niejasne, wiadomości wzajemnie się wykluczają, w dodatku ktoś zaczyna nas zagłuszać. Raz cieszymy się, że nasi dali łupnia zomowcom i studentom razem wziętym, innym razem okazuje się, że to nasi dostali po dupie, a rannych nie chciał przyjąć żaden szpital. Wkrótce tracimy łączność. Nad szkołą i internatem zaczynają krążyć śmigłowce, ale nikt z nas nie wie: przyjaciele to czy wrogowie, i nie bierze ich na cel, choć skuteczności swej buńczucznie jest pewny. Zbieramy

wszelką sprawną broń i barykadujemy się w internacie. Przy pomocy swoich biur, przy których jeszcze niedawno odrabialiśmy prace domowe, umacniamy stanowiska strzelnicze w oknach pokoi. Określenie „bunkier” znów staje się jak najbardziej uzasadnione. Przez wąskie szpary widzimy, jak pojedyncze postacie bez twarzy przemykają między budynkami szkolnymi. Nikt nie zamierza negocjować z nami warunków poddania. Ten ropiejący, bolesny i kłopotliwy wrzód trzeba szybko wyciąć. Rozpoczyna się ogień huraganowy, kanonada nie słabnie ani na chwilę, nic nie widać prócz ognia i dymu...

Mimo to odpieramy dzielnie atak za atakiem. Koktajle Mołotowa rzucają przez cywilów to dla nas pestka, gorzej gdy naciskają nasi niedawni sąsiedzi zza płotu. W pewnej chwili do naszej reduty wdziera się gaz, zakazany dawno temu przez międzynarodowe konwencje, teraz jednak, w imię wyższych racji i bez względu na późniejsze konsekwencje, użyty na wyraźny rozkaz nowego rządu. Robactwo trzeba bowiem zniszczyć w zarodku, precyzyjnie, do końca - jak słyszymy w małym tranzystorowym radiu, jedynym sprzęcie elektronicznym, który jeszcze działa.

Ci, którzy nie zdążyli w porę nałożyć masek, padają jak od uderzenia obuchem. Przez okrągłe, oszklone, potniejące otwory widzę kolegów rozdierających sobie paznokciami gardła, umierających w potwornych męczarniach.

Naraz skądś dobiega skrzeczący głos. Wsłuchuję się w proste, rzucane niespiesznie słowa. Wzywają nas do poddania się. Jednak! Nawoływania powtarzają się jeszcze kilka razy, potem nie słychać już nic. Idę. Idę początkowo po omacku, tak gęsty jest dym. Z każdą chwilą jest coraz jaśniej.

Słońce. Nie wierzyłem, że jeszcze kiedyś je zobaczę. Zamazane dotąd kontury nabierają ostrości. Prę do przodu, choć każdy kolejny krok sprawia mi coraz większą trudność. Widzę już ludzi w mundurach i po cywilnemu, dużo ludzi. Na tle gęstego czarnego dymu powiewają biało-czerwone flagi, niby takie same, pod którymi walczyliśmy i my, a jednak zupełnie inne. Podnoszę ręce do góry. Widzę już ich twarze, na nich wyraz triumfu, na niektórych nienawiść, na żadnej choćby śladu podziwu. Ktoś coś krzyczy. Monosylaby odbijają się od nadpalonych ścian naszego starego internatu niczym strzały z pistoletu. Stoję sam na placu apelowym. Otacza mnie coraz ciaśniejszy pierścień. Wiem, że nie darują. Nie będą chcieli wziąć jednego jeńca. Za dużo w nich nienawiści, skrywanej od tak dawna. A

może jednak? Pokazowy proces, taka nowa Norymberga, najlepsza rozrywka dla ludu, transmitowana na żywo przez wszystkie kanały telewizyjne i radiowe?

Słyszę już ich przyspieszone oddechy, niemal czuję ich ciepło na twarzy i szyi. Powoli opuszczam lewą rękę. Prawa wędruje do czoła, potem w okolice splotu słonecznego, jakbym chciał się przeżegnać. Ktoś kwituje to śmiechem. Nim jednak dokończę, nim ktokolwiek coś powie, łapię palcem wskazującym za wystającą spod koszuli zawleczkę, której nie zauważyli. Teraz już za późno. Wiatr niesie skądś zapach mokrych trocin. Czuję promień słońca na swoim czole.

Szybkim ruchem wrywam z siebie życie...

- Sierżant nie przyjmie ci takiej pizamy - usłyszałem skądś znajomy głos.

Obraz gibnął w bok. Pokój. Sosabowski leżący rozwalony na swoim koju. Żyje. Co mówił?

- Rozerwałeś sobie pół pizamy - zarechotał. - Lepiej od razu łap się za igłę z nitką. Jutro wymiana bielizny...

## ROK CZWARTY

Ocknąłem się w jadącym samochodzie. Obok mnie siedzi Piotr i rozmawia o czymś z siedzącym koło kierowcy Zajączkiem, pod oknem, również z tyłu, drzemie Rómmel. Kierowca? Jakiś obcy facet w mundurowej panterce. Młody. Spoglądam na naramienniki. Plutonowy.

Zajączek uprzedza moje pytanie.

- Jesteś pod gościnnymi skrzydłami naszej niezwycięzonej - śmieje się oficer. - Mamy taki układ, że zawsze kiedy zapijemy, przyjaźni koledzy odwożą nas do domów. Przyjaźni? - pyta kierowcę, klepiąc go po ręce trzymającej kierownicę.

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiada plutonowy.

- Ale dokąd jedziemy? - pytam po chwili.

- Przed siebie - rzecze Zajączek, a nasz niedawny gospodarz-barman mruczy coś przez sen zupełnie niezrozumiale.

- Gdzie „Skrzynka”? - pytam znów po chwili.

- Musiał zostać. Ma rano dwie operacje - wyjaśnia kapitan.

- Moja gablota będzie tam bezpieczna?

- Spokojnie. Rano cię odwieziemy. Odwieziemy?!

- Tak jest, panie kapitanie.

Pędzimy przez las. Mimo zapewnień oficera czuję się nieswojo. Ale on znów artykułuje wcześniej to, o czym ja ledwo pomyślałem. Czyżby robił tak naprawdę w kontrwywiadzie, a jednostka łączności była tylko przykrywką? No, w każdym razie on to



mówi pierwszy. A mi nagle zimno przebiega przez plecy. Zupełnie jak kilka godzin temu, kiedy mało brakowało, a przejechałbym Piotra. Bo Krzysztof Zajączek to mówi:

- Wiecie, że już kilku z nas wykończyło się w ten sposób?

- Zachłóło się? - pytam, mając jeszcze nadzieję na trochę przyjemniejszy koniec.

- Nie. Za kółkiem - rzecze jakby od niechcienia i pociąga głośno nosem.

- Ale my... To znaczy...

- Spokojnie. Nasz kierowca nie pił. Nie pił?!

- Tak jest, panie kapitanie!

No, to chyba nie pił. Pił za to „Zapaśnik”, który w swoje imieniny pozwolił się odwiedzić żołnierzowi pod dom. Bo był już wtedy porucznikiem, dowódcą plutonu lub nawet kimś wyżej. Wszystko byłoby w porządku, gdyby położył się spać, a rano wyleczył kaca. Tylko że jemu chwilę po zamknięciu za sobą drzwi klatki schodowej włączył się „szwędaczek”, odwieczna zguba pijaczków. Wsiadł do swojego malucha z zamiarem odwiedzenia dobrej znajomej w sąsiednim mieście. No i po paru kilometrach skończył na drzewie. Dwadzieścia pięć lat. Pogrzeb miał ładny, bo z orkiestrą wojskową. Potem go zresztą ekshumowali, bo żona z małą córeczką po jego śmierci się wyniosły z miasteczka, a całą resztę rodziny miał gdzie indziej i nie było komu na cmentarz chodzić.

Podobnie zginął inny też kolega, który w naszym mieście przyładował w nocy w przeszło wiaduktu, chyba nawet na trzeźwo. Zabił siebie i czterech pasażerów, równolatków. O tym wszystkim nie omieszkaj przypomnieć nam, z najdrobniejszymi szczegółami, pan kapitan Zajączek.

- Nie ma co, szkoda chłopaków - podsumowuje oficer, by za chwilę obrugać naszego kierowcę. - No i co się tak wleciesz?

Spoglądam przez ramię z czterema belkami. Gnamy tylko sto dwadzieścia...

A ja dobrze znam tę drogę, jedną z najniebezpieczniejszych w regionie. Zakręt za zakrętem, w dodatku wszystko oszpalerowane drzewami. Niemcy dobrze wiedzieli, co robią, kiedy budowali tę trasę. Trochę kręciło mi się w głowie, żołądek też dawał o sobie znać, więc się bałem, że taka jazda w moim przypadku może się skończyć nieciekawie.

- Za kwadrans będziemy na miejscu - informuje nas kapitan.

- Gdzie? - zapytuje Rómmel, nie otwierając oczu.

- On się mnie pyta gdzie, a sam rzucił ten pomysł - niecierpliwi się Zajączek. - Czekam na nas ktoś znajomy i usycha z pragnienia.

- Który? - teraz ja chcę wiedzieć.

Nie słyszę jednak odpowiedzi, gdyż akurat mijają nas karetka pogotowia pędząca na sygnale. Ryk syreny jest bardzo głośny, wręcz przerażający. Musimy się zatrzymać i zjechać na pobocze dość wąskiej w tym miejscu drogi. Chłopaki oglądają się za samochodem jak małe dzieci. Tylko Piotr nie patrzy; opuścił głowę, wtulił ją w ramiona, zgarbił się, zapadł w sobie.

- Komuś się znów spieszyło - komentuje oficer półgębkiem, po czym ruga naszego szofera: - Jedź! Na co czekasz?!

- Tak jest, panie kapitanie.

Samochód rusza z piskiem opon. Po kilkunastu minutach pomiędzy drzewami błyskają pierwsze światła miasta. Miasta naszej młodości. Wtaczamy się na dwupasmówkę i od razu dają o sobie znać dziury w asfalcie.

- Nie ma to jak w domu - śmieje się barman, a wraz z nim i my.

- Musimy poszukać jakiegoś nocnego - zauważa trzeźwo niezbyt trzeźwy oficer, na co kierowca kiwa głową.

Po chwili zatrzymujemy się przed sklepem na jakimś dużym osiedlu. Przed drzwiami wodopaju urzęduje hałaśliwe towarzystwo. Próbują nawet wołać o datki wchodzących do sklepu Zajączka i Rómmla, ale ten pierwszy ostro ucina wszelkie dyskusje. Przez chwilę pachnie draką, ale wtedy z samochodu, w którym wciąż siedzimy z Piotrem, wychyla się kierowca. Dopiero teraz widzę, że to kawał byka, w dodatku przy pasie ma kaburę. Zauważają to również osiedlowe obszcymury.

- Bydło - komentuje pod nosem plutonowy, na nowo sadowiąc się za kierownicą.

Spoglądam jeszcze raz na kierowcę i przypomina mi się, jak bawiliśmy, już jako studenci, na pierwszym zjeździe absolwentów naszej szkoły. Było to jakieś dwa lata po maturze, a rzecz miała miejsce w podupadającym już wtedy klubie garnizonowym. Nazjeżdżało się chłopaków z całej Polski i różnych szkół oficerskich i akademii, wszak zainteresowania mieliśmy zawsze dość szerokie. No i piliśmy na całego, wszak każdy był już od dawna dorosły.

A gdy człek na rauszu, to i do bitki bardziej skory. Stara prawda to i bolesna dla tych, którym nie stało refleksu czy sprytu. Doszło bowiem podczas tamtej biesiady do kilku nieporozumień, zapewne były to niezabliźnione rany jeszcze z liceum. Tym sposobem jeden z pułkowników, opiekunów młodszego rocznika, dostał w niunio w kiblu od jednego z naszych, tak że podłoga była cała we krwi. Baba siedząca na portierni, widząc, co się święci, złapała za telefon i dalej wzywać żandarmerię. I byłaby to zrobiła, gdyby nie czyjaś ręka, która ciężko opadła na słuchawkę.

- Pani nie zadzwoni.

- A to dlaczego?!

- Bo sytuacja jest opanowana.

- Przez kogo.

- Przeze mnie. Porucznik Jagmin, kontrwywiad wojskowy.

Mimo że Bodek miał wtedy długie włosy, był tak naprawdę studentem historii i nie miał już nic wspólnego z wojskiem prócz złych wspomnień, a na dodatek ledwo trzymał się na nogach, kobieta odstąpiła od swoich zamiarów. Zresztą i tak się trochę uspokoiło i towarzystwo zaczęło powoli rozchodzić się po domach tudzież parkowych ławkach czy dworcach kolejowych. Ale dla Bogusława Jagmina i naszego byłego opiekuna roku, podpułkownika Władysława Wiciewicza, był to dopiero początek zabawy. Próbowałem zabrać kumpla do akademika, gdzie razem mieszkaliśmy, ale nie można się było z nim w ogóle dogadać.

- Odpiardol się! Jestem porucznik Jagmin z kontrwywiadu wojskowego - powtarzał jak w malignie. - Wykonuję tylko rozkazy pułkownika Wiciewicza.

Wezwali taksówkę i rozpoczęli rajd po nocnych sklepach. Potem jakimś sposobem wezwali samochód służbowy pułkownika wraz z kierowcą i nim jeździli dalej po mieście. No i około drugiej w nocy zatrzymał ich patrol policji. Najpierw z wozu wytoczył się Bodek w kwiecistej koszuli i w... zielonym berecie pułkownika na głowie.

- O co chodzi? - zapytał policjanta.

- Dobry wieczór, kontrola drogowa - odpowiedział funkcjonariusz drogówki, przypatrując się ze zdziwieniem tej dziwnej kombinacji w stroju.

- Porucznik Jagmin, kontrwywiad wojskowy - przedstawił się Bodek.

Policjant zsalutował jeszcze raz, po czym podszedł do kierowcy, prosząc go o dokumenty. Na tylnym siedzeniu drzemał pułkownik, cały czas będący w mundurze.

- Kierowca trzeźwy? - zapytał policjant.

- A jak - odparł buńczucznie Bodek.

- To dobrze.

I wtedy Bodek Jagmin nie wiedząc czemu zapienił się, sięgnął do auta po butelkę piwa i podszedł do kontrolującego stan świateł posterunkowego.

- Ale chyba też chętnie by się napił - powiedział, podając butelkę kierowcy, który akurat wygramolił się z auta.

Policjanta aż zatkało.

- Ale... przecież... to kierowca - wyjąkał wreszcie.

- Przecież widzę, kurwa, że nie czołgista - zaperzył się Jagmin. - Szeregowy, baczność!

Chłopak w mgnieniu oka przyjął postawę zasadniczą.

- Szeregowy, pijcie.

- Ale... - jęknął żołnierz.

- To rozkaz!

Kierowca podniósł butelkę do ust i pociągnął spory łyk. Policjant patrzył na ten obrazek bez słowa. Z auta wychylił się Wiciewicz i zaśmiał się. Potem zaczął śpiewać bełkotliwie swoje „Rozszumiały się wierzby płaczące...” A Jagmin spoglądał z dumą na swoje dzieło.

Chwilę potem jechali dalej. Godzina wszak była jeszcze bardzo młoda.

Tak jak dziś. Która to właściwie była? Chcę spojrzeć na zegarek, ale do samochodu wracają Zajączek z Rómmlem. Niosą kilka reklamówek, w których pobrzękują butelki piwa.

- Jedziemy - zarządza oficer, podając do tyłu zakupiony towar i sadowiąc się na swoim szefowskim miejscu. - Ulica Dworcowa pięć...

Plutonowy posłusznie wrzuca jedynekę i naciska na gaz. Nie ujeżdżamy jednak nawet dwudziestu metrów, kiedy Piotr unosi się z tylnej kanapy i nachyla nad uchem kapitana.

- Co ci się chce? - pyta Zajączek.

Na szczęście kierowca, który widać wiele razy miał do czynienia z takimi pasażerami, szybko kojarzy, o co może chodzić naszemu koledze. Hamuje zdecydowanie, choć możliwie jak najdelikatniej, zjeżdżając na pobocze. Piotr uchyla drzwi i puszcza pawia.

- Ooo, stary, przepraszam - usprawiedliwia się Krzysiek Zajączek, wciąż ze śmiechem, podczas gdy wygiętym ciałem w dżinsowej kurtce coraz wstrząsają spazmy. - Nie wiedziałem, że z ciebie taki słaby zawodnik.

Po chwili Piotr zamyka drzwi i bez słowa wyciera sobie usta postrzępionym końcem rękawa dżinsowej kurtki. Samochód rusza.

- Dworcowa ile? - pyta kierowca niegłośno.

Kiedy podjeżdżamy, zauważamy pod blokiem karetkę pogotowia. Na dachu obraca się kogut, niebieskie refleksy biegają po ścianach domów i ciemnych oknach w szalonej gonitwie. Otwierają się drzwi klatki schodowej i dwaj sanitariusze wynoszą kogoś na noszach.

- Znów awantura domowa - chichocze w kułak Zajączek. - On chciał ligę mistrzów, ona „M jak miłość”. Wiecie, baby się teraz stały po prostu bezczelne. Niedawno jedna taka...

- Ja pierdołę, to chyba nie jest... - jęczy naraz Rómmel, przypatrując się przez szybę auta twarzy chorego leżącego na noszach.

Krzysiek Zajączek wyskakuje z auta i podbiega do sanitariuszy i lekarza, który idzie za noszami. Po chwili sanitarka odjeżdża.

- I co? - dopytuje się Rómmel.

- Niestety, to był on - odpowiada Krzysztof; dyszy ciężko, głos mu się łamie. - Zawał serca, ale żona w porę wezwała pomoc. Pojechali do garnizonowego...

- Wyjdzie z tego? - pyta po chwili Piotr.

- Nie wiem - oficer wzrusza ramionami. - To kwestia paru godzin.

- Może powinniśmy pojechać do szpitala? - proponuje barman.

- Nic mu tym nie pomożemy - tłumaczy cierpliwie Zajączek. - Zresztą, nawet nas do niego nie wpuszczą...

- To co robimy? - pyta milczący dotąd kierowca.

Odpowiada mu milczenie. Po dłuższej chwili ktoś podaje jakiś adres, który wydaje mi się skądś znajomy. Samochód rusza. Mdli mnie. Chowam głowę między kolanami.

\*

Że tną, wiedzieliśmy dobrze. Koszty naszego utrzymania. Nawet to, że polecono nam przedstawić kilku kandydatów na patrona szkoły, bo jeszcze takowego nie mieliśmy, jakoś nas nie uspokoiło. Owszem, wykonaliśmy polecenie, puszczając przy tym wodze fantazji. Kandydatów było kilku: Władysław Sikorski, Władysław Anders czy Kazimierz Sosnkowski - generałowie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, o których od niedawna znów można było mówić głośno, a co za tym idzie - również zgłaszać na patronów szkół. Kilku z nas wytypowało nawet jednego majora, choć nie był to żaden ze znanych majorów Henryków, w rodzaju Dobrzańskiego-Hubala czy Sucharskiego z Westerplatte.

- Skorzenny? - przeczytał z widocznym trudem zastępca dyrektora, podpułkownik Wojdala. - A kto to był ten Skorzenny?

- Komandos z czasów II wojny światowej, zresztą bardzo znany - pospieszył ze szczegółowymi wyjaśnieniami Czarek Maczek.

- A co on takiego zrobił? - naciskał pułkownik.

- Desant na Krete.

- Na Krete? Zabijał Murzynów znaczy?

- Aha. A potem odbił Mussoliniego...

Niestety, Otto Skorzeny, zaufany człowiek Fuhrera (który ponoć zresztą jako jeden z nielicznych potrafił, z racji swojego austriackiego pochodzenia, wymówić poprawnie jego nazwisko), nie zyskał aprobaty władz naszej szkoły. Zresztą żaden inny kandydat też nie.

Ale cięli nadal. Czasy, kiedy po terenie naszej ukochanej szkoły kręcili się specjaliści, jeden od przykręcenia śrubki, a inny od wbicia gwoźdźca, minęły chyba bezpowrotnie. Dawno już zlikwidowano funkcję dziennego recepcjonisty w internacie i trzeba było samemu siedzieć na dyżurach i pierdzieć w stołek według listy. Czasami się to opłacało, gdy na przykład tego dnia przypadała jakaś poważna praca klasowa. Na noc przychodziły stare recepcjonistki, któreśmy już spokojnie rozpoznawali po sposobie dzwonienia na pobudkę.

MAZOWIECKI, ODDAJ PIENIĄDZE, HUUU!!! - taki napis, nieortograficzny, ale szczery, pojawił się na jednym z naszych wewnętrznych murów i był to chyba jeden z pierwszych objawów braku ogólnonarodowej euforii i poparcia dla zachodzących w naszym kraju zmian. Na domiar złego wkrótce doszła nas wieść, że kolejnego, trzeciego obozu letniego nie będzie. Mielśmy na nim zrobić prawo jazdy. Co prawda nie na czołg czy ciężarówkę z przyczepą do przewożenia głowic nuklearnych, jak wielu się śmiało, ale takie na mały samochodzik czy motocykl, a to musiało się przydać każdemu młodemu człowiekowi w tym kraju.

- To niezgodne z zasadami - odgrażał się Bogusław Jagmin i od razu w sukurs przychodzili mu inni koledzy:

- Podpisywaliśmy przecież umowę. To oni się nie wywiązali.

- W folderze reklamowym to zawsze wszystko ładnie wygląda.



- Nie będzie prawka, to ja nie idę do żadnej oficerki.

- A dokąd? Do seminarium duchownego wstąpisz?

- Nawet.

Ale byli też tacy, którzy ze stoickim spokojem przyjmowali takie nowiny.

- A ja ich wszystkich pierdolę.

- Mi starzy dadzą kasę i sam prawko zrobię.

- Cwaniak. Moi nie mają.

- A ile ta przyjemność teraz kosztuje?

Temat szybko przeniósł się w kuluary, czyli kilkusobowe grupki dyskusyjne, w jakich często wystaje się podczas przerw między lekcjami, czy do naszych pokoi, gdzie cały czas odbywały się długie nocne rodaków rozmowy, zdominowane zawsze przez jeden temat, a mianowicie dupy. Teraz jednak pojawiał się dużo poważniejszy problem, wszak jak na faceta przystało, żeby wszystko było jak należy, trzeba dziewczynę przywieźć, zawieźć, odwieźć...

- No, „na jeźdźca” to fajnie jest - rozmarzył się Grzegorz Prądyński.

- A co, kupiłeś sobie jakąś kobyłę? - zapytał Bołtuć, a reszta pokojowej załogi zaśmiała się głośno, mimo już dość późnej pory.

Jak by na to nie patrzeć, problem był. Niektórzy co prawda twierdzili uparcie, że na grzyba im taki kawałek kartonika, podziurkowany jak ser szwajcarski, bo tak wtedy wyglądało prawo jazdy. Sosabowski przykładowo którejś niedzieli, która kończyła jakiś dłuższy okres wolnego, opowiadał, jak w te wolne dni przejechał maluchem swojego kuzyna przez całą Polskę.

- Kitujesz, stary - oceniłem te jego rewelacje, ale kilku innych towarzyszy domagało się szczegółów tej ryzykownej eskapady.

Jasia nie trzeba było dwa razy prosić. Chodziło o to, że jego starszy o pokolenie kuzyn prosił, żeby Sosabowski zawiózł jakieś ważne dokumenty w istocie na drugi koniec kraju. Dał mu w tym celu kluczyki do swojego osobistego małego fiata, czyli marzenia każdego Polaka, pieniądze na benzynę, przesyłkę i... milicyjny lizak.

- Po cholere ten lizak? - dopytywali się słuchacze.

- Ano po to, że gdyby mnie drogówka złapała, to byłby problem - tłumaczył ze spokojem nasz mistrz kierownicy. - I kilka razy zatrzymywali, ale wtedy migalem tylko długimi światłami na znak, że jestem swój, a za przednią szybą leżał lizak. To taki ich umówiony znak.

Potem jeszcze była dokładna opowieść o wszystkich mijanych po drodze miejscowościach. Na niczym nie dało się go złapać. Mimo to prawdziwość rewelacji Sosabowskiego zyskała tyluż zwolenników, co przeciwników.

- Tak się można przejechać raz, dwa, góra pięć razy - ocenił Jasiński. - Za szóstym cię jednak dupną, a dupną cię bez prawka. I leżysz! To znaczy siedzisz...

Przypomniał nam się wtedy też kolega nasz Lesio z trzeciego piętra, który miał mamę w Stanach i tyle kasy, że go koledzy coraz podburzali, żeby sobie coś kupił: najpierw motor, potem samochód. Wchodzili mu po prostu na ambicję. Wszystkie te zdobycze techniki były prowadzone przez kolegów Lesia i, rzecz jasna, jedynie z kartą rowerową w kieszeni. Kończyły marnie, zazwyczaj w jakimś rowie, a potem u blacharza, skąd zazwyczaj Lesiowi nie chciało się już złomu odbierać.

Tak, dokument do legalnego prowadzenia pojazdów mechanicznych, tak wielośladowych, jak i jednośladowych (dziewczyny lubią przecież motocyklistów; ach! te skórzane kombinezony, ten wiatr we włosach...) trzeba było posiadać koniecznie. Po jakimś czasie pod nasz internat zaczęły zatem podjeżdżać rozklekotane maluchy z niebieską

tabliczką z literą L na dachu. Schodzili do nich kursanci, nie bez dumy trzaskali drzwiami, gazowali, ruszając wreszcie z piskiem opon. Pan instruktor z wąsami kiwał głową przyjaźnie; czasem nawet na tylnym siedzeniu samochodu zauważało się urodziwą kursantkę.

Któregoś dnia, gdy wracaliśmy grupką z miasta, wyprzedził nas jeden z takich samochodzików z niebieską „elką” na dachu. Kilkanaście metrów dalej gwałtownie zahamował, zatrzymał się, wjeżdżając jednym kołem na krawężnik. W tej samej sekundzie otworzyły się drzwi od strony pasażera i z auta wyskoczył jak z procy starszy mężczyzna, najpewniej instruktor.

- Jestem spokojny, jestem spokojny - mamrotał tylko, starając się opanować drżenie rąk; dopiero jak dostał facet od któregoś z nas papierosa, uspokoił się jeszcze bardziej.

Zajrzałem do środka pojazdu. Za kółkiem malucha siedział kolega Dariusz Orlik i uśmiechał się niewinnie.

- Coś źle zrobiłem, instruktorze? - zapytał niegłośnie chłopak, w niektórych kręgach zwany „Wiatrakiem”.

- Jestem spokojny, jestem spokojny - odpowiedział mu mężczyzna, choć w istocie już nieco spokojniej niż przed paroma chwilami.

Z tyłu siedział inny kolega. To on nam powiedział, co się stało.

- Po mieście jeszcze Orlik dawał jako tako, na drugim biegu. Ale w pewnej chwili, gdy już wracaliśmy, wjechał nagle na chodnik, i to jeszcze taki, gdzie ludzie nie mieli dokąd uciekać. Pod wiaduktem kolejowym, macie pojęcie? Na szczęście obyło się bez ofiar. Potem jednak nie za bardzo potrafił trafić w naszą ulicę...

Holenderskie przezwisko Orlika stało się teraz powszechnie używanym. Mimo tych facecji, kandydatów na kierowców, którym tatulo z matulą nie poskąpili środków, wciąż przybywało. Jednym szło dobrze, innym nieco gorzej. Zamieszanie na niewielkim parkingu pod szkołą musiało jednak prędzej czy później zwrócić uwagę odpowiednich władz. Któregoś dnia Pawelec przekazał nam swoje stanowisko na porannym apelu.

- Dowiedzieliśmy się, że niektórzy z was robią... nielegalnie kurs na prawo jazdy.

Tym w pierwszym szeregu ledwo udało się powstrzymać wybuch śmiechu; stojący za ich plecami już się nie wstrzymywali.

- Oficjalnie i kategorycznie zabraniam odbywania takich kursów! - zagrział dyrektor. - To jest rozkaz z samego dowództwa okręgu.

No, jak z okręgu, to z okręgu. Z okręgiem żartów nie było. Nasi kursanci postanowili potraktować rozkaz poważnie i odtąd na jazdy konspiracyjnie umawiali się w mieście; póki co wyjść jeszcze nie zabraniano. W każdym razie sprawa nieco przycichła.

Aż pewnego dnia oznajmiono nam, że fundowany przez naszą ukochaną matkę armię kurs na prawo jazdy kategorii A i B jednak się odbędzie. Z początku nie chcieliśmy wierzyć, ktoś od razu wietrzył w tym jakiś podstęp.

- To niemożliwe, żeby tak nagle kasa się znalazła - spekulował Bodek Jagmin. - Na pewno będą od nas czegoś chcieli w zamian.

- Może każą się nam za to do ZSMP zapisać - zastanawiał się głośno ktoś inny. - Albo od razu do partii.

- Przecież partii już nie ma.

- No właśnie... Może potrzebują świeżej krwi?

Były za to konkrety: przydzielono nam instruktorów z Ligi Obrony Kraju, zaczęto straszyć datami i ocenami, które wpisywane były do specjalnych dzienniczków kursowych. Jednocześnie rozpoczęło się szkolenie teoretyczne: przepisy, znaki drogowe, również budowa silnika, niestety. Wykłady prowadzili oficerowie służby samochodowej, którzy za kierownicą po raz pierwszy siadywali chyba w drodze na Berlin.

- Co to jest za znak? - zapytywał pan „gaźnik”, wskazując na stojący zazwyczaj w

pobliżu szkół trójkąt ostrzegawczy, na którym większa postać, prawdopodobnie męska, biegła za mniejszą, taką z warkoczami.

- Uwaga... zбочeniec! - zaśmiał się jakiś figlarz z ostatniej ławki, na co oficer tylko zmarszczył brwi, a te miał nie mniejsze od samego towarzysza pierwszego sekretarza, Breźniewa.

- Żartów wam się zachciewa? Ale na drodze nie ma żartów - podsumował niewinny nasz wybryk, po czym zakończył na dzisiaj odpytywanie ze znajomości znaków drogowych i przeszedł do budowy silnika; jako że wykłady odbywały się późnymi popołudniami, wielu z nas przeznaczało ten czas na drzemkę.

Jazdy szły mi jako tako. Czasem instruktor pochwalił, ale kilka razy też opieprzył nieźle, pytając mnie, czy powożę furmanką, czy prowadzę samochód. Często braliśmy kogoś na łebka, jakiegoś znajomka instruktora, więc przynajmniej miał chłopina zajęcie.

- A ona mi na to: Romek, nie tak ostro, bo mi łóżko rozwalisz.

- Tak ci powiedziała? I co?

- Nic. Jak zawsze. Wyła jak przy porodzie.

Tak sobie panowie uprzyjemniali wieczory, gawędząc wesoło, podczas gdy ja doskonaliłem na placyku manewrowym parkowanie przodem i tyłem, kopertę oraz zawracanie „na trzy”.

Wreszcie przyszedł czas egzaminu. Udaliśmy się rozkrzyczaną ferajną do ośrodka szkolenia LOK, gdzie najpierw miał się odbyć sprawdzian teoretyczny, czyli rozwiązywanie testów, dopiero po ich zwycięskim zaliczeniu - walka na placyku manewrowym, a następnie w mieście. W kilku drewnianych śmierzących barakach tłoczyło się kilkudziesięciu młodych ludzi. Ktoś kuł do ostatnich chwil z podręcznika, inny walczył z luźnymi kartkami starych testów, większość jednak pozostawała jak te kartki właśnie.

Prawdę mówiąc, ja liczyłem na fart. Nawet na wielki fart. Wierzyłem, że się

poszczęści jednak z tymi testami, że trafię na łatwe pytania, a potem jakoś poradzę sobie na placu i w mieście. No i się przeliczyłem, popełniając o jeden błąd za dużo. Zdaje się, chodziło o oznakowanie kolumny pojazdów uprzywilejowanych, którą w odpowiedzi oznakowałem źle, narażając tym samym na niebezpieczeństwo wojskowe pojazdy wraz z ludźmi i sprzętem. Może nawet głowice nuklearne, kurwa, w które przez moją niefrasobliwość mógł wjechać na przykład autokar z dziećmi udającymi się na wymarzoną wycieczkę. Nieodpowiedzialność moja została przykładowo ukarana...

Kilka tygodni później rozniosła się po mieście wieść o happeningu organizowanym przez miejscową Pomarańczową Alternatywę. Zebrać naówczas kilkaset osób w jednym miejscu nie było wielką sztuką. Dziś o taką frekwencję modlą się organizatorzy politycznych wieców, demonstracji „za” albo „przeciw” czemuś czy komuś. I nawet darmowy koncert jakiejś aktualnie popularnej gwiazdy czy rozlewane za friko piwo nie dają gwarancji na dobre zdjęcia w głównym wydaniu Wiadomości.

Wtedy nastąpiła wiosna, pulsujący, kolorowy tłum młodych ludzi zebrał się na skwerze przed komendą miejską milicji. Nad głowami młodych ludzi powiewały transparenty: **ŻĄDAMY WPROWADZENIA STANU WIOSENNEGO** albo **UWOLNIĆ SŁONIA**.

- Zadzwoncie po milicję! Zadzwoncie po milicję!!! - dobiegło z setek gardeł.

Nikt nie chciał draki i konfrontacji z pałami. Na tym polegał fenomen Pomarańczowych. Ponad głowami tłumu spostrzegłem delegację, która z bukietami kwiatów znika za drzwiami ponurego budynku z czerwonej cegły. Śmiech, radość, muzyka i euforia, bo już nie pałają, nie pakują do suk, nie kierują na dołek.

Kiedy niesiony tym powiewem wolności i wiosny szedłem potem przez miasto, spostrzegłem kilku kolegów z równoległej klasy. Dziwnie na mnie patrzyli, wreszcie jeden z nich odezwał się.

- Pytali o ciebie.

- Kto taki? - zapytałem pogodnie, nie przeczuwając żadnego kataklizmu.

- Dziś mieliśmy poprawkę egzaminu teoretycznego na prawo. Był o wiele łatwiejszy niż ten pierwszy. Wszyscy zdali. Sfrajerzyłeś sprawę, bo więcej możliwości już nie będzie...

\*

Nieuchronnie zbliżał się też czas najważniejszych życiowych posunięć - jaką szkołę oficerską czy też akademię wybrać sobie na następnych kilka lat picia... Przepraszam, życia. Zaczęli przyjeżdżać do nas podchorążowie z różnych uczelni celem rekrutacji, a może raczej reklamy. Jednego dnia na naszej świetlicy gościliśmy chłopaków z Akademii Marynarki Wojennej z Gdyni. W bardzo fajny i, co ważne chyba, przystępny sposób przybliżyli nam istotę studiowania w ich uczelni. I gdyby wyciąć z ich wywodu wszystkie „kurwy”, „chuje” i „pierdolenia”, wyszłaby z tego naprawdę bardzo zgrabna i zachęcająca mowa. Ale widać na okręcie nie można inaczej...

Innym razem wpadli do nas dwaj kandydaci na lekarzy z Wojskowej Akademii Medycznej, która mieściła się w Łodzi. Stanowili istne przeciwieństwo wilków morskich. Słówka „aczkolwiek” czy „albowski” był to istny miód na nasze skołatane serca. I uszy.

- Aczkolwiek w zeszłym roku było tak, że chłopaków z liceów wojskowych przyjmowano do nas bez egzaminów - brzmiała dodatkowa informacja.

I bardzo cenna. Dostać się wtedy w cywilu na medycynę było nie lada wyczynem. A tu dawali nam jak na talerzu. Założę się, że znaleźliby się wśród nas i tacy, co poszliby na takie studia lekarskie nawet dla przysłowiowych jaj. I co z tego, że tylko na jeden semestr, wszak pierwsza sesja niewątpliwie skorygowałaby to i owo.

Jednocześnie z kraju zaczęły dochodzić do nas wieści o likwidacji kolejnych kierunków studiów. Szkoły oficerskie, przy których były kierunki polityczne, stawały jednak na technikę i pozbywały się politruków, a nawet niewinnych filozofów. Razem ze studentami.

- Byłem w sobotę w Toruniu i widziałem na własne oczy! - relacjonował głośno któryś z chłopaków. - Stoi koleś pod pomnikiem Kopernika, płaszcz mundurowy rozpięty, krawat poluzowany, czapina na tyle głowy, mało jej orzeł nie zleci z pelty. Stoi kolo, buja się na flekach i daje winiawkę z gwinciora. W biały dzień! A wszystko dlatego, że mu kierunek

rozwiązują...

Czyli że artyleria będzie bić dalej, tylko już nie będzie wiedziała po co.

Nie przejmowaliśmy się tym za mocno, chyba nie. Przynajmniej raz człowiek miał problem z bańki, w odróżnieniu od znajomych rówieśników z miasta, którzy zachodzili teraz w głowę, co wybrać: polonistykę, stosunki międzynarodowe czy płciowe (w niektórych wypadkach oznacza to to samo), historię sztuki czy inżynierię lądową, rybactwo śródlądowe czy robactwo w wynajętej norze na Greenpoincie, prawo, lewo, a może archeologię. U nas wiadomo było, że na człowieka czeka już nowiutka para brązowych bądź czarnych opinaczy. Tylko chłopaki z medycyny zachwalali białe buciki lekarskie, zwane drewniakami; stopa się w takich nie poci i w ogóle dobrze jest, nie ma powodów do narzekań. Przynajmniej od trzeciego roku studiów w górę...

- Aczkolwiek uczyć się też trzeba.

Któregoś wieczora nasz wychowawca, pan Wiesiek, także zorganizował nam spotkanie. Ale już nie z żadnym podchorążakiem, a jakimś młodym holenderskim naukowcem. Był tłumacz (rozmawiali w języku niemieckim) i pełna świetlica chłopaków. Gadaliśmy o życiu. On słuchał nas z zainteresowaniem, może w pamięci robiąc notatki do jakiejś swojej pracy naukowej; młodzież z już postkomunistycznego kraju, ale jeszcze unieruchomiona w starych, zardzewiałych okowach armii robotników i chłopów - to musiała być dopiero gratka. Ciekawe, czy dla socjologów, politologów czy już psychiatrów? Myśmy zaś chłonęli każde słowo gościa, bo oto przybył do nas stamtąd, z zachodniej części Europy, do której drogi właśnie się otwierały. Lecz niekoniecznie dla nas.

Wieczór można było z powodzeniem uznać za udany. Potem jednak ktoś doniósł gdzie trzeba i wypytywano nas, półoficjalnie, kto, kiedy, z kim i jak. Bo przecież zgody na takie spotkanie nikt oficjalnie nie wydawał. Pewnie bali się, że zamiast przedziutko wskoczyć w zielone fatałaszkę, niektórzy z nas zechcą skoczyć przez zieloną granicę...

\*

Pewnego dnia, a była to chyba niedziela, włóczyłem się jak zwykle po mieście. Był



już właściwie wieczór i mróz niezły, mimo że w kalendarzach lada dzień miano ogłosić wiosnę. Nagle usłyszałem jakieś krzyki. Początkowo nieskładne, zaczęły stopniowo przechodzić w miarowe skandowanie.

- Sprawiedliwości! Sprawiedliwości!

Przyspieszyłem kroku. Okrzyki dochodziły z okolic głównej ulicy naszego miasta, której charakter od zawsze psuł... mur aresztu śledczego. Zawsze się zastanawiałem, czy poeta Zbigniew Herbert, pisząc „na ulicy radosnych pochodów, szary mur więzienny w oczy kłuje, brzydka plama w krajobrazie idealnym” - miał na myśli właśnie tego konkretnego pierdła w naszym zapyziałym województwie? Wiedziałem za to, że dawno temu kręcono w nim pierwszy odcinek „Stawki większej niż życie”, dokładnie scenę, gdy Hans Kloss ucieka z więzienia.

Tymczasem krzyki były coraz bardziej wyraźne, a dochodziły... No właśnie.

- Do czego to doszło, panie! - krzyknął mi nad uchem jakiś emeryt w kapeluszu, wskazując laską na źródło krzyku.

Siedziało ich chyba ze dwudziestu, a może nawet trzydziestu. Na spadzistym dachu głównego, trzypiętrowego budynku aresztu. Więźniowie. To oni właśnie skandowali:

- Sprawiedliwości! Sprawiedliwości!

- Jak oni tam weszli? - zapytałem dziadka, bo tacy byli, zwykle są i pewnie też będą najlepiej poinformowani.

- Wybili szybę w oknie na dachu, widzisz pan, tam - wskazał mi znów laską dach i okno z istotnie wybitą szybą. - Musieli też pewnikiem zabić strażnika. Albo ze dwóch.

- Sprawiedliwości im się zachciewa, kurwa mać! - oburzył się jakiś młokos, cały w dekatyzowanym dzinsie, i splunął z pogardą pod nogi. - Dwa helikoptery z bronią maszynową i po kłopotcie.

- Jak w Rumunii - sprecyzował kto inny w głębi tężejącego tłumu.

Cóż, krótką mieliśmy pamięć. Jeszcze kilka miesięcy temu żalowałiby biedaków, a może nawet rzucali im papierosy albo chleb.

W internacie opowiedziałem chłopakom o tym, co widziałem.

- Facet nie miał racji - powiedział któryś, dłubiąc sobie w zębie. - Według mnie w zupełności wystarczyłby jeden helikopter...

Na jakiś czas minęła mi ochota do buntu. Właściwie do czegokolwiek, prócz spania. Kiedyś nawet za bardzo dałem się ukołysać Morfeuszowi, bo zasnęłam na śniadanie. A potem to już poszło lawinowo. Na pierwszą lekcję wpadliśmy z Sosabowskim z kilkuminutowym opóźnieniem. Na nasze nieszczęście, było to religioznawstwo, które wykładał sam miłościwie nam panujący dyrektor, podpułkownik doktor Pawelec.

- Słucham? - popatrzył na nas, jakby nas pierwszy raz na oczy widział.

- Dzień dobry - wysapaliśmy.

- Dzień dobry.

Chcieliśmy zająć swoje miejsca, ale każdy się bał. Tak samo chyba jak kiedyś, pierwszego wieczora po przyjeździe do szkoły załoga pokoju Traugutta i Maresza; tak się bali zapytać, gdzie jest kibel, że odlali się przez okno.

- Ile minut się spóźniliście? - zapytał Pawelec, zerkając na zegarek.

- Pięć minut.

- Nie pięć, a sześć! - poprawił mnie dyrektor.

- Sześć...

- Czyli dwanaście.

- Dwanaście?

- Straciliśmy dwanaście minut, ponieważ jest was dwóch - cedził przez zęby z tą szparą między siekaczami. - Dwanaście minut. I nikt już nigdy ich nam nie zwróci. Siadać!

Usiedliśmy. Zwykle Pawelec na swoich zajęciach wałkował filozofię Epikura, ze szczególnym uwzględnieniem słynnego leczniczego czwórmianu tego filozofa.

- Bóstwo nie jest straszne.

- Śmierć jest niezawodna.

- Wszystko, co dobre, jest łatwe do zdobycia.

- Wszystko, co złe, jest łatwe do zniesienia.

Tych kilka zdań powtarzaliśmy niemal co zajęcia. Tylko Jurek Kutrzeba jakoś nie mógł się zgodzić z pierwszym punktem czwórmianu Epikura, bo kiedyś na dyskotecce za dużo wypił oranżady i zaczęło mu się podobać bardzo jedno z dziewczątek, co to w silnej grupce przybyły, byśmy nie tańczyli ze sobą.

- Bóstwo - tak o niej mówił.

Ale ona naprawdę była straszna. Na próżno chłopaki próbowali mu wyperswadować, że gdy wytrzeźwieje i - co bardzo prawdopodobne, bo panienka może nie przepuścić takiej okazji - spotkają się w mieście, Jurka czeka, delikatnie mówiąc, rozczarowanie. Dopiero potem, kiedy trochę ochłonął, spojrzał inaczej. I zrozumiał. A z bóstwa towarzystwo śmiało się jeszcze długo.

Jeśli chodzi o drugi punkt, to nie było oponentów. Temat dla nas nie istniał. Przecież mieliśmy żyć wiecznie. Kiedy człek był o tym przekonany bardziej niż w okolicach matury, mimo że jej widmo sprawiało, że niektórym żyć się odechciało? Ostatnie dwa elementy

czwórmianu uzależniano zaś od kondycji budżetu naszej armii i aktualnych kursów walut. Nikt jednak tego głośno nie powiedział Pawelcowi.

Kilka razy udawał nam się dryf, jaki stosowaliśmy wobec innych belfrów. Czyli dyskusja, która odciągała profesora od dziennika i pokusy odpytywania. Do ulubionych tematów Pawelca należała, rzecz jasna, polityka i historia najnowsza Polski.

- Co oni robią z tym krajem - pomstował. - Znów zmienili ulicę. Aleje Zwycięstwa na aleję Józefa Piłsudskiego. Przecież co dzień powstaje kilka nowych ulic. Nie można nazwać tak jakiejś nowej, kurwa, ulicy? A nie zmuszać ludzi do chodzenia po urzędach i wpisywania zmian w dowodach osobistych?!

Albo socjologia:

- Stoję w banku, w kolejce, a tu mi się pcha paniusia do okienka. Futro, umalowana. No, kurwa, jak dwa razy dwa jest cztery!

Cóż, nawet i ktoś taki jak on czasami dawał się ponieść emocjom. Tylko że na koniec lekcji nie omieszkął zastrzec:

- Użyłem dziś słowa na literę „k”, ale tylko dwa razy. Pamiętajcie: dwa razy.

Dziś jednak nasz drogi wykładowca miał chyba nie najlepszy dzień i bawił się w rzymskiego cezara, pastwiąc się nad pierwszymi chrześcijanami. Czyj to był pomysł, żeby akurat temu człowiekowi przydzielić taki przedmiot? Pewnie sam to wymyślił, tym bardziej że po szkole zaczęli kręcić się różni tacy w czarnych sutannach, salezjanie, co za jeziorem mieli swój kościół. Tego dyrektor nie mógł powstrzymać, ale mógł kontratakować. No to kontratakował.

- Pierwsze gminy chrześcijańskie powstały na wiele lat przed przyjściem na świat Jezusa Chrystusa - powiedział, oczekując naszej reakcji. - Świadczą o tym wykopaliska, naczynia...

Nikt nic nie powiedział, tylko pierwszy rząd robił mądre miny, udając, że słucha. My

spodziewaliśmy się prowokacji, a on najnormalniej w świecie przynudzał. I robił to na tyle skutecznie, że znów opadłem miękko w ramiona Morfeusza...

Obudziły mnie podniesione głosy. Głowa Pawelca przypominała pomidor. Na środku klasy stał zaś Jurek Kutrzeba; był bardzo zdenerwowany, głos mu drżał.

- Pan obraża moje uczucia religijne - mówił Jurek, połykając zgłoski.

- Ja obrażam? - wzruszył ramionami dyrektor.

- Tak, pan.

- W takim razie czyje jeszcze uczucia religijne obraziłem? - zapytał i potoczył wściekłym wzrokiem po klasie.

No, to trafił. Nikt się nie przyzna i Jurek będzie tak stał sam, jak ten kółek na poligonie.

- Moje - odezwał się Zajączek, wstając z miejsca.

- I moje - przyszedł mu w sukurs Langiewicz, choć dobrze jeszcze pamiętaliśmy, jak nie tak wcale dawno potraktował Pana Boga per łysa dupa... Ale nie to było teraz ważne.

Po chwili staliśmy już wszyscy. Ja też, choć nawet ochrzczony nie byłem. Obejrzałem się za siebie. Nie. Jeden nie wstał, Sosabowski. Ale on miał bardzo twardy sen. Dobrze, że przynajmniej siedział w ostatniej ławce.

- A więc wszyscy poczuliście się urażeni? - syknął dyro.

Milczeliśmy dumnie. Szkoda, że Żeromski nie mógł nas widzieć. Od razu przeniósłby akcję swoich „Syzyfowych prac” do jakiejś szkoły kadetów.

- Ciebie też? - zaatakował Skrzyneckiego.

- Tak jest, panie pułkowniku - odpowiedział Robert.

- A masz tarczę szkolną na rękawie?

- Mam - odrzekł z dumą chłopak, obracając się ramieniem.

- Wszyscy macie? - drążył temat wykładowca religioznawstwa.

- Wszyscy! - odrzekliśmy chórem.

Ktoś powie, że nic niezwykłego. To nasze życie szkolne, dumne, chmurne, ale i zasrane. To zresztą chyba najczęściej. Niczym znów wielkim nie było, żadne to halo. A w porównaniu choćby z tym wszystkim, co dziś dzieje się za szkolnymi murami, to już w ogóle. Pikuś! Przedszkole dla grzecznych dzieci dyplomatów. Od zarania dziejów każdy rocznik maturalny miał przecież swojego dyrektora Pawelca, toczącego wściekłym wzrokiem znad katedry krwiopijcę albo przeciwnie, cichego, zimnego, co bez mrugnięcia okiem na drugi rok zostawia, uwala na egzaminie komisowym, bo przecież matematyka, fizyka, chemia, zajęcia praktyczno-techniczne (niepotrzebne skreślić) to królowa nauk.

Jednak po latach, przy okazji jakiegoś zjazdu absolwentów, na którym przecież trzeba się stawić, tenże profesor okazuje się dobrym, starym belfrem. Dziadziem, któremu nikt nie wypomina przeszłości, surowości matematyka czy fizyka. Co więcej - absolwenci twierdzą, że na ludzi ten czy ów wyszedł pod takim knutem. Dziękować trzeba, obiecując pamięć i po rączkach całując. I jeszcze raz dziękować. Ktoś powie, że nic niezwykłego. Ano, pewnie nie...

Pawelec odczekał wtedy, podczas tej pamiętnej lekcji religioznawstwa, chwilę, jakby się cofał. Ale to były tylko pozory, sprytny manewr taktyczny. Nie na darmo go na Syberii szkolili. W rękawie krył bowiem prawdziwego asa.

- A kto z was ma tarczę na kurtce?

Tylko jeden z nas miał. I tylko dlatego, że miał świetną kurtkę z demobilu i nie musiał chadzać w naszej po mieście. A dyrektor triumfował. Dwa tysiące lat chrześcijaństwa można było do śmietnika wrzucić i ziemią przysypać. Wszak nie mieliśmy przyszytych do kurtek

tarcz szkolnych. Nie byliśmy partnerami do poważnej rozmowy.

Dzwonek na przerwę wyciągnął nas z tej kłopotliwej sytuacji.

\*

Na pogrążone już od wielu godzin w mroku miasto, jak mgła przesiąknięta dymem peryferyjnych elektrociepłowni i spalinami samochodów, parą z ust ludzi i zwierząt, zaczął spadać sen.

Dla niektórych to gość przedwczesny, psujący zabawę w zatłoczonych klubach, nad szklanką piwa w roześmianym towarzystwie lub wciskający się pod zapuchnięte powieki przed monitorem biurowego komputera, łapiący idących jak pies za nogi. Dla innych sen to zbawca spóźniony. Wyczekany w brudnym dworcowym korytarzu, stukającym na rozjazdach pociągu, odmierzony zawsze trudną do przypomnienia liczbą przełożeń z boku na bok, przeliczanych baranów, kolorowych drażetek środka nasennego.

Nazwany kiedyś bratem śmierci, w szpitalnych salach, domach, piwnicach, na śmietnikach zamykał oczy jednym, a otwierał innym. Sen dobry i zły, kolorowy i koszmar, erotyczny i bez jakiegokolwiek sensu. Sen czujny i spokojny. Albo szedł wraz z nurtem rzeki, toczącej muł po ostatniej letniej ulewie, potrzaskane gałęzie drzew i zagubione w wirach żółte, jesienne liście. Usypiał kolejne mosty przez rzekę i tory kolejowe, rozchodził się na boki, ogarniał bulwary, wciskał się między zaułki, spadał na ogródki, podwórka i alejki. Ogarniał coraz wyższe piętra wieżowców, gasił w nich światła. Przesypywał się bezgłośnie jak ziarnka piasku w klepsydrze razem z niewidzialnymi impulsami, elektronicznymi listami, procentowymi punktami, kursami walut, wskaźnikami kupna-sprzedaży, malejącą lub rosnącą liczbą hektopaskali, stopni Celsjusza, Fahrenheita, Beauforta, Richtera.

Nigdy nie cierpiałem chłodu, który kiedyś pokonywał największe armie świata. Nie gryzły mnie wszy ani pluskwy. Uzbrojony w kij, młotek czy but z twardą podeszwą z gwoździami, nie polowałem z kolegami na ogromne szczury, przy okazji zabijając też czas. Nie wiedziałem, co to głód prawdziwy, taki co ponoć potrafi gryźć, a wzrok kierować pożądlivy w kierunku pary butów czy skórzanego paska, a czasem nawet kolegów. Nie odkryłem w sobie jakże przydatnej żyłki handlowca, potrafiącego sprzedać wszystko, by

kupić za to chleb i papierosy. Zielony szynel nie był mi nigdy kołdrą, poduszką, łóżkiem. Nie postawiono mnie nigdy na psiej warcie, o szarej godzinie, której nie rozjaśni nawet chłód lufy przyłożonej do brody. Nie ogolono mi nigdy głowy do skóry. Nie oglądałem świata przez skrzyżowane pręty, nie zaznałem knuta, nie siedziałem w karczerze ani przez długie godziny w lodowatej wodzie. Nie czołgałem się w błocie, nie reagowałem na wykrzykiwane komendy: padnij! powstań! Nie zeszkrobywałem z niczego gówna, plwocin, smarków ani zakrzepłej krwi. Ale...

Nigdy słowa nie bolały jak wtedy.

Nigdy później obraz nie porażał i dźwięk.

Nigdy później zapach nie unosił całego ciała w powietrze ani nie powodował skurczów żołądka i wymiotów.

Przywołując swoje szkolne czasy, swoją młodość raz mi tylko daną - dziś, po latach, chcę zdać się na zmysły. Wszystkie pięć. Wiem, że niektóre są już nie tak czułe jak kiedyś, choć z pewnością nie powiem jeszcze, że przytępione (jeśli nawet, to i tak nie powiem o tym głośno).

Najszybciej chyba psuje się wzrok, więc trzeba sobie pomagać noszeniem korekcyjnych szkieł na co dzień. Jeszcze nie po to, by móc przeczytać gazetę. Albo chronić oczy przed ostrym słońcem ciemnymi okularami, przydając sobie zresztą atrakcyjności. Ale gdy już nic nie będę widział, pod powiekami zawsze będzie ten sam, wyraźny niezmiennie obraz. Z wciąż tak jaskrawymi kolorami, że trzeba było oczy mrużyć.

- Powiedz, stary, który byś wybrał: ten czy ten? - pytaliśmy swoich współlokatorów, podsuwając im pod nos dwa krawaty: brzydki i, dla łatwiejszego wyboru, brzydki.

Jeden był jaskrawoturkusowy, drugi wściekloróżowy. Oba wąziutkie, błyszczące, bez wzorku. Po prostu szczyt mody i full wypas. Podobnie było z szaliczkami i czapeczkami a la smurfy, gdy nastaly chłodniejsze dni. Inna sprawa to kreacje naszych wychowawczyń, które można określić jednym krótkim, a trafnym określeniem:



- Dzidzia piernik! - ochrzcił któryś, gdyśmy podążali za panią matką na obiadek czy kolacyjkę, a mocne perfumy drażniły nam nozdrza.

Nie, nie sposób zapomnieć. I trudno zrozumieć. Te bufiaste bluzki w papuzich kolorach, bary z gąbki jak u zawodników futbolu amerykańskiego, obszerne spódnice z mocno dekatyzowanego dżinsu, zakończone koronką, pantofelki lilaróż. Tę całą modę późnych lat osiemdziesiątych, którą dziś obejrzeć jeszcze można na filmach z tamtego czasu, a najlepiej na teledyskach grup rockowych. Na szczęście żaden z nas nie próbował przy żadnej okazji wyskoczyć wtedy, jak muzycy, z makijażem na gębie. Ale już z pofarbowanymi włosami - czemu nie?!

Najpierw przyszła moda na loczki - trwały, ale jeszcze bez farbowania. Potem na blondasów. Ciemni farbowali się na jasne kolory, już to przy pomocy swoich dziewczyn czy miejscowych koleżanek, już to w łazience internatu, gdy wszyscy spali. Efekty były, powiedzmy, znośne. Gorzej, gdy jasnowłosi chcieli zrobić się na latino. Co który nie próbował, wychodził... szarozielony. Nauczyciele tylko kręcili z politowaniem głowami, wychowawcy nagle mieli kłopoty ze wzrokiem, zaś kadra oficerska cieszyła się, że jesteśmy grzeczni i czapki na głowach nosimy.

Wzrok mój, zmysł chyba najważniejszy, nie przegapił wówczas żadnej wiosny. I żadnej jesieni. Zimy. Lata. A wiosny wtedy były, ech! A jesienie! Zimy. Lata...

Aby pamiętać, przywołuję drugi zmysł: słuch.

- Pobudka, piąta rano. Sprzątanie dworca! - darł się Mirek Bołtuć chwilę po tym, jak dzwonek nad drzwiami wyrywał nas brutalnie ze snu.

Piąta rano to może i nie była, tylko wpół do siódmej. Ale i tak masakra. Czarny humor Bołtucia. Do łazienki szło się czasem po omacku, tak się oczu nie chciało, szczególnie zimą, otwierać. Słuch prowadził w stronę szumiącej już wody z kranów i moczu w pisuarach, odgłosu szorowania zębów czy parskania źrebiąt. Przy świetle dziennym, czyli czasem po ciemku, odbywała się też nasza poranna toaleta, bo co który wszedł i chciał włączyć światło, słyszał wrzask „Milimetra”:

- Ciemno ci mrugać?!

Nie lubił rano wstawać, oj, nie lubił. Nikt z nas chyba nie lubił.

Kolejny odgłos poranka to stukot kilkudziesięciu par butów na drewnianych, skrzypiących schodach. Trzaskanie zamykanych drzwi wejściowych internatu. Szczęk plastikowych talerzy na stołówce, podzwanianie sztucców, chlupot nalewanej do kubków kawy czy herbaty. Pokrzykiwania kucharek. Kakofonię dźwięków uzupełniały pierwsze pojedyncze rozmowy, złorzeczenie na zamarznęte masło, chlupanie mlecznej zupy. Gdzieś w głębi kuchni skrzeczało radio, ale młode ucho potrafiło wyłowić ten czy inny przebój tamtego czasu. Piosenka albo przyczepiała się do człowieka na cały dzień, albo szybko się o niej zapominało, w czym pomagała na przykład inna melodia i inne słowa.

Potem pierwszy dzwonek na lekcje. Szkolny dzwonek, którego dźwięk każdego chyba porusza, budząc wspomnienia, gorsze czy lepsze. Odgłos kredy, którą profesor zapisywał na tablicy temat dzisiejszej lekcji, a potem tłumaczył zawiłości tego tematu, różnorodność rozwiązań w przypadku przedmiotów humanistycznych bądź tylko jedno słuszne rozwiązanie, gdy rzecz dotyczyła przedmiotów ścisłych i religioznawstwa.

- Może byś się tak obudził, co? - napominał czasami nauczyciel, gdy dostrzegł, że któryś z siedzących u stóp katedry oczy ma zamknięte i marzy.

Raczej nie stosowali nasi szanowni belfrowie starej, wypróbowanej metody kaprali, polegającej na tym, iż w monotonny słowotok wplątywali nagle, ale na tym samym poziomie głośności i z tą samą intonacją słowa:

- A teraz wszyscy śpiący...

By po chwili wrzasnąć:

- Powstań!

Wiadomo, że zrywali się tylko ci, którzy w tym momencie słodko kimali.

Im bliżej końca zajęć, tym ucho chciwiej łowiło odgłosy świata w otwartym oknie klasy. Świata, który czekał na nas za płotem: oddalonego trąbienia samochodów, syren karetka pogotowia, gwizdu lokomotywy przejeżdżającego niedaleko pociągu, który w piątek mógł wywieźć nas stąd jak najdalej. Przedtem jednak czekało się na dzwonienie garów na stołówce, coraz bardziej natarczywe, lecz nie drażniące. I idący z nim w parze zapach obiadu...

No, bo zapach. Węch. On też przypomina mi, że kiedyś, że gdzieś...

O zapachu mogliby chyba cokolwiek więcej powiedzieć wychowawcy, wizytujący codziennie nasze pokoje. Tu na grzejniku pod oknem suszyły się buty, zamoczone podczas pluchy, gdzie indziej wyprane domowym sposobem portki czy koszula, a czasem nawet większe rzeczy. Ktoś z nas marzył często, więc i okien szkoda mu było otwierać. No i grochówka była na obiad albo nie mniej popularny kapuśniaczek, na kolację zaś fasolka po bretońsku, zwana przez nas fasolką „po kretyńsku”, za sprawą której kołdry nad co wrażliwszymi z nas nocą wisiały na wysokości jednego metra.

O naszym zapachu mogliby cokolwiek więcej powiedzieć także profesorowie. Szczególnie w momencie, gdy wchodzili do klasy wypełnionej trzema dziesiątkami facetów, którzy przybiegli byli prosto z zajęć wychowania fizycznego, gdzie się nie oszczędzali, za to kiedyś ktoś zaoszczędził na prysznicach w sali gimnastycznej. I nie pomagała chyba woda po goleniu „Brutal”, którą wykupiliśmy na pniu, ledwo pokazała się w naszej kantynie („Pani Walewska” stała niewiele dłużej).

Ale najlepiej, ale najbardziej prawdziwie zapach drażnił nozdrza na stołówce, bo gdzie bardziej, gdzie intensywniej czuło się zapachy, jak nie tam, gdzie jeść dawali? Od progu zatem niezbyt przyjemny smrodek ziemniaczanych obierków. Jakiś środek dezynfekcyjny, którym świeżo wymyto podłogę i schody. Idąc na górę, na sekundę łapało się też zapach perfum którejś z pań bibliotekarek, gdyż szacowna ta instytucja sąsiadowała z salami, gdzie myślało się o fizyczności. Jak na ironię, a może i dobrze. Pokrzepieni na ciele, mogliśmy myśleć o pokrzepieniu umysłu i chyba chętniej zaglądaliśmy między półki z książkami.

Stołówka to zapach spalonego mleka, zbożowej kawy, kompotu z suszonych śliwek. To sztuka mięsa, zwana nie bez złośliwości „podeszwą”, kotlet schabowy, a częściej mielony,

czyli „przegląd tygodnia”, to wreszcie ta nieszczęsna fasolka w sosie pomidorowym i sto innych potraw, każda inna w zapachu, a może taka sama. A każda inna też w smaku, a może taka sama. Nie ma co gadać: w liceum człowiek był przez cały czas głodny. Świeży chleb znikał w ciągu sekundy, a nawet ten suchy, czerstwy, też bardzo często znajdował amatorów. Na podwieczorek czasem dawali ciasto drożdżowe, innym razem suchary z kminkiem, na których łamało się zęby, albo jogurt truskawkowy z miejscowej spółdzielni mleczarskiej, który chleptaliśmy zapamiętane przez dziurkę zrobioną kciukiem w cienkiej aluminiowej pokrywie. Mimo pewnej rewelacji, którą kiedyś przyniósł z miasta jeden z koleżków.

- Mam kumpelę, której jednej kumpeli siostra pracuje w spółdzielni mleczarskiej. I ona mówi, że tam pracuje jeden taki Marian...

- Streszczaj się, co!

- I ten Marian często przychodzi nawalony jak szpadel do roboty, odbija kartę, siada...

- Jesteś pewny, że on w mleczarni pracuje, a nie w jakimś sztabie dywizji?

- I co z tym Marianem?

- Marianowi robi się niedobrze i... I puszcza pawia do tej kadzi z jogurtem.

Włożyliśmy to między bajki a regulamin służby wartowniczej Sił Zbrojnych PRL. Ale tego dnia swojego jogurtu truskawkowego nikt już nie dokończył.

Smak lat licealnych to jednak przede wszystkim smak alkoholu. Pierwsza wódka, której naparsteczek ledwo jeszcze mordę wykręca, pali przełyk, mało nie wróci tą samą drogą, bije w żołądek, który broni się przed trucizną. A co z opowieściami o przedwojennych młodych ułanach, którzy stawiali szklanki z gorzałką na całej długości szabli i nie spoczęli, póki nie dali rady temu wszystkiemu? A rotmistrz patrzył i nadzieję pokładał. Co ze słynnym sączeniem oficerskich gwiazdek, które wrzucało się na dno naczynia i można je było tylko zębami wyciągnąć? Ano nic. Nie było już od dawna w użyciu metalowych gwiazdek, wszystkie haftowano srebrnym bajorkiem. Choć żołnierz istota zaradna i zawsze znajdzie coś do wysączenia.

Smak lat licealnych to również smak piwa, które nauczyli się w końcu pić niemal wszyscy z nas. I smak winopodobnych wynalazków, których głównym składnikiem była siarka, bo tylko to czasem w godzinie duchów i gdy hejnał z wieży, udawało się zdobyć. Przywołuję oto dawne szkolne czasy, swoją młodość raz mi tylko daną, nad którą jeszcze nieraz sobie zapłacę, nie będąc zresztą żadnym niechlubnym wyjątkiem. A dopełni ten drżący obraz piąty zmysł. Dotyk.

Choć nic już namacalnego prawie nie ma, oparcia dla słów, dowodów w ewentualnym śledztwie. Tylko uścisk dłoni dawnych kolegów, z których jedni mają je szorstkie, może od pracy, a może to blizny po odniesionych ranach, inni gładkie, wciąż chłopiące, wrywające się ku dziewczęcym policzkom, biodrom, piersiom, pośladkom.

Zanim ten czy ów powie, całkiem zresztą serio, choć brzmi to jak kwestia z kryminalnego filmu, że lepiej układa mu się w dłoni ta a nie inna broń, niż w życiu, niech jeszcze raz strużką wzdłuż linii życia spłynie kropelka potu, bo na matmie czy fizie trwa srogie odpytywanie, a do dzwonka daleko. Niech jeszcze raz z całych sił odcisnie swoje pięć palców na piłce do siatkówki, która oto trafia w pole i drużyna zdobywa decydujący o wyniku całego meczu punkt.

Niech dłoń po dziecięcemu wsunie się pod coraz bardziej szorstki policzek na chwilę przed zaśnięciem. Oplecie wszystkimi palcami twardniejące przyrodzenie, ten nabrzmiąły chwilą przymus, jeszcze ten jeden raz, może ostatni przed prawdziwym, obiecany spełnieniem. Albo niech zaciśnie się ze złości, ale na trzonku od miotły, grabi, łopaty czy szufli do odgarniania śniegu. I skaleczy się do krwi metalowym wiórkiem w czas porządków albo omdlewa, trzymając długopis, bo tyle jeszcze jest do napisania, opowiedzenia, myśl wyprzedza słowo, pragnienie popędza myśl.

\*

Jak mieliśmy pogodzić młodzieńczy bunt z mundurami, choćby takimi z kiepskiego krajowego dzinsu, jak zmieścić go w okowach, jakimi w naszym szczególnym przypadku był płot, choćby dziurawy, nakazy i zakazy? Czy ktoś z tych wszystkich autorów mądrych zapisów, rozkazów, projektów czy preliminarzy o tym przez chwilę pomyślał? Zawczasu,

pókiśmy nie zaczęli samodzielnie myśleć i niczym koty chadzać własnymi ścieżkami? Określenie „koty” zresztą było niezbyt prawdziwe, bo przecież od początku nikt nas nie ścigał, nie kazał czyścić butów, przynosić fajek, wylizywać podłogi czy w żaden inny sposób zaspakajać chorej wyobraźni. A pod nogami zaczynali nam się plątać coraz mniejsi i coraz bardziej naiwni kandydaci na komandosów czy marynarzy. Wiedzieli już przecież, czym pachnie życie w sławetnym przynajmniej na kilka okolicznych gmin OLW. A mimo to szli jak w dym. Trudno, nie nasz problem...

Zawsze było i jest tak, że młodsze wojsko jest wychowywane przez starsze. Potem młodsze odplaca się jeszcze młodszemu. Na zasadzie fali, która w przypadku obrońców biało-czerwonej najbardziej przybrała na sile po stanie wojennym, bo to właśnie rocznik, który był wtedy w kamaszach, najmocniej dostał w dupę. Nas, jak mówiłem, nie tresował nikt, bo raz, że nie miał kto, dwa - przyszliśmy tutaj z własnej i nieprzymuszonej woli. No i potem jakoś tak się złożyło, że prócz pojedynczych, wspomnianych wcześniej incydentów z czyszczeniem butów przez młodych czy jakichś przepychanek na stronie, nie było mowy o „fali”. Pewnie dlatego „falę” zrobili... sami sobie.

W pierwszy dzień wiosny, czyli Dzień Wagarowicza, cała klasa młodych prysnęła, choć nawet nie ze szkoły, a z wycieczki do, nie zdziwiło nas to wielce, miejscowej fabryki opon samochodowych. Dwóch się tylko wyłamało, więc ich w nocy sprali niemiłosiernie przy pomocy ręczników z węzłami, popularnych buraczków. Jeden ze spranych nie wytrzymał tej próby i zjadł pięćdziesiąt tabletek proszków usypiających. Potem pobiegł na izbę chorych, gdzie dyżurująca pielęgniarka wezwała pogotowie i koleżka przeleżał trzy tygodnie w szpitalu garnizonowym. Kiedy wrócił, towarzysz z pokoju przywitał go słowami: spierdalaj, z psychicznym mieszkać nie będę! Do tego koledzy z klasy ukradli mu wszystkie wartościowe rzeczy. Musiał zrezygnować...

Do nas docierały jednak tylko strzępki informacji. Każdy też zaczynał już żyć własnym, osobnym życiem, a to nęciło nas coraz bardziej: kolorami, zapachami i smakami, jeszcze nieodkrytymi dla niektórych doznaniem, których jeszcze nie dane im było zaznać.

- Ja to bym dymał wszystko, co nie drapie i na drzewo nie spierdala - zwierzył się przy papierosie Grześ Prądyński, spoglądając tęsknie za okno toalety.

Tylko jak to wszystko pogodzić mieliśmy z tym, że wciąż ograniczały nas przepisy, regulaminy i godziny powrotów? Płot w tym przypadku okazywał się jednym z najmniejszych, jeżeli nie najmniejszym problemem - dziura cały czas funkcjonowała, aż metalowe pręty straciły farbę i wyslizgały się od ciągłego między nimi przeciskania. Użytkowaliśmy ją zresztą nie tylko my. Kilka razy widziałem skracających sobie drogę „bażantów”, bo i ci jeszcze kręcili się po internacie i uprzykrzali nam życie. Żaden jednak nie przebił w tej sztuce pamiętnego podchorążego Tarana.

Aby bezpiecznie wrócić do internatu o późnej porze, trzeba było też żyć w zgodzie z kolegami. I to zarówno tymi z pokoju, co będą szli w zaparte, że delikwent jest, tylko że akurat wyszedł do kibla, pod prysznic, po encyklopedię, jak i tymi, którym ślepy los i niedosłyszający kierownik internatu przyporządkowali łóżko w szczytowym pokoju mieszczącym się na parterze. Powszechną stała się praktyka, że wychodząc do miasta na popołudniową randkę z ukochaną, zabierało się ze sobą... piżamę i laczki, które następnie zostawiało się u kolegów, aby w nocy, wszedłszy przez okno, przebrać się w strój odpowiedni na późną porę, a potem to już droga prosta.

Wiele zrozumienia wykazał w tych ważnych dla naszego rozwoju kwestiach także nasz opiekun roku, podpułkownik Władysław Wiciewicz.

- Jeżeli któryś z was, chłopaki, będzie potrzebował później wrócić... - mówił do nas na apelu. - No, zaruchać po prostu jeśli będziecie sobie chcieli, to nie kombinujcie, tylko przyjdźcie do mnie...

Skrzywiliśmy się z niesmakiem.

- Przyjdźcie. I powiedzcie! - dokończył myśl oficer i wszystko stało się jasne.

Nawet dyrektor Pawelec również nieco nam się ucłowieczył. Postanowił bowiem pojechać z grupką naszych na wycieczkę w góry. Nie omieszkał nam też o tym powiedzieć na apelu.

- Jadę z wami w góry - rzekł z dumą, po czym wyjął jakiś przedmiot zza pleców. - Zabieram ze sobą siekierkę, którą rąbałem stuletnie drzewa w syberyjskiej tajdze.

- To psychol jakiś jest - powiedział Jasiński, a my postanowiliśmy zażądać zwrotu wszelkich długów od tych, którzy mieli wybrać się na tę wycieczkę.

Nie było jednak aż tak źle. Z początku Pawelec robił apele poranne i wieczorne, ale szybko się uspokoił. W dodatku, aby chłopcy poczuli się jak w normalnej rodzinie, zabrał ze sobą swoją osobistą córkę. Że też się nie bał... No, chyba że była to sprytnie obmyślona, a perfidna pułapka i urodziwa Ela była w rzeczywistości przebrany oficerem kontrwywiadu wojskowego. Ale też żaden z nas nie ośmielił się tego sprawdzić, przynajmniej wtedy.

Gdy wrócili z tych gór, zaczęliśmy oczywiście podpytywać, jak to przeżyli i czy możemy im w jakiś sposób pomóc.

- Luzacko było - relacjonował „Milimetr”. - Kiedy jechaliśmy w tamtą stronę, pociąg był prawie pusty. Dyro siedział w jednym przedziale z córką. Po jakimś czasie poszedł do kibla czy do warsu, a kiedy wrócił, w przedziale siedział jakiś facet.

- Gwałciciel - wypalił Grzegorz, ale Bołtuć tylko popatrzył na niego ze współczuciem i po chwili ciągnął dalej swoją opowieść:

- Pawelec siada i pyta córkę: Elu, co ten pan tutaj robi? Ona mówi, że usiadł, bo było wolne miejsce. Na tym dyro skończył rozmowę z córką i spojrzał na faceta, tak jak on to potrafi. A po chwili popatrzył na zegarek i powiedział: za sześć sekund złamię panu rękę...

- Żartujesz - prawie krzyknąłem. - I co facet na to?

- A co miał zrobić? - wzruszył ramionami Mirosław Bołtuć. - Popatrzył jak na idiotę, wstał i wyszedł z przedziału.

Ale i tak dalej się burzyliśmy. U każdego z nas objawiało się to w inny sposób. Jagmin z Czumą na przykład przestali się strzyc i nosili z tyłu koszarne kosmyki, zwane później od nazwiska jednego piłkarza „wałdochami”. Panowała też coraz większa dowolność, jeśli chodzi o strój. Obowiązywały co prawda wciąż dżinsowe mundury, chociaż już dodatki noszone do nich wprawiłyby chyba w osłupienie wszystkich tych mądralińskich, którzy



wymyślili przed laty całą ideę tych szkół. A to skórzane rzemyki, a to wisiorki czy znaczki. Co tylko fantazja podpowiadała. Istna hipisówka! Ale gdy któregoś dnia na porannym apelu u jednego młodego dostrzegłem do kieszeni bluzy przytwierdzone dwa najprawdziwsze naboje do pistoletu, poczułem niesmak. Nie pytałem jednak, czy ktoś jeszcze czuł to co ja. Może chłopak od początku wiedział, po co tutaj przyszedł...

Bunt. Brzmiało słodko. I gorzko zarazem. A oni, kadra, nie mogli założyć przecież, że go nie będzie. Albo że go wyeliminują, wykluczą bądź zduszą w zarodku. Chyba że liczyli się z tym, o czym wiedzą wytrawni stratedzy - że gdy wyślą w niebezpieczną misję stu, wróci z niej dziesięciu. I misja i tak będzie udana. Może mieli to wliczone w koszta? Tylko w takim razie po co było to wszystko? Po co? Pytałem coraz częściej, przyjaciół i wrogów. Nikt jednak nie potrafił udzielić mi odpowiedzi. Nie potrafił albo nie mógł. A może mógł, tylko nie chciał...

\*

Stałem przed lustrem w łazience. Szkło było nieco nierówne, tu i ówdzie pokryte zaschniętymi kroplami wody, a prawy górny róg spękany. Nie przeszkadzało mi to jednak w narcystycznym podziwianiu swojego odbicia. Nie, to nie to, że szukałem na twarzy zmarszczek - na to jeszcze było za wcześnie. Nie zachodziłem też w głowę, co one wszystkie, głupie, we mnie widzą, jak to pewnie czyniło wielu z moich kolegów chwilę po powrocie z przepustki, tak w dzień powszedni, jak i niedzielny wieczór. Nie zastanawiałem się również nad tym, czy skorzystać z lampy kwarcowej, którą sprawili sobie kolesie w jednym z pokoi piętro wyżej. Ponoć po jej użyciu pryszczki schodziły z gęby błyskawicznie, a skóra sprawiała wrażenie opalonej jak po wakacjach nad Morzem Śródziemnym.

Chodziło o to, że w pewnym sensie patrzyłem na siebie ostatni raz...

Kryzys gospodarczy zaczął coraz bardziej dawać nam się we znaki, jednak niektóre jego aspekty udawało się czasem wykorzystać do własnych celów. Jednym z palących problemów był brak na rynku żyletek, wszak już ich używała większa część z nas. Ten i ów zaopatrywał się w specjalne jednorazowe nożyki do golenia w Peweksie tudzież na pobliskim bazarze, gdzie asortyment, wcześniej zarezerwowany dla eleganckich, pachnących sklepów z okratowanymi witrynami, zaczął szybko wypierać fury z ziemniakami, stoiska z kapustą i

grube baby sprzedające wiejskie jaja.

Ja dostałem od ojca starą maszynkę elektryczną marki Moskwa, która warczała głośno jak samolot, gdy kilka razy zdarzyło mi się jej użyć. Zażyczyłem sobie od rodziców nowej pod choinkę. Wiedziałem, że prośba zostanie spełniona, jednak do świąt było jeszcze trochę czasu.

- Chłopcy, żołnierz powinien w każdej chwili wyglądać, jakby miał za chwilę brać ślub! - tłumaczył ze swadą podpułkownik Wiciewicz, by za chwilę załamać ręce: - Tak, wiem, że nie można kupić żyletek...

Wiedzieliśmy, że na przykład szweje dostają żyletki za darmo, od armii. A potem, przy wyjściu na zawsze za bramę koszar, nie odwracając się, rzucali garściami zużyte za siebie. Był to stary, niepisany zwyczaj; rezerwiści wyrażali w ten sposób pogardę dla wojska, które zmarnowało im dwa lata życia i od którego dostali tylko to - tępe żyletki. Czasami ciskali za siebie także po garści drobnych monet, zazwyczaj 10- czy 20-groszówek. Dla biedaków, którzy muszą zostać za płotem.

- Więc co mamy robić? - pytaliśmy naszego opiekuna roku przedszkolnym chórem, a wśród tych głosów najgłośniejsze należały do tych, którzy żyletek używali tylko do gotowania wody na herbatę, a kremu do golenia do robienia sobie psikusów.

- Póki co, panowie, chodzimy „na Raczka” - zaśmiał się Wiciewicz.

Dziennikarz telewizyjny Tomasz Raczek był już wówczas dość znany. My mieliśmy brać przykład z jego preferencji i przyzwyczajień... na szczęście tylko tych fryzjersko-kosmetycznych, czyli nosić w miarę krótki, schludny zarost i nie rzucać się w oczy dyrekcji. I tak nie wiadomo kiedy, po cichu, dniem i nocą, zaczęli co niektórzy z nas zarastać, jak ta parszywa dwunastka w amerykańskim wojennym filmie z Lee Marvinem, Telly Savallasem i Charlesem Bronsonem.

Niestety, większość troglodytów szybko przywołały do porządku ich osobiste dziewczyny. Mnie jednak noszenie brody bardzo się spodobało. Ładna urosła, o jasnym odcieniu i nawet dość gęsta. Dzięki niej poczułem się mocniejszy, o wiele poważniejszy.

- Lada dzień zaczną ci ustępować miejsca w autobusie - rechotał Sosabowski, gdy siedząc przed małym lusterkiem w naszym pokoju, czesałem moją bródkę grzebieniem.

Jakoś w tym samym czasie ja i jeszcze dwóch kumpli wzięliśmy dla draki udział w jakimś konkursie wiedzy z zakresu obrony cywilnej, zajmując chyba nawet drugie miejsce na szczeblu miejskim. Turniej odbył się w naszym klubie ucznia, a pilnujący nas kierownik internatu, podpułkownik Adamczewski, tak się cieszył z osiągniętego wyniku, że wyściskał nas po wszystkim i wyczałował jak rodzonych synów, co z wojny wrócili w jednym kawałku. O mojej brodzie ani słowa, mimo że mu pewnie tę jego gładką czerwoną gębę nią pokłułem.

Dzień biegł za dniem, broda sobie rosła w spokoju, mało kto już ją zauważał. Aż zmienił się nie wiadomo kiedy układ gwiazd (może za sprawą radzieckich sputników czy amerykańskich satelitów szpiegowskich) i na jednym z porannych apeli zostałem przez dyrektora wywołany przez szereg.

- Zgłosicie się ogolony w moim gabinecie o godzinie czternastej zero zero, zero zero - wycedził przez zęby i szparę między nimi, a za moimi plecami zawrzało; byle co już zresztą wystarczało, by takowy efekt szumu osiągnąć.

Musieli mieć na mnie od dawna oko. Taki kosmaty szybko rzuca się w oczy. Choć równie dobrze mogłem zostać namierzony dziś rano. Już chyba nawet ci spośród nas, którzy nosili „wałdochy”, czyli „czeskiego metala”, tak nie działali na nerwy jak gość, co przypominał im takiego Frasyńniuka czy Geremka...

- Czy mogę coś powiedzieć? - zapytałem chwilę po usłyszeniu wyroku.

- Nie! - uciął w zastępstwie dyrektora podpułkownik Adamczewski, mierząc mnie nienawistnym wzrokiem.

- A co ty właściwie chciałeś im powiedzieć? - zapytał Jasiński, gdyśmy już maszerowali na pierwszą lekcję.

Coś mi się kołatało, że w kodeksie ucznia czy regulaminie szkoły nie ma słowa o

brodach, tylko o czystym i schludnym wyglądzie. A ja o swoją brodę dbałem przecież wyjątkowo! Za przykład chciałem jeszcze dorzucić kapitana, który od niedawna prowadził z nami zajęcia z wiedzy o prawie: zwykły zielony mundur pan mecenas nosił, a do tego czarną gęstą brodę jak sam Fidel Castro. O, to był przecież świetny przykład! Albo Ernesto Che Guevara...

Szkło łazienkowego lustra było trochę nierówne, pokryte zaschniętymi kroplami wody, a jego prawy górny róg popękany. Podłączyłem wtyczkę maszynki do gniazdka. Moskwa zaterkotała rozpaczliwie. Przyłożyłem trymer do policzka...

- Poczekaj - rzuciła znad rozrzuconych na biurku papierów sekretarka dyrektora, gdy wyłuszczyłem w dwóch słowach sprawę, z jaką przychodzę.

Promienie popołudniowego słońca cięły bezgłośnie bordową wykładzinę na podłodze sekretariatu na wąskie chodniczki. Zza którejś ze ścian dochodził stłumiony stukot maszyny do pisania. Mimo to dzień pracy zbliżał się do końca. Jeszcze tylko szybko, ale sumiennie załatwić jednego petenta, odciąć mu drogi ucieczki czy jakiegokolwiek manewru, udowodnić winę. Albo lepiej spowodować wypróbowanymi metodami, żeby sam się przyznał. Dostatecznie upokorzyć.

A ja pomyślałem sobie wtedy, że może już zawsze tak będę oczekiwał w jakimś przedśmionku, sekretariacie, korytarzu. Że będę wystawał, usiłował, wnosił i że może nigdy nie dane mi będzie posmakować prawdziwego życia, cieszyć się nim jak dziecko, bo zawsze, zawsze i wszędzie znajdzie się ktoś, przed kim będę trząsł portkami, drętwiał na sam głos, zrywał się bladym świtem, obudzony przez kraczące stada wron, myśląc, że to jego gniewny krzyk. Że pewnie mając lat dzieści lub dziesiąt nie pozbędę się z siebie gówniarza i do usranej śmierci zastanawiał się będę, co ludzie powiedzą.

- Możesz już wejść - powiedziała wreszcie sekretarka, nie spojrzawszy nawet w moim kierunku.

Zapukałem do drzwi i nacisnąłem klamkę. Dyrektor szkoły siedział za swoim biurkiem, wertując jakieś papiery.

- Dzień dobry, obywatelu pułkowniku - przywitałem się, przyjmując tuż za progiem gabinetu pozycję zasadniczą; lubił, jak mu się obywatelowało, a nie panowało, jak to już zdążyło się zmienić.

- Dzień dobry - odpowiedział dyrektor, a reszta powietrza potrzebna do wypowiedzenia tych słów z cichutkim świstem wyleciała mu przez szparę między zębami.

Ogarnąłem jednym szybkim spojrzeniem wnętrze pokoju. Byłem tu po raz pierwszy. Na ścianach jakieś dyplomy, na półkach kilka pucharów zdobytych przez naszych chłopaków, którzy stanęli na wysokości zadania i nie przynieśli ujmy szkole, jak to zrobiło kiedyś kilku niewyspanych szczypiornistów z naszej klasy. Na biurku Pawelca, no tak, można się było tego spodziewać - obok kilku aparatów telefonicznych stało sobie małe popiersie Włodzimierza Ilicza, wykonane z brązu.

- Miałem się zameldować... - zacząłem mówić, ale oficer szybko mi przerwał:

- Tak, wiem, pamiętam.

Otakował mnie badawczym spojrzeniem, zatrzymując się dłużej na mojej twarzy, która była powodem całego zamieszania. Skinął głową. Czy na znak, że jest w porządku? Nie mogłem tego wiedzieć. Wiedziałem za to o starych metodach kaprali, którzy efekty działania maszynek do golenia sprawdzali, przykładając swoim podwładnym do policzków krawędź kartki papieru i poruszając nią. Jeśli zaszeleściła, żołnierz musiał biec i golić się od nowa. Czas operacyjny: jedna minuta.

- Czy wiesz, kto brał udział w tworzeniu gabloty pod nazwą „The Wall”? - zapytał dyrektor, wstając gwałtownie zza biurka.

Ścierpłem w ułamku sekundy. Dyplomy na ścianach zawirowały jak karuzela, puchary na półkach oddzwoniły początek mierzenia czasu na udzielenie prawidłowej odpowiedzi. Wódz rewolucji zmarszczył brązowe czoło, podobnie jak jego wierny uczeń...

- Nie, panie dyrektorze. Nie wiem - odpowiedział jakiś głos, którego za cholerę nie mogłem rozpoznać, głos dziecięcy, głos co najwyżej ucznia klasy siódmej, którego

dyżurujący nauczyciel nakrył podczas przerwy w zadymionej szkolnej toalecie.

- Nie wiesz... - powtórzył podpułkownik Pawelec, wypuszczając wiadomą drogą powietrze wraz z ostatnią sylabą.

- Nie - jęknął niemal ten głos mi obcy, a ja machinalnie uniosłem prawą rękę w górę i dotknąłem nią miejsca pomiędzy lewym ramieniem a splotem słonecznym.

I wtedy coś zaszeleściło bardzo cicho. I wszelka wilgoć odpłynęła mi z ust i gardła, kolorowe dyplomy przesypały się niczym karty w zwinnych dłoniach oszusta, puchary za zajęcie miejsc na podium rozdzwoniły się jak dzwony na Anioł Pański, a łysa głowa stojącej na biurku figurki z brązu zmieniła kolor na czerwony.

I przypomniałem sobie, że mam ją przy sobie, między koszulą a zapiętą na piersiach i w pasie bluzą mundurową. Białą kopertę, której nie miałem już wraz z listem do kogo wysłać, a która teraz kryła coś, co mogło zakończyć sprawę raz na zawsze - jak niezbity dowód czyjejś winy i swojej niewinności, poręczenie podpisane przez przedstawiciela najwyższych władz, list żelazny, czek z dużą ilością zer albo napisane odręcznie wymówienie, które wręczę, a oni będą mogli mi nagwizdać. Albo jak fiolka cyjanku, podziemna bibuła w totalitarnym państwie, jak kilka banknotów obcej, zakazanej waluty czy gramów białego proszku w jednym z azjatyckich krajów.

- To wszystko, możesz odejść - powiedział Pawelec, usiadłszy z powrotem za biurkiem.

Obraz przed moimi oczami zastygł w filmowej stop-klatce. Puchary zamilkły. Czas minął. Promienie popołudniowego słońca bezszelestnie cięły na nierówne skrawki wykładzinę w dyrektorskim gabinecie.

- Do widzenia.

Wyszedłem z gabinetu, bez słowa minąłem sekretariat, zbiegłem po schodach. Świeży wiosenny powiew musnął mi policzki i podbródek, podrażnione po niedawnym goleniu. Po kilku chwilach, minąwszy kosz na śmieci, przystanąłem, cofnąłem się, obejrzałem przez

ramię, po czym szybko sięgnąłem w zanadrze. Białą kopertę, której wraz z listem nie miałem do kogo wysłać, przedarłem na pół. Ze środka wysypały się krótkie, rudawe włoski...

W porę pojąłem, że poezja i wygłup nie zmieniają świata. Jednak tej prawdy nie dopuściłem do siebie na zawsze.

\*

Był tylko jeden sposób na nasze fochy i rozpasanie. I to wcale nie wojskowy, a odwieczny - szkolny, licealny. Jedno słowo, które potrafiło ustawić, przynajmniej większość z nas, do pionu. Zawrócić na właściwe tory, utemperować język czy pohamować zapędy - łącznie z rozrodczymi. Tym słowem była matura.

- Nie matura, lecz chęć szczerą z siebie oficera - powtarzali koledzy, starając się nie myśleć albo przynajmniej udawali twardych, w zaciszu pokoju zakuwając kolejny okres w literaturze polskiej lub łamiąc sobie głowę nad matmą czy fizą.

Temat ten, kłopoty w nauce, dopadał nas coraz częściej. Nie można było przecież, niestety, w nieskończoność jechać na sławie genialnego ósmoklasisty. No tak, ale czy nie po to właśnie żeśmy się tutaj fatygowali? Bo w końcu się na nas poznali profesorowie, co powodowało, że ten czy ów pryszczaty, przyparty przez nich do muru, musiał się wyłączyć na czas jakiś z życia naszego pięterka, a także zapomnieć drogi do miasta. Już Darek Jasiński, doprowadzony do ostateczności, zarzekał się, że wykuje na pamięć całe repetytorium z matematyki. Ktoś inny, na skraju załamania nerwowego, spisywał ostatnią wolę na marginesie zeszytu do fizyki.

A co miałem zrobić ja, który poczułem w sobie duszę humanisty, a na marginesach zeszytów pisywałem, ale wiersze? A do tego nieopatrznie wpadł mi w ręce egzemplarz powieści o szatanie, Poncjuszu Piłacie i Jezusie?

No co za pech.

Jak miałem pogodzić to wszystko z wizją przyszłego zawodu? Zarządzić podległym mi żołnierzom czołganie przez pełzanie, a sam głowę w chmury?

- Obudź się wreszcie - powtarzali nauczyciele przedmiotów ścisłych, a ja tylko potakiwałem bez słowa.

Były to skądinąd zdrowe objawy kształtowania się osobowości dziecka. Nasi rówieśnicy w innych szkołach dopiero teraz zaczynali, i to nieśmiało, myśleć o przyszłych studiach i ewentualnie przyszłym zawodzie. My musieliśmy to, kurwa, wiedzieć od kilku lat. Za talerz grochowy dziennie i jedne dzinsowe portki na pół roku.

A może tylko nam się wydawało, że się buntujemy? A może tylko podświadomie szukaliśmy powodów do szcypy, czując coraz wyraźniej, że lada dzień nie będzie się przeciw komu burzyć. Że nie będzie wroga, przeciw któremu nie zdążyliśmy nawet nasmarować na murze żadnego, choćby najkrótszego hasła. Albo że nie nawdychaliśmy się porządnie gazów łzawiących, nie liczyliśmy siniaków po zomolskich pałkach. Nie przemycaliśmy, choćby w pieluchach, nielegalnych książek czy czasopism ani nie rozrzucaliśmy antypaństwowych ulotek. Jednym słowem, wzorem tych młodych chłopaków rocznik 1920, powstańców warszawskich, co na kilka dni przez Godziną „W” prowokowali Niemców, nosząc steny na widoku, szukaliśmy guza. Przywilej młodości. Albo jej udręka.

- Ja to na demonstracje jako mały chłopak chodziłem - chwalił się jeszcze na początku Mariusz Haller, ale jakoś nikt mu nie wierzył.

Nauka w szkole, która z założenia miała temperować nam charakterki, oduczyć pyskowania, a nauczyć życia i ślania łóżka do tego, przyniosła efekt dokładnie odwrotny. Już z kraju szły złe wieści. Że sobie nie mogą poradzić z takimi jak my gagatkami.

- Młodzież po liceach wojskowych, która podjęła studia w wyższym szkolnictwie wojskowym, jest nieposłuszna, pyskuje kapralom, a także nie chce ślać łóżek, mówiąc, że się w liceum wojskowym wystarczająco nasłala... - czytał, choć z trudem, jakiś mądry raport zastępcy dyrektora, zgromadziwszy nas na jakiejś masówce.

Ale my, póki co, jeszcze byliśmy tutaj. Młodzieńcze zajady ustępowały miejsca pyskówkom, krnąbrności i awanturom po pijaku. Na trzeźwo zresztą też, jeżeli nie częściej. Wyobcowanie i zamęt, z którymi nikt nie potrafił sobie poradzić w żmudnym procesie



naszego wychowania. Zresztą, po co? Lepiej było wieczorem lub rano, po dyżurze, który o dziwo przeszedł spokojnie, zabrać dupę w troki i zmyć się do żonki, mężusia i gromadki uroczego potomstwa, przy których nie można było głośno wspominać, gdzie się pracuje. A nuż, gdy dorosną, zechcą przyjść jeszcze po nauki właśnie tutaj. Również po to, by mieć u mamy czy taty fory.

I dobrze. Woleliśmy lekkie zaniedbanie od nadgorliwości.

Czasem bunt nasz przybierał formy wręcz karykaturalne, choć ani na chwilę nie przestawał być buntem. Znów odkurzyłem swoją małą drukarenkę i drukowałem aż miło. Potem ciąłem na paski. No a na końcu, gdy było już ciemno, rozrzuciłem swoje ulotki. Jedną znalazł dyrektor Pawelec, o czym powiadomił nas na porannym apelu.

- Tę ulotkę znalazłem zatkniętą w drzwi budynku dyrekcji - cedził z tym swoim sarkazmem, trzymając uniesioną w górę karteczkę niczym mandat delegata jakiegoś zjazdu w momencie głosowania.

A we mnie aż gotowało się z emocji, choć nie mogłem tego po sobie dać poznać. Nikt bowiem nie wiedział o mojej akcji. Chłopaki nastawili uszu, choć większość wiedziała, co było wydrukowane na ulotkach.

- Nieznany sprawca napisał tutaj, cytuję: Precz z kompotem z suszonych śliwek.

Po szeregach przetoczyła się fala śmiechu. Chyba też niezbyt przepadali za naszym kompotem. Też się zaśmiałem, dla niepoznaki, za to Pawelec tak skomentował całą sferę:

- Z takimi demonstracjami proszę pod... kościół!

Oj, tego nam właśnie brakowało.

Wielu z nas miało problemy z przedmiotami ścisłymi. Matematyka, fizyka, chemia, nie mówiąc już o technice, królowej nauk - oczywiście w mniemaniu pana „Wiewióry”. Z naszymi belframi generalnie szło się dogadać. Gorzej, gdy na skutek nieprzewidzianych zakrętów losu, któremu nie można było wydać rozkazu czy wezwać na rozmowę

indywidualną i ustawić na baczność, zmieniali się nauczyciele. Fizyki na przykład w ciągu niespełna paru miesięcy uczyło nas aż troje profesorów, w tym jeden „bażant”. A każdy innymi metodami.

Na początku klasy trzeciej dostaliśmy zatem na stan panią profesor Pakulec. Z początku było nawet miło, takie tam nieszkodliwe chłopaczyska, tylko mogliby się trochę częściej myć, bo dwa razy dziennie to nie wystarczy. No, głaskanie po główkach niemal. Ale potem zaczęło z pani wychodzić. Na przykład niewinny dialog w rodzaju:

- Ciecze w temperaturze stu stopni i tak dalej... - wykladała pani profesor Pakulec. - I tym podobne. I vice versa.

- A co to znaczy te vice versa? - zapytał jeden z chłopaków, uprzednio grzecznutko uniósłszy w górę dwa paluszki.

A ona aż się zapowietrzyła, okularnica jedna.

- Ty debilu! - brzmiała odpowiedź na nurtujące nas pytanie.

Ostatecznie zostaliśmy zaklasyfikowani jako:

- Klasa na poziomie intelektualnym bardzo niskim.

No, tego jeszcze nie grali. Owszem - krzykacze, zadymiarze, nieuki, nad którymi stać trzeba i wiedzę do łbów szuflą ładować. Ale na tym przecież zawód nauczycielski od zarania dziejów polegał. Ale w debili to jeszcze nikt z nami nie pogrywał. Jakakolwiek dyskusja i perswazja okazywały się absolutnie bezcelowe. Przy pani profesor Pakulec zaczęliśmy się czuć rzeczywiście jak ta młodzież z trudnych rodzin, z orzeczeniami z poradni psychologiczno-zawodowych, siedząca w zbyt małych ławkach na popołudniowych zajęciach wyrównawczych.

Trzeba było przeciwdziałać. I to szybko. Manewry oskrzydłające i strategia, ku uciesze naszego pułkownika, zawsze były naszą mocną stroną. To w połączeniu z działaniami zaczepnymi na tyłach wroga i cierpliwość nasza isticie partyzancka doprowadziły w końcu do

sukcesu i pani Pakulec zmuszona była w niesławie i z wrzodami żołądka wracać na swoją pipidowę.

Po niej nastał względny spokój. Tak nam się przynajmniej wydawało, gdy za katedrą stanęła pani profesor Znój. Kobieta wcale atrakcyjna, ale również zasadnicza i wymagająca. Do tego stopnia, że kilku z nas, między innymi Jagmin i Langiewicz, kilka razy w chwilę po ogłoszeniu kartkówki-wejściówki, aby uniknąć smutnego losu, salwowało się ucieczką z pracowni fizycznej. A ta, jakby ktoś nie wiedział, wiązała się ze... skokiem z okna. Z wysokości pierwszego piętra. A Niemcy, którzy zbudowali naszą szkołę, jak wiadomo, na ceglach nie oszczędzali. Na szczęście pod nami znajdowała się kotłownia i zawsze nieco węgla zalegało pod oknami, więc lądowanie nie było znów takie twarde.

- A gdzie Jagmin i Langiewicz? - zapytała pani profesor.

- Nie ma - odpowiedział ktoś ze spokojem.

- Przecież przed chwilą byli - nie ustępowała pani Znój.

- Nie ma.

Po chwili przestawała naciskać, gdyż ważniejsze było dokonanie egzekucji na tych, co pozostali, czyli na nas.

Bo prawda była taka, że prawie nikt nie kumał tej nieszczęsnej fizyki. No i napytaliśmy sobie biedy, ja też. Potem był jednak mecz koszykówki, nauczyciele kontra najstarsze klasy, i fizyczka tak jakoś nieszczęśliwie skoczyła, że skręciła sobie nogę. Nie wiem, czy któryś z zawodników naszej drużyny miał z tym coś wspólnego. Chyba jednak zdecydował ślepy los. W każdym razie poszła kobita na zwolnienie i nie mogła kontynuować szlachetnej misji przygotowywania nas do studiów inżynierskich. Oceny jednak pozostały. Złe oceny...

Dokończenie dzieła zlecono wtenczas jednemu z pałętających się jeszcze po szkole podchorążych SPR, który w cywilu także był fizykiem. Ale i on, choć mu teoretycznie zależeć nie powinno, nie miał zamiaru nam odpuścić. A kilku się takich zebrało, między

innymi ja i Jagmin, którym desperackie skoki z okna w sumie na niewiele się przydały. W dodatku koniec roku zbliżał się nieubłaganie i nauczyciele musieli zacząć wystawiać nam oceny.

- To koniec. Po prostu koniec - panikował Bodek Jagmin.

Ja siedziałem cicho, ale w środku aż się buzowało. Mózg rozsadzały mi nie wzory fizyczne, a wizje tego, co czeka mnie w chwili, gdy nie zdam do następnej klasy. Dziwne, człowiek myślał o nie wiadomo czym, świat chciał zmieniać, a tu mogła go wykończyć taka bzdura...

I wtedy znów przyszli nam z pomocą nasi niezastąpieni ojcowie w zielonych mundurach. Na nich przecież zawsze można było liczyć.

- W ramach ćwiczeń pojedziecie do szkoły chorążych na strzelanie - zarządził któregoś popołudnia kierownik internatu. - Zbiórka po obiedzie, samochody czekają na zewnątrz.

- I po krzyku - rzekł Bodek. - Panie kierowco, kierunek Palmiry!

Chyba naprawdę zaczynało z nim coś być nie tak. Ciągle gadał o samobójstwie, choć z drugiej strony o wielu rzeczach się rozmawiało w zaciszu pokoi czy załomach szkolnych korytarzy. Mimo to trochę się o niego baliśmy.

Pojechaliśmy na strzelnicę. W samochodzie Bodek trochę się uspokoił, ale gdy tylko dojechaliśmy na miejsce i wyskoczyliśmy z ciężarówek, od nowa zaczął swoją śpiewkę.

- Zaopiekujcie się Zuzią. Zaopiekujcie się Zuzią - powtarzał, jakby go kto nakręcił.

I z pewnością znalazłoby się kilku takich, co by się nią chętnie zaopiekowali w miejsce Jagmina. Ale nie o to przecież teraz chodziło. Problem był w tym, że wariat za chwilę dostanie do ręki broń z ostrą amunicją. Było wtedy akurat głośno o jednym podchorążym ze szkółki łączności w Zegrzu, co to, doprowadzony do rozpacz, podczas nocnej służby wykończył przy pomocy kałacha jednego podoficera zawodowego i kilku kolegów przy

okazji. Lufa pod brodę i trach! Mózg na ścianie biura przepustek. Po pół roku nauki i służby. A co mieliśmy powiedzieć my po niemal trzech latach pobytu za płotem? Co mógł zrobić Jagmin, któremu groziła lufa, ale z fizy? Strach było nawet myśleć. Ktoś by się zaśmiał i popukał w głowę. Ale to wtedy było nasze życie...

Tymczasem nadszedł Wiciewicz i pomaszerowaliśmy na strzelnicę. Najpierw miało się odbyć strzelanie z karabinków kbks. Dostaliśmy po pięć pocisków i podzieliliśmy się na grupki, po trzech do jednego stanowiska ogniowego.

- Zaopiekujcie się Zuzią, Jezu! Obiecujcie mi to - mamrotał desperat.

Oczywiście, część z nas wciąż nie brała serio tych deklaracji, jak i samego Jagmina, zawsze skłonnego do pajacowania i demagogii. Kilku z nas, z „Milimetrem” i najlepszym kumplem Bodka, Maćkiem Czumą, na czele, próbowało jednak rozmawiać.

- Bodek, nie wygłupiaj się - usiłowaliśmy perswadować, choć ostrożnie, jak ci zawodowi negocjatorzy z szaleńcem na dachu. - Jutro spotkamy się z tym „bażantem” i jakoś się załatwi...

- Jutro będzie już za późno - odpowiedział cicho Jagmin i wydawało mi się, że w jego oczach zaszkliły się łzy.

- Pierwsza zmiana. Na rubież otwarcia ognia, marsz! - wydał komendę Wiciewicz.

Pierwszy szereg ruszył w stronę stanowisk, gdzie leżały zbutwiałe materace wojskowe i śmiertelne narzędzia. Zacząłem się zastanawiać, czy takim pociskiem można sobie w ogóle zrobić krzywdę. I wyszło mi, że raczej tak. Zresztą, jak to mówią, dla chcącego nic trudnego. W tym przypadku chodziło o niechcącego - dalej chodzić po tym leż padole. A taki to nawet przy pomocy zwykłego ołówka sobie poradzi...

- Ognia! - krzyknął pułkownik.

Huknęła pierwsza salwa, a mnie tylko ciarki przebiegły po plecach. Oficer ze spokojem przytknął lornetkę do oczu.

- Przerwać ogień! Obiadu żeście dzisiaj nie jedli, chłopcy? - zapytał z udawaną pretensją. - Czy za dużo konia walicie? Co jest z wami, panowie...

- Coś nie tak, panie pułkowniku? - zapytał Maresz, unosząc się z materaca.

- Nie tak? Ani jedna kula nie trafiła w tarczę.

Huknęła kolejna salwa. Tym razem oficer w ogóle nie odrywał szkielec lornetki od oczu.

- Przerwać ogień! Do przejrzania broń - wydał rozkaz, po czym zgodnie z procedurą ruszył wzdłuż stanowisk ogniowych. - Cholera! Znów nam amunicję dla dzieci dali...

Okazało się, że, istotnie, dali nam krótkie pociski, które... nawet nie dolatywały do tarcz.

- Idziemy stąd, chłopaki - zawołał oficer i na odchodne odwrócił się jeszcze do kilku pałętających się koło nas szwejków, którym kazał „sprzątnąć ten szmeln”.

Odetchnąłem z ulgą, a ze mną pewnie i kilku jeszcze. Ale Jagminowi wcale się nie poprawiło. Rozglądał się tylko zdziwiony jak dziecko i pytał „Milimetra”, co się stało i dlaczego już nie będziemy strzelać.

- To co, lecimy do domku, panie pułkowniku? - dopytywał się Langiewicz, kiedyśmy maszerowali wzdłuż płotu jednostki, zdawałoby się - ku wyjściu i wolnemu czasowi.

- Nie. Idziemy postrzelać z pistoletów. Może przynajmniej one będą sprawne.

- Nam strzelać nie kazano... - bąknąłem bezwiednie znane skądinąd zdanie, a Sosabowski dokończył ustępn:

- O ja pierdołę.

Co było rymem do: „spojrzałem na pole”, choć Mickiewicz nic o tym nie wiedział.

To, że idziemy dalej ćwiczyć wiedzę niezbędną do zdania matury, pułkownik powiedział na tyle głośno, że usłyszał to także Bodek. Popatrzyliśmy na niego z przerażeniem. Przecież to moment wystarczy, by przyłożyć sobie krótką lufę do skroni bądź wsunąć w usta i pociągnąć za spust. Zanim się obejrzymy, będzie po nim! A toru pocisku nie zbada już żaden fizyk, tylko lekarz patolog...

Tylko że po Jagminie nie było już nic widać. Szedł sobie, w ustach trzymał świeże źdźbło trawy, uśmiechał się, a do tego rozprawiał o czymś w wesołej kompanii. Podczas kolejnego strzelania osiągnął całkiem niezły wynik, a jeszcze tego samego dnia, wieczorem, dogadał się z podchorążym uczącym nas w zastępstwie fizyki. Ponoć o życiu gadali...

Ciężko było nam czasami zrozumieć siebie nawzajem. Najgorsze jednak było to, że mieliśmy na to coraz mniej czasu. Ktoś usiłował policzyć kiedyś dni, które pozostały nam do końca nauki. Inny rachował, ale w drugą stronę. I nikomu się rachunki nie zgadzały. Podobnie jak mi wyniki działań z matmy, z którą radziłem sobie coraz gorzej. Męki humanisty. Jedyne, co było dobre, to to, że matematyczka przestała już nas stawiać na początku lekcji na baczność, czekać, aż dyżurny złoży raport, jak to miała w zwyczaju od samego początku. Kaprale mogli się uczyć. Ale na szczęście odwilż była na świecie i zmiany polityczne wymogły także i rezygnację z tego. Pozostały tylko całki, różniczki i rachunek prawdopodobieństwa. Owszem, mogłem sobie kostką do gry rzucać i wyniki wpisywać w miejsce tych, które miały być efektem obliczeń. Takie samo prawdopodobieństwo, a raczej nieprawdopodobieństwo, że się uda.

Mieliśmy co prawda nadzieję, w swojej młodzieńczej naiwności, że nauczyciele odpuszczą także i na frontach swoich przedmiotów, wszak w czas rewolucji puszczały najmocniejsze okowy, ale srodze się zawiedliśmy. Matury z mazania na murach wywrotowych haseł ani ich zbiorowego skandowania nikt nie miał zamiaru w tym kraju przeprowadzać.

- Widzisz? - zapytał mnie któregoś ranka „Milimetr”, wskazując coś palcem w oddali.

- Co takiego?

- Ptaki. Na linii wysokiego napięcia.

- Wrony czy coś takiego.

- Ale widzisz?

Rzeczywiście. Kilka lub nawet kilkanaście siedziało na drutach, przez co przypominały ćwierćnuty na pięciolinii, jak na muzyce, której nauczania niedawno zaniechano.

- No i co? - wciąż nie wiedziałem, o co Bołtuciowi chodzi..

- A to, że wszystkie siedzą parami - rzekł z triumfem, tylko nie wiem: odkrywcy czy tego, co znalazł parę.

Bo ja wciąż nie miałem. To mnie kolega mój pocieszył. No, nie miałem! Nie potrafiłem wciąż znaleźć swojej Małgorzaty, jak bohater książki, która nieszczęśliwie wpadła mi w ręce. Przestałem nawet wychodzić do miasta, bo wiedziałem, że i tak nie uda mi się niczego tam znaleźć. Ani tym bardziej nikogo. Włóczyłem się...

... z rękoma w podartych kieszeniach,

W bluzie, co już niezmierną prawie była bluzą,

Szedłem pod niebiosami, wierny ci, o Muzo!

Oh! la la! co za miłość widziałem w marzeniach!

Artur Rimbaud lepiej to oddał. I o miłości było, i o naszych mundurach...

- Nie łam się - pocieszali mnie koledzy, na których w tej ważnej życiowej kwestii można było zawsze liczyć. - Jak zaczniemy wkuwać do matury, to przynajmniej nic cię nie będzie rozpraszać - dodawali na odchodne.



Im bardziej zbliżały się końcowe egzaminy, tym gorzej znosiłem otaczającą mnie rzeczywistość. Z utęsknieniem wyczekiwałem wolnych dni, soboty i niedzieli, żeby tylko móc zająć umysł czymkolwiek innym. Nałogiem jakimś, na przykład. Ale nawet o to trudno było.

Coraz gorzej znosiłem niedzielne popołudnia i wieczory. Łazikowałem po mieście lub chodziłem do teatru, czasami nawet kilka razy na tę samą sztukę. Bilety na spektakle w naszym zapyziałym teatrze były wszak wciąż tanie. Nadal działał też salon video o nazwie „Pluto”, przy dworcu głównym. Tam właśnie od samego początku chadzaliśmy na filmy o przygodach dzielnego Rambo czy Kobry. Kopie były sterane nieprawdopodobnie, więcej było tam trzasków i szumów niż linii dialogowej. Co jednak mieliśmy zobaczyć i zapamiętać, to zobaczyliśmy i zapamiętaliśmy.

- Nadchodzi nowy świat. Nowy! - wykrzykiwał terrorysta, który wziął zakładników w supermarkecie w filmie „Kobra”. - Mam tu bombę, zaraz wszystko wysadzę w powietrze.

- A co mnie to obchodzi? - wruszał ramionami Stallone jako porucznik Cobretti. - I tak tu nie robię zakupów.

- Wezwij telewizję!

- Masz pecha. Nie układam się z psycholami...

Salon sąsiadował przez ścianę z budką z zapiekankami. Znałem takich, co potrafili spędzać w tym obskurnym, przepoconym wnętrzu, gdzie każde krzesło pochodziło z innej parafii, całe dnie, posilając się tylko w przerwach między filmami właśnie bagietkami z serem i ketchupem.

Bo kino sprawiało, że byliśmy lepsi. Nie pierwszyzna to żadna - na każde pokolenie działało chyba w ten sam sposób. Sponiewierany przez życie, w naszym wypadku nauczycieli, wychowawców czy mundurowych albo po prostu chamską ekspedientkę w spożywczym, szedł człek do kina, zasiadał w fotelu, wstrzymywał oddech w tej jednej, szczególnej chwili, gdy gasną światła, a na ekranie jeszcze nic nie widać. I wychodził odmieniony. Jeśli film był mocny, to i widz był mocniejszy - wyprostowany, stawiający

pewne kroki, lekko kolebiąc się przy tym na boki, patrzący na świat łobuzersko i wyzywająco, zupełnie tak samo, jak bohaterowie, których przed chwilą oglądał. Jeśli zaś film był o miłości, szczególnie tej nieszczęśliwej, tym bardziej mocno trzymało się w pól swoją dziewczynę, tym lepiej wiedziało się, że nikt i nic, i nigdy.

Pomijając tych kilka radzieckich, wojennych produkcji, które kazano nam oglądać w niedzielne poranki na początku nauki, pomijając też kilka lektur szkolnych, których obejrzenie dawało nadzieję przeżycia lekcji języka polskiego, kinowy repertuar wybierało się dość starannie (no, może wyłączywszy te przypadki, gdy nikt o to nie dbał, bo trzeba było jakoś zabić czas albo spotkać się z dziewczyną gdzieś, gdzie w miarę ciemno i na głowę deszcz nie pada!).

Jeśli już jednak chciało się z dziewczyną jakiś film obejrzeć, to wybór musiał paść na „Wirujący seks”, jak przetłumaczono z angielskiego tytuł, który brzmiał po prostu „Brudny taniec”. Nie chodziło tu jednak o jakieś tarzanie się w błocie czy po zakurzonej podłodze, a o zakazane oficjalnie, zmysłowe tany z przytulaniem, śmiałym macankiem i buzi-buzi. Mimo że rzecz działa się w Stanach i w latach 50., od razu takie fiki-miki można było dostrzec na naszych szkolnych dyskotekach, choć decydowały się na to raczej pary z dłuższym stażem.

Istniało jednak pewne zagrożenie: zazwyczaj babki wychodziły z kina zakochane w odtwórcy głównej roli, amerykańskim aktorze Patricku Swayze, no, w najlepszym wypadku chciały się zapisać na jakiś kurs tańca towarzyskiego, więc jeśli miałeś, bracie, dwie lewe nogi, w dodatku z gliny, to przepadłeś z kretesem.

Inny film o miłości, choć niekoniecznie już chodziło się na niego z dziewczyną, to osławione „Dziewięć i pół tygodnia”. Tyle podobno trwa przeciętny romans w wielkich amerykańskich miastach. Momenty były, a jakże! Wielkimi szczęściarzami byli ci, którzy chcieli i mogli potem wiedzę nabytą podczas oglądania tego filmu wykorzystać w praktyce. Wolna chata to bowiem jedno, a pełna lodówka żarcia i dużo lodu - to drugie...

We łbach namącił nam nieźle także inny film, „Stowarzyszenie Umarłych Poetów”. Nazwa też była nieco myląca, więc kto nie chciał się przekonać, że fajne mimo wszystko, to się nie przekonał. Było o chłopakach takich jak my i tak jak my zamkniętych w internacie. Subtelna różnica w tym, że na ekranie to była elitarna angielska szkoła (ale już mundury to

chyba ładniejsze mieliśmy my!). No i pewnego dnia chłopaki dostają nowego belfra od języka ojczystego, który próbuje zainteresować ich literaturą, szczególnie poezją. Bardziej czuciem jej niż rozumieniem. Rezultat tego był taki, że się chłopaczyska rozpuściły jak dziadowski bicz, a jeden z nich strzelił sobie w łeb z pistoletu, bo mu ojciec postawił szlaban na teatr, w zamian oferując studia na... akademii wojskowej.

Śmieszne, bardzo śmieszne.

Mimo to też chcieliśmy mieć takiego profesora. Było nawet kilka typów pośród tych, którzy się z nami na co dzień męczyli. Również stare maksymy z filmu, chociażby łacińskie *carpe diem*, postanowiliśmy odtąd wcielać w życie ze wszystkich sił, choć wciąż dużo lepiej wychodziło nam wcielanie w życie idei *carpe noctem*. Przestałem się też kryć z pisaniem wierszy. No i tego filmowego „kapitanie mój, kapitanie” nie było już do kogo mówić, choć dochodziły nas słuchy, że Karżyński wciąż żyje, ma się dobrze, a nawet... rozpoczął studia pedagogiczne!

A któregoś leniwego wiosennego wieczora wpadł na nasze piętro Grześ Prądyński. Trzaskał drzwiami, coś bełkotał i przeszkadzał bardzo. Chcieli mu dać trochę chleba na uspokojenie, była to bowiem niedziela i już po kolacji, nie o głód tu jednakże chodziło. To znaczy o głód, owszem, ale głód duszy, który nasz Grześ właśnie był zaspokoił. Nawet papierosa nie chciał, a proponowali mu całkiem dobre, zagraniczne...

- Panowie, co za film widziałem, ja cież pierniczę! - opowiadał podekscytowany i z sapką, jakby przeleciał właśnie z pół tuzina maturzystek. - Potem było spotkanie z reżyserką, od razu kazała sobie na „ty” mówić, to znaczy Magda. To było o takich ludziach jak my, Jezu! Otworzyłem oczy, kapujecie? Wreszcie widzę i wiem, o co tutaj chodzi!

A chodziło o jednego gościa, maturzystę, którego za zabawę w solidarnościową konspirę zsyłają z Gdańska do liceum gdzieś na pipidówę, żeby tam spokojnie zdał egzaminy i nie napytał sobie więcej biedy. Ale chłopak nie ma zamiaru odpuścić. Po jakimś czasie cała jego czwarta „A” zaczyna buntować się przeciwko nauczycielom stosującym ubeckie metody i najpewniej też będącym członkami zbrodniczych służb. Do tego wszyscy młodzi śpiewają piosenki Jacka Kaczmarskiego i Piwnicy pod Baranami. Na końcu jest matura, na której jeden z bohaterów chce się zatruć gazem, ale iskra z dzwoniącego szkolnego dzwonka powoduje, że

chłopak wylatuje w powietrze.

W krótkim czasie zorganizowaliśmy zbiorowe wyjście do kina, które niechęć przekształciło się w happening. Na czele grupy szedł pan Wiesiek, nasz wychowawca, w długim czarnym płaszczu, za nim zaś ustawiło się kilkunastu naszych w takich samych, modnych płaszczach. W nogę przez całe miasto! Ciekawe, co sobie wtedy ludziska mogli myśleć. Że Pomarańczowa Alternatywa, o której dokonaniach mówiło się coraz głośniej, zamieniła się w czarną? Owszem, to już się stało, ale dużo wcześniej. I nie pomarańczowa, a czerwona została wyparta przez czarną, z którą zresztą nie mieliśmy nic wspólnego.

Wkrótce potrafiliśmy też śpiewać wszystkie piosenki z filmu. Najpopularniejsza była chyba ta o Juliuszu Cezarze oraz ta o wielkim pożarze w domu wariatów, z którego nie chcą uciekać chorzy. Pan Wiesiek od razu też dokonał interpretacji tekstu.

- To proste: szpital psychiatryczny to nasza dzisiejsza Polska, a wariaci to wy, bo nie wyjeżdżacie stąd, wybierając do tego wojskowe studia - rzekł bez najmniejszego skrepowania, jak to miał w zwyczaju.

Nikt z nas się też na te słowa nie obraził.

\*

W przedziale czuć było zatęchłym potem, tytoniowym popiołem i tym niepowtarzalnym kolejowym zapachem, smrodkiem raczej, będącym połączeniem gryzącej woni odpadków, która utrzymywała się mimo opróżnienia śmietnika, zakurzonej tapicerki siedzeń i zagłówek, zasłonek ze stylizowanymi literami PKP, metalu oraz fetoru dobiegającego z wychodka bez względu na to, czy przedział znajdował się obok wyjścia i drzwi z literami WC, czy na środku.

Siedziałem w przedziale wagonu klasy drugiej pociągu, który pędził na zachód, ku pomarańczowo-różowej łunie, wróżącej na drugi dzień pogodę lub niepogodę. Siedziałem zupełnie sam, ponieważ wszystkie zatłoczone pociągi jechały teraz w odwrotnym kierunku. Siedziałem twarzą w kierunku jazdy, rozparty wygodnie, a pospieszny skład sunął ku tej coraz bardziej krwistej poświacie, jakby w istocie chciał uciec przed ciemnością. Ja też

uciekałem.

Mijał weekend, trzeba było wracać do internatu, ale perspektywa, że jutro, w poniedziałek, wszystko zacznie się od początku, stawała się coraz bardziej nieznośna, czasem wręcz przerażała. Coraz częściej zdarzało mi się, że po weekendzie spędzonym w internacie nie wytrzymałem napięcia. I wsiadałem w pociąg, by po godzinie wysiąść w rodzinnym mieście.

Starzy z początku trochę się dziwili i martwili, czy nikt nie będzie mnie ścigał za to, że nie stawię się w internacie.

- Nie mogłeś przyjechać w piątek? - pytał ojciec.

A ja nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie.

Niewracanie z domu był to zresztą proceder coraz bardziej powszechny. Niektórzy z nas wzięli sobie po prostu do serca słowa naszego dowódcy i starali się jak najdłużej pozostawać z dziewczyną. Innym zaś coraz mniej zależało. Mieli po prostu głęboko w dupie, co też może sobie pomyśleć o ich absencji pani Ula, a nawet dyrektor szkoły czy sam Pan Bóg.

Obrastaliśmy w piórka, jednych rzeczy bojąc się coraz mniej, innych trochę bardziej, choć do tego ostatniego nikt się raczej głośno nie przyznawał. Każdy chodził już własnymi ścieżkami, choćby były kręte i wyboiste. Ale własne. Prowadzące wprost czy na przelaj, ale do dorosłości. I nie byliśmy już jednym plutonem. To każdy z nas z osobą był jak Pluton, najdalsza planeta Układu Słonecznego...

- Pewnie jesteś głodny, siadaj, zaraz ci coś przygotuję - mówiła matka.

I dla takich chwil warto było ryzykować największą burę.

Te wieczorne ucieczki do domu dawały mi bowiem bardzo wiele, nie tylko w temacie jedzenia czy zmiany ciuchów. Leżąc we własnym łóżku, w domowej pościeli, wsłuchując się w dźwięki dochodzące z ulicy, w odgłosy przejeżdżających nie tak daleko pociągów do

innych wielkich miast, patrząc na światło z dużego pokoju rozmazane w matowym szkle drzwi - czułem się bezpiecznie. Jak dziecko. Nic nie było wtedy ważne, nic nie mogło się zdarzyć! Kołdra była żelbetonowym schronem, a rodzice najlepszą ochroną. Nie wydadzą mnie - tego byłem pewny.

- Śpij dobrze, synuś.

Tak zamierzałem. Może dlatego, że tylko to mi zostało. Albo że, odsądzany od czci i wiary przez wychowawców i oficerów, notowany co chwila wraz z przewinami w ich służbowych zeszytach, jeszcze tę jedną rzecz byłem w stanie zrobić jako tako dobrze. Apatia i opadanie rąk, znane ze starego powiedzenia, w którym lubują się nie mniej starsze baby. Czułem to naprawdę, a raczej coraz mniej zaczynałem czuć. Te swoje ręce, całą daną mi przez naturę raz na całe życie parę, na których siłę liczyła kiedyś socjalistyczna, dziś już zmierzająca coraz szybciej ku kapitalizmowi ojczyzna. Przyciśnięta podczas snu, pozbawiona dopływu krwi prawa bądź lewa, którą w środku nocy usiłuje się rozetrzeć, ale która przez chwilę przypomina ciało obce, doczepione do tułowia, puste rękawy munduru, których nie wypełnią krótkie kikuty.

Bo kiedyś, jeżeli nie pobiegłbym na któreś z pobliskich osiedli z wielkiej płyty czy to bliższe, osiedle domków jednorodzinnych, w poszukiwaniu starych kumpli, to przynajmniej zapytałbym o nich, może zadzwonił. Ale ich już nie było, a może raczej to mnie nie było w ich świadomości, bo to ja stąd wyjechałem w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Tak, przez te prawie cztery lata - ja tam, a oni tu, w miejscowym ogólniaku czy którymś z techników - zdążyliśmy o sobie zapomnieć. Każdy ciągnął swój majdan na kółkach w swoją, zapewne słuszną stronę. Ja coraz mniej byłem pewien swojego kierunku, co jednak nie miało najmniejszego nawet wpływu na stan rzeczy.

Nawet nowinki, które sprzedawała mi mama, że oto jakiś sąsiad miał wypadek samochodowy i leży w szpitalu, że komuś pies zaginął, że będą wreszcie malować nasz blok, że była kolejna awantura w ogródkach działkowych albo że ojciec wymienił w końcu jakąś ważną część w naszym starym rodzinnym samochodzie - nic z tych rzeczy nie było w stanie zaprzątnąć mojej uwagi. Owszem, grzecznie kiwałem głową, czasem robiłem wielkie oczy na znak niedowierzania. Ale na tę magnetyczną taśmę gdzieś w środku mnie nie dało się już nic nagrać...

Czy kiedyś się to zmieni? Miałem nadzieję, że tak. Przyszłość stawała jednak przed moimi oczami dość mglista. Może stawała na baczność, jak chcieli dla mnie wszyscy z niewielkimi wyjątkami, a może przeciwnie - stawała im kością w gardle, jak chciałem ja. Zasypiałem zatem z twardym postanowieniem, że będę spał dobrze, ale na chwilę przed zapadnięciem w ciemną czeluść rozblyskała mi przed oczami niepewność nawet i tego.

- Gdziekolwiek będziesz, cokolwiek się stanie, będą miejsca w książkach i miejsca przy stole. Kasztan kiedy kwitnie lub owoc otwiera. Będą drzewa, ulice, ktoś nagle zawoła. Ktoś do drzwi zapuka, pamięć przyniesie... - śpiewał w radiu Marek Grechuta, gdy następnego dnia rano jadłem domowe śniadanie.

Po śniadanku, a czasem i obiedzie dopiero szedłem sobie spokojnie na dworzec i jakby nigdy nic jechałem do szkoły. Miałem z głowy poniedziałkowe klasówki i sprawdziany, marudzenie oficerów i profesorów, dla których dzień ten też pewnie nie był najszcześniejszym dniem w tygodniu. Wtedy dopiero mogłem spokojnie oddać się nurtowi naszego wspólnego, licealnego życia, który szybko mnie wciągał i pochłaniał bez reszty, jakbym dopiero go poznawał.

To było jak powrót z wakacji lub ze szpitala po długiej chorobie. Udawało mi się nawet czasem zapomnieć o problemach, o pytaniach, które mnie męczyły. I było dobrze. Przynajmniej do następnej niedzieli...

\*

Myślę sobie teraz, że właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy odwiedzili Czarka Maczka. Niedawno przenieśli go stąd do Torunia, gdzie uczy młodych, niedoświadczonych żołnierzy, jak nie zrobić sobie krzywdy własną bronią. Wiele razy namawiał nas, żeby wpaść i postrzelać na strzelnicy. Albo żeby pojeździć czołgiem. Żaden żart! Marzenie tysięcy chłopaków, wychowanych na serialu o czterech pancernych i sowieckim owczarku niemieckim. Właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, żeby pojechać do kapitana, a może już majora Maczka.

Podróż mija nam szybko, niemal niepostrzeżenie. Kierowca to dzielny zuch, zresztą

szosa niemal pusta. Wreszcie jest miasto. Nasz samochód wjeżdża przez jakąś bramę. Kątem oka zauważam napis WOJSKO POLSKIE i sylwetkę wartownika. To mnie już nie dziwi. Również fakt, że nikt nas nie zatrzymuje i o nic nie pyta. Nasz kierowca rozpędza się na dłuższej prostej. Teren, nie dość, że zabudowany, to jeszcze zamknięty. Ale widać kierowca dobrze go zna. Skręcamy ostro w prawo. Drzemiący Rómmel coś mamrocze. Znow długa prosta. Setką. Wreszcie światła samochodu łapią czerwony mur. Tuż przed nim skręcamy po raz kolejny. Dalej już nie można jechać, bo drogę coś nam zagraża.

- I dobrze - mruczy z zadowoleniem Zajączek.

Stajemy. W poświacie przeciwmgielnych reflektorów naszego auta, osłaniając oczy, wolnym krokiem zbliża się ku nam jakaś postać. Mężczyzna ma na sobie mundur, u pasa zwisa duża kabura, z drugiej strony mapnik. Na głowie ma hełmofon.

- Olgierd - mówię szeptem.

Ale nie, to Czarek Maczek, nasz klasowy zabijaka. Przytył, na twarzy wezbrał też, co widać mimo kombinezonu i tego gadżetu na głowie, o którym swego czasu marzył każdy dorastający chłopak w tym biednym kraju.

- To jak, wskakujcie! - woła do nas z uśmiechem. - „Twardy” czeka, silnik już gorący.

Piękny jest, po prostu piękny! Lśni czystością, wzbudza respekt, pachnie smarami technicznymi, co nawet lubię. Reflektory błyszczą, a uchylona kłapa przedniego włązu zachęca, by ją unieść i wśliznąć się do środka. Biało-czerwona szachownica na wieżyczce wzbudza rzewne wspomnienia. No i ta lufa. Cudo! Aż nie wiadomo, czy przed wejściem nie należałoby najpierw wytrzeć nóg o jakąś słomiankę czy coś takiego, tak jak się wchodzi na świeżo wyszorowany zgodnie z etykietą pokład bielutkiego jachtu. Dawno niewidziany kolega Maczek jakby czytał w moich myślach.

- Najpierw jednak, panowie moi, dezynfekcja - zarządza oficer, po czym przez przedni włącz sięga do wnętrza swojego czołgu; po chwili szkło półlitrowej butelki wódki dzwoni cichutko o grubą stal „twardego”.



Cezary jednym pewnym ruchem rozlewa alkohol do pięciu szklanek, resztą, kilkoma kroplami, chrzci pancerz. Pewnie to też jakaś tradycja. Wypijamy zimną wódkę, Maczek pieczołowicie zbiera szkło i odstawia wszystko gdzieś na bok. Wreszcie pakujemy się, niektórzy postępując, do środka. Maczek zapuszcza silnik. Pierwszy raz słyszę tę muzykę. Pięć traktorów to mało.

- Ile to może palić? - zastanawia się głośno Rómmel.

- Ojczyzna płaci, co się martwisz! - śmieje się siedzący na miejscu mechanika nasz nowy dowódca, przekładając jakieś dźwignie; przynajmniej wydaje mi się, że tak mówi, bo we wnętrzu czołgu huk jest tak ogromny, że nic prawie nie słychać.

Ale oto znów dawno niewidziany kolega Maczek jakby czytał w moich myślach, bo podaje mi hełmofon. Zakładam. Pachnie gumą i potem. Po chwili w słuchawkach słyszę śmiech, przerywany pijacką czkawką Zajączka. Wszystko zatem działa, jak powinno.

- No, to pojechali - mówi Czarek; w tym samym momencie zmienia się ton ryku silnika, cały pojazd wpada w jeszcze większe drżenie.

Ruszamy. Aż ciarki mnie przechodzą.

- Na Berlin! - woła Zajączek.

Jedziemy przez pustą, śpiącą jednostkę. Po kilku chwilach przejeżdżamy przez bramę koszar, mijamy wartownika i napis informujący wszem i wobec, iż to nie cyrk, a dom i miejsce pracy tych, co do krwi ostatniej... Jesteśmy na normalnej, choć pustej ulicy Torunia. Maczek przyspiesza, silnik uderza w wyższe tony. Spodziewam się, że jedziemy na jakiś pobliski poligon, żeby tam, na piaszczystych drogach i bezdrożach, wypróbować wszystkie możliwości czołgu. Odrobinę orientuję się w topografii tego miasta, więc po kilku minutach stwierdzam, że bliżej nam do centrum niż na peryferia, gdzie i łatwiej o tereny do wojskowych manewrów.

- Ale czad, ja pierdołę! - zachwycają się jednocześnie Rómmel i Zajączek, tylko Piotr, wciśnięty gdzieś w kąt, jakąś niszę pod pancerzem, noszącą pewnie konkretną nazwę, nie

odzywa się wcale.

- Nie pozrywamy aby asfaltu? - dopytuję się jak przejęty dzieciak.

- Mamy specjalne ochraniacze na gąsienicach - odpowiada ze spokojem wujek Czarek.

- A dokąd właściwie jedziemy? - pytam znów, a głos mój słyszę w swoich słuchawkach; nigdy nie było to miłe uczucie, bo nie lubię słuchać sam siebie; nie o to jednak teraz idzie.

- Jedziemy na poligon - odpowiada ze spokojem Maczek. - A co? Suszy was? Mam podjechać do jakiegoś nocnego?

Słyszę w słuchawkach, jak sędzę, ryk aprobaty dla nowego pomysłu, połączony z jękiem cierpiących z pragnienia na pustyni Gobi. W pewnej chwili w lewej słuchawce słyszę także fragment jakiejś muzyki. Może to Czarek radio włączył, żeby nam się podróż do wodopoju nie dłużyła? Przedtem, jeszcze w samochodzie, grało bez przerwy. W pewnej chwili powstała nawet między nami rywalizacja, kto pierwszy rozpozna nadawany właśnie utwór, ale szybko zostałem na placu boju sam, bo towarzyszo legło w fotelach i mieliśmy kwadrofoniczne chrapando. Posłyszaniem przed chwilą fragmentowi muzyki nie potrafiłbym jednak przyporządkować ani tytułu, ani nazwiska wykonawcy.

- Wszystko to, proszę ojca, Żydzi. Żydostwo światowe, niewytopione przez Hitlera! - słyszę naraz w drugiej słuchawce; głos jednak nie należy do żadnego z siedzących obok kolegów - mimo że alkohol zmienił tembr każdego, rozpoznać je jeszcze chyba potrafię.

- Podobno słychać ich nawet w naszych samolotach odrzutowych, kilka tysięcy metrów nad ziemią - śmieje się Maczek. - A co dopiero tutaj. Rozgłośnia jest dwie ulice stąd.

Skrećamy ostro w prawo. Silnik wyje niczym ranione zwierzę. Jakby na potwierdzenie słów Cezarego przez wizjer w przednim włązie dostrzegam oto rzęsiście oświetlony, szeroki gmach. Nasz pojazd zwalnia. Im bardziej się zbliżamy, tym gorzej widać okazały fronton. Coś go zasłania. Po kilku sekundach widzę, co, a raczej kto ogranicza nam pole widzenia...

- Cholera - klnie naraz dowódca, szarpiąc jednocześnie jakieś dźwignie.

Wozem gwałtownie zarzuca. Zatrzymujemy się, ale silnik wciąż gra. Spoglądam znów przez wizjer. Oto przed nami gęstnieje tłum ludzki, ciemny, pulsujący, groźny. Nad tłumem wyciągnięte ręce, wśród których przeważają zwinięte w kułak, starcze dłonie, używane do wyrażania całemu światu, jak i zakrywania oczu kamerom nieprawomyślnych telewizji.

Kolejne piętro stanowią trzymane w dłoniach parasolki i sękaty laski, a także transparenty z pokraccie wypisanymi słowami, pośród których najczęściej pojawiają się wyrazy: POLSKA i HAŃBA. I jeszcze RĘCE PRECZ.

Nic nie słyhać, usta tych ludzi poruszają się miarowo, nietrudno jednak wywnioskować, że nie są zbyt przyjaźnie do nas nastawieni. Może przeszkodziliśmy im w jakiejś uroczystości, ważnej liturgii czy przemówieniu?

- A czemu nie jedziemy? - pyta bełkotliwie Krzysiek Zajączek. - Jakaś flaszka miała być, panie dowódco...

Maczek jednak nie odpowiada. Spogląda przez wizjer. Patrzę i ja przez swój, bo mam obok. Widzę, jak tłum przed nami tężeje i wyciąga ku nam swoje setne macki. Twarze otaczających nas ludzi wykrzywia podobny, charakterystyczny grymas. Skąd je pamiętam? Wiem! Duda-Gracz malował takie pyski. Mimo że hełmofon mam wciąż na głowie i tym samym słuchawki na uszach, słyszę, że o nasz pancierz raz po raz coś stuka. Jest gruby, nie bez powodu czołg nosi zaszczytne miano „twardy”, odgłosy przypominają stukanie do drzwi domu na parterze, słyszane przez kogoś, kto śpi sobie smacznie na piętrze. Ale już nie śpi.

Musi się obudzić, kurwa, musi szybko wrócić mu świadomość.

W wyciągniętych ku nam dłoniach spostrzegam nagle brukowe kamienie. Po raz kolejny Maczek rozwiewa moje wyrażone tylko w myślach obawy.

- Nie dadzą rady - mówi, choć jego głos wydaje mi się nieco drewniany; może to za sprawą słuchawek, w których też słyhać strzępki muzyki i telefonicznych rozmów.

Naraz coś rozbłyska. W ręku jakiegoś człowieka na zewnątrz rozbłyska płomień. Po chwili niknie, pozostaje po nim jednak ciemny dym. Czuję wyraźnie jego zapach.

Wdziera się do środka, pod nasz pancerz. Maczek zaczyna kasłać.

- Ruszaj! - krzyczę do niego. - Czemu nie jedziemy?!

Nie odpowiada. Rzęzi, trzymając się za gardło. Szybko dochodzą do mnie także odgłosy kasłania innych. Dymu jest coraz więcej, gryzący, czarny, szczypie w oczy.

- Otwórzcie włazy. Otwórzcie włazy! - wrzeszczy któryś, ale nikt nic nie robi.

Zaczynam się dusić. Prawie nic już nie widzę. Wyciągam ręce przed siebie i niemal po omacku szukam czegoś, co przypominałoby klamkę. Wiem, że na zewnątrz czeka rozsierdzony tłum, ale żądza zaczerpnięcia choćby jednego haustu świeżego powietrza jest o wiele silniejsza.

Zamiast klamki moja dłoń trafia jednak na chłodny, gładki kształt. Poznają! Czule obejmuję go palcami jak wąską dłoń dziewczyny, gdy dzieje się to pierwszy raz. Lewa dłoń, także po omacku, sięga nieco wyżej, zatrzymuje się na szorstkiej wypukłości. Naciśnięta lekko, odskakuje z cichym szczękiem. Czuję, że ręce mi drżą, drzę cały, a może to tylko czołg wprawia w wibracje potężny silnik, teraz zupełnie bezużyteczny.

- Chłopcy, chłopcy! Palimy się... - słyszę głos któregoś z członków naszej załogi, ale nie potrafię go rozpoznać.

Mimo zupełnego braku widoczności, dymu gryzącego oczy, przętyk i tchawicę, wdzierającego się do płuc, mimo alkoholu toczzonego przez krew, raptownie rozjaśnia mi się świadomość. Poprawiam uścisk, wstrzymuję oddech. Powoli naciskam spust. Mechanizm szarpie gwałtownie. Pierwsza seria brzmi jak najpiękniejsza muzyka. Zwalniam. Naciskam ponownie, tym razem dłużej, kołysząc się na boki wraz z grającym mechanizmem. Słyszę metaliczny zgrzyt. Dochodzi z góry, podobnie jak odgłosy poruszenia.

- Odłamkowym.

- Jest odłamkowym.

- Ognia!

Potworny huk zwała mi się na głowę, jednak dobrze wiem, co oznacza. Dymu pod pancierzem też już jakby mniej. Szybko spoglądam przez wizjer. Po szkle spływa gęsta, ciemna maź.

Przywieram policzkiem do chłodnego, pachnącego technicznym olejem metalu. Po raz kolejny naciskam spust.

- Przeciwpancernym - dobiega znów z góry.

- Jest przeciwpancernym.

- Wal!

Wystrzał przypomina uderzenie dzwonu, wypadająca łuska - mniejszego dzwonka. Ktoś siada obok mnie. To Cezary Maczek. Z niedawną werwą przekłada dźwignie. Silnik zaczyna wyc, wozem szarpie.

- Kurwa, nic nie widzę! - klnie Czarek Maczek.

- Otworzę - wołam, dopadając z ochotą wjazdu.

Nim uświadamiam sobie, co za nim ujrzę...

- Zamknij te drzwi! - woła Krzysztof Zajaczek.

- Ale ja muszę - bronię się.

Czyjeś ręce wpijają mi się w ubranie, ciągną do siebie. Inna ręka zamyka drzwi

jadącego samochodu. Tuż przed oczami widzę twarz Piotra. Patrzy na mnie z politowaniem i kręci głową. Rómmel drzemie wtulony w tylną kanapę samochodu. Radio gra cicho stary przebój sprzed lat...

Stoimy na jakimś skrzyżowaniu. Znow świat wokół wiruje mi na niebiesko. Zdejmuję okulary, trę oczy, znow nakładam szkła. Przed nami stoi nie co innego, a policyjny radiowóz i to jego sygnalizatory obracają się na dachu. Z tyłu zresztą taki sam. I też na sygnale. Silnik naszego wozu jest wciąż włączony. Właśnie wchodzi do niego Zajączek.

- Przypięły się, mendy jebane! - ocenia krótko sytuację, trzaskając drzwiami. - Mamy czekać na żandarmerię...

- Ale o co chodzi? Kierowca przecież nie pił - próbuję i ja włączyć się w sprawę, czując jednocześnie, że język mi jakoś dziwnie kołowacieje.

- A nie pił, nie pił - zgadza się Zajączek. - My jesteśmy w trzy dupy pijani, bo nam wolno. Dorośli jesteśmy, nie? No, to wolno nam czy nie?! My pijemy, a kierowca nie. Dobrze mówię?

- Tak jest, panie kapitanie.

- No, to czego właściwie od nas chcą? - pyta Rómmel, lekko się przy tym zacinając.

Nie pada żadna odpowiedź. W Iraku i Afganistanie dziś może trzech padło, ale odpowiedzi ni chuja. Tylko Krzyškowi Zajączkowi się odbija, za co ten szybko przeprasza. Kilku policjantów w czarnych kombinezonach kręci się wokół naszego auta, zerkając do środka.

W pewnej chwili wydaje mi się nawet, że jeden stuknął lufą w naszą szybę. Lufą... kałasznikowa. Po co im, do cholery, kałachy? Czyżby kogoś szukali? Kogo? I znow to irytujące stukanie w szybę.

- Czego?! - niecierpliwi się oficer, opuszczając szybę. - Przyjechała ta żandarmeria?!

- Chcielibyśmy zobaczyć dokumenty jednego z panów - wyłuszcza sprawę jeden z

gliniarzy, wskazując na tył samochodu, gdzie siedzimy ja i Rómmel. I Piotr.

- Ale którego? - pyta Zajączek po chwili, w których to słowach, a raczej tonie wypowiedzi wyraźnie dostrzegam kpinę, której skutecznie używaliśmy przed laty.

- Tego w kurtce. Dżinsowej. I z bandażem na głowie.

Z jednego z radiowozów dochodzą nas strzępy rozmów z policyjnego radia.

- Śpi kolega - informuje nasz negocjator, po czym dodaje trochę bardziej ostro. - Poza tym z wami nie będzie gadał. Oficera zawołaj, jak chcesz rozmowy.

Obsobaczony posterunkowy kiwa głową i oddala się bez słowa.

- Jeszcze raz podejdzie, to zadzwonię do Cyca - warczy Zajączek.

- A czemu on winny? - zastanawiam się głośno.

- Nie wiem, czy wiecie, ale on od miesiąca robi w wojewódzkiej - rzuca znów groźbę kapitan Zajączek, po czym odwraca się do Piotra. - Czego oni mogą od ciebie chcieć? - pyta całkiem poważnie i trzeźwo.

- Pewnie chodzi im o alimenty - śmieje się Robert Rómmel.

Piotr jednak milczy.

W pewnej chwili słyszemy warkot silników. Z lewej strony nadjeżdża honker żandarmerii wojskowej. Za nim jakiś inny, nie oznakowany samochód, van a może to jakaś sanitarka. Przez sekundę wydaje mi się, że w jego oknach widzę białe ubrania, może są to fartuchy...

- Jedź - mówi naraz Piotrek.

- Co? - pyta zdezorientowany plutonowy. - Przecież mieliśmy czekać. I żandarmi...

- Nie słyszałeś? Szpula! - wrzeszczy kapitan.

Samochód rusza z piskiem opon. Koła buksują na mokrym asfalcie i gablotą zarzuca. Na grubość lakieru mijamy się z radiowozem żandarmów.

- Wiesz, dokąd jechać? - syczy Krzysztof, chwytając się kurczowo za uchwyt nad drzwiami.

- Tak jest.

W bocznych szybach migają biegnące postacie. Ktoś coś woła, wymachuje rękami. Kulę się, nie wiadomo czemu oczekując strzału w tylną szybę. Wpadamy w zakręt. Rozdzwaniają się leżące na podłodze butelki po piwie. Mijane przez nas latarnie uliczne stapiają się w jedną, niekończącą się wiązkę światła. Znow kręci mi się w głowie. Brakuje mi tchu...

\*

- Dlaczego? - zacznie pytać syn, a moment taki nadejdzie, prędzej czy później; ledwo chwilę temu pierwszy ząbek zadzwonił mu o łyżeczkę, aleśmy nie wzięli na serio tego ostrzeżenia.

To również pytanie, które my sami sobie zadawaliśmy, zadajemy i pewnie dalej będziemy zadawać, póki nie zastąpią go inne pytania w rodzaju: brałem dziś już czopka czy nie? Albo: jak ma na imię moja wnuczka? Tak, sami sobie będziemy je zadawać i inni nam. Wśród tych innych także nasze żony i właśnie dzieci, które od wieków zadają nieodpowiednie pytania.

No właśnie. Dlaczego dobrowolnie skazywaliśmy się na niewygody spania w towarzystwie (chrapanie, smrodzenie, nauka do późna, wizyty i długie nocne Polaków rozmowy, połączone często z eksperymentami naukowymi pod hasłem: „Co jeszcze nadaje się do wypicia w dobie ogólnokrajowego kryzysu?”), niewychodzenia kiedykolwiek i dokądkolwiek się chciało, wysłuchiwanie reprimend czasem tak głupich, że od śmiechu



trudno było się powstrzymać, aleśmy się jednak dzielnie zbierali w sobie i powstrzymywali.

A zatem dlaczego? Może winne były książki, które czytaliśmy w młodości, jak chyba każdy, nawet najbardziej zaciekli kopacze gały i pływacy o siniejącej z zimna skórze. Winnetou, Tomek Wilmowski od Alfreda Szklarskiego, a może Pan Samochodzik Zbigniewa Nienackiego, który mieszkał w tej samej wsi co nasz Tadek Piskor?

To na pewno. Ale później poloniści w podstawówkach kazali przeczytać takie „Kamienie na szaniec” Aleksandra Kamińskiego, o chłopakach trochę starszych od nas, którzy Niemcom nieźle zaleźli za skórę. Jestem przekonany, że prócz takich oczywistych spraw jak ojczyzna, do krwi ostatniej, Pawiak pomścimy, mieli też po prostu przygodę, jazdę na krawędzi. Złapią mnie z walizką podziemnej bibuły lub „filipinek” albo nie złapią. Ustrzelę Szwaba albo nie i wtedy on mnie ustrzeli. Przedwcześnie dojrzewający, postawieni wobec najtrudniejszych spraw i wyborów, wreszcie nader często tracący w tym wszystkim dar życia. „Umrzeć za młodu, na starość jak znalazł” - słyszałem kiedyś takie zdanie. Głupie jak niektóre polecenia naszych przełożonych. Ale coś w tym było.

Do tego filmy wojenne, „Kolumbowie”, wcześniej pewnie i „Czterej pancerni i pies”. No i o tej akcji pod Arsenalem. Ile razy dziś słyszę: „Powiedźcie chłopakom, że Rudego nie ma w więźniarce” albo „Trzaskać!”, czyli wyczekiwane hasło do ataku, mam łzy w oczach.

Liceum wojskowe nie dawało nam co prawda możliwości takiego trzaskania, tyle co postrzelać do tarcz od czasu do czasu i obcasami w chwili stawania na baczność, co jednak nie każdemu się podobało, bo zajeżdżało sanacją; nie dawało nam też możliwości walki, bo choć znalazłby się wróg (dla Polaka to żaden problem), gorzej z realizacją buńczucznych zamierzeń.

- O co więc chodziło? - zapyta znów gówniarz, którego nie da się rady zbyć byle czym, a nawet zastosować „metody brudnej szyi”, bo smarkacz bierze prysznic dwa razy dziennie.

Nam chodziło pewnie o zwykłe wyrwanie się z domu, choćby za cenę porzucenia życia w słodkim nieładzie samodzielnego pokoju nastolatka, gdzie na słomiance przywieszało się kolorowe plakaty biuściastych piosenek czy filmowych herosów. Mimo to dać nogę.

Czy nie o tym marzy każdy piętnastolatek? Ktoś miał nadopiekuńczą matulę, która drżała przy każdym wyjściu synka z domu, żeby czegoś sobie nie złamał, nie utopił się, nie napytał sobie biedy; ktoś inny surowego ojca albo młodsze rodzeństwo, które próbowało już wyrugować brata z ich wspólnego pokoju, nie przebijając przy tym w środkach. Któryś pokłócił się z dziewczyną i na złość jej poszedł w kamasze, choćby nawet miały one na razie okazać się tylko stalowo-niebieskimi adidasami, kiepskimi i o zbyt niskim podbiciu. Historia i psychiatria znają niejednego taki ciekawy przypadek. Byli pewnie i tacy, co się założyli z kolegami z klasy czy spod trzepaka, że wytrzymają za płotem pół roku, no to szli jak w dym, choć stawka wysoka nie była. Mieli przecież czas, żeby wszystko odszcześcić, zacząć od nowa, niczego nie żałować. Bo przecież byliśmy nieśmiertelni. Kiedy, jak nie wtedy...

- To jest zbyt łatwe i zbyt piękne - kusi się chłopak o pierwszą ocenę.

Owszem, to jest łatwe. Wysypywane z rękawa po latach, niczym przezabawne anegdotki czy grube kawaliska, okraszone kuchenną łaciną, bo kto ich nie ma z lat młodzieńczych, studenckich czy pierwszych lat pracy. Spory posag, choć nieprzekładalny na żadną używaną powszechnie walutę, a szkoda. Oj, za ładnie to wygląda, za jasny ten obrazek, cholera. Mało na nim rys, przebarwień czy załamania, powodujących zniekształcenia przeglądających się postaci jak w gabinecie krzywych luster. Wielkie głowy, za długie ręce, krótkie nóżki karłów.

Nie zawsze dobrze było. Nie zawsze byliśmy zgraną paczką-klasą-plutonem. Ktoś donosił na kolegów nauczycielom, wychowawcom czy od razu kadrze oficerskiej. Inny okradł najlepszego kolegę, kolegę z pokoju, z mundurowej wytartej bluzy, sprzedanej potem żołnierzowi z za płotu za butelkę czystej wódki, bo i tak się zdarzało. Korzyści nie zawsze były wymierne, gniew za to, czasami gniew bez adresata, ogromny.

Dziś zdania przez nas wypowiedziane, precedzone przez filtr czasu, brzmią jakby dobiegające z ekranu kina, w dodatku w systemie Dolby Stereo. Ktoś je wcześniej napisał, aktor wyuczył się kwestii, wiele razy próbował, nim osiągnął pożądany cel. Do tego każde zdarzenie, wtedy błahe, wtedy nic, dziś urasta do rozmiarów eposu. Byle beknięcie Andrzeja Szyllinga czy puszczenie krwi z nosa przez Tomka Mierosławskiego, a obaj umieli to robić, jak już po wielokroć wspominałem, na zawołanie, byle wyczyn

Jagmina, Czumy czy Bołtucia - dziś zasługuje na miano komedii, szalonej burleski, że boki zrywać. Byle tylko popcornu nie zabrakło...

\*

Zbliżała się matura. Słowo wytrych. Słowo straszak. Na leni i obiboków. Nie na wszystkich, rzecz jasna, działało w jednakowo silny sposób. Jedni, co mieli to szczęście (lub wręcz przeciwnie) i znajomych, którzy do egzaminu dojrzałości przystępowali rok lub dwa lata wcześniej, wiedzieli już mniej więcej, czym się to je. Że palcami, tłumoku, ale delikatnie! Żebyś nie podarł ściągę z matmy, którą ci życzliwi ludzie włożyli pomiędzy plasterki szynki w kanapce.

Może gdyby każdy z nas skazany był na samotne przeżywanie czasu przed egzaminem w zaciszu domowym - może wtedy dopiero naprawdę źle by to znosił. Ale my mieliśmy przecież siebie. Po raz pierwszy chyba dziękowaliśmy za to opatrności. I służbie kwatermistrzowskiej. Że skoszarować nas kazały, prycza w pryczę, smród w smród. Bo o ile łatwiej było wtedy... nie myśleć. A to pójść rozegrać jeszcze jednego meczyka w kosza, a potem to już na serio bierzemy się za kucie. Ale jeszcze wybrać się z wizytą piętro wyżej, do dobrego kolegi, wszak nie widzieliśmy się od obiadu; a przy okazji zapytać go o jakieś bardzo ważne kwestie z literackiej epoki romantyzmu - nikt ponoć tego lepiej nie wie od niego. Usprawiedliwienie zawsze jakieś się znalazło. A to najnowszy jakiś film na video na świetlicy obejrzeć, bo przecież odtwarzacz wypożyczony jest tylko do północy, film zaś w istocie wart uwagi. A kiedy już nawet na boisku nie było nikogo, to dla zdrowotności samemu do kosza piłką porzucać. Kiedyś jednego takiego delikwenta zauważył nasz historyk, pan Adam, którego już wypuścili z „bażantarni” na drugim krańcu Polski i teraz u nas mógł odwalić praktykę. Tylko że biedny stracił swoje charakterystyczne „wałdochy”.

- A ty czemu się nie uczysz? - zapytał profesor samotnego koszykarza. - Przecież za kilka dni matura.

Jednak nasz lekkoduch najpierw zaliczył sam sobie rzut za trzy punkty, potem dopiero był łaskaw odpowiedzieć profesorowi ze swoim śpiewnym białostockim akcentem:

- Liczę na pana.

Ale w końcu i on zajrzał do książek, ściąg, bryków i zeszytów. Głupio chyba było przeżyć tu cztery lata, a polec na maturze. To chyba tak jak dać się zabić w ostatnim dniu wojny lub w jednym z ostatnich, o którym wojenne raporty doniosłyby, że nic ważnego wtedy nie zaszło...

Zanim jednak mieliśmy usiąść w ławkach i dowieść naszej dojrzałości lub niedojrzałości, czekała nas jeszcze studniówka. Gorączka ogarnęła najtwardszych abnegatów. Nasze matki biegały z nami pod sklepach w poszukiwaniu kreacji, które trochę różniłyby się od ślubnych garniaków synów sołtysa, względnie strojów trumiennych dziadków. Ale w końcu udało się. Hitem okazały się marynary biodrówki, na modłę angielską. Twardo trzymały się też wąskie jedwabne krawaty w jaskrawych kolorach. Poza tym królowały czerń i biel, tak w strojach pań, jak i panów. O mundurach galowych, żeby je przywdziać na tę szczególną okazję, nikt chyba nawet przez chwilę nie pomyślał.

O resztę miały zadbać dyżurne mamy i kuchary. Imprezę zdecydowano się zorganizować w naszej stołówce. Pozdejnowaliśmy na tę chwilę ze ścian wszystkie kompromitujące już teraz i nas hasła. Wypastowaliśmy podłogę, żeby się nasze kobiety na obcasach nie pozabijały, a my przy okazji. Pod sufitem zawisła modna w tamtym czasie wojskowa siatka maskująca, bez której żadna zabawa nie miała prawa się udać, tu i ówdzie umieściliśmy jakieś girlandy, kwiaty tudzież karykatury profesorów i oficerów, wśród których nie zabrakło... czerwonych pajaków w pułkownikowskich czapkach.

Kilku z nas szlifowało program artystyczny, starając się przekonać wychowawców między innymi do jednej pieśni, powstałej swego czasu w Toruniu i będącej nieoficjalnym hymnem liceów wojskowych.

Gdzie nie spojrzę: wniebowzięte twarze.

Z czego tak się cieszą? Kto przyczynę wskaże?!

Wszystko jest tu piękne, no i kolorowe.

Dzieci mają ubaw i są jeszcze zdrowe...

Potem następował refren, do którego nieznany towarzysz niedoli ułożył całkiem ładną i, można powiedzieć, porywającą melodię:

Karuzela szczęścia, kołomyjka losu.

Mały dom wariatów, przyszłych komandosów.

Wylęgarnia trepów, liceum wojskowe.

Żeby tutaj trafić, trzeba stracić głowę!

- To wszystko? - pytała cierpliwie pani profesor od języka polskiego.

- Nie, jest jeszcze jedna - odpowiadałem.

- No to słucham.

Każdy ma tu świra, każdy jest fizolem.

Lubi się zabawić, zalać alkoholem...

Tu się zatrzymałem, bo były wątpliwości. Żeby jednak przekonać się, że szczególnie do gustu naszym nauczycielom nie przypadnie część druga zwrotki, należało ją uprzednio zaprezentować.

Kadra naszej szkoły to sami sadyści,

Ludzie bez skrupułów, kryptokomuniści...

Polonistka spojrzała na mnie ciężkim wzrokiem. To starczyło za wszelkie recenzje, szczegółowe analizy i interpretacje. Swoją drogą, nie dziwiłem się. Ostatecznie zdecydowaliśmy, że Cohen i Klenczon to i owszem, ale tej pieśni nie wykonamy jednak publicznie.

Potem pojawił się jeszcze mały problem z obrusami, które miały przykryć stoliki, przy których jadalśmy na co dzień. Wynikła skucha, bowiem okazało się, że możemy w tym celu wykorzystać tylko nasze... prześcieradła.

- Na tych ospermionych prześcieradłach będziemy jeść?! - nie posiadał się z oburzenia Jagmin, po czym zaczął załatwiać na swój stolik normalny obrus.

Większości z nas było to chyba obojętne. Mojemu towarzyszowi z pokoju zresztą wszystko bez wyjątku.

- Idziesz na studniówkę? - zapytałem Sosabowskiego, który swoim zwyczajem zalegał na pryczy i gapił się w sufit.

Skrzywił się. Jeszcze zadając pytanie, wiedziałem doskonale, co powie.

- Pierdolę.

A ja? Jak zwykle miałem kłopoty z namówieniem jakiejś desperatki, żeby towarzyszyła mi w zabawie, szczególnej, bądź co bądź. Wyrzucałem sobie, że traciłem czas. Dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkie znajome nastolatki były tego dnia zajęte. Choroba babci, dziadka, stryjka, psa, kota. Albo inna studniówka. Nie to, że byłem jakąś pipą grochową i nie próbowałem. Ale zawsze kończyło się na jednym. Spuśćmy zasłonę milczenia. Niech im krzyż lekkim będzie, a cham z cuchnącym wodą oddechem i w przepoconym podkoszulku na ramiączkach posuwa jak najczęściej. Mąż i pan. Bo tak wypada, choć trochę pije i bije. Było myśleć wcześniej. Brać, jak dawałem.

- Daj ogłoszenie - odpowiedział mi Zajązek.

- Żartujesz? - oburzyłem się.

Ale dałem. Zresztą nie ja jeden. Ktoś miał znajomych w jednym liceum, gdzie były bardzo ładne dziewczyny. Tam właśnie powiesiliśmy nasze anonse i z nadzieją czekaliśmy na odzew.

\*

Tego dnia wyjątkowo szybko zapadł mrok. Był styczeń i szło ku dobremu, także ku coraz dłuższym dniom. O tym, co będzie w maju, nie chciałem jednak myśleć. Ważna była dzisiejsza zabawa. Czy będzie zabawna, miało się okazać nie po wszystkim, a na samym początku. Partnerka dla mnie bowiem znalazła się. Problem w tym, że miałem ją zobaczyć dopiero na studniówce.

Wyszedłem na portiernię szkoły, żeby oczekiwać tam na moją tajemniczą wybrankę. Spotkałem Piotra. Też czekał na swoją Agnieszkę.

- Zimno, co? - zagadnąłem.

Ledwo dostrzegalnie skinął głową, po czym nerwowo zakręcił szyją, jakby próbował oswobodzić ją z uciskającej niewidocznej pętli. Mógł być to jakiś nerwowy tik, ale równie dobrze efekt intensywnych ćwiczeń. Zmężniał też jakoś, urósł kilka centymetrów, wydorósł. Chadzał bardzo często na naszą siłownię, która składała się z jednego zestawu do ćwiczeń, fachowo zwącego się atlasem, no i ciężkiego, gryzącego w oczy smrodu potu.

Latka płynęły, mody się zmieniały, a to miejsce wciąż było popularne, tak jak nie gasły aktorskie gwiazdy Arnolda Schwarzeneggera czy Sylwestra Stallone. No i wyrósł pan Piotr dzięki atlasowi z kołnierzyka koszuli. Miał też jasno określone plany związane z dalszą nauką: Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Zmechanizowanych, czyli popularny „zmech”. Na drugim krańcu Polski, bo aż w dalekim Wrocławiu. Fabryka generałów, jak mówili jedni, i totalny syf - jak prostowali inni.

Własną teorię miał na to sam kandydat na podchorążego, Piotruś:

- Pójdę na WAT, na cybernę albo mechaniczny, super! - tłumaczył ze swadą oponentom. - Ambitnie, czyściutko, koła młodych naukowców. A potem, w robocie, w jednostce, co? Będą mną pomiatać. No, to wolę sam pomiatać, nie?

Poza to była i dobra mina do złej gry, a może odwrotnie. Nikim by z pewnością taki

człowiek nie mógł pomiatać, nikogo skrzywdzić. Nie mógł i po prostu nie potrafił. Również dlatego, że chyba nie umiałby potem spojrzeć w oczy swojej dziewczynie, z którą tak długo się trzymał. Zналиśmy ją, a obojgu aż zazdrościliśmy tej ich długowieczności.

A teraz Agnieszka miała przyjść, czy może nawet nadjechać taksówką. Nie codziennie przecież człowiek bawi się na studniówce.

- Coś się spóźniają, nie? - rzekłem, spojrzawszy na zegarek.

Pociągnął tylko nosem.

Po chwili w perspektywie ulicy błysnęły światła jakiegoś samochodu. Wychyliliśmy się obaj, wypatrując najpierw koguta taksówki na dachu, a później znajomej twarzy w szybie. Albo zupełnie nieznajomej. Bałem się bardzo, że być może przyjdzie mi spędzić najbliższe kilka godzin w towarzystwie jakiegoś totalnego paszczura. A jeszcze jakby się okazała o głowę wyższa? No, to już byłaby poruta i zgrzytanie zębów. Ale z drugiej strony lepsze to, niż siedzieć samotnie w domu przed telewizorem, tak jak to sobie pięknie zaplanował Sosabowski. Tym sposobem miałem wolną chatę. I sto pomysłów, jak ją wykorzystać. Chatę, oczywiście.

W ogóle naszym internatem, chyba po raz pierwszy w historii tych starych, od początku zamieszkiwanych przez wojo murów, zawładnęły kobiety. Ich śmiech elektryzował i niepokoił, a jednocześnie pobudzał. Do Zajączka przyjechała jego osobista dziewczyna, o której już mówił „przyszła żona”, Mirek Unrug zaś zameldował się ze swoją rodzoną siostrą. Każdy właściwie miał się kim pochwalić: brunetki, blondynki, rude - nasze partnerki na studniówkę, a może i na dalsze życie. Z ulubionym chodzeniem nago i sikaniem z metra do pisuaru trzeba było więc uważać, a najlepiej wstrzymać się, bo równie dobrze z kabiny obok mógł wyjść Wiesiek, jak i wcale urodziwa Wieśka.

Tymczasem z taksówki wysiadło kilka roześmianych, nieznajomych dziewcząt. Trzy. Dwie blondynki i jedna szatynka. Piotr skrzywił się. Nie była to Aga. A ja nie wiedziałem, co robić. Na szczęście sytuacja wyjaśniła się sama.

- Krzysiek Bem? - zapytała jedna z blondyn.



Zaschło mi w gardle. Była śliczna. Piękny uśmiech, miły głos. I wzrost w sam raz!

- Tak - odpowiedziałem wreszcie.

- Jestem Magda - powiedziała, podając mi rękę. - Ola prosiła ci przekazać...

Nogi mi zmiękły. Nie przyjdzie...

- Że spóźni się parę minut.

- Dzięki - wymamrotałem cicho.

Dziewczyny od razu za bramą zostały przechwycone przez naszych chłopaków, wbitych już w czarne garniaki, i cała grupka pomaszzerowała w kierunku internatu, śmiejąc się głośno.

Pod bramę tymczasem nadjeżdżała kolejna taksówka. Piotr zaklął szkaradnie, po czym podszedł do aparatu telefonicznego, wiszącego w rogu portierni. Do mnie zaś podeszła rudowłosa dziewczyna o przyjemnym uśmiechu i niebieskich oczach.

- Cześć, jestem Ola.

- Skąd wiesz, że ja to ja? - zaśmiałem się.

- Nie wiem - wzruszyła ramionami, pociągając znacząco nosem; portiernia nasza nie była bowiem niestety miejscem zbyt przyjemnie pachnącym. - Ale to ty?

- Ja.

- Ja to w wojsku dupa!

- Co?!

- Przepraszam, żartowałam tylko. Brat jest kadetem i ciągle przynosi do domu takie teksty.

- Krzysztof - wyciągnąłem rękę, którą uścisnęła energicznie.

- Ola.

- Świetnie.

- To może pójdziemy?

- Jasne! Przepraszam - powiedziałem, otwierając przed nią drzwi.

Kątem oka i już przez brudną szybę dostrzegłem, że mój kompan wali z całej siły pięścią w tarczę automatu telefonicznego...

Po kilkudziesięciu minutach zaczęła się. Nasza studniówka. Po zwyczajowym polonezie, kiedy to pomyliłem, chyba jako jedyny, kroki, zaczynając prawą, a nie lewą, a Unrug za cholerę nie potrafił złapać rytmu, choć jego siostra robiła, co tylko było w jej mocy, dyrektor podpułkownik Tadeusz Pawelec strzelił mowę.

- Filozof rzekłby, że oto nadchodzi homo ludens. I porzucił swój warsztat...

Chcieliśmy klaskać, ale w rękach trzymaliśmy kieliszki z szampanem. Dziewczyny patrzyły na nas pytająco. Tak, my to mamy na co dzień. Nie, nie mogą nam w żaden sposób pomóc. No, może potem, jak pójdziemy chwilę odsapnąć. Do pokoju.

Zespół żołnierski śpiewał „Przeżyj to sam”, choć chyba za bardzo nie wiedział, co to jest matura, a tym bardziej studniówka. Potem podano dania gorące. Wynajęty kamerzysta uwiecznił wszystko na taśmie video. Chyba dopiero po godzinie od chwili rozpoczęcia fety, kiedy już dyskretnie wyniesiono z sali i zamknięto w pokojach z plastikową miską tych z nas, który już się nie nadawali do użytku, zauważyliśmy, że nie ma wśród nas Piotra.

- Widziałem go, jak czekał na portierni na dziewczynę - powiedziałem, zerkając na

Olę, która podobała mi się coraz bardziej.

- A ją widziałeś? Agnieszkę widziałeś? - zapytał „Milimetr”.

I tu był problem, który chyba zaczynaliśmy powoli pojmować.

- Nie przyszła? - zapytał ktoś.

Nadbiegł Maciek Czuma.

- Znalazłem go - rzekł, sapiąc ciężko.

Po cichu, bez zbędnego szumu i niepotrzebnych ruchów, wyszliśmy z sali. Zresztą, i tak właśnie zaczynał się program artystyczny, w którym żaden z nas akurat nie brał udziału.

- Zuzia mnie zabije - powiedział Jagmin, stawiając sobie kołnierz marynarki.

Wyszliśmy na zewnątrz. Na dworze było już zupełnie ciemno. Obok nas przemknęło kilka cieni, furkocząc połamami rozpiętych marynarek niczym ptaki skrzydłami.

- Mają lodówkę w zaspie - wyjaśnił Zajączek

- Tylko żeby naszego nie wypili - zaniepokoił się Szylling.

- Spokojnie. Nie znajdą...

Maciek Czuma prowadził nas wprost do klubu ucznia. Na parterze zastaliśmy wybitą szybę, na parapecie okna - kilka okrągłych, czarnych kółek. Krew.

- Odbiło mu? - zacietrzewił się Bołtuć, wchodząc do środka. - Zostańcie tu.

Wyszli po kilku chwilach. Piotr był zalany w trupa, na przegubie prawej ręki czerniły się ślady po krwi. Coś mamrotał. Mogliśmy tylko z tego zrozumieć imię, znajome imię dziewczyny.

- Idziemy z nim na izbę chorych? - zapytał Czuma.

- I co im powiesz?! - krzyknął Bołtuć. - Jeszcze zrobią aferę i przerwą studniówkę.

- Czekajcie, mam opatrunek - rzekł Rober Rómmel, sięgając do kieszeni, skąd po sekundzie wyjął żołnierski pakiet pierwszej pomocy.

Szybko obandażowaliśmy Piotrowi rękę. Chłopak wciąż coś mamrotał.

- Uwaga, uwaga, nadchodzi - powiedział w pewnej chwili Bodek Jagmin, gwałtownie odsuwając się od rannego.

Zrobiliśmy to i my. Przeczucie nie myliło starego pijaka. Ciałem Piotrka wstrząsnął spazm, oczy wyszły mu z orbit. Nim pomyśleliśmy, puścił pawia, paskudząc sobie eleganckie lakierki. Patrzyliśmy na niego z politowaniem i trwogą. Rzeczywiście, należało go jakoś ukryć. Z drugiej strony, czekały na nas nasze partnerki.

- Lepiej ci? - zapytał Czuma.

Pijany splunął w odpowiedzi.

- Tak myślałem - pokiwał głową „Milimetr”. - Trzeba go stąd zabrać.

- Nigdzie nie idę - powiedział naraz zaskakująco wyraźnie Piotr i wyprostował się.

Spojrzeliliśmy po sobie.

- Może ona jeszcze przyjdzie - bąknął Rómmel, ale nasz samotny towarzysz tylko spojrzał na niego i zaśmiał się szyderczo.

- Zrobiła mnie w chuja - odparł ze spokojem. - Posłuchała w końcu swojego starego, a on zawsze powtarzał, że z trepem to nie jest życie. No i się zesrało. Szkoda tylko, że akurat dzisiaj. Myślałem, że będziemy się naprawdę fajnie bawić...

- Nie mów tak - próbował go pocieszać Jagmin, ale wyszło mu to mało przekonująco.

My również nie wiedzieliśmy, co mu powiedzieć, jakich słów użyć, żeby było dobrze. Żeby starczyło. Przynajmniej na dzisiejszy wieczór. Do północy. Po kilku chwilach wydawało się zresztą, jakby Piotr był już całkowicie trzeźwy, jakby wiedział, co się wokół niego dzieje. Odetchnąłem z ulgą, tylko w „Milimetrze”, jako najstarszym z nas, odezwały się ojcowskie instynkty.

- Może chciałbyś się położyć na chwilę? - zapytał.

- Dziwka! Kurwa jedna! - wrzasnął Piotr na cały dziedziniec i odskoczył od naszej grupki na kilkanaście kroków.

- Nie wygłupiaj się! - zawołał za nim Bodek.

Piotr stanął na szeroko rozstawionych nogach, schylił się, nabrał w garść śniegu i potarł sobie nim twarz. Parsknął i pokazał nam, gdzie się zgina dziób pingwina. Patrzyliśmy na niego w milczeniu. A on odwrócił się do nas plecami i pobiegł przed siebie. Po chwili rozpląnął się w ciemnościach. My wróciliśmy na stołówkę, aby bawić się dalej. Nic nikomu nie mówiliśmy, wierząc głęboko, że desperat za chwilę stanie w drzwiach sali balowej, zje coś ciepłego, walnie setę czystej albo nawet dwie, a potem poprosi do tańca jedną z naszych towarzyszek i jakoś to będzie. Że zapomni. Przynajmniej na chwilę. Ale on nie przyszedł, nie zjadł i nie zatańczył. Ani wtedy, ani następnego dnia. Więcej go nie widzieliśmy. W poniedziałek przyjechała jego matka z jakimś facetem i zabrali z internatu jego rzeczy. Nikt nie chciał nic powiedzieć, a może nie pytał.

Więcej cię nie widzieliśmy.

Nie było cię...

Nie było cię z nami, kiedy Bodek pokazał nam, że można pobić się własną pięścią. Przyszedł pijany z miasta, zaległ na pryczy, a gdy kilku prowokatorów zaczęło mu wmawiać, że Zuzia go nie kocha, własną pięścią uderzył się w oko, w nos, powodując obfity krwotok.

Potem jeszcze chciał dać w gębę Księżycowi w pełni, bo mu świecił prosto w oczy, ale to już zupełnie inna historia.

Nie wypełniłeś ankiety, w której pytano, co dała nam ta szkoła. Wielu pisało banalnie, że życia nauczyła. Ktoś inny robił sobie jaja, że sztuki walki, dzięki czemu teraz będzie mu łatwiej zabijać, i tak dalej. Ale wszystkich i tak przebił Wiesiek Kościuszko, którego z pewnością nikt po tych czterech latach nie mógł dogonić po schodach, gdyż Wiesio, kiedy koledzy z pokoju przeginali odrobinę z gnębieniem go, uciekał właśnie na schody. Ale on sam napisał, że dzięki tej szkole nauczył się... spać w każdej pozycji, w każdej chwili i miejscu.

Nie było cię również przy tym, jak jeszcze w marcu dyrektor szkoły, podpułkownik doktor Pawelec, przegiął pałę do końca. A stało się tak dlatego, że zadał cios nie któremuś z nas, a nauczycielom. Jak już wspominałem, jego zastępczynią do spraw dydaktycznych, w miejsce tej matematycy o kamiennej twarzy, była sympatyczna i młoda pani profesor od chemii. Na początku lubili się z Pawelcem bardzo. Któregoś dnia jednak, jeszcze zimą, pani dyrektor miała zorganizować nam jakieś wyjście. Ale czasami bywa w życiu tak, że coś nie wyjdzie. Jakaś inna szkoła wykupiła wcześniej te bilety czy coś w tym rodzaju. W sumie mogliśmy to jakoś przeżyć. Dorośli już byliśmy i czas każdy potrafił sobie zorganizować sam. Ale Pawelec się zapienił. Nie dość, że miłość z chemicą się skończyła, to jeszcze kazał jej... pokajać się przed nami na apelu!

Wiedzieliśmy dobrze, co się święci. Kiedy rano, gdy dramat miał się rozegrać, pani wicedyrektor stanęła obok Pawelca przed czterema rocznikami chłopca i zaczęła publicznie dowodzić swojej niekompetencji, zaczęliśmy ją zagłuszać brawami. Niemal pół tysiąca klaszczących par dłoni.

- Patrzcie, jaką ma minę, gad - powiedział Zajączek o Pawelcu.

Oficer w istocie miał minę, jakby przed sekundą rozgryzł gorzką pigułkę. Pokraśniał na twarzy. Gdyby nie oficerska papacha z orzelkiem chroniąca mu łysinę, wyglądałby pewnie jak centralny element flagi Cesarstwa Japonii.

Pani profesor jednak dała nam sygnał, abyśmy przestali. Posłuchaliśmy. Powiedziała,

co miała do powiedzenia, choć nie usłyszeliśmy z tego ani słowa. Gdy skończyła, z szeregu trzeciego rocznika oderwała się trójka chłopaków i podeszła do niej z... bukietem kwiatów, podziękowaniami i zapewnieniem, że jest wspaniałą nauczycielką, świetną dyrektorką i jedną z nielicznych osób w tym miejscu, dzięki którym da się tu jeszcze jakoś żyć.

A tego już Pawelec znieść nie zdołał. Odwrócił się na fleku i szybkim krokiem ruszył w kierunku swojego gabinetu.

Nie uszło mu to płazem. Lawina ruszyła. Wychowawcy i nauczyciele podpisywali wotum nieufności, a my tylko patrzyliśmy. Do naszej szkoły w ciągu kilku dni zjechały się aż cztery komisje, tak zwane „wesołe autobusy”, złożone z kilku bądź kilkunastu oficerów wyższej rangi o bardzo smutnych twarzach, żeby skontrolować sytuację i zbadać prawdziwość stawianych zarzutów.

Któregoś dnia, kiedy pąki na drzewach były już bardzo duże, cały nasz rocznik zgromadził się w klubie ucznia. Oficjalnie temat spotkania brzmiał: nasza przyszłość po maturze. Podpułkownik Pawelec zaczął śpiewkę od przypierdalania się, że oto chcemy iść do akademii wojskowych, a nie do zwykłych szkół oficerskich albo jeszcze lepiej - szkół chorążych. Najpewniej chodziło mu o to, żebyśmy nie byli zbyt dobrze wykształceni. Wszak mięsa armatniego nasza armia również potrzebowała. Ale broniliśmy się dzielnie.

Wszystkiemu w milczeniu przysłuchiwało się kilku nieznanym nam oficerów wysokich szarży.

W pewnej chwili wstał Jagmin.

- To chyba normalne, że jeśli ktoś kończy niższe seminarium duchowne, to potem idzie do wyższego!

Pawelec poczerwieniał. Zgromadzeni oficerowie spojrzeli na niego pytająco. Potem najstarszy z nich zapytał naszego opiekuna roku, który siedział pomiędzy nami, co o tym sądzi.

- Dowódca jest zawsze tam, gdzie jego wojsko - odparł ze spokojem Wiciewicz.

Po wysłuchaniu wszystkich stron zabrał głos najstarszy z wizytatorów.

- Zauważyłem, że najwięcej do powiedzenia mają ci z was, którzy mają... najdłuższe włosy - rzekł, kierując wzrok na Jagmina i Czumę, który co prawa głosu nie zabierał, tylko potakiwał, ale „wałdochy”, i to już niemal takie po końce łopatek, nosił.

A nam miny zrzedły, bo baliśmy się, że wizytator użyje przeciw nam tej samej broni, jakiej używali wszyscy.

- Ale cóż, trudno nie przyznać wam racji... - powiedział, po czym utkwiał ciężkie spojrzenie, ale w dyrektorze szkoły.

Potem jeszcze kilka rad pedagogicznych, narad wojennych i spotkań spiskowców, w których tym razem bawili się nasi profesorowie. Efekt był taki, że po dwóch tygodniach od tamtej afery z chemiczką i wizytacji Pawelca w naszej budzie nie było. Można było skakać, cieszyć się i co tylko. Gdyby nie mały szczegół - matura. Z niej nikt nas przecież zwolnić nie mógł...

Tej nocy spadł deszcz, a potem strzeliły pąki wszystkich drzew.

\*

Tak oto została nam ostatnia już chyba klatka w tym fotoplastikonie. Suchy zapis w informacyjnym folderze albo ministerialnym okólniku, a na tle całego życia, w istocie, tylko mgnienie. Dla jednych już zatarte i blade, dla innych wciąż wyjątkowo bolesne i wyraźne. Matura, kwitnące kasztany, stara, głupia piosenka Czerwonych Gitar, którą straszono całe pokolenia, kopanie w tyłek na szczęście, czerwona bielizna u pańienek i temu podobne pierdoły.

Ktoś zza płotu mógłby użyć na tę okazję pięknej metafory, że oto po latach siedzenia w okopach wybiegamy na rozległe pole, mierząc we wroga ostrzami bagnetów i wołając przeciągle: hurraaaa! Oczywiście, z uśmiechem na buźkach. Niech będzie zresztą, a i słowo „metafora” przyda się przecież, wszak przy młodym wojsku błysnąć można, bo nie ma nic



gorszego jak jeden czy dwóch zbyt dobrze wykształconych na stanie plutonu czy kompanii.

Pierwszego dnia odbył się, jak to od zarania dziejów bywało, egzamin z języka polskiego. Czarek Maczek jako jeden jedyny wbił się w nasz galowy mundur, na głowę założył czapkę rogatywkę i tak poszedł na salę gimnastyczną, gdzie czekały już na nas stoliki, krzesła, nauczyciele i sporo niespodzianek. I następnego dnia znalazł się na pierwszej stronie lokalnego dziennika, wszak była to pierwsza matura w nowej szkole, więc ekipę dochodzeniową do nas przysłali. A takiego magika u nich na „jedynce” jeszcze nie było! I naród myślał potem, że my wszyscy tak w tych mundurach, czapkach z wężykiem, a tymczasem było zupełnie odwrotnie, bo każdy już wiedział...

Kanapki dali, ciasto drożdżowe, pączka i ulepek, czyli posłodzoną chyba ze trzema łyżeczkami cukru herbatę. Dali też pięć godzin na wykazanie się wiedzą z zakresu tak literatury polskiej, jak i ortografii i interpunkcji języka ojczystego. Jeden z prymusów nawet nie tknął śniadania, bo musiał zdążyć z zapelnieniem siedemnastu i pół strony papieru podaniowego na temat „Jan Kochanowski czytany dzisiaj”. Śmialiśmy się potem, że w środku mógł chłopak nawypisywać totalne bzdury albo zwyzywać nauczycieli od ostatnich - i tak otrzymałby maksymalną notę.

A potem były wyniki. Pomyślałby kto, że dziura to co innego niż „dziura”. Krwawy, niewielki otworek na piersi, wykonany ręką taliba. Albo dziura w budżecie jednostki, kiedy nie wiadomo, co dać chłopakom do jedzenia w następnym tygodniu. Ale polonistkom, które sprawdzały nasze prace, nie było wcale wszystko jedno. I po pierwszym dniu, właśnie przez błędy ortograficzne, poległo kilku naszych: Maciek Czuma, Tadek Piskor, Artur Szembek i Andrzej Szylling, który chwilę po otrzymaniu hiobowej wieści chodził już na bezczelnego z zapalonym papierosem po korytarzu w internacie, klął jak szewc i powtarzał w kółko:

- I chuj tam! Chorąży zawsze zdąży...

Jasiek Sosabowski w ogóle nie został dopuszczony do matury, bo miał dwa niedostateczne na koniec czwartej klasy. Gdyby nie to, że trzeba było zrobić miejsce dla nowego rocznika, który już czał się u bram naszego liceum, pewnie dalej by tak leżał na koju, wpatrując się w sufit.

Potem była matematyka, gdzie na pięć podanych zadań trzeba było rozwiązać trzy. Na trójkę - jedno. Do dziś nie wiem, jak to się stało, że cyfry, które wpisałem na końcu kartki papieru podaniowego w kratkę zgadzały się z tymi na niewielkiej karteczce, którą czyjaś ręka włożyła mi pomiędzy plasterki żółtego sera w kanapce...

Wreszcie przyszedł czas na egzaminy ustne. Jako że Pawelca już nie było, a nowego dyrektora jeszcze nie przysłali, honory tegoż pełnił zastępca, podpułkownik Andrzej Wojdala. Znał się, bidny, jedynie na konstrukcji saperki i wiedział, jak żołnierza wykończyć na jednym metrze kwadratowym, ale głos zabierał często (oczywiście poza egzaminami językowymi), ba, nawet podchwytliwe pytania zadawał, ku udręce tak naszej, jak i pozostałych siedzących w komisjach profesorów.

Na pięć minut przed egzaminem z języka polskiego Robert Rómmel opowiedział mi „Dzumę” Alberta Camusa, której to lektury jakoś nie zdążyłem sobie przyswoić. Wylosowałem, rzecz jasna, pytanie o „Dzumę”. Na rosyjskim było też niezgorza, choć wiele wątpliwości miał co do swojego wyniku Paweł Grot.

- Nie idę, dajcie mi spokój - fukał i prężył mięśnie, siedząc na parapecie kibelka.

A gdyśmy go jednak zaciągnęli i usłyszał, że przeszedł z dostatecznym, wyglądał jak wielokrotny zabójca, któremu czapę sąd zmienia na marne dwadzieścia pięć lat odsiadki.

Reszta też jakoś poszła. Nawet Mierosławski nie musiał puszczać sobie krwi z nosa. Tylko Darek Jasiński omal nie zjadł sobie do końca swojego kciuka. Po wszystkim Czuma i Jagmin starym zwyczajem wyrzucili przez okno z ostatniego, trzeciego piętra internatu swój telewizor.

Zaczęliśmy się powoli pakować. Ktoś z boku patrzący na niektórych z nas, choćby Sławka Kleeberga, Krzyśka Kickiego, Tadka Piskora czy Wojtka Dreszera, mógłby stwierdzić, że tak jak przyszli, tak wstali i wyszli. Nieodmienieni prawie wcale. Wciąż milczący, można powiedzieć, śpiący na stojąco. Choć tak naprawdę wszyscy oni razem i każdy z osobna mogliby powiedzieć dokładnie to samo o każdym z osobna i wszystkich razem. Choć było nas już coraz mniej.

Nie było już naszej klasy.

Nie było już naszego plutonu.

Nie było już naszego piętra, choć budynek trwał nadal, a było mu już może ze sto lat...

Odebranie świadectw, rozliczenie się z sortów mundurowych, uściski rąk, popatrywanie na zegarek, bo zaraz pociąg, autobus, samochód w tym samym kierunku. Jarek Okulicki spierdalał przez dziurę w płocie, bo wisiał kilku z nas całkiem spore pieniądze. Ale ty nie zdawałeś z nami matury. To tak, jakbyś przesiedział z nami kilka lat w okopach, a potem nie wyszedł do natarcia. Nie pociełeś się na egzaminach i nie piłeś po ich zakończeniu. Nie widziałeś miny mamy Zajączka, która zobaczywszy butelki, stojące pod drzwiami pokoju w dniu wyprowadzki, powiedziała:

- Krzysiu. Wy chyba cały rok zbieraliście te butelki!

- Nie, mamó - sprostował Zajączek. - Tylko dwa dni...

Nie odebrałeś z nami świadectwa dojrzałości, którego posiadanie jakoś wcale nie sprawiało, że czuliśmy się mniej niedojrzali. Nie oddałeś kluczy od pokoju i nie wyszedłeś z nami za bramę. Nie obejrzałeś się po raz ostatni za siebie. Nie poczułeś wtedy w gardle czegoś dziwnego, czego nikt nazwać nie potrafił, a może nie chciał, a może się wstydził...

\*

A przecież te mury widziały wiele.

Kiedyś opuszczali je pruscy piechurzy, by pod wodzą marszałka Rzeszy, Paula von Hindenburga, stoczyć zwycięski bój pod Tannenbergiem i wyzwolić, często z marazmu, głodu, obłądu, wszy i szcurów, braci siedzących miesiącami w okopach naprzeciw francuskich żołnierzy, toczonych przez to samo robactwo i brak decyzji dowódców. Byli wśród nich i ci, u których w domu mówiło się po polsku, choć kraju tego nie było na mapach Europy od ponad stu lat.

Co dźwigali w swoich zgrabnych kwadratowych plecakach, obszytych jelenią skórą, o których zwykło się mówić, że każdy strzelec dźwiga tam, prócz konserwy, zapasowej pary skarpet czy onucy, hetmańską buławę? Czy to samo uczucie, pytania, wątpliwości, które nurtowały tych, co wyruszyli stąd na Warszawę dwadzieścia lat później, w ciepły wrześnieowy poranek, w obcym szarozielonym mundurze Wehrmachtu? Czy naprawdę tak bardzo różnili się od nas?

Jeden z nich miał na pewno twarz Bogusława Jagmina. To jego portret ujrzałem na targowisku staroci na warszawskim Kole chwilę po tym, jak zawieruszona pomiędzy innymi wojskowymi emblematami tarcza naszego liceum przywołała młodzieńcze wspomnienia. Ten chłopak na zdjęciu nie był podobny do Bodka. On nim był.

A ciekawe, co myślał chłopak z drugiego krańca zaśnieżonej, pogrążonej w mroku wojny domowej Polski, z gór jednych czy drugich, który wraz z kolegami wychodził stąd na patrol po mieście mroźną nocą przełomu roku osiemdziesiątego pierwszego i drugiego? Z pewnością nic dobrego.

Każdy z nich szedł na wojnę, bo to ona, wojenka, pani z rzewnej piosenki i kurwa najgorsza, zaprosiła ich w te mury, by potem wypuścić w pole, na śmierć. Co pchało nas? Nuda pokoju, rodzinna tradycja czy chęć udowodnienia czegoś ojcu, matce, dziewczynie, a może tylko sobie samemu? Może przez te cztery lata ktoś z nas się tego dowiedział. Bo teraz my, którzyśmy przechodzili przez bramę naszej szkoły, zmierzaliśmy do życia. Życia, które jawiło się kolorami, zapachami, dźwiękami, jakie czuje się, słyszy, widzi jeden raz, tylko raz, no właśnie, w życiu.

Życie to nasze nowe kusilo obietnicą, przygodą, co tam który tylko chciał. Ale już każdy z nas chciał z osobna. Rozchodziliśmy się grupą, która jednak szybko topniała, odrywały się od niej pojedyncze cienie, topniały w mroku, gubiły się po drodze, którą poeci wszystkich epok, powoli wracający do łask, bo już przecież po maturze, nazywają dumnie życiem...

Za chwilę rozpierzchniecie się po całym kraju. Zajączek, Prądyński i paru innych wybiorą Szkołę Oficerską Służby Łączności w Zegrzu. Całkiem silna grupa, bo Kutrzeba, Jasiński, Traugutt, Rómmel, Maresz i jeszcze paru, pójdzie na WAT, Robert Skrzynecki

pojedzie do Łodzi, gdzie działa Wojskowa Akademia Medyczna, a on będzie chciał przekonać wszystkich, że najpierw chce zostać dobrym lekarzem, a dopiero potem dobrym oficerem. Kilku, między innymi Mirek Unrug, zaokrętuje się w Gdyni, w Akademii Marynarki Wojennej. To Unruga rodzinne miasto, do domu będzie miał z Oksywia ledwo kwadransik na piechotę. A maszerować przez te lata i tak się nie nauczył, więc okręt wydaje się być jedynym logicznym rozwiązaniem.

Sosabowski pojedzie uczyć się na wojskowego żandarma w szkole chorążych w Mińsku Mazowieckim; kilku innych chłopaków, którym nie poszło na maturze, wybierze szkołę chorążych, o której mówią, że nie da człowiekowi potem zginąć, czyli Szkołę Służb Kwatermistrzowskich w Poznaniu. Niemal cały parter naszego internatu, czyli klasa czwarta „A”, pójdzie do Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Rakietowych i Artylerii w Toruniu i nie będzie wśród nas takiego, co by nie zachodził w głowę, o co im chodzi.

A inni? Nie sposób wyliczyć. Bołtuć już szykował paszport, bo czekała na niego robota w Reichu. Nie przyszedł Mahomet do góry, więc przysła... żandarmeria wojskowa po jednego kolegę, który zapomniał stawić się w swojej wymarzonej szkole oficerskiej. Na domiar złego wpadli do jego mieszkania akurat wtedy, gdy ten, podochocony kilkoma piwami, zabierał się do swojej dziewczyny.

Spotkamy się po roku czy po dwóch latach na pierwszym zjeździe absolwentów. Jeden z młodych nawet niechęć stawi się w mundurze podchorążego. Ale naszym chłopakom nie będzie trzeba mundurów, by pokazać, że wojsko z nich już całą gębą. Skóra na dłoniach zgrubiła, karki bycze, gęby czerwone. Wódka będzie lać się strumieniami, rzygać też będzie można bez krępacji, za papierosy nikt już nie ściśnie, co więcej, niedawni uczniowie będą częstować nimi niedawnych nauczycieli. Odżyją stare animozje, niewyjaśnione do końca sprawy, poleje się krew. Nasz pierwszy dowódca, Karżyński, będzie po raz setny wspominał chwilę, kiedy wybraliśmy go człowiekiem roku. I nikomu nie będzie się chciało mu perswadować, że to tylko taki żart był. Popije sobie tego chłopina, ostatnie kieliszki będzie usiłował wlać do ust od strony prawego ucha, ale zanim legnie pod stołem, ogłosi buńczucznie wszem i wobec, że „kapitana to się, kurwa, za nic nie dostaje!”.

Tylko orkiestra będzie grać do końca, mimo że okręt za chwilę zatonie; alkohol zatopi ostatnie kajuty pamięci, luki sympatii i antypatii. To wszystko.

## EPILOG

Na dziedziniec i plac apelowy spada lekka mgielka i blade światło nielicznych sodowych lamp. Czarne bryły byłych budynków szkolnych mającą na tle łuny koloru herbaty z cytryną. Wyglądają niczym wypalone szkielety, tu i ówdzie prześwitują przez nie na wylot światła pobliskiego miasta, którego odgłosów nie słyszą. Prócz oddalających się, to znów narastających syren.

Stoimy oto we czterech na środku placu apelowego, między dużymi drzewami, które urosły nie wiadomo kiedy. Zewsząd zieje pustką. Ciemniejące prostokąty drzwi budynków przekreślają krzyżowane deski. Końcem buta macam kępki trawy, która przebiła asfalt w odwiecznym miejscu naszych zbiórek. Gdzieś z boku czmycha spłoszony kot.

- O co tu, kurwa, chodzi? - pytam, podchodząc do Piotra. - Możesz nam wyjaśnić?

- O papierosy. Nie palcie papierosów, chłopcy - śmieje się Rómmel, rozpinając rozporek na skraju trawnika. - Pozwolą panowie, że oddam mocz?

Czuję się jak kosmonauta, stawiający po raz pierwszy stopę na powierzchni nieznannej planety lub choćby Księżyca. A przecież tyle razy stawiałem tutaj stopę...

- Aż żal dupę ściska, jak na to patrzę - wzdycha głośno Rómmel. - Totalna ruina. Kilka budynków sprzedali, ale nasz interes, spójrzcie, zabity dechami. Nawet klamki i okucia zapierdolili złomiarze... Może prezydent miasta coś wskóra.

- A co ma do tego prezydent? - pyta milczący dotąd Piotr.

- Sam tu mieszkał - wyjaśnia Rómmel.

- Jak to? Kto jest tym prezydentem?

- Nie wiesz? - dziwi się Zajączek. - Bodek Jagmin. Od pół roku jest miłościwie wam panującym prezydentem tego miasta.

- Wam? - pytam z lekkim przekąsem.

- Jeszcze kilka miesięcy i idę na emeryturę - wzdycha Zajączek. - Pewnie wylądujemy z rodzinką w Warszawie.

Tak. Postarzeliśmy się, choć większość wciąż uparcie nazywa to tylko dojrzewaniem. Najlepiej świadczy o tym wszystko to, czego człek się dochrapał. Tytuły, honory, akty własności. Gdybyś mieszkał na dworcu, mówiliby: dorośnij.

- I dostaniesz na pożegnanie szablę - śmieję się pod nosem.

- Żeby było czym po śmietnikach grzebać. Wiem, wiem - potakuje Krzysztof Zajączek.

Zawsze się zastanawiałem, kiedy tak naprawdę zaczyna się dorosłość. Kiedy byłem małym chłopcem (hej!), myślałem, że będę mógł wtedy obejrzeć do samego końca program telewizyjny, nakupować słodyczy, ile dusza zapagnie, a może nawet nie wrócę na noc do domu. Program co prawda kończył się przed północą, ale już słodycze były na kartki, więc marzenie było marzeniem. Wkrótce nastąpiły lata szkolne. Dupa cierpła na twardym krześle, człowiek pocił się jak mysz, czterdzieści pięć minut lekcji wydawało się wiecznością. A potem? Potem nagle człowiek łapie się na tym, że nie ma kogo stuknąć ramieniem i, co gorsza, zapytać, gdy czegoś nie wie. Nie wypada mazać długopisem po stole ani nawet po kartce, bo w ogóle zapominasz, jak trzyma się długopis. Nikt już nie śmieje się z twoich kawałów i nagle stać cię na piwo w pubie.

Myślisz sobie wtedy: więc to już? To jest właśnie to? Pierwsza robota, pierwsza wypłata, którą podobno trzeba przepić ze znajomymi. Ale właśnie komuś ze znajomych urodziło się dziecko, komuś innemu zginął brat w wypadku i wtedy każdy z nich wydaje ci się bardziej dorosły od ciebie. Kumpel z podwórka spowodował wypadek po pijaku, stanął przed sądem; afera na pół miasta. Zabrali mu prawo jazdy i dali wyrok w zawiasach. A ty

wciąż krótkie gatki i kreskówki w telewizji...

Dla jednego dorosłość to odebranie świadectwa maturalnego lub dyplomu ukończenia wyższej uczelni i towarzysząca tym chwilom rozpierająca wręcz duma. Albo pierwsza praca i ten przyjemny dość ścisk w żołądku, zapowiedź nowego, przygody, pieniędzy. Dla innych zaś to moment pierwszego zwolnienia z pracy. Dyscyplinarka lub: dogadajmy się, dobrze radzę... Nagła fala gorąca rozlewająca się na całej twarzy.

Dla wielu dorosłość może zaczynać śmierć jednego z rodziców i płacz. Albo zdziwienie, że łąy jakoś nie chcą płynąć. Wiadomość, że dziewczyna, ta na całe życie, z którą miało się zestarzeć, a która niespodziewanie odeszła, urodziła dziecko innemu mężczyźnie. I oczy, z którymi nie wiadomo co wtedy zrobić. Pierwszy dzień w obcym mieście, do którego przyjazd wymusiła paląca potrzeba przeżycia. I to w każdym tego ważnego słowa znaczeniu.

Nie będę ukrywał: naprawdę jestem gość sentymentalny. Często popadam w melancholię i uparcie gloryfikuję przeszłość, zupełnie jak ten stary pierdoła, siedzący na ławeczce przed blokiem, co to dłubie w nosie i mówi, że kiedyś wszystko było lepsze.

Mam wrażenie, że było zupełnie inne: powietrze jakby bardziej przejrzyste, błękit nieba głębszy jakiś, a zachód słońca tak krwisty jak podłoga po świniobiciu. I to chyba nie to, że w miarę upływu lat człowiekowi przybywa lub ubywa dioptrii. Ja kiedyś potrafiłem długo wpatrywać się w wieże kościołów miasta, rysujące się we mgle, przez którą przebijały się pierwsze promienie słońca. Jakaś nienazwana siła tłoczyła do płuc powietrze, tyle powietrza, że nie mogły go pomieścić te dwa worki nieszczęsne, nadymając się do bólu. Jeszcze udawało się zauważyć, jak drzewa wypuszczają pierwsze liście. Biegło się przez nocne miasto po odprowadzeniu do domu dziewczyny, wszędzie czując jeszcze jej zapach i niemal słyszało się, jak trzaskają mokre po deszczu, nabrzmiące pąki...

To było naturalne, jak oddychanie. Zawsze wiosną zapachy niepokoiły, a kurz i piasek, ostatnie pozostałości zimy, oblepiały buty. Jesienią, która zawsze nadchodziła wraz ze szkołą, chciało mi się schylać po opadłe liście. Kasztany w kieszeniach przyjemnie chłodziły, gdy zanurzało się w nich dłonie. Właściwie każda pora roku niosła z sobą jakąś obietnicę.

Ale potem, nie wiadomo właściwie kiedy, coś się w nas zmienia, wypala, przeskakuje



jakaś kostka w środku, grubiej skóra. Oczy zachodzą bielmem, chociaż wciąż wydaje nam się, że widzimy tak samo dobrze. Jeżeli nie lepiej. Zawsze też mówili nam: na wszystko masz jeszcze czas. A ja się od jakiegoś czasu zastanawiam, kiedy nadchodzi ten czas, że przestają tak mówić...

My też zaczynamy się też powoli zapominać. Za kilka lat większość z nas nie będzie wiedzieć już, jak któremu na imię. Który to był Tomek, który Jurek, a który Grześ. Trzech Krzysztofów, Andrzej, Wieś. Był też Czarek, wielki zuch. Wojtek, Artur, Mirków dwóch...

Kilku z nas, owszem, zostało oficerami Wojska Polskiego, które w międzyczasie, choć to się nawet nikomu nie śniło, przestało być ludowym, a stało się częścią Paktu Północnoatlantyckiego, czyli NATO. Obstawiamy, kto pierwszy zostanie generałem i to nie jest wcale fantastyka. Wielu pracuje w policji, straży granicznej i więziennej. Czy z przyzwyczajenia do munduru, bo z wojska było im najbliżej do innych służb, czy rzeczywiście mieli w sobie coś, co sprzyjało pracy w aparacie przymusu - nie wiem. Wolę myśleć, że jednak to pierwsze. Że nie zrobili z nas niechący gończych psów. Ktoś pracuje za granicą, ktoś bieduje w rodzinnej wsi. Pnie się w górę lub pogrąża coraz bardziej. Ktoś nie żyje, a ktoś przeciwnie - ma się całkiem dobrze, choć co rano budzi się z myślą, że co to za życie...

- Ale gdzie ty byłeś przez te wszystkie lata? - pytam znów Piotra. - Jak żyłeś?

- Nie żyłem - odpowiada chłopak z obandażowaną głową, ubrany w wyświechtaną dżinsową kurtkę, starą i niemodną; zupełnie jakby go siła jakaś nagle przeniosła z tamtych lat w nasze współczesne...

Śmiejemy się, choć każdy student reżyserii dramatu obrugałby nas za sztuczność. Od strony byłego klubu ucznia dobiega wrzask parzących się kotów.

A mnie, nie wiem czemu, przypomina się naraz wierszyk z dzieciństwa. „Wszyscy dla wszystkich” Juliana Tuwima. O tym, że murarz domy buduje, krawiec szyje ubrania, ale gdzieżby co uszył, gdyby nie miał mieszkania? I tak dalej. Koniec jest taki, że dla wspólnej korzyści i dla dobra wspólnego wszyscy muszą pracować, mój maleńki kolego... W naszym przypadku, choć nie ma już przecież żadnych nas, wiersz ten musi wyglądać odrobinę inaczej:

Żołnierz broni ojczyzny, a policjant przechodnia,

Ale gdzieżby obronił, gdyby nie chlał chłop co dnia?

Klawisz też by nie musiał na wieżyczkę się wspinać

Gdyby gliniarz mógł szybko i skutecznie zabijać.

Na granicy jest strażnik, dla strażnika pokusa.

Musi chłopak się przemóc albo uciec do USA.

A ochroniarz by w sklepie obściskiwac nie musiał

Młodocianych kasjerek, gdyby...

- Gdyby mu żona w zeszłym miesiącu nie uciekła z sąsiadem, co lepiej zarabia - dokańcza za mnie Zajączek, choć nie do rymu, ale zachowując sens całości.

Szybko wpada mi do głowy jeszcze jedna strofa mojego wierszyka i jego zakończenie:

Żołnierz ciągle narzeka, że go gonią żandarmi,

Ale przecie i żandarm musi dziecko nakarmić!

Tak dla dobra wspólnego i dla szczęścia rodziny

Też musimy zapieprzać. Jako te skurwysyny...

Już za parę lat, które najpewniej okażą się chwilą, przekroczymy półmetek. Tak zwykło się mówić o czterdziestce. Może niesłusznie. Że połowa. Oby. Do refleksji zmuszą pojawiające się pierwsze zmarszczki na twarzy, coraz więcej siwych włosów, nie tylko na skroniach, a także na brodzie, jak ktoś nosi. Kłopoty z sikaniem i ze sprostaniem wiecie

czemu. O tym, że nie będziemy żyć wiecznie, wiemy już od dawna. Ale że już jest bliżej niż dalej - to już niewesoła perspektywa. Oglądając się za siebie, można tylko żałować. Albo bardzo żałować.

Czasem bywam na warszawskim cmentarzu Powązki Wojskowe. Jest tam specjalna kwatery powstańców styczniowych. A, było takie powstanie, choć mało już kto o nim pamięta. Chyba tylko młodzież ucząca się historii. W kilku czy kilkunastu rzędach leżą niepokorni, którym się wolna Polska śniła i którzy z jej imieniem na ustach biegali po lasach, tłukąc z flint do Rosjan. Pomyślałby kto: tu leżą polegli w walce albo zamordowani w Cytadeli. Nic podobnego. To sami weterani, zmarli naturalną śmiercią. A średnia wieku na blaszanych tabliczkach wynosi, uwaga, jakieś osiemdziesiąt pięć lat!

- Mróz konserwuje - konstatuje Rómmel.

Nam to nie grozi, o nie. Ani taka średnia wieku, ani wspólny cmentarzyk. Ani tym bardziej ludzka pamięć. Ktoś z naszych kiedyś nawet wspomniął o jakimś muzeum, może Wojska Polskiego, lub przynajmniej obecności w tymże manekina w granatowym lub wytartym dżinsowym mundurze, ale wciąż chyba pozostaje to w sferze marzeń i rozjaśnianych alkoholowymi procentami, a przez to śmiesznie krótkich wizji...

To, co przed nami, już nie jest tak różowe, jak jeszcze kilka lat temu. Nikt nie da taryfy ulgowej, nie zwolni od myślenia, mówiąc, jak to lubiła robić pani Ula, że nie jest to naszą najmocniejszą stroną. Za wiele pytań, za mało odpowiedzi, realnych szans, że się jednak uda. Że jeszcze ten jeden raz. I jakoś tak wąsko... A zawrócić już też nie można i nawet chyba nie warto. Znow zaczynając od początku? Prawo desperatów, stojących na krawędzi.

Kyrie eleison. Chryste eleison. Kyrie eleison. Od prawdy... chrześcijańskiej zachowaj nas, Panie. Od zatwardziałości serca, które może nigdy nie będzie potrafiło pokochać kobiety, zachowaj nas, Panie. Od gniewu, nienawiści i wszelkiej złej woli. Od zła wszelkiego, któremu na imię Polska. Od powietrza, głodu, ognia i wojny. Od Iraku, Afganistanu, Bośni i Pakistanu. Kyrie eleison. Virtuti Militari. Gloria victis. Od ojca Rydzyka, który w dom przychodzi i dusze zwodzi, zachowaj nas, Panie! Od nagłej i niespodziewanej śmierci na zawał serca, na raka płuc, na niespełnienie zachowaj nas, Panie.

Od czczego życia zachowaj nas, Panie.

Ale na to lekarstwa nie ma. Tego ci nie orzeknie żadna komisja lekarska. Bo nie wspomniałem o jeszcze jednej, chyba najważniejszej.

\*

Na kolejną, drugą już pielgrzymkę po pobliskim wojskowym szpitalu trzeba było poświęcić cały boży dzień. Tak jak przed czterema laty, kiedy wystraszony ósmoklasista chodził od gabinetu do gabinetu, z duszą na ramieniu, motylami w brzuchu, pryszczami na twarzy i nadzieją w sercu. Że się jednak uda i będzie można zostać uczniem tej nowej, wymarzonej szkoły.

Po czterech latach było podobnie. Ale trochę inaczej. Korytarze w starym neogotyckim budynku przyszpitalnej przychodni niemal się nie zmieniły: farba na ścianach łuszczyła się cierpliwie, gotyckie łuki wciąż straszyły i tak wystraszone dzieci, łączone krzeselka przed gabinetami chygotały się, mimo że były połączone. To odbyło się też wczesną wiosną i należało zwagarować z lekcji. Na szczęście legalnie. Na tę komisję, mimo że tak samo miała decydować o mojej przyszłości, nie musiałem na szczęście jechać z mamą. Wojskowy chirurg też już nie pomylił mnie z kandydatem do szkoły chorążych, ale też nie kazał już ściągać spodenek, wypinać się i nie zaglądał prędziutko w dupę. Widać przez tych kilka lat nie tylko zmienił się ustrój, ale i przepisy w sprawie kontroli stanu odbytu poborowych.

A dalej to już poszło. Obiegówka w łapę i bieżanina po piętrach i długich korytarzach. Przez te lata nasłuchaliśmy się opowieści niesamowitych. Cuda prawdziwe wyprawiali poborowi, byle tylko nie dać się pochwyć armii. Na przykład łykanie jakichś kawałków ołowiu, które przy prześwietleniu dawały bardzo niepokojący obraz. Wypijanie morza czarnej mocnej kawy, która rzekomo miała przyspieszyć bicie serca i poddać w wątpliwość przydatność kandydata w załodze czołgu. Było udawanie głuchego, ślepego, a przynajmniej nierozróżniającego kolorów w specjalnej książeczce, którego lekarz na koniec prosi o podanie tego zielonego ołówka, więc delikwent łapie za zielony, bo daltonistą może jest, ale przecież nie idiotą...

Desperacja młodych ludzi nie znała granic. Ktoś nosił przez tydzień monetę w dupie, żeby przy badaniu wyglądało, że odbywa stosunki homoseksualne. Ktoś tygodniami ćwiczył w domu przed lustrem figurę, która miała przekonać lekarzy, że gość cierpi na zwyrodnienie klatki piersiowej. Inny nie mył się przez tydzień ani nie golił, ale przed komisją wyrażał swój zapal do służby wojskowej; szczególnie podobało mu się, że mu dadzą do ręki broń i ostrą amunicję. Opowieści o chłopakach, którzy oddawali stolec na biurko lekarza, po czym wsadzali w kupę zapalki i mówili doń: mój ty języku, były tak nieprawdopodobne, że aż... możliwe. Najtrudniej było udać chorobę psychiczną, schizofrenię paranoidalną na przykład.

Ciekawostką było, że nasz Mirek Bołtuć, będący ze starszego rocznika, stawał na komisji równo rok wcześniej. I komisja orzekła jego nieprzydatność do zawodu wojskowego. Mimo to dyrekcja łaskawie pozwoliła mu dokończyć naukę w liceum wojskowym. Wypomnieli mu zresztą kilka razy, przy okazji jakichś chryj, w których „Milimetr” brał udział lub mógł brać udział. Truchlał wtedy, kurczył się, nie był już najwyższym chłopakiem w klasie. Przynajmniej przez kilka chwil.

Podobnie też było z jednym kolegą, noszącym od nazwiska przezwisko „Placek”. Przeniesiono go karnie z liceum w Toruniu, bo kogoś tam podobno wtarł w podłogę. Sądząc z postury, nie miał z tym kłopotów, patrząc na jego twarz, nie dziwiliśmy się. Miał trądzik. Poza tym u nas był potulny i miły.

A potem była wojskowa komisja lekarska. „Placek” ledwo zdążył otworzyć drzwi, a siedząca za szerokim stołem prezydialnym komisja ledwo spojrzała na niego...

- A nie, nie! - zawołali niemal jednym głosem. - Dziękujemy panu, dziękujemy.

Ale równie szybko się zreflektowali.

- Albo chodź pan...

I zarzucili go tyłoma paragrafami, że nawet armia izraelska nie chciałaby go mieć w swoich szeregach.

Nam pozostało kombinowanie na całego. Tylko że ja nie potrafiłem nie dostrzec cyfry 37 sprytnie skomponowanej z dziesiątek małych, kolorowych kólek. Widziałem ją wyraźnie, podobnie jak i tę obok, 54. Co za problem był powiedzieć, że, niestety, mimo najszczerzych chęci, bo wie pan doktor, odkąd kilka miesięcy temu przewróciłem się i upadłem na głowę...

- Tak? - zapytał okulista.

- Trzydzieści siedem i pięćdziesiąt cztery - wyrecytowałem, ku zadowoleniu nie tylko lekarza okulisty, ale pewnie i logopedy czy innego foniatry, gdyby tylko takowy spec zechciał nas badać i wyrazić swoją opinię co do naszej przydatności w zawodzie.

- Dziękuję, to wszystko - powiedział lekarz, po czym wbił pieczętkę w stosowne miejsce komisyjnej obiegówki.

Była jeszcze szansa u laryngologa, który popatrywał przyjaźnie zza tego swojego urządzenia na głowie, krążka i świecącej się żaróweczki. Oficer kazał mi zatkać prawe ucho i rzekł:

- Lampa.

Miałem po nim powtórzyć. Oblał mnie zimny pot. Chwila mojego milczenia wydawała się, jakkolwiek banalnie by to brzmiało, wiecznością.

- Lampa! - powtórzył laryngolog.

- Lampa - odpowiedziałem przez ściśnięte gardło, po czym odetchnąłem z ulgą.

- Stół.

- Stół.

- Piszę, że zdolny - powiedział lekarz i spojrzał na mnie tak, jakbym za chwilę miał przeciw temu zaprotestować, zacząć błagać o litość, a może nawet wymienić cenę...

Wszystkie etapy wojskowej komisji lekarskiej przeszedłem pomyślnie. Wzrostu podałem mniej niż było, ale nie miało to chyba wielkiego znaczenia. W moczu i krwi, które ode mnie pobrano do analizy, również nie spodziewałem się znaleźć, a raczej nie oczekiwałem, że analitycy w laboratorium szpitala wojskowego znajdą dla mnie rozwiązanie.

Ciekawe, co teraz robi kolega, którego widziałem tylko raz w życiu, właśnie tutaj, na komisji przed czterema laty. Odpadł wtedy ten kolega ze względu na trądzik młodzieńczy, a może pląfusa. Podłamał się, może nawet chciał pobiec do chirurga i wyjaśnić zaistniałe nieporozumienie i skorygować to niedopatrzenie. A potem dziękował opatrności, że stało się tak, jak się stało. Ciekawe, co robi dzisiaj. Czy jest porządnym człowiekiem? Czy kuje do matury, nie przejmując się jakimiś komisjami?

Tak sobie myślałem, siedząc przed gabinetem lekarza ogólnego.

- Wejść - usłyszałem wreszcie.

Także i lekarz internista przyjął mnie z wrodzoną, a może nabytą w ciągu wielu lat praktyki subtelnością. Ten sam konował co wtedy. Niemal się nie zmienił, może tylko dostał dodatkową gwiazdkę na pagon za gnębienie ludzi. Nie pytał już jednak, jak wtedy, po jaką cholere do wojska idę i na co mi to. Nie ostrzegął, że opieprzać będą, a ja nie wzruszyłem ramionami, zresztą wciąż nie znałem odpowiedzi na te pytania...

Mimo to gabinet ten miał być ostatnim. Był więc ostatnią szansą, żeby zmienić swój życiorys. Podczas gdy ja się rozbierałem w kącie, lekarz badał Mariusza Hallera.

- Gdzie ty stawałeś na komisji wojskowej? - prychnął z pogardą pan doktor.

- Trzeci szpital Marynarki Wojennej w Gdyni - odparł ze spokojem Mariusz.

- Kto cię tam w ogóle przepuścił?!

- Ale o co chodzi?

- O to, że jesteś za gruby. Gdzie stawałeś na komisji wojskowej?

- Trzeci szpital Marynarki Wojennej w Gdyni.

- Jesteś za gruby!

- To już słyszałem - bąknął pod nosem Haller. - Czy chce pan może jeszcze wiedzieć, gdzie stawałem na komisji lekarskiej?

Struchlałem. Zaraz ktoś dostanie tu po mordzie. Stali naprzeciwko siebie i mierzyli się wzrokiem jak dwaj zawodowi bokserzy podczas pierwszej konfrontacji, jaką było ważenie zawodników. Problem w tym, że lekarz mógł zajrzeć Mariuszowi najwyżej we wcięcie mostka.

Nawet nie zauważyłem, kiedy to stałem rozebrany od pasa w górę, patrząc przez brudną od wiosennego deszczu szybę na ptaki siedzące na nagim jeszcze drzewie.

- Coś ci dolega? - spytał ogólny, dysząc ciężko.

Ból istnienia - pomyślałem w pierwszej chwili.

- Tak - odpowiedziałem.

- Leczyłeś się na to?

Ale na co? Przepraszam. Przecież ten lewatywa nawet nie zapytał, o co chodzi. Pytanie jednak wciąż pozostawało bez odpowiedzi.

- Nie. Nie leczyłem się nigdy - odpowiedziałem po chwili, cicho, nie spuszczać wzroku z drzewa za oknem.

- To pójdziesz do psychiatry!

Stado ptaków w ciasnym, drgającym kadrze okna zerwało się nagle z drzewa. Wojskowy lekarz stuknął pieczętką o stół, haratnął długopisem papier, co nie przeszkodziło



mu mrugnąć do pielęgniarki i rzucić półgębkiem:

- Wczoraj poszedł Król...

-...na wojnę - dokończyłem bezwiednie, choć bez użycia strun głosowych.

- Że co? - prychnął oficer, zmarszczywszy brwi. - Żartów ci się jeszcze zachciewa?!

- Grały jemu surmy zbrojne. Grały jemu surmy złote. Na zwycięstwo, na ochotę... - dokończyłem głośno już po wyjściu z gabinetu lekarskiego, a może tylko w myślach wspomniałem z tkliwością i pełną złości niemocą, że jak chłopu dół kopali, zaszumiwały drzewa w dali. Dzwoniły mu przez dąbrowę te dzwoneczki, te liliowe...

Napisała to patronka mojej podstawówki, której popiersie z obtłuczonym nosem mijiałem co dzień, będąc jeszcze dzieckiem. Co dzień też czytałem napis na cokole czy nad nim: PÓJDŹ DZIECIĘ. JA CIĘ UCZYĆ KAZĘ. Pisała też, że do krwi ostatniej kropli z żył bronić będziemy Ducha... A ja nie chciałem już bronić nikogo i niczego!

Stary wiarus z „Warszawianki” Stanisława Wyspiańskiego, zamiast meldunku z pola bitwy i pokrwawionej szmaty, wyjmując z zanadru broń i godzi nią w pierś generała. Ten osuwa się na ziemię, do ostatnich chwil świadomości trzymając się kurczowo rękami najpierw ramion, potem nóg i stóp swojego zabójcy.

Także Hrabia Roland zostaje zasztyletowany w swoim namiocie w noc poprzedzającą bitwę. Ordon i Wołodyjowski poddają reduty wraz z całym zapasem materiałów wybuchowych. Jenerał Józef Sowiński spierdala przed Moskalami z Woli i postukując drewnianą nogą, zdyszany, ale żywy dociera aż na Mokotów. Przewieziona na pokładzie samolotu ocynkowana trumna z poległym gdzieś w egzotycznym kraju szeregowym, do której zbliża się powoli, z zamiarem złożenia ostatniego hołdu, minister obrony narodowej, premier czy sam prezydent w otoczeniu oficjeli, eksploduje nagle, bo ktoś zamiast siniejącego trupa włożył do skrzynki bombę z mechanizmem zegarowym. Krwawiące członki VIP-ów siłą wybuchu, którego oszczędzono jakiejś odległej o tysiące kilometrów bezbronnej arabskiej lub wietnamskiej wiosce, rozrzuca po całym lotnisku...

- Nie gniewaj się na mnie, Polsko, nie gniewaj się... - dobiegły skądś słowa piosenki, ale ja nie wiedziałem, czy to zrobi.

Nie wiedziałem, czy odpuści mi osiem par dżinsowych spodni, cztery bluzy i furażerkę podobną do ruskich, pionierskich „pierogów” - wszystko krajowej marki Odra; cztery koszule stalowe lotnika i cztery białe, krawat czarny lotnika, pasek parciany, dwie kurtki zimowe ocieplane, czapkę zimową z daszkiem, zrobioną rękami polskiego robotnika (a być może matki Polki), szalik, rękawiczki, dwie pary kałeson białych, bawełnianych, mundur galowy z pijącymi od początku w udach spodniami i czapką rogatywką ze srebrnym wężykiem, przebojowy sweter marynarza, koszulki marynarza szare i białe, kilkanaście par skarpetek lotniczych, letnich i zimowych, chustki do nosa, igły i nici, piżamy pasiaste resortowe, skóropodobne laczki z zapobiegającymi poceniu się stóp dziurkami, adidas, pantofle galowe czarne, letnie i zimowe, spłowiały i przepocony strój sportowy, dwie pary granatowych dresów, kilkanaście tubek przeterminowanej pasty do zębów nivea, kostek mydła junak, puszczonek skruszałej czarnej pasty do butów.

Czy zostanie mi wybaczone kilkadziesiąt talerzy fasolki po bretońsku, kilkaset bochenków chleba, kostek masła i serka topionego, kilkadziesiąt gomół żółtego sera, słoików najtańszego dżemu truskawkowego i prostokątnych puszek marmolady, kilka hektolitrów zupy mlecznej, grochówki, krupniku, kawy zbożowej, herbaty z cukrem i kompotu z suszonych śliwek? Wiem, że nikt nie przywróci życia zwierzętom, z których wykonano dla mnie kiełbasy, kotlety schabowe i mielone, pieczeń rzymską i sztukę mięsa, zwaną nie bez powodu „podeszwą”, ale może mimo to ktoś puści w niepamięć przynajmniej kilkadziesiąt puszek konserw mięsnych i pasztetów, które i tak nie miały metek? Może niepoliczalna, a może jednak, niechby, okaże się ilość proszku użyta do wyprania raz na dwa tygodnie mojej pościeli, ręczników i piżam?

- Wiesz, gdzie jest szpital psychiatryczny? - zapytał lekarz psychiatra z wojskowej przychodni, spoglądając na mnie zza szkieł okularów zmęczonymi oczami, i nie czekając na odpowiedź, wypisał odpowiednie skierowanie.

Nikomemu się nie przyznałem, że wysyłają mnie do czubków. Nie spałem tej nocy. Sen, który w tamtym czasie był najlepszym ze sposobów na odpędzenie wszelkich trosk i niepokoju, tym razem nie przyniósł ukojenia. Wręcz przeciwnie: zhora teraz ścisnęła mnie

za gardło, siedziała na piersiach, utrudniała oddychanie. Dziesiątki razy przewracałem się z boku na bok, zastanawiając się nad kosztem amortyzacji sprężyn, haków i ogniwo wojskowego łóżka, na którym spędzam tysięczną, może tysięczną pierwszą, a równie dobrze tysiąc sto jedenastą noc.

Nad ranem przyszedł jednak sen, a raczej majak lepki i duszny. Słyszałem śmiech kolegów z rodzinnego miasta, z podwórka i ulicy. „Na trepa idziesz, na trepa?!”. Śmiech to był na granicy spazmu, wytykanie palcami, trącanie się łokciami, bo, patrzta, idzie bohater w jednym bucie! „A tak na ciebie liczyliśmy” nazywało się spojrzenie rodziców, siedzących w dużym pokoju naszego mieszkania, w swoich fotelach. Nieruchome, jakby ktoś zatrzymał je w kadrze filmu. Klatka drga, mechanizm się zaciął. Po chwili na celuloidzie pojawiają się liszaje. Czuć swąd spalenizny. Uczeń-spiskowiec Levitoux, nie chcąc się dać carskim śledczym, podpala siennik w swojej celi, w warszawskiej Cytadeli. Słyszę kobiecy głos. Przez drzwi. Wstrzymuję oddech. Znam go.

Mówiliśmy na nią „Jennifer”, ponieważ przypominała nieco z twarzy zagraniczną piosenkarkę, śpiewającą wówczas postawionym, operowym głosem, że miłość to wielka potęga. Jennifer Rush się nazywała, choć tak naprawdę nasza pani wychowawczyni przypominała, ale jej matkę. Gdy była młoda, musiała być całkiem, całkiem. Wciąż jednak ubierała się różowo-młodzieżowo, malując się mocno, przez co nazwaliśmy ją „Pisanką”. Od początku była dla nas bardzo miła. Przed inauguracją roku szkolnego pomagała nam prasować mundury i koszule, przyszywała guziki i szkolne tarcze. Jednak z dyżuru na dyżur ta jej matczyzna opiekuńczość zaczęła nam coraz bardziej ciążyć. „Chłopcy, spać, spać!” - nawoływała, chodząc po ogłoszeniu ciszy nocnej po piętrach. To właśnie ona nie pozwoliła nam wtedy obejrzeć „Różowej serii”.

Potem, gdy podczas nocnych dyżurów kręciła się po naszym piętrze i zaganiała nas spać, my zdejmowaliśmy spodenki, co niektórzy zaś próbowali się o nią ocierać. Któryś nawet nalał na rękę odrobinę białego szamponu i próbował podetknąć jej pod nos... Nie wiem, czy przez to przeniosła się wkrótce do internatu młodszego rocznika, by mieć spokój, bo to chłopcy młodszy i spokojniejsi. I pewnej nocy w jednym z pokoi, do którego weszła, zgasło światło. Kiedy znów się zapaliło i kobieta wyszła na korytarz, miała na sobie naddartą sukienkę, rozmazany koszmarnie makijaż, a do nogi przywiązany ciężarek do ćwiczeń, ważący siedemnaście i pół kilograma.

Zwolniła się z pracy następnego dnia. Zamknęli ją w wariatkowie. Potem wypuścili. Ledwo wypuścili, powiesiła się...

\*

Szpital psychiatryczny mieścił się na peryferiach miasta. Skróciłem sobie drogę, idąc przez las, dobrze mi znaną ścieżką. Między drzewami białał jeszcze śnieg, ale były też miejsca, gdzie spomiędzy suchych zeszłorocznych liści wyrastały już pierwsze krokusy i przebiśniegi. Niżej, w głębokim kanionie, wesoło szemrała rzeka.

Na miejscu okazało się, że muszę iść na oddział. Przy drzwiach był dzwonek. Wezwana kobieta w białym fartuchu rzuciła okiem na skierowanie, które przyłożyłem do grubej szyby.

- Dzień dobry - bąknąłem i zaszurałem nogami, jakbym wchodził na pensję dla dziewcząt z dobrego domu, a nie do domu wariatów; kilku od razu rzuciło mi się (tymczasem) w oczy...

- Dzień dobry - powitał mnie jeden z pensjonariuszy przybytku, bijąc przy tym pokłony i nie odrywając się od ściany, jakby mu splecione z tyłu ręce wraz z siedzeniem przyklejono do lamperii.

Oddychałem ciężko, idąc w ślad za czarniawą, niedużą kobietą w białym fartuchu, która otworzyła mi drzwi, a która okazała się lekarką - adresatką skierowania.

- Tu ma pan pudełko - powiedziała, gdyśmy już doszli do gabinetu, usiedli, ona za biurkiem, a ja, wzorem innych pacjentów, na krzeselku pod drugiej stronie.

Widać przyjmowała tu samych w miarę spokojnych i normalnych, bo żadnych krat czy grubych szyb nie było. Nie miałem jednak gwarancji, czy nie ma pod biurkiem guziczka, którego naciśnięcie powoduje nagłe otwarcie drzwi wejściowych przez rosłych pielęgniarzy.

- Co mam z tym zrobić? - zapytałem na bezdechu

Ważylem chwilę w dłoni zamknięte, mające swoją wagę podłużne pudełko, oklejone płótnem jak stare książki z Biblioteki Marksizmu i Leninizmu. Co mogło w sobie kryć? Może pistolet P-83, z którego miałbym zrobić użytek gdzieś w odosobnionym miejscu o odpowiednio wygłuszonych i łatwo zmywalnych ścianach? W pewnych kulturach nazywa się to honorowym wyjściem.

- W środku ma pan pięćset karteczek, na każdej zaś oddzielne pytanie, na które trzeba odpowiedzieć: „tak” lub „nie” - odpowiedziała lekarka. - Do właściwej części pudełka wkłada pan odpowiedzi „tak”, do wieczka - „nie”. To wszystko.

- Rozumiem - rzekłem niegłęboko i już chciałem otworzyć pudełko, jak dzieciak wymarzony prezent spod świątecznej choinki, ale lekarka powstrzymała te zapędy, niczym sroga pani matka, odwlekająca ten przyjemny moment dopiero na po wigilijnej wieczerzy.

- Pójdzie pan na lewo i do końca. Tam jest świetlica - rzekła. - Godzina wystarczy?

- Chyba tak...

- Może lepiej dwie. Nad większością tych pytań lepiej się głębiej zastanowić.

Przez duże, szare od brudu, śniegu i wiosennego już deszczu, pozbawione krat szyby szpitalnej świetlicy widać było panoramę miasta. Miasta, które żyło sobie jak gdyby nigdy nic, jak wczoraj i jak jutro pewnie też, jeśli czyjaś wypielegnowana, acz pokryta już starczymi piegami i lekko drżąca ręka (kilka tygodni temu zaczęła się operacja „Pustynna burza”) nie naciśnie guzika odpalającego międzykontynentalną raketę balistyczną ziemia-ziemia. Będzie żyć jutro, będzie wołać, kasłać, wyc, rzezić, niezależnie od tego, co spotka dzisiaj mnie - niewielki, teraz nieruchomy, na co dzień zaś nazbyt ruchliwy punkt na jego mapie. Pyłek raczej, śmieć, który byle zdmuchnięciem, gazem propan-butan, połączonym z nagłą iskrą, albo pistoletem ojca - jak sprawę załatwili filmowi bohaterowie...

Długo nie chciałem spojrzeć, co jest pod wieczkiem z czarnym napisem NIE, choć wiedziałem już, co tam znajduje. Wreszcie wrodzone poczucie obowiązku, smarkacz rządzący wciąż w środku mnie, wzięło górę. Zadrukowane kartki wyjąłem z pudełka i położyłem na

stole. Przypominały nieco te z bibliotecznego katalogu. I też wyświechtane, zatłuszczone na rogach; pożółkły papier świadczył, że niejedno pokolenie młodych ludzi w tym kraju odpowiadać musiało na pięćset pytań. Jaka była nagroda w tym konkursie. Wolność?

- Mój ojciec był dobrym człowiekiem - przeczytałem na głos treść pierwszej z brzegu.

Dlaczego był? Przecież ciągle jest. A odpowiedzi tylko dwie. To tak jak z tym pytaniem: czy przestałeś już bić żonę? A możesz odpowiedzieć tylko „tak” albo „nie”. Co byś nie powiedział, będzie kłopot. Ale może za dużo myślę, rozważam, kombinuję. Może ci, którzy to za chwilę przeczytają, nie będą sobie zadawać aż tak wiele trudu. Więc niech będzie, że tak. Że ojciec był dobry.

Pierwszy kartonik wylądował oto w przegrodce z napisem TAK. Ucieszyło mnie to niezmiernie. I zapewne o wiele bardziej niż zbieracza wchodzących wtedy powoli w powszechne użycie magnetycznych kart telefonicznych, który oto zaczyna swoją kolekcję kolorowym widoczkiem Sandomierza od strony Wisły, choć jeszcze za bardzo jej nikomu pokazać nie można. A ja już miałem kolekcję; pozostało czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć jej elementów. Pytań bez odpowiedzi. Bo dopiero teraz dotarła do mnie ta cyfra. Przerazająca. Spróbować policzyć na głos do pięciuset, to już jest wymagające nie lada cierpliwości zadanie.

- W dzieciństwie męczyłem małe zwierzęta - przeczytałem znów na głos treść kolejnego pytania, a raczej poważnego oskarżenia; oskarżenia, przed którym należało się szybko bronić.

Usiłowałem sobie przypomnieć, jakie zwierzęta miałem, pacholęciem będąc. Czy psy to też małe zwierzęta i to, co z nimi robiłem, podpada już pod męczenie i jakiś paragraf? W końcu, po namyśle, umieściłem karteczkę w kartoniku z napisem NIE. Tylko co to ma wspólnego z moim stosunkiem do armii, zawodowej służby wojskowej - pomyślałem. A widać ma - odpowiedział smarkacz we mnie, przylizany prymus, pizduś poluzowany w krzyżu i kolanach, z dociśniętą gdzie indziej śrubą, dygający dzięki temu jak panna z przedwojennej pensji, podnoszący papier z ziemi i dupsko z siedzenia w autobusie, by ustąpić miejsca cebulowej staruszce.

- Nigdy nie podstawiłem w szkole nogi koledze.

A kto jest bez winy, niechaj pierwszy rzuci kamień. Gdyż oto nieprawi napięli łuk, założyli strzałę na cięciwę, aby ugodzić z ciemności prawych sercem... Żołnierza cechuje uczciwość i rzetelność, samodzielność i inicjatywa w działaniu, wysoka wymagalność wobec siebie i swych podwładnych, stanowczość i konsekwencja w postępowaniu oraz dbałość o prezencję i schludny, estetyczny wygląd... Co mówię wam w ciemności, powtarzajcie na świetle, a co słyszycie na ucho, rozgłaszajcie na dachach. Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekle... Wykaż, korzystając z definicji, że funkcja  $x$  w zbiorze jest rosnąca...

TAK. Świat jest zły.

NIE. Mam nadzieję, że jutro przyniesie pozytywne zmiany.

NIE. Onanizowałem się we wczesnej młodości.

TAK. Wierzę w życie pozagrobowe.

Wieża miasta za oknami szpitalnej świetlicy przechyliły się w lewą stronę, jak w obrazie z telewizora, gdy usiłuje się złapać dobry zasięg ręczną anteną. Potarłem oczy wierzchem dłoni. Zimny pot podzielił mi plecy na dwie nierówne części, bo kata już ręka boli i nie patrzy, jak bije. TAK. NIE. TAK. ALEŻ OWSZEM, JAK NAJBARDZIEJ. ZAWSZE I WSZĘDZIE. TERAZ I ZAWSZE.

Tu szczyt... lękam się spojrzeć w przepaść świata ciemną. Spojrzę... Ach! pod stopami niebo i nad głową. Niebo... Zamknięty jestem w kulę kryształową; Gdyby ta igła lodu popłynęła ze mną. Wyżej - aż w niebo... nie czułbym, że płynę. Stąd czarne skrzydła myśli nad światem rozwinę... Pięć kolejnych kart naraz biorę w dłoń prawą. Sprytnie kciukiem tworzę wachlarz, cmokam nad kareta, a może tylko blefuję. Full, strit, to znów nie to. Wymieniam dwie. NIE! Lepiej trzy...

- Sprawdzam!

Niemal podskoczyłem na krześle. Obraz przed oczami na powrót zyskał ostre kontury. Zasięg złapany, na chwilę przez rzutem karnym w jakże ważnym meczu. Spojrzałem na stół. Trzy czwarte kartoników z pytaniami wciąż jeszcze nie tkwiło w odpowiednich przegródkach, czyli pozostawało bez odpowiedzi. Spojrzałem na zegarek. Rzeczywiście: minęły dwie godziny.

- Skończył pan już? - usłyszałem głos lekarki.

Usiłując zasłonić plecami układankę, jak zazdrosny o swój pomysł przedszkolak, kilkoma szybkimi ruchami podzieliłem pozostałe kartony na cztery nierówne części. Parzyste wrzuciłem do pudełka z napisem TAK, nieparzyste zaś do NIE.

- Owszem - odparłem, odwracając się na krześle z pudełkami w wyciągniętych rękach.

- Proszę.

Odebrała pudełka bez uśmiechu, a ja, ledwo uwolniłem dłonie od ciężaru, zobaczyłem, że trzęsą się, jakby dopiero co wypuściły stukilogramową sztangę. W tej samej chwili też dotarło do mnie, co najlepszego zrobiłem. Oblał mnie zimny pot. Teraz byłem już pewien, że nie pójdę do wojska. Spoko wodza! Problem w tym, że nie byłem do końca pewien, czy aby nie wrócę tutaj...

- Do widzenia - zegnał mnie ten sam mężczyzna, który mnie powitał, bijąc pokłony i nie odrywając się od ściany.

- Oby nie... - jęknąłem pod nosem.

Nie pamiętam, jak udało mi się przeżyć trzy dni, bo po tym czasie kazano mi się zgłosić po wynik badania. Mimo to, idąc ponownie do szpitala psychiatrycznego, nie wziąłem ze sobą piżamy ani szczoteczki do zębów. Czarniawa lekarka bez słowa podała mi kopertę przez uchylone drzwi oddziału. Odebrałem, grzecznie podziękowałem. Miałem ją dostarczyć, jak zręczny pocztylion, lekarzowi psychiatrze w szpitalu wojskowym. Koperta, zawierająca wyrok i jego uzasadnienie, była zaklejona, jednak znów gówniarz we mnie nie pozwolił na jej bezczelne otwarcie, choćby przy pomocy pary z czajnika, i przeczytanie ekspertyzy. Dotyczyła przecież mnie! Wkurwiała mnie to, jednak smarkacz prymus kopertę przykładnie



dostarczył na miejsce. Ani w gabinecie, ani pod drzwiami nie czekali jednak na mnie z kajdankami czy kaftanem bezpieczeństwa. Lekarz przy mnie rozerwał kopertę, rzucił okiem na treść listu, spojrzał bez sympatii, znad okularów na heroda złych wieści. Nie pamiętam, czy również uśmiechnął się przy tym.

- W porządku - rzekł wreszcie, a ja tylko czekałem, aż podniesie słuchawkę telefonu albo naciśnie jakiś guzik ukryty pod pulpitem biurka; oby tylko nie bili i nie kłuli igłą, bo zawsze bardzo bałem się zastrzyków. - Życzę panu miłych studiów w szkole oficerskiej.

Stuknęła pieczętka, zazgrzytała stalówka na papierze obiegówki. A mnie zakręciło się w głowie, a jednocześnie czyjaś łaskawa ręka zakręciła rączką imadła uciskającego moje trzewia, serce, głowę.

Trzeba było dalej jakoś żyć, próbować sobie radzić inaczej. Ale to już zupełnie inna historia...

\*

Stoimy we czterech pośród uśpionych murów naszej dawnej szkoły i chaszczy, które porosły szkolne boisko. Stoimy jak tych kilku przyjaciół z serialu oglądanego w dzieciństwie, którzy paręnaście lat wcześniej umówili się przy żelaznym krzyżu w Peszcie i na spotkanie z wielu dotarła ledwo garstka, że na palcach jednej ręki... A gdyby jeszcze raz? Spróbować, poczuć się jak jedno, choć jużemy osobni, obcy, dalecy? Jeszcze ten jeden jedyny raz?!

- Co jest, kurwa? - klnie Zajączek, spoglądając w stronę bramy.

Dopiero teraz słyszę i ja. Narastający warkot silników. Spoglądamy po sobie. Nim ktokolwiek zdąży się odezwać, zza muru budynku naszego byłego internatu błyskają oślepiające światła samochodu. Wojskowy honker z rykiem silnika wpada na dziedziniec. Za nim dwa policyjne radiowozy. Z honkera wyskakują kilka przyczajonych cieni z długą bronią. Kryją się za pojazdem. Światła latarni odbijają się w szkle czarnych gogli, które chronią ich oczy. Nikt jeszcze nie krzyczy, nie zgłasza żądań.

- Trzymaj! - krzyczy kapitan Zajączek, rzucając mi jakiś przedmiot.

Chwytam to coś w dłonie. Tetetka. Zimny metal ślizga się po spoconej skórze.

- Rozdzielmy się! - rozkazuje oficer, ciągnąc Rómmla w stronę najbliższych zarośli.

Pochylony do przodu biegnę ku trybunie honorowej. W tym samym momencie padają pierwsze pojedyncze strzały. Dopadam kamiennej ściany, słysząc jak kule świszczą mi nad głową. Nie widzę Piotra. Kilka pochylonych postaci przecina na ukos plac apelowy. Wychylam się zza załomu trybuny, wyciągam przed siebie rękę, bez celowania naciskam spust. Ostatni z biegnących pada. Odpowiada mi seria z broni maszynowej, która stapia się w jedno z potężnym hukiem.

Unoszę głowę. Od strony miasta nadlatuje śmigłowiec. Spod kabiny bluzgają jęzory ognia. Jest coraz bliżej. Łopaty śmigieł mielą powietrze. Drzewka i krzewy rosnące dookoła placu targane są wciąż narastającym powiewem. Spod brzucha śmigłowca wylatuje snop światła, tnąc asfaltowy, dobrze mi znany dziedziniec na mniejsze figury. W pewnym momencie w tej szerokiej wiązce światła dostrzegam jakąś postać. To przecież Piotr! Stoi z uniesionymi wysoko w górę rękami. Jego stara, targana powiewem, rozpięta kurtka przypomina skrzydła, na których mężczyzna za chwilę uniesie się w powietrze...

- Stój! Nie ruszaj się! - dobiega męski głos z megafonu.

Piotr porusza miarowo ustami, jakby coś mówił.

Nagle padają strzały. Na niebieskim, dżinsowym materiale zakwitają czerwone kwiaty. Chłopak pada na kolana, spogląda w górę. W jego spojrzeniu widzę zdziwienie. I ulgę.

Po chwili pada na twarz. Śmigłowiec wyłącza światło, oddala się.

Wychodzę zza muru trybuny i ruszam w stronę wojskowego honkera. Unoszę broń. Naciskam spust, raz za razem. Pęka trafiony reflektor. Zamiast kolejnego wystrzału słyszę jednak już tylko szcęk iglicy. Oblewa mnie zimny pot, serce wali jeszcze szybciej, a jego uderzenia słyszę w uszach niczym huk detonacji. Ale już po sekundzie uspokajam się. Tylko

w oczy szczypie trochę.

Odrzucam pistolet w bok, jak najdalej. Idę na nich. W stronę światła...

- Hej, obudź się! - słyszę nad sobą czyjś głos i czyjaś ręka szarpie mnie mocno za ramię.

Otwieram oczy. Stoją nade mną we dwóch: Zajączek i Rómmel.

- Piotra zabili - mówię słabym głosem.

- Zalałeś się - stwierdza Zajączek.

- Co z Piotrem? - pytam, próbując unieść głowę.

- Poszedł sobie - odpowiada ze spokojem Robert. - Kilkanaście lat temu, dokładnie z tego miejsca. Tylko śnieg leżał wtedy.

- Lodówkę w zaspie mieliśmy - uśmiecha się do starych wspomnień Zajączek.

- Co z Piotrem!?! - pytam po raz kolejny, już bardziej stanowczo i twardo.

- Poszedł - powtarza swoje Zajączek. - Szedł tak wtedy i szedł. Porzucony przez dziewczynę w dniu naszej studniówki, upokorzony, bo co mogło nas upokorzyć wtedy, w tym akurat dniu, bardziej? Minął bramę, zostawił za plecami naszą szkołę, potem miasto. Szedł, po prostu szedł. I nie potrafił się zatrzymać. Nie mogła się też zatrzymać ciężarówka, w światłach której nagle się znalazł na oblodzonej szosie, w lesie, kawał drogi za miastem. Odwieźli go karetką do szpitala, nie wiedząc nawet, kim jest, bo nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Zmarł na stole operacyjnym...

- Miał, kurwa, całe życie przed sobą, a tak głupio skończył - wtrąca cicho Rómmel. - Cały świat stał przed nim otworem. Każdym mógł być: oficerem, tak jak chciał, a nawet naukowcem jakimś, gdyby się uparł, co nie?

Pocieram pięściami łzawiące oczy. Ale i to nie pomaga.

Bo już nie ma ciebie, Piotrze. Ani w zapomnianym leśnym garnizonie na końcu świata, ani w sztabie, w Warszawie jakiej wielkiej, wśród zaszczytów. Nie ma cię w rodzinnej wsi ani mieście, choć i nawet nie ma pamiętam, skądżeś był, przyjacielu lat młodzieńczych. Nie układasz glazury ani terakoty w Londynie ani Dublinie, nie testujesz niemieckich leopardów na poligonie w Świątoszowie, Żaganiu, Żarach. Nie kolekcjonujesz kolejnych gwiazdek na pagonach ani nie liczysz gwiazd na nocnym niebie, niepoprawny marzyciel. Nie wyjeżdżasz źle opancerzonym samochodem opancerzonym na patrol po afgańskich czy irackich bezdrożach ani nie buntujesz się przed takim wyjazdem, bo buntować się nauczyli cię tutaj chyba najlepiej. Nie celujesz nawet z ręcznego granatnika w hummera, w biało-czerwoną szachownicę, orła białego w koronie na czerwonym tle, nie dolatujesz do Guantanamo, gdzie czekają już łańcuchy na nogi i ręce oraz pomarańczowy strój więzienny, co byłoby świetnym materiałem na powieść czy reportaż. A jam sobie nie wiadomo co myślał, émił, nie starając się nawet majaku odgonić rękoma, jak to czasami wcześniej szczęściem się udawało. Koniec i cześć pieśni! Ostatnich gryzą psy, a pijany grabarz łopata w dupę klepie. Wojenne raporty czy policyjne meldunki i tak doniosą, że nic ważnego w tym dniu nie zaszło...

Z pobliskiego dworca dochodzi przejmujący gwizd lokomotywy. A ja myślę sobie, że może trzeba będzie wreszcie pogodzić się z faktem, że życie zaczęło się naprawdę. Że przed nim, życiem, nie uchroni ucieczka za najgrubszy mur, najwyższy płot, takie kiedyś przez nas znienawidzone, a dziś... I że najgorszego w życiu koszmaru nie przerwie terkot dzwonka nad drzwiami ani zbiorowy śmiech kolegów: aleś się dał nabrać! Ano dałem, na życie i na śmierć, która je kończy. A przecież miało być inaczej...

- Matka Piotra nie chciała, żeby ktokolwiek ze szkoły był na pogrzebie, nawet najbliżsi kumple - ciągnie dalej smutno Krzysztof Zajączek. - To dlatego nic nie wiedzieliśmy. Ja dowiedziałem się przypadkiem, kilka lat temu. A czemu akurat teraz o niego pytasz?

- Poszedł? - pytam bezgłośnie, patrząc pod nogi, na mokry asfalt placu apelowego.

- My też chyba będziemy lecieć, nie? - odzywa się Robert Rómmel.

- Jutro trzeba wstać do roboty - wzdycha ciężko Zajączek, spoglądając na zegarek.

- Ale ja myślałem... - zaczynam mówić, ale głos zamiera mi w gardle.

- No co? Co myślałeś?

Nic. Nie odpowiadam. Znow widocznie myślenie nie jest moją najlepszą stroną...